

ARKADIUSZ
PACHOLSKI

nie ma

Prószyński i S-ka

ARKADIUSZ
PACHOLSKI

niemca

Prószyński i S-ka

Copyright © Arkadiusz Pacholski, 2011

W trakcie pracy nad książką
Autor korzystał ze stypendium
firmy Multimedia Polska

Projekt okładki
UAU project

Zdjęcie na okładce
© John Springer Collection / CORBIS

Redaktor prowadzący
Konrad Nowacki

Redakcja
Ewa Charitonow

Korekta
Mariola Będkowska

ISBN 978-83-7839-962-9

Warszawa 2011

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Najlepszy sposób na poznanie miasta to podpatrzeć,
jak się tam pracuje, jak kocha i jak umiera.

Albert Camus, *Dżuma*

Część pierwsza

PAŹDZIERNIK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Piątek, szóstego października

Klap-klap, klep-klep! Klap-klap, klep-klep! Klap-klap, klep-klep!, raz ciszej, raz głośniej dobiegało to z tej, to z innej strony. W tej chwili trochę ją to irytowało, ale co miała zrobić – pozatykać palcami uszy? W zasadzie już od dawna, ilekroć znalazła się na ulicy, nie zwracała uwagi na wszechobecne kłapanie. Stało się ono tak samo naturalne, jak dzwonienie podków na kocich łbach, skrzypienie chłopskiej furmanki czy warkot przejeżdżającego samochodu. Po prostu zobojętniała na ten dźwięk, jak na wiele innych, znacznie bardziej nieprzyjemnych. Czy to dobrze, czy źle, że zobojętniała? Do pewnego stopnia raczej dobrze, przekonywała samą siebie. Bo przecież, gdyby człowiek przejmował się tym wszystkim, co widzi wokół, szybko trafiłby do czubków. Tylko gdzie biegła granica pomiędzy zobojętnieniem, jakby tu rzec, pożytecznym, pozwalającym nie trwonić bezskutecznie sił mogących się przydać później, a tym już szkodliwym, paralizującym sumienie i blokującym naturalne ludzkie odruchy? I czy w ogóle można rozpoznać, po której stronie granicy akurat się stoi? Nie, chyba nie można. Przynajmniej nie w danej chwili. To się staje jasne dopiero później, po fakcie. Wtedy, kiedy już niczego nie da się zmienić.

Delikatne jesienne słońce miło pieściło policzki. Powinna już wstać, ale nie chciało się jej nawet podnieść powiek. Jeszcze jedną minutkę, usprawiedliwiała się, już ostatnią. Kiedy tak siedziała na ławce z zamkniętymi oczyma, wystawiając twarz ku czystemu październikowemu niebu, wydawało się jej, że znowu ma dziesięć lat i opala się na ganku małego domku stryjecznego dziadka, kierownika wiejskiej szkółki. Co ujrzałaby, gdyby wówczas otworzyła oczy? Głupie pytanie. Jak to co? Ukochany ogród warzywny Katarzyny. Najbliżej domu zagajnik buraków o lśniących, jakby oblanych tłuszczem liściach, potem wysiany dziko bór

kopru, już nieco wyrudziały, upstrzony żółtymi cętkami. Za koprem pulchne pagórki ogórków, dalej grube badyle przybranych w złociste wianki słoneczników, jeszcze dalej powiewającą kokardami liści kukurydzianą kępę, a na samym końcu – pnącą fasolę, kurczowo czepiającą się pochyłonego płotu. Ale wtedy, drzemiąc na ganku z książką rozłożoną na wiecznie podrapanych kolanach, wołała – tak jak i teraz – nie otwierać oczu, lecz nasłuchiwać rozlegających się wokół dźwięków: ostrego rżenia pocieranej ostrzałką kosy, świdrujących jęków studziennego kołowrotu, ciężkiego stękania rozłupywanych siekierą drew, krótkiego, suchego trzasku bata, leniwego pobrzękiwania krowich łańcuchów. Jedne z nich pojawiały się przez całą dobę, inne wyłącznie za dnia lub w nocy, jedne codziennie, inne tylko w dni powszednie albo w niedziele i święta. Poruszała się pośród nich równie swobodnie i pewnie, jak po polnych ścieżkach i leśnych duktach na skrót. Rusałka. Nie, nie Rusałka. Świtezianka. Tak wołali na nią przez pewien czas we dworze w Borutkach, kiedy podczas wizyty u Lali Wolnickiej wpadła do stawu. Na ganku najpierw krzyk, panika, a potem – gdy już wygramoliła się z wody cała w zielonych wodorostach – donośny bas pana Wolnickiego. Świtezianka! I salwa chóralnego śmiechu. Świtezianka! Świtezianka! Może to właśnie dlatego nigdy nie przekonała się do Mickiewicza, przynajmniej do tego z *Ballad i romansów*. I zaczęła żywić niechęć do Wolnickich i wszystkich im podobnych pogrobowców feudalizmu o mózgzach zapeklowanych w epoce Radziwiłła „Panie Kochanku”. Zaraz, zaraz... A jak to było z manią tropienia zwierząt? Aha, wszystko zaczęło się w bożonarodzeniowe przedpołudnie, kiedy razem z psami poszła na przechadzkę w pola. W pobliżu brzozowego zagajnika jej uwagę przykuł widoczny na śniegu trop jakiegoś zwierzęcia. Zaintrygowana, ruszyła wzdłuż porwanej nitki wijącej się zygzakiem pomiędzy drzewami, przecinającej zamarznięte strumyki i polne miedze. W pewnym miejscu nitka krzyżowała się z drugą, a nieco dalej spletała w zagmatwany węzeł z wieloma zupełnie innymi tropami. Dwa z nich należały do jakichś ptaków, ale czyje były pozostałe? Natychmiast po powrocie do domu wyszukała w bibliotece książkę z ilustracjami sylwetek i tropów leśnych zwierząt, zaszyla się z nią w swoim pokoju i przerysowała je do szkolnego kajetu. Nazajutrz zabrała go ze sobą w pola i rozszyfrowywała wymalowaną na śniegu łamigłówkę. Szybko nauczyła się nie tylko rozpoznawać ślady bażanta, przepiórki, dzika i sarny, ale nawet odróżniać – a przynajmniej tak się jej zdawało – odcisk

łapek zająca od łapek trochę mniejszego dzikiego królika. Od tej pory godzinami włóczyła się po polach, przepełniona uczuciem wielkiej dumy. Wszak znaki, które z łatwością odczytywała, nawet dla ojca stanowiły nieczytelne hieroglify.

– *Weg, stara! Weg!*¹

Zachnęła się, ale nie otworzyła oczu. Zresztą, żeby się domyślić, na kogo wrzeszczy policjant, wcale nie musiała tego robić. Był piątek, dzień targowy, i pewnie jakaś baba ze wsi rozsiadła się na ławce, by przed powrotem do domu przekąsić kromkę chleba – na głowie i ramionach kraciasta chusta, bosa stopy zniekształcone przez lata harówki, wokół kilka wiklinowych koszyków. We wtorki i piątki całe miasto pełne było takich bab.

– *Weg, ti stara jendza, ti! Weg!*

Zatupały bosa stopy. Wciągnęła głęboko w płuca rześkie powietrze i po chwili znowu zapadła się w siebie. Powoli wróciła na zaśnieżone pola sprzed lat. To właśnie wtedy, podczas odczytywania zapisków na śniegu, zaczęło ją dręczyć pytanie: a co, jeżeli cały świat jest jedną wielką księgą? Co, jeśli słowem jest każde drzewo i każdy ptak, każdy kamień i każdy obłok? W takiej księdze to by dopiero można czytać i czytać! I policzki płonęły jej na myśl, że ona, Dorotka Paleń, odczyta tę niezwykłą księgę – od deski do deski. Tymczasem rodziły się dalsze pytania. Trop na śniegu zostawił lis lub bażant, a kto pisał w księdze świata? Czy ten sam Ktoś, do kogo dąb w ogrodzie wznosił ogołocone z liści ramiona? I jaki cel miał ten Ktoś w tym, by w ogóle cokolwiek zasłaniać przed wzrokiem zwykłego śmiertelnika? Całymi dniami łamała sobie nad tym głowę. Bo odpowiedź, że to Bóg – a w każdym razie ten, o którym nauczali katecheci na śmiertelnie nudnych lekcjach religii – już wówczas nie trafiała jej jakoś do przekonania.

– *Karl, du habst doch sehr gut gewusst, dass ich verheiratet bin.*

– *Na ja, ich verstehe...*²

Boże, jak cudownie tak siedzieć na ławce i nic nie robić, a przy okazji podsłuchiwać – oczywiście mimowolnie – rozmowy przechodzących obok ludzi! Mogłaby tak siedzieć i siedzieć...

– *Was verstehst du?*

– *Du liebst deinen Mann noch immer!*

– *Nein! Ich liebe dich, Karl. Nur dich. Über alles...*³

Raptem zachichotała – przypomniała sobie, że wtedy latem na ganku

czytała Wellsa. Cha, cha, cha – to ci dopiero! Czytała z wypiekami na twarzy, bo trudno, by nie niepokoił tak sugestywny opis najazdu tajemniczych przybyszów z Kosmosu. Do dziś czuła ciarki przebiegające jej po plecach podczas lektury. Ale, rzecz jasna, traktowała tę opowieść jak bajkę o żelaznym wilku. Przecież musiałoby jej brakować jednej klepki, a właściwie kilku, żeby podobny wykwit fantazji brać za mającą się ziścić przepowiednię.

– *Wann willst du ihm denn alles schreiben?*

– *Jetzt? Wenn er an der Front ist?*⁴

No i voilà – ziściło się! Kosmici przybyli, uzbrojeni w niezliczone śmiercionośne maszyny, a ich okrucieństwo i pogarda dla pokonanych nie mają precedensu w dziejach ludzkości. Człowiek raz po raz przyłapywał się na tym, że ma ochotę uszczypnąć własną rękę, by się przekonać, czy aby na pewno rzeczywistość, w której żyje, jest prawdziwa. Szczerze mówiąc, nie wyglądała nawet na twór obdarzonego zbyt bujną wyobraźnią pisarza. Raczej na zwidy ciężko chorego maniaka.

– *Also wann?*

– *Oh, lass mich in Ruhe, Karl! Ich weiss es nicht...*⁵

Ładnie, ładnie... Mąż nadstawia gdzieś karku za Grossdeutsches Reich⁶, a szanowna pani małżonka przystawia mu rogi. To się chłopina ucieszy, kiedy wróci na urlop, i znajdzie pod łóżkiem rozchodzone przez innego bambosze. Chociaż sam jest sobie winien. Trzeba było siedzieć w domu, zamiast włóczyć się po całej Europie w celu stworzenia Nowego Ładu. A co do niej, tej kobiety, cóż... Chyba naprawdę zakochała się w tym drugim. Tak czule mówiła: *Ich liebe dich, Karl. Nur dich. Über alles...*⁷

Klap-klap, klep-klep! Klap-klap, klep-klep! No tak, dość tego bujania w obłokach, pobudka! Jeszcze nie otwierała oczu, ale już nie broniła kłapaniu dostępu do świadomości. Ostatecznie ze wszystkich melodii, jakimi rozbrzmiewało obecnie miasto, tę jedną – melodię wojennej biedy – lubiła najbardziej. Trudno przecież, aby wołała ciężki chrobot żandarmskich buciorów czy energiczny stukot oficerów. No i jeszcze to wszędobylskie „klap-klap, klep-klep” zastępowało w jakiś sposób polski język. Bo rozsądek doradzał, żeby przynajmniej tu, w centrum, gdzie mieszkało i bez przerwy kręciło się mnóstwo Niemców i folksdojczów, zachować ostrożność i w obecności obcych w ogóle się nie odzywać, a jeśli już, to najwyżej

półgłosem. W efekcie, wszędzie wokół słyszało się prawie wyłącznie niemiecki. *Heil Hitler, Herr Zellenleiter! Heil Hitler, Herr Scharführer! Was gibt's neues? Wirklich? Danke schön, Herr Scharführer! Auf Wiedersehen, Herr Zellenleiter!*⁸ W początkach okupacji miała chwile, kiedy nie mogła go już znieść; dźwięczne niemieckie słowa, nafaszerowane samogłoskami jak granat prochem, aż rozsadały bębenki. Zdarzało się, że po powrocie z miasta rzucała wszystko gdzie popadło, biegła do biblioteki, chwyciła pierwszą z brzegu francuską powieść i otworzywszy ją na chybił trafił, czytała zachłannie przez godzinę, dwie. Czasami nawet trzy. *Avec la vivacité et la grâce qui lui était naturelles quand elle était loin des regards des hommes, Mme de Rênal sortait par la porte-fenêtre du salon qui donnait sur le jardin, quand elle aperçut près de la porte d'entrée la figure d'un jeune paysan presque encore enfant, extrêmement pâle et qui venait de pleurer. Il était en chemise bien blanche, et avait sous le bras une veste fort propre de ratine violette*⁹. Od pierwszych wersów czuła się tak, jakby po godzinach wdychania samochodowych spalin mogła wreszcie odetchnąć cudownie czystym górskim powietrzem. Ale takie zaszczepienia niemieckim zdarzały się jej tylko w pierwszych miesiącach; stopniowo przyzwyczaiła się do wszechobecnego szwargotu. A właściwie – do jego przeróżnych odmian. Do parzących uszy dialektów z *isch* zamiast *ist*¹⁰, *nit* zamiast *nicht*¹¹, *zwo* zamiast *zwei*¹², *zwote* zamiast *zweite*¹³ albo z *fuchzig* zamiast *funfzig*¹⁴. Nie wspominając o archaicznej, topornej niemczyźnie przesiedleńców z Bukowiny i Besarabii, dialekcie rodem chyba z osiemnastego wieku. Tej to nawet Niemcy z Rzeszy nie potrafili zrozumieć i naśmiewali się z niej do rozpuku. Tak czy owak, jedynie rozlegające się niemal bez ustanku swojskie kłapanie świadczyło o tym, że wbrew pozorom większość przechodniów to Polacy. Poza tym, abstrahując od okoliczności, w jakich pojawiły się buty na drewnianych podeszwach, wydawany przez nie dźwięk tworzył całkiem miłą dla ucha kompozycję. Teraz, w październiku, równie słonecznym i bezdeszczowym, jak minione lato „klap-klap, klep-klep” brzmiało jeszcze mocno, sucho. Wkrótce – po tym jak spadną deszcze i drewno zwilgotnieje – wydawany przez podeszwy dźwięk obniży się i zmięknie.

Niechętnie otworzyła oczy. Poczawszy na źrenicach ostre ukłucie słońca przeświecającego zza wieży kościoła św. Mikołaja, spuściła wzrok

i zatrzymała go na średniowiecznym ceglany murze. Przed wojną zasłaniały go klasycystyczne jatki, ale Niemcy je wyburzyli. Mimo że stało się to jeszcze na początku okupacji, odsłonięty mur wciąż raził golizną. Po chwili kontemplacji wtopionych w jego podstawę olbrzymich polnych kamieni, jej spojrzenie powędrowało jeszcze niżej i spoczęło na zgrabnym czubku pantofelka. A tych skórzanych półbucików z niewysokim obcasem i cienkim paseczkiem z klamerką prawie się nie słyszało! Wiosną dała za nie dwa i pół litra spirytusu. Trochę przepłaciła, ale co tam – za takie śliczne buty było warto. Od początku wojny ani razu nie chodziła w szmaciakach na drewnianych lub słomianych podszewkach, zawsze miała porządne buty, i to co najmniej cztery pary: letnie, bez pięt i palców, półbuciki na wczesną jesień, właśnie te, z klamerką, zimowe, z cholewką za kostkę, porządnie ocieplane (od kiedy sięgała pamięcią, zawsze marżyły jej stopy), i kupione w Zakopanem buty do wędrowek po górach, teraz służące do wypraw na wieś po towar. Celowo kazała ich nie podkuwać, żeby nie robiły hałasu. Ciszej chodzisz, dłużej żyjesz – jedna ze złotych myśli epoki masowych mordów. Nie tak wyrafinowana jak aforyzmy pana de Rochefoucault, ale z pewnością bardziej przydatna. Wprawdzie niepodkute fleki szybciej się zdzierały, ale stać ją było na naklejanie coraz to nowych. W końcu dzięki smykałce do interesów wiodło się jej lepiej niż wielu Niemcom, nawet tym z Rzeszy, najlepiej ubranym i dlatego lubiącym spoglądać na innych z góry. Nie da się zaprzeczyć, że z powodu tej smykałki, o którą zresztą przed wojną nigdy by się nie posądzała, odczuwała pewien rodzaj dumy. Starła się jednak nie dopuszczać tego uczucia do świadomości, bo natychmiast rodziło ono wyrzuty sumienia, przynajmniej podczas spotkań z koleżankami skazanymi na używanie drewniaków. Ale czy naprawdę powinna sobie wyrzucać, że potrafi się urządzić w każdej sytuacji i stać ją na kupno porządnych butów, mimo że na czarnym rynku kosztują bająnskie sumy? W końcu wszyscy jakoś kombinują, a że jednym wychodzi to lepiej, drugim zaś gorzej, to już nie jej wina.

Na cienkiej gałązce kilkuletniego dębu przysiadł młody kos i chybotając się we wszystkie strony niczym pijak, wpatrywał się w nią małymi, błyszczącymi oczkami. *Ich liebe dich, Karl. Nur dich...* Nie wytrzymała i spojrzała w prawo, ciekawa, czy dostrzeże jeszcze kłócającą się parę. Chciała wiedzieć, jak wyglądają. Na ławce, o dwadzieścia kroków dalej, siedziała ciemnowłosa dwudziestopięciolatka i czterdziestolatek w mundurze SA.

Sądząc ze zwarzonych min i ciężkiego, upartego milczenia, to musieli być oni. Kobieta wydawała się dość ładna, za to siedzący obok misiwaty tatulek nie robił wrażenia kogoś, kto potrafi w sobie rozkochać – na dodatek tak bardzo – dużo młodszą dziewczynę. Czy to możliwe, że ta biedaczka naprawdę go kocha? Hm... W przyrodzie zdarzają się różne cuda.

Wstała i kilkoma ruchami dłoni wygładziła szerokie spodnie w drobną, szarą kratkę. Spłoszony kos błyskawicznie poderwał się do lotu, pofrunął w stronę kościoła i rozpląnął się w słonecznym blasku. Za to chodzenie w spodniach patrzyło na nią krzywo już wiele osób. Nie wiadomo skąd, ubzdurało się i dość powszechnie przyjęło przekonanie, że moda na damskie spodnie pochodzi z Niemiec, więc przyzwoita Polka nigdy się w nich nie pokazuje. Idiotyczne przesady! Ocenianie ludzi po portkach! A najśmieszniejsze było w tym wszystkim to, że wcale nie lubiła chodzić w spodniach. Jeśli je wkładała, to tylko dlatego że nie miała wyboru. Z takimi kolanami nie mogła przecież pokazywać się ludziom na oczy. Przynajmniej nie wiosną i latem, kiedy nosiło się przezroczyste pończochy albo też nie nosiło się ich wcale, bo zdobycie pończoch ze sztucznego jedwabiu, nie wspominając o prawdziwym, graniczyło z cudem. Spódnice i sukienki zakładała więc dopiero późną jesienią, kiedy nogi mogła ukryć w zimowych, wełnianych pończochach. No ale przecież trudno wymagać, żeby się przed kimkolwiek tłumaczyła ze swoich najbardziej skrytych tajemnic! Wojna nie wojna, pewne rzeczy człowiek ma święte prawo zachować wyłącznie dla siebie.

Zarzuciła na plecy wypchany plecak i obciągnęła dokładnie żakiet, który się przy tym trochę zadarł. Zawsze dbała o ubiór, choć nie z głupiej babskiej próżności czy chęci czarowania facetów. Drwiła sobie z pindulek, które stroiły się właśnie dla nich. Z takich jak Lala Wolnicka i jej okropne kuzyneczki. Kuzyneczki laleczki. Z ich turli-turli nad falbaneczkami, koroneczkami, paseczkami. Jak myślisz, moja droga, spodobam mu się w tej nowej sukience? A może raczej w tamtej, tej czerwonej? Nie, w tamtej już mnie przecież widział. Więc może jednak w tej. Rozkoszne te kwiatki, prawda? Powiedz, że rozkoszne!

– *Entschuldigen Sie bitte, Fräulein!*¹⁵ – Obok przystanął starszy pan z rudawo-srebrną bródką, ubrany w uniform leśniczego i tyrolski kapelusik. W jednej dłoni trzymał pomietą karteczkę, w drugiej dużą walizkę.

– Ja.

– *Ich suche die Strasse, die vor dem Krieg hiess...*¹⁶ – Starszy pan przysunął karteczkę bliżej załzawionych, bladoniebieskich oczu – *...die vor dem Krieg Ka-no-ny-cka hiess.*

– *Diese Strasse links.*

– *Danke schön, Fräulein!*¹⁷

Chociaż szła w tę samą stronę, odczekała, aż starszy pan się trochę oddali; nie miała ochoty kontynuować konwersacji. Dopiero kiedy skręcił we wskazanym kierunku, podążyła jego śladem alejką ciągnącą się środkiem niedawno założonych plantów. Pod podeszwami wypastowanych półbutów skrzypiał jasny żwir. A jeszcze dwa lata temu płynął tędy malowniczy kanał. To właśnie on spinał trzy odnogi Prosny i powodował, że przejeżdżający przez miasto podróżnicy ochrzcili je Małą Wenecją. Niemcy też tak je zresztą zachwalali – *das Klein-Venedig des Warthegaus*¹⁸. A potem, ni stąd, ni zowąd, postanowili kanał zasypać. Fakt, trochę cuchnął, ale w takim razie trzeba było go oczyścić, a nie zasypywać! Największa zbrodnia polegała zaś na tym, że zawalono go nie tylko ziemią, gruzem i śmieciami, lecz także zbiorami z miejscowego muzeum oraz książkami z publicznych bibliotek. Także z tej w ratuszu, w której pracowała przed wojną. Nigdy nie zapomni tamtej chwili, bo – chyba na własne nieszczęście – widziała to na własne oczy. Omal się wtedy nie poryczała. I z trudem opanowała chęć rzucenia się z pięściami na tych bandytów! Przez wiele następnych miesięcy nie mogła tędy przechodzić. Próbowwała się zmusić, ale nie potrafiła. Wzdragała się przed tym, jak każdy normalny człowiek wzdraga się przed stąpaniem po ciałach zabitych. Aż w końcu kiedyś śpieszyła się na spotkanie z Mechanikiem i nie miała wyboru – jeżeli chciała zdążyć, musiała skrócić sobie drogę przez planty. Więc zrobiła to i jakoś ziemia się pod nią nie zapadła. Właściwie na tym polegała okupacja – na ciągłym przewyciężaniu niesmaku i przyzwyczajaniu się do sytuacji, które przed wojną były nie do wyobrażenia, na pogodzeniu się z faktem, że świat fiknął makabrycznego koziołka i oto nienormalne zmieniło się w zwyczajne, nierzeczywiste w realne, poruszające w obojętne, a wyjątkowe w codzienne. I teraz, dwa lata po zasypaniu kanału, myśl o tysiącach gnijących pod stopami stronic nie robiła już na niej większego wrażenia. Mechanizm zbawionego zobojętnienia działał bez zarzutu. Tylko, czy kiedy będzie już można go

wyłączyć, nie okaże się, że zostawił nieodwracalne ślady? Takie same, jakie odciska na ciele niezdejmowany latami pancerz?

Zbliżywszy się do ławki, na której siedziało tamtych dwoje, zerknęła na nich dyskretnie. Kobieta rzeczywiście miała piękne rysy, ale skórę bladą jak po długiej chorobie i wyraźną niedowagę. Chryste Panie, kto jej tak koszmarne przenicował płaszczyk?! Chyba musiała to zrobić samodzielnie. A te buty! Sądząc po fasonie, jeszcze sprzed wojny. Ale wypastowane; znaczy ta Julia, mimo biedy, stara się o siebie dbać. Dłonie szczupłe, czerwone od częstego prania, nerwowo zaciśnięte jedna na drugiej. Czy po to, aby ukryć to zaczerwienienie, czy z nieśmiałości? Jedno nie wyklucza drugiego. Rzeczywiście jest piękna. Trochę przypomina Madonnę ze *Zwiastowania* El Greka. Podobne zapadnięte policzki, wychudzony nos, wielkie ciemne oczy. Jak oczy Żydówek. Ale to na pewno nie jest Żydówka. Żydówki zniknęły z tego krajobrazu cztery lata temu. Za sprawą takich Romeo jak ten *Sturmhauptführer*¹⁹. Tłustawy bażant z rumianą, połyskującą od potu gębą.

– *Kleines Geschenk...* – Mężczyzna wyjął z teczki owiniętą w gazetę paczkę. – *Für die Kinder...*²⁰

Kobieta, trochę zawstydzona, wzięła pakunek i kładąc ją sobie na kolanach, szepnęła tak cicho, że jej słowa dało się odczytać właściwie jedynie z ruchu warg:

– *Danke, Karl!*²¹

A więc to tak, *da liegt der Hund begraben*²², pomyślała, nie wiadomo dlaczego rozczarowana. Więc o to chodzi! Ten wieprzek ma dostęp do pozaprzędziałowego żarcia, a pewnie i nie tylko do żarcia, i ta biedaczka sypia z nim z tego powodu. Czyli żadna tam wielka miłość. Po prostu interes. Ot, swoista wymiana usług. Właściwie rodzaj prostytutki. Żeby wyżywić siebie i dzieci. Okropne! I jeszcze z takim rumianym kłocem – brrr! Oddalając się od ławki, odczuła ulgę, jakby opuszczała obszar zaatakowany przez dżumę. Na dobrą sprawę powinna się ucieszyć z odkrycia kolejnego dowodu na to, że zło, jakie sprowadzili na pół świata Niemcy, obróciło się przeciwko nim samym, że całe to ich rzekome nadczołowieczeństwo skończyło się ohydny zezwierzęczeniem, ale jakoś nie potrafiła. Napawać się poniżeniem tej nieszczęsnej kobiety? Nie, nie... Gdyby dała się ponieść podobnemu uczuciu, brzydziłaby się sama sobą. Za to temu pucołowatemu

esamanowi, gdyby tylko mogła, chętnie obiłaby ten błyszczący pysk!

Z budynku straży pożarnej przy placu targowym wypadły dwa wozy gaśnicze i, odprowadzane ciekawskimi spojrzeniami przechodniów, popędziły w kierunku Wodnej. Skręciła w stronę Kanonickiej, teraz nazywanej Danziger Strasse. W oddali widziała plecy starszego pana w tyrolskim kapelusiku. Dziwne – Niemiec, a pytał o przedwojenną nazwę ulicy. Ciekawe dlaczego? Z tymi nazwami był zresztą niezły kłopot. W rozmowie z Polakiem, zwłaszcza znajomym, wypadało używać wyłącznie nazw przedwojennych, więc niech Bóg broni, żeby Marszałka Piłsudskiego nazwać Hindenburgstrasse albo Górnośląską Oberschlesische Strasse. W rozmowie z Niemcami na odwrót – za nazwanie Gnesener Strasse Stawiszyńską lub Strasse der SA Kolegialną potrafili dać w twarz. Potrafili i lubili. A przecież nie zawsze człowiek miał pewność, z kim akurat gada, na kopy mierzyło się miejscowych folksdojczów, którzy urodzili się w tym kraju i mówili bezbłędną polszczyzną. Niektórzy celowo podpuszczali człowieka, żeby go przyłapać i użyć sobie na nim do woli.

Czyniąc wielki rumor, minęła ją zaprzężona w dwa potężne perszerony fura z węglem. Wielkie czarne bryły połyskiwały w słońcu złotymi i niebieskimi żyłkami. Najczystszy antracyt. Samo piękno. Westchnęła na wspomnienie drobnego zapiaszczonego węgla, jaki udało się jej załatwić na nadchodzącą zimę. Potem powróciła myślami do ławki, na której siedział tatusiowaty nadczłowiek i jego ofiara. *Deutsche Madonna*²³ Anno Domini tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery. Żona – matka – kochanka – prostytutka. Ciekawe, czy Matka Boska oddałaby się w zamian za jedzenie dla małego Jezusa? Na przykład podczas ucieczki do Egiptu. Albo żeby obronić go przed śmiercią z rąk jakichś bandziorów, których na pewno nie brakowało na pustyni. Oddałaby się, czy nie? Ksiądz powiedziałby zapewne, że zadawanie podobnych pytań nie dość, że jest wielce niestosowne, to jeszcze absolutnie bezcelowe. Maria nigdy nie stanęłaby przed takim dylematem, gdyż czuwała nad nią Opatrzność i nic złego nie mogło się jej stać. Szkoda, że ta sama Opatrzność nie zechciała czuwać nad milionami matek zasypanych gruzami, spalonych żywcem, powieszonych, otrutych gazem. No, chyba że zgodziła się na ich ukatrupienie w ramach procesu boskiej pedagogiki. Czyli po to, by inni wyciągnęli z tej „lekcji” pożyteczne dla swego zbawienia wnioski. Ciekawe jakie?

Trzy dziewczyny ze wsi, wszystkie bose, odsunęły się grzecznie na krawędź chodnika, żeby ją przepuścić. Rozbawionym, choć trochę niepewnym wzrokiem spoglądały przy tym na jej spodnie. No tak, oczywiście, wzięły ją za Niemkę. Na pewno gorąco wierzą w Opatrzność. Ci z dworu w Borutkach też wierzą. Wreszcie jest w tym kraju coś, co połączyło panów i chamów. Trudno zresztą zaprzeczyć, że to właśnie ta wiara pozwala im wszystkim przetrwać. Niewzruszona, niezłomna wiara, że Pan Bozia jedynie poddaje nas próbie. Jeśli ją przejdziemy, jeśli nie przestaniemy Mu ufać, spotka nas wielka nagroda. Tylko kto ją nam wręczy? Zmierzający tu wielkimi krokami towarzyszy Stalin?

Wypełniony towarem plecak ciążył nieznośnie. Gdyby zobaczył ją teraz Gregorius, to by dopiero było! Na szczęście jej ukochany szef nie miał pojęcia o skali handlu. I bardzo dobrze. Te nasturcje na ostatnim balkonie mogliby jednak podlewać! A Herr²⁴ Gregorius niech sobie trwa w przekonaniu, że jego utalentowana pracownica w trakcie poszukiwania po podkaliskich majątkach różnych okazów antykwarycznych trafia czasami również na kawałek mięsa ze *Schwarzschlachtung*²⁵ – oczywiście, całkiem przypadkowo. Ponieważ zaś ceni i szanuje swego łaskawego chlebobawcę, odstępuje mu, hm... równo połowę zdobyczy. Phi!

Przed bramą kościoła św. Mikołaja brodaty stróż, machając miarowo miotłą wzdłuż krawężnika, zgarniał strumyczek nawianych przez wiatr zielonawożółtych liści. Zatrzymała się na chwilę, by rzucić okiem na nekrologi. W zamkniętym kościele był teraz magazyn fabryki konserw Nowackiego, ale nekrologi wieszano po staremu, na filarach bramy. *SOPHIE KOENIG, geborene Mroczek, verschied nach langer Krankheit am 4. Oktober 1944 im Alter von 64 Jahren...*²⁶ Przed wojną, zwłaszcza tam, na wsi, u stryjecznego dziadka, śmierć przyjmowano bez większych wzruszeń, niczym starego, dobrze znanego gościa. Bo niby dlaczego miano by się jej obawiać? Przychodziła zawsze w porę, grzecznie czekała u wezłowania, nie ponaglała wrzaskami: *Halt!, Raus!, Hände hoch!*²⁷ Jak przystało na dobrze wychowaną damę, wołała się lekko spóźnić niż przybyć za wcześnie. Nic dziwnego, że zdarzali się nawet i tacy, którzy nie mogli się jej doczekać. *Die Beerdigung der uns teuren Toten findet am 7. Oktober 1944 um 15 Uhr vom Trauerhause Liebigstrasse 21 auf dem evangelischen Friedhof statt...*²⁸ Tak, tak, śmierć we własnym łóżku zyskała teraz

na wartości. Jeszcze jak! Stała się wręcz przedmiotem marzeń. *WOJCIECH MATULA ist am 3. Oktober in Posen im Alter von 37 J. gestorben...*²⁹ Ludzie wytrzeszczali oczy, czytając na klepsydrze: „...po długim i szczęśliwym życiu zgasł cicho...” lub „...dożywszy w spokoju tylu a tylu lat, odeszła na zawsze...” Każdy by tak chciał – ba! *Das Begräbnis wird am 8. Oktober um 15.30 Uhr vom Trauerhause, Litzmannstädter Strasse 55, nach dem Friedhof Tynietz stattfinden...*³⁰ A ona, zamiast o tym śnić, po prostu obiecała sobie solennie, że umrze kiedyś tam, za wiele, wiele lat – umrze tak po prostu, ze starości, ze zmęczenia życiem. Za nic nie pozwoli się ukatrupić, o nie! I o dziwo – na razie wyglądało na to, że ma szansę spełnić tę absurdalną obietnicę. Przecież wystarczyło przetrwać jeszcze tylko kilka miesięcy – kilka ostatnich, marnych miesięcy. Skoro przeżyła pięć lat tej niewyobrażalnej makabry, głupio by było, gdyby się dała wysłać na tamten świat teraz, na samym końcu, za pięć – no, powiedzmy, za dziesięć – dwunasta. Prawda?

Zanim ruszyła dalej, poprawiła wpijające się w ramiona paski plecaka. Dlaczego, złościła się, dwie rzeczy najpotrzebniejsze człowiekowi do życia, czyli mięso i książki, muszą aż tyle ważyć? Niedługo od ich dźwigania garb jej wyrośnie. Na długim balkonie hotelu po drugiej stronie ulicy stało kilku oficerów Wehrmachtu z kieliszkami koniaku w dłoniach. Śmiali się, dowcipkowali; zdaje się, że mimo wczesnej godziny mieli już nieźle w czubie. Nagle z otwartych drzwi za ich plecami zachrypiała nastawiona niewprawną ręką płyta. Natychmiast podchwyciła melodię i zaczęła nucić pod nosem.

*Vor der Kaserne
Vor dem grossen Tor
Stand eine Laterne
Und steht sie noch davor.
So woll'n wir uns da wieder seh'n,
Bei der Laterne wollen wir stehen,
Wie einst, Lili Marleen,
Wie einst, Lili Marleen...*³¹

Plecak z miejsca zelżał. Gdzieś za jej plecami rozległ się gwałtowny

furkot. Odwróciła odruchowo głowę – w oknie na drugim piętrze służąca strzepywała obrus. Coś jej to przypomniało. Tak, to przecież w tym miejscu endecy rozwiesili w poprzek ulicy olbrzymi transparent: „KALISZ BEZ ŻYDÓW”. Kiedy to było? W trzydziestym ósmym? Nie, chyba w trzydziestym siódmym. Tak, w trzydziestym siódmym, wkrótce po tym, jak pałkarze podzielili plac targowy na część „chrześcijańską” oraz „żydowską”.

*Unsere beiden Schatten
Sah'n wie einer aus
Dass wir so lieb uns hatten,
Dass sah man gleich daraus.
Und alle Leute soll'n es sehen,
Wenn wir bei der Laterne steh'n,
Wie einst, Lili Marleen,
Wie einst, Lili Marleen³².*

Ale była heca, kiedy po paru dniach kilku żydowskich chłopaków zerwało w nocy transparent i gdzieś go ukryło! Szukało ich pół kaliskiej policji. Podobno jacyś sportowcy. Chciano ich oskarżyć – dobre sobie! – o kradzież. Bogu dzięki, nie dali się złapać.

*Deine Schritte kennt sie,
Deinen zieren Gang,
Alle Abend brennt sie,
Doch mich vergass sie lang.
Und sollte mir ein Leids gescheh'n,
Wer wird bei der Laterne stehen
Mit dir, Lili Marleen,
Mit dir, Lili Marleen...³³*

Minęła skład wyrobów żelaznych Grossmanna i sklepik z farbami Nomburga. W jej pamięci wciąż łopotał transparent z napisem: „KALISZ BEZ ŻYDÓW”. Endecy nie wywiesili go wtedy ponownie w obawie, że znowu ktoś go zerwie. Zrobili to dopiero dwa lata później, we wrześniu,

zaraz po wkroczeniu Niemców. Tym razem nikt nie odważył się go ściągnąć.

*Aus dem stillen Raume,
Aus der Erde Grund
Hebt mich wie im Traume
Dein verliebter Mund.
Wenn sich die späten Nebel drehn,
Werd' ich bei der Laterne steh'n
Wie einst, Lili Marleeen,
Wie einst, Lili Marleen...*³⁴

Przed sklepem z uniformami stał jego właściciel, Franz Xavier Loebel, i przyglądał się bez najmniejszego skrępowania przechodzącym ulicą kobietom. Kurdupel z wąsikiem fryzjerczyka słynął ze złośliwości, ciągłego czupurzenia się i wyklócania ze wszystkimi i o wszystko. Zlustrował ją od stóp do głów lepkiem spojrzeniem i uśmiechnął się lubieżnie. Oczywiście, potraktowała go jak powietrze.

Nagle między nią a idącym dwa kroki z przodu tęgim szczeniakiem w mundurze Hitlerjugend³⁵ zatrzymało się z piskiem opon czarne bmw. Spłoszony tłścioch wydarł się wniebogłosy i uskoczył z trudem w bok. Szczęknęła wypolerowana klamka.

Śpiew zamarł jej na ustach. Pod wpływem gwałtownego hamowania stercząca po prawej stronie maski sztywna trójkątna chorągiewka ze swastyką aż się okręciła wokół własnej osi i zamarła, celując ostrym czarno-biało-czerwonym końcem prosto w nią, zupełnie jakby chciała wskazać pasażerom auta, kim powinni się zainteresować. Stała jak wryta. Z beemki, zagradzając jej drogę otwartymi drzwiczkami, wyskoczył gestapowiec w zielonoszarym mundurze i wbił w nią zimne gadzie spojrzenie. Serce podeszło jej do gardła. Poczwała się jak królik, na którym spoczął hipnotyczny wzrok szykującego się do ataku węża. Czy oprócz słoniny i mięsa w plecaku ma przy sobie coś, czego nie powinni znaleźć Niemcy? Omal nie poszła jej z głowy para od gorączkowego przeszukiwania pamięci. Nie, nie ma, na pewno nie ma... Tylko że to może być bez znaczenia. Mogą wiedzieć o niej tyle, że nie muszą złapać jej za rękę. Mogą? Na pewno wiedzą! Obraz wyzłoconej przez słońce ulicy rozbryztał się

na czerwone strzępy, odsłaniając pogrążoną w półmroku ciasną piwnicę o gołych ścianach. Na blacie małego biurka szerniały plamy krwi, długa gumowa pałka, szklanka z niedopitą herbatą. Pstryk! – białe światło tysiactwatowej żarówki wali na odlew w twarz. Nie zamykaj oczu, szmato! Słyszysz?! Nie zamykaj, bo ci wsadzę tę pałę wiesz gdzie! Powieki z trudem wędrują w górę. Światło przepala mózg. Przecież nie wytrzyma tego, Boże, nie wytrzyma! Nie ma się co łudzić! Wystarczy, że wyrwą jej parę paznokci i powie wszystko. A cyjanku, idiotka, nie ma. Kiedy Mechanik pytał, czy chciałaby dostać cyjanek, odpowiedziała bez wahania, że nie. Niby po co? Na wypadek wpadki? Ona miałaby wpaść? Gadanie! No to teraz będzie z bólu skakać aż pod sufit.

Zadrzała, kiedy trzasnęły głośno drzwi do cukierni i na chodniku został tylko zarumieniony chłopaczek z Hitlerjugend. Jak to? Co jest? O co chodzi? Ckłopak odwrócił się i pomrukując coś do siebie odszedł.

Wciąż stała jak przyśrubowana do chodnika i z ogłupiałą miną obserwowała puste miejsce, z którego wyparował gestapowiec. Czy to możliwe, że zanim zniknął w sklepiku, uśmiechnął się do niej i bąknął pod nosem: *Entschuldigung*³⁶?

Wszystko trwało mgnienie oka – tyle, co pół zwrotki *Lili Marleen*. Co się dzieje, skąd te nerwy, zastanawiała się, szybko odchodząc stamtąd i wciąż nie mogąc uwierzyć, że to jednak nie po nią, że jeszcze nie teraz, że znowu się udało. Przecież zawsze potrafiła zachować spokój. Falsz-dojcz-ka, falsz-dojcz-ka, falsz-dojcz-ka!, zastępowały w odpowiedzi bućki z klamerkami. Udała, że nie słyszy. Dla dodania sobie animuszu, spróbowała zagwizdać na nutę przerwanej piosenki, ale wyszło tak fałszywie, że po paru taktach zrezygnowała.

*Totaler Sieg oder totale Vernichtung!*³⁷ Ze słupa ogłoszeniowego na rogu Kanonickiej i Rathausplatz już z daleka biły w oczy wielkie litery nowego propagandowego plakatu. Jeszcze nie całkiem opanowana, zmusiła się, żeby przystanąć. Przerazało ją i zarazem fascynowało świadome wyrzekanie się przez Niemców resztek racjonalizmu, systematyczne i konsekwentne pogrążanie się w obłędzie. Ale nie miała ani czasu, ani nastroju – a w każdym razie nie w tej chwili – na medytowanie nad zawłościami germańskiej duszy. Jej wzrok osunął się w dół, gdzie różowiło się obwieszczenie przepołowione na dwie części. Jedna zawierała tekst niemiecki, druga – jego tłumaczenie

na polski. Od jesieni trzydziestego dziewiątego, czyli od chwili, gdy podobne *Bekanntmachung*³⁸ musiała czytać z obowiązku, widywała ich setki. „Skazany w dniu 21 sierpnia 1944 r., prawomocnym wyrokiem Sądu do spraw nadzwyczajnych w Kalischu, za nieuprawnione posiadanie broni palnej na karę śmierci i pozbawienie praw obywatelskich przez całe życie, urodzony 27 lipca 1916 r. Adam Szymaniak z Pośrednika, gm. Feldenrode (Iwanowice), pow. kaliskiego, został dziś rano stracony. Kalisch, dnia 5 października 1944. *Der Oberstaatsanwalt als Leiter der Anklagebehörde bei dem Sondergericht*³⁹”. Treść obwieszczenia nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Po tylu latach życia przez płot ze śmiercią, po lekturze tylu podobnych obwieszczeń jeden trup więcej nie miał znaczenia. Był tylko nazwiskiem na papierze. Gdyby się rozczuła nad każdym Adamem Szymaniakiem, dawno musiałaby się powiesić.

Chociaż za kilka godzin miała otrzymać z drukarni egzemplarz tego samego *Bekanntmachung*, jeszcze raz przebiegła je oczyma, żeby zapamiętać dane rozstrzelanego mężczyzny potrzebne do tygodniowego raportu. Lubiała polegać na swojej wyjątkowej pamięci, z której słynęła już jako smarkula. W wieku trzynastu lat potrafiła wyrecytować z głowy całe passusy *Pana Tadeusza*. W gimnazjum im. Anny Jagiellonki ciągle zmuszano ją do deklamowania na szkolnych akademiach. „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie! Ile cię trzeba cenić...”. O jezu, jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie robiło się jej niedobrze! W porównaniu z Baudelaire’em, na którego punkcie miała wtedy zupełnego fioła, te wszystkie opisy uczt, polowań i czubienia się o miedzę przyprawiały ją o szyderczy śmiech. Wydawały się tak sztuczne, przesłodzone, tak dalekie od realnego życia! Na kilometr pachniały nobliwą ramotą. Co innego Baudelaire. O tak, jego mogłaby recytować i recytować.

*Il me semble, bercé par ce choc monotone,
Qu'on cloue en grande hâte un cercueil quelque part.
Pour qui? – C'était hier l'été; voici l'automne!
Ce bruit mystérieux sonne comme un départ.*⁴⁰

A tu, proszę: „Natenczas Wojski chwycił...”. Ech, szkoda gadać! Tak czy owak, to właśnie z powodu tych nadzwyczajnych umiejętności Mechanik

właśnie ją wybrał do tej roboty. Gdyby archiwum wpadło, treść wielu dokumentów potrafiłaby odtworzyć z pamięci. Pamiętała choćby nazwiska z pierwszej pięćdziesiątki obwieszczeń o wyrokach śmierci. Józef Szubert i Czesław Ryszkowski z Eichhagen (Dębnicy), Władysław Jankowiak z Rankendorf (Pieńczykowa), Antoni Kuźniczek z Lupine (Lubnic), Józef Wojtaszek z Wettin (Wieczyny), Józef Weszczak (bez stałego miejsca zamieszkania), Waclaw Jaworski z Guldendorf (Złotej), Antoni Perdek z Pechweiler (Pichlic), Wincenty Śmiłowski z Petershagen (Chocza), Kazimierz Zaleski z Schieratz (Sieradza)... *Und so weiter, und so weiter, und so weiter*⁴¹. Poezja epoki wojny totalnej. Jednak z czasem nazwisk przybywało tak szybko, że uczenie się ich na pamięć straciło sens. Za to uzasadnienia wyroków wciąż się powtarzały: „za ciężkie z bronią dokonane pogwałcenie pokoju”, „za ciągłe ciężkie rabunki, jako niebezpieczny szkodnik narodowy”, „za nieprawne posiadanie amunicji”, „za morderstwo”, „jako rozbójnik”, „za ciężkie naruszenie pokoju”, „za użycie przemocy wobec urzędników niemieckich”, „za niedozwolone posiadanie broni palnej”, „za ciężką kradzież w trzech wypadkach jako niebezpieczny recydywista”, „za morderstwo i usiłowanie morderstwa”, „za umyślne podpalenie”, „za niedoniesienie o posiadaniu broni przez osobę trzecią”, „za dokonany akt gwałtu na członku policji niemieckiej”... I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Wielkoniemiecka poezja słowa wcielonego w czyn. O niej nie mogła już powiedzieć, że jest wydumana i odległa od prawdziwego życia.

Okrążyła słup, by przestudiować ogłoszenie o terminach wydawania kartek na mydło. „*Am Montag, 9.X.44 an Reichsdeutsche mit den Anfangsbuchst. A – K...*”⁴². Nie, to nie to. Prześliznęła się wzrokiem w dół. „*Am Mittwoch 11.X.44 an Balten- und Volksdeutsche mit den Anfangsbuchst. A – D...*”⁴³. Znowu opuściła spojrzenie. Jest! „*P – S. Montag 16.X.44*”⁴⁴. Przydziały mydła się nie zmieniły, ale pasty do zębów mieli dawać mniej. Rodzinie liczącej do trzech osób zaledwie jedną tubkę na miesiąc. Jedną tubkę, dobre sobie! A dla tubylców w ogóle koniec z pastą, jedynie proszek. Łatwo się potem wymądrzać, że Polacy cuchną! Na szczęście jej to nie groziło. Miała w domu zapas – i to porządnej, francuskiej pasty, a nie świństwa, które nie tylko się nie pienilo, ale na dodatek smakowało jak środek do dezynfekcji toalet. Diabli wiedzą z czego toto robili. Ale,

oczywiście, postanowiła, że pójdzie i po tę kartkę. W końcu tubka pasty piechotą nie chodzi. Znajdą się tacy, którzy słono za nią zapłacą i jeszcze pocałują w rączkę!

Odwróciła się od słupa i zastanawiała dokąd teraz. Do mecenasa Smuglewicza czy do pani Atamanowicz? Przed nią rozpościerał się centralny plac miasta, pośrodku którego wznosiła się kremowa bryła ratusza z wymierzoną w niebo, równo ciosaną wieżą. Wolałaby najpierw do Smuglewicza, żeby pozbyć się zajmujących większość plecaka żeberek. Ale pod wpływem impulsu zdecydowała się na panią Atamanowicz. Wśród niezliczonych plotek, powtarzanych przez tę starą gadułę, niekiedy trafiało się coś godnego uwagi, co mogło się kiedyś przydać. A poza tym, co tu ukrywać, od czasu do czasu fajnie tak sobie pobajdurzyć przy herbacie.

[1](#) (niem.) Wynocha, precz. (Wszystkie odnośniki w tekście pochodzą od autora.)

[2](#) (niem.) Karl, wiedziałeś przecież, że jestem mężatką. – Aha, teraz rozumiem.

[3](#) (niem.) Co rozumiesz? – Wciąż kochasz swojego męża! – Nie, Kocham ciebie, Karl. Tylko ciebie. Ponad wszystko...

[4](#) (niem.) To kiedy o wszystkim mu napiszesz? – Teraz? Kiedy jest na froncie?

[5](#) (niem.) Więc kiedy? – Daj mi spokój! Nie mam pojęcia...

[6](#) (niem.) Wielkoniemiecka Rzesza.

[7](#) (niem.) Kocham Cię, Karl. Tylko ty. Ponad wszystko...

[8](#) (niem.) Heil Hitler, panie drużynowy! Heil Hitler, panie sierżancie. Co nowego? Rzeczywiście? Dziękuję! Do widzenia!

[9](#) (fr.) „Z energią i wdziękiem, jakie ją cechowały, kiedy nie czuła na sobie spojrzeń mężczyzn, pani de Renal wyszła z salonu do ogrodu. Wtedy zauważyła obok bramy młodego wieśniaka, prawie jeszcze dziecko, bardzo bladego i chyba niedawno płaczącego. Ubrany był w czystą białą koszulę, a pod pachą trzymał fioletowy surdut”. Fragment *Czerwonego i czarnego* Stendhala w tłumaczeniu autora.

[10](#) (niem.) Jest.

[11](#) (niem.) Nic.

[12](#) (niem.) Dwa.

[13](#) (niem.) Drugi.

[14](#) (niem.) Pięćdziesiąt.

[15](#) (niem.) Przepraszam bardzo, panienko.

[16](#) (niem.) Tak. – Szukam ulicy, która przed wojną nazywała się...

[17](#) (niem.) To ta na lewo. – Dziękuję, panienko.

[18](#) (niem.) Mała Wenecja Okręgu Warty.

[19](#) W SA odpowiednik podporucznika.

[20](#) (niem.) Mały prezent... Dla dzieci...

[21](#) (niem.) Dziękuję, Karl.

[22](#) (niem.) Tu jest pies pogrzebany.

[23](#) (niem.) Niemiecka Madonna.

[24](#) (niem.) Pan.

[25](#) (niem.) Nielegalny ubój.

[26](#) (niem.) Sophie Koenig, z domu Mroczek, odeszła po długiej chorobie 4 października 1944 w wieku 64 lat.

[27](#) (niem.) Stój! Idź! Ręce do góry!

[28](#) (niem.) Wyprowadzenie drogich nam zwłok na cmentarz ewangelicki odbędzie się 7 października 1944 r. o godz. 15 z domu żałoby na ulicy Liebigstrasse 21.

[29](#) (niem.) Wojciech Matula zmarł w Poznaniu 3 października w wieku 37 lat.

[30](#) (niem.) Pochówek odbędzie się 8 października na cmentarzu tynieckim. Wyprowadzenie zwłok z domu żałoby na ulicy Łódzkiej 55 nastąpi o godz. 15.30.

[31](#) „Światło mrok rozgarnia, bo u koszar bram pali się latarnia, którą dobrze znam. Zobaczyć ciebie w wieczór ten, w jej blasku chcę, Lili Marleen, tak chcę, Lili Marleen...”. (Przekład z niem. Wojciech Młynarski).

[32](#) „Zbliżasz się i oto wśród latarni lśnienie cienie dwa się splecą w jeden wspólny cień. Niech wszyscy ujrzą obraz ten, mój cień i twój, Lili Marleen. I twój, Lili Marleen”.

[33](#) „Słyszę twoje kroki, a złociste skry twarz twą rzeźbią w mroku, ból sprawiają mi. Kto będzie z Tobą w wieczór ten i w noc po świt, Lili Marleen? I w noc, Lili Marleen...”.

[34](#) „Lecz gdy w otchłań runę, mocno wierzę, że jeden pocałunek twój ocali mnie. Znów będziesz ze mną w wieczór ten i w noc po świt, Lili Marleen. I w noc, Lili Marleen...”.

[35](#) (niem.) Młodzież Hitlera (hitlerowska organizacja młodzieżowa).

[36](#) (niem.) Przepraszam.

[37](#) (niem.) Totalne zwycięstwo lub totalna zagłada.

[38](#) (niem.) Obwieszczenie.

[39](#) (niem.) Naczelnny Prokurator jako Oskarżyciel Publiczny przy Sądzie Specjalnym.

[40](#) „Ten monotony łoskot coś mi przypomina.../ Tak – to jest gwoździ w trumnę pośpieszne wbijanie./ Dla kogo? Wczoraj – lato, lecz niedługo – zima.../ Ten tajemniczy hałas dźwięczy jak rozstanie”. (Przekład z fr. Maria Leśniewska).

[41](#) (niem.) I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

[42](#) (niem.) W poniedziałek 9.X.44 obywatele Rzeszy o nazwiskach rozpoczynających się na litery od A do K.

[43](#) (niem.) W środę 11.X.44 baltendojcze i folksdojcze o nazwiskach rozpoczynających się na litery od A do D.

[44](#) (niem.) P – S, poniedziałek 16.X.44.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niedziela, ósmego października

- *Dominus vobiscum.*
- *Et cum spiritu tuo.*
- *Sequentia sancti Evangelii secundum Matthaem.*
- *Gloria tibi, Domine*⁴⁵.

W kościele panował niemilośierny ścisk. Chyba nawet w puszcze sardynek, ironizował w myśli, byłoby luźniej. Ale co się dziwić? Z sześciu katolickich kościołów Niemcy cztery zamknęli, jeden – św. Józefa – zabrali dla siebie, a Polakom zostawili tylko ten. Najprawdopodobniej dlatego, że stał w połowie Częstochowskiej, mocno na uboczu. Dranie, nie mieli ochoty, żeby im tłumy tubylców co niedziela tratowały centrum miasta i swoją niemłą obecnością przypominały, do kogo naprawdę ono należy! Tutaj nie kłuło to w oczy tak bardzo. Tylko jakże mógł niewielki św. Gotard pomieścić wszystkich polskich katolików? Doprawdy, nie wiadomo jakim cudem aż tylu ich wpychało się każdej niedzieli do jego wnętrza! I trudno żeby obeszło się bez ścisku, deptania sobie po butach, poszturchiwania. Bez witraży zaparowanych od ciepła kilku tysięcy oddechów. No i nieznośnego smrodku.

Najbardziej dokuczał mu właśnie ten smrodek. Zwłaszcza zimą, kiedy mróz nie pozwalał, tak jak teraz, na otwarcie okien i drzwi i wpuszczenie do wnętrza orzeźwiającego podmuchu. Nie pomagała wtedy nawet skropiona perfumami chusteczka, którą raz po raz unosił do nosa i dyskretnie wachał.

– A gdy wyszedł Jezus ze świątyni, przystąpili doń uczniowie. I ukazali mu budynki świątyni, On zaś rzekł im: Widzicie to wszystko? Zaprawdę, powiadam wam, nie zostanie tu kamień na kamieniu, który by nie był zwalony. A gdy on siedział na górze Oliwnej, przystąpili do niego osobno uczniowie, mówiąc: Powiedz nam, kiedy to będzie, i co za znak twojego

przyjścia i końca świata? A odpowiadając, Jezus rzekł im...

Głos czytającego ewangelię księdza był suchy, wysoki; brzmiał nieprzyjemnie beznamiętnie. Skąd u tych klechów, zastanawiał się, nieznośna maniera nieustannego przeciągania niektórych słów? Czyżby uważali, że przydaje ona czegoś czytanyemu Pismu? Niby czego? Dostojeństwa? Wyjątkowości? Jeśli tak sądzili, mylili się solennie. Trącający fałszem zaśpiew, zamiast czynić tekst ciekawszym i pociągającym, zamieniał go w ciągnące się jak flaki z olejem nudziarstwo. Czy oni naprawdę tego nie słyszeli? Nie wiedzieli, że przy takim sposobie wysławiania się z ich ust wydobywa się słodkawe pustostowie? A może... Może właśnie wiedzieli? Może doskonale zdawali sobie z tego sprawę? I robili tak celowo? Może wcale nie chcieli, by w duszach wiernych pozakwitały znieczeka róża jerychońskie? Ostatecznie nikt nie potrafił przewidzieć, co by się stało, gdyby we łbach tych wszystkich ludzi słowa Objawienia zaczęły wybuchać niczym lotnicze bomby. Jak by się wtedy zachowali? Na jakie pomysły by wpadli? A nuż, rozpaleni wewnętrznym ogniem, zaczęliby działać jak nawiedzeni? Trudno byłoby ich okiełznać. Mogliby w ogóle zerwać się z łańcucha. I co wówczas? Więc kto wie, czy nie lepiej okadać ich umysły łagodną melodią usypiającej recytacji. Najważniejsze, że tu przyszli, wytrwale stoją, żegnają się, dukają niezrozumiałe łacińskie formuły kiedy trzeba, przyklękają kiedy trzeba, powstają z kolan... Cierpliwi, pokorni, zdyscyplinowani, posłuszni. Właśnie takich wiernych potrzebuje Kościół. Takim, przede wszystkim, zawdzięcza tysiąc dziewięćset lat niewzruszonego trwania. I na takich też członkach zależy jego organizacji. Na ludziach bez szemrania wykonujących rozkazy, a nie medytujących nad ich zasadnością i moralnym sensem.

– ...i będą mory, i głody, i trzęsienia ziemi po miejscach. Ale to wszystko są początki boleści. Wtedy podadzą was w udręczenie i będą was zabijać, i będziecie nienawidzeni przez wszystkie narody dla imienia mego. A wtedy wielu się zgorszy i będą się wzajemnie wydawać, i jedni drugich nienawidzić. I powstanie wielu fałszywych proroków, i zwiódą wielu. A iż się rozmnoży nieprawość, oziębnie miłość wielu. Kto zaś wytrwa aż...

Duchota coraz bardziej dawała mu się we znaki. Pod pachami i na plecach czuł wilgoć. Ilekroć spocił się w towarzystwie, nie mógł się oprzeć nieznośnemu wrażeniu, że wszyscy wokół czują jego pot i szepcą o tym. Teraz też torturowało go takie podejrzenie – podejrzenie absurdalne, bo przecież dopiero co się umył i wyperfumował.

– ...brzydotę spustoszenia, która jest opowiedziana przez Daniela proroka, zalegającą miejsce święte, kto czyta, niech rozumie. Wtedy ci, którzy są w Judei, niech uciekają na góry; a kto na dachu...

Monotonny głos księdza spowodował, że powrócił do swoich rozmyślań. Tak, tak, posłuszeństwo, przede wszystkim posłuszeństwo. Sam, na własnym przykładzie, mógł się niegdyś przekonać, do czego potrafi doprowadzić niekontrolowana eksplozja religijnego żaru. Jako piętnastolatek przeżył coś takiego po lekturze *Wyznań św. Augustyna*. Pod wpływem dewocyjnej egzaltacji, jaka go wówczas naszała, postanowił przeczytać od deski do deski całe Pismo Święte. Zabierając się do jego lektury, cieszył się jak dziecko otwierające zbiór tajemniczych baśni. Liczył na to, że nauczą go spoglądania z góry na doczesność, przeniosą w świat wyższy, gdzie króluje duchowa harmonia, boskie piękno i wieczysty ład. A tymczasem co znalazł? Cha, cha, cha! Mściwego kobolda, złańcionego krwi, mordującego ludzi i przeklinającego ich do czterdziestego pokolenia. Ojca, który bez szemrania godzi się własnymi rękoma zarznąć w ofierze ukochanego syna. Bezwzględny wodza, systematycznie wybijającego do nogi mieszkańców zdobywanej krainy. Demiurga pozwalającego z powodu zakładu pogiębić poczciwego człowieka. Czytał to wszystko z włosiem zjeżonym na głowie. I w efekcie popadł w niebezpieczny stan długotrwałej umysłowej gorączki.

– ...wasza nie była w zimie, albo w szabat. Albowiem naonczas będzie wielki ucisk, jakiego nie było od początku świata aż dotąd, ani nie będzie. I gdyby owe dni nie były skrócone, nie byłoby zachowane żadne ciało; ale dla wybranych będą skrócone dni owe. Wtedy jeśli by wam kto...

Chociaż księżulo, któremu zwierzył się na spowiedzi z niefortunnej próby poznania świętych tekstów, uchodził za niegroźnego poczciwca i sływał z wyznaczania niewielkich pokut nawet za tak poważne grzechy, jak palenie papierosów, wulgarne słowa, a nawet onanizm, tym razem wprost się wściekł i nakrzyczał na niego na cały kościół. Nie dość, że wlepił mu chyba z pięćdziesiąt *Ojcze nasz* i tyleż samo *Zdrowasiek*, to na dodatek stanowczo zabronił czytania Pisma. Dopiero po dłuższym namyśle, widząc jego rozpacz, zezwolił łaskawie na lekturę Nowego Testamentu, ale tylko i wyłącznie pod nadzorem szkolnego katechety. A o Starym Testamencie kazał stanowczo zapomnieć.

Szczęśliwy, że udało mu się wywalczyć choć tyle, bez szemrania podporządkował się zaleceniu. Raz na tydzień odwiedzał po lekcjach księdza

katechetę, który odpytywał go z zadanego fragmentu ewangelii i objaśniał, jak należy go rozumieć. Ale taka procedura zagłębiania się w Słowo Boże nie miała już posmaku odważnej przygody, samotnej wyprawy na nieznany ląd, poszukiwania ukrytego skarbu. W końcu tak go znudziła, że po niecałym roku dał sobie spokój.

– ...wewnątrz gmachu, nie wierzcie. Albowiem jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i ukazuje się aż na zachodzie, tak będzie i przyjście Syna Człowieczego. Gdziekolwiek by było ciało, tam się zgromadzą i orły. A natychmiast po utraeniu owych dni słońce się zaćmi i księżyc nie da światłości swojej, a gwiazdy będą spadać z nieba i moce niebieskie poruszone będą. A naonczas...

Historia z Biblią nie była jedyną tego typu przygodą w jego życiu. Podobnego bolesnego zawodu doznał ponownie kilka lat później, tym razem za sprawą starożytnych greckich mitów. Było to wkrótce po klęsce wrześniowej, po gwałtownym i bolesnym zawaleniu się dotychczasowego świata. Przygnębiony dziejącymi się wokół okropnościami – wysiedleniami, rozstrzeliwaniami, upokarzającymi zarządzeniami – zapragnął zanurzyć się w przejrzystym morzu ponadczasowych prawd i pooddychać szlachetnymi alegoriami, oczyszczającymi umysł z trucizn wydzielanych przez rzeczywistość. Zachwyty, z jakim całe rzesze artystów od stuleci czerpały z tych pradawnych opowieści, gwarantował, że podobna terapia zrobi mu dobrze. I co? Skutek był taki, jakby cierpiącego na ból głowy rąbnąć w nią z całych sił kowalskim młotem. Ojcobójstwo i matkobójstwo, bratobójstwo i dzieciobójstwo, wiarołomstwo i zdrada, zemsta i okrucieństwo – oto co znalazł w legendach o bogach i herosach. Cały czas, kiedy o nich czytał, nie opuszczało go wrażenie, że trzyma w dłoni nie książkę, ale nasączoną krwią gąbkę. W efekcie znowu przez kilka miesięcy chodził jak w malignie.

– ...z trąbą i głosem wielkim, i zgromadzą wybranych jego ze czterech wiatrów, od szczytów niebios aż do krańców ich. A od figowego drzewa uczcie się podobieństwa. Gdy już gałąź jego staje się miękką i liście...

Jego spojrzenie prześliznęło się po zawieszonych na ścianie gipsowych stacjach Męki Pańskiej i zatrzymało się na pierwszej z nich: „Jezus na śmierć osądzony”. Zapatrzył się w Piłata, siedzącego na wysokim tronie i zanurzającego ręce w złotym naczyniu. Powłóczytą białą togą, twarzą o jasnej karnacji Aryjczyka oraz krótkimi włosami różnił się wyraźnie od żółtoskórego, pstrokato wystrojonego Jezusa. Pod powlekającą oblicze

namiestnika obojętnością kryła się pogarda dla całej tej żydowskiej hołoty i jej wewnętrznych swarów. Doskonale rozumiał zde gustowanego Rzymianina. Oto człowiek, myślał o Piłacie, który dogłębnie pojął rządzące światem ponure zasady. Może i żał mu wędrownego nauczyciela z Galilei, ale z pewnością nie będzie z jego powodu kopać się z koniem. Logika rzeczywistości uczy, że kto tego próbuje, źle kończy. Na szczęście on także już ją zrozumiał. Choć dopiero jako dwudziestojednolatek, latem czterdziestego, tuż po pogromie Francji. Trochę późno, ale jednak. Właśnie wtedy dotarło wreszcie do niego, dlaczego świat biblijnych i mitologicznych archetypów jest światem zbrodni. Bo to właśnie zbrodnia spaja świat bogów ze światem ludzi. Bo to zbrodnia jest kamieniem węgielnym cywilizacji i kultury. Nie przypadkiem w pradawnych czasach na progu wznoszonej świątyni zakopywano ciało zabitego w ofierze człowieka. Nie glina, nie wapno, nie beton, ale krew jest lepiszczem scalającym pojedynczych ludzi w zdolną do przetrwania społeczność. Dopiero dzięki niej stają się oni prawdziwą wspólnotą. A to oznacza, że te trupy za oknem są czymś naturalnym, czymś, czego nie można uniknąć. Czymś po prostu koniecznym. Zostały na całą wieczność wpisane w logikę ziemskiego porządku i choćby nie wiadomo jak bardzo starał się człowiek, nie zdoła tej logiki zmienić. *Harmonia mundi*⁴⁶ nie rozbrzmiewa słodkim trelem ptaszków na wiecznie zielonej łące, ale zgrzyta krzykiem mordowanych. Gra zaś toczy się o to, by nie stać przed Piłatem w charakterze podsądnego, lecz siedzieć na tronie prokuratora i samemu sądzić. Okrutne? Straszne? Cyniczne? Pewnie! Ale tak jest i nic się na to nie poradzi. Kiedy tylko człowiek pogodzi się z tym przedwiecznym prawem, od razu odzyskuje psychiczną równowagę i wyzwalający duchowy spokój. Jak ten Piłat, ze stoicką miną obmywający dłonie.

– ...moje nie przeminą. Lecz o owym dniu i godzinie nikt nie wie, ani aniołowie niebiescy, tylko sam Ojciec. *Per evangelica dicta delectur nostra delicta.*

– *Laus tibi, Christe.*⁴⁷

Ksiądz podniósł do ust ewangeliarz, przymknąwszy powieki, ucałował go, po czym zamknął i odłożył z szacunkiem. Cała świątynia czekała w napięciu na kazanie – od przeszło pięciu lat jedyną okazję do usłyszenia publicznie polskiego słowa. Na chwilę przycichło chrząkanie, pokastywanie

i skrzywienie ławek.

– Drodzy wierni! Rozważmy w naszych sercach i umysłach fragment Pisma, którego właśnie wysłuchaliśmy. Cóż może...

No tak, znowu ten okropny zaśpiew! Jak można kastrować tak żywe słowo z całej jego wewnętrznej mocy? Gdyby na szkoleniach ideologicznych przemawiał w podobny sposób do swoich chłopaków, po paru tygodniach poszukaliby sobie innej organizacji. Tak, pod tym względem Kościół katolicki nie dostarcza dobrego wzorca. Ale poza tym – *chapeaux bas*⁴⁸, panowie, *chapeaux bas*! Ta wspaniała, feudalna struktura, twarda jak najtwardszy granit, ta niezmiennosc wyznawanej doktryny, to niewzruszone przekonanie o słuszności i wyjątkowości własnej misji! Oto niedościgły wzór dla przyszłego zakonu polskich faszystów. I nie ma się co łudzić – bez współpracy z Kościołem nie da się w Polsce nic zrobić. Na szczęście i tam są mądry ludzie. Z nimi zawrze się sojusz. Oczywiście, na pewnych warunkach. W końcu to Kościół ma służyć ich sprawie, a nie odwrotnie. Zatem pewne rzeczy są nie do przyjęcia. Przede wszystkim – branie serio tego całego bredzenia o miłosierdziu i nadstawianiu drugiego policzka. Nie ma mowy, by coś takiego zaakceptować. Sojusz ten musi być oparty na twardo egzekwowanej zasadzie: katolicyzm – tak, chrześcijaństwo – nie. Chociaż klechom, rzecz jasna, nie należy tego mówić. No i nie będzie można, niestety, używać dłużej ani słowa „fasyzm”, ani nawet „totalizm”. Z powodów taktycznych należy raz na zawsze wymazać je ze słownika i zastąpić innymi. Ale kapelan bratniej, dużo większej organizacji z Warszawy już wymyślił odpowiednie słowo – „uniwersalizm”. Uniwersalizm, czyli coś powszechnego. Właściwie synonim katolickości. Doskonały haczyk na owieczki i ich poczciwych pasterzy.

– Jak zatem rozumieć te słowa? Czy jako zapowiedź...

W środkowej nawie, oddzielonej od niego rzędem szerokich ław, doszło do jakiegoś zamieszania. Odwrócił głowę. Z gestów miotających się w niewielkim kłębowisku osób oraz z rzucanych półgłosem komentarzy, które niczym kręgi na wodzie szybko przepłynęły przez świątynię, domyślił się, że zemdląla jakaś kobieta. Kilku mężczyzn chwyciło ją za ręce i nogi, po czym, rozpychając tłum, zaczęło się z trudem przepychać w kierunku wyjścia.

Obliczywszy wzrokiem trasę, którą muszą przejść, skrzywił się

z politowaniem. Tresowane pieski! Gdyby, zamiast się cofać do kruchty, postanowili wyjść przez zakrystię, mieliby znacznie krótszą drogę. Tylko że wtedy musieliby przedefilować przed amboną, pod samym nosem wygłaszającego kazanie księdza, i przejść przez prezbiterium. Czyli wkroczyć na terytorium zarezerwowane dla kasty kapłańskiej. Nawet w takiej sytuacji nie śmia tego zrobić. Znają dobrze swoje miejsce w szeregu. Cóż, jeszcze jeden wielki plus dla Kościoła. Jeszcze jeden...

Już miał odwrócić głowę, kiedy zauważył, że w miejsce, gdzie dotąd stała wyniesiona kobieta, wcisnęła się młoda i ładna dziewczyna. Natychmiast otaksował ją wzrokiem znawcy. Nieduża, szczupła twarz z dość ostro ściętą brodą, usta małe, ale pełne i zgrabnie wykrojone, ciut za długi, choć harmonizujący z resztą nos. No i te cudownie wielkie oczy! Ejże, panowie, ileż to kociątko może mieć lat? Nie więcej niż osiemnaście. A jak uroczo rozchyła wargi – ajajaj!

– ...bo nadzieja, jeśli ma swe źródło w Bogu, nigdy nie może zaniknąć. Bez tej nadziei...

Monotonia kazania wciąż skutecznie rozbrajała jego treść – ostrożnie snute paralele między sytuacją opisaną w odczytanym ustępie a terażniejszością. O tę ostrożność trudno było zresztą mieć do księdza pretensje. Przecież gdyby wyrwało mu się coś nieprzemysłanego, obecny w tłumie agent Gestapo natychmiast doniósłby o tym swoim szefom. Czort wie, jakie wyciągnęliby konsekwencje. A i przełożeni księdza nie byłiby zadowoleni, że naraził na represje nie tylko siebie, ale i innych księży z parafii. Nic więc dziwnego, że z ambony lała się ciurkiem letnia woda.

Znudzony, ponownie zwrócił twarz w kierunku dziewczyny. Ją też chyba nudziło kazanie, bo coraz częściej rozglądała się dokoła. Nagle ich spojrzenia się skrzyżowały. Uśmiechnął się – uwodzicielsko, poufale – jakby byli dobrymi znajomymi. Dziewczyna zmieszała się i natychmiast wbiła wzrok w podłogę, a na jej policzkach pojawił się rumieniec. Nie minęło jednak pięć sekund, jak nie wytrzymała i uniosła zakończone długimi rzęsami powieki. Upewniwszy się, że wciąż znajduje się pod obstrzałem jego zuchwałego spojrzenia, zacisnęła gniewnie usta, po czym skierowała wzrok w stronę ambony i zaczęła udawać, że z całą uwagą wsłuchuje się w słowa księdza.

– ...ufajmy zatem, ufajmy bezgranicznie!

Kazanie dobiegło końca. Z rumorem, jaki towarzyszy stąpieniu po drewnianych schodach, kapłan zszedł z ambony i wrócił przed ołtarz.

Odłożywszy na nim ewangeliarz, zaintonował Wyznanie wiary:

– *Credo in unum Deum...*

Tłum podchwycił natychmiast.

– *...Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae, visibilium omnium et invisibilium. Et in unum Dominum, Jesum Christum, Filium Dei unigenitum. Et ex Patre natum ante omnia saecula. Deum de Deo, lumen de lumine, Deum verum de Deo vero...*⁴⁹

Ani przez chwilę nie spuszczał z dziewczyny oka. Musiało ją wreszcie zmęczyć odgrywanie oburzenia, bo przy ofiarowaniu chleba i wina zaczęło powoli znikać z jej twarzy. Gdy diakon podawał księdzu kadzidło, ulotniło się ostatecznie, ustępując miejsca zimnej obojętności. Teraz wyraźnie dawała do zrozumienia, że jego zachowanie w ogóle jej nie interesuje. Wytrwale wpatrywała się w księdza, z pozoru całkowicie skupiona na wykonywanych przezeń czynnościach: okadzaniu umiejscowionego w ołtarzu krucyfiksu, odmawiania psalmu sto czterdziestego, oddawaniu kadzidła diakonowi.

– *Orate, fratres: ut meum ac vestrum sacrificium acceptabile fiat apud Deum Patrem omnipotentem.*

– *Suscipiat Dominus sacrificium de manibus tuis ad laudem et gloriam nominis sui, ad utilitatem quoque nostram, totiusque Ecclesiae suae sanctae*⁵⁰.

– *Amen.*

Kapłan wznosił ręce i zaczął szeptem odmawiać modlitwę ofiarną. Trójkątna twarzyczka, rozmyślał, wyostrzony nosek... Kogóż to ona przypomina? Zastanawiając się, przeczesał wzrokiem kasztanowe włosy dziewczyny. No pewnie! Lisiczkę! Jakżeż mógł od razu na to nie wpaść? Odchowana, gotowa do wejścia w dorosłe życie. A czegoż jej potrzeba? Oczywiście – pana lisa.

– *Per omnia saecula saeculorum.*⁵¹

– *Amen.*

Dziewczyna wciąż go ignorowała. Powoli zaczynał wątpić, czy coś wyniknie z tego podrywu. Zdaje się, że przeholował z temperaturą swoich spojrzeń. W takich spojrzeniach, gorących jak krople Zeusowego deszczu, można kąpać kokoty, lecz nie grzeczną panienkę z dobrego domu.

– *Dominus vobiscum.*

– *Et cum spiritu tuo.*

- *Sursum corda.*
- *Habemus ad Dominum.*
- *Gratias agamus Domino, Deo nostro.*
- *Dignum et iustum est.*⁵²

Już miał otrąbić odwrót, kiedy – ku jego zaskoczeniu – dziewczyna niespodziewanie skosiła go wzrokiem. Pewnie liczyła na to, że znudził się uporczywym wlepianiem w nią oczu i nie grozi jej już wymiana spojrzeń. Pomyliła się, ich wzrok się spotkał. Podbudowany, natychmiast się uśmiechnął, ale tym razem inaczej – ciepło, przyjaźnie, niewinnie. Zupełnie tak, jak zakochany gimnazjalista do swojej pierwszej miłości. Speszona, spuściła powieki i odwróciła głowę.

– *Sanctus, Sanctus, Sanctus, Dominus Deus Sabaoth. Pleni sunt caeli et terra gloria tua. Hosanna in excelsis.*

- *Benedictus qui venit in nomine Domini. Hosanna in excelsis.*⁵³

Nie wpatrywał się już w dziewczynę bez przerwy, ale czujnie na nią zerkał raz po raz. W czasie modlitwy za Kościół wojujący w kącikach jej ust pojawił się znienacka ledwie dostrzegalny uśmieszek. Po chwili przygryzła dolną wargę; widać było, jak z całych sił zмага się z tym samowolnym grymasem, który niespodziewanie dla niej samej wyrwał się spod kontroli. Aby ukryć tę walkę, pochyliła głowę. Na próżno. Zbuntowany uśmieszek zawładnął już całkowicie jej wargami, zmieniając się w jawny, szeroki uśmiech. Wtedy, zawstydzona, jeszcze bardziej opuściła głowę.

– *...pro spe salutis et incolumitatis suae: tibi que reddunt vota sua aeterno Deo, vivo et vero*⁵⁴.

To pierwsze małe zwycięstwo nie oznaczało jeszcze ostatecznego tryumfu. Właśnie zastanawiał się nad kolejnym krokiem, kiedy rozległ się dzwoneczek wzywający wiernych do przyklęknienia. Kościół wypełniło szuranie butów i skrzypienie ławek. Uklęknął na jednym kolanie, przedtem podłożywszy pod nie chusteczkę. Konsekracja chleba i wina była dla niego kulminacyjnym punktem nabożeństwa, chwilą mistycznego zjednoczenia z duchowymi mocami, bez których pomocy człowiek byłby jedynie przypadkowym, zabłąkanym w otchłani bytu pyłkiem. Zwłaszcza przemiana wina w krew niezwykle go poruszała. Wydawało mu się wtedy, że jego własna krew przeistacza się w elektryczny prąd, rwący tętnicami i żyłami w nieokiełznanym tempie wezbranego górskiego potoku. Całym sobą czuł

wówczas boskie tętno Kosmosu, jego dziką siłę i wprost niewysłowioną rozkosz, jaką przynosi ślepe podporządkowanie się tej wyjątkowej sile.

Dopiero po modlitwach wstawienniczych ochłonął stopniowo z metafizycznej ekstazy i pozwolił sobie spojrzeć w lewo. Ku swemu zaskoczeniu, ujrzał skierowane w swoją stronę błyszczące oczy. Ani pół sekundy nie zdążył się jednak nacieszyć ich blaskiem, bo dziewczyna natychmiast odwróciła głowę. Wyraz jej twarzy świadczył, że chyba musiała zaintrygować ją przemiana, którą przeszedł podczas konsekracji.

– *Oremus. Praeceptis salutaribus moniti, et divina institutione formati, audemus dicere:*

– *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum. Adveniat regnum tuum. Fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra. Panem nostrum quotidianum...*⁵⁵

Raptem ogarnęła go pewność, że dziewczyna przystąpi do komunii. Przewidywał trafnie – gdy tylko rozległy się dźwięki organów, jako jedna z pierwszych zaczęła się przeciskać do przodu. Zwarty dotąd tłum drgnął i popękał, porozcinany strumyczkami wędrujących w stronę prezbiterium wiernych. Wkrótce jednak stracił dziewczynę z oczu. Przesłoniły ją szerokie bary mężczyzn i damskie kapelusze w przeróżnych kształtach. Chwilami dostrzegał co najwyżej mignięcie znajomych kasztanowych włosów.

Po kilku minutach dziewczyna wróciła na miejsce. Oho, dobry znak! Nie ponawiał na razie ataków, by jej nie spłoszyć. Kapłan przystąpił do odmawiania ostatniej modlitwy. Dziewczyna zaczęła nagle dotykać włosów, poprawiać broszkę przypiętą do lewej klapy żakietu, rozglądać się po kościele, przewieszać torebkę z jednego ramienia na drugie. Ten zalotny taniec, wykonywany pośród stojących wokół ludzi, lecz adresowany wyłącznie do niego, dostarczył koronnego dowodu na to, że cierpliwe zabiegi przyniosły rezultat. Ksiądz, odkaszlnąwszy, przystąpił do odczytania Prologu ze św. Jana. Dziewczyna wciąż spoglądała przed siebie. Nadeszła chwila ostatniego przyklęknięcia. Przez kościół znowu przebiegła kakofonia szurań i poskrzypywań.

– *Et verbum caro factum est, et habitavit in nobis et vidimus gloriam eius, gloriam quasi Unigeniti a Patre, plenum gratiae et veritatis.*

– *Deo gratias.*⁵⁶

Ryknęły organy i zaczęła się ostatnia pieśń. Niektórzy ludzie – zaraz

po przeżegnaniu się i powstaniu z klęczek – wychodzili, ale dziewczyna pozostała na miejscu i śpiewała. Obserwując ją bacznie, i on zaczął markować śpiew. Wreszcie pieśń dobiegła końca. Tłum, zakołysał się, zrobił zwrot w tył i ruszył w żółwym tempie w kierunku wyjścia. Wraz z nim wzdłuż rzędu ław sunęła dziewczyna. Mimo że szła powoli, bo co chwila musiała przepuszczać wychodzących z ławek ludzi, systematycznie zbliżała się do kruchty. Zorientował się, że jeszcze kilkanaście kroków i zasłoni ją gruby filar. Potem tłum wypchnie ją przed kościół, podczas gdy on jeszcze na długo utknie w tej cholernej bocznej nawie. Poczłł niepokój. Juź tylko kilka kroków dzieliło ją od filaru. Zaniepokoił się jeszcze bardziej. I oto – kiedy jego cierpliwość była juź u kresu wytrzymałości, kiedy aż się w nim gotowało z obawy, że dziewczyna, nie zaszczyciwszy go nawet pożegnalnym spojrzeniem, zniknie na zawsze – nastąpił wreszcie upragniony cud. Niespodziewanie obejrzała się, a jej roziskrzone oczy, przepełnione niedowierzaniem i nadzieją, na długo, z ufnością i mocą, która aż wprawiła go w drzenie, oddały się jego spojrzeniu.

Zanim zdążył się nasycić tą niecierpliwie wyczekiwaną chwilą, dziewczyna, popchnięta przez tłum, zniknęła za filarem. Nie szkodzi, wiedział juź wszystko, co chciał wiedzieć. Udało się. Udało. Trochę to trwało, ale wreszcie dopiął swego. Wydostawszy się wreszcie na zewnątrz przez jedne z trojga wrót, zatrzymał się na szczycie schodów i rozejrzał dokoła. Stała na uboczu, na prawo od wyjścia, oparta dłońmi o balustradę górnego tarasu, i mrużąc oczy przed słońcem, spoglądała na rozciągającą się po drugiej stronie ulicy zieleń sadów, tu i ówdzie muśniętą juź różnymi odcieniami żółci. Poprawił krawat, sprawdził, czy marynarka jest zapięta, po czym zszedł ze schodów i wymijając stojące na tarasie grupki, zmierzał wolno w kierunku dziewczyny.

Dzieliło ich juź nie więcej niż paręnaście kroków, gdy gdzieś blisko rozległ się głośny śmiech. Od razu go rozpoznał. Ten śmiech – jeden jedyny na całym świecie – postawiłby go na baczność nawet w grobie. Odruchowo przystanął i spojrzał w dół. Na położonym poniżej środkowym tarasie, w otoczeniu kilku młodych kobiet stała drobna blondyneczka w czarnych spodniach i pasiastym pulowerku na białej koszuli. A to ci niespodzianka! Dorota? Tutaj? Co ona tu robi? Czyżby była na mszy? Nie, niemożliwe... Ona? Ta krnąbrna wolnomyślicielka? Juź prędzej Słońce zamieniłoby się na miejsca z Księżycem. Pewnie umówiła się z tymi pindulkami. Albo

załatwia jakieś geszefty. Jak zahipnotyzowany przypatrywał się przechylonemu na bok bordowemu berecikowi, spod którego wypływała fala przyciętych poniżej ucha jasnych włosów. Co takiego ta dziewczyna ma w sobie, że nie może przestać o niej myśleć? W miarę ładna, ale nic więcej. Taka tam szara myszka, w pierwszej chwili w ogóle nierzucająca się w oczy. Ale ta wiedza, ta inteligencja, to odczytanie! Od dnia, kiedy ją poznał, nie potrafił uwierzyć, że oprócz różnych słodkich idiotek, naiwnych panienek i wyrafinowanych suk istnieją również takie kobiety. Okazuje się, że rzadko, bo rzadko, ale jednak. Nic dziwnego, że ilekroć ją widzi, czuje się jak myśliwy, który wyszedł do lasu na zająca, a niespodzianie natknął się na pegaza lub jednoroźca.

Ku jego rozczarowaniu Dorota wycelowowała koleżanki, coś tam jeszcze do nich zawołała, po czym zbiegła lekko po schodach i skryła się za załomem tarasu. Chwilę później jej bordowy beret mignął jeszcze wśród idących ulicą ludzi, lecz po paru sekundach ponownie zniknął – tym razem już na dobre. Dopiero wtedy przypomniał sobie ze zgrozą o dziewczynie czekającej przy balustradzie. Błyskawicznie odwrócił się w jej stronę. Wprawdzie wciąż stała w tym samym miejscu, ale z twarzą chmurną od gniewu; wielkie oczy, dopiero co ufne, już prawie rozkochane, patrzyły gdzieś w dal – dumnie, lodowato, znad ust wykrzywionych przez uśmieszek pogardy.

[45](#) (łac.) Pan z Wami. – I z duchem Twoim. – Wyjątek z Ewangelii według św. Mateusza. – Chwała Tobie, Panie.

[46](#) (łac.) Harmonia świata.

[47](#) (łac.) Niech słowa Ewangelii zgładzą nasze grzechy. – Chwała Tobie, Chryste.

[48](#) (fr.) Czapki z głów.

[49](#) (łac.) Wierzę w jednego Boga... – ...Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga, Światłość ze Światłości. Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego...

[50](#) (łac.) Módlcie się, bracia, aby moją i Waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec Wszechmogący. – Niech przyjmie Pan ofiarę z rąk Twoich na cześć i chwałę imienia swego, oraz na pożytek nasz i całego świętego Kościoła swego.

[51](#) (łac) Przez wszystkie wieki wieków.

[52](#) (łac.) Pan z wami. – I z duchem twoim. – W górę serca. – Wznieśliśmy je ku Panu. – Dzięki składamy Panu Bogu naszemu. – Godne to i sprawiedliwe.

[53](#) (łac.) Święty, Święty, Święty, Pan Bóg zastępów. Pełne są niebiosy i ziemi chwały Twojej. Hosanna na wysokości. Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie. Hosanna na wysokości.

[54](#) (łac.) ...w nadziei zbawienia i ocalenia swego, oddając dary swoje, Tobie, Bogu wiecznemu, żywemu i prawdziwemu.

[55](#) (łac.) Módlmy się. Nauką zbawienną zachęteni i Boskim ustanowieniem przygotowani, ośmielamy się mówić: – Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego...

[56](#) (łac.) A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami. I oglądaliśmy chwałę Jego, chwałę jako Jednorodzonego od Ojca, pełnego łaski i prawdy. – Bogu niech będą dzięki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czwartek, dwunastego października

Trzymając pod pachą wielką kartonową teczkę, szła w kierunku ratusza lekko zakręconym wąwozem, utworzonym przez wysokie kamienice Hindenburgstrasse. W górze ponad nimi, gnana przez chłodny wiatr, przepływała armada długich, białych obłoków przypominających olbrzymie zeppelin. Kiedy tylko zakrywały słońce, świat natychmiast nieprzyjemnie szarzał i martwiało od chłozującego ciała zimna. Gdy po minucie słońce wychodziło, jego promienie z kolei tak niemiłosiernie piekły w policzki, że człowiek zaraz szukał cienia. Nie cierpiała takiej pogody, zapowiadającej nadchodzącą zimę. Na dodatek ubrała się za lekko, i żeby się nie przeziębć, musiała wciąż zaciskać wokół szyi kołnierz żakietu.

Z twarzy mijanych przez nią Niemców zniknęła już radość, jakiej nie kryli po nadejściu wieści o kapitulacji powstania w Warszawie. Ich gęby na powrót stały się poważne, zszarzały; sztuczna obojętność źle maskowała tłący się w oczach niepokój. Jak choćby u tego sierżanta żandarmerii z zabandażowanym okiem, dźwigającego wielką, spiętą skórzanym paskiem walizę. Czyżby się już szykował do *Ewakuation*⁵⁷ i zamartwiał, że nie zmieści wśród swych manatków wszystkich łupów, które zdobył na untermenszach⁵⁸? Albo u tej wyszminkowanej Hermenegildy w uniformie Hilfdinstu⁵⁹, kokietującej utlenionymi loczkami wypływającymi spod przechylonej na bok furazerki. W zalotnych spojrzeniach, jakie posyłała na prawo i lewo mężczyznom w mundurach, zdawała się kryć nie tyle prośba o dobrą noc, ile błaganie o opiekę. Więc ich wszystkich także musiało dręczyć pytanie co dalej? Pomyśleć tylko: jednak jest coś, co ją z nimi łączy – i to autentycznie! Phi! Tyle że między Bogiem a prawdą nic jej po takim pocieszeniu. Raczej wściekało ją, że za szkopską durnotę zapłaci teraz

wszyscy ci, którzy mają pecha mieszkać między Niemcami a Rosją. Macocha Historia naprawdę nie zna granic w pastwieniu się nad ludźmi.

– *Guten Tag, Fräulein Pahlen!*⁶⁰

– *Guten Tag!* – odpowiedziała cicho, rumieniąc się. Machinalnie spuściła głowę i wbiwszy wzrok w szare płytki chodnika, przyśpieszyła kroku. Nie chciała wymiany spojrzeń z umundurowanym mężczyzną, który ją pozdrowił; nie chciała nawet wiedzieć kto to. Może zniechęcony jej zimną reakcją, spotkawszy ją następnym razem, oszczędzi sobie grzeczności. Wiedziała, że wszyscy biorą ją za nieśmiałą starą pannę, na dodatek wciąż pogrążoną w żałobie po zmarłej przed niecałym rokiem ciotce, więc kimkolwiek był człowiek w mundurze, jej zachowanie nie powinno wzbudzić jego podejrzeń. Płytki tak szybko znikały pod jej nogami, że ich kontury zupełnie się zamazywały. Uszedłszy jeszcze kawałek, podniosła ostrożnie wzrok i omiotła nim ulicę; pragnęła wiedzieć, czy tej sceny nie zauważył przypadkiem jakiś znajomy Polak. Nie życzyła sobie, żeby ktoś kolejny widział, jak wymienia pozdrowienia z Niemcem. Chociaż czy to w ogóle miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Przez te dwa i pół roku jej tajemnica i tak rozniosła się po Kaliszu. To nie takie znów duże miasto, żeby podobne rzeczy mogły pozostać w sekrecie. Jej bliżsi i dalsi znajomi na pewno wiedzieli. Przynajmniej większość. Wciąż przytrafiały się jej sytuacje mające dla kogoś patrzącego z boku jednoznaczną wymowę. Niekiedy sama świadomie się w nie pakowała, choćby w wyniku zmęczenia – jak na przykład wtedy, kiedy skracała sobie drogę przez park, u którego bram wisały tabliczki z wyraźnym ostrzeżeniem: „*Polen ist Aufenthalt in diesem Teil des Parkes verboten!*”⁶¹. Wystarczyło, żeby ktoś ją tam zobaczył – i już! A przecież ten park to jeszcze nic; gorzej, że dość regularnie zaglądała do kina. Chociaż – no, niech będzie! – kino w zasadzie też by jeszcze uszło. Przecież wbrew zarządzeniu Niemców i zdecydowanemu zakazowi podziemia bywało tam bardzo wielu Polaków. W końcu nie chodzili na seans dla nowego numeru „*Wochenschau*”, nafaszerowanej propagandą kroniki filmowej, ale wyłącznie dla filmu, przeważnie głupawej muzycznej komedyjki pozwalającej zapomnieć na półtorej godziny o realnym świecie. Ona wprawdzie chodziła tam właśnie dla kroniki, z której przy odpowiednim operowaniu umysłem można było wyczytać znacznie więcej, niż chcieli powiedzieć jej autorzy. Tyle że o tym akurat nie wiedział nikt oprócz niej

samej. Co do koncertów w Musikschule⁶² lub w Stadttheater⁶³, zaczynających się zawsze odegraniem niemieckiego hymnu, bywała na nich od samego początku okupacji. Po prostu chciała pokazać, że ma gdzieś zarządzenie zabraniające wpuszczania tam Polaków. No ale już dla tańców z żołnierzami w Deutsches Haus⁶⁴ albo w restauracji Wartheland, na które co jakiś czas wyciągała ją Anna, trudno było znaleźć jakieś solidne usprawiedliwienie. Przynajmniej w niewidocznych, ale wciąż doskonale wyczuwalnych, wszędobylskich oczach rodaków. Zapewne w niejednym kajeciku pamięci stało jej nazwisko – i to podkreślone czerwonym ołówkiem. Folks-dojcz-ka, folks-dojcz-ka, folks-dojcz-ka!, zagrały na trotuarze obcasy zgrabnych półbucików. Przez chwilę jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku, prawie pofrunęła jak spłoszony ptak. Na przykład wróbelek. Mechanik aż się skrzywił, kiedy zapytana, jaki chce nosić pseudonim, odpowiedziała, że może Wróbelek. Wróbelek, mełł w ustach, Wróbelek? Nieee, to takie niepoważne. I za bardzo do niej pasuje. Ta dziewczęca buzia, wyliczał, postura trzynastolatki... Czy aby nie mówiono tak do niej w szkole? Na pewno nie? Pseudonim ma ją przecież chronić, a nie prowadzić do niej prostą drogą. Trochę dotknięta tą „posturą trzynastolatki” – przecież wcale nie była chuda, a jedynie niska i szczupła; piersi miała jędrne, biodra pełne, a w talii całkiem wyraźne wcięcie – wyjaśniła, że nikt nigdy tak do niej nie mówił. No, może czasami ojciec, ale wyłącznie wtedy, gdy znajdowali się sami. Chociaż włosów nie ma szarych, wahał się Mechanik, widząc jej zawód, a oczka niebieskie jak u lalki, więc może te skojarzenia z wróbelkiem są cokolwiek na wyrost... No dobrze, zgodził się niechętnie, niech będzie Wróbelek. Zresztą, zamyślił się, może to na dobrą wróżbę? Wróbelek lata sobie gdzie chce i nikt nie zwraca na niego uwagi. A w jej robocie przydaje się taka umiejętność, oj przydaje! No i fruwała sobie, fruwała, między tymi i tamtymi, starając się nie rzucać w oczy i w miarę możliwości nikomu nie narażać, słowem – wyjść z tej koszmarnej zawieruchy i cało, i z twarzą. Nawet długo się jej udawało, w sumie gdzieś do lata czterdziestego drugiego. A właściwie do jesieni, do urodzin Honoraty. Bo wcześniej o wszystkim po tej stronie wiedział tylko Mechanik i jego anonimowi przełożeni, a po tamtej – Gregorius, jej oficjalny pracodawca. W każdym razie sprawa nie wypłynęła aż do tych feralnych urodzin, które Honorata wyprawiała w cukierni przeznaczonej dla Polaków. Nagle wpadli policjanci i zaczęli

sprawdzać papiery. Zdaje się, szukali jakiejś dziewczyny. Ujrawszy jej nowe dokumenty, w których z Doroty Paleń zmieniła się w Dorotheę Pahlen, zrugali ją za surowo zabronione prywatne kontakty z Polakami. *Sind Sie Volksdeutsche, Fräulein?!⁶⁵* – czerwonogęby kapral darł się tak głośno, że aż drżały stojące na stoliku kieliszki z wiśniówką. – *Sie sind Falschdeutsche!⁶⁶* I to wszystko przy jej zaszokowanych szkolnych koleżankach, do tej pory niczego nieświadomych, i innych obecnych w cukierni Polakach, wśród których znajdowali się być może i tacy, co znali ją z widzenia. Przecież nie mogła wszystkim wokół tłumaczyć, że podpisała za zgodą przełożonych, że dzięki temu może lepiej i bezpieczniej wykonywać swoje zadania. Co najwyżej mogła zrzucać winę na Gregoriusa, żalić się, że to on ją zmusił i że jeśli nie chciała wzbudzać jego podejrzeń, właściwie nie miała wyboru – musiała wreszcie podpisać. W takie tłumaczenie – z czego doskonale zdawała sobie sprawę – równie dobrze można było wierzyć, jak i nie. Zwłaszcza że dostała drugą grupę, przyznawaną tym obywatelom polskim, którzy czuli się Niemcami. Sama była oszołomiona tym faktem. Spodziewała się, że jako Polkę mówiącą doskonale po niemiecku zapiszą ją do trzeciej grupy, a tu proszę – druga! To musiała być robota Gregoriusa. I zapewne mimowolny wpływ ciotki, której jeszcze w trzydziestym dziewiątym, jako autentycznej Austriaczce, automatycznie przyznano obywatelstwo Rzeszy. Nic zatem dziwnego, że wtedy, w kawiarni, niektórym dziewczynom oczy omal nie wyszły z orbit na widok jej niebieskiej kenkarty. Najgorsze, że nie skończyło się na zruganiu. Czerwonogęby kapral spisał jej dane. Niemców z Rzeszy za spoufalanie się z Polakami z miejsca wydalano z Reichsgau Wartheland⁶⁷. Wpisywano im do akt: „*Ungeeignet für den Osteinsatz*”⁶⁸ i won! Co groziło za podobne wykroczenie folksdojczce, nie wiedziała. Przez jakiś czas łudziła się, że policjant chciał ją tylko postraszyć. Była wściekła na siebie, że nie wymyśliła na miejscu jakiegoś sprytnego wytłumaczenia – przecież mogła się spotkać z polskimi koleżankami na przykład po to, by je namówić do podpisania folkslisty lub do wstąpienia do Leistungspolenverband⁶⁹, prawda? Zawsze, ilekroć robiła coś zabronionego i mniej lub bardziej niebezpiecznego, miała gotowe rozsądne wytłumaczenie na wypadek zatrzymania i wypytywania przez patrol. A tym razem nawaliła! Kapral okazał się służbistą. Po dwóch tygodniach przyszło wezwanie na Gestapo. Kiedy w wyznaczonym dniu skręciła z zalanej

deszczem alei Aleksandry Piłsudskiej w Kurzer Weg, nogi miała jak z waty. Kurzer Weg oznaczało po polsku „krótką drogę”, co brzmiało jak upiorny żart – dla wielu wchodzących tu ludzi naprawdę była krótka, a na dodatek w jedną stronę. Na szczęście przez te dwa tygodnie zdążyła przemyśleć rzecz na zimno i zrezygnowała z bajeczki o namawianiu przyjaciółek do kolaboracji. Jeszcze by gestapowcy wzięli opowieść za dobrą monetę, i a nuż wpadliby na pomysł uczynienia z tak gorliwej folksdojczki swojej konfidentki. I co wówczas? Jak by się z tego wykręciła w niebudzący podejrzeń sposób? Doszła do pozornie paradoksalnego wniosku, że najbezpieczniej powiedzieć prawdę. No, powiedzmy – prawie prawdę. Wy tłumaczyła, że jest Niemką od niedawna i po prostu nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do wszystkich wynikających z tego faktu obowiązków. Po czym, dla lepszego efektu, rozbeczała się i obiecała, że już nigdy nie złamie przepisów. Wiedziała, że Gregorius, któremu pokazała wezwanie i opowiedziała „szczerze” o swoim „lekkomyślnym zachowaniu”, interweniował już w jej sprawie i postarał się, żeby potraktowano ją ulgowo. No i skończyło się dobrze. Przesłuchujący ją miły i szarmancki gestapowiec, niejaki Kubesch, poprzestał na stanowczym upomnieniu. Ale chociaż przez cały czas uśmiechał się kokieteryjnie i prawił jej wyszukane komplementy, coś tam sobie naskrobał w aktach. Bardzo chciałaby wiedzieć co.

Wąwóz kamienic zaczął się prostować, odsłaniając północną stronę rynku. Z daleka dostrzegła witryny antykwariatu mieszczącego się na rogu Rathausplatz i Oldenburger Strasse. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby antykwariusz już ją wypatrzył tym swoim sokolim wzrokiem. To właśnie od niego zaczęła się ta historia z folkslistą. Już w miesiąc po tym, jak przyjął ją do pracy, zaczął snuć rozważania na temat jej „wybitnie nordyckiej urody”. Dowodził, że blondynka o błękitnych oczach mimo tak „mizernej postury” (idiota!) musi mieć niemieckich przodków. Przecież tu, w *alte deutsche Stadt Kalisch*⁷⁰, przekonywał, Niemiec na Niemcu i Niemcem pogania! Spoglądał na nią podejrzliwie, gdy zapewniała, że jej ojciec był stuprocentowym Polakiem, matka Rosjanką, a co do ciotki Bettiny, z którą mieszka... Wprawdzie jest ona rodowitą Austriaczką, ale to tylko druga żona stryjecznego dziadka, więc zaledwie powinowata. Nie miała pojęcia, czy uwierzył. Na wszelki wypadek wmówiła mu, że jeżeli podpisze *Volksliste*⁷¹, chłopci, z którymi handluje, zaprzestaną robienia z nią interesów. Czym

wówczas zacna Frau⁷² Gregorius napełni kredens? Przecież z oficjalnych przydziałów nawet i kot by nie wyżył.

Antykwariusz dał się przekonać; na razie odłożył sprawę ad acta. W końcu co się odwlecze, to nie uciecze, mruknął, bo lubił, żeby ostatnie słowo należało do niego. Przez kilka miesięcy miała święty spokój. Ale kiedy w maju czterdziestego Himmler oświadczył w Poznaniu, że „ani jedna kropla krwi niemieckiej nie może służyć obcemu narodowi” i zarządził generalne *Wiedereindeutschung*, czyli powtórne Niemczenie spolonizowanych Niemców, Gregorius powrócił do sprawy. Najśmieszniejsze, że nie kierował nim faszystowski fanatyzm, ale wyłącznie swego rodzaju sympatia, jaką dość szybko ją obdarzył. Zresztą sympatia to mało powiedziane. Od kiedy niebacznie wygadała się przed nim, że jej ojciec siedzi w obozie jenieckim w strefie sowieckiej, Gregorius ubzdurał sobie, że ma obowiązek sprawować nad nią coś w rodzaju opieki. Tatulek się znalazł, cholera jasna! No i po tym krzyku w gazetach o konieczności *Wiedereindeutschung* kazał sobie podać nazwiska jej rodziców i dziadków, postanowiwszy, że osobiście odda się stosownym poszukiwaniom po archiwach i księgach parafialnych. Zrobiła to bez obaw. A grzeb sobie, czorcie, śmiała się w duchu, w zakurzonych papierzyskach, grzeb, skoro lubisz! Figę z makiem tam znajdziesz! Wiedziała, że ojciec, jego rodzice i dziadkowie nosili czysto polskie nazwiska, więc z tej strony nic jej nie zagrażało. Żeby przekonać antykwariusza o swej dobrej woli pokazała mu nawet kilka dokumentów z rodzinnego archiwum. Co do matki, sprawa przedstawiała się gorzej. Właściwie fatalnie. Ale tu z pomocą przyszła geografia. Bo matka urodziła się w Charkowie i całe życie spędziła w Rosji, gdzie zmarła w tysiąc dziewięćset szesnastym, trzy dni po jej urodzeniu. Tam pazury Gregoriusa nie sięgały. Do dziś nie mogła zapomnieć jego zawiedzionej miny, kiedy mu o tym opowiedziała i pokazała wypisane cyrylicą świadectwo ślubu rodziców. Wydawało się, że problem został raz na zawsze rozstrzygnięty. Ale rok później wydarzyło się coś, co wytrąciło ją z tej pewności: Hitler napadł na Związek Sowiecki. Czytając w „Ostdeutscher Beobachter”⁷³ doniesienia z frontu, szybko przestała się łudzić, że tym razem nie pójdzie mu tak łatwo jak z Polską i Francją, że Sowietci to jednak potęga. Do tego te niezmiernie przestrzenie, o których swego czasu tyle opowiadał jej ojciec – słowem, że prawdopodobieństwo, iż Niemcy dojdą do Charkowa, jest raczej bliskie

zeru. Niemcy zajęli Charków, a zachwycony Gregorius napisał wkrótce potem do tamtejszych władz z prośbą o odnalezienie aktu urodzenia i metryki chrztu Zofii z Nowikowów Paleń. Jeszcze pocieszała się myślą, że może archiwa spłonęły, a nawet jeśli ocalały – kto tam dokopie się w nich poszukiwanych papierzysk! Zwłaszcza że ani w księgach cerkiewnych, ani w aktach urzędowych nie figurowała – bo nie mogła figurować, phi! – żadna Zofia Siergiejewna Nowikow, która w tysiąc dziewięćset piętnastym wyszła w Moskwie za mąż za ewakuowanego z Kalisza inżyniera Artura Palenia. Niestety, okazało się, że na Ukrainie także krzątają się żwawo specjaliści od *Wiedereindeuschung*, którym na nieszczęście pomagają doskonale zorientowani w miejscowych realiach ukraińscy i rosyjscy folksdojcze. Zresztą i antykwariuszowi, jako urodzonemu w carskiej Rosji, realia te musiały być doskonale znane. Po dwóch miesiącach Herr Gregorius otrzymał kopie wspomnianych dokumentów, z których wynikało niezbitie, że jej matka Zofia w dniu swoich narodzin wcale nie nazywała się Nowikow, lecz Neumann. Po prostu tuż po wybuchu Wielkiej Wojny, kiedy całą Rosję ogarnęła antyniemiecka furia, dziadek Neumann, podobnie jak wielu innych służących w carskiej armii i administracji zruszczonych Niemców, zmienił dotychczasowe nazwisko na rosyjskie. I właśnie pod tym nowym matka poślubiła ojca. Że też Gregorius do tego wszystkiego doszedł! Jak nawet i do tego, że babcia Neumannowa z domu nazywała się Rugge i była stuprocentową Niemką z Kurlandii, ewangeliczką, która dopiero przed ślubem z dziadkiem zmieniła wyznanie na prawosławne. Nie po raz pierwszy zresztą nie doceniła wiedzy i uporę Gregoriusa. Bogu dzięki, zaskoczenie, którego nie potrafiła ukryć po usłyszeniu nowiny, jej pracodawca wziął za miłe rozczarowanie radosną informacją. Jeszcze musiała mu, psia kość, podziękować! Dotarło do niej, że w tej sytuacji nie mają sensu próby odwlekania sprawy i nawet argument o zaopatrzeniu spiżarni Frau Gregorius jest psu na budę. Widziała po oczach Gregoriusa, że rzecz została przez niego rozstrzygnięta raz na zawsze. Więc zameldowała o wszystkim Mechanikowi, a ten uzyskał zgodę przełożonych. No i z duszą na ramieniu – podpisała.

Znalazszy się przed antykwariatem, przespacerowała się wzdłuż trzech witryn wychodzących na tę stronę. Była ciekawa, czy ubyło coś z tego, co dostarczyła. Okazało się, że ze środkowej wystawy zniknęła szabla pruskiego huzara z czasów napoleońskich, wstawiona zaledwie w zeszłym tygodniu.

– Serwus, Dorcia!

Usłyszawszy znajomy głos, obejrzała się odruchowo i spieszyła na widok wąskich oczu, ciemnych i groźnych niczym woda górskiego jeziora. Ich właściciel, Michał Zasuń, założyciel i dowódca organizacyjki Legion Narodowy, uśmiechał się do niej z miną Apollina, który dopiero co obdarł ze skóry Marsjasza, a teraz chętnie zapolowałby na Dafne.

– Serwus! – Zła na siebie, że dała się zaskoczyć, obróciła się na pięcie i szybko odeszła. Z kim jak z kim, ale z Zasuniem na pewno nie miała ochoty na pogawędkę. Na wieczorkach literackich u Krysi Pałasz, w szerszym gronie – jak najbardziej. Tam mogła dyskutować z każdym, nawet z ludźmi o skrajnie odmiennych poglądach. Takimi jak Zasuń czy jego paziowie: Żyrewicz i Kowalski. W końcu te spotkania temu służyły. Ale poza salonem Krysi, prywatnie – w żadnym wypadku. Boże drogi, żeby na samym dnie piekła, jakim od pięciu lat był ten kraj, żeby po tym wszystkim, co pokazali tu Niemcy, marzyć – i to na serio, Chryste, na serio! – o Polsce rozciągającej się od Odry i Bałtyku, po Smoleńsk i Odessę, o polonizowaniu siłą Ukraińców, Białorusinów i Litwinów oraz o rządach wodzowskich, naprawdę trzeba mieć nie w porządku pod sufitem. I to bardzo nie w porządku. A to oznaczało, że powinna uważać. Jeśli Zasuń i jego chłopcy planują coś grubszego, zrobią to już wkrótce. Zaraz po tym, jak ruszy sowiecka ofensywa.

Naciskając wypolerowaną kłamkę w kształcie leżącego lwa, zauważyła, że z głównej wystawy wyparował portret Hitlera, sterczący tu nieprzerwanie od dwudziestego lipca. No proszę, a to ci niespodzianka! Ciekawe, dlaczego Gregorius go usunął. I co na to powie blokajter⁷⁴? Po nieudanym zamachu Stauffenberga wszyscy sklepikarze i rzemieślnicy, aby dowieść swej prawomyślności, wystawiali w witrynach portrety Adolfa. Niemcy, folksdojcze, rodowici Polacy – bez różnicy. Atmosfera na wiele dni stężała wtedy od strachu, Gestapo szalało jak stado wściekłych wilków. I choć od tamtej pory minęły już prawie trzy miesiące, w większości witryn portrety wciąż tkwiły, bo nikt nie wiedział, czy wolno je już zdjąć, czy może lepiej jeszcze poczekać. Z pewnością dlatego w miejsce Hitlera Gregorius wstawił wielką dziewiętnastowieczną litografię przedstawiającą bitwę pod Termopilami. Gdyby ktoś spróbował się go czepiać, spryciarz wytłumaczy, że to przecież wyraźna zachęta do wytrwałej walki.

– *Guten Tag, Herr Gregorius!*⁷⁵

– No, nareszcie! Ja tu czekam, czekam, a Fräulein Dorothea sobie romansuje... – Cienkie usta antykwariusza rozciągnęły się w długą kreskę niedostrzegalnego uśmiechu. – Ładnie tak kazać na siebie czekać swojemu pryncypałowi?

Spuściła oczy. Z tym niebotycznie wysokim chodzącym posągiem nigdy nie było wiadomo, czy mówi serio, czy dowcipkuje. Nie lubiła go od początku. Ta opakowana w pseudoarystokratyczny dystans pogarda, z jaką traktował tych wszystkich, których – z takich czy innych powodów – uważał za gorszych od siebie, ta cicha, surowa tyrania, jakiej codziennie poddawał żonę, Annę i polską służącą – istoty według niego niższe, zasługujące co najwyżej na pełne pobłażliwości lekceważenie. Ta całkowita niezdolność do okazywania uczuć i zdecydowana niechęć, a nawet wstręt, gdy w jego obecności okazywali je inni, skryta fascynacja nagą, brutalną siłą i wreszcie chorobliwy kult śmierci – wszystko to powodowało, że w obecności antykwariusza nie tylko czuła się nieswojo i nieprzyjemnie, lecz także dziwnie skrępowana. Brrrrr! Jednak umowa, jaką zawarli, zasługiwała na znoszenie trzy razy w tygodniu widoku tej wiecznie zasepionej twarzy, pośrodku której tkwiły małe, zimne oczy, obracające się czujnie niczym przeczesujące nocne niebo reflektory. Przecież u nikogo innego nie znalazłaby pracy na podobnych warunkach. Oficjalnie pracowała na cały etat, ale w sklepie pojawiała się co drugi dzień. Jej podstawowym obowiązkiem było buszowanie po mieście oraz po pobliskich wsiach i dworach w poszukiwaniu niemieckich obrazów, grafik, map, atlasów, książek, listów, bibelotów i innych podobnych świadectw wielowiekowej obecności Niemców w Kaliszu i regionie. Książeczka pracy chroniła ją przed wywiezieniem na roboty w głąb Rzeszy lub przymusowym zatrudnieniem w innej miejscowej firmie, a podstemplowana przez antykwariusza przepustka pozwalała swobodnie krążyć po okolicy, co – przynajmniej zanim podpisała folkslistę – niosło za sobą spore ryzyko. Jeśli chodzi o finanse, sama zadeklarowała, że nie chce stałych zarobków i zadowolili się zapłatą za dostarczone antyki. Wiedziała, co robi. Regularna pensja, wypłacana według śmiesznie niskich przedwojennych stawek – dla Polaków znacznie niższych niż dla Niemców – spowalniała jedynie śmierć z głodu. Poza tym, gdyby Gregorius płacił jej normalnie, na pewno domagałby się większej

pomocy w antykwariacie. A przecież nie miała na to czasu. Potrzebowała go i na robotę dla Mechanika, i na handel mięsem, bo to w końcu z niego utrzymywała siebie, ciotkę i Katarzynę. Słowem, zawarty z antykwariuszem układ zadowalał obie strony. Ona miała potrzebne dokumenty i swobodę ruchów, on zaś towar o często sporej antykwarycznej wartości i lewe mięso. I jeszcze oszczędzał na jej pensji.

Postawiła na podłodze teczkę i oparła ją o biurko. Potem zdjęła plecak i położyła go na blacie.

– No, ciekaw jestem bardzo, czym to Fräulein Dorothea zaskoczy mnie dzisiaj?

Zaskoczy? Nie bardzo wiedziała, czym jeszcze mogłaby go zaskoczyć. Przez te cztery i pół roku wyniosła najcenniejsze okazy z niemieckiej biblioteczki ciotki Bettiny, odziedziczonej przez nią po pierwszym mężu. Dziewiętnastowieczne, oprawne w skórę komplety dzieł Goethego i Schillera, pierwsze wydania Theodora Fontane’a i Stefana George’a. Wszystko to wylądowało na ladzie Gregoriusa jako owoc jej rzekomych penetracji Kalisza i okolic. Przecież gdyby każdą przynoszoną tu rzecz naprawdę wyszukiwała u ludzi, biegałaby z wywieszonym jęzorem od świtu do nocy. A doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. W efekcie z tysiąca dwustu woluminów, jakie pierwotnie liczyły zbiory ciotki, zostało nie więcej niż trzysta.

– Niestety, nic wielkiego. – Wyjęła ostrożnie zapakowany w szary papier i owinięty sznurkiem tom, po czym podała go Gregoriusowi.

Dłgie jak osikowe kołki palce antykwariusza ostrożnie rozsznurowały paczkę i wydobyły z niej *Göttliche Komödie*⁷⁶. Tych szponiastych palców też nie cierpiała. I jego stosunku do starzyzny, którą handlował. Delikatności, z jaką traktował serwisy, zastawy, komplety sztucców. Gdyby choć część tej delikatności przeniósł na ludzi, ale gdzie tam! Byłaby jednak niesprawiedliwa, gdyby nie przyznała mu pewnych zalet. Z pewnością nie był faszystą. Wielokrotnie pozwalał sobie w jej towarzystwie na drobne, kąśliwe żarciki z władzy i fanatycznych hitlerowców, choć trzeba przyznać, że robił to w sposób tak ostrożny i dyskretny, że sama miewała wątpliwości, czy nie uległa złudzeniu. Ale nie, to nie mogło być złudzenie. W charakterystycznym, złotym błysku, jaki pojawiał się wtedy w jego szarych oczach, wyraźnie dostrzegła kpinę.

– Z rycinami Franza von Bayrosa! – podkreśliła. – Herr Handke na pewno dobrze zapłaci.

– Ja...⁷⁷

Kiedy Gregorius przeglądał książkę, sięgnęła po teczkę, rozsznurowała ją i rozchyliła. W środku znajdowała się rycina przedstawiająca wnętrze na wpół zawalonego starożytnego gmachu. Jego oskrobane z tynku mury straszyły tak ogromnymi wyrwami, jakby wybiła je pięść Cyklopa, łuki nad częściowo zasypianymi przez gruz korytarzami zgrzytały poszczerbionymi zębami zwietrzałych cegieł, natomiast resztki sklepienia śmiało odsłaniały niebo. Sprawiały wrażenie, jakby miały za chwilę runąć.

– A to co takiego? – Gregorius odłożył książkę i zajrzał do teczki. – *Mein Gott!*⁷⁸ Piranesi! – Oczy antykwariusza błysnęły niczym ślepieca wygłodzonego wilka na widok rannej sarny. Niemal wyrwał jej z rąk grafikę i podsunął ją sobie pod sam nos. – *Rovine d’antico edifizio nella Villa Barberina presso Castel Gandolfo*⁷⁹ – przesylabizował powoli włoski podpis w rogu ryciny. – Ze zbioru *Starożytności Albano i Castel Gandolfo* z roku tysiąc siedemset... hm, zaraz, zaraz... tak! Z sześćdziesiątego czwartego! *Wunderschön!*⁸⁰ Fräulein Dorothea, jest pani cudowna!

Mimowolnie przepełniło ją coś w rodzaju dumy. No, no, no, gratulacje, dziewczyno! Tchnąć – choćby tylko na chwilę – odrobinę ciepła w tę chodzącą bryłę lodu, to naprawdę nie lada wyczyn.

– *Wunderschön...*

Jednak trzeba przyznać temu zasuszonemu draniowi, że zawsze ją chronił. Czy to w rozmowach prywatnych, czy zapytywany przez władze, wystawiał jej jak najlepszą opinię. I pomagał, kiedy wpakowała się w jakąś kabałę – jak wtedy, z tym nieszczęsnym przesłuchaniem na Gestapo. Ale pomimo wdzięczności, jaką odczuwała, nie potrafiła obdarzyć antykwariusza choćby odrobiną sympatii. Próbowwała, lecz nie potrafiła. Bijące odeń lodowate zimno odpychało ją na kilometr. A wiele z tego, czego dowiedziała się od Anny, tylko utrwaliło ten dystans. Na przykład to, że w listopadzie trzydziestego dziewiątego, w przeddzień opuszczenia Rygi i przesiedlenia na *eingegliederte Ostgebiete*⁸¹, spalił wszystkie pamiątki po swoim dotychczasowym życiu, zwłaszcza te po jego pierwszych czterdziestu latach, spędzonych w carskiej Rosji. W ogień poszedł mundur majora piechoty, który nosił podczas wojny światowej, później, po puczu Lenina, w armii

Judenicza, a na koniec w utworzonej w Polsce rosyjskiej dywizji. To samo spotkało różne rodzinne pamiątki, w tym listy od pierwszej, zabitej przez bolszewików żony, a nawet albumy z fotografiami jej i ich trojga – również zamordowanych – dzieci. Oszczędził jedynie swoją rosyjską bibliotekę, pozostawiając ją po prostu w opuszczanym mieszkaniu. Miał przy tym oświadczyć drugiej żonie oraz Annie, że od tej pory wszyscy są Niemcami. I to żadnymi tam kurlandzkimi Niemcami, żadnymi łotewskimi, a po prostu Niemcami. Normalnymi, stuprocentowymi Niemcami, takimi samymi jak ci z Rzeszy. Kiedy usłyszała o tym wszystkim, aż się przestraszyła. I zrozumiała, dlaczego kilka dni po przyjęciu do pracy zmierzył ją spojrzeniem zdolnym zakatrupić wołu, kiedy – ot, tak sobie, sama nie wiedząc dlaczego – zagadnęła go po rosyjsku. No ładnie, pomyślała po wysłuchaniu opowieści Anny, toż to zupełny wariat! Człowiek, który sam wypala ze swojej pamięci całe połacie wspomnień, który świadomie amputuje przeszłość, aby stworzyć się na nowo jako ktoś zupełnie inny niż dotąd, musi mieć nie po kolei w głowie. Ciekawiło ją, co powiedziałyby o kimś takim lekarz, więc któregoś dnia zapytała o to ojca Tereni Polińskiej, znanego miejscowego psychiatrę. Doktor Poliński orzekł, że żaden z rodzajów schizofrenii – przynajmniej w dosłownym, medycznym sensie – to nie jest, ale z pewnością wchodzi tu w grę jakaś mania, jakieś silne zatrucie świadomości, połączone – a może wynikające – z lektury Nietzschego, z bezgranicznej i bezkrytycznej wiary w czystą i wszechpotężną Wolę, która pozwala człowiekowi konstruować się w dowolny sposób, niezależnie od wszelkich warunków zewnętrznych. Cóż, podsumował doktor, typowa przypadłość współczesnej niemieckiej psyche, całkowicie zainfekowanej faszyzmem. Za jej wzorcowy przykład może uchodzić sam Hitler.

Gregorius odsunął nieco miedzioryt i studiował go w milczeniu. Śledząc spojrzenie antykwariusza, odniosła wrażenie, że porusza go nie tyle przejmująco ukazane przez włoskiego rytownika ścierwo architektury, ile buszujące między ruinami ludzkie robaki – żebracy, pijacy, obdartusy, wszelkiego rodzaju wyrzutki. I ona zatem zaczęła się przyglądać tym groteskowo-widmowym postaciom w postrzępionych ubraniach, grzebiącym zachłannie w gruzach, wymachującym widlastymi łapskami, przesiadującym na kamieniach i coś do siebie wrzeszczącym. Najwyraźniej zerowali w nadziei, że znajdą jakąś splekaną skorupę lub inną pozostałość minionego

imperium, którą zanoszą handlarzowi antyków lub sprzedadzą bezpośrednio jednemu kręcących się w pobliżu miłośników starożytności. Takemu jak choćby jej pryncypał.

– Niech pani spojrzy, Dorothea! Co pani widzi?

Stary łobuz! Czasami poddawał ją takim niespodziewanym egzaminom na spostrzegawczość, wrażliwość, logiczne myślenie. Jakby chciał sprawdzić, czy ktokolwiek – zwłaszcza kobieta – jest zdolny do objęcia rozumem i odczuwania tego samego, co on. Zawsze wpadała wtedy w panikę, bo nie wiedziała, czy on wolałby, żeby błysnęła autentyczną inteligencją, czy wręcz przeciwnie – by okazała się jedynie powierzchownie wyedukowanym głuptaskiem. I czy lepiej wtedy tak tam sobie ogólnie pofilozofować, czy może rzucić jakąś jadowitą aluzję do współczesności? Teraz nasza ją wielka ochota, by wypalić, że widzi dzisiejszą Grossdeutches Reich, ale szybko ugryzła się w język. Ryzyko, że mu się to nie spodoba, było jednak zbyt duże. A poza tym – co wolno księciu, to nie prosięciu. I po krótkim namyśle zaczęła snuć wywód na temat niezwykłego talentu Piranesiego do obdarzania ruin czymś w rodzaju życia. Kiedy człowiek wpatruje się w nie dłużej, przekonywała, nie może się pozbyć wrażenia, że to nie martwy obiekt, ale żywe, cierpiące ciało. Prawda? Ciało haratane nieustannie przez ciosy czasu, drżące pod kolejnymi razami przemijania, broczące krwią z otwartych ran. Między widzem a budowlą z ryciny powoli zadzierzga się więź sympatii, współczucie, takie samo jak między ludźmi. Więcej nawet; po pewnym czasie widz zaczyna się zastanawiać, czy to, co przed sobą widzi, jest naprawdę miejskim widokiem, czy może jego własnym portretem odbitym w tajemnym lustrze. Kikuty tryumfalnych łuków stają się nagle jego kończynami, okienne otwory zmieniają się w jego oczy, rotundowe sklepienia odczuwa jako własne, pulsujące czoło. Czy on, spojrzawszy na Gregoriusa, nie odnosi właśnie takiego wrażenia? Bo ona zdecydowanie tak.

Antykwariusz łypnął na nią spochmurniałym spojrzeniem, w którym usilnie skrywane miłe zaskoczenie mieszało się z czymś, co wyglądało na wyraźny lęk. Lęk przed czym? Przed tym, że kobieta też potrafi myśleć? Czy przed tym, że ktoś zbliżył się doń bardziej niż miał na to ochotę i na dodatek odczytał jego myśli? Domyślała się, że pewnie i przed jednym, i przed drugim. I wiedziała, co się zaraz stanie.

– A ta kiełbasa długo tu będzie leżeć?! – Wskazał rozeźlonymi oczyma

na plecak. – Nie jesteśmy u rzeźnika!

[57](#) (niem.) Ewakuacja.

[58](#) Z niem. *Untermenschen* – podludzie.

[59](#) Z niem. *Hilfdienste* – Służba Pomocnicza.

[60](#) Dzień dobry, panno Pahlen (niem.).

[61](#) (niem.) Polakom wstęp na teren parku wzbroniony.

[62](#) (niem.) Szkoła muzyczna.

[63](#) (niem.) Teatr miejski.

[64](#) (niem.) Dom Niemiecki.

[65](#) (niem.) Czy Pani jest Niemką?!

[66](#) (niem.) Pani jest fałszywą Niemką! [Tak Niemcy nazywali Polaków, którzy podpisali folkslistę chociaż wcale nie czuli się Niemcami].

[67](#) (niem.) Okręg Rzeszy Kraj Warty.

[68](#) (niem.) Nienadający się do pracy na Wschodzie.

[69](#) (niem.) Związek Polaków Pracujących Wydajnie. Kategoria ludności, która ze względu na czysto polskie pochodzenie nie mogła podpisać folkslisty, ale deklarowała lojalność wobec Trzeciej Rzeszy.

[70](#) (niem.) W starym niemieckim mieście Kaliszu.

[71](#) (niem.) Niemiecką Listę Narodowościową.

[72](#) (niem.) Pani.

[73](#) Gazeta codzienna wydawana w Poznaniu.

[74](#) Z niem. *Blokleiter* – dowódca najmniejszej komórki NSDAP.

[75](#) (niem.) Dzień dobry, panie Gregorius!

[76](#) (niem.) *Boska komedia*.

[77](#) (niem.) Tak.

[78](#) (niem.) Mój Boże!

[79](#) (wł.) Ruiny starożytnej Villa Barberina opodal Castel Gandolfo.

[80](#) (niem.) Cudownie!

[81](#) (niem.) Tereny wcielone [do Rzeszy].

ROZDZIAŁ CZWARTY

Woskriesienie, piatnatcatoje oktiabria⁸²

Podśpiewując wesoło pod nosem arię z *Eugeniusza Oniegina*, szedł śpiesznie w kierunku domu. Wysoko ponad nim pędziło ciemnogrnatowe niebo, rozżarzone jak dogasające palenisko, na którym podmuch wiatru zbudził pomarańczowe iskry. Obowiązkowe *Verdunklung*⁸³ miało mnóstwo wad i jedną niewątpliwą zaletę – ułatwiało obserwacje astronomiczne. Na rogu Toruńskiej i Skarszewskiej zatrzymał się i zadarł głowę. Miliard gwiazd tańczyło i wirowało, układało się w łańcuchy i klucze, dolatywało do najdalszych krańców nieba i rozpalało je do białości, łączyło się w wielkie roje i wybuchało niczym sztuczne ognie. Pod wpływem tego widoku, którego niezwykłość podsycala niewątpliwie wypita orzechówka, aż wstrzymał oddech w piersiach. I tak dziwnie – jednocześnie miło i strasznie – zakręciło mu się w głowie. Nagle poczuł, jak od stóp do głów przenika go podniecający metafizyczny dreszcz i z wrażenia aż się zachwiał i o mały włos nie upadł. Odzyskawszy równowagę, ruszył dalej, lecz zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy nagle znowu się zatrzymał. Co on zrobił, *staryj durak*⁸⁴, co on zrobił?! Wychodząc od Dorotki, zapomniał o paczce z jedzeniem! Zostawił ją w przedpokoju! Jak mógł być tak bezmyślny? Stary osioł! Sklerotyk! Przecież to, co Katarzyna wkładała zawsze do takiej paczki, wystarczało na dwa, czasem nawet na trzy dni. Nawet nie chciał liczyć, ile musiałby zapłacić za tyle jedzenia, gdyby kupił je na czarnym rynku. I on to wszystko zostawił! Spojrzał na zegarek, ale miał za bardzo w czubie, by nawet przy tych gwiazdach cokolwiek dostrzec. Zresztą nie było co patrzeć. Jeśli wróci po paczkę, nie zdąży do siebie przed godziną policyjną. Niech to szlag!

Dotarłszy do domu, szybko się rozebrał i położył na tapczanie stojącym

w zasłoniętej wiśniową kotarą wnęce. Ale nie mógł zasnąć. Pozostawiona na Warszawskiej paczka nie dawała mu spokoju. Myślał o niej i myślał. Cóż, westchnął, trzeba będzie pójść po nią nazajutrz. Potrzebował tego jedzenia. Musiał przecież dbać o swoje już niemłode, drobne ciało, w którego kokonie nieznana siła wypchnęła go na świat przed czterdziestu pięciu laty i na które od tamtej chwili był nieodwołalnie skazany. Cóż z tego, że co rano robił szwedzką gimnastykę, że mył się wyłącznie w zimnej wodzie, a po myciu wcierał w skórę wodę kolońską? Cóż z tego, że odżywiał się zdrowo, nie palił, pił na ogół z umiarem, a co niedziela dla utrzymania kondycji urządzał parogodzinny marsz za miasto? I tak przez całe życie wyglądał na mizerne chucherko, a teraz na dodatek zaczynały go szpecić szybko pogłębiające się bruzdy nad czołem, stale rosnące worki pod oczyma i nieprzyjemnie żółknące zęby. No i przede wszystkim ta przekłeta łysina, która coraz żarłoczniej wylizywała resztki rudawych włosów! A przecież ten żałosny wygląd zupełnie się rozmiął z rzeczywistymi możliwościami organizmu. Mięśnie miał jak ze stali, chorował niezmiernie rzadko, zaś jego męskie siły jak dotąd nie doznały żadnego, nawet najmniejszego, uszczerbku. Mógł jeszcze uszczęśliwić kobietę, mógł się ożenić, a nawet mieć dzieci – czemu by nie? Ostatecznie jego starokawalerstwo to rezultat przypadku, życiowego pecha, a nie świadomego wyboru. Kandydatek do wydania się zań nigdy bowiem nie brakowało. Może zresztą na tym polegał problem, że było ich zbyt dużo i w związku z tym sam dobrze nie wiedział, którą wybrać. Z tych, co kręciły się przy nim w ostatnich latach, najbardziej pasowałyby mu Renia Bugajewiczowa, trzydziestopięcioletnia bezdzietna wdowa po urzędniku magistratu. Dobrze wychowana, delikatna jak mimoza, a przy tym ładniutka, że aż miło. Jej buzia, mimo drobnutkich zmarszczek wokół oczu, wciąż zachowała dziewczęcy urok, a widok pełnych piersi, wysypujących się zza głębokiego dekoltu niczym dojrzałe jabłka z przepelnionego koszyka, każdego mężczyznę przyprawiał o błysk ognia w oku. Nie wspominając o dorodnych biodrach, chybotających się kusząco pod opinającą je mocno sukienką. *Krasawica!*⁸⁵ Cóż, kiedy chorobliwie nieśmiała. Kiedy po powitalnym pocałunku w dłoń próbował przytrzymać dłużej jej rękę, szybko ją wyrywała. A czerwieniła się przy tym jak burak. Robiła, co się da, żeby się tylko nie dotykali, żeby dzielił ich wyraźny dystans. Z jednej strony uśmiechała się miło, puszczała czułe spojrzenia, zabawiała go swobodną,

niewymuszoną rozmową, rozpieszczała upieczonymi przez siebie ciastami, a jednocześnie cały czas odgradzała się grubą lodowatą szybą. Raz udało się ją namówić, żeby poszli na tańce, no i wtedy, na parkiecie, nie mogła już zabronić się objąć. Ale w czasie tańca, zamiast spokojnie oddać się ruchowi, rozluźnić, swobodnie wirować, cały wysiłek wkładała w to, by ich ciała nie zbliżyły się do siebie za bardzo. To nie był żaden taniec, lecz jakieś zmaganie się, mocowanie, walka. Nigdy w życiu się tak nie zmęczył; aż się spocił z wysiłku. I po jakimś czasie dał sobie z Renią spokój. Nie po to chciał się żenić, żeby spali z żoną w oddzielnych łózkach. Pragnął zapadać – i to nie raz, kiedyś, od przypadku do przypadku, lecz każdej nocy, a i nie tylko w nocy – w ciemną, słodką toń kobiecego ciała. Tak jak się to zdarzało z Jadźką. Na samo wspomnienie Jadźki twarz mu pokraśniała. Dwudziestopięcioletnia rezolutna czarnulka pracowała przy inspektach w folwarku majkowskim. Mimo że niewysoka, zbyt szczupła, ledwie zaokrąglona tam, gdzie należy, rzucała na każdego nieodparty urok. Same tylko iskry tryskające z dna jej małych czarnych oczek potrafiły doprowadzić człowieka do stanu wrzenia. Tak, Jadźka nie wzbraniała mu siebie, o nie. Wręcz przeciwnie, wykazywała do tych spraw wielką ochotę. Do białego świtu turlała się z nim po tapczanie i wciąż było jej mało. Zatem, chociaż dwoił się i troił nad tym szczupłym rozpalonym ciałem, nie opuszczała go przygnębiająca świadomość, że tak do samego końca, tak bardzo, jak by Jadźka chciała, zadowolić jej nie potrafi. A ponieważ spotykali się raz na tydzień, raz na dziesięć dni, zachodziło logiczne podejrzenie, a nawet stuprocentowa pewność, że ona w tym czasie nie próżnuje i że nie tylko on jeden jest beneficjentem jej nieposkromionego temperamentu. Na dodatek zbyt pyskata była, zbyt zadziorna, a w gniewie nieprzyjemnie wulgarna. Co tu dużo gadać – zwykła prostytutka. Jak tu taką zabrać na herbatę do doktora Matuszewskiego albo na kolację do Dorotki? Wstydu by tylko narobiła! Więc chociaż sama wciąż czyniła aluzje do żeniaczki, sądził, że to zły pomysł. I chociaż żałował tych cudownych seansów niczym nieutemperowanej namiętności, od dłuższego czasu spotykał się z Jadźką sporadycznie. Ostatni raz – bodaj w sierpniu. Na szczęście była jeszcze Sabina, ekspedientka z Tabakverschleiss⁸⁶ na Śródmiejskiej. Cicha, miła dziewczyna, spokojna i robotna. Musiało się mocno rzucać w oczy, że jest dużo wyższa, zwłaszcza że jak wiele innych dziewczyn lubiła chodzić

w butach na modnych, wysokich koturnach. Gdy szli gdzieś razem, na przykład na potańcówkę, śledziły ich nieprzyjemnie zdziwione spojrzenia młodych byczków. Czasami przepełniała je drwina, czasami ponura zazdrość o starego pryka obejmującego władczy gestem ładną postawną dziewczuchę. Co tu ukrywać, w tym drugim przypadku odczuwał nie lada satysfakcję. Więc w sumie nie przeszkadzało mu, że jest znacznie wyższa. Tym bardziej że w łóżku wszystko się wyrównywało. Tyle że właśnie w łóżku wychodziło marnie. Sabina po prostu kładła się na wznak i czekała, aż on się zajmie całą resztą. Początkowo nawet nogi musiał jej rozsunąć, bo sama by tego nie zrobiła. Powoli, powoli udało mu się nauczyć ją tego i tamtego. I nie można zaprzeczyć: do wszystkich sugestii stosowała się z pokorą psa słuchającego poleceń pana. Mówił: stań tak a tak, a natychmiast stawała. Kazał unieść nogi – zaraz unosiła. Polecał, żeby położyła się na brzuchu, a już się przekręcała przy akompaniamencie skrzypień starego tapczanu. Lecz wszystko to czyniła bez najmniejszego entuzjazmu, bez jakiegokolwiek osobistego zaangażowania. Trudno się było przekonać, czy ona w ogóle odczuwa jakąkolwiek fizyczną satysfakcję. W finale oddychała nieco głośniej i koniec. Drażniło go to coraz bardziej i coraz mocniej frustrowało; w końcu nie chciał mieć do czynienia z manekinem, lecz z kobietą z krwi i kości. No i to jej ciągle milczenie! W zasadzie w ogóle się nie odzywała, a na pytania odpowiadała krótko. „Tak”, „nie”, „mogę”, „nie mogę”. Kiedy dawał jej do przeczytania książkę, to owszem, czytała, ale nic na jej temat nie dawało się z Sabiny wydobyć. Oprócz może: „Podobała mi się” lub „nie podobała mi się”. Zapytana, dlaczego się jej podobała lub dlaczego nie, nie umiała już wydukać ani jednego sensownego zdania. A on nie potrafił żyć bez rozmów o książkach, bez czytania gazet, bez wielogodzinnych dyskusji o tym, co się dzieje na świecie. Więc wszystko wskazywało na to, że i z tej mąki, niestety, chleba nie wypieczę.

Sen wciąż nie przychodził. Co jest, przeżarł się, czy co? Zapalił nocną lampkę, wstał i zaczął spacerować wzdłuż opartych o jedną ze ścian książek, poukładanych jedna na drugiej w sięgające do pasa kolumny. Lwią część zbioru stanowiła biblioteka po bogatych Żydach, którzy w pierwszych dniach wojny uciekli do Warszawy, zostawiwszy cały majątek na pastwę losu. Nowi właściciele mieszkania, Niemcy ze Stawiszyna, sprezentowali książki chłopu, który drabiniastym wozem przywiózł do Kalisza ich dobytek. Pięć tysięcy woluminów! Nie chcieli u siebie „żydowskiej biblioteki”. Bogu dzięki,

że wypatrzył wóz na ulicy i tknięty złym przeczuciem zapytał chłopca, co to za książki i co ma zamiar z nimi zrobić. Tamten odparł szczerze, że będzie nimi palić w piecu. *Smatrj, kakoj sukinsyn!*⁸⁷ Chciał sobie ogrzewać tyłek Stendhalem w oryginale! Wściekły jak chyba jeszcze nigdy w życiu, wyzwiał chłopca od takich i owakich i zagroził wymyślonym tajnym sądem wojennym za niszczenie dóbr narodowych. Nie dość, że przestraszony chłopiec pokornie oddał książki, ale jeszcze przywiózł mu je pod sam dom.

Wybrał opowiadania Bunina, które przysłał mu z Paryża Wadim, bratanek, i wrócił do łóżka. Otworzył tom na spisie treści i zastanowił się, co by tu wybrać? *W nocznom morie*⁸⁸? Nie, to czytał niedawno. *Mitina liubow*⁸⁹? O nie, to zbyt źle się kończy. Pragnął czegoś, co pozostawi człowieka w przekonaniu, że jednak sekundy szczęścia są warte zapłacenia za nie minutami rezygnacji, godzinami zwątpienia, tygodniami samotności. O, *Ida* by się nadała! Ale historia opisana w *Idzie* dzieje się zimą, a on wolał sobie w ogóle nie przypominać, że istnieje coś takiego jak zima i że na dodatek to coś zbliża się wielkimi krokami, i że znów przydziały węgla będą śmiesznie małe, i że trzeba będzie za ciężkie pieniądze dokupować go na czarnym rynku, a i tak nie wystarczy na porządne ogrzanie mieszkania. Brrr! Więc nie, *Ida* nie, mowy nie ma! O, znalazł! *Sołniecznyj udar*⁹⁰. To jest to, czego mu dziś trzeba. Słoneczne porażenie! Ucieszony, otworzył książkę na właściwej stronie i poprawiwszy okulary, zaczął czytać. „*Poslie obieda wyszli iz jarko i goriaczo oswieszczennoj stołowej na pałubu i ostanowilis u porucznej. Ona zakryła głaza, ładonju naruzu priłożyła ruku k szczyokie, zasmiejałas’ prostym, prieliestnym smiechom – wsio było prieliestno w etoj malienkoj ženszczinie – i skazała: Ja, kazetsa, pjana...*” Czytał powoli, czekając, aż wywołany każdym słowem obraz rozpuści się w wyobraźni niczym rzucone na rozgrzaną patelnię masło. Oczywiście, nie wystarczało mu pozostawanie jedynie świadkiem przygody, jaka w upalną letnią noc, pełną szampana, gwiazd i marzeń o miłosnym szczęściu, spotkała na płynącym po Wołdze statku niewymienioną z imienia i nazwiska kobietę oraz równie anonimowego oficera. Już po kilku liniijkach sam stał się oficerem. I to on po obiedzie wyszedł z jasno oświetlonej i nagrzanej jadalni na pokład i zatrzymał się przy balustradzie, a potem przypatrywał się, jak ona przymyka oczy, przykładając do policzka wierzch dłoni, śmieje się naturalnym, uroczym śmiechem – wszystko tak zachwycało w tej drobnej kobiecie! –

i wyznaje: Jestem zupełnie pijana... To on namawiał, żeby wysiedli w najbliższym miasteczku i zadrzał, gdy ona po krótkim wahaniu niespodziewanie wyraziła zgodę. On jechał z nią dorożką po piaszczystej drodze do hotelu, gdzie bagaże wniósł na górę stary, nieogolony służący w różowej koszuli. On wszedł za nią do dusznego numeru z białymi firankami w oknach i dwiema świecami na konsoli pod lustrem. I to on, zaraz po wyjściu służącego, przyciągnął ją do siebie i zaczął się z nią szaleńczo, zapamiętale całować. Następnego zaś dnia, gdy ona już odpłynęła, to on czekał na następny statek, spełniając jej dziwaczne życzenie, by dalej podróżowali osobno. I to wreszcie on włóczył się przez cały dzień po miasteczku i zastanawiał się nad sensem tej przygody i w ogóle całego życia. I tak zastanawiając się, nawet nie zauważył, kiedy powrócił znad Wołgi nad Prosnę i z porucznika stał się z powrotem podstarzałym starym kawalerem, żalonym tchórzem, któremu wciąż nie wystarczało odwagi, by się wreszcie oświadczyć i ożenić.

Dla ucukrowania frasunków postanowił wypić jednego. Wstał i przyniósł z kuchni małą karafkę bimbru doprawionego dla smaku sokiem malinowym. Z orzechóweczką Katarzyny nie mógł się on równać, ale co robić? Postawił karafkę na nocnym stoliczku i podciągnąwszy do góry poduszkę, usiadł w łóżku. Kartkując książkę i poczytując fragmenty to tego, to owego opowiadania, wypił jeden, drugi, trzeci i czwarty. Sam nie wiedział, kiedy opróżnił pół karafki. Po godzinie, widząc, że oczy same mu się kleją, odłożył książkę, zgasił lampkę i od razu zapadł w ciężki, mocny sen.

W środku nocy obudziło go potworne pieczenie w gardle. Wstał, założył okulary i poczłapał do kuchni, by napić się wody. Jego ciało zalewały fale torturującego gorąca, w głowie mu huczało, przed oczyma tańczyły mroczki. Pochłonawszy duszkiem kubek zimnej wody, pomyślał, że dobrze mu zrobi świeże powietrze. W przedpokoju odnalazł po omacku buty i wsunąwszy w nie stopy, wyszedł na klatkę schodową. Już tutaj poczuł przyjemny cucący powiew. No tak, komuś znowu nie chciało się zamknąć drzwi na podwórze. Ech, co za ludzie! A potem będą gardłować, że koty robią na słomianki albo że przeciąg stłukł szybę.

Zszedł po schodach i stanąwszy w drzwiach, zaczął głęboko oddychać rozkosznie chłodnym powietrzem. I od razu poczuł się lepiej. Uniósł głowę i zaczął się znowu przyglądać rozgwieżdżonemu niebu.

Raptem usłyszał jakieś podejrżane odgłosy. Odruchowo znieruchomiał.

*Czort pobieri!*⁹¹ Co jest? Co tak ni to szura, ni to sapie? Bacznie nadstawił uszu. Dźwięk dochodził wyraźnie z zaułka między murem a komórkami, gdzie znajdowała się furka prowadząca do ogrodu. Zapуścił tam wzrok, lecz na próżno – większość podwórza ginęła w smolistych ciemnościach.

– Kto tam? – zapytał gniewnie dla dodania sobie odwagi, chociaż już się domyślił, że to pewnie Matczak. Na polecenie Helgerta, właściciela kamienicy, stróż sprawdzał każdej nocy, czy złodzieje nie dobierają się czasem do trzech starych jabłonek, na których rosły piękne malinowe jabłka, zbierane późno, dopiero w końcu października. Helgert miał na ich punkcie prawdziwego fisia. Nic zresztą dziwnego, bo jabłka były przepyszne – twarde, kruche, słodkie. Po prostu niebo w gębie!

Szmary ustały jak nożem uciał. Cisza, jaka zapadła, szybko zaczęła nieprzyjemnie tężeć. Poczłł się nieswojo. Przecież słuch go nie mylił – coś wyraźnie szeleściło. Może to kot polował na szczura? Nie... Jak na kota, coś za duzo było tych hałasów. Tam musiał być człowiek. Pan Tosiek? Ale pan Tosiek nie straszyłby przecież sąsiadów, odezwalby się... No, chyba że sam podprowadzał Helgertowi jabłka i nie chciał, by się to wydało. Tylko że o czym jak o czym, ale o tym to i tak wszyscy dobrze wiedzieli. Przełknął z trudem ślinę i zawołał szeptem:

– To pan, panie Tošku?

Ciemność odpowiedziała złowrogim milczeniem.

– To pan, panie Tošku? Człowieku, odezwijże się, do cholery!

– Pon profesor?

Kamień spadł mu z serca.

– Niech pon tu przyndzie, profesorze, szybko!

Po chwili wahania przybliżył się niechętnie, bo nie chciał mieć nic wspólnego z ciemnymi sprawkami Matczaka. W tych obłądnych czasach należało się trzymać zasady, że im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz. Chociaż z drugiej strony, zjadłoby się chrupiące jabłuszko, oj, zjadło!

– No co tam, panie Tosiu?

– Kuknij no pon, jaki pasztet!

Na ziemi u stóp dozorca rysował się jakiś niewyraźny kształt, ale w tych egipskich ciemnościach nie można było dostrzec, co to takiego. Pochylił się, z całych sił wyteżył wzrok, ale wciąż nic nie widział. Wtem błysnęło znieścacka żółte światło ręcznej latarki i jego snop wydobył z mroku młodą

kobietę. Leżała na wznak z dziwacznie wykręconymi nogami.

– Jezus, Maria! – Aż odskoczył na widok wytrzeszczonych wprost na niego zaszklonych oczu, wykrzywionych w grymasie przerażenia ust i wielkiej czerwonej plamy na bluzce i zakiecie.

Latarka zgasła równie nagle, jak się zapaliła, i trup zniknął. Zszokowany, przeżegnał się błyskawicznie kilka razy, jakby odczyniał zły urok. Czyżby mu się przywidziało? Sterczał sztywno, zamieniony w słupek soli, nie mając pojęcia, jak się zachować. Otaczająca go ciemność stała się nagle nieprzyjemnie lepka – jak świeżo zakrzepła krew. Wreszcie ostrożnie wysunął do przodu prawą nogę. Prawie natychmiast czubek buta natrafił na coś miękkiego, ciężkiego i bezwładnego. Spanikowany i przepełniony wstrętem, szybko cofnął nogę. Więc jednak mu się nie przywidziało! Trup nie był złudzeniem; przykryty w tej chwili kocem nieprzeniknionej czerni, leżał tuż u jego stóp. *Boże moj!*⁹² Co robić?!

– Widzioł pon profesor? Fachowo jom sukinsyn dziabnoł. Prościusieńko w syrcle! Założe sie, że ani zipła.

Ku swemu najwyższemu zdziwieniu, uświadomił sobie, że to dopiero jego pierwszy trup tej wojny. Trudno uwierzyć, ale mimo że rzeź trwała od pięciu lat, dotąd nie widział na własne oczy żadnego zabitego. Bogu dzięki, że nie widział! W czasie wojny domowej, którą po przymusowej ewakuacji z Kalisza spędził w Woroneżu, dosyć się naoglądał trupów. Chyba z paręset. Łącznie z trupami obu starszych braci. Kołę, najstarszego, rozstrzelali bolszewicy, ponieważ był carskim oficerem. Mikołaja powiesili biali, bo walczył po stronie czerwonych. Stało się to w odstępie zaledwie dwóch tygodni. Sam wkładał do trumny ciało Mikołaja i osobiście był obecny przy ekshumacji zwłok Koli, pochowanego w masowym bezimiennym grobie. Czwartego, Pietrka, najmłodszego wśród rodzeństwa, nie miał okazji pochować, bo zamordowała go jakaś chłopska banda, która napadła na pociąg i wyrznęła wszystkich „burżujów”.

– Ja ją znam – wykrztusił z trudem. – To znaczy: znam z widzenia. To Żydówka.

– Tygo akurot ni musisz mi pon godoć. Jo roz na Żyda spojrze i od roku wim, że to Żyd.

– To córka Jodłowskiego. Tego od koronek.

– Ciekawe tylko – zdziwiła się ciemność – jok ta cholera tu wlozła?

Przecie furka do ogrodu coły czos zawarto na klucz. Przez mur ni przyskoczyła, bo to prawie trzy mytry, wienc ni mo takij muźliwości. Na mietle tyż ni przylecioła.

– Więc... Więc to nie pan ją tak, panie Tośku?

Ciemność się obruszyła. Czy on z byka spod?! Matczoki może i proste ludzie, ale nie rzyźniki, nie hitlersyny! Kurze albo gynsi łyb uciuć, królikowi kark przytruncić, szczynioki w rzyce utopić – prosze bardzo, czymu ni? Ale człowika ukatrupić?!

– Boże drogi, więc kto ją tak?

Ciemność syknęła, żeby mówił ciszej. Czy on chce tu zbigowisko zrobić?! A kto jom tak urzondził, to skond oni majom wiedzieć? Czy oni Duch Świnty? Ale jedna rzycz pewna: to sie niedawno stało, bo jiszcze ciepła, a i krew ni zdunżyła porzundnie skrzypnunć.

Zapadła ciężka cisza. W jego pękającej z przepicia głowie zaterkotał projektor wyświetlający film z maja trzydziestego piątego roku, z uroczystości ku czci zmarłego właśnie Marszałka. To tam ujrzał ją po raz pierwszy. Miała na sobie sukienkę najnowszego paryskiego kroju, na głowie kapelusz z olbrzymim rondem, w rękę trzymała bukiet czerwonych róż. Pograżona w smutku, nie zwracała uwagi na śledzące każdy jej ruch spojrzenia mężczyzn. *O Gospodi!*⁹³, w życiu nie widział piękniejszej dziewczyny! Potem gdzieś słyszał, że podobno jeden wojskowy strzelił sobie nawet przez nią w łeb.

Ciemność przerwała mu seans wspomnień ciężkim, zafrasowanym westchnieniem. W lot pojął jego sens.

– I co my z nią zrobimy, panie Tosiu? Przecież nie możemy jej tak zostawić!

– Ano ni możemy – potaknęła ciemność. – Pywnie, że ni możemy, bo niszczyńście dla cały kaminicy gotowe.

Dopiero teraz dotarło doń, że samo odnalezienie na podwórku ludzkich zwłok to jeszcze nic. Włos na głowie jeżyła dopiero myśl o możliwych konsekwencjach. *Boże miłostiwj!*⁹⁴, gdyby Niemcy powzięli podejrzenie, że zamordowaną przechowywał przez tyle lat któryś z mieszkańców, przewróciliby kamienicę do góry nogami. U niego, co prawda, niczego by nie znaleźli – mięso z nielegalnego uboju już zjadł, a żadnych innych zabronionych rzeczy na szczęście nie miał. Kiedy przed czterema laty

Dorotka zapytała, czy nie mogłaby przechowywać u niego pewnych papierów, zdecydowanie odmówił. Domyślał się, że nie chodzi o przepisy kucharskie i nie chciał kłaść głowy pod topór. Ale inni lokatorzy mieli na pewno jakiś lewy towar, za którego posiadanie jak nic wylądowaliby w obozie, a może nawet na stryczku. Pan Jerzmanowicz zostawił sobie przecież radio, a u młodych Matuszewiczów z pewnością znalazłby się jakieś ulotki. Gdy sobie to uświadomił, wydało mu się, że dźwiga na plecach niewyobrażalny ciężar.

– To co robimy?

Ciemność odparła, że ni ma co kombinować. Wezmom jom do sadu i zakopiom. Innego wyjścia ni ma.

– Panie Tošku, zaraz, zaraz. Zastanówmy się. Z policją to ma pan rację... Ale z tym sadem... Jakoś głupio ją tak po prostu zakopać. Przecież to człowiek jest! Jakże to, gdzieś pod krzakiem, jak psa?

Ciemność pociągnęła nosem. Pywnie, że gupio. Ale czy to oni ty gupiom wojne wymyślili? Zrysztom mało to tyroz ludzi gnije po lasach, czynsto nawyt byz grobu? A ta bydzie se w sadzie lyżeć. Po wojnie sie jom odkopie i przewizie na cmyntorz. No, daligo! Ni ma co filozofować!

Z sieni dobiegło walenie pięścią we wrota.

– *Aufmachen!*⁹⁵

Machinalnie odwrócił głowę, porażony nie tyle strachem, ile raczej przytłaczającym zdziwieniem. Nie, nie, nie, to niemożliwe, to jakiś piekielny żart, to się nie dzieje naprawdę! To jedynie koszmary sen – nic więcej. Wszystko przez ten cholerny bimber! Po co tyle pił, skoro ma słabą głowę? Po co?

Walenie pięścią się powtórzyło – tym razem znacznie głośniejsze i niecierpliwse.

– *Aufmachen, zum Teufel! Hört ihr nicht?! Aufmachen! Schneller!*⁹⁶

– Musze otworzyć – oświadczył Matczak z takim opanowaniem, jakby do bramy nie dobijali się Niemcy, tylko pijany lokator. – Mosh pon tu klucz do furtki! Wywlecj jom w trymiga do ogrodu i siedz tam cicho!

Zanim zdążył zaprotestować, dozorca przeskoczył przez zwłoki, wepchnął mu do ręki klucz i pokuśtykał prędko w kierunku sieni.

– Już ide! Już otwirom!

Spoglądał za nim nieprzytomnym wzrokiem, wciąż nie mogąc uwierzyć,

że to wszystko dzieje się rzeczywiście. I nagle niedowierzenie przeszło w okamgnieniu w dziką panikę. Pod jej wpływem aż mu zaiskrzyło w głowie od myśli pędzących z prędkością błyskawicy. Wywlec do ogrodu? A jeśli Niemcy i tam zajrzą? Diabli wiedzą, po co się zjawili! Znajdą go z nią i co wtedy? Jak się wytłumaczy? Głowa aż mu spuchła od szukania wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Raptem jego błędzące bezładnie spojrzenie przepaliło gęsty mrok i ni stąd, ni zowąd zatrzymało się przy trzech studzienkach szamba. Doznał olśnienia. Szambo! Szambo! Gdzie jak gdzie, ale do szamba Niemcy na pewno nie zajrzą! Po co mieliby zaglądać do szamba?

Bez zastanowienia chwycił za kołnierz zakietu i z energią, o jaką nigdy w życiu sam by siebie nie posądział, pociągnął zwłoki na środek podwórza. W sieni zapaliło się mdłe światło granatowej żarówki – znak, że stróż zaraz otworzy bramę. Na szczęście ten fragment podwórka zawsze pozostawał w cieniu. Otworzył szybko prostokątny żelazny włącz i natężywszy wszystkie siły, próbował wepchnąć ciało do środka. Okazało się, że nie jest to wcale takie proste. Otwór był dość ciasny, a bezwładne ciało stawiało zdecydowany opór. Naprężył wszystkie mięśnie, czuł, jak pot zalewa mu wychodzące ze strachu i wysiłku oczy. Już przepchnął ramiona, na szczęście szczupłe, kiedy nagle w głowie zadzwonił mu alarmowy dzwonek. Co on wyczynia, *staryj durak*, przecież z tego szamba z włączem wybiera się co dwa tygodnie! Nie można tu ukryć zwłok, bo za parę dni i tak je znajdą. Trzeba je wrzucić do tego obok, zakrytego na stałe. A najlepiej do tego trzeciego. One są tam jakoś połączone w środku rurami, żeby przepływało z jednego do drugiego. I tego ostatniego, zdaje się, nigdy nie trzeba odkrywać. Zostawił ciało, błyskawicznie doskoczył do trzeciego szamba i włożywszy palce pod okrągłą betonową pokrywę, spróbował dźwignąć ją trochę i przesunąć na bok. Ba, łatwo powiedzieć! Pokrywa ważyła chyba z tonę. Jeszcze raz natężył wszystkie siły. Płyta lekko drgnęła, chrobocząc głucho o cembrowinę. Wziął głęboki oddech i jakimś cudem udało mu się odsunąć ją kawałek – na tyle, aby w powstałej szczelinie zmieściło się swobodnie ciało, ale znów nie aż tak, żeby nie było problemów z ułożeniem pokrywy na miejscu. Przyciągnął zwłoki i zaczął je wpychać do środka. Tym razem poszło gładko. Ledwie biodra trupa minęły skraj cembrowiny, a własny ciężar pociągnął ciało w dół. Usłyszał kojące chlupnięcie. Jednocześnie w bramie zastukały podkute buty i dobiegł stamtąd wściekły wrzask:

– *Warum machst du nicht auf, verflucht?!⁹⁷*

– Społem, ponie oficjerze, środek nocy przycie. Ni słyszołem...

– Jak ja tfoja koszczi porachować, to ti topsze slyszeć, ti *Schweinehund!*⁹⁸

Zaczął przesuwac pokrywe z powrotem, przekonany, że cały świat słyszy towarzyszący temu chrobot. Potem, ciężko dysząc, pomknął skulony do swojej klatki. W kilku susach wbiegł po schodach i wpadł do mieszkania. Zatrzasnął z impetem drzwi i błyskawicznie przekręcił klucz w zamku. Osunął się bezwładnie na podłogę. Dopiero teraz poczuł, ile wysiłku kosztowało go to wszystko. Serce mu waliło, jakby się wściekło, ciało aż się lepilo od potu. Mimo nieludzkiego zmęczenia zaczął się gorączkowo zastanawiać co dalej? Trzeba by coś zrobić, tylko co? I nagle uświadomił sobie, że właściwie nie ma nad czym medytować. Niby co mógł w tej sytuacji zrobić? Mógł tylko czekać, co się stanie. Czekać, aż po niego przyjdą. Ewentualnie modlić się, żeby nie przyszli. No właśnie, modlić się! Modlić! Odetchnął kilka razy dla zebrania sił, wstał i przytrzymując się ściany, powlókł się do pokoju. Dotarłszy do łóżka, nad którym wisiała niewidoczna w tej chwili ikona, opadł na kolana, po czym zaczął się w kółko żegnać, bić jak oszalały pokłony i szybko, niczym w malignie, powtarzać:

– *Gospodi pomituj! Gospodi pomituj! Gospodi prosti mienia griesznowo!*⁹⁹

[82](#) (ros.) Niedziela, piętnastego października.

[83](#) (niem.) Zaciemnienie.

[84](#) (ros.) Stary dureń!

[85](#) (ros.) Piękność!

[86](#) (niem.) Kiosk z wyrobami tytoniowymi.

[87](#) (ros.) A to sukinsyn!

[88](#) (ros.) *Nocą na morzu.*

[89](#) (ros.) *Miłość Mitii.*

[90](#) (ros.) *Porażenie słoneczne.*

[91](#) (ros.) Do diabła!

[92](#) (ros.) Mój Boże!

[93](#) (ros.) O Boże!

[94](#) (ros.) Boże miłosiwy.

[95](#) (niem.) Otwierać!

[96](#) (niem.) Otwierać, do diabła! Nie słyszycie?! Otwierać! Szybko!

[97](#) (niem.) Czemu nie otwierasz, gnojku?

[98](#) (niem.) Bydlaku!

[99](#) (ros.) Panie zmiłuj się. Panie wybacz mnie grzesznemu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Poniedziałek, szesnastego października

Przed przejściem przez jezdnię ustąpiła drogi Niemce w zawiązanej nad czołem kolorowej chustce, prowadzącej za rękę może trzyletnią dziewczynkę i pięcioletniego chłopca. Poły beżowej garsonki zniszczonej trzydziestolatki rozpychał nadęty brzuch – do porodu został najwyżej miesiąc. Obok, pchając dziecięcy wózek na dużych, cienkich kółkach, siedł podoficer Waffen SS z Krzyżem Żelaznym drugiej klasy przypiętym do lewej kieszeni uniformu. *Die Kinderwagen müssen rollen für den Sieg!* Nawet dziecięce wózki muszą się toczyć dla zwycięstwa! Podoficer perorował coś zawzięcie, żona zdawała się potakiwać, lecz jej zrezygowana mina zdradzała, że przyjmuje słowa męża raczej niechętnie. Kiedy się mijały, Niemka podniosła na nią zmęczony wzrok i ni stąd, ni zowąd uśmiechnęła się smutno. W tym półuśmiechu, rzuconym szybko i ostrożnie, by nie dostrzegł go mężczyzna, oraz w przygaszonym spojrzeniu szarych oczu kryła się niema skarga. Teoretycznie nie powinna ani na jotę współczuć tej chodzącej fabryce przyszłych esesmanów, i to bez względu na to, czy ich taśmowej produkcji podjęła się z własnej woli, czy też wbrew niej. Ale po krótkim wahaniu usta same się złożyły do porozumiewawczego, ciepłego uśmiechu – tak jakoś odruchowo, bez pytania o zgodę, z góry lekceważąc wszelkie racje za i przeciw.

Przepuściwszy wyładowaną beczkami półciężarówkę, wkroczyła na wybrukowaną granitową kostką jezdnię. I wtedy, po drugiej stronie, ujrzała parę grubych bryli, wycelowanych w nią niczym lufy gotowej do strzału dubeltówki. Należały do Janka Żyrewicza, początkującego krytyka literackiego i poety, a jednocześnie adiutanta Zasunia i redaktora naczelnego „Sztuki i Czynu”, jednego z dwóch pisemek wydawanych przez Legion Narodowy. Drugie, „Rzeczpospolitą Imperialną” redagował sam Zasun.

Żyrewicz, nie spuszczać z niej oka, uśmiechał się ni to słodko, ni to drwiąco. W połatanej, zbyt ciasnej marynareczce, przykrótkich porciętach oraz rozpadających się drewniakach wyglądał jak ostatnia sierota. Znała go aż nadto dobrze z sobotnich podwieczorków literackich u Krysi Pałaszówny. Ostatnio znowu się posprzecwali. Tym razem o Dostojewskiego. A właściwie o mesjanizm. Profesor Łubnin wygłosił na ten temat odczyt, w którym dowodził, że każdy narodowy mesjanizm związany jest nierozzerwalnie z nacjonalizmem, szowinizmem, ksenofobią, a przynajmniej – prędzej czy później – do nich prowadzi. Żyrewicz, naczelny propagandzista Legionu, oświadczył, że dotyczy to, owszem, szowinistycznego mesjanizmu Dostojewskiego, ale już mesjanizmu polskiego, na przykład Mickiewiczowskiego – ani trochę. Cóż, w ustach kogoś takiego jak Żyrewicz można się było spodziewać podobnej opinii. No a ona wzięła, rzecz jasna, stronę profesora. Ku rozpaczy Krysi dyskusja – nie pierwszy i nie ostatni raz – z literackiej i światopoglądowej zmieniła się w polityczną i zakończyła niezłą awanturą. Żyrewicz wyszedł blady niczym pośmiertna maska Heydricha widniejąca na pocztowym znaczku. Uświadomiła sobie teraz, że w jego opinii, uśmiechając się współczująco do żony esesmana, przekroczyła granicę dość jasno określoną w niepisanym kodeksie honorowym Polaka pod okupacją. W myśl tegoż kodeksu jakiegokolwiek prywatne kontakty z Niemcami były zabronione, o ile nie służyły kamuflażowi potrzebnemu do wykonania zadania zleconego przez organizację lub nie zostały wymuszone przez stronę przeciwną w sytuacji, kiedy odmowa mogła spowodować represje. Tym razem nie zaszła żadna z powyższych możliwości. Mogła po prostu odwrócić wzrok i minąć Niemkę z obojętną miną. Swoim uśmiechem fraternizowała się z wrogiem i popełniała może i niewielką, ale oczywistą zradę. Lecz jakoś nie potrafiła zaakceptować faktu, że mizerny i ulotny odruch współczucia, na jaki sobie właśnie pozwoliła, automatycznie skazuje ją na potępienie. Przecież ta przekłeta wojna toczyła się właśnie o to, żeby człowiek mógł się uśmiechać do drugiego człowieka, nie zastanawiając się, czy tamten jest Polakiem, Żydem, czy Niemcem, i nie lękał się, że komuś się to nie spodoba, i że ten ktoś w odwecie złoży na ciebie denuncjację, deportuje cię w inny koniec kraju albo ogoli ci głowę do gołej skóry. Tak się jej przynajmniej wydawało. Czyżby się myliła? Najgorsze, że nie miała z kim o tym pogadać. Chyba tylko z profesorem Łubninem. Bo już dla takich jak Mechanik nie

było czego rozważać – toczy się wojna, Niemcy są bezwzględni, więc i my – nawet, jeśli nam się to nie podoba – również musimy być bezwzględni. I na poparcie przytoczyłby swoim zwyczajem jakąś łacińską sentencję – *extremis malis extrema remedia*¹⁰⁰ albo coś w tym rodzaju. Cel, to znaczy zwycięstwo, wymaga odrzucenia wszelkich wątpliwości. Choć fakt, że podobne wątpliwości miewamy, dodałby z dumą, dowodzi bezsprzecznie, że jesteśmy lepsi od Niemców.

Żyrewicz skinął jej nieznacznie głową. Odpowiedziała chłodnym, ledwie zauważalnym ukłonem, nie zwracając uwagi na iskrzącą w jego oczach zaczepkę. Idąc wzdłuż tylnej ściany ratusza, nie mogła się jednak oprzeć przykreemu wrażeniu, że Żyrewicz wciąż za nią spogląda. Wiedziała, że od dawna ma na nią ochotę. Podczas spotkań u Krysi prawie nie odrywał od niej natarczywego wzroku, przepełnionego mieszanką zachwytu, rozczarowania, fascynacji i pogardy. Raz zebrał się nawet na odwagę i coś tam zaczął dukać – o jakiejś majówce, na którą mogliby się wybrać razem i pogadać w przyjacielskiej atmosferze. Odpowiedziała, że chyba zwariował. On i ona? Na majówkę? Chyba mu bezpieczniki w mózgu wysiadły! Ale zdaje się, że mimo tak obcesowego postawienia sprawy nie wybił jej sobie z głowy, przynajmniej nie do końca. Głupi szczeniak! Z takimi poglądami nie miał najmniejszych szans. Zresztą w ogóle nie był w jej typie. Co innego Zasuń. Tak, tamtemu nie brakowało ani urody, ani elokwencji, ani czaru. Ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że to czar iście diabelski.

Miała ochotę przyśpieszyć kroku, ale opanowała ten odruch, by Żyrewicz nie pomyślał, że przed nim ucieka. Jego niedoczekanie! Na szczęście zakład Schillera był już na wyciągnięcie ręki – z daleka przyciągając wzrok ogromnym okrągłym zegarem, zawieszonym opodal wejścia. W witrynie rzucił się jej w oczy nowy plakat z pielęgniarzką poprawiającą opatrunek na głowie żołnierza. *Spendet für das Kriegshilfswerk des Deutschen Roten Kreuzes!*¹⁰¹ Plakat zastąpił portret Hitlera, który i biedny pan Schiller, o ile nie chciał bez potrzeby nadstawiać karku, musiał w lipcu postawić na wystawie. Wyglądało na to, że Gregorius mimowolnie ośmielił innych. Ciekawe, kto jeszcze pójdzie za jego przykładem i jak się to wszystko skończy. Nadgorliwcy mieli oczy i uszy otwarte.

Ledwie zamknęła za sobą drzwi, a wewnątrz zakładu wypełniło się symfonią kilkudziesięciu różnej wielkości zegarów wybijających dwunastą

w południe.

– Pięknie biją, prawda panno Dorotko? – Zza wiśniowej kotary oddzielającej zaplecze wynurzył się stary Schiller w lśniącym, atramentowym fartuchu. Włosy miał całkiem siwe, twarz pożółkłą i pomarszczoną jak stara kuchenna cerata. Zegarmistrz i cała jego rodzina podpisali folkslistę już na początku wojny. Co mieli robić? Z takim nazwiskiem i jako ewangelicy raczej nie mieli wyboru. Przynajmniej jeśli nie chcieli ryzykować, że zostaną wywiezieni na roboty do Rzeszy albo, co gorsza, wysiedleni do Generalnej Guberni. Zwłaszcza ta ostatnia groźba działała skutecznie. Zostawić cały majątek obcym i pójść z jedną walizką na poniewierkę? W środku zimy? Też nie miałyby na to ochoty.

– Dzień dobry, panie Rudolfie! Rzeczywiście, pięknie grają. Jak ja panu zazdroszczę, że może pan tu siedzieć całymi dniami i na dobrą sprawę nie musi pan wychodzić na zewnątrz!

Zegarmistrz pokiwał smutno głową. Tak, tak, westchnął, w dzisiejszych czasach to wielka zaleta jego fachu. Czy zauważyła, zapytał, że przestał bywać na koncertach w Musikschule, jeszcze zanim Goebbels nakazał ograniczyć wszelką działalność kulturalną? Nie, nie dlatego, że przed każdym koncertem orkiestra rżnie *Deutschland, Deutschland über alles*¹⁰² i trzeba się zrywać z miejsc i przez parę minut sterczeć sztywno jak kołek ze śmiertelnie poważną miną i wyciągniętym do przodu łapskiem. To akurat daje się wytrzymać, zwłaszcza jeśli traktować ów element programu w kategoriach czarnego humoru. Zresztą, mrugnął okiem, przecież ona sama wyśmienie to zna. Poza tym – i to też musiała zauważyć – po takiej uwerturze nawet wagnerowskie pompy nabierają niebotycznego wdzięku. Męczy go, wyjaśnił, co innego. Męczy go, że może słuchać tylko tej muzyki, którą oni uważają za słuszną. Bach – dobrze! Beethoven – proszę bardzo! Brahms – jeszcze lepiej! Ale Mendelssohn już nie, bo Żyd, Chopin już nie, bo Polak, Czajkowski już nie, bo Rosjanin. A on na ten przykład uwielbia Czajkowskiego. Najbardziej *I Koncert* i *V Symfonię*. Że co? Że Czajkowski trąci kiczem? Eee tam! Zresztą może i trąci, ale co z tego? Jemu to wcale nie przeszkadza. Tak, hm... Zaraz, zaraz, o czym to on mówił? Aha! No więc ma już dosyć, że nie może posłuchać w Musikschule tego, czego chciałby posłuchać. I siedzi tu całymi dniami sam, z tymi swoimi zegarami. Bo zegarów, Bogu dzięki, nie da się podzielić na te, co biją i tykają słusznie,

i na takie, co grają niepoprawnie. Zegary gadają we własnym języku, zawsze jednym i tym samym, i nie ma znaczenia, czy zrobiły je ręce angielskie, niemieckie, czy szwajcarskie. Więc święta racja, westchnął ponownie, rzeczywiście stara się spędzać jak najwięcej czasu w zakładzie i w miarę możliwości w ogóle nie wychodzić na miasto. Ale jeśli ona myśli, że dzięki temu udało mu się uciec od tego, co się dzieje tam, na ulicy, to się grubo myli. Nic z tego, pokręcił stanowczo głową, nie ma szans. Niestety. Wystarczy spojrzeć za okno i już sobie człowiek przypomina, na jakim świecie żyje.

– Zmienił pan wystawę...

A owszem, ożywił się, pewnie, że zmienił. Dostał nowy plakat propagandowy i miał wreszcie bezpieczny pretekst do usunięcia z witryny tego tam, no, zbója. Już dosyć najadł się przed ludźmi wstydu z powodu postawienia jego portretu. Woli plakat Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Czerwony Krzyż to przecież nie wojsko, ale służba medyczna, do tego organizacja międzynarodowa działająca w szlachetnych celach. Więc wywieszenie takiego plakatu to żadne lizusostwo i żaden wstyd, prawda?

Potaknęła – nie tylko przez grzeczność. Przecież świetnie rozumiała to zaplątanie w polsko-niemiecką pajęczynę utkaną z aktów urodzenia, metryk chrztu, ulic o podwójnych nazwach, koloru włosów i oczu, długości nosa i czort wie czego jeszcze. Tę szarpaninę zwykłych ludzi, którzy chcieli po prostu przeżyć wojnę, a znalazłszy się między młotem a kowadłem, Panu Bogu stawiali świeczkę, diabłu zaś ogarek. I wciąż się niepokoił tym, co przyniesie trudna do odgadnięcia przyszłość. Czyż – w pewnym sensie – sama do nich nie należała? Czyż podpisując *Volksliste*, nie odczuła wyraźnej ulgi? Wszak od tej pory nie groziły jej liczne upokarzające i niebezpieczne szykany, na jakie była narażona jako Polka. I czyż, kiedy szła przez miasto śmiałym krokiem pewnej siebie folksdojczki lub jechała na rowerze z nieoznakowaną białym paskiem ramą i spoglądała na przemykających pod ścianami rodaków, nie doświadczała – cóż z tego, że mimowolnie, gdzieś na samym dnie duszy – obrzydliwego poczucia wyższości?

– Niech pani pozwoli za mną, coś pani pokażę!

Poszła za zegarmistrzem na zaplecze. Na półkach, półeczkach i regałach stały obudowy zegarów różnej wielkości i w przeróżnych stylach, wypatroszone dokładnie z mechanizmów. Ich złotawe wnętrza, pełne poskręcanych sprężynek, poząbkowanych kółeczek i różnej wielkości śrubek

leżały na długim stole. Opróżnione obudowy przywodziły na myśl puste trumny, zaś mechanizmy – wyłożone na rzeźnickiej ladzie podroby.

– Niech pani spojrzy, jakie cudencko! – Schiller wskazał głową na półmetrowy zegar kominkowy w prostopadłościenną obudowę z białego marmuru, na którego szczycie spoczywała złota figurka leżącego psa. – To od Fuldów, z Żydowa.

Rzeczywiście, przypominała sobie, zegar stał u nich na kominku. Słuchała jego bicia w sylwestra. Wszyscy zgromadzeni święcie wierzyli, że to już ostatni sylwester pod okupacją. Zdaje się, że znów wykazali się zbyt wielkim optymizmem. Żadna z wielkich wsi nie wstrząsnęła nią tak bardzo, jak ta z maja, kiedy Gestapo zgarnęło pięćdziesięciu akowców, w tym członków najbardziej znanych kaliskich rodów niemieckiego pochodzenia – Fuldów, Fibigerów, Drescherów i wielu innych. Ależ dziękowała wtedy Bogu, że nie jest członkiem ich grupy i że żadnemu z nich nigdy nie przyznała się do swej pracy dla Mechanika! Wiedziała, co robi. Inaczej gniłaby teraz razem z nimi w więzieniu na Łódzkiej w oczekiwaniu na proces i szubienicę.

– Wiedeń, połowa dziewiętnastego wieku. Przyniosła go żona Noltego. Nagroda starosty Margraffa dla jej męża za utrwalanie niemczyzny w Reichsgau Wartheland. – Drgnęła na dźwięk nazwiska wiceszefa kaliskiego Gestapo. – A propos, słyszała pani ostatni dowcip? Pani książki czyta, więc to akurat dla pani. Schiller to był prawdziwie międzynarodowy pisarz. Dlaczego? No, dlaczego? Bo dla Anglików napisał *Marię Stuart*, dla Francuzów – *Dziewicę Orleańską*, dla Szwajcarów – *Wilhelma Tella*, a dla Hiszpanów – *Don Carlosa*. A co napisał dla Niemców? No co? No...? *Zbójców*, cha, cha, cha! *Zbójców*!

Roześmiała się, ale zaraz z dezaprobatą pokręciła głową.

– Panie Rudolfie, pan się nie boi takich rzeczy obcym ludziom opowiadać?

Zegarmistrz się obruszył. A jakże to z niej obca? Komu jak komu, ale jej może chyba zaufać. Chociaż z drugiej strony, posmutniał, zbyt zaufanie to dziś faktycznie jeden z najszybszych sposobów dostania się na Krótką. A przecież człowiek musi od czasu do czasu pogadać z kimś szczerze, od serca, bez tego ciągłego kręcenia, udawania, oszukiwania. Inaczej zwariuje! A niby z kim on może tak szczerze pogadać, jeśli nie z nią? Z żoną? Przecież to pierwsza hitlerowa w mieście! Trudno uwierzyć, co też się z nią porobiło przez te parę lat. Raz po raz pyta sam siebie, czy to sama

Janka, z którą się ożenił. Jak to możliwe, żeby człowiekowi się tak wszystko w głowie pozmieniało? Niech no on by spróbował dziś do niej Janka powiedzieć, a dopiero by mu pokazała! Chybaby na niego wezwała Gestapo. Johanna trzeba do niej mówić, nie inaczej. Dobrze chociaż, że Renatce tak nie odbiło. Ale ta to ciągle tylko płacze i w kółko gada o tym swoim Erneście. Że nie wróci, że na pewno go zabiją albo wezmą do niewoli i wywiozą na białe niedźwiedzie – co zresztą wychodzi na to samo. Nawet dobry chłopak ten Ernest, pobożny luteranin, żaden tam hitlerowiec. I spokojny, cierpliwy... Nadawałby się na zegarmistrza. Mógłby po nim zakład wziąć. Jeśli go tam ruscy nie utłuką. No i jeśli... Zresztą nieważne. Ech, *prokljataja żizń!*¹⁰³, zaklął po rosyjsku, bo z czasów, gdy chodził do carskiej szkoły, zostało mu w pamięci kilka powiedzonek i czasami lubił je wtrącać.

Zza kotarą rozległ się dzwoneczek. Schiller przeprosił ją i zostawił samą.

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler, Herr Offizier! Was wünschen Sie bitte?*¹⁰⁴

Zastanawiała się, czy nie wejść na górę do Renaty, córki zegarmistrza, ale zrezygnowała – nie chciała spotkać jej matki. Pani Schiller rzeczywiście zaraz po podpisaniu folklisty zmieniła się w zagorzałą zwolenniczkę Hitlera. Należała do najbardziej gorliwych działaczek Związku Kobiet Niemieckich, obnosiła się ze znajomością z żonami miejscowych dygnitarzy, nie potrafiła wypowiedzieć trzech zdań bez rzucenia złośliwej antysemitki lub antypolskiej uwagi. Zresztą rozmowy z Renatą też od dłuższego czasu bywały monotonne, ich nieustannym tematem była rosnąca obawa o życie narzeczonego. To, co Ernest pisał w listach, faktycznie jeżyło włos na głowie – zwłaszcza jeśli się czytało między wierszami. Schiller miał rację, całkiem miły jest ten Ernest – skromny, grzeczny, trochę nieśmiały. I szczerze przerażony tym, co wyczyniają jego rodacy. Szkoda by było, gdyby akurat on poległ. A o starszego brata Renaty, Stanisława, kapitana armii polskiej na Zachodzie, nie wypadało pytać. Rodzina na pewno dostawała jakimiś kanałami wiadomości o jego losie, ale z oczywistych powodów nawet przed bliskimi przyjaciółmi wolała udawać, że nie ma pojęcia, co się z nim dzieje.

Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły przytłumione, ożywione głosy. Czyżby klient tak ostro targował się o cenę? A może chodzi o reklamację? Usiadła na krześle wyściełanym haftowaną poduszką i czekała na powrót

zegarmistrza. Jednak rozmowa za kotarą się przedłużała. Zniecierpliwiona, przypomniała sobie o nowym wierszu Anny, nad którego przekładem pracowała przez kilka ostatnich wieczorów. Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni zakietu złożoną we czworo kartkę, rozłożyła ją i wygładziwszy papier na kolanie, zaczęła czytać:

SZCZĘŚLIWE ZAKOŃCZENIE

Opowiedz im wszystko, jak było:
jak zakochałem się w Dynie, córce
Hebrajczyków, którzy rozbili namioty
pod miastem; i jak pięknością jej
urzeczony, spotkawszy ją opodal murów,
siłą, w zapamiętaniu posiadałem.
(Lecz – tego rzecz nie zapomnij! –
nie żądza nieczysta, ale miłość nagła,
szalona, kierowała moimi krokami).
I opowiedz, jak błąd swój chcąc naprawić,
ubłagałem ojca mego, Hemora, by do Jakuba,
jej ojca, z darami mnogimi poszedł
i Dynę na żonę dla mnie wyprosił;
i jak Jakub, po targach, dał swoją zgodę,
widząc, że i Dyna mnie pokochała.
Teraz oni córki i siostry nasze wezmą za żony,
nam oddadzą zaś swoje, i pospołu zamieszkawszy,
lud odtąd stworzymy jeden.
Tak więc wszystko szczęśliwie się zakończyło.

To mówił Sychem, syn Hemora Hewejczyka,
słudze ślanemu do swoich przyjaciół.
A gdy posłańca wyprawił w drogę,
uradowany, wnet powrócił na ucztę
dawaną przez Hemora na cześć nowych braci.
Tam też wzięli go między siebie synowie
Jakubowi, i śmiali się, i pili z nim wino,

i przyjaźń wieczną – po grób – wielokroć mu poprzysięgali.
Najgłośniej zaś czynili to Symeon
i Lewi, ci dwaj, co już uknuli zdradę i mord
ohydny na całym ludu Hemorowym.

Przez jej twarz przemknął grymas zawodu. Znowu, do licha, nie to! Właściwie nic dziwnego, skoro już dawno się przekonała, że nie ma drygu do przekładania wierszy. A tłumaczenie tej pisanej prozą poezji wbrew pozorom wcale nie było proste. Choć pozbawiona rymów, miała jednak nieprzypadkowy rytm, który w przekładzie z niemieckiego na polski łatwo ginął. W konsekwencji ulegała stopniowi zawarta w wierszu ironia. Nie potrafiła też ocenić, jak daleko wersja polska odległa jest od łotewskiego oryginału. Bo przecież Anna pisała po łotewsku, następnie przekładała wiersz na niemiecki; dopiero wtedy można go było tłumaczyć na polski. W każdym razie, kiedy czytała jej wiersze po niemiecku, bił od nich mocny i szlachetny blask, natomiast gdy przebiegała wzrokiem swoje tłumaczenia, nieodmiennie czyniły na niej wrażenie szarych, matowych, nijakich. Ulatniało się z nich to coś wspaniałego i wyjątkowego, co powinno od pierwszego wersu uwodzić czytelnika. Żywiła nadzieję, że kiedyś do przekładu tej poezji weźmie się tłumacz z prawdziwego zdarzenia i zrobi porządnie to, co ona, mimo najlepszych chęci, jedynie żałośnie partaczyła.

– *Also bis übermorgen!*

– *Ich danke Ihnen, Herr Offizier! Auf Wiedersehen!*¹⁰⁵

Złożyła kartkę z wierszem i schowała na powrót do kieszeni.

– Widziała pani? – Wróciwszy na zaplecze, Schiller podał jej złoty zegarek kieszonkowy, na którego kopercie widniały emaliowane herby Polski, Litwy i Ukrainy. Kiedy go otworzyła, ujrzała wygrawerowaną elegancką kursywą dedykację: „*À Moise à la memoire de son première bataille* ¹⁰⁶ – Sara. 3.IV.63”.

– Rzeczywiście piękny.

Autentyczny patek, wyjaśnił zegarmistrz, robiony na zamówienie. A ten esesman pytał, czy jest możliwe usunięcie napisu. Idiota! Zniszczy się tylko kopertę i zegarek straci na wartości. Usunięcie starej koperty i dobranie nowej też nie wchodzi w grę. Nie da się jej podmienić niezauważalnie.

– Więc co pan z nim zrobi?

Jak to co? Sprzeda. A może sam kupi? Ten szkop gotów go odstąpić po cenie złomu. Takie cacuszko! Tyle że chce w dolarach. Trochę to ryzykowne, bo wiadomo, co grozi za obrót obcą walutą. Ale oficer SS nie jest chyba prowokatorem? Więc zaryzykuje. Szkoda takiej pięknej pamiątki. Przecież w tym zegarku tkwi kawał polskiej historii. Czy ona wie, że jego dziadek też walczył w powstaniu styczniowym? Tak, tak, w partii Taczanowskiego. Krótko, bo krótko, ale walczył. Dziesięć lat zwiedzał za to Syberię.

Oddała Schillerowi zegarek, wstała i wyciągnęła z plecaka zapakowany w gazetę kilogramowy połącz słońny. Kiedy go odwinęła, zegarmistrz aż cmoknął głośno. Ojej, ucieszył się, bielutka jak śnieg! Widać, że jeszcze ze dwa dni temu biegła po podwórku. A co to ma kosztować? Że co?! Sto dziesięć?! Chyba słuch go myli? Ostatnio było przecież sto!

– Panie Rudolfie, chłopci też potrafią liczyć.

Schiller pokręcił głową z dezaprobatą. Przekłęci chłopci! Co oni myślą, że miastowi śpią na pieniądzech? *Vater unser, der Du bist im Himmel!*¹⁰⁷ Skinął, by poszła z nim na zakład, bo musi wziąć pieniądze z szuflady. Ale żeby słońna stała już po sto dziesięć? A czy ona wie, ile w zeszłym tygodniu dał za nowe zimowe buty? Tysiąc marek! Wyobraża sobie? Tysiąc marek! A czy on jest jaki Rockefeller albo marszałek Göring?

Schowała pieniądze do portmonetki, zapowiedziała, że może zajrzy w przyszłym tygodniu i pożegnała się z zegarmistrzem. Opuściwszy zakład, mimowolnie posłała spojrzenie w stronę, gdzie spotkała Żyrewicza, ale wyglądało na to, że sobie poszedł. Odetchnęła z ulgą. Do sobotniego popołudnia, kiedy znowu spotkają się u Krysi, wołała go nie oglądać, podobnie jak i jego pięknołicego komendanta. Ciekawe, czy oni wpisali ją już na swoją czarną listę? Bo fakt, że takową sporządzili, jest równie pewny jak to, że po lecie nastaje jesień. Tacy ludzie zawsze robią czarne listy. Gdyby to Żyrewicz dowodził Legionem, na pewno figurowałaby na niej od dawna. Na szczęście rządzi Zasuń, a ten chyba by się do tego nie posunął. Chociaż kto wie... Z takimi, jak oni, nigdy nic nie wiadomo.

Stukając o płytki chodnika błyszczącą końcówką parasola, minął ją jegomość w śmiesznym meloniku. Poczwała na policzkach przyjemny suchy wietrzyk i zmrużyła oczy. Do diabła z Zasuń, Żyrewiczem i tą ich faszystowską bandą! Taki piękny ten październik. Oby cała jesień była taka!

Za to zima na pewno znowu się okaże śnieżna i mroźna. Bogu dzięki, piwnica aż pęka od węgla; zakręciła się przy nim jeszcze w początkach lata. Wiadomo – latem węgiel jest zawsze najtańszy.

[100](#) (łac.) Nadzwyczajne warunki wymagają nadzwyczajnych środków.

[101](#) (niem.) Składajcie dary na rzecz dzieła pomocy wojennej Niemieckiego Czerwonego Krzyża!

[102](#) (niem.) Niemcy, Niemcy ponad wszystko [pierwsze słowa niemieckiego hymnu].

[103](#) (ros.) Przekłete życie!

[104](#) (niem.) Czego pan sobie życzy?

[105](#) (niem.) A więc pojutrze! – Serdecznie dziękuję, panie oficerze! Do widzenia!

[106](#) (fr.) Mojżeszowi na pamiątkę jego pierwszej bitwy – Sara.

[107](#) (niem.) Ojcze nasz, któryś jest w niebie!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Montag, den sechzehnten Oktober¹⁰⁸

Gdyby nie niewielkie, dwucentymetrowe rozdarcie tuż pod słowem *Balticum*¹⁰⁹, zdublowana na bibułkę mapa byłaby w idealnym stanie. Żadnych ubytków, żadnych, najmniejszych nawet, zadrapań, a kolor świeży jak rumieńce na policzkach dziecka. Bo ten niewyraźny, na szczęście, odcisk zakrwawionego kciuka, widniejący na kartuszu w prawym górnym rogu, akurat na napisie *Poloniae Regnum ut et Magni Ducatus Lithuanie*¹¹⁰, chyba powinno się wywabić. Chociaż gdyby o niego samego chodziło, gdyby mógł się pokierować wyłącznie własnym gustem, bez wahania zostawiłby ten odcisk. Specjalnie by go zostawił. Jako oryginalne, niewielkie wprawdzie, lecz i tak wystarczająco kłujące w oczy *signum temporis*¹¹¹. No ale mało prawdopodobne, żeby ktoś kupił wtedy tę mapę. Ostatecznie, co innego, gdy klient domyśla się, a nawet ma pewność, że jej poprzedniemu właścicielowi poderżnięto gardło, a co innego, gdy na własne oczy widzi dobitny dowód. Zatem nie ma rady – trzeba będzie ów stempel usunąć.

Położył na mapie rozwartą dłoń i wolno przesunął nią po powierzchni, jakby chciał poczuć szorstkość tłoczonego papieru i ledwie wyczuwalne wypukłości druku. Wyśmienity okaz sztuki kartograficznej, robota mistrza Matthiasa Seuttera! Zapewne dopiero niedawno – pokolenie, najwyżej dwa temu – wyjęto ją z atlasu (*Atlas novus sive tabulae geographicae totus orbis*, Augsburg 1740), oprawiono za szkłem i powieszono na ścianie w gabinecie jakiegoś polskiego szlachcica. Całe lata wisiała tam sobie bezpieczna, w przytulnym ciepłe bijącym od kaflowego pieca i dymie sączącym się z palonej po obiedzie fajki. Z tego błogostanu kopnięciem czyjegoś buciora wydobyła ją dopiero obecna wojna – stąd właśnie to rozdarcie, spowodowane najprawdopodobniej przez ostry kawałek rozbitego szkła. Ale to się da

podkleić, na pewno – i to tak sprytnie, że nie powinno być szramy. Nawet dobry fachowiec niczego się nie dopatrzy, a co dopiero jakiś zapalony kolekcjoner-amator.

Z kieszonki kamizelki wyciągnął zegarek na dewizce i spojrzął na śnieżnobiały cyferblat. Do zamknięcia pozostał kwadrans. Do zamknięcia jego antykwariatu. No właśnie: jego? Od niedawna znowu zaczęło dręczyć go to pytanie. Zupełnie jak na początku wojny, zaraz po przesiedleniu z Łotwy. Wtedy też długo nie potrafił powiedzieć: „mój antykwariat”. Próbował, ale nie potrafił. Zmuszał się, lecz ilekroć udawało mu się to zrobić, natychmiast, gdzieś za plecami, słyszał drwiący chichot. Diabelski chichot. Kiedy zostałeś wychowany w porządnej rodzinie i od dziecka wpojono ci, że wyciąganie ręki po cudze jest jednym z najcięższych grzechów, niełatwo o tym zapomnieć. Taki nawyk zostaje w człowieku do końca życia – nawet jeśli nie wspiera go utracona, jeszcze w dzieciństwie, wiara w Boga. Nic więc dziwnego, że kiedy w początku grudnia trzydziestego dziewiątego, ściskając w ręku otrzymane w kaliskim ratuszu klucze do antykwariatu i akt jego własności, stanął przed witryną zasłoniętą drewnianymi roletami, czuł jednocześnie ciekawość i zmieszane z niesmakiem wyrzuty sumienia. Te ostatnie powiększyły się jeszcze, gdy dostawszy się od zaplecza do środka sklepu, otworzył drzwi frontowe i podniósł rolety we wszystkich oknach wystawowych – jednym od Rathausplatz i trzech od Oldenburger Strasse. Pierwsze, co rzuciło mu się wtedy w oczy, to nazwisko poprzedniego właściciela, wypisane wielkimi białymi literami na każdej szybie: Bolesław Wilnowski. Ach, *zum Teufel!*¹¹² Kierując się obronnym odruchem, odwracał wzrok od tego nazwiska, nie chciał go czytać, nie chciał, żeby wlało mu w pamięć i utkwilo tam niczym jątrzący cierń. Ale widniało wszędzie i wbrew jego woli, wciąż z nieodpartą, magnetyczną siłą, przyciągało spojrzenie – a kiedy już je przyciągnęło, choćby na krótką chwilę, natychmiast boleśnie, bez pardonu kłuło w oczy. Przez pierwsze dni, a nawet tygodnie, czuł się zatem tak, jakby kazano mu chodzić w cudzych papuciach. Sam nie wiedział, jak z tego wybrnąć, jak przerwać te piekielne katusze. Nie pomogło nawet wielkie sprzątanie, do którego zagnał żonę, wychowanicę i przydzieloną im polską służącą. Pod jego komendą pościagały pajęczyny ze ścian, zmyły kurze z regałów, dokładnie wyszorowały każdy centymetr podłogi, a na koniec umyły i wytarły wszystkie eksponaty. Ot, swoista

dezynfekcja, jakby pan Wilmowski chorował na tyfus. A przecież nie chorował. Więc cały ten cyrk ze sprzątaniami nie miał wcale na celu usunięcia brudu, którego w ogóle nie było, ale przemodelowanie tego, co tkwiło w głowie nowego właściciela, przeszkadzając we wzięciu do ręki czyjegós i powiedzenia głośno: „Moje!”.

Westchnąwszy ciężko, powrócił do rozłożonej mapy. Przyniósł ją Litwin w mundurze Organisation Todt¹¹³, łysiejący blondyn o nieufnym i chytrym spojrzeniu. Oczywiście, nie chciał powiedzieć, skąd ją ma. Podobno dostał w ramach spłaty karcianego długu. Od kogo? Od takiego jednego, mruknął, gdzieś tam, w jakimś mieście, którego nazwy nie pamięta. Nie było sensu się dopytywać. Zresztą, zanim mapa trafiła do Litwina, prawdopodobnie przeszła przez wiele innych rąk. Bardzo wiele. Ostatecznie był to czas nie tylko największej od końca starożytności wędrówki ludów, ale również wielkiej wędrówki przedmiotów. Miliony książek, filizanek, pamiątkowych fotografii czy posrebrzanych świeczników przemierzały Europę od Zatoki Biskajskiej po Kaukaz i od wysp greckich po koło podbiegunowe. Poupychane ciasno w przewiązanych sznurkiem walizkach, staroświeckich kufrach, skrzynkach po amunicji, wojskowych plecakach i zwykłych workach, wędrowały we wszystkich kierunkach przepełnionymi pociągami, ostrzeliwanymi przez partyzantów ciężarówkami, chłopskimi furmankami, a nierzadko również na plecach swoich starych lub nowych właścicieli. Miliony? Ba! – dziesiątki milionów. A część tego oceanu przedmiotów przelewała się przez jego (jego?) antykwariat i pozostawiała po sobie zarówno rzadkie i wartościowe okazy, jak i znacznie liczniejsze niedrogi, lecz piękne cacuszka i wreszcie całe mnóstwo zwykłej, choć niepozabawionej uroku starzyzny. On zaś troskliwie wyławiał co niektóre eksponaty, delikatnie obmywał je z kurzu, błota i potu, cierpliwie sklejał, prostował, polerował, a potem ustawiał na półce, gdzie czekały już dziesiątki im podobnych. Od dwudziestu trzech lat, od chwili gdy powrócił z wojny do rodzinnej Rygi i dowiedział się, co spotkało jego pierwszą żonę i troje dzieci, nie potrafił współczuć ludziom. Nic a nic. Jakby cały zapas współczucia, litości i miłości, pierwotnie mający mu służyć przez całe życie, wypalił się do końca w tamtym piekielnym ogniu, który strawił do fundamentów podsmoleński dworek jego teściów i zamienił go w rodzinny grobowiec. Mizerna resztką dawnych uczuć, jaka w nim jeszcze pozostała, była zbyt mikra, by starczyło jej dla ludzi. Więc

od lat obdarzał nią wyłącznie przedmioty. Teraz to one zastępowały mu ludzi. Zarówno żywych, jak i martwych. Właściwie żył wyłącznie dla przedmiotów – dla nich, z nimi i dzięki nim.

Podniósł mapę i odwrócił ją na drugą stronę, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy aby na pewno nie ma tam jakiegoś wypłowiałego zapisku. Jakiegoś nazwiska wypisanego ołówkiem na brzegu karty albo numeru inwentarza z nazwą posiadłości. Zawsze tak robił. Szukał nazwisk poprzednich właścicieli, ekslibrisów z ich herbem bądź bibliotecznych pieczętek, choć to nie oni i nie ich losy były przedmiotem jego zainteresowania. Bynajmniej. Cóż go mogło obchodzić, czy spaliła ich żywcem zrewoltowana chłopska banda, czy rozniósł na strzępy artyleryjski pocisk albo czy wykończyła hiszpanka. Bóg z nimi, niech spoczywają w pokoju! Interesowała go wyłącznie trasa, jaką przemierzył dany przedmiot, zanim znalazł się w jego posiadaniu. Chciał znać etapy jego podróży, tak samo jak ornitolog pragnął poznać trasy ptasich przelotów. Po co? Sam nie wiedział po co. Po prostu pasjonowały go wędrówki książek, rycin, map. Każdy ma jakąś pasję, mniej lub bardziej mądrą, albo – patrząc z drugiej strony – mniej lub bardziej głupią. On miał akurat taką.

Powoli zlustrował całą kartę wzrokiem wzmocnionym przez szkła zaczepionych na czubku nosa okularów, ale nie znalazł niczego. Żadnego, nawet ledwie widocznego zapisku. Szkoda. Ponownie odwrócił mapę i zapatrzył się w czerwony odcisk kciuka. A może by go jednak nie wywabiać? Może zostawić? Hm... trzeba się jeszcze nad tym zastanowić.

Skrzypnęły drzwi na zapleczu, a zaraz potem brzęknęło wiadro – Władysława przyszła umyć podłogę. Odruchowo spojrzął na zegarek. Siódma. No, chociaż punktualności udało mu się nauczyć tego wsiowego kocmołucha! Ale żeby zostawić ją samą w sklepie, nie było nawet mowy. Zaraz by coś zahaczyła, stłukła, uszkodziła i jeszcze by się nawet nie przyznała. A potem udawałaby głupią. Więc musiał zostać z nią jeszcze kwadransik i patrzeć jej uważnie na ręce. Wtedy od razu miała się na baczności. A i podłogę myła dwa razy szybciej. Wstał, podszedł do drzwi wejściowych i odwrócił wiszącą w nich kartkę na „Geschlossen”¹¹⁴. Rolet jeszcze nie spuszczał, bo trudno, żeby służąca myła podłogę po ciemku. A światła nie miał zamiaru włączać. Po co, skoro na dworze wciąż jest wystarczająco jasno? Trzeba skorzystać z ostatnich słonecznych dni

i zaoszczędzić jeszcze trochę na prądzie. Tylko patrzeć, jak się zaczną jesienne szarugi i rachunki z elektrowni natychmiast pójdą w górę.

Włożył ręce do kieszeni i zaczął spacerować w tę i z powrotem po antykwariacie. Po jego antykwariacie. No właśnie: jego czy nie jego? Teraz zdawał sobie jasno sprawę, że właściwie tylko przez jeden rok miał absolutną pewność, że już nikt go stąd nie wyrzuci i że tu, w tym mieście, dożyje swoich dni. Było to między czerwcem czterdziestego a czerwcem czterdziestego pierwszego, między klęską Francji a uderzeniem Hitlera na Związek Sowiecki. Po pobiciu Francuzów nie wątpił, że w tej części Europy nic już się nie zmieni. Że tak, jak jest, pozostanie przez długie, długie lata. Ale gdy tylko się dowiedział z radia o ataku na Rosję, od razu miał złe przeczucia. Nawet te miliony sowieckich żołnierzy, wziętych do niewoli w pierwszych miesiącach kampanii i z takim entuzjazmem pokazywanych w „Wochenschau”¹¹⁵, nie zrobiły na nim wrażenia. Parę milionów jeńców? A co to dla Rosji utrata paru milionów? Jej zasoby ludzkie są niewyczerpane. W miejsce każdego straconego miliona przyjdą trzy następne. To między innymi dlatego jesienią czterdziestego pierwszego nie zdecydował się na powrót do zajętej przez Niemców Rygi, chociaż kilku krewnych oraz znajomych zrobiło to i zachęcało, by poszedł w ich ślady. Czuł, że to „wyzwolenie” nie potrwa długo. Zresztą był już za stary na ponowne przenosiny. Nie pojechał nawet na krótki rekonesans. Mieszkający w Poznaniu kuzyn Leopold namawiał choć na tyle, ale nie dał się skusić. Nie musiał tam jechać, by wiedzieć, co spotka. Mury bez ludzi. Kurlandzkich Niemców została pewnie garsteczka, białych Rosjan jeszcze mniej, Łotyszów – przynajmniej tych z ich sfery, z którymi utrzymywali stosunki – Sowietów wywieźli na białe niedźwiedzie. Więc po co miałby tam jechać? Żeby odbyć spacer po mieście duchów? Po gigantycznym cmentarzu z grobowcami wielkości kamienic? Potrafił go sobie wyobrazić i bez ruszania się z Kalisza. A przypominać sobie, jak wygląda katedra św. Piotra czy Dom Czarnogłowych nie musiał. Ten widok, budzący na zmianę to niewypowiedzianą słodycz, to piekącą gorycz, nie opuści go do końca życia. Niestety. Jak i wspomnienie wspianiałych secesyjnych domów na ulicy Aleksandra, gdzie mieszkał od ślubu z Katią. Była tu, w Kaliszu, kamienica do złudzenia przypominająca tamte. Taka sama nieokiełznana eksplozja secesji. Zupełnie jakby i ją zaprojektował stary Eisenstein. Czasami coś go

napadało i szedł tam, stawał po przeciwnej stronie ulicy i zadarłszy głowę, patrzył na nią, patrzył i patrzył. A potem długo nie mógł dojść do siebie. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, co musiałoby się z nim dziać, gdyby stanął naprzeciw oryginałów. Więc nie pojechał do Rygi. I bardzo dobrze zrobił. Bo dzięki temu myśl o jej ponownym zajęciu przez bolszewików nie bolała aż tak mocno.

Wiadro, co rusz przesuwane przez służącą, szczekało i podzwaniało. Spojrzał na swoje odbicie w wiszącym na ścianie rokokowym lustrze, jedynym tak wielkim, by pomieścić jego niezmiernie szczupłą i równie wysoką sylwetkę. Pod resztką krótko przyciętych włosów, białych jak śmiertelny całun, szarzała martwa twarz; niewiele więcej życia dawało się dostrzec w małych, matowych oczach. Patrzcież państwo, zachichotał wewnętrznym śmiechem, trup pana Gregoriusa, lat sześćdziesiąt osiem, we własnej osobie! Witamy, Łaskawco, witamy! Jakżeż długo zamierza pan jeszcze straszyć na tym świecie? Co, już niedługo? Bogu dzięki! Pora się usunąć, zrobić miejsce innym... Odwrócił wzrok od lustra i zaczął go na dzisiejszym numerze „Ostdeutscher Beobachter”, złożonym na pół i leżącym na regale ze starodrukami. Każdego ranka studiował w nim uważnie informacje ze wszystkich frontów. Po stłumieniu buntu w Warszawie trochę odetchnął, uspokoił się, ale nie na długo. Przecież bolszewicy nie będą tkwić za Wisłą w nieskończoność. Prędzej czy później ruszą. Co wówczas? Czy uda się ich zatrzymać? A jeśli nie, przyjdzie znowu pakować walizki. Lecz tam, dokąd tym razem ich wywiozą, nie będzie na niego czekać kolejny, trzeci już w jego życiu antykwariat. Ani umeblowane pięciopokojowe mieszkanie. Podobno cała Rzesza w ruinach, amerykańskie i angielskie samoloty każdego dnia zrównują z ziemią kolejne miasto. Musi to wyglądać jak piekła z opisów Swedenborga, którymi z taką lubością zaczytywał się w młodości. Więc co się z nimi stanie? Ot, będą koczować gdzieś pod namiotami, dopóki nie spadnie im na głowę aliancka bomba. Może zresztą i dobrze, jeśli spadnie jak najszybciej i przerwie wreszcie tę upiorną mękę? Ten typ w lustrze miał rację – jego prawdziwe miejsce już od dawna jest w grobie.

Władysława skończyła. Kątem oka zauważył, że wstając z klęczek, rzuciła nań spojrzenie, w którym błąkała się nieśmiała pretensja. No tak, nie może biedaczka zrozumieć, dlaczego od pewnego czasu przestał przychodzić do niej w nocy. A więc to z tego powodu, zmywając podłogę, tak mocno

wywijała dupskiem! Szkoda jej pewnie tej marki, którą zawsze dostawała po wszystkim. Cóż, nie będzie się jej opowiadał. Nie miał takiego obowiązku.

– No, czego tu jeszcze sterczysz?

Po wyjściu służącej odczekał, aż podłoga wyschnie i pozaciągał rolety. Potem wyszedł przez zaplecze na klatkę schodową i zamknął drzwi na kłódkę. Kiedy z lekko opuszczoną głową wchodził po schodach na pierwsze piętro, poczuł przyjemne ciepło na widok wypolerowanych na błysk czubków własnych butów i świecących się stopni z szarego lastryka. Czystość, porządek, piękno, pomyślał, tylko to trzyma jeszcze człowieka w kupie. I powtarzalność pewnych gestów. Zbawienna, automatyczna powtarzalność. Gorset, który mocno ściska rozłożące się cielsko. Pomyśleć, że to właśnie przez tę powtarzalność Misza Krugłow palnął sobie w łeb! W noc sylwestrową z dziewięćdziesiątego dziewiątego na tysiąc dziewięćsetny. W pożegnalnym liście napisał, że ma dosyć ciągłego ubierania się i rozbierania. A on? Dlaczego nie poszedł w ślady Miszy? Dwa razy przystawiał sobie lufę do skroni, ale nie zdecydował się nacisnąć spustu. Ze strachu przed śmiercią? Nie, na pewno nie. Dlaczego miałyby się bać czegoś, co jest zbawieniem? Czegoś, co raz na zawsze wyzwala od obrzydliwości cielesnej egzystencji? Od brudu, potu, kału, moczu, smrodu? I od obleśnej, zwierzęcej przyjemności, jaką sprawiało wytarzanie się od czasu do czasu w tym brudzie, pocie, smrodzie? Przyjemności, której nie można się było oprzeć, a która obrażała do żywego jego człowieczeństwo? Więc to nie o strach chodziło. Jeśli postanowił tkwić w tym wszystkim nadal, to wyłącznie z czystej ciekawości. Chciał wiedzieć, jak się to skończy. Jak będzie wyglądać to Wielkie Bum, które już wtedy przepowiadali wszyscy.

Znalazłszy się przed drzwiami z mosiężną tabliczką: „Karl und Renate Gregorius”, nacisnął dzwonek i czekając, aż ktoś otworzy, strzelał niecierpliwie palcami. Po chwili uchylły się drzwi i rozwarł się przed nim długi, skryty w półmroku korytarz. Na jego widok niespodziewanie odczuł dreszcz, taki sam, jak wtedy, przed pięciu laty, gdy otworzył te drzwi po raz pierwszy. Wtedy na mosiężnej tabliczce nie widniało jeszcze: „Karl und Renate Gregorius”, lecz: „PP. Bolesławostwo Wilmowscy”. Przekraczając wówczas próg, czuł się jak złodziej. Najgorsze było wyczuwalne jeszcze w mieszkaniu ciepło czyjejś niedawnej obecności. W wazonie w jadalni

przykuwały wzrok wciąż żywe, ogromne chryzantemy. Na secesyjnej popielniczce w salonie leżał popiół i długi niedopałek cygara. Na stole w kuchni stał fajansowy kubek z niedopitą herbatą. Polaka wraz z bliskimi wysiedlono dosłownie w ciągu godziny, pozwalając każdemu członkowi rodziny zabrać po jednej walizce. Co oni tam mogli zabrać? Trochę bielizny, ręczników, ciepłych ubrań, parę rodzinnych pamiątek. Nie wolno im było wziąć nawet niewielkich precjozów, takich jak srebrna cukiernica czy komplet posrebrzanych łyżeczek. To wszystko należało już do Rzeszy. Więc po Wilmowskich została cała reszta: pierzyny, poduszki, szlafroki, obrusy, garnitury, suknie, kapelusze, zastawy, rodzinne fotografie i niezliczone mnóstwo przeróżnych bibelotów. Omal go nie zemdlilo, kiedy to wszystko zobaczył. Jak to? Miał spać w tych pierzynach, pachnących jeszcze ludźmi, którzy przykrywali się nimi przez całe lata? Miał zamieszkać w części cudzego życia, jaką niewątpliwie wciąż pozostawało mieszkanie, mimo że jego niedawnych lokatorów wygnano gdzieś do Polski centralnej, nazywanej teraz Generalną Gubernią? Sama myśl o tym przyprawiała go o wymioty, ale niby co mógł na to poradzić? Przecież przyjechali tu zaledwie z częścią ruchomego majątku; meble, dywany, obrazy sprzedali przed wyjazdem z Rygi. Kto miałby siły i pieniądze, żeby to wszystko popakować i taszczyć ze sobą? Więc, chcąc nie chcąc, musieli zamieszkać w meblach po Wilmowskich, korzystać z ich garnków, kąpać się w ich wannie. Czuł się tak, jakby kazano mu połączyć już nie własne nawet, ale cudze wymiociny. W akcie desperacji postanowił, że wyprzeda wszystkie znajdujące się w mieszkaniu meble i kupi nowe. Albo zamieni je z kimś na inne. To były ładne meble, w kompletnych garniturach, nie powinno być kłopotu z zamianą. Cały niemiecki Kalisz kipiał wtedy od takich zamian. Żonom osiedlonych tu *Baltendeutsche* i *Wolhyniendeutsche*¹¹⁶ oraz sprowadzonych z Rzeszy urzędników i inżynierów często nie podobało się wyposażenie otrzymanych mieszkań, więc ciągle wymieniały coś między sobą. Tej nie przypadło do gustu umeblowanie sypialni, bo wydawało się jej za ciężkie, zbyt przysadziste, tamta zamiast secesji wołała biedermeiera, jeszcze innej trafił się ciemny mahoń, podczas gdy marzyła o jasnym orzechu, kolejna sama nie wiedziała, na jaki styl i kolor ma ochotę, ale na pewno nie na taki, jaki zastała. Ale on, gdy podjął już decyzję o zamianie mebli, uświadomił sobie, że te, które dostanie, także będą po kimś. Po innym Polaku

wypędzonym stąd z jedną walizką. I że w tych meblach, choć już opróżnionych z ubrań, bielizny, poszew, albumów z fotografiami, rodzinnych dokumentów i dzieciennych zabawek, wciąż będzie się błąkał ulotny ślad prawowitych właścicieli. Ślad już mniej dokuczliwy, bo anonimowy, ale jednak wyraźnie wyczuwalny. I postanowił, że załatwi sprawę w sposób radykalny – po prostu sprzeda meble po Wilmowskich. Sprzeda wszystkie, do ostatniego kuchennego taboretu, po czym kupi zupełnie nowe. Straci na tym sporo pieniędzy, ale cóż robić? Nie ma innego wyjścia.

Ledwie tak postanowił, a od razu poczuł się lepiej. Niestety, nie na długo. Nowy sąsiad, Herr Trümper, inżynier z Drezna, którego zagadnął na schodach o jakiś skład meblowy, szybko wylał mu na głowę kubek zimnej wody. Wytłumaczył, że nowe meble to towar ściśle reglamentowany, bo drewno jest przecież ważnym surowcem wojennym. Jak to, zdziwił się, drewno surowcem wojennym? Czołgów ani armat chyba z niego nie robią? No pewnie, zaśmiał się inżynier, Parteigenosse¹¹⁷ od trzydziestego pierwszego, czołgów ani armat nie. Ale platformy ciężarówek, szkielety aut i samolotów – już tak. I tysiące wagonów potrzebnych do transportu wojska. I miliony skrzynek na amunicję. Pan szanowny wyobrazi sobie, entuzjazmował się sąsiad, ile na to potrzeba drewna! A przecież są jeszcze potrzeby cywilne, znacznie ważniejsze dla ogółu niż czyjeś tam meble. Na przykład budowa nowoczesnej infrastruktury na ziemiach wcielonych do Rzeszy. On, inżynier Trümper, mianowany właśnie inspektorem budowy dróg i mostów na cały Kreis Kalisch¹¹⁸, wie, o czym mówi. Właśnie zakończył objazd powiatu i jest przerażony tym, co zobaczył. Co za prymityw ci Polacy! Drogi dziurawe, mosty spróchniałe, szkoda gadać! Ale to nic. Tyle roboty, cieszył się, tyle roboty! Warto przez parę najbliższych lat harować od świtu do zmierzchu, żeby zaprowadzić tu cywilizację. A potem z satysfakcją spoglądać na swoje dzieło. No ale, inżynier rozłożył ręce, nie da się tego zrobić bez ogromnej ilości drewna. Więc niechaj szanowny sąsiad zapomni o nowych meblach. Prawo do ich kupna na pewno nie przysługuje komuś, kto otrzymał od Rzeszy całkowicie umeblowane mieszkanie.

Po tej rozmowie czuł się tak, jakby dostał obuchem w splot słoneczny. Bodajby piekło pochłonęło całą tę Tysiącletnią Rzeszę! Wcale nie miał ochoty do niej przyjeżdżać. W Rydze się urodził, w Rydze spędził większość

życia i w Rydze pragnął umrzeć. Tam stał jego dom, tam mieszkała jego rodzina i przyjaciele. Tam był po prostu u siebie. Wszak Gregoriusowie przybyli z Lubeki do Kurlandii w roku bitwy na jeziorze Pejpus. Na dodatek większość kurlandzkich Niemców z jego pokolenia w domu czuła się wprawdzie Niemcami, ale poza domem – Rosjanami. Nic zatem dziwnego, że Niemców z Rzeszy szczerze nienawidził. Za to, że wywołali Wojnę Światową i doprowadzili do upadku starej Rosji, za to, że przepuścili przez swoje terytorium tego bandytę Lenina, bez czego nigdy nie doszłoby do rewolucji. I on miałby zamieszkać pośród nich? Akurat! Ale kiedy na początku października Sowietci zażądali od Litwy, Łotwy i Estonii zgody na utworzenie na ich terytoriach swoich baz wojskowych, zrozumiał, że w Rydze nie jest bezpiecznie. Ultimatum Stalina pachniało jak preludium do aneksji. Skoro ten zbój do spółki z Hitlerem napadł na Polskę, dlaczego nie miałby położyć łapy na trzech małych i niemal bezbronnych kraikach? A on nie chciał przecież, żeby mu czerwoni znowu wymordowali rodzinę. No i poszedł z ciężkim sercem do niemieckiego konsulatu wyrazić zgodę na przesiedlenie. Po raz pierwszy w życiu podpisał się wtedy jako Karl Gregorius, a nie jak dotychczas – Karol Piotrowicz Gregorius. Czuł się jak zdrajca. Do tej chwili miał święte prawo uważać się za tego samego Karola Piotrowicza, co przed rewolucją. Owszem, Ryga nie była już częścią imperium carów, lecz stolicą niepodległej Łotwy, zmieniły się szyldy, językiem urzędowym stał się łotewski, ale on pozostawał tym samym człowiekiem. Nie był białym emigrantem, a jeśli nawet, to w dużo mniejszym stopniu niż ci wszyscy Rosjanie, którzy zamieszkali na Łotwie po ucieczce z rodzinnego Petersburga, Smoleńska czy Moskwy. Ale teraz już nie granice przeskakiwały nad jego głową, lecz on sam miał przeskoczyć ponad granicami. I z zasiedziałego kurlandzkiego Niemca stać się Niemcem z Rzeszy. Chciało mu się na zmianę to chichotać, to zgrzytać zębami i płakać. Lecz cóż, nie jego wina, że człowiek jest tylko okruchem na wzburzonym oceanie ślepej i bezdusznej materii. Materii bezustannie niszczącej stworzone przez siebie formy po to jedynie, by na ich miejsce zbudować formy nowe, które wkrótce potem także zostaną unicestwione. Skoro świat jest jedynie perpetuum mobile stwarzania i niszczenia, skoro takie jest odwieczne prawo bytu, nie ma innego wyjścia jak pogodzić się z tym faktem. No i pogodził się. Oczywiście, wszystko działo się tak szybko, w napięciu, że nie było czasu zastanawiać się nad tym, jak będzie wyglądać jego życie w nowym miejscu.

Zresztą i tak nie przewidziałby licznych komplikacji, choćby takich jak ta z meblami. Usłysawszy od inżyniera z Drezna niewesołą nowinę, aż pobladł. Ale zaraz potem się zawziął. Nie, nie podda się tak łatwo. Poszedł do ratusza i zadeklarował, że odda – za darmo – meble z przyznanego mu lokalu w zamian za pozwolenie na kupno nowych. Wyśmiano go. Nic z tego, orzekł urzędnik, chyba miejscowy Niemiec, przepisy jasno mówią, co się przesiedleńcowi należy, a co nie. I na nic się zdały prośby i błagania. Zdaje się, że cwany urzędnik podejrzewał go o jakąś grubszą kombinację i wołał nie mieć z tym nic wspólnego. Kretyn! Sam pewnie na potęgę handlował skonfiskowanym Polakom mieniem, ale kiedy dostał uczciwą propozycję, przestraszył się, jakby już przyszło po niego Kripo¹¹⁹. Zatem, chcąc nie chcąc, musiał zamieszkać na stałe w meblach po Wilmowskich. No i zamieszkał. Zacisnął zęby i zamieszkał. I powoli, powoli przewyciężył wstręt do cudzych mebli. Wstręt, którym maskował jedynie inny wstręt, znacznie bardziej dokuczliwy – wstręt do samego siebie. Miał inne wyjście? Nie miał. Na wojnie jak to na wojnie, powiedział sobie, i starał się już więcej nie myśleć o tych nieszczęsnych meblach. A potem się przyzwyczaił, jak to w życiu bywa. Ostatecznie człowiek to takie stworzenie, które do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić. Zwłaszcza do brudu, potu, kału, moczu, smrodu. Tak zresztą swojego, jak i cudzego. Tak już obmyślił to Demiurg, stwórca i władca tego nieszczęsnego świata.

Kolację jedli w milczeniu. Nawet Anna, wnuczka dalekich krewnych, którą na prośbę rodziny zabrał ze sobą w trzydziestym dziewiątym, prawie się nie odzywała. Więc i ona, zawsze taka wesoła, roztrzepana, musiała czuć, że coś się nieodwołalnie kończy. Chociaż nie przeszkodzi to jej natychmiast po kolacji pobiec do którejś restauracji na potańcówkę. Na pewno ma randkę, jak zresztą prawie co dzień. I oczywiście wróci późno w nocy. Na swój sposób podziwiał jej niekończący się apetyt na życie. Zdaje się, że sama Messalina nie pokonałaby tej dziewczyny w łózkowych bojach. I wiele mogłaby się od niej nauczyć. Co do Renate, od dawna nic nie mówiła, pogrążona w nieustających modlitwach o ocalenie Nikolajsa, młodszego syna, który ze swoim pododdziałem łotewskiej dywizji SS bronił zdobytej właśnie przez bolszewików Rygi. Starszy syn Renate, Atis, prawdopodobnie już dawno temu zmarł w sowieckim łagrze. Ojciec Atisa i Nikolajsa, pierwszy mąż Renate, był rodowitym Łotyszem, nic więc dziwnego,

że w trzydziestym dziewiątym Atis stanowczo odmówił wpisania się na listę *Baltendeutsche*. Jakżeż to – on, zawodowy oficer armii łotewskiej, miałby opuścić kraj i to w chwili, kiedy znalazł się on w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Jak szczur uciekać z tonącego okrętu? Nigdy! No i został. A kiedy bolszewicy wkroczyli na Łotwę, pojechał na Syberię jednym z pierwszych transportów. Razem z żoną i dwuletnią córeczką. Od tego czasu ślad po nich zaginął. Nikolajs też nie chciał wtedy opuszczać Łotwy, ale na szczęście był jeszcze szczeniakiem, miał siedemnaście lat, i musiał słuchać matki. Chociaż niedługo. Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka i Wehrmacht wkroczył do Rygi, Nikolajs także natychmiast tam wrócił. Najpierw służył w łotewskiej policji, a potem zaciągnął się do oddziałów frontowych. Ostatni list od niego przyszedł przed dwoma tygodniami, czyli tuż przed wzięciem przez czerwonych Kłajpedy i przepołowieniem Grupy Armii Nord na dwie części. Nawet jeśli Nikolajs żył jeszcze, znajdował się w kotle na Półwyspie Kurlandzkim, skąd mógł się ewakuować jedynie drogą morską. A to, przy powietrznej przewadze bolszewików, nie było zbyt bezpieczne. Więc co się tu dziwić Renate, że całymi dniami na zmianę to się modli, to płacze? On swoje łzy wypłakał już dawno temu. Na szczęście.

[108](#) (niem.) Poniedziałek, szesnastego października.

[109](#) (łac.) Bałtyckie.

[110](#) (łac.) Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie.

[111](#) (łac.) Znak czasów.

[112](#) (niem.) do diabła.

[113](#) Założona przez inżyniera Todta organizacja zajmująca się wielkimi robotami budowlanymi.

[114](#) (niem.) Zamknięte.

[115](#) (niem.) Kronika filmowa.

[116](#) (niem.) Niemcy z Krajów Bałtyckich i Wołynia (kategorie folksdojczów).

[117](#) (niem.) Towarzysz partyjny.

[118](#) (niem.) Powiat kaliski.

[119](#) (niem.) Skrót od *Kriminalpolizei* (policja kryminalna).

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wtorek, siedemnastego października

To dziwne, myślała, że Łubnin nie zajrzał poprzedniego dnia po zostawionej w niedzielę paczkę. Czyżby się krępował? Czego? Tego, że sobie podchmielił? Wszyscy tego wieczora sobie podchmielili. I to zdrowo. Więc czego tu się wstydzić? Nie ma czego. Może zachorował? Albo coś się stało? Fakt, że wyszedł trochę późno, tuż przed godziną policyjną. A może nie zdążył do domu na czas i na dodatek natknął się na patrol? Wtedy mogli go wziąć na parę dni do kozy. Albo, co gorsza, wywieźć za Łódź, do sypania umocnień. Od pewnego czasu w całym Kraju Warty urządzano łapanki na potrzebnych do robót ludzi. Trzeba to koniecznie sprawdzić!

Przed witryną księgarni Reimanna stał jej właściciel i dyrygował ekspedientką zmieniającą wystrój wystawy. Co on, zwariował? Szykuje już dekorację na *Tag der Freiheit*? Który to dzisiaj? Siedemnasty? Więc do Dnia Wolności jeszcze dwanaście dni. No tak, gorliwiec chce być jak zwykle pierwszy. Ukłoniła się grzecznie księgarzowi, niezrażona ponurym spojrzeniem, jakim ją obdarzył. Reimann oprócz współczesnych książek miał również dział bukinistyczny i do szału doprowadzała go konkurencja, którą – w jego mniemaniu – stanowił dla niego Gregorius. Oczywiście, księgarz szybko wywęszył, że te wszystkie białe kruki, dziewiętnastowieczne pierwsze wydania i grafiki dostarcza Gregoriusowi właśnie ona. Kiedyś próbował ją nawet podkupić, ale się nie dała, a na dodatek – by dowieść swej lojalności i złapać dodatkowe punkty, zawsze kiedyś tam mogące się przydać – powiedziała o wszystkim antykwariuszowi. Tamten był wprawdzie zbyt wyniosły, a także zbyt sprytny, żeby dać Reimannowi do zrozumienia, iż wie o tych podchodach, ale i tak właściciel księgarni znienawidził ją od tej pory równie mocno i szczerze, jak jej szefa. Dałaby sobie rękę uciąć, że to właśnie

po jego donosie wiosną czterdziestego pierwszego zjawił się w antykwariacie policjant, aby sprawdzić, czy to prawda, że zatrudniona tam *polnische Arbeiterin*¹²⁰ jeździ na rowerze bez białego paska na ramie. Bogu dzięki, Gregorius, wysłuchawszy, z czym przybywa policjant, bez mrugnięcia okiem skłamał, że rower nie należy do niej, lecz do firmy i jest jedynie narzędziem pracy Fräulein Pahlen. Inaczej trudno było przewidzieć, jakby się to skończyło. W każdym razie dotarło do niej, że trzeba z tym Reimannem coś zrobić. Jakoś szuję obłąskawić. I któregoś dnia wybrała się do niego na zakupy. Już wcześniej chodziło jej po głowie, że warto by sprawdzić, co właściwie ci Niemcy czytają, a potem powiedzieć coś na ten temat u Krysi. Odkryć mechanizm, który spowodował, że z subtelných *Dichter und Denker*¹²¹ zmienili się w prymitywných *Richter und Henker*¹²². Reimann, ujrawszy ją w drzwiach księgarni, zdziwił się nieco, ale kiedy poprosiła o powieści autorów, którzy cieszą się w Trzeciej Rzeszy największym poważaniem, skrzątnie zarzucił ją kilkunastoma grubymi kobyłami. Kupiła *Volk ohne Raum* Hansa Grimma, *Das Riesenspielzeug* Emila Straussa, *Die Gruppe Bosemüller* Wenera Beumelburga, *Das Wunschkind* Iny Seidel i *Auf den Marmor-Klippen* Ernsta Jungera. Od tego czasu zaglądała do księgarni raz w miesiącu i brała jakąś książkę – najlepiej coś z głośnych nowości, prezentowanych na honorowym miejscu w witrynie. Wprawdzie były to największe literackie zakalce, jakie można sobie było wyobrazić, albo propagandowe gnioty, od których czytania aż bolały zęby, ale ich kupowanie dowodziło prawomyślności kupującego. I bardzo cieszyło Reimanna, który musiał zamawiać sporo egzemplarzy tego towaru i później miał kłopoty ze zbytem. Bo przecież nie mógł zwrócić wydawcy wypocin pana Goebbelsa lub Rosenberga z informacją, że się nie sprzedały. No i pomogło; szubrawiec docenił wartość nabywczą jej portfela. Wprawdzie nadal spoglądał wilkiem, ale świnić przestał.

U zbiegu Szóstego Sierpnia, placu Kilińskiego i placu św. Józefa ział smutną pustką ogrodzony drewnianym płotem plac. Niegdyś stała tu gubernialna cerkiew, spalona przez Prusaków w pierwszych dniach poprzedniej wojny i rozebrana do fundamentów na początku lat trzydziestych. Przez uchyloną furtkę dostrzegła kilku kręcących się mężczyzn w cywilu oraz w mundurach partii i Organisation Todt. Zerkali w jakies plany, coś tam sobie objaśniali i pokazywali. Czyżby mieli zamiar coś

tu budować? Ciekawe co? Byle nie jakąś szkaradę w tym ich upiornym, monumentalnym stylu. Chociaż kto ich tam wie? To jeden z centralnych punktów miasta, a oni nie tacy głupi, żeby tego nie rozumieć. Rosjanie też nie przypadkiem akurat w tym miejscu wywalili tę ciężką, toporną cerkiew. Więc pewnie i ci gotowi postawić tu jakieś potworne gmaszysko, uosabiające niemieckiego ducha. *Das Wartheland – Germanenland!*¹²³ Nagle puknęła się w czoło. Co ona się martwi, głupia, przecież i tak nie zdążą! Całe to krzątanie się z planami to jedynie ruchy pozorne, komedia odgrywana po to, by pokazać sobie nawzajem i wszystkim mieszkańcom miasta, że wszystko jest w porządku, nic złego się nie dzieje, a ostateczne zwycięstwo – choć może znacznie dalsze dziś niż jakiś czas temu – wciąż jest absolutnie pewne.

Na środku przejścia przez Brandenburgerstrasse leżało świeżutkie końskie łajno. Może by tak pojechać dorożką? Z powodu miesiączki czuła się jak dętka, z której spuszczone powietrze. Tak, weźmie dorożkę z postoju za Volksschule¹²⁴. Po co się tak męczyć?

Przy słupie z ogłoszeniami stał pan z teczką i kobiecina w kraciastej chuście, studiując w milczeniu zarządzenia. Zatrzymała się, by też rzucić okiem; okazało się, że nie ma nic nowego. Już miała pójść dalej, kiedy do słupa podeszło dwóch młodych chłopaków w mundurach Hitlerjugend. Pierwszy, blondynek ze śliczną buźką, niósł pod pachą gruby rulon afiszy, drugi, rudy piegus o pałkowatych ramionach, dźwigał wiadro z klejem i pędzel. Piegus zasmarował klejem stare ogłoszenia z taką miną, jakby właśnie zdobył Moskwę. Blondynek wyciągnął ze środka rulonu jeden afisz, przyłożył do słupa jego górną krawędź i przesuwał po papierze rozwartą dłoń, zaczął go ostrożnie rozwijać. Kiedy ukazał się nagłówek: „*Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei Kreis Kalisch Ortsgruppe Schlageter*”, pan z teczką i kobiecina w chuście jak na komendę odwrócili się i odeszli. Piegus zorientował się, że to Polacy, których nie interesują ogłoszenia partyjne, bo splunął za nimi z pogardliwą miną, a potem – widocznie domyśliwszy się, że skoro ona pozostała, musi być Niemką – uśmiechnął się do niej przyjaźnie. „*Am Freitag, 25. Oktober 1944 Grossversammlung im Stadttheater in Kalisch*”¹²⁵. Kiedy po podpisaniu folkslisty wybrała się po raz pierwszy na takie zgromadzenie, okazało się, że jest to drętwy rytuał, pełen wrzasków i przerywanego hajlowaniem recytowania sloganów w rodzaju: „*Alles für Reich! Du bist nichts – dein Volk*

ist alles! Durch unser Blut wird Deutschland frei!"¹²⁶, i postanowiła, że będzie chodzić na takie imprezy tylko od czasu do czasu. Ot tyle, ile trzeba, żeby nikt się nie czepiał. „*Es spricht Kreisleiter und Landrat Hermann Margraff*"¹²⁷. Ale kiedy na pierwszym zebraniu po Stalingradzie przekonała się, że ton przemówień się zmienił, zrozumiała, że uczestnictwo w podobnych sabatach to świetny sejsmograf, z którego można wyczytać wiele ciekawych rzeczy. Od tej pory zaczęła bywać w teatrze regularnie. Słuchała uważnie każdego słowa i z przyjemnością obserwowała coraz bardziej szarzejące gęby słuchaczy. Ostatnio wciąż gardłowano o *Kampfbereitschaft*¹²⁸, o *die totale Mobilmachung*¹²⁹, o niezachwianej *Glaube*¹³⁰, o wypełnieniu *Pflicht*¹³¹ i o koniecznych, niestety, *Opfer*¹³². Ale jak rzekł sam Führer: „*Es gibt keine Freiheit ohne Kampf, es gibt keinen Kampf ohne Opfer!*"¹³³. Na szczęście, przypominali mówcy, *die Toten bleiben jung*¹³⁴, połączeni na wieczność z żywymi w *der seelische Ausgleich*¹³⁵. Itede, itede, itede. Takie wielkie robienie sobie wody z mózgu i próby zaklinania rzeczywistości. Tym razem miało być o *Deutscher Volkssturm als neue Wehrmacht*¹³⁶. Prawda, nowy, genialny pomysł Adolfa. Pospolite ruszenie złożone z szesnastoletnich chłopców i sześćdziesięcioletnich dziadów. Od kilku dni wszystkie gazety wałkowały ten temat. „*Alle deutschen Partei- und Volksgenossen werden eingeladen an dieser wichtigen Versammlung teilzunehmen. Kassenöffnung: 19.30 Beginn 20 Uhr Unkostenbeitrag: 30 Rpf. Heil Hitler! Turge Ortsgruppenleiter*"¹³⁷. Trudno, trzeba będzie pójść.

Zostawiła chłopaków z Hitlerjugend, którzy właśnie nalepiali kolejny, prawie identyczny afisz, wzywający do teatru członków Ortsgruppen Kalisch-Land, Lons-Land i Richthofen-Land¹³⁸. Pomiedzy przeredzonymi liśćmi parkowych drzew zazłociła się cebulka na wieży nowej, małej cerkwi. W czasach gimnazjum zajrzała tam kilka razy, by zobaczyć, jak wygląda prawosławne nabożeństwo. W końcu najpierw chrztu udzielono jej w cerkwi i dopiero po powrocie ojca do Polski ciotka ochrzciła ją ponownie w kościele katolickim. Ale nikt przed nią nie taił – bo i dlaczego miałby taić? – że matka wyznawała prawosławie. Więc kiedy zaczęła brać u profesora Łubnina lekcje rosyjskiego i ten zaproponował, że którejś niedzieli zabierze ją do cerkwi, chętnie na to przystała. Dostała za to niezłą burę od księdza katechety. Do dziś nie wiedziała, kto ją wtedy podkablował. Pewnie któraś

z inkwizytorów z kółka różańcowego. Albo jedna z tych endeckich żmij, których w szkole nie brakowało. Zresztą na ogół były to te same osoby.

Na postoju dorożek okazało się, że pierwsza należy do niejakiego Kaczmarka, przed którym już kilkakrotnie ją ostrzegano – podobno kapował. Absolutnej pewności co do tego nie było, ale istniało takie podejrzenie. Zrobiła kwaśną minę. Wprawdzie do Łubnina szła w sprawach prywatnych, ale mimo to nie chciała, żeby wioził ją tam kapuś. Taki łobuz ma oczy wokół głowy i dobrą pamięć; nigdy nie wiadomo, kiedy sobie przypomni, że w dniu takim a takim pojechała pod taki czy inny adres. Trudno, pójdzie jeszcze kawałek piechotą. Może gdzieś dalej będzie jechało coś wolnego?

Na placu Kilińskiego spostrzegła po drugiej stronie Biedronkę pędzącą w przeciwnym kierunku z pękatem maglownikiem pod pachą. Pomachała jej ręką, ale tamta jej nie dostrzegła – jak zwykle szła ze spuszczoną głową, nie zwracając uwagi na przechodniów. Biedna Biedronka! Od dwóch lat, od śmierci narzeczonego złapanego przez żandarmów z ulotkami i zastrzelonego przy próbie ucieczki, nie mogła dojść do siebie. Coraz częściej napomykała o tym, że chce iść do klasztoru. Że już teraz by poszła, gdyby nie to, że Niemcy zlikwidowali wszystkie kaliskie klasztory i na razie po prostu nie ma dokąd pójść. I gdyby nie to, że Mechanik nie miał nikogo na jej miejsce, a dała mu słowo honoru, że zostanie, dopóki on kogoś nie znajdzie. A że jakoś nie mógł znaleźć, pogodziła się z myślą, że ze spełnieniem swoich planów musi poczekać do końca wojny. Wyglądało na to, że ten klasztor jest bardzo serio, że już się zdecydowała. Taka ładna i miła dziewczyna. Szkoda.

Przeszła przez skrzyżowanie, minęła klasztor, teraz zamieniony na siedzibę i warsztaty Hitlerjugend, ale jak na złość nigdzie nie wypatrzyła śladu dorożki. Dopiero za mostem Bernardyńskim jechał Pan Tuptuś, jej ulubiony dorożkarz. Dostrzegłszy ją, już z daleka śmiał się szeroko i wymachiwał zdjętym z głowy kaszkietem. Zdaje się, że jak zwykle był na lekkim cyku. Tylko że teraz nie opłacało się już jej brać dorożki – profesor mieszkał zbyt blisko. Uśmiechnęła się do białowłosego jak gołąbek dorożkarza i dała mu znać ręką, że nic z tego – dziś na niej nie zarobi. Pan Tuptuś westchnął teatralnie i cmoknąwszy głośno na siwego konika, potuptał dalej.

Wkrótce potem ulica skręcała dość ostro w lewo. Na dziurawym chodniku obok parterowego domu ze spadzistym, krytym papą dachem

i mansardowymi oknami stał może dwudziestoletni lump – w tej okolicy, pełnej pijackich melin, widok dość zwyczajny. Oparty o latarnię, czyścił sobie paznokcie i coś tam pogwizdywał pod nosem. Kiedy przechodziła, mruknął pod nosem:

– Przestań chodzić w portkach mała, byś po dupie nie dostała...

Wzruszyła pogardliwie ramionami, ale na wszelki wypadek lekko przyśpieszyła kroku. Do szachu doprowadzały ją napady podobnego idiotyzmu, na dodatek udrapowanego w patriotyczną szatę. Pomyśleć, że to pewnie właśnie tacy kretyni ogolili kiedyś głowę Gwiazdeczce. Bo widzieli ją parę razy z Niemcami. A co, miała sobie na czole napisać, że wyciąga od nich informacje? Durnota nie zna granic! Uszedłszy kawałek, odwróciła nieznacznie głowę, by się przekonać, czy lump czasem za nią nie idzie. Niepotrzebnie się niepokoiła – łobuz wciąż stał pod latarnią.

Profesor mieszkał w dwupiętrowej kamienicy, kupionej w czterdziestym roku przez niejakiego Helgerta, Niemca z Łodzi. Przez bramę o łukowatym sklepieniu weszła na podwórko. Jej wzrok przemknął gładko po wyszlifowanych, różnobarwnych kocich łbach i odbił się z niesmakiem od trzech okrągłych pokryw szamba, pomalowanych olejną farbą na ohydny ciemnozielony kolor. Kawalerka profesora mieściła się w trzecim segmencie kamienicy, do którego wchodziło się od podwórza. Obok wejścia na klatkę wisiała tabliczka, mniejsza kopia tej zamocowanej obok bramy.

PAUL LUBNIN
DOLMETSCHER
POLNISCH, DEUTSCH, RUSSISCH
8-6 UHR
WOHNUNG 17. [139](#)

O tej godzinie Łubnin przyjmował interesantów, więc zastukawszy, nacisnęła śmiało klamkę bez czekania na „proszę”. Zdziwiła się, kiedy drzwi stawily zdecydowany opór. Zamknięte na klucz? Dziwne... O tej porze? Może on rzeczywiście jest chory? Ale wtedy powinna wisieć kartka informująca, że biuro nieczynne. Więc może naprawdę zatrzymano go wtedy wieczorem? I gdzieś wywieziono? Zaniepokojona, zastukała jeszcze raz – energiczniej.

– Profesorze, proszę otworzyć! To ja, Dorota!

Znowu nic. Przecież gdyby był w środku, nie bawiłby się z nią w ciuciubabkę. Zastanawiała się, co zrobić z kiełbasą, czy nie zostawić jej może u sąsiadów. Tylko czy można im zaufać? Kiedy tak nad tym medytowała, jęknęły drzwi do mieszkania obok i jak na zawołanie wynurzyła się zza nich głowa starej kobieciny o żółtych oczkach ciekawskiej kwoki.

– A panienka czego tu uważa?!

– Przepraszam najmocniej. Nie wie pani, co się dzieje z profesorem?

Chytre oczka zlustrowały ją podejrzliwie od stóp do głów. Nie, prychnęła kobiecina, ona nic nie wie. Ona sąsiadów nie szpieguje. W nie swoje sprawy nosa nie wtyka.

– Kiedy ja mam do niego bardzo ważną sprawę. – Wyciągnęła z plecaka paczkę. – Kiełbasę mu przyniosłam. Miał po nią przyjść w niedzielę i do dziś się nie pokazał.

Kobiecina wwierciła się wzrokiem w paczkę i przełknęła głośno ślinę. A ta kiełbasa to po czemu, zapytała, bo sama chętnie by wzięła kawałek. Chociaż nie, rozmyśliła się, właściwie nic nie będzie brać. Przecież profesor jest jej winien za ten bimber, co go pożyczył wczoraj, to ostatecznie może oddać w kiełbasie. A tak w ogóle to on jest w mieszkaniu, oczywiście, że jest, tylko pewnie śpi. Upił się, to i śpi. Od poniedziałku tak pije, od kiedy stróża zabrali. Musi jakieś interesy kombinował z tym stróżem i teraz ma pietra, że się wyda. Tylko co on za interesy mógł kombinować ze stróżem?

– Profesor? Pijany? Od dwóch dni? Co za głupstwa pani opowiada!

Żadne tam głupstwa, prychnęła tamta, żadne głupstwa! Od pięciu lat ma go za sąsiada, więc nie bresze po próżnicy. I klnie się na głowy swoich wnuków, że raz na jakiś czas zdarza się profesorowi dwu, a nawet trzydnióweczka. Ba, zachichotała, żeby tylko! Jak w czterdziestym roku ogłosili, że Francuzi się poddały, to profesor bite cztery dni z mieszkania nie wychodził. Dobrze wie, co mówi, bo sama dwa razy bimber mu wtedy donosiła.

– Że co proszę?

Kobiecina szczerknęła coś pod nosem i najwyraźniej obrażona, wycofała się do mieszkania.

– Profesorze, niech pan otworzy! To ja, Dorota! – Tym razem nie zastukała, ale zabębniła w drzwi pięścią. – Przyniosłam kiełbasę!

Znowu nic. Odczekała trochę i zirytowana, zabębniła jeszcze raz. Z drugiej strony dobiegło niemrawe szuranie łapci. No, nareszcie! Zgrzytnął przekręcany klucz, zachrobotła obluzowana klamka i drzwi się lekko uchyliły. Nie doczekawszy się, aż zostaną całkiem otwarte, popchnęła je, a wtedy ustąpiły z przeciągłym skrzypnięciem. W wąskim przedpokoju, dodatkowo zwężonym przez wielką szafę, nie było nikogo. Zamknęła za sobą i poszła do kuchni. Łubnin, ubrany w rozchełstaną na piersi pizamę, stał pośrodku z miną człowieka, który nie ma najmniejszego pojęcia, co powinien zrobić. Twarz miał szarozółtą, oczy podpuchnięte i przekrwione, włosy zmierzwiłone i tłuste. Martwe spojrzenie profesora tkwiło nieruchomo, przybite do niewidocznego punkcika na podłodze.

– Boże, jak pan wygląda...

Łubnin zadrżał lekko i nagle, jakby spłoszony – a może zawstydzony? – ruszył krokiem błędzącego ślepeca w kierunku kuchennego stołu. Usiadłszy niezdarne na pomalowanym na biało krześle, znowu znieruchomiał i tylko wpatrywał się tępo w dwie puste litrowe flaszki, ostemplowaną palcami szklankę i talerzyk z zaschniętymi resztkami jajecznicy.

No nieźle, skrzywiła się w myśli na widok tego pobojuwiska. W powietrzu unosił się nieprzyjemny, duszący zapach niewietrzonego od kilku dni mieszkania. Rzuciła plecak na podłogę, podbiegła do okna i otworzyła je na oścież. Potem sprzątnęła ze stołu butelki, a szklankę i talerzyk włożyła do stojącej na taborecie miski, w której piętrzył się już stos brudnych naczyń. Zauważyła obok nogi taboretu przewróconą do góry nogami łapkę na myszy, spod której wynurzał się sterczący sztywno szary ogonek. Skrzywiła się z obrzydzeniem i szybko odwróciła wzrok. Stwierdziwszy, że w czajniku jest woda, przekręciła gałkę elektrycznej kuchenki.

– Gdzie pan ma herbatę?

Łubnin nie zareagował. Nie czekając na odpowiedź, otworzyła pomalowany białą emalią kredens i kierowana intuicją bez namysłu sięgnęła po obdrapane blaszane pudełko po czekoladkach. Zajrzawszy do niego, przekonała się, że trafiła bezbłędnie – w pudełku była mieszanka drobno posiekanych, wysuszonych skórek po owocach. Lubiała takie strzały w dziesiątkę. Wmawiała sobie, że kiedyś, w jakimś decydującym momencie, podobny trafny strzał może jej uratować życie.

– Oj, gdybym wiedziała, jak wygląda sytuacja, wzięłabym z domu cytrynę. Ma pan chociaż kogutka? Wyobrażam sobie, jak musi pana boleć

głowa!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Wsypała trochę owocowych trocin do fajansowego kubka i wyjęła z szuflady łyżeczkę. Mimowolnie zerknęła przy tym pod taboret, jakby chciała się upewnić, że mysz na pewno jest martwa i wraz z łapką wciąż spoczywa w tym samym miejscu. Potem wyciągnęła z plecaka owinięty w gazetę pakunek i położyła go na stole. Jeśli widok i zapach kiełbasy nie przywrócą tego wiecznego głodomora do życia, to znaczy, że nastąpił koniec świata. Zaszleścił papier i ukazały się trzy kawałki lekko podsuszanej myśliwskiej, brązoworudej jak sosnowa kora. Kątem oka zauważyła, jak dłoń Łubnina ożywa nagle i lekko drżąc, zaczyna wędrować powoli w stronę wędliny. No proszę, a nie mówiła? Już ona wie najlepiej, co działa na jej dawnego nauczyciela. Lecz wtedy dłoń profesora skrzyła i chwyciła zniemacka przegub jej lewej ręki, po czym zacisnęła się na nim tak mocno, że aż zabolęło.

– Jak ja mam teraz żyć? – wychrypiął Łubnin i podniósł na nią wzrok, w którym żarzył się obłęd. – Słyszysz? Jak ja mam tu spać, jeść, czytać, tak po prostu sobie żyć, kiedy ona tam... kiedy ona tam... I to ja sam ją wrzuciłem... Powiedz mi jak?!

Przyglądała mu się wystraszona. Zwariował czy co? Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Czy to przez wódkę? Tak czy owak, dotarło do niej, że musiało się z nim dziać coś naprawdę niedobrego. I chyba nie bez powodu. Nie wyswobadzając ręki z uścisku, usiadła na sąsiednim krześle i przypatrywała się uważnie profesorowi. Po chwili położyła prawą dłoń na dłoni Łubnina, wciąż zaciśniętej na jej lewym przegubie. Musiała przy tym włożyć dużo wysiłku, by ukryć obrzydzenie, jakie wywołał w niej jego oddech, cuchnący nieznośnie odorem przetrawionego bimbrowa.

– No, panie Pawle, niech pan spokojnie powie, o co chodzi. Powoli, po kolei, bez pośpiechu. Czy... Czy to ma jakiś związek ze stróżem?

Zauważyła, że drgnął, jakby wbito mu szpilkę.

– Tak... Nie... Tak... – wyszeptał i opuścił głowę na piersi.

– No, niech pan opowiada. Śmiało! Akurat mnie może pan wszystko powiedzieć.

Z podwórza dobiegały głośnie krzyki bawiących się dzieci. Odruchowo odwróciła się w stronę okna, zaintrygowana słowami brzmiącymi jak rosyjski, ale jakiś taki zniekształcony, śmieszny. No tak – ukraiński! Skąd tu, zastanawiała się, Ukraińcy? Profesor nigdy nie mówił, że w jego kamienicy

mieszkają jacyś Ukraińcy. Pewnie nowi przesiedleńcy. Odwróciła głowę z powrotem, żeby o to zapytać, i osłupiała – Łubnin podskakiwał na krześle, jakby go podłączono do prądu. Co jest, zdziwiła się, co znowu? Skąd te dziwaczne drgawki? Delirium jakies czy co? I dopiero po dłuższej chwili, kiedy z zaczerwienionych oczu jej rozmówcy pociekły łzy, dotarło do niej, co się dzieje. Profesor płakał.

[120](#) (niem.) Polska pracownica.

[121](#) (niem.) Poeci i myśliciele.

[122](#) (niem.) Sędziowie i kaci.

[123](#) (niem.) Kraj Warty – Krajem Germanów.

[124](#) (niem.) Szkoła powszechna.

[125](#) (niem.) Piątek, 24 października 1944, wielkie zgromadzenie w Teatrze Miejskim w Kaliszu.

[126](#) (niem.) Wszystko dla Rzeszy! Jesteś niczym – twój naród wszystkim! Nasza krew oswobodzi Niemcy!

[127](#) (niem.) Przemówi starosta i szef powiatowej organizacji partyjnej.

[128](#) (niem.) Gotowość do walki.

[129](#) (niem.) Totalna mobilizacja.

[130](#) (niem.) Wiara.

[131](#) (niem.) Obowiązek.

[132](#) (niem.) Ofiary.

[133](#) (niem.) Nie ma wolności bez walki, nie ma walki bez ofiar.

[134](#) (niem.) Martwi pozostają żywi.

[135](#) (niem.) Duchowa harmonia.

[136](#) (niem.) Oddziały niemieckiej gwardii narodowej jako nowe siły zbrojne.

[137](#) Wszyscy członkowie partii oraz obywatele niemieccy są proszeni o wzięcie udziału w tym ważnym zgromadzeniu. Otwarcie kas: 19.30, początek o godzinie 20. Cena biletu – 30 fenigów. Dowódca grupy Turge.

[138](#) (niem.) Organizacje partyjne powiatu kaliskiego ziemskiego i dwóch sąsiednich powiatów.

[139](#) (niem.) Paweł Łubnin. Tłumacz. Polski, niemiecki, rosyjski. Od 8 do 16. Mieszkanie nr 17.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Środa, osiemnastego października

Przez szparę we wzorzystej kotarze oddzielającej przymierzalnię od pracowni widział, jak pan Ludwik prasuje odbieraną dzisiaj garsonkę. Podziwiał jego wprawne ruchy, ich pewność połączoną z delikatnością. Ale nade wszystko – zazdrościł całkowitego skupienia, z jakim krawiec pochylał się nad stołem. Bo takie zatracenie się w robocie musiało siłą rzeczy uwalniać człowieka od wszelkich myśli i zsyłać nań kojący spokój. Cisza, paprotka na parapecie, dochodzące z kuchni pobrzękiwanie garnkami i sączący się stamtąd zapach zupy grzybowej – chciałby, aby tak właśnie wyglądało po wojnie i jego życie.

Spojrzał na zegarek. Do przyścia Paleniówny zostało jeszcze dziesięć minut. Z wewnętrznej kieszeni obszarpanej, wielokrotnie cerowanej marynarki wyciągnął miniaturowe wydanie *Pana Tadeusza* – prezent od Hani, wówczas już oficjalnej narzeczonej, wręczony mu w dniu wyjazdu na wyprawę kijowską. Do dziś pamiętał, jak się rumieniła, gdy w romantycznym geście schował książkę do kieszeni na lewej piersi i obiecał, że nigdy się z nią nie rozstanie. Słowa dotrzymał, za co już tydzień później spotkała go nagroda – sztywna okładka tomiku zatrzymała odłamek bolszewickiego szrapnela. Od tej chwili uwierzył w cudowną moc książeczki i traktował ją jak talizman. Na każdym postoju czytał sobie ten czy inny rozdział z takim samym nabożnym skupieniem, z jakim pułkowy kapelan studiował Pismo Święte. Ten nawyk pozostał mu na zawsze. Nic dziwnego, że gdyby nie sklejjące okładkę plastry, zaczytany na śmierć tomik dawno rozsypałby się w drobny mak.

Otworzył poemat na pierwszej lepszej stronie i zaczął czytać od góry.

Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju:
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach moki i gęstość miodowego płynu.

Uśmiechnął się pod nosem. No, ładnie wycelował, nie ma co! Na chwilę przerwał lekturę i sięgnął po szklanę już wystygłej herbaty, którą zaparzyła mu żona krawca. Podobno sporządziła ją z mieszanki suszonych leśnych owoców i jakiegoś zielska, ale jakoś czuł na języku wyłącznie to ostatnie. Gdyby nie obecna w płynie łyżeczka sacharyny, chyba nie dałoby się tego przełknąć. Przeklęte substytuty! W którą stronę nie zrobić kroku, zaraz człowiek natyka się na jakiś erzac. Właściwie całe życie stało się jedną wielką namiastką, pozorem prawdziwego życia. Do tego połączonym z oczekiwaniem na wykonanie dawno zasądzonego i zaledwie odroczonego wyroku śmierci. Najgorsze, że nie wiadomo kiedy i gdzie zostanie on wykonany. A może dziękować Bogu, że nie wiadomo kiedy i gdzie? Takich rzeczy chyba lepiej nie wiedzieć.

Upiwszy kilka łyków, odstawił szklanę na lekko zalany spodek, usadowił się wygodniej na krześle i z wciąż przylepionym do ust uśmiechem – a raczej nie tyle uśmiechem, ile grymasem niesmaku po skosztowaniu ohydnej lury – czytał dalej.

Wiadomo, czym dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nietrudno o nią: bo kawiarka z rana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Przełknąwszy głośno ślinę, podniósł wzrok znad książki i zawiesił go na tandetnym, oprawionym w złotą ramę oleodruku z Chrystusem w Ogrójcu.

Boże przenajświętszy, kiedy to ostatni raz pił normalną kawę? Chyba z pół roku temu. Nie, wcześniej! Znacznie wcześniej – będzie już z rok. Porządna, prawdziwa kawa... Czy gdzieś na świecie piją ją jeszcze? Na chwilę rozmarzył się; przypomniały mu się przedwojenne lata, kiedy nie wyobrażał sobie dnia bez dwóch, a nawet trzech filiżanek. A już takiej kawy, jaką rano przed wyjściem do pracy parzyła mu Hania, nie podawali nawet w Europejskim, dokąd zachodził każdego popołudnia na gazetkę i politykowanie w znajomym gronie. Na wspomnienie żony, od pół roku siedzącej w obozie karnym w Ostrowie Wielkopolskim, spochmurniał. No tak, co tu marzyć o normalnej kawie! Pensja wypłacana przez podziemne państwo ledwie starczała na przeżycie, a on próbował z niej jeszcze oszczędzać, by choć raz w miesiącu wysłać Hani paczkę. Więc od dłuższego czasu nawet na lurę z mielonych żołądźmi nie pozwalał sobie codziennie. Ale nic to, pocieszał się, zapatrzony w skłębione granatowe niebo ponad klęczącym Chrystusem, jeszcze wrócą dobre czasy. Na pewno wrócą! Trzeba tylko nie popadać w zwątpienie i czekać, wytrwale czekać. Niemcy już leżą na obu łopatkach, wierzgają jeszcze tylko nogami. Najpóźniej po Nowym Roku będzie po nich.

Wrócił spojrzeniem do książki i odszukał miejsce, do którego doczytał. Po fragmencie o kawie było o pitym przez „panie starsze” gorącym piwie ze śmietaną i twarogiem. Ślinka znowu napłynęła mu do ust.

– Co tam dziś za zupka, panie Ludwiku?

– Grzybowa, panie dyrektorze. Zaraz będzie gotowa.

– Do ciężkiej cholery, panie Ludwiku! Ile razy prosiłem, żeby mnie nie nazywać dyrektorem?!

– Przepraszam, przepraszam najmocniej. Wymsknęło mi się...

Długi dźwięk elektrycznego dzwonka w okamgnieniu wypłoszył rozkoszne zapachy soplicowskiej spiżarni. Nadstawił czujnie uszu. Co jest? Powinny być trzy krótkie dzwonki, a nie jeden długi. Wymienił niepewne spojrzenie z krawcem, który zastygł z żelazkiem w dłoni.

– Spokojnie, panie Ludwiku! Spokojnie! Pewnie jakaś nieumówiona klientka. No, niechże pan idzie otworzyć.

Kiedy krawiec człapał w rozchodzonych papuciach do przedpokoju, otworzył teczkę i wydobyl z niej przeszklone drewniane pudełko podzielone na liczne małe przegródki; w każdej leżały guziki w różnych fasonach, kolorach i rozmiarach. Potem wyjął kilkanaście motków różnobarwnych nici

i na koniec karton z przyszytymi doń próbkami tkanin. Rozłożył wszystko na stolyczku, przy którym siedział – tak, by każdy, kto wejdzie, od pierwszego rzutu oka widział, że ma do czynienia z dostawcą. To było jego alibi – rzekomy domokrażny handel dodatkami krawieckimi. Doskonałe alibi. Dzięki niemu mógł swobodnie poruszać się po mieście, odwiedzać bez wzbudzania podejrzeń punkty kontaktowe, a przy okazji, co tu ukrywać, dorobić sobie parę groszy. Tego ostatniego, przynajmniej teoretycznie, nie powinien był robić – w końcu władze po to płaciły mu stałą pensję, żeby zajmował się wyłącznie robotą konspiracyjną. Ale skoro już łąził z tymi nićmi, agrafkami, kordonkami, to co szkodziło przy okazji trochę nimi pohandlować? Krzywda nikomu się przez to nie działa, a on bardzo potrzebował pieniędzy. Te paczki wysyłane Hani kosztowały przecież tyle, że szkoda gadać.

Z przedpokoju dobiegł kobiecy szczebiot – po polsku. Po chwili w drzwiach ukazała się młoda damulka w kapelusiku i białym lisie narzuconym na ramiona. Odetchnął z ulgą. I wtedy w ślad za nią z mroku przedpokoju wynurzył się zielonoszary mundur i czapka z trupią czaszką na otoku. Stało się to tak nieoczekiwanie, że serce uderzyło mu mocniej. Jezus Maria, Gestapo! Osłupiałym wzrokiem przyglądał się krawcowi, płaszczącemu się przed Niemcem w unizonych ukłonach i usłudnie wskazującemu mu fotel. Boże ty mój, jeśli znajdą przy nim raporty Rudej i Biedronki, jak nic wyląduje na różowym afiszu! Żeby choć pan Ludwik i jego żona jakoś się z tego wyłgali! Gestapowiec zdjął czapkę i usiadł na wskazanym miejscu. Co się dzieje? Czyżby chciał się podroczyć jak kot z myszą? Wpił wzrok w uniform gościa i dopiero teraz wypatrzył czerwień na naramiennikach. To przecież artyleria! Tak, na pewno artyleria. A trzy srebrne kwadraciki na patce na kołnierzu to... Zaraz, zaraz... To Obersturmführer, czyli ten, no... kapitan. W kaliskim Gestapo nie ma przecież takiej rangi, więc to faktycznie artylerzysta z Waffen SS. Artylerzysta na urlopie, który przyszedł ze swoją lafiryndą obstalować jej nową szmatkę. Przeniósł spojrzenie na towarzyszkę Niemca, która właśnie odwijała zapakowany w szary papier materiał. [Jawohl¹⁴⁰](#), Herr Mechanik, jeśli ktoś z tych dwojga jest niebezpieczny, to tylko ona. Ale gdyby kapowała i przyszła tu powęszyć, nie byłaby przecież tak głupia, by przyprowadzać niemieckiego gacha.

– Panie Henryku – odezwał się krawiec znad żurnala, w którym paniusia coś mu pokazywała – niech pan zostawi towar i pójdzie do kuchni, to żona da panu zupy. Potem się policzymy za te guziki.

Wstał z miną tak obojętną, jakby rzeczywiście przybył tu z rutynowym interesem. Przechodząc przez pokój ze wzrokiem pokornie wbitym w podłogę, wciągnął głowę w ramiona i skurczył się tak mocno, jak tylko potrafił. Długo uczył się podobnych sztuczek. Kiedy się jest postawnym mężczyzną, przewyższającym wszystkich niemal o głowę, o pewnych ruchach byłego wojskowego i fizjonomii udzielnego władcy, niełatwo nie wyróżniać się z tłumu. Przestał się golić i czesać gęste, ciemne włosy. Trzy przyzwoite przedwojenne garnitury zastąpił zniszczonym i kusym, kupionym na pchlim targu. Eleganckie buty wymienił na niezgrabne buciorzy na grubej podeszwie. Nawet pasek do spodni zastąpił grubym sznurkiem. Rzecz jasna, tamte stare rzeczy początkowo zachował, przecież miały mu znowu służyć po wojnie. Ale po tym, jak w łapance na handlarzy wzięto Hanię, powoli wyprzedał wszystko – do ostatniej spinki. Jednak sama zamiana stroju nie wystarczyła. Wprawdzie pusty rękaw po amputowanej w sierpniu dwudziestego ręce świetnie pasował do nowego wyglądu, ale już czarna opaska na lewym oku – stanowczo nie. Przydawała zbyt wiele drapieźności i tak mocnym rysom. Musiał więc zdjąć opaskę i zastąpić ją szklanym okiem, a mimo to nie pomagało – *cucullus non facit monachum*¹⁴¹. Oficer, potem wieloletni wicedyrektor gimnazjum, nawet w żałosnych łachmanach nie wyglądał na żebraka – z samego tylko sposobu, w jaki szedł ulicą, nietrudno było wyczytać, do jakiej należy sfery. A po jego spojrzeniu od razu można było poznać, że jest wolnym człowiekiem, nie żadnym tam untermenszem. Nauczył się zatem garbić, chodzić niepewnym krokiem, a przede wszystkim – na widok Niemców opuszczać potulnie wzrok i grzecznie się im kłaniać. To ostatnie przyszło najtrudniej. Nic dziwnego, że cały czas marzył o słodkiej chwili, gdy po wygnaniu Niemców wyjdzie na ulicę w mundurze majora Pułku Strzelców Kaniowskich i przespaceruje się pod ratuszem, stukając obcasami wyglansowanych oficerek. Bo chociaż było to ryzykowne, mundur wraz z całym oporządzeniem zachował.

– Widziała już pani tę kobietę? – zapytał panią Ludwikową, siadając przy stole, na którym czekał talerz ze szczodrze nalaną zupą.

– Nie, ale tu się ciągle pojawiają jakieś nowe. Ludwiczek ma u nich

wielkie wzięcie, wciąż polecają go sobie nawzajem.

Żona krawca wymówiła „u nich” z wyraźnie słyszalną nutą pogardy. Ponieważ sama pochodziła z polskich Niemców i w jej rodzinnym domu nie mówiło się inaczej jak po niemiecku, uważała za konieczne zaznaczyć – przynajmniej wobec niego – swój dystans do tej całej, jak powiadała, „parszywej hitlerowskiej hołoty”. Oczywiście, jako córkę niemieckich kolonistów zaraz w początkach okupacji zapisano ją do drugiej kategorii folksdojczów – bez pytania o zdanie. Pociągnęło to za sobą chociaż ten dobry skutek, że mogła odkupić od własnego męża zakład krawiecki i uchronić go tym sposobem przed konfiskatą i oddaniem w ręce jakiegoś przesiedleńca z Łotwy czy Wołynia. A ponieważ władze niechętnie tolerowały zawarte przed wojną polsko-niemieckie małżeństwa, po pewnym czasie również pan Ludwik musiał się wpisać na folklistę.

Ledwie zaczął jeść zupę, kiedy w przedpokoju rozległy się trzy krótkie dzwonki. Po chwili na wyściełającym przedpokój linoleum zaszurały łapcie pana Ludwika, zaraz potem zgrzytnął przekręcany klucz. Słysząc było, jak krawiec lekko urywanym głosem pośpiesznie informuje nowego gościa, że trzeba trochę poczekać, bo jest „inna klientka”, co to przyszła „bez terminu” razem „z panem oficerem”. Odetchnął z ulgą. No, po takim ostrzeżeniu Paleniówna wybrnie bez problemu. To ona, notabene, wpadła na pomysł, żeby właśnie tutaj urządzić punkt kontaktowy.

Wrócił, jak gdyby nigdy nic, do zupy, starając się nie myśleć o tym, co się teraz dzieje za ścianą. Taka wspaniała zupa zasługiwała na to, by ją zjeść w spokoju, smakując każdą łyżkę. Podobną jadał u dziadków na wsi, gdzie spędzał letnie i zimowe ferie. Mimo biedy piszczącej po wszystkich kątach wspaniałe to były lata i wspaniały świat – pory roku i krew w żyłach tętniły tam tym samym rytmem, życie płynęło spokojnie, każda czynność miała własną godzinę, a każdy przedmiot wyznaczone od wieków miejsce. Zupełnie jak w Soplicowie. Ech...

Jeszcze nie skończył, kiedy z pracowni dobiegł cichy podwójny szwargot – Paleniówna toczyła konwencjonalną rozmowę z najwyraźniej nudzącym się oficerem. Prawdę mówiąc, dopiero teraz uspokoił się na dobre.

– Zje pan jeszcze parówkę z ziemniakami, panie Henryku? A może przedtem dolewkę?

Łyżka stuknęła swojsko o talerz. To dobrze, myślał, że dziadkowie umarli wiele lat przed wojną, nieświadomi, że w czyichś rozpalonych głowach roją

się już zwodnicze brednie i że te brednie staną się wkrótce ważniejsze od obracanego w dłoni, umazanego tłustą ziemią kartofla. I że urzeczywistnią się w postaci ulicznych polowań na ludzi, masowych egzekucji i trucicia więźniów samochodowymi spalinami. Szczęściarze!

– Panie Henryku, dolewkę?

Ocknął się.

– Tak, tak, bardzo proszę, pani Jadwigo! Gdyby nie pani, już dawno zostałyby ze mnie skóra i kości.

Po wyjściu paniusi w lisie i jej artylerzysty dokończył szybko drugi talerz, błyskawicznie połknął parówkę i dopiero wtedy przeniósł się do pracowni. Mimo że pan Ludwik zostawił ich samych, usiedli za kotarą. Dalej wszystko odbyło się jak zwykle: Paleniówna wręczyła mu pisemny raport, po czym szybko i zwięźle wyrecytowała zawarte w nim dane. Najpierw nowe zarządzenia, potem aresztowani, potem wywiezieni, a na koniec zakatowani, rozstrzelani i powieszani – wszystko jak co tydzień. Zmieniły się jedynie nazwiska, daty i cyfry. Podziwiał jej zimną rzeczowość. Praca z tą dziewczyną była samą przyjemnością. Ci z pionu wojskowego szybko zorientowali się, że to prawdziwy *rara avis*¹⁴² i już kilka razy przymierzali się, by zabrać ją do siebie, ale udało mu się do tego nie dopuścić. Ostatni raz naciskali w tej sprawie po majowej wyspie, kiedy to prawie cała siatka wywiadowcza poszła w rozsypkę. Marzyło im się, że zrobią z niej sekretarkę w Gestapo, że każą jej flirtować z oficerami i wyciągać z nich tajemnice służbowe. Po prostu, dranie, kurwę z niej chcieli zrobić! Z córki człowieka, który w czasie odwrotu spod Kijowa uratował mu życie. Więc znowu ostro zaprotestował i musieli się obejść smakiem. Zresztą i sama Dorotka, ilekroć jej opowiadał o tych planach, nie wykazywała najmniejszego entuzjazmu do zmiany przydziału. Nic zresztą dziwnego, skoro nigdy nie kryła przed nim niechęci do tego prawicowego bractwa.

– Panno Dorotko... Ileż to stoi teraz prawdziwa kawa?

– Osiemset marek za kilogram.

Syknął.

– Tak tylko pytałem...

Za kotarą znów zaczęły poszczękiwać nożyce. Nagle poczuł, jak ogarnia go ciężka, trudna do odparcia senność. Ostatnio notorycznie nie dosypiał. Musiał zmienić mieszkanie i przejąć część obowiązków kolegi

zmobilizowanego przez Niemców do sypania umocnień za Łodzią. Przymknął ciężkie jak ołów powieki, starając się jednak nadać twarzy wyraz najwyższego skupienia. Podwładny nie powinien przyłapać przełożonego na chwili słabości.

– Coś jeszcze, panno Dorotko?

– Owszem, jest jeszcze jedna sprawa. Nieprzyjemna.

Zasłonił usta dłonią i z trudem stłumił ziewnięcie.

– Niech pani opowiada.

Za firanką cicho bzyczała złapana w pajęczynę mucha. Mimowolnie obrócił głowę i wyszukał wzrokiem ażurową sieć, rozpiętą między futryną a pomalowaną na słoneczną żółć ścianą. Oprócz szarpiącej się tłustej muchy tkwiło w niej kilka innych, już znieruchomiałych owadów. No proszę, pomyślał, insekty też mają swoje katownie, obozy koncentracyjne, masowe groby.

– Co pani mówi? – Potarł czoło włochatą, wielką jak szufla dłonią. – Żydówka? Zadżgana nożem? Jak ona się tu tyle czasu uchowała?

– Chyba nie to jest najważniejsze.

Otworzył oczy, niemile dotknięty. Oj, czasami panna Wróbelek pozwala sobie na zbyt wiele! Starannie ukrył niezadowolenie, by nie dać smarkuli satysfakcji.

– No i co w związku z tym?

– Nie sądzi pan, że należałoby odszukać jej mordercę? Kto wie, ile osób ma na sumieniu?

– Ba! Żeby wytropić tę kanalię, musielibyśmy znać jakieś szczegóły. Na przykład wiedzieć, u kogo się ukrywała ta Żydówka. Tylko kto się pani do tego przyzna? A tak w ogóle to zadanie nie dla pani, tylko dla chłopców Topora.

– Większość jego obecnych ludzi to nowicjusze.

– Owszem, ale nie są zupełnie zieloni. Od kilku lat tworzą małą organizację, która w całości podporządkowała się Komendzie Głównej. Na ich czele stoi chłopak o pseudonimie Wieża, młody, ale podobno bardzo zdolny. Topór nie może się go nachwalić.

– To jeszcze nie wszystko.

– No, słucham...

– Człowiek, który ją znalazł, wrzucił zwłoki do szamba. Do szamba na podwórzu kamienicy.

– No to co? – Aż sam się zdziwił brutalną niestosownością swego pytania, a także tym, że nie odczuwał z jej powodu żadnego, najmniejszego nawet wstydu.

– Przyzna pan... – Głos dziewczyny zadrżał, a w niebieskich oczach zalśniła uraza. – ...że to chyba coś niewłaściwego, żeby w szambie, w środku miasta, leżały ludzkie zwłoki.

Łypnął na nią ponuro. Czy ona naprawdę myśli, że jak woda po kaczcze spływa po nim wiadomość, że do tych wszystkich Żydów z poderzniętymi gardłami, którzy leżą w niejednym polskim szambie, w niejednej gnojowicy czy w nieczynnej studni, dołączyła kobieta znaleziona na Stawiszyńskiej? I że jest mu obojętny fakt, że to bynajmniej nie Niemcy im te gardła poderznęli? Coś takiego gryzie człowieka stokroć dokuczliwiej niż najbardziej wygłodzone wszy.

– Panno Dorotko, nie ona jedna...

– Ale o innych nie wiemy, a o niej tak!

– O dziesiątkach rozstrzelanych w Lesie Winiarskim i na Wolicy też wiemy, a przecież nie biegniemy ich ekshumować. Zrobi się to po wojnie.

– Oni przynajmniej leżą w ziemi.

– Panno Doroto! – sapnął zniecierpliwiony. – Nie chcę ciągnąć naszej rozmowy w tej rysztokowej poetyce, ale cały ten kraj to dzisiaj jedna gigantyczna *cloaca maxima*¹⁴³, w której pływamy pospołu i ja, i pani, i ta biedna dziewczyna, i miliony innych ludzi. Tyle tylko że niektórzy jeszcze się utrzymują na powierzchni, a inni już poszli na dno. Naszym zadaniem jest ratowanie tych pierwszych, a nie zawracanie sobie głowy tymi, którym i tak nie można już pomóc.

– Kiedy to jest Romka, panie dyrektorze. Romka Jodłowska.

Aż jęknął. Romka? Nie! Czy ona na pewno powiedziała: „Romka”? Nie, nie przesłyszał się, powiedziała wyraźnie. Podniósł na rozmówczynię posępny wzrok, aż zgęstniały od ciemnego ognia. Dlaczego ona mu to robi? Dlaczego mu o tym mówi? Dlaczego zrzuca na jego barki jeszcze i ten ciężar? Jakby sama nie wiedziała, że najgorszą męką w tym piekle jest poczucie absolutnej niemocy na widok wszystkiego, co się dzieje wokół! Nie sam terror dręczy najmocniej, nie strach, nie śmierć – ale właśnie bezsilność w obliczu terroru, strachu, śmierci. Bo nic nie upokarza człowieka bardziej niż bezsilność. A ona wydaje go na jej łup. Romka. Romka Jodłowska.

Najlepsza uczennica w klasie. Najpiękniejsza dziewczyna w mieście. Piękniejsza nawet od matki. Córka jego pierwszej wielkiej miłości. Ilekroć spotykał ją na szkolnym korytarzu lub spoglądał na nią w klasie, nie potrafił się uwolnić od myśli, że gdyby rodzice Heleny, świeżo wychrzczeni protestanci, nie zabronili jej wyjść za mąż za katolika, Romka mogłaby być jego dzieckiem. A co ta tutaj mówi? Romka zakatrupiona i wrzucona do jakiegoś szamba?! Boże Miłosierny, nie! Poczłł niebezpieczne pieczenie w oczach i szybko odwrócił wzrok w stronę okna.

– Skąd wiadomo – wycharczał – że to ona?

– To pewna wiadomość. Ręczę za to.

Schylił głowę i ponownie kilkakrotnie potarł czoło dłonią. Spać, Boże, spać! Położyć się, choćby pod drzewem na ulicy, i spać, spać, spać...

– Dziecko – z trudem wydobył z siebie chropawy szept – przecież nie pójdziemy tam i jej tak po prostu nie wyciągniemy. Jak to sobie wyobrazasz?

– Można by pogadać z tymi z zakładu oczyszczania miasta.

Czuł na sobie jej bezlitosne, wyczekujące spojrzenie. Zaczął kalkulować. Do wyciągnięcia zwłok potrzeba ze trzech silnych chłopa. To akurat żaden problem. Furgonetkę też dałoby się załatwić. Dowcip polega na tym, że należało wszystko zrobić bez hałasu, w taki sposób, by nie postawić na nogi całej kamienicy. Łatwo powiedzieć!

– Do kogo należy ten dom?

– Do Niemca, niejakiego Helgerta. Członka partii.

– A jacyś inni Niemcy?

– Dotychczas był jeden samotny urzędnik, ale miesiąc temu dokwaterowano dwie rodziny folksdojczów z Ukrainy.

Przez jego usta przebiegł szyderczy uśmieszek. No, ładnie! Dwie rodziny folksdojczów – bagatela!

– A te rodziny to pewnie z dziećmi? No właśnie. Przed takimi dzieciakami niczego nie da się ukryć. A stróż?

– Stróża zabrali tamtej nocy.

– Co takiego?!

– Za napisy na murach.

– Więc sama pani widzi, że sprawa wygląda beznadziejnie!

– Dlaczego? Przecież...

Przerwał jej gwałtownym ruchem ręki.

– Niech pani pomyśli trzeźwo! – Stuknął pięścią w stolik, aż podskoczyła

stojąca na nim pusta szklanka. – Jak pani chce to zrobić bez porozumienia ze stróżem? Na dodatek na oczach gospodarza Niemca i tych ukraińskich bachorów? Nie, nie. Za duże ryzyko. Niech pani w ogóle o tym nie myśli! Mamy dosyć innej roboty na głowie.

– Więc zostawimy ją tam?

Utkwił wzrok w podłodze pomalowanej brązową olejną farbą. Boże kochany, oddałby wszystko, by teraz znajdować się daleko stąd i nie być zmuszonym do ciągnięcia tej beznadziejnej rozmowy.

– Panno Dorotko... W Warszawie podobno ćwierć miliona ludzi leży w prowizorycznych grobach. Na podwórkach, skwerach, w piwnicach. A setki, jeśli nie tysiące, zostały ponoć w kanałach. W takich samych, hm... okolicznościach. Nie ona jedna musi jeszcze poczekać na przyzwoity pogrzeb. Przykro mi.

Zapadła cmentarna cisza. Dziwnie obco i nieprzyzwoicie brzmiał na jej tle beztroski, miarowy szczeł krawieckich nożyc.

– Jednak pozwoli pan, że pokręcę się tam trochę. Chciałabym dopaść tego bandziora...

Zmarszczył brwi i zastanowił się, co odpowiedzieć. Na ile znał tę dziewczynę, mógł się spodziewać, że nawet jeśli zabroni, ona i tak zrobi swoje.

– No dobrze – westchnął ciężko i rozłożył ręce w geście kapitulacji. – Zgadzam się. Poczekał tydzień z oddaniem sprawy Toporowi. Słyszała pani? Tydzień. I błagam, na wszystkie świętości, niech pani będzie ostrożna. A teraz niechże już pani idzie. Zagadaliśmy się, a zaraz przyjdzie Gwiazdeczka. Nie chcę, żebyście się spotkały. Jak na jeden dzień stanowczo za dużo tu zamieszania.

– Jeszcze jedno. To bardzo ważne.

Zrobił cierpką minę. Pewnie znów będzie mu suszyć głowę o Biedronkę. Przecież nie jest ślepy, zauważył zmiany, jakie zaszły w dziewczynie od śmierci narzeczonego. Zmieniła się i to bardzo. A ostatnio jakby się jeszcze pogorszyło. Przestała dbać o wygląd, straszyla oczami wciąż podkrążonymi od płaczu, dziwnie się odzywała. No ale kto mu ją teraz zastąpi? Gdzie znajdzie kogoś na jej miejsce? Nie ma nawet mowy o zwolnieniu Biedronki ze służby; musi zacisnąć zęby i wytrzymać. Przecież koniec wojny już bliski, a do klasztoru zawsze zdąży trafić.

– Ten nowy zastępca Topora. Ten, który razem ze swoimi ludźmi trafił

do niego w wyniku akcji scaleniowej¹⁴⁴... Jak on się nazywa?

– Jak się nazywa, tego nie wiem, ale posługuje się pseudonimem Wieża. A o co chodzi?

Paleniówna rozmyślała przez chwilę.

– To Zasuń. Jestem pewna. Jego ulubiona rozrywka to gra w szachy. Po całych dniach rozwiązuje szachowe układy lub gra z innymi zapalonymi szachistami. Zbyt wiele osób o tym wie, dlatego ryzykowałby, przyjmując pseudonim Szachista. Królem nazwać się nie mógł, bo to zbyt pretensjonalne, poza tym – on lubi symbole, a kimże jest w szachach król? Nikim. Pozbawioną realnej władzy tarczą strzelniczą. Ale z wieżą to co innego. Kojarzy się z czymś, co wznosi się wysoko, czymś trwałym, na czym można polegać. Mówię panu, że to on.

– A jeśli nawet, to co?

– Przecież to faszysta! – Na twarzy Dorotki odmalowało się najwyższe zdziwienie. – Nie niepokoi pana, że ktoś taki razem ze swoją watahą opanował nasz wywiad?

– Niech pani nie przesadza. Skąd pani wie, że opanował? Zostało tam jeszcze trochę starych ludzi. Poza tym Topór to nie nowicjusz, utemperuje ich. W końcu i on nie przypadkiem przyjął właśnie taki pseudonim.

Paleniówna pokręciła głową.

– Zasuń tak sprytnie go omota, że Topór nawet się nie zorientuje. Sam pan mówił, że już teraz nie może się go nachwalić.

– Po prostu jego zastępca dobrze wypełnia swoje obowiązki.

– Przede wszystkim wypełnia swój plan! To arcy mistrz manipulacji. Ma ambicje rządzić ludźmi tak, jak się rządzi figurami na szachownicy. Nie przesadzam, naprawdę. Miałam dotkliwą okazję, by przekonać się o tym osobiście.

Zauważył, że wypowiadając ostatnie zdanie, zarumieniła się i na krótko odwróciła spojrzenie.

– No dobrze. Powiem Toporowi, żeby miał na niego oko. A teraz błagam, niech już pani idzie. No, szybko. Do zobaczenia za tydzień!

Po wyjściu Paleniówny siedział osowiały, pobity przez otrzymaną wiadomość o Romce. Aby nie jątrzyć ropiejącej rany, nie chciał myśleć ani o zamordowanej dziewczynie, ani o miejscu, w którym od kilku dni leżały jej zwłoki – tak samo jak nigdy nie chciał myśleć o Hani ani o tym wszystkim,

co ona przechodzi w obozie. O paczkach dla niej, o pieniądzach potrzebnych na te paczki – tak, o tym mógł, a nawet powinien był myśleć. I myślał, cały czas myślał. Ale o samej Hani, o tym, co te bydlaki z nią tam robią – przენigdy, za nic w świecie! Inaczej jak amen w pacierzu zwariowałyby. Ba, łatwo powiedzieć – nie myśleć. To nie takie proste. Teraz też, mimo największych wysiłków, nie potrafił zapomnieć o Romce. W desperacji sięgnął ponownie po *Pana Tadeusza*. Wyszukał lekko drżącymi palcami ustęp o grzybobraniu i próbował się zmusić do lektury. Lecz chociaż wytrwale przebiegał wzrokiem kolejne linijki, zamiast obrazu spacerujących po soplicowym lesie grzybiarzy widział jedynie rozsypane bezładnie literki. W jego wyobraźni niepodzielnie panowało wspomnienie dziewczyny o czarnych jak smoła włosach i ciemnobursztynowych oczach. Zgnębiony do reszty faktem, że i to remedium przestaje mu pomagać, zamknął tomik z głośnym trzaskiem i zapatrzył się tępo w niewielką dziurkę w okładce. I po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może źle się stało, że wtedy, pod Kijowem, miał tę książkę akurat w kieszeni na lewej piersi.

[140](#) (niem.) Tak jest.

[141](#) (łac.) Habit nie czyni mnicha.

[142](#) (łac.) Rzadki ptak.

[143](#) (łac.) główny kanał kanalizacyjny w starożytnym Rzymie.

[144](#) Tak określa się akcję, w której wyniku niezależne od rządu w Londynie organizacje zbrojne podporządkowały się Komendantowi Głównemu Armii Krajowej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czwartek, dziewiętnastego października

– No, profesorze, zaczynamy! Mieszkanie numer jeden.

Łubnin chrząknął, jakby potrzebował czasu na zebranie myśli, i zapatrzył się w stojącą przed nim szklankę w drucianym koszyczku, z której parowała najprawdziwsza herbata. Specjalnie przyniosła ze sobą paczuszkę, żeby nie musieli pić lury robionej z nie wiadomo czego. Przy okazji wzięła też kawałek upieczonego przez Katarzynę jabłecznika. Mieszkanie numer jeden, powtórzył profesor, patrząc jak stawia na kartce arabską jedynkę, mieszkanie numer jeden? Tak, odchrząknął ponownie, mieszkanie numer jeden to przecież pan Tosiek, znaczy się Matczak. No, ten stróż, którego zabrali. I jego żona. Ta to dopiero nie cierpi Żydów! Podobno jej ojciec jeszcze przed pierwszą wojną stracił chałupę i kawałek pola za długi u lichwiarza. Łubnin wsypał do szklanki pół łyżeczki sacharyny i mieszał powoli herbatę, starając się nie dzwonić. Sam pan Tosiek nic do Żydów nie miał. Prawdopodobieństwo, że to on ją przechowywał? Twarz Łubnina zmarszczyła się jak pognieciona koszula. Żadne. Absolutnie! Matczakowa nigdy by się na to nie zgodziła. Co, za pieniądze? Cha, cha! Kto widział choć jeden raz minę Matczakowej na widok Żyda, wiedział, że to mało prawdopodobne. Nawet biorąc pod uwagę, że chciwość potrafi zaćmić w człowieku wszelkie inne uczucia. Zresztą nawet gdyby Matczakowa połakomiła się na pieniądze, wywodził, to i tak niemożliwe. To kliteczka, kuchnia i jeden pokój.

Wykreśliła jedynkę wraz z widniejącym obok nazwiskiem Matczaków i po chwili zastanowienia zapytała, czy to możliwe, że pan Tosiek ją zabił. Profesor zdecydowanie zaprzeczył. Niedorzeczność! Pan Tosiek? W życiu! Niezrażona odpowiedzią, zaczęła rozważać na głos: wyobraźmy sobie, że wpadł na nią, kiedy szedł do sadu. Pomyślał, że to złodziej, przecież było

ciemno jak w beczce smoły. Zaczęli się szamotać i stało się...

Łubnin włożył do ust kawałek jabłeczника i przeżuując go, zastanawiał się nad jej słowami. Hm... Niby w taki sposób, mruknął, mogło to wyglądać. Na logikę – tak. Ale wtedy pan Tosiek nie byłby taki spokojny, taki opanowany. Pewnie by mocno dyszał, bo to jednak człowiek z sześćdziesiątką na karku, dobrze już schorowany. No i gdyby to się rzeczywiście stało przypadkiem, w szamotaniu, dlaczego pan Tosiek miałby to przed nim ukrywać? Czekając na kolejne pytanie, profesor zjadł szybko ciasto do końca i otarł palcami koniuszki krótko przyciętego wąsika, do którego przylepiło się kilka okruchów. Co proszę? Czy stróż miał zakrwawione ubranie? Łubnin rozłożył ręce. Nie wiadomo. Przecież nie widział pana Tośka. Kiedy ten na chwilę zapalił latarkę, światło padało wyłącznie na trupa.

Wzięła łyk herbaty i przez chwilę rozkoszowała się spływającym do żołądka przyjemnym ciepłem. Potem spróbowała zebrać myśli. Gdyby stróż szamotał się z Romką i na koniec wbił jej nóż, musiałby mieć zakrwawione ubranie. I to porządnie. A to zauważyliby policjanci. Z pewnością zainteresowałoby ich, skąd ta świeża krew. Tymczasem – jak na drugi dzień opowiadała lokatorom żona stróża – Niemcy, zanim go wzięli, dali mu tylko kilka kuksańców za napis na murze. O żadną krew nie pytali.

– No dobrze, zostawmy to na razie. Mieszkanie numer dwa.

Profesor nałożył sobie na talerzyk nową porcję jabłeczника. Numer dwa? Pani Kubikowa i jej mąż. Przyzwoita, prosta kobiecina, zaharowana do nieprzytomności. Musi przecież wyżywić czwórkę dzieci i tego pijusa męża. Jest kucharką w Deutsches Haus, najmuje się też jako pomoc przy weselach, stypach, imieninach. Jej chłop pracuje jako woźny w sądzie, ale co zarobi, zaraz przepija. Ona ma złote serce, ale gdzie tam przy tych czworgu dzieciach kogoś przechować! Zresztą on by na to nie pozwolił. Za strachliwy. Poza tym wiele razy powtarzał, zwłaszcza zawiany, że to, co Niemcy robią z Żydami, to straszne, ale że dla Polski to w sumie bardzo dobrze, bo raz na zawsze będzie z Żydami spokój. Wykreśliła Kubików. Pycha ten jabłecznik, profesor przewrócił oczyma, pycha! Mieszkanie numer trzy? Zaraz, momencik, musi przełknąć. Więc pod trójką to Piotrowski, nauczyciel matematyki w szkole zawodowej. Po tym, co Niemcy zrobili z większością nauczycieli, może uchodzić za szczęściarza. Nie dość, że dają mu żyć, to jeszcze pozwalają pracować w zawodzie. Wdowiec. Syn w oflagu,

starsza córka na robotach w Rzeszy, młodsza mieszka z nim. Ta młodsza chyba w czymś jest, ale to tylko przypu... przypu...szczenia. Dała ręką znak, żeby nie mówił dalej, dopóki porządnie nie odkaszlą. Profesor popił ciasto kilkoma łykami herbaty i przeprosiwszy, otarł chusteczką cieknące mu po policzkach łzy. O, już dobrze, westchnął z ulgą, już w porządku. Trudno powiedzieć, czy Piotrowscy wzięliby Żyda na przechowanie. Wykreśliła Piotrowskich. Numer cztery? Twarz profesora zajaśniała sympatią. No, doktor Matuszewski. Wspaniały człowiek, do rany przyłoż. I ma fory u Helgerta, bo jak stara Helgertowa, matka tego psubrata, spadła ze schodów i złamała sobie nogę w trzech miejscach, tak jej kości poskładał, że śladu po złamaniu nie zostało. Stary legionista, cięty na endeków jak mało kto. Wśród przyjaciół miał wielu wychrzczonych Żydów. Syn doktora w czymś jest, żona syna chyba też. O tak, oni mogliby ją przechowywać. Tylko gdzie by ją pomieścili? W starym mieszkaniu na Pułaskiego mieli sześć pokoi, a tu raptem dwa na sześć osób – no bo jest jeszcze dwójka wnucząt, Adaś i Paulina, i stara służąca. Do tego, od wypadku matki, Helgert zapalał do doktora taką sympatią, że co i rusz tam wchodzi z ćwiarteczką nalewki albo kawałkiem placka, i przesiaduje, herbatkę pije, gada o tamtym i siamtym. Doktor, urodzony w Przemyślu, mówi po niemiecku jak rodowity Austriak. Matuszewscy mają po dziurki w nosie tych odwiedzin, ale co mają zrobić, przecież muszą z tą gadziną dobrze żyć. Więc czy w takim mieszkaniu dałoby się kogoś bezpiecznie ukryć? W każdym razie doktor jest jedną z dwóch, może trzech osób w kamienicy, które można zapytać wprost.

No, ucieszyła się, wreszcie jeden sprawiedliwy w Sodomie – a przynajmniej kandydat na sprawiedliwego. Podczas gdy stawiała przy Matuszewskich znak zapytania, zauważyła kątem oka, że w ustach Łubnina znika ostatni kęs drugiego kawałka jabłecznika. Idźmy dalej, zakomenderowała, mieszkanie numer pięć. Pięć, medytował profesor, dopijając do końca herbatę, pięć? Ano pani Szewczykowa, stara panna, i jej siostra, wdowa po podoficerze, i jeszcze ich ojciec, staruszek nad grobem. Szewczykowa to dewotka, każdego dnia biega do kościoła, chociaż to ze czterdzieści minut w jedną stronę. Uważa, głos Łubnina zdrzał, a w jego oczach niczym podwójny piorun z runów SS błysnęło szyderstwo, że jej świętym obowiązkiem jako porządnej katoliczki jest z całej duszy nienawidzić Żydów. Nie, nie, wyjaśnił pośpiesznie, nie za to, że są Żydami, nie za to nawet, że nie wierzą w Chrystusa, ale za to, że Go ukrzyżowali.

Szewczykowa sądzi, że im mocniej będzie nienawidzić morderców Zbawiciela, tym bardziej dowiedzie swojej do Niego miłości.

Wykreśliła Szewczyków i postawiła na kartce szóstkę. Szóstka, kontynuował zafrasowany Łubnin, to inżynier Kielbik, jego żona, jej bratanica z mężem i dzieckiem. Inżynier z żoną pracują w wodociągach, spokojni ludzie, grzeczni, życzliwi. On przed wojną był Pepeesie, więc wzięli go do *Straflager*¹⁴⁵. Wodociągi go wyreklamowały, że niby dobry fachowiec, że potrzebny. Ale od tego czasu stara się nie wychylać. Bratanica Kielbikowej jest kelnerką w Park Cafe¹⁴⁶, jej mąż uprawia jakieś handelki. Ta ostatnia dwójka to chytra na forszę, że ho, ho! Ci mogliby się połaszczyć na żydowskie pieniądze, ale inżynier chyba by się nie zgodził. Od wyjściu z obozu to cień człowieka – wiecznie blady, w oczach strach, a serduszko podobno ma tak słabe, że od głośniejszego trzaśnięcia drzwiami może mu wysiąść. Więc oni nie. Raczej nie.

W kuchni panowało nieprzytulne zimno. Rzuciła mimowolnie okiem w stronę bezczynnego kuchennego pieca i już chciała powiedzieć coś na ten temat, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Numer siedem.

Profesor się ożywił. Pod siódmką to niezły ptaszek! Nowaczek, pracuje w piekarni. Przed wojną należał do faszystowskiej bojówki. W trzydziestym siódmym razem z koleżkami bił na targowisku Żydów, którzy nie chcieli handlować za białą linią. Potem napadał na chrześcijan kupujących w żydowskich sklepach. Chyba nie ma sensu mówić dalej? Ruchem ręki dała mu znać, żeby przeszedł do ósemki. Numer osiem, Łubnin skrzywił się lekko, to mecenas Sadurski z piętnastoletnim synem i służącą, a właściwie pielęgniarką. Bo ten syn to kaleka. Urodził się z porażeniem mózgowym, ciągle trzeba przy nim chodzić. Mecenas ma koło pięćdziesiątki, ale wygląda znacznie starzej; do tego niemiły, opryskliwy. Trzy lata temu uciekła od niego żona, z jakimś dalekim kuzynem uciekła, zdaje się, sporo od niej młodszym. Chyba biedaczka miała dosyć i mecenas, i tego nieszczęsnego syna, po prostu nie wytrzymała. Od tego czasu Sadurski zgorzkniał do reszty. A pracuje jako stróż w Ultramarynie. Wszystko już wyprzedał, pieniądze by mu się przydały. Ale czy przechowywałyby Żyda? Kto to wie? Przed wojną był za wprowadzeniem *numerus nullus*¹⁴⁷, podpisywał w tej sprawie różne petycje.

– Pod dziewiątym?

– Rodzina Mullerów, folksdojczów z Besarabii. Stary Muller jest kierownikiem we młynie, tym na końcu Stawiszyńskiej. Syn zaginął latem na froncie wschodnim.

– Rozumiem, wykreślamy.

Łubnin się obruszył. Chwila, chwila, niech nie będzie taka prędką! To prości, ale porządni ludzie. Nie mogą zapomnieć o rodzinnych stronach, a pani Mullerowa wciąż śpiewa jakieś rumuńskie pieśni. A Niemców z Rzeszy nie cierpią nie mniej niż ona i on. Więc kto ich tam wie...?

Wprawdzie nigdy nie słyszała o ukrywaniu Żydów przez folksdojczów przesiedlonych ze Wschodu, ale nie musiało to wcale oznaczać, że takich przypadków nie było. Ostatecznie nikt się tym głośno nie przechwalał, a życie bywa bardziej nieprzewidywalne, niż się to człowiekowi wydaje. Po krótkim wahaniu postawiła zatem przy Mullerach znak zapytania – ale znacznie mniejszy od tego przy nazwisku doktora Matuszewskiego.

– Chcesz jeszcze herbaty, Dorotko? Nastawię, bo tu zimno, prawda?

Potaknęła. Łubnin wstał od stołu i włączył elektryczną kuchenkę. Obserwowała jego ruchy przyjemnie bezmyślnym spojrzeniem. Gdy przed niecałą godziną otwierał jej drzwi, miło ją zaskoczyło, że choć wprawdzie pozostawał w wisielczym nastroju, ale ogolił się i starannie ubrał. Wszedłszy do kuchni, zauważyła, że z miski zniknął stos brudnych naczyń, a spod taboretu – łapka z nieżywą myszą.

– Dosypimy trochę nowej herbaty do starych fusów, dobrze Dorotko? Będzie mocniejsza.

Widać było, że pomoc, jakiej w sprawie Romki udziela jej profesor, ma na niego zbawienny wpływ. Spróbowała sobie wyobrazić, co on czuje, wiedząc, że ona wciąż tam jest, a co gorsza, że pozostanie w tym miejscu aż do końca wojny. Ale nie potrafiła – to po prostu przerastało ludzką wyobraźnię. Przekonała się o tym na własnej skórze, kiedy idąc do Łubnina, przechodziła przez podwórko i na próżno próbowała nie spoglądać w stronę szamba. Z pomieszania grozy, wstydu i upokarzającej niemocy aż zeszywniało jej wtedy gardło. No ale ona zjawiała się tu tylko na chwilę, natomiast on mieszka w tej kamienicy na stałe i jeszcze przez kilka miesięcy będzie musiał dzień w dzień przechodzić przez to ohydne podwórko, nękany potwornymi wyrzutami sumienia z powodu wrzucenia zwłok Romki do szamba. Już we wtorek próbowała mu wmówić, że zrobił bardzo dobrze,

że nie miał innego wyjścia, że być może stawką był los wielu ludzi. Z jego miny odczytywała, że bardzo chciał w to wierzyć, a jednocześnie cały czas wątpił, czy ma do tego prawo. Współczuła mu, ale za nic w świecie nie zamieniłaby się z nim teraz miejscami.

Zadrżała – sama nie wiedziała czy od własnych myśli, czy od panującego w kuchni chłodu. Skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła energicznie rozcierać dłońmi ramiona. Psia kość, przecież wiedziała, jak tu będzie zimno! Nie mogła ubrać się ciepłej? Na szczęście profesor już stawiał przed nią herbatę. Chwyciła za uchwyt drucianego koszyczka i poczuła na palcach przyjemne gorąco.

– Nie jesz ciasta? – Łubnin wskazał łakomym wzrokiem na patere z seledynowego szkła, na której spoczywały ostatnie dwa kawałki jabłeczniaka.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dziękuję, nie mogę już na niego patrzeć. Ale pan niech je, śmiało! Świeżutki najlepszy.

W lokalu numer dziesięć mieszkał Helgert, a obok, pod jedenastką, inny Niemiec z Rzeszy. Grabbe, urzędnik ze starostwa. Od razu ich wykreśliła.

– Dwanaście.

Łubnin mlasnął głośno – w pierwszej chwili nie wiedziała, czy to z powodu jabłeczniaka, którego trzecią porcję właśnie kończył, czy na myśl o lokatorze spod dwunastki. Mieszkanie dwanaście? Ba! Toż to pan Jerzmanowicz, właściciel Żabikowa pod Ostrowem. Piękny majątek i dwór także piękny! Coś takiego jak Majków Karśnickich czy Warszówka Wyganowskich. Skąd się tu wziął? Ano kiedy wybuchła wojna, załadował na wozy wszystkie srebra, brązy, porcelanę, kilimy, dywany, co cenniejsze obrazy, trochę mebli i zwiewał z tym na wschód. Ale wiadomo, jak to wtedy było: dużo ludzi, drogi zatłoczone, zakorkowane, jechało się w żółwym tempie. Kawalkada Jerzmanowicza wyjechała z majątku nad ranem drugiego września, lecz dopiero w południe następnego dnia dotarła do Kalisza. W Kaliszu też piekło, panika, przecież ludzie doskonale pamiętali, co Prusacy wyprawiali tu na początku tamtej wojny. A jeszcze saperzy zerwali Most Warszawski, więc wszyscy uciekający musieli się przeciskać przez Bernardyński. Słowem – do wieczora trzeciego września Jerzmanowicz dopchał się zaledwie do Winiar, gdy tymczasem komunikaty radiowe mówiły, że Niemcy dołem, spod Wieruszowa, rwą już na Łódź. Zrozumiał,

że to nie ma sensu. Zawrócił do Kalisza i zaczął się rozpytywać o wolny lokal. I tak trafił do kamienicy Rosenbluma, który miał akurat cztery wolne pokoje na pierwszym piętrze, na dodatek częściowo umeblowane. Przy tym wszystkim kamieniczka mizerna, ledwie dwupiętrowa, niepozorna; kto by podejrzewał, że zechce tu zamieszkać taki pan z najcenniejszą częścią swojego ruchomego majątku? No i Jerzmanowski rozsiadł się na tych czterech pokojach i siedzi tak do dzisiaj. Razem z kamerdynerem i gosposią, bo żona odumarła go jeszcze przed wojną, obaj synowie w Londynie, a córka z mężem w Warszawie.

– Kwaterunek pozwala mu mieszkać w czterech pokojach? A co na to Helgert?

Profesor zaśmiał się ponownie. Helgert, wyjaśnił, to nie dureń, wie, gdzie stoją konfitury. Domeldował tam kogoś, oczywiście fikcyjnie, i kwaterunek jest przekonany, że mieszkanie aż pęka od lokatorów. W zamian Jerzmanowicz płaci mu podwójny czynsz – i to nie w gotówce, a w precjozach. Przez te cztery lata, profesor westchnął, nadziewając na widelczyk ostatni kęs ciasta, już tam ponad połowa Jerzmanowiczowych sreberek i brązów przeszła w ręce Helgertusia. Skąd on to wszystko wie? Ano, bo czasami wieczorami chodzi do Jerzmanowicza na karty.

– Czy on mógłby ją przechowywać? Jak pan myśli, panie Pawle? Warunki ma.

Profesor zmierzył pusty talerzyk zawiedzionym spojrzeniem, przeniósł je na paterę i przekonawszy się naocznie, że więcej ciasta już nie ma, okazał rozczarowanie bezgłośnym ruchem mięsistych warg. Potem powtórnie skierował wzrok na talerzyk i przełknął ślinę na widok pozostałych zaledwie kilku niewielkich okruszków i kawałeczków lukru. Po krótkim wahaniu, pomagając sobie palcem, nagarnął je na widelczyk, po czym ostrożnie uniósł go do ust, tak by okruszyny nie wypadły przez szpary między ząbkami. Dopiero zjadłszy resztki jabłeczniaka, odpowiedział. Czy Jerzmanowicz mógłby przechować Żyda? To nie taka prosta sprawa. Jerzmanowicz jest, jakby to powiedzieć, asemitą. Nie, nie – nie przesłyszała się. Nie antysemitą, ale właśnie asemitą. Co to znaczy? To znaczy, że ktoś taki, jak Żyd, dla pana Jerzmanowicza, szlachcica pełną gębą, którego praszczur już pod Płowcami stawał przeciwko Krzyżakom, po prostu nie istnieje. Żyd ze wsi, taki tam starozakonny pachciarz czy kupiec, podobnie zresztą jak służba i pracownicy z folwarku, a także chłopci, są dla Jerzmanowicza wyłącznie częścią

krajobrazu, czymś takim jak przydrożna wierzba. Nikt przecież nie współczuje usychającej wierzbie, bo to zaledwie jakieś tam drzewo. Jerzmanowicz widzi wyłącznie ludzi ze swojej sfery i tych ze sfer wyższych. Z ludzi stojących niżej raczy dostrzegać tylko tych, z którymi zmuszony jest wchodzić w pewnego rodzaju ograniczone stosunki: oficjalistów, guwernantki, urzędników. No więc – profesor, przypomniawszy sobie o konieczności obtarcia wąsika z okruszków, szybko to uczynił – no więc gdyby do drzwi Jerzmanowicza zapukał Żyd, ten byłby zdziwiony, że ktoś taki w ogóle śmie zawracać mu głowę. Zresztą to sytuacja wyłącznie teoretyczna, bo nawet gdyby jakikolwiek Żyd jednak zapukał, Jerzmanowicz nigdy by się o tym nie dowiedział. Przecież taki pan nigdy w życiu osobiście nie otworzy nikomu drzwi. Od otwierania drzwi to on ma gosposię i kamerdynera. Więc to oni otworzyliby drzwi. I kazaliby temu Żydowi wynosić się do czorta.

– Ale Romka to nie wiejski pachciarz, ale kobieta z towarzystwa. Wykształcona, z dobrymi manierami, a na dodatek – co nie jest chyba bez znaczenia dla mężczyzn – wyjątkowo piękna.

Profesor się zmieszał. Dopiero po chwili zrozumiała dlaczego. Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy powiedziała o swojej szkolnej koleżance per Romka. Do tej pory mówiła o niej wyłącznie „ona”, a i Łubnin trzymał się tej formy. Ten mały lingwistyczny zabieg depersonalizował zamordowaną i ułatwiał profesorowi uwolnienie się – choć na chwilę – od wyrzutów sumienia z powodu wrzucenia jej zwłok do szamba. Chciała przecież, żeby Łubnin skupił się na odpowiedziach, czemu z pewnością nie sprzyjała świadomość faktu, że dwadzieścia kroków od nich pływają czyjeś zwłoki i że nie są to zwłoki jakiejś tam przypadkowej, nieznannej osoby, ale kogoś znanego z imienia i nazwiska. Więc na mocy milczącej umowy zaakceptowała mówienie o Romce „ona”. Jednocześnie cały czas piekła ją nieznośnie niewłaściwość takiego postępowania; czuła się tak, jakby odzierając zamordowaną koleżankę z imienia i nazwiska – cóż z tego, że tylko chwilowo i wyłącznie z powodu stanu, można by rzec, wyższej konieczności? – sama uczestniczyła w zabójstwie, a potem pomagała wepchnąć ciało do szamba, by tam, wraz ze swoją twarzą, imieniem i nazwiskiem, rozpuściło się raz na zawsze w brei niepamięci. W końcu tak bardzo miała już tego dosyć, że wreszcie nie wytrzymała i wyrwała się z „Romką”.

– Panie Pawle, pytałam...

Profesor przerwał jej ponurym spojrzeniem. Dobrze słyszał, burknął, o co pytała, przecież uszy ma umyte. To niczego nie zmienia, oznajmił, wciąż lekko zmieszany, że nie mówią o jakimś starozakonnym cebularzu, lecz o młodej, wykształconej kobiecie. Dla Jerzmanowicza córka przemysłowca to jeszcze gorzej niż dziewczyna z plebsu – i nie ma znaczenia, czy chodzi o przemysłowca Żyda, Niemca, czy Polaka. Bo plebs istnieje od początku świata i ma w tym świecie swoje miejsce. Czyż mogłaby istnieć szlachta, gdyby nie istniał plebs? Przemysłowcy, burżuazja to zupełnie co innego. To hołota, która postanowiła wywyżżyć się ponad stan. W oczach Jerzmanowicza Repphanowie, Fibigerowie, Flakowicze, Schreierowie czy Jodłowscy to bezczelni uzurpatorzy. Zatem prawdopodobieństwo, że ukrył u siebie kobietę z ich sfery, jest minimalne. Właściwie żadne.

Arabską dwunastkę i nazwisko Jerzmanowicza przecięła niebieska kreska. Już chciała pytać dalej, gdy ni stąd, ni zowąd jej głowę wypełniła nieznośna ołowiana pustka. Nagle poczuła się tak, jakby zaraz miała zemdleć. Matczakowie, Kubikowie, Piotrowscy, Matuszewscy, Mullerowie, Jerzmanowscy, czarny rynek, różowe afisze, ulice o podwójnych nazwach, trupy w szambie... Nie, nie, dosyć! Dosyć! Dosyć! Oparła łokcie na krawędzi stołu i ukryła twarz w dłoniach.

– Co tobie, Dorotko?

Kilkukrotnie potarła powieki i szybko opuściła ręce.

– Nic, nic, panie profesorze, to zmęczenie. Skończmy na dzisiaj, dobrze? Muszę to wszystko poukładać sobie w głowie.

Jeszcze raz przebiegła uważnie wzrokiem sporządzoną listę, żeby dobrze zapamiętać wszystkie widniejące na niej nazwiska. Potem wstała od stołu, podeszła do kuchennego pieca, odsunęła haczykiem kilka fajerek i podpaliła kartkę zapalną. W milczeniu przypatrywała się, jak pożerany przez ogień papier powoli się zwija, brązowieje, potem kruszy na większe i mniejsze płatki i w końcu coraz szybciej rozsypuje w czarny proch.

[145](#) (niem.). Obóz karny.

[146](#) (niem.) „Kawiarnia Parkowa”.

[147](#) Zasada wyznawana przez przedwojennych antysemitów, zgodnie z którą na studia i do pewnych

zawodów nie powinno się w ogóle dopuszczać Żydów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czwartek, dziewiętnastego października

– Kto tam?

– Przyjaciel.

Mimo niezbyt głośnej odpowiedzi od razu rozpoznał głos. Uszycki? Tutaj? Skąd znał adres? Przecież nigdy mu go nie dawał. Zresztą nikomu innemu również. Nawet Żyrewicz i Kowalski, najbliżsi współpracownicy z organizacji, nie mieli pojęcia, gdzie mieszka, chociaż należeli do Trzeciego Poziomu. Spotykał się z nimi wyłącznie na mieście lub u nich. To mieszkanie miało być całkowicie bezpieczną kryjówką, a jednocześnie prywatnym azylem. Nie służyło do konspirowania, lecz do prowadzenia normalnego życia. Bywały w nim tylko i wyłącznie kobiety – a i to jedynie te, z którymi nie miał możliwości spotykać się gdzie indziej. Ciekawe, jak ten szchwany lis go wytropił?

– Długo każe mi pan czekać?

Przekręcił klucz, zdjął łańcuch i uzbroiwszy twarz w powitalny uśmiech, otworzył na oścież drzwi.

– Witam serdecznie pana barona! Cóż za miła niespodzianka!

Stojący na korytarzu niski, szczupły pięćdziesięciolatek z krótko przystrzyżoną brodą łypnął na niego chłodno i nie czekając na oficjalne zaproszenie, przekroczył próg pewnym krokiem kogoś, kto czuje się jak u siebie wszędzie tam, gdzie zechce. Trochę dotknięty, a trochę ubawiony tą bezceremonialnością, zamknął na powrót drzwi i przekręcił klucz – ostrożności nigdy dosyć.

– Chyba nie taka miła – mruknął gość, wykonując zgrabny półobrót i bez ceregieli zrzucając prosto w jego ręce narzucony na ramiona kaszmirowy płaszcz w kolorze kawy z mlekiem – skoro tyle czasu raczył mnie pan trzymać pod drzwiami...

Pochwycił płaszcz i z szacunkiem należnym koronacyjnej pelerynie powiesił go na stojącym w kącie wieszaku. Kątem oka obserwował, jak w tym samym czasie Uszycki poprawia przed lustrem krawat, wygładza brodę i spodem włochatej dłoni, ozdobionej platynowym szlacheckim sygnetem, przygładza włosy. Odczekawszy cierpliwie, aż gość upewni się co do nienaganności swojego wyglądu, odgarnął jedną połę ciężkiej kotary oddzielającej miniaturowy przedpokój od reszty mieszkania.

– Proszę bardzo, panie baronie.

Odpowiedziało mu ledwo widoczne skinienie głowy. Wkraczając do pokoju, Uszycki prawie otarł się o jego pierś swoimi wąskimi plecami, włóczonymi w idealnie dopasowaną marynarkę; na szczęście odchylił się w porę i nie pozwolił na dotyk. Baron zatrzymał się pośrodku pomieszczenia i obejrzał się nieznacznie – zdaje się, nie widział dobrze w półmroku i czekał na włączenie górnego światła. Dziwne, myślał, lustrując wzrokiem jego drobną sylwetkę, ani w sposobie chodzenia, ani w twarzy nie ma przecież nic kobiecego. W czasach, gdy na tego typu panów czyha tyle niebezpieczeństw, to niewątpliwie przydatna cecha. I nie można zaprzeczyć, że facet ma klasę. Te dystyngowane, powściągliwe ruchy mogłyby uchodzić za wzór dyskretnego majestatu. Wygląda, jakby nie miał rąk. Wieczne utrapienie osób bez obycia – co począć z rękoma? Nieudolnie schować je za siebie, nerwowo przebierać palcami? A tu – dwa puste rękawy nieruchomo wiszące wzdłuż tułowia. Niby proste, a mało który nuworysz potrafi opanować tę sztukę.

Przekręcił włącznik i pokój zalało rześiste światło wielkiego kryształowego żyrandola, ledwie się mieszczącego pod niezbyt wysokim sufitem.

– Zechce pan usiąść, panie baronie.

– Chwileczkę! – Uszycki nawet nie spojrział na wskazany mu empirowy fotel. – Niechże mi pan pozwoli rozejrzeć się trochę po tej pańskiej samotni. No proszę, proszę... Znając pański gust, nigdy nie posądzałem pana o skłonność do ascezy. Ale, wyznaję, nie spodziewałem się, że znajdę tu takie skarby. Te dywany, draperie, jedwabie, ałtasy, te złote ramy, obrazy, kandelabry! Łaskawy panie, toż to nie pokój na drugim piętrze czynszówki, ale komnata monarszego pałacu!

– Przesada, panie baronie, przesada!

Czekając cierpliwie, aż Uszycki skończy zwiedzanie, zastanawiał się,

do kogo jest on podobny. Trochę, hm... Tak – do sznaucera! Do niemłodego, ale wypielęgowanego sznaucera. I to zarówno z twarzy, jak i postury. Nawet swoim zachowaniem – wsadzaniem nosa w każdy bibelot i w każdy obraz – przypomina teraz psa, który po wejściu do nieznanego pomieszczenia obiega je i obwąchuje wszystkie kąty. Sznaucer. Baron Sznaucer. Ciekawe, jak by się zachował, gdyby mu o tym powiedzieć?

Nagle Uszycki zatrzymał się, uniósł lekko głowę i niczym myśliwski pies przez chwilę wciągał nosem powietrze.

– Coś nie tak, panie baronie? – Na tak jaskrawy dowód słuszności dopiero co poczynionego porównania, z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

– A nic, nic... – Uszycki powrócił do kontemplowania *Róż w wazonie Karpińskiego*. – Tylko przez chwilę mi się zdawało, że jeszcze czuć to wszystko cebulą i czosnkiem.

– Cóż... – Otworzył nadstawkę kredensu i wyciągnąwszy z niej karafkę z żółtego kryształu, postawił ją na bufecie. – Ani mi w głowie zaprzeczać, panie baronie, że są to trofea zdobyte na wrogach. – Zamknął przeszklone drzwiczki i otworzył drugie. – Lecz doprawdy nie wiem, dlaczego miałbym się tego wstydzić. – Z półki zastawionej kieliszkami o różnych rozmiarach i kształtach wybrał dwa naporstki na krótkiej nóżce i ustawił je obok karafki. – Przeciwnie, uważam za powód do dumy, że dobra przez tyle lat zawłaszczona przez obcych powróciły wreszcie do prawowitych właścicieli. – Wyjął z szuflady czystą ściereczkę, przetarł nią każdy kieliszek i sprawdził pod światło, czy je dobrze wypolerował. Wypatrzywszy na jednym ślad po palcach, przeczyścił go jeszcze raz. – Zresztą na wojnie, jak to na wojnie: obowiązuje prawo łupu. – Wyciągnął z karafki korek przypominający kształtem szyszkę i napełnił kieliszki. – O ile się nie mylę, na rozwiązaniu dręczącego nas tyle lat problemu żydowskiego i pan baron nie wyszedł źle...

– Intrygują mnie te kolory – ciągnął jakby nigdy nic Uszycki, udając, że nie słyszy. – Same czerwienie, purpury, szkarłaty. Barwy cesarzy i królów. Pięknie łączą się ze złotem, nieprawdaż? Tylko tak sobie myślę... Tak mi się zdaje... że od patrzenia na nie może się zakręcić w głowie. Nie sądzi pan? Mnie nawet już się zaczyna kręcić. Usiądę sobie, dobrze? Nie, nie, ten ludwik jest zbyt dostojny jak na moje skromne cztery litery. To przecież oryginał, a nie dziewiętnastowieczna kopia. O, to krzesło będzie w sam raz. –

Usiadł przy okrągłym stolicku, na którym stała szachownica z figurami

z kości słoniowej, i podciągnąwszy nieco nogawkę, założył nogę na nogę. – Czy i panu się to zdarza?

– Przepraszam, niby co?

– No, takie zawroty głowy.

Roześmiał się.

– Od tych niby królewskich barw? Nie, nigdy. Przyzwyczałem się już.

– No właśnie. – W obróconych w jego stronę szarosrebrnych oczach błysnęły ostrza żyłek. – I to też mnie niepokoi. Bo, przyznam szczerze, sam już nie wiem, co gorsze: chwilowy zawrót, po którym można sobie nabić może i bolesnego, lecz w sumie niegroźnego guza, czy trwałe przyzwyczajenie?

Postawił na stoliczku kieliszki i usiadł na drugim krześle.

– W każdym razie zapewniam pana barona, że woda sodowa nie uderzyła mi do głowy. Zresztą po czym? Takich niewielkich organizacji, jak moja, są w tym kraju dziesiątki, jeśli nie setki.

– To dobrze. Bardzo dobrze. – Spojrzenie Uszyckiego złagodniało. –

Cieszę, że pan tak mówi. Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby pańskie ambicje wyrwały się spod kontroli i przerodziły – proszę mi wybaczyć szczerze – w megalomanię. Megaloman, choćby nie wiem jak inteligentny i utalentowany, nie potrafi myśleć zimno, logicznie. Prędzej czy później zaczyna tracić kontakt z realnym światem. Rzeczywistość myli mu się z jego rojeniami. Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że ta niebezpieczna przypadłość dotknęła pańskiego przyjaciela. No, tego w binoklach. Nie sądzi pan? No właśnie. A ja lubię mieć do czynienia z ludźmi, którzy w każdej sytuacji myślą trzeźwo. Z ludźmi twardo stąpającymi po ziemi i nieulegającymi emocjom.

– Zapewniam pana barona, że to moja podstawowa zaleta. I przykro mi, że pan w to zwątpił.

– Och, zaraz zwątpił! Tak sobie tylko dywagowałem. Jeśli pana dotknąłem, przepraszam. Nie gniewa się pan, prawda?

– Na pana barona? Nigdy w życiu!

– Więc wypijmy! – Włochata dłoń, ściśnięta w nadgarstku śnieżnobiałym, ozdobionym złotą spinką mankietem, sięgnęła po kieliszek. – *Prosit!*

– *Prosit!*

Upiwszy łyczek, Uszycki nie odstawił kieliszka, lecz zapatrzył się w pomrużujące zeń miodowe oczko. Czekał, aż gość wyjawi wreszcie cel

wizyty, bacznie mu się przypatrywał. Sznaucer? Hm... Gdyby się uśmiechnął i przybrał szelmowski wyraz twarzy, przypominałby raczej satyra. Posiwiąłego, ale wciąż chutliwego satyra. Natychmiast wyobraził sobie, jak spośród lekko kręconych włosów Uszyckiego wyrzynają się dwa różki. Rzeczywiście – wypisz, wymaluj satyr! Chociaż sam Uszycki wolałby, zdaje się, uchodzić za Zeusa. Pomyśleć tylko – syn praczki spod Leszna! A może służącej z Bydgoszczy, bo i taka krążyła plotka. Do tego nieślubny syn. Kto wie, może faktycznie jego ojcem był jakiś zdegenerowany pruski arystokrata? Czyli bękart z rodowodem. Cóż, jaki Olimp, taki Zeus. Jak na epokę rządów motłochu to i tak świetne pochodzenie.

– No tak... – Wzrok Uszyckiego oderwał się od kieliszka, poszybował wolno w dół i zaczął krążyć po wzorach na dywanie. – Pomówmy o naszej sytuacji. Delikatnie mówiąc, nie wygląda ona ciekawie. Tylko patrzeć, jak Sowietci ruszą i popędzą Niemcom kota. W efekcie pozbędziemy się wprawdzie jednych uciążliwych gości, ale zwałą się nam na głowę drudzy. Do tego jeden diabeł wie, którzy gorsi.

– Ci nowi, panie baronie. Zdecydowanie ci nowi!

Uszycki dźwignął spojrzenie.

– Tak pan uważa? Hm... Przecież to sojusznicy naszych sojuszników. Nie mogą się tu chyba szarogęsić tak, jakby byli całkiem u siebie. Muszą zachować pozory. Jeśli nie przed nami, to chociaż przed Anglikami i Amerykanami.

– Tak sądzi – pokiwał z politowaniem głową – przytłaczająca większość naszych pocziwych rodaków. A także panowie z Delegatury Rządu i Komendy Głównej. Jezu, zwykłym ludziom można tę naiwność wybaczyć, ale tym drugim już zdecydowanie nie! Pozory, powiada pan, pozory? Ależ Stalin je zachowuje! Stworzył fasadowy polski rząd, a o naszych rozbrajanych i wywożonych na Sybir oddziałach mówi, że to niemieccy kolaboranci. I Churchill z Rooseveltem idą na to. Co nam, do licha, po takich pozorach?

– No właśnie...

– Niemcy, panie baronie, zagrażali nam wyłącznie fizycznie. Nie istniała obawa, że kogokolwiek z nas pozyskają dla swoich planów. Zresztą nawet się nie starali. Widząc w nas podludzi, jasno zdefiniowali łączące nas stosunki. Mogliśmy być tylko wrogami. Śmiertelnymi wrogami. Co innego Sowietci. Oni przybywają z hasłami internacjonalizmu, sprawiedliwości społecznej,

równości, powszechnego szczęścia. Nie będą mieć żadnych kłopotów z pozyskaniem zwolenników. Już ich tu zresztą mają. Przecież to nie zrzucani na spadochronach sowieccy dywersanci piszą na murach „PPR”. A efektem będzie trwałe skomunizowanie Polski. Nie na lata, ale na całe dekady. Może nawet na stulecia. Chyba zgodzi się pan ze mną, że to coś znacznie gorszego niż okrutna wprawdzie, lecz krótkotrwała okupacja niemiecka.

– Może nie będzie aż tak źle...?

– Będzie, będzie! I to znacznie gorzej, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić!

– Może ich jakoś rozmiękczymy. Historia uczy, że ilekroć barbarzyńcy podbijają kraj o wyższej cywilizacji, przejmują powoli jego kulturę.

– Ale tylko wówczas, drogi baronie, kiedy porzucają swoje dotychczasowe ziemie i osiedlają się w podbitym kraju. Jak Wizygoci w Hiszpanii lub Ostrogoci w Italii. Tam, gdzie nowe terytoria pozostają jedynie prowincją na obrzeżach dotychczasowego państwa, nic takiego nie zachodzi. Tatarzy jakoś się nie ucywilizowali od zhołdowania Rusi. Ani Turcy, choć ci swą stolicę przenieśli do zdobytego Bizancjum.

– Pod zaborami też nie było lekko. A nie daliśmy się zrusyfikować...

– Dlatego też bolszewicy wcale nie będą nas rusyfikować, ale sowietyzować. Na tym polega zasadnicza różnica. Pozwolą nam mówić po polsku, nawet czytać Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, ale nadadzą im taką interpretację, która zrobi z nich papuczyków Marksa i Engelsa. A z nas – bezwolne automaty.

– I cóż pan w takim razie zamierza?

– A pan baron?

– Zdjąłem już walizki z pawlacza...

– Wyjeżdża pan? Kiedy?

– Och, jeszcze nie teraz. Ale jak tylko się zacznie. A pan? Co pan wtedy zrobi?

Nie odpowiedział. Mimowolnie skierował wzrok na szachownicę, gdzie zapędzony w kąt biały król, osłaniany jedynie przez samotnego gońca, czekał w milczeniu na wykonanie wyroku. Od dłuższego czasu czuł się tak jak on. Jakikolwiek wykonałby ruch, niechybnie czekał go szach-mat – i to w dwóch, góra w trzech posunięciach. Co robi, kiedy przyjdą tamci? Nie było się co okłamywać, nie wiedział. Wciąż się nad tym zastanawiał i wciąż nie miał pojęcia. Myślał o tym nocami i dniami, ale nic sensownego

nie przychodziło mu do głowy. A świadomość, że jednak trzeba coś wymyślić, torturowała niczym piekielny ogień.

– Panie Michale, niech pan jedzie ze mną...

Drgnął, w pierwszej chwili zdumiony niespodziewaną propozycją.

– To by była dezercja! – rzekł zimno. – Jestem żołnierzem. Oficerem.

Uszycki uśmiechnął się gorzko.

– No widzi pan? Jednak nie myśli pan racjonalnie. Wystarczy mała gwiazdka na naramienniku, żeby zakłócić logikę pańskiego rozumowania.

– Nie będę uciekać. Nie zrobiłem tego w trzydziestym dziewiątym, kiedy moi rodzice wyjechali do Warszawy, nie zrobię i teraz.

Uszycki poderwał się z miejsca jak ukłuty kijem kogut i zaczął spacerować w tę i z powrotem po pokoju. Jego oczy pobłyskiwały z trudem tłumioną irytacją.

– Uciekać, uciekać... – przedrzeźniał. – Po co zaraz takie mocne słowo? Powiedzmy: wyjechać.

– Uciekać, wyjechać... Nie kłóćmy się o terminologię. To jest mój kraj, moje miejsce na ziemi, i nie mam ochoty go opuszczać. Czy to tak trudno zrozumieć?

Uszycki się zatrzymał.

– Rozumiem, doskonale rozumiem. Ale jak pan sobie wyobraża życie tutaj po ich przyjeździe? Będzie pan z nimi walczyć? A czym, przepraszam? I z kim? Ilu pan ma ludzi w tej swojej organizacji? Stu?

Nie odpowiedział.

– Pięćdziesięciu?

Opuścił wzrok.

– Więc nawet nie tylu... – Uszycki pokiwał smutno głową i znowu zaczął się przechadzać, ale już spokojniej. – Pewnie tak ze trzydziestu, co? A może i mniej. Dwudziestu paru ludzi uzbrojonych w kilka pistoletów i kilka karabinów. Przecież nie porwie się pan z nimi na Sowietów. Musiałby pan oszaleć!

– Są jeszcze inne sposoby...

Uszycki machnął ręką.

– Też mi sposoby! Gazetki, ulotki, tajne odczyty. Czyli to samo, co robiliście do tej pory. Cha, cha, cha! Faktycznie, mniej ryzykowne od rozkręcania torów, nie wspominając o strzelaniu z za węgła. Ale i tak was wytropią. Szybciej, niż się panu zdaje. Sam pan przed chwilą mówił,

że w przeciwieństwie do Niemców będą tu mieć swoich zwolenników. W kilka miesięcy powyciągają was jak ryby z saka. W najlepszym razie – w dwa, najwyżej trzy lata. A gdy już was dopadną, skończy się wieloletnim więzieniem. Zresztą kto wie, może i nawet stryczkiem. Pan, założyciel i dowódca takiej organizacji, nie może przecież liczyć na ich litość.

Milczał. Uszycki, nie doczekawszy się odpowiedzi, ponownie usiadł – ale nie na krześle, lecz na fotelu w stylu Ludwika XVI, na którym jeszcze kwadrans temu wzdragał się spocząć. Po chwili założył nogę na nogę i rzuciwszy okiem na stojącą obok konsolę, sięgnął po ozdobny sztylet do rozcinania papieru. Przez jakiś czas obracał go w dłoniach, lecz ze skupionej miny wynikało, że bynajmniej nie o sztylecie myśli.

– Proszę, niech pan jedzie ze mną – odezwał się wreszcie tonem łagodnej perswazji. – Zaręczam panu... Zaręczam, że to propozycja czysto biznesowa. Przyda mi się młody, wykształcony i inteligentny wspólnik. Niech pan się zastanowi. Mamy wszystko, co trzeba, żeby się dobrze urządzić: pieniądze, znajomość języków, obycie. Szwajcaria, Portugalia, Ameryka – cały świat stoi przed nami otworem. Niechże pan będzie rozsądny!

Akurat, zaśmiał się w duchu na myśl, o jakiej „przyjaźni” mówi Uszycki, akurat! Poszukaj sobie, capie, innego naiwnego. Gdyby nawet zdecydował się na wyjazd, nie potrzeba mu wspólnika i przewodnika. Sam da sobie radę. Ale nigdzie nie wyjedzie. Nie jest tchórzem. Choć wariatem też nie. Otwarta walka z czerwonymi szybko skończy się katastrofą. W tym względzie ten stary drań ma całkowitą rację. Więc co? Rozwiązać organizację? Ależ to byłaby kapitulacja! Więc może nie rozwiązywać jej zupełnie, a tylko zawiesić działanie? Przejść w coś w rodzaju stanu uśpienia. Jak niedźwiedź w zimie. Oczywiście, tylko do czasu, kiedy ogólna sytuacja zmieni się na tyle, że podjęcie na nowo walki stanie się sensowne. Lecz co, jeśli zmieni się dopiero za pięćdziesiąt lat? Co on będzie robił przez cały ten czas? Udawał lojalnego obywatela Polskiej Republiki Rad? Poza tym – nie ma co sobie mydląć oczu – takie zawieszenie działalności de facto równałoby się rozwiązaniu Legionu; różnica leżałaby wyłącznie w nazwie. Byłoby wyłącznie mamieniem samego siebie, werbalnym oszustwem dokonany po to, żeby się poczuć ciut lepiej i nie uchodzić we własnych oczach za kapitulanta. Zatem i o tym nie może być mowy. Nigdy nie był i nie będzie hipokrytą.

– Niech pan się zastanowi. – Uszycki jeszcze raz obrócił w dłoniach

sztylet, po czym odłożył go na konsolę. – Jest jeszcze chwila na podjęcie decyzji. Wygląda na to, że bolszewicy nie uderzą, dopóki nie uporają się z zajęciem Prus Wschodnich. A to już stara Rzesza. Niemcy będą się tam bić o każdy kamień. To daje nam kilka tygodni, może nawet miesięcy. Nie musi pan odpowiadać dzisiaj, ale nie należy też zbytnio zwlekać. Diabeł nie śpi. Obiecujecie pan się zastanowić?

Chciał odpowiedzieć, że nie ma nad czym się zastanawiać, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Im dłużej szanowny pan baron będzie wierzył w możliwość wspólnego wyjazdu, tym dłużej będzie pożyteczny. Niech się zatem jeszcze trochę połudzi. Poza tym wiedział, że ostateczna odmowa zaboli Uszyckiego, a jakoś nie chciał mu sprawiać przykrości. Przecież na swój sposób lubił go i cenił; w końcu był jednym z niewielu ludzi, z którymi można było ciekawie i szczerze porozmawiać. Jak choćby teraz. Nie ma wątpliwości, że po wyjeździe Uszyckiego będzie mu tych rozmów brakować.

– No dobrze, obiecuję.

Uszycki odetchnął; zapadło przeciągające się milczenie. Myślał, że wszystko zostało omówione i gość zacznie się zbierać do wyjścia, ale ten wcale się nie kwapił.

– Coś jeszcze, panie baronie?

– Niestety. Prawdę mówiąc, właśnie z tym przychodzę. Wciąż robi pan interesy z naszym znajomym z Mariańskiej?

– Owszem, mam u niego parę groszy. Przyzna pan, że płaci świetny procent.

Baron cmoknął.

– Niedobrze.

– Dlaczego?

– Ten człowiek zrobił się ostatnio zbyt zuchwały. Nie obraca już workami czy skrzyniami, ale całymi wagonami. Ostatnio kupił sporą partię konserw doprowadzonych z magazynów Wehrmachtu. Żeby chociaż wywiózł je gdzieś daleko, ale gdzie tam! Idiota rozprawia je tutaj, na miejscu! Wyobraża pan sobie podobną nieostrożność? Najwyraźniej uwierzył, że parasol, jaki rozciągają nad nim przekupni szachraje z Kripo, jest wystarczająco szeroki, by osłonić taką bezczelność. Bzdura! Konserwy z magazynów Wehrmachtu? To już przecież zakrawa na dywersję. Jeśli – nie daj Bóg! – sprawa wyjdzie na jaw, niechybnie zajmie się nią Gestapo. Jemu

się pewnie wydaje, że w razie wpadki i tam posmaruje komuś rączkę. Takie pazerne prymitywy zawsze myślą, że skoro oni są gotowi sprzedać własną matkę, to wszyscy inni też. Ale to tylko złudzenie. Zawsze i wszędzie trafia się ludzie nieczuli na brzęk monety. Z fanatyzmu, z pragnienia awansu, z chęci podlizania się przełożonym lub ze strachu przed nimi. Zresztą, nieważne z jakich powodów – ważne, że tacy są. I nigdy nie wiadomo, kiedy na któregoś z nich się wpadnie.

– Sam mi pan tego człowieka polecił...

– Cóż... Kiedyś nie był taki. Skąd mogłem wiedzieć, że sukces przewróci mu w głowie? Jasnowidzem przecież nie jestem. Czy on zna pana z imienia i nazwiska?

– Nie.

– Ale widział pana?

– Nie sądzę, żeby mnie rozpoznał. Wszystko zawsze odbywało się po zmroku, miałem kapelusz, płaszcz z wysokim kołnierzem, a na dodatek... – mam nadzieję, że nie będzie się pan baron śmiał – ...sztuczną brodę i wąsy.

– Ani myślę. Ani myślę... Sztuczną brodę? Naprawdę? Cha, cha! Bogu dzięki! Zatem możemy przyjąć, że jest pan bezpieczny. Pod warunkiem że nigdy więcej się pan z nim nie spotka.

– Chwileczkę! A mój kapitał?

Uszycki machnął ręką.

– Niech pan o nim zapomni.

– Panie baronie, to nie jest pięćdziesiąt fenigów!

– O ile dobrze usłyszałem – przez usta Uszyckiego przebiegł szatański uśmiezek – wspomniał pan o paru groszach?

– No, nie dosłownie... A już na pewno nie mam zamiaru ich darować temu panu.

Palce barona, niczym precyzyjne szczypce, wyskubały przyklepioną do spodni mikroskopijną nitkę i upuściły ją na podłogę.

– I znowu się okazuje, że nie jest pan rozsądny. Niech pan pomyśli zimno. Czy warto ryzykować? Może i dla takich jak my życie bez pieniędzy jest niewiele warte, ale też żaden pieniądz nie jest wart naszego życia.

– Łatwo powiedzieć...

– Zróbmy tak: poczekajmy i zobaczymy. Mam przy nim swojego człowieka. Gdyby moje obawy miały się potwierdzić, zdąży mnie zawiadomić. Może niepokoję się niepotrzebnie, może dmucham na zimne.

Tak czy owak, niech pan nie kontaktuje się z nim w sprawie odebrania pieniędzy. Jeśli nic złego się nie stanie, on i tak je panu zwróci. W tych sprawach jest rzetelny.

– Dobrze, poczekam.

Uszycki wstał.

– No cóż, będę się zbierać. Niedługo godzina policyjna.

Dopił nalewkę i również się podniósł.

– Pan baron nie ma nocnej przepustki?

– A po cóż mi ona? Moje interesy nie wymagają włóczenia się po nocy. Poza tym – skąd miałbym ją mieć?

– Och, przy pańskich stosunkach...

– Moje stosunki są ograniczone do tych najbardziej koniecznych. Tak jest bezpieczniej. Ktoś w Organisation Todt, ktoś na kolei, ktoś na cle. Liczbę ludzi potrzebnych do prowadzenia interesów zawsze ograniczałem do niezbędnego minimum. W ogóle moje pryncypium to nigdy nie sięgać dalej, niż pozwalają ręce. To właśnie wierność tej mądrej zasadzie sprawiła, że przeżyłem cały ten niemiły czas we względnym dobrobycie i spokoju. Na dobrą sprawę najbardziej ryzykowna fanaberia, na jaką sobie pozwoliłem, to wspieranie pańskiej organizacji. A propos – przykro mi o tym mówić, ale dłużej już nie mogę tego robić. Mam nadzieję, że nie będzie pan mieć do mnie żalu. Rozumie pan, że w związku z przygotowaniami do wyjazdu gromadzę wszelką gotówkę.

Na tę nieprzyjemną wiadomość nie był gotowy.

– Ależ panie baronie! Zaraz, chwileczkę! Tak nie można! Właśnie szykujemy nową akcję. Bez pańskich pieniędzy...

– Niech pan sprzeda coś z tych cacek i będzie pan miał potrzebną sumę. Aha, gdyby pan znalazł chętnego na moją willę, będę bardzo wdzięczny. Procent taki, jak zawsze. I nie mam nic przeciwko temu, aby przeznaczył go pan na organizację.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Piątek, dwudziestego października

Na zakręcie na Stawiszyńskiej stał ten sam lump, co kilka dni wcześniej. Dałaby sobie uciąć rękę, że na jej widok cmoknie albo rzuci jakąś ordynarną propozycję, ale – o dziwo – ledwie raczył zwrócić na nią uwagę. Co jest, zdumiała się, nie poznał jej, czy co? A zresztą co to ją obchodzi! Nie będzie sobie zawracać głowy jakimś palantem.

Jej spojrzenie przyciągnęły przydomowe sady, wspinające się po stromym zboczu ku Toruńskiej. W samym ich środku, między spokojną, żółknącą zielenią jabłonek a złocistą żółcią śliw piekliła się stara grusza, cała w jesiennych pomarańczach, pąsach i amarantach. Gdyby była malarzem, od razu rozstawiłaby tu sztalugi, żeby ją namalować. Ale, niestety, nie była. Jako dziewczynka pichciła przez jakiś czas akwarelki, ale tak po amatorsku – nie ma czego wspominać. Najgorsze, że ku jej wielkiemu rozczarowaniu nie za bardzo szło jej również pisanie. Dyskutować potrafiła do upadłego, ale zmagania z kartką papieru zawsze kończyły się porażką. W każdym razie, nigdy nie wychodziły tak, żeby czuła zadowolenie. Dlatego po namyśle zrezygnowała z pomysłu na założenie podziemnego pisma, w którym dawałaby odpór bredniom wypisywanym w „Sztuce i czynie”. Uznała, że znacznie poręczniej będzie jej z nimi walczyć w salonie Krysi Pałaszówny. Za to w miarę nieźle – przynajmniej tak sądziła – wychodziły jej tłumaczenia. Zwłaszcza prozy, bo z poezją było już znacznie gorzej. Po paru nieudanych próbach dała z nią sobie spokój. Wyjątek czyniła tylko dla wierszy Anny. Właśnie poprzedniego wieczoru skończyła przekład kolejnego z nich, zatytułowanego *Hiob*.

„Błogosławiony Pan Zastępów!” – rzecze Hiob,

siedząc po obiedzie u wejścia do namiotu.
Pije wino, bawi oczy słońcem
i dziękuje za kolejny dzień spokoju i szczęścia.

Lecz czujnie przy tym zerka
na pasące się w dali stada –
wiadomo, pańskie oko konia tuczy.
„Stawiam wszystko, co mam, kiwa głową,
że ci hultaje pastuchy, gdybym ich nie pilnował,
wnet postradaliby któreś z jagniąt”.
Tak myśli Hiob i dla zabawy zaczyna już obliczać,
ileż to kóz, owiec i wielbłądów mógłby wygrać,
gdyby się z kimś założył.

Lecz raptem smutna refleksja psuje mu uciechę:
No tak, ale któż z nim, bogaczem
i mędrcom, pójdzie o zakład?

Z drzwi kilkanaście kroków przed nią wynurzył się drugi lump, trochę młodszy od pierwszego, i zatrzymał się przed wejściem do sieni. Za jej plecami świsnął krótki gwizd. Ten drugi zaczął iść jej naprzeciw – niby przypadkiem, z rączkami włożonymi do kieszeni, ale w jego oczach pobłyskiwało coś niedobrego. Raptem z tyłu dobiegły szybko zbliżające się kroki. Dotarło do niej, że oni coś kombinują. Odruchowo rzuciła się w bok, by wyminąć tego z przodu i wymknąć się tamtemu za plecami.

– Aaa!

Lewa dłoń tego z tyłu zakneblowała jej usta, podczas gdy prawa chwyciła za rękę i umiejętnie ją wykręciła. Zabolało jak diabli. Jednocześnie młodszy doskoczył do nich jednym susem, złapał ją za łokieć i pociągnął błyskawicznie w głąb sieni. Tam, ku jej przerażeniu, mignęła twarz trzeciego. Z całych sił próbowała się wyrwać – na próżno! Drzwi, kopnięte czyjąś nogą, zatrzasnęły się z hukiem. Natychmiast ogarnął ich półmrok, rozjaśniony nieco mizerną świetlistą smugą wpadającą do sieni od strony podwórza. W powietrzu unosiła się intensywna woń szczyń, zmieszana z nieprzyjemnym zapachem gotowanych w mundurkach ziemniaków. Ten

trzeci złapał ją za nogi, żeby nimi nie wierzgała. Zaraz potem ten młodszy ukląkł, a jego palce dobrały się do klamry jej paska.

– Nie pomogła dobra rada? Wciąż paniusia w spodniach paraduje? – usłyszała tuż przy uchu głośny szept. – W spodniach? Jak jaka Niemra? My cię, suko, nauczymy, jak się ubiera porządna Polka!

Znów spróbowała się wyrwać, ale bez rezultatu. Sień wypełniały głośne, przyspieszone oddechy tamtych i jej ciche jęki, tłumione kneblem brudnego, cuchnącego wędzonymi śledziami łapska. Uścisk paska zelżał nagle – widocznie młodszemu udało się rozpiąć klamrę. Chociaż pasek był bardzo długi i otaczał jej talię prawie półtora raza, gnojek jednym wprawnym ruchem wywlókł jego końcówkę ze szlufek i natychmiast zabrał się za odpinanie górnego guzika spodni. Z najbliższego mieszkania dobiegł głośny rechot sporego, zdaje się zdrowo podpitego, towarzystwa. Odniosła nieodparte wrażenie, że tamci w mieszkaniu doskonale wiedzą, co się tu dzieje i że właśnie z tego się śmieją. Jej ciało zagotowało się z bezsilnej wściekłości. Duży guzik ustąpił, zaraz potem to samo stało się z guziczkami z rozporoka. Poczula, jak paluchy tego klęczącego wpełzają za krawędź spodni, zaginają się na niej i zaczynają ciągnąć w dół. Razem z majtkami! Wyglądało na to, że jeszcze paręnaście sekund i ci dranie postawią na swoim. Przerazona, już widziała, jak zostawiają ją rozebraną w tej obskurnej sieni, albo – dla jeszcze lepszej zabawy – wyrzucają na ulicę. Zaledwie to sobie wyobraziła, a wstąpiła w nią dzika energia. O nie, nie pozwoli się tym wieprzom upokorzyć! W przypiływie najczarniejszej rozpaczycy zebrała wszystkie siły, znienacka szarpnęła się z impetem i wyswobodziła jedną z nóg. Zanim tamci zdążyli zareagować, wyrznęła tego klęczącego kolanem w głowę – chyba zdrowo, bo zatoczył się i rzucając przekleństwo, upadł na posadzkę. Potem temu trzeciemu wpakowała w nos obcas. Łobuz jęknął i puścił jej nogi. Teraz, mając więcej swobody, szarpnęła się jeszcze raz. Ten stojący za nią, zaskoczony przebiegiem wypadków, poluzował uścisk. Złapała zębami jeden z jego palców i ugryzła tak mocno, że aż poczuła na języku krew. Facet zaklął i oderwał dłoń od jej ust. Wtedy nabrała w płuca powietrza i wrzasnęła tak głośno, że aż jej samej zadzwoniło w uszach.

– *Hilfe! Hilfe! Polizei! Hilfe!*¹⁴⁸

Tamci znieruchomieli.

– O kurwa, to hitlerowa!

Popchnięta przez tego za plecami, przeleciała w poprzek przez sień i rąbnęła czołem w ścianę. Z bólu aż ją zamroczyło. Osunęła się na podłogę. Na drewnianych deskach zadudniły zwielokrotnione kroki i nagle w sieni zapanowała cisza. Otumaniona, wsłuchiwała się w nią z niepokojem. Co jest, do diabła? Co się dzieje? Gdzie oni są? Uciekli? Mimo piekielnego bólu promieniującego z czoła na całą głowę, pomалу zaczęła odzyskiwać kontakt z rzeczywistością. Nagle bardzo wyraźnie uświadomiła sobie, gdzie jest i co się dzieje. Natychmiast ogarnęło ją przerażenie. Zerwała się na nogi. Wprawdzie prawdopodobieństwo, że te gnojki się rozmyślą i wrócą, było bliskie zeru, ale instynkt podpowiadał, że lepiej się stąd zabierać. Podciągnęła spodnie, zapięła guziki i pasek i z ulgą wypadła na ulicę – prosto w objęcia policjanta.

– *Was ist hier los?!¹⁴⁹*

– *Nichts, nichts* – bąknęła zmieszana, starając się opanować przyśpieszony oddech. – *Das war... das war nur... eine Rate. Grosse, grosse Rate...*

– *Und darum haben Sie so laut gerufen: „Polizei”?!*

– *Etschuldigung, sie hat mir Angst eingejagt... Sie verstehen, Herr Wachtmeister, eine Rate... Entschuldigung!¹⁵⁰* – I żeby przerwać tę niebezpieczną rozmowę, odwróciła się i ruszyła szybko w górę ulicy, nie zważając na policjanta, który coś tam jeszcze mruczał pod nosem – nie wiadomo czy do siebie, czy do niej.

U Łubnina natychmiast zabrali się do przeglądu następnych lokatorów.

– Zdaje się, profesorze, że skończyliśmy na numerze trzynastym?

Profesor skrzywił się. Trzynastka? A fe! Profesor Richter, folksdojcz z Rostowa, z żoną i dwiema wnuczkami. Przyjechał w czerwcu. Nauczyciel z konserwatorium. Zdaje się: szczery faszysta. Całe zło świata bierze się, jego zdaniem, od Żydów i komunistów. Chyba nie trzeba mówić dalej? Skreśliła Richtera. A na drugim piętrze, pod czternastką, kolejna rodzina przesiedleńców z Ukrainy. Niejaki Ponomarenko z żoną, teściową i kupą bachorów. On służył w ukraińskiej policji pomocniczej, dopóki w walkach z partyzantami granat nie urwał mu prawej ręki. Ale nadal paraduje w mundurze. Wystarczy spojrzeć na jego mordę, by zrozumieć, że to bydlę jakich mało. Cięty na wszystkich Żydów, Polaków, Rosjan. Nawet na Niemców. Gdyby mógł, chyba by wszystkich wyrznął własną brzytwą.

– No, no, ta wasza kamienica to prawdziwa ludzka menażeria...

Faktycznie, profesor pokiwał głową. Takiej kolekcji typów ludzkich to ze świecą szukać! Starczyłoby na dziesięć powieści Balzaka. A pod piętnastką kolejny wyjątkowy okaz. Prawdziwy rajski ptak. Artur Gołdyn, malarz. Tak, tak – ten sam! Sławny podróżnik, uwodziciel, narkoman, skandalista, trochę wariat, trochę mistyk, bożyszczko kaliskich pań. Już tam niejedna pani dyrektorowa i panna prezesówna gotowa była pozować mu nago. I zdaje się, profesor westchnął, a jego oczy zaćmiła melancholia, zza której przeświecała iskierka podziwu i zazdrości, płaciły za ten przywilej nie tylko gotówką, ale i na inne sposoby... No ale nie można zaprzeczyć, facet jest mistrzem żeńskiego aktu. Poznał ciało kobiety nie gorzej niż Kossak końską anatomię. Cóż, jako się rzekło, nie brakowało panu Gołdyniowi okazji do solidnego przestudiowania, hm... materiału. Zresztą, między Bogiem a prawdą, co się tu dziwić? To wyjątkowo przystojny mężczyzna. A do tego nietuzinkowy, oryginalny w zachowaniu i poglądach, inteligentny. No i ten hipnotyzerski błysk w oku...

Jej pamięć powędrowała wstecz, w głąb czasu minionego, który w tej chwili wydawał się tak absurdalnie nieprawdziwy, że aż trudno było uwierzyć, iż był czymś więcej niżli złudzeniem. Powędrowała i zatrzymała się na pewnym lipcowym popołudniu. Który to mógł być rok? Chyba trzydziesty ósmy. Wnętrza hotelu Europejskiego, tłum prowincjonalnej socjety kłębiący się wzdłuż ścian obwieszonych obrazami sali restauracyjnej. W wysokich kieliszkach kipi bladozłoty szampan, żółte światła żyrandoli gładzą spoczone łysiny panów i odbijają się w klejnotach pań. Sensacja! Niesłychane artystyczne i towarzyskie wydarzenie! Wernisaż obrazów olejnych Artura Gołdynia, który po pięcioletnich wozajach po Afryce Północnej i Bliskim Wschodzie powrócił wreszcie w domowe pielesze. Na średniej wielkości płótnach kobiety wszystkich ras i narodów, jakie tylko można spotkać między Casablanką a Bejrutem: Arabki, Murzynki, Berberyjki, Cyganki, Turczynki, Żydówki, Beduinki... Wszystkie zachwycająco młode i olśniewająco piękne, większość mniej lub bardziej roznegliżowana. I dla okrasy – kilka tamtejszych Europejek: Hiszpanka z Ceuty, Francuzeczka z Algieru, jakaś Włoszka z Tunisu, para Greczynek z Aleksandrii. Nawet angielska lady z Kairu. Przez salę co i rusz przebiegają mniejsze lub większe fale ochów, achów i zachwytów. A w środku całego tego wyperfumowanego, rozgadanego i zaaferowanego rozgardiaszu stoi

z miną Króla Słońce sam maestro Gołdyń w fezie, w pomarszczonej egzotycznej szacie i kłujących oczy, haftowanych złotogłowie pantoflach, otoczony ciasnym wianuszkiem rozentuzjasmowanych dam.

Stuknęła odstawiona przez profesora szklanka. Znów była z powrotem w zimnej kuchni. Nagle poczuła niezmierną ochotę, żeby wyznać mu to, co dręczyło ją od trzech dni, od pierwszej chwili, kiedy tutaj, przy tym stole, dowiedziała się o śmierci Romki. Wyznać, że w gruncie rzeczy nigdy jej nie lubiła. Nie znosiła szumu, jaki Romka uwielbiała robić wokół siebie jeszcze w gimnazjum, tego wciąż starannie reżyserowanego zamieszania, od czasu ukończenia szkoły coraz śmieiej przekraczającego granice towarzyskiego skandalu. Nigdy nie mogła zrozumieć, po co jej to było. Świetnie się uczyła, uchodziła za równą koleżankę, wszyscy – z wyjątkiem kilku zapiekłych antysemitów – bardzo ją lubili. Więc musiała się za tym kryć zwykła babska próżność, przekonanie o własnej wyższości, chęć pokazania, że jest lepsza. No i te stroje! Przed maturą Romka jeszcze się hamowała, udawała skromną dziewczynkę, ale zaraz potem nie odmawiała już sobie niczego. Szybko przestały ją zadowalać kreacje szyte w Warszawie, fatalaszki zaczęła sprowadzać aż z Paryża. I na dodatek rozprawiała o tym ostentacyjnie. Wprawdzie gust miała doskonały, nie obwieszała się biżuterią jak choinka, ale mimo wszystko w tym perfekcyjnie naśladowanym paryskim szyku, w całym tym pozowaniu na filmową gwiazdę, było coś drażniącego nuworyszowskiego. A jej stosunek do ortodoksyjnych Żydów! Kiedyś po szkole szły we trójkę – ona, Romka i Krysia Pałaszówna – przez dzielnicę żydowską. Ona sama na swój sposób lubiła tę dzielnicę. W rojących się na ulicy tłumach pejsatych mężczyzn w chałatach i kobiet w wysokich perukach, w tej krzątaninie między straganami z rybą, sklepikami z mydłem-powidłem i bramami, w których Żydówki sprzedawały na szklanki ziarna słonecznika, pestki dyni, gotowany groch i bób, w okrzykach handlarzy zachwalających swój towar, głośnym, pełnym teatralnych gestów targowaniu się o cenę, powrzaskiwaniach bosonogich chłopaczków wymachujących świeżym wydaniem gazety było coś egzotycznego, wschodniego, coś, co przywodziło na myśl Sambuł, Jerozolimę, Damaszek. Nawet unoszący się nad ulicami specyficzny zapach cebuli, czosnku i wędzonych śledzi, zmieszany z wonią starego zjełczałego brudu i smrodem rynsztoków, miał w sobie coś urzekającego. Ale nie dla Romki. Co chwila krzywiła się, narzekała na fetor, ostentacyjnie zatykała nos, wyśmiewała stroje mijanych

chasydek, drwiła z ich zacofania i średniowiecznych zabobonów. A przecież wszyscy wiedzieli, że dziadkowie Romki są takimi samymi ortodoksyjnymi Żydami, mieszkają w Błaszczach, gdzie stary Hirsch jest znanym kupcem zbożowym. Dopiero jej ojciec skończył normalną szkołę, zaczął się nosić z europejska, a na koniec wychrzczył się w Kościele ewangelicko-augsburskim i przy okazji ślubu przyjął nazwisko żony, też zresztą pochodzącej z wychrztów. Więc w tym demonstracyjnym odcinaniu się Romki od swoich korzeni było coś niesmacznego, jakiś rodzaj zaprzaństwa. A przy tym coś wielce śmiesznego, bo przecież wystarczyło spojrzeć na Romkę, by od razu wiedzieć, kim są jej przodkowie.

– Nigdy pan nie wspominał, że Gołdyń tu mieszka. O ile nie myli mnie pamięć, on miał willę gdzieś zaraz pod miastem. W Tyńcu czy w Winiarach...

W Rajskowie, poprawił profesor, w Rajskowie. Za mostkiem przez Swędrnię, na zakręcie. Piękna willa, piękny ogród! Ho, ho, ponoć działały się tam takie rzeczy, że lepiej nie mówić! No i wszyscy koniecznie chcieli się tam dostać, przynajmniej jeden raz, i posmakować trochę uroku dekadencji. To znaczy – ci odważniejsi. Ale jak przyszli Niemcy, wyrzucili stamtąd Gołdynia razem z jego haremem i całym tym zapijaczonym i zakokainowanym towarzystwem. I pan Gołdyń wylądował w kamienicy Rosenbluma. Ale źle tu nie ma. Cztery wielkie pokoje i atelier na strychu. Bo, szelma, szybko wkradł się w łaski Geigera – no, tego zarządcy, który administrował kamienicą do czasu kupienia jej przez Helgerta. Geigerowi tak się spodobały te całonocne posiedzenia z morzem wina i korowodami muz, że gotów był spełnić każdą prośbę Gołdynia. I oddał mu część strychu na atelier. Całą tę część położoną nad mieszkaniem. Pozwolił Gołdyniowi oddzielić ją od reszty strychu, wybić w dachu kilka okienek, żeby dochodziło dzienne światło, a na koniec rozebrać część sufitu w mieszkaniu i połączyć je schodkami bezpośrednio z atelier. Więc Gołdyń żyje tu niewiele gorzej niż poprzednio. Od wysiedlanych znajomych Żydów dostał ze bezcen meble i dywany, a od Niemca, któremu przypadła willa, odkupił część wyposażenia – przede wszystkim to, co przytargał z wojaży po Bliskim Wschodzie. Słowem, miewa się tu jak prawdziwy basza!

Gołdyń, Gołdyń, Gołdyń, chodziło jej po głowie. Gołdyń, Gołdyń, Gołdyń... To nie był zły malarz, raczej solidny rzemieślnik niż artysta. Nie stworzył nic a nic nowego, szedł beczelnie drogą wytyczoną przez innych.

Coś tam wziął z Wojciecha Weissa, coś z Teodora Grotta, coś jeszcze z Karpińskiego. Umiejętnie to wymieszał, pozacierał ślady inspiracji, dodał własną erotyczną fascynację kobietami i w efekcie zadowalał nawet dość wyrobione gusta. Jednocześnie nie ulegało wątpliwości, że istnieje dlań bariera nie do przeskoczenia, i prawdopodobnie z tego powodu nie zaryzykował nigdy przeniesienia się na stałe do Warszawy, Łodzi lub Krakowa, gdzie wrzało prawdziwe artystyczne życie.

– I on tutaj też cały czas...? Tak z tym winem i muzami?

Profesor zaprzeczył ruchem głowy. Co to, to nie. Już nie. Przez pierwsze miesiące okupacji rzeczywiście bywało tam wesoło. Ale potem, jakoś tak na początku czterdziestego, gdy kamienicę kupił Helgert, urwało się jak nożem uciął. Przez jakiś czas przychodziły tam jeszcze pojedynczo dziewczyny, żeby pozować, ale wkrótce i one przestały bywać.

Za oknem zmierzchało, pomieszczenie powoli wypełniał półmrok. Pomyślała, że chyba przydałoby się zapalić światło. Ale przedtem trzeba szczelnie zasłonić okna. Obowiązkowe zaciemnienie, które przez tyle lat wydawało się zbytkiem ostrożności, nagle nabrało drażniącego sensu. Sowieckie samoloty coraz częściej przelatywały nad miastem. A miałyby tu w co walić. W pracujące dla Luftwaffe zakłady lotnicze, w pluszownię, w której wytwarzano brezenty i drelichy dla wojsk lądowych, w Ultramarynę, gdzie produkowano lakiery w barwach maskujących, w konserwy Nowackiego... Zakłady lotnicze zbudowano wprawdzie daleko za miastem, na końcu Częstochowskiej, ale już do pluszowni czy do bielarni było zaledwie parę kroków od centrum. A kiedy zrzuca się bomby z wysokości kilku kilometrów, chyba nietrudno rozsiać je gdzie popadnie? Strach pomyśleć, jak mogłoby się skończyć takie bombardowanie. Chociaż, skoro do tej pory nie bombardowali, pocieszała się, to może już nie będą? Może wolą skupić się na większych miastach, znacznie ważniejszych? Nie, nie – będą. Nie ma się co łudzić. Gdy tylko ruszy sowiecka ofensywa, będą na pewno.

– Ale mówi pan, że on wciąż tu mieszka i wciąż ma pracownię? Więc musi mieć jakiś układ z Helgertem.

Ano ma, potaknął profesor, na pewno ma. Jeśli Helgertuś trzyma w czterech pokojach Polaka i jeszcze odnajmuje mu jedną trzecią strychu, to musi coś z tego mieć – rzecz jasna, coś ponad normę. I to dużo ponad normę! Może Gołdyń płaci mu w obrazach? Chociaż ponoć już od przed

wojny cierpi na straszliwe reumatyczne bóle, także w prawej ręce. Podobno całymi tygodniami nie może wziąć pędzla do ręki. A od wybuchu wojny dolegliwości jeszcze się nasiliły, jak powiadał doktor Matuszewski. Więc niby jak może malować? A skoro nie maluje, to z czego żyje, z czego płaci czynsz?

– Pewnie jakoś kombinuje. Jak wszyscy...

Profesor wstał ciężko od stołu i szurając po podłodze bamboszami, podszedł do okna i zaciągnął zasłony z grubego, czarnego sukna. Kuchnię wypełniła raptem nieprzenikniona grobowa ciemność, w której nie widziała nawet swojej rozłożonej i podsunętej pod sam nos dłoni. Jak w zakrytym szambie, pomyślała i aż się wzdrygnęła. Usłyszała, jak Łubnin idzie w kierunku drzwi pewnym krokiem kogoś, kto zna na pamięć rozkład pomieszczenia i nawet na ślepo porusza się po nim bez najmniejszego trudu. Po chwili pstryknął przekręcany kontakt i na stół trysnęło ociężałe światło słabej, dwudziestopięciowatowej żarówki.

Gołąń, Gołąń, Gołąń. Romka, Romka, Romka. Gołąń, Romka. Gołąń, Romka. Gołąń i Romka. Gołąń i Romka? Zaraz, jak to? Gołąń i Romka?! Tak – Gołąń i Romka! Jezu przenajświętszy, oni musieli się znać! Musieli! Dwa ptaki tego samego gatunku, tak samo wrzaskliwe, tak samo krzykliwe upierzone. Na dodatek – samiec i samica. To niemożliwe, żeby w mieście tej wielkości prędzej czy później na siebie nie wpadli. Żeby nawzajem o sobie nie słyszeli. I żeby – choćby pod wpływem zwykłej ciekawości – nie zapragnęli poznać się osobiście. Przecież o romansach Romki plotkował przy kawie i ciasteczkach cały Kalisz! A było o czym! Zwłaszcza po historii z majorem. Bo z jakichś niewytłumaczalnych powodów Romka szczególnie gustowała w oficerach. Żeby chociaż bałamuciła wyłącznie kawalerów, jak ten głupi poruczniczyna, który podobno właśnie z jej powodu strzelił sobie w łeb... Ale nie, wdała się jeszcze w historię z żonatym majorem, ojcem dwojga dzieci. Tego, jak na zapyziałe powiatowe miasto, było już stanowczo za wiele. Zrobił się już nie szum, a rwetes, i biedny pan Jodłowski musiał czym prędzej wysłać Romkę do Paryża.

Z podniecenia zrobiło się jej ciepłej.

– Ejże, profesorze, chyba trafiliśmy! Niech pan pomyśli: duże mieszkanie, nad nim pracownia, pełno różnych zakamarków, dziesiątki blejtramów, obrazy, sztalugi, a wszystko zagracone, jak to u szanującego się artysty. Ależ

to wymarzone warunki do ukrycia kogoś poszukiwanego. Wie pan może jak on przed wojną był z Żydami?

Profesor uśmiechnął się ironicznie. Jak tam pan Gołdyń był z Żydami, to on nie wie, ale że z Żydówkami był bardzo dobrze, to rzecz więcej niż pewna. Więc rzeczywiście mógł Romkę przechować. No ale jemu, Łubninowi, Gołdyń się do tego nie przyzna. Za mało się znają, właściwie prawie w ogóle. Wymieniają ukłony, kiedy się mijają w bramie, to wszystko. A i to w ostatnich latach niezwykle rzadko. Bo Gołdyń od bardzo dawna prawie nie wychodzi z mieszkania. Zakupy raz na trzy dni robi mu żona stróża. Mieszkanie sprząta ponoć sam. Dziwne, prawda? Przecież za parę groszy mógłby wziąć dziewczuchę, która nie dość, że chętnie robi, to jeszcze w rękę pocałuje. I chyba nie tylko z jego kośćmi i stawami coś nie tak, bo Matczakowa już kilka razy sprowadzała do niego doktora Hoffmanna, tego od chorób sercowych. W końcu Gołdyń ma już pod sześćdziesiątkę, a serduszka nigdy nie oszczędza. Pijaństwa do białego rana, kokaina, a pewnie i inne świństwa, kobiety liczone na tuziny. Kiedyś wreszcie musiało się to zemścić. Więc nie ma czego zazdrościć, naprawdę nie ma czego...

Wszystko się układa, myślała, przyjemnie rozgrzankowana, wszystko pasuje do siebie jak ulał. Gołdyń zmienił upodobania na początku czterdziestego, ale nie dlatego, jak sądzi Łubnin, że kamienicę kupił Helgert, ale dlatego, że wziął na przechowanie Romkę. Większość Żydów wysiedlono przecież w grudniu. Kto nie chciał wyjeżdżać, musiał znaleźć kryjówkę. A Romka najwyraźniej zdecydowała się zostać. Rzecz jasna, ukrywając ją u siebie, Gołdyń nie mógł urządzić dalej całonocnych, wieloosobowych libacji. To było zbyt niebezpieczne. Z tego samego powodu nie najął służącej. A nuż by coś wywąchała i co wtedy? Trudno jednak podejrzewać go o to, że sam sobie sprzątał, prał i gotował. Zwłaszcza przy reumatyzmie. Kto zatem to wszystko robił? Odpowiedź jest prosta: Romka. I kto płacił za wielkie mieszkanie i pracownię, skoro Gołdyń nie mógł już na nie zarobić, bo z powodu bólów w ręce prawdopodobnie przestał malować? Odpowiedź ta sama: Romka! Przecież jeśli zdecydowała się zostać i ukrywać, to na pewno nie z pustymi kieszeniami. A miała czym je napełnić. Takich kamienic, jak ta Helgerta, jej ojciec mógł od ręki kupić z dziesięć.

Poczuła przypływ dumy. No proszę, jak gładko poszło, ani by się spodziewała! Jeszcze szybciej niż w tych powieściach kryminalnych, które bez umiaru pochłaniała ciotka. Zaciekawiona, czy rzeczywiście są tak

pasjonujące, w wieku piętnastu lat przeczytała kilka i przekonała się, że nudne są śmiertelnie. Nie dość, że już w połowie książki domyślała się, kto zabił, to na dodatek aż ją skręcało od nieporadnego języka, jakim na ogół były napisane. No i wyczuwała, że te wszystkie wyrefinowane, kunsztownie zaplanowane zbrodnie mają tyle wspólnego z rzeczywistością, ile bajka o sierotce Marysi i siedmiu krasnoludkach. Potwierdził to zresztą pan Michalski, komisarz policji, dobry znajomy ojca, którego nagabnęła, gdy pewnego dnia gościł u nich na kolacji. Powiedział, że zdecydowana większość zabójstw to prymitywne zbrodnie, popełnione po alkoholu, w gniewie, nagle, bez planu. Ich sprawcy co najwyżej dopiero po fakcie, ochłonawszy trochę i zdawszy sobie sprawę z tego, co zrobili, próbują nieudolnie zamazać ślady. Natomiast takie zabójstwa, o jakich piszą autorzy powieści detektywistycznych, machnął lekceważąco ręką, to jedno na pięćdziesiąt, a może i na sto. Sam w swojej dwudziestopięcioletniej karierze spotkał się z dwoma, góra trzema, podobnymi przypadkami.

Zaledwie poczuła smak tryumfu, a już ogarnęły ją wątpliwości. Jednak to zaledwie tylko przypuszczenia. Nie miała absolutnej pewności, że Gołdyń w ogóle znał osobiście Romkę. Wtedy, na wernisażu w Europejskim na pewno jej nie było; siedziała już w Paryżu. Wróciła stamtąd dopiero rok później, wiosną trzydziestego dziewiątego, na wieść o zamknięciu ojca w Berezie. Oskarżono go o posiadanie konta za granicą. Większość polskich przemysłowców miała takie konta, najczęściej w Szwajcarii, ale z jakichś powodów policja i skarbowka znajdowały je tylko u nielicznych – przeważnie u takich, którzy narazili się władzom. A już najchętniej u Żydów. Romka poruszyła niebo i ziemię i w końcu doprowadziła do zwolnienia ojca. Wypuszczono go w początkach sierpnia. Ale w obozie dano mu tak popalić, że wyszedł z całkiem rozregulowanym sercem. Umarł na zawał kilka dni po wkroczeniu Niemców. Właściwie chciałoby się powiedzieć, że miał sporo szczęścia, bo ominęły go te wszystkie okropności, które nastąpiły potem.

– No dobra! – ucięła własne myśli. – Zostawmy na razie Gołdynia i przelećmy jeszcze przez następne lokale! Teraz to już będzie pańska klatka, prawda? Numer szesnaście to pan. A pod siedemnastką mieszka ta kobiecina, która mi otwierała drzwi. Czy dobrze się domyślam, że prowadzi pijacką melinę?

[148](#) (niem.) Na pomoc! Policja!

[149](#) (niem.) Co tu się dzieje?

[150](#) (niem.) Nic, nic. To był... to był... tylko szczur. Wielki, wielki szczur. – I dlatego tak głośno krzyczała pani: „policja”? – Przepraszam... ale tak mnie przestraszył... Pan rozumie, panie posterunkowy, szczur... Przepraszam!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Freitag, den zwanzigsten Oktober¹⁵¹

Odsunął na bok gazetę, żeby Władysława mogła postawić na biurku ozdobiony scenką pasterską fajansowy kubek, z którego miło parowała bawarka. Zauważył, że we wzroku służącej już od kilku dni nie ma żadnych pytań ani pretensji. I jakaś taka ożywiona jest, zadowolona z siebie. Cały czas podśpiewywuje sobie pod nosem. Czyżby stał za tym ten młody Polak, który we wtorek pomógł jej przynieść zakupy z targowiska? Trajkotałaby z nim w bramie w nieskończoność, gdyby przez okno z kuchni nie wypatrzyła ich Renate i nie kazała Władysławie natychmiast wracać. Może dziś też jej pomógł? A może nie tylko pomógł i stąd ten dobry humor? Pewnie odstawili szybkie amory w zaułku jakiegoś podwórka. Zupełnie jak psy. Na chybcika, raz raz, żeby nie nakrył ich stróż albo banda buszujących dzieciaków. Lub w komórce. Albo raczej w wychodku. Właśnie, raczej w wychodku, bo tam przynajmniej można się zamknąć. W stęchliźnie desek i smrodzie ludzkich gówien. Ohyda!

Westchnąwszy, włożył okulary i dłonią w zielonych, wełnianych rękawiczkach z odciętymi koniuszkami palców sięgnął po gazetę. Jak zwykle, zaczął od nagłówek na pierwszej stronie. „Wprowadzenie do boju całej siły narodowej. Idea, organizacja i struktura Niemieckiej Gwardii Narodowej”. Czyli jak dzieciaków, podtatusiałych pocziwców i starców nad grobem zamienić w żywe tarcze, o które rozbijają się wraże ataki. „Cały naród powołany pod broń. Rozkaz dzienny szefa sztabu SA Schepmanna”. Czyli komentarz jednego z kundelków do tego, co raczył wyszczekać Wódz. „Nieśmiertelny wzór dla wojska i młodzieży. Feldmarszałek von Rundstedt żegna Erwina Rommla”. Czyli płacz nad otwartą trumną. Tego Rommla to faktycznie szkoda. Taki dowódca! I akurat teraz musiał umrzeć, kiedy tak bardzo by się przydał... Co za pech! „Jego imię weszło do historii. Rozkaz

dzienny Wodza poświęcony śmierci Rommla”. Czyli to samo. No dobrze, zostawimy sobie cały ten pasztet na później. Zobaczymy teraz, co tam nowego na równinach Armagedonu. Jak się miewają Gog i Magog, siedmiogłowa bestia i cała reszta. Przewrócił kartkę i odnalazł najświeższy komunikat Naczelnego Dowództwa. „W Holandii nasze oddziały udaremniły próbę przełamania frontu podjętą przez nieprzyjaciela po silnym przygotowaniu artyleryjskim i bombowym na wschód od Helmond. Zniszczono dziesięć czołgów. W trakcie walk wokół Akwizgranu nasi grenadierzy pancerni odparli nieprzyjacielskie ataki na południowy wschód od Wurselen i wydarli Amerykanom linię opuszczonych wcześniej schronów. Na peryferiach Akwizgranu każdy dom broniony jest zazarcie przed następującym od północy, wschodu i południa wrogiem. Dienne i nocne myśliwce bombardujące uderzyły z dobrym rezultatem na nieprzyjacielskie punkty zaopatrzenia znajdujące się w tym rejonie”. Oderwał spojrzenie od gazety i posłał je w kierunku przedstawiającej Akwizgran szesnastowiecznej ryciny. *Hannibal ante portas!*¹⁵² Stolica Karola Wielkiego atakowana przez Anglosasów! To już przecież rdzenne niemieckie ziemie. Matecznik Germanów. Kolebka. Obręcz zaczyna się zaciskać. Tak musiała się skończyć wojna na dwa fronty. To, że dwieście lat wcześniej udało się z takiej ująć cało Fryderykowi Wielkiemu, nie oznacza, że historia ma się powtórzyć. Zresztą Fryderyk zdołał się uratować tylko dzięki zmianie na tronie Rosji; inaczej jak amen w pacierzu byłoby po nim. Przecież Rosjanie podchodzili już pod Berlin, ale kiedy carowa zmarła i jej miejsce zajął ten nieudacznik, Piotr Drugi... Głupi prusofil! Gdyby nie nakazał natychmiastowego wstrzymania działań wojennych, Prusy nigdy nie zostałyby mocarstwem. Ileż nieszczęść ominęłoby wtedy Europę! Ech... „Trwają walki na północny zachód od Epinal. Przeciwnatarcie naszych oddziałów na południowy wschód od Remiremont wypchnęło nieprzyjaciela z jego stanowisk. Nasza artyleria ostrzelała i podpaliła nieprzyjacielski skład paliw. Trwa ostrzał nękający Londynu przez pociski V-1”. Znów podniósł głowę i zagapił się na skrawek nieba widoczny ponad kamienicami po południowej stronie rynku, jakby się spodziewał, że dostrzeże sunący po nim pocisk raketowy. Od dwóch dni niebo to było jednostajnie siwe, jak dym z rozpalonego na polu ogniska. Niedługo zasnują je listopadowe chmury, podobne dymom z płonących czołgów. A wraz z nimi pojawi się

chłód. Na samą myśl, aż się wzdrygnął. Trzymając gazetę w lewej dłoni i nie przerywając lektury, palcami prawej objął kubek, żeby sprawdzić, czy herbata z mlekiem nadaje się już do picia. Okazało się, że jest jeszcze zbyt gorąca, ale nie zwolnił uścisku – chciał ogrzać dłoń w promieniującym przez fajans ciepło. „Ataki amerykańskiej V armii w środkowych Włoszech przybrały w ostatnich dniach na sile. Zdecydowane przeciwnatarcia odepchnęły wroga i umożliwiły zajęcie ważnych wzniesień. Dopiero w godzinach wieczornych po poniesieniu wysokich strat udało się nieprzyjacielowi dotrzeć do szosy na Bolonię. Nie ustaje silny brytyjski nacisk w rejonie Ceseny”. Odłożył na chwilę gazetę, wsunął końce beżowego szalika pod klapy marynarki i wygładził je starannie dłonią, by jak najściślej przylegały do piersi. Potem objął kubek obiema dłońmi. Na zewnątrz nawet nie czuło się zimna, ale tu, w środku, nie dawało się wytrzymać bez grubego, wełnianego swetra. Chyba niczego nie znosił tak bardzo, jak zimna. Mimo wysokiego wzrostu i słusznej postury jadał niewiele, potrzebował za to solidnej dawki ciepła. Od pierwszej wojennej zimy za niczym nie tęsknił tak bardzo, jak za porządnie rozgrzaniem piecem. A może by tak przepalić w kozie? Hm... Spojrzał w kierunku stojącego w kącie małego piecyka, połączonego z otworem kominowym grubą, dwukrotnie załamana rurą. Od kwietnia, kiedy przestano w nim palić, przykryty białym obrusikiem piecyk służył jako stolik pod wielką dziewiętnastowieczną wazę. Drewno w komórce jest, trzeba posłać po nie Władisławę i niech napali. Góra za pół godziny będzie zrobione. Od samego wyobrażenia migających w środku kozy pomarańczowych płomieni i wesoło trzaskających polan zrobiło mu się cieplej. Ale uświadomiwszy sobie, że to dopiero dwudziesty października, po chwili wahania zrezygnował z pomysłu. Nie, nie, jeszcze za wcześnie. Zima będzie długa, a opał drogi jak diabli. Nie ma sensu pozbywać się go zbyt szybko.

Wziął kilka łyków bawarki, odkaszlnął i ponownie sięgnął po gazetę. „Wokół Debreczyna nasze oddziały toczą ciężkie walki z nacierającym w kierunku północnym nieprzyjacielem. Niemieckie lotnictwo bojowe unicestwiło ponad 100 sowieckich pojazdów i liczne działa. Na froncie karpackim doszło do lokalnych walk na przełęczach Werekkei i Czirikotal. Silne nieprzyjacielskie ataki na zachód od Przełęczy Dukielskiej zostały odrzucone”. Gdzie jak gdzie, ale tam to dopiero musi być gorąco! Jak w piekle. Żołnierze, którzy walczą na Węgrzech, całowaliby po nogach

za przeniesienie pod Akwizgran. Ciekawe, co myśli o tym wszystkim Wielki Demiurg w Berlinie. Ostatnio Goebbels znów gardłował coś o *Wunderwaffe*¹⁵³. Chyba rzeczywiście tylko ona może uratować Niemcy. Na przykład te rakiety V-2, ostatnio pokazywane w „Wochenschau”. Gigantyczne, stalowe cygaro, startujące pionowo w górę i ciągnące za sobą ogon ognia. Widzów w kinie z wrażenia aż wciskało w fotele. Nie dawało mu spokoju, dlaczego strzelano nimi tylko w Londyn. Powinni je rzucić na bolszewików! W końcu to stamtąd szło największe zagrożenie, czyż nie? Raz zagadnął nawet na ten temat pułkownika artylerii, który zajrzał do antykwariatu w poszukiwaniu drobiazgu dla żony, na imieniny. Pułkownik w pierwszej chwili łypnął podejrzliwym wzrokiem, ale dowiedziawszy się, iż ma do czynienia z majorem rezerwy, wyzbył się podejrzeń i powoli dał się wciągnąć w rozmowę. Zaczął od tego, że sam wie o raketach tyle, ile wyczytał z gazet i zobaczył na tej samej kronice. Ale domyśla się, że broń ta nie nadaje się do atakowania na froncie. Po pierwsze, wystrzeliwuje się ją z bardzo dużej odległości od celu i na niebotycznie dużą wysokość, więc niezwykle trudno trafić precyzyjnie w konkretne miejsce, na przykład w punkt koncentracji szykujących się do natarcia czołgów. Po drugie, nawet gdyby można było trafiać z wielką dokładnością, eksplozja rakiety jest tak potężna, że raziłaby również własnych żołnierzy. Przecież na froncie naszych od Iwana dzieli często nie więcej jak sto kroków. Więc broń tego typu nadaje się wyłącznie do uderzeń w duże skupiska ludzkie. Właśnie takie jak Londyn. No a dlaczego, dopytywał, nie posłać tego diabelstwa na Moskwę? Pułkownik wzruszył ramionami. Prawdopodobnie za daleko. Za duży dystans. Ale spokojnie, cierpliwości, nasi uczeni z pewnością pracują już nad raketami, które doleczą i do Moskwy. Pewnie to kwestia najwyżej paru miesięcy.

Paru miesięcy? No, zobaczymy. Znów pociągnął łyk herbaty, poprawił okulary; czytał dalej. „Bitwa na granicy Prus Wschodnich między Sudauen a Schirwindt toczy się z narastającą zjadłością. Eydtkau zostało stracone, ale nasze mężnie walczące oddziały zapobiegły podjętej przez Sowietów próbie przełamania frontu. Podczas trzytygodniowych walk zniszczono 250 nieprzyjacielskich czołgów”. No tak, od zachodu stukają do bram alianci, od wschodu dobijają się czerwoni. Dobijają? Walą w drzwi ubłoconym buciorem. Tam to musi być prawdziwe piekło... Piekło. Pióropusze ognia,

palące żywcem fajerwerki, wieczny żar. Przez całe stulecia właśnie tak wyobrażali je sobie malarze, poeci i kaznodzieje. Bzdura! Żaden tam ogień, żadna roztopiona smoła! Piekło wygląda całkiem inaczej. To wlokąca się w nieskończoność beznadziejna szarość, dotkliwy, niemożliwy do ukojenia głód i przenikliwe, wywołujące dreszcze zimno. I, oczywiście, samotność – absolutna, lodowata samotność. I tak bez końca, wiek po wieku, tysiąclecie po tysiącleciu... Chociaż właściwie już jest do tego przyzwyczajony, już naszykowany. Czyż od długich, długich lat nie przebywa w piekle? „Także na południowy wschód od Lipawy oraz w rejonie Zatoki Ryskiej bolszewicy nasilili swoje ataki. W ich efekcie stracili 38 czołgów. W środkowej Finlandii nasze wojska cofnęły się na północ i północny zachód na z góry upatrzone pozycje. Po tym, jak bolszewickie ataki...”.

Lekturę przerwał dzwonek u drzwi. Trochę zirytowany, że ktoś śmie mu przeszkadzać w tak interesującym momencie, podniósł nieprzyjazny wzrok. Lecz gdy tylko ujrzał żonę wiceszefa kaliskiego Gestapo, jedną ze swoich najlepszych klientek, natychmiast zmienił wyraz twarzy.

– *Guten Tag, Frau Nolte!* – Odłożywszy gazetę, wstał i zmusił się do czegoś, co w jego mniemaniu uchodziło za gościnny uśmiech. – *Bitte sehr, Meine Dame! Bitte!*¹⁵⁴

– *Guten Tag, Herr Gregorius!*

W ślad za Frau Nolte do sklepu wtarabaniła się jej polska służąca, dźwigając coś wielkiego i ciężkiego, zawiniętego w stary koc, a jego nadzieje na dobry zarobek w mgnieniu oka się rozwiały. Do diabła, liczył na to, że coś sprzeda, a ta przynosi mu jakiś złom! Z tajoną niechęcią spoglądał, jak spocona ze zmęczenia służąca, popędzana i rugana przez swoją panią, stawia pakunek na biurku i odwiją go z koca. Po chwili ukazał się bardzo ładny zegar kominkowy w obudowie z białego marmuru. Obejrząwszy go i ustaliwszy, że ma około stu lat, zapytał z głupia frant:

– Właściwie dlaczego chce się go pani pozbyć? To wyjątkowo piękna rzecz. Nie szkoda oddawać go w obce ręce?

Frau Nolte zmieszała się i mruknęła pod nosem coś o przemeblowaniu mieszkania, o braku miejsca i takie tam dyrdymały. Zachichotał wewnętrznym, szyderczym śmiechem – jedynym, do jakiego był jeszcze zdolny. Już on dobrze wiedział, dlaczego żona wicekomendanta Gestapo chce się pozbyć zegara. Państwu Nolte, podobnie jak pozostałym Niemcom

mieszkającym na Ziemiach Wcielonych, zaczynało się palić pod ogonem. Przez te pięć lat nakupili obrazów, dywanów, kandelabrow, napchali tego po mieszkaniach, że szpilki nie można było wcisnąć. Wszystko kosztowało tyle co nic, więc chomikowali, co się dało. Liczyli na to, że kiedy po ostatecznym zwycięstwie zamienią mieszkania na podmiejskie wille, a może i majątki ziemskie, będzie jak znalazł. Ale teraz uświadomili sobie, że gdyby przyszło zwiewać, nie wywiozą tego, bo niby jak? I chętnie, przynajmniej część tych zapasików, zamieniali na gotówkę. Tyle że powiedzenie o tym wprost nie wchodziło w grę. Frau Nolte musiała się zachowywać jak pozostali – udawać, że wszystko jest w porządku, że nie ma najmniejszych powodów do niepokoju, manifestować niewzruszoną wiarę w Hitlera i jego wojenny geniusz. Dzięki temu miał odrobinę ubawu. No ale lepiej z tym droczeniem się nie przesadzać. Jeszcze ta bawarska kwoka coś dostrzeże i się obrazi? A jej mąż wciąż jest na tym terenie panem życia i śmierci – i to nie tylko wśród Polaków.

– Przykro mi, ale nie mogę tego kupić. W komis owszem, mogę wziąć, ale za gotówkę – mowy nie ma. Po prostu nie mam tyle pieniędzy.

Frau Nolte zrobiła kwaśną minę i po chwili medytacji zapytała, czy nie wymieniłby zegara na coś innego, na przykład na starą biżuterię albo jakiś ładny zegarek kieszonkowy.

– Przykro mi, ale kosztowne drobiazgi, miniatury czy sztuczce schodzą znacznie lepiej niż duże przedmioty. Naprawdę nie mogę.

Frau Nolte zacisnęła usta.

– No dobrze, niech pan wypisze.

Po wyjściu Frau Nolte i jej służącej ustawił zegar na klasycystycznej komodzie, po czym powrócił do biurka i rozsiadłszy się w fotelu, wyciągnął rękę po kubek z bawarką. Tak jak przypuszczał, była już zaledwie letnia. A niech to! Wziął kilka łyków i odstawił kubek. Potem sięgnął po „Ostdeutscher Beobachter”, by dokończyć wiadomości z frontu. Gdzie to było...? Zdaje się tutaj. Zgadza się – o tu. „Po tym, jak bolszewickie ataki zostały odparte, nieprzyjaciół dziś rano ponowił natarcie. Walki są w pełnym toku. Terrorystyczny nalot angloamerykańskich bombowców na Bonn spowodował dotkliwe zniszczenia. Bomby ugodziły między innymi uniwersytet, wiele instytucji kultury oraz 16 szpitali. Kolejne naloty terrorystyczne skierowały się przeciw Kassel i Kolonii. W minioną noc pojedyncze brytyjskie samoloty zrzuciły bomby na Hanower i Mannheim”.

Komunikat został przestudiowany. Zamknął gazetę, odłożył ją na bok i zapatrzył się w scenkę przedstawioną na kubku. Jaką melodię gra na mandolinie siedząca pod drzewem dziewczyna? I o czym śpiewa stojący obok niej młodzian? Jakieś słodkie ple, ple, ple o ptaszkach, kwiatkach i czarze miłości. Katia też tak grała. Tyle że na bałajce. I pięknie śpiewała. Miała cudowny głos. Zrobił jej krzywdę tym małżeństwem. Myślała, że on ją szczerze kocha. A on chciał jedynie, by wyciągnęła go z otchłani. Z otchłani zwątpienia, niewiary, niemocy. Liczył, że obowiązki ojca rodziny pozwolą mu przepędzić złe duchy. Przeliczył się. Duchy nie dały się przepędzić i jeszcze upomniały się o samą Katię. I o ich nieszczęsne dzieci. Prawdę mówiąc, wiadomość o ich strasznej śmierci wcale go nie zdziwiła. To się musiało stać. Po prostu musiało. Księcia Tego Świata nie da się przechytrzyć.

Odsunął kubek na skraj biurka, obok lampki z zielonym abażurem, i zabrał się do przeglądania rachunków. Ale co tu było przeglądać, co liczyć, skoro już pięć razy wszystko dokładnie przejrzał i przeliczył? Towar nie schodził, interes ledwie zarabiał na siebie. Do tego narobił za dużo zapasów i wyzbył się większości gotówki. Tyle tego w ostatnim czasie przynoszono i za takie grosze się wyzbywano, że trochę się zagalopował. A przecież wystarczyło spojrzeć na mapę, by się zorientować, że choć ceny antyków spadają na łeb, na szyję, chętnych na nie jeszcze długo nie będzie. Być może na tyle długo, że przyjdzie mu zamknąć sklepik. Jak mógł być tak nieostrożny?

Pokiwawszy głową nad własną głupotą, wyciągnął z biurka czystą kartkę i wykaligrafował na niej czarnym tuszem: „Towar bierzemy wyłącznie w komis”. Odczekawszy, aż tusz przeschnie, chwycił kartkę i odsunął ją na długość wyciągniętego ramienia, aby sprawdzić, czy dobrze zakomponował napis. Zastanawiał się, czy nie dodać na początku słowa „chwilowo”. Przecież w zasadzie kupował towar za gotówkę, a odstępstwo od tej reguły miało jedynie charakter przejściowy. Klienci powinni o tym wiedzieć. Zaraz jednak nasza go obawa, że przy odpowiednim natężeniu złej woli można by potraktować tabliczkę jako objaw surowo karanego defetyzmu. Bo co tak naprawdę miało oznaczać owo: „chwilowo”? Każdy głupi zorientowałby się, że oznacza to: „Do czasu wyjaśnienia sytuacji na froncie”. A niby dlaczego, mógłby zapytać ktoś złośliwy, sytuacja na froncie jest niejasna? Czyż nie ulega wątpliwości, że pomimo chwilowych kłopotów nasze dzielne wojska prędzej czy później pobiją hordy

bolszewickich barbarzyńców i najmitów angloamerykańskiej plutokracji? I co on wtedy odpowie? Że ma wątpliwości co do tego – zapowiadanego od dawna, ale jakoś niemogącego się ziścić – ostatecznego zwycięstwa? Równie dobrze mógłby od razu założyć stryczek na szyję. A skoro nie ma wątpliwości, dlaczego za pomocą słowa „chwilowo” sugeruje, że wytworzył się jakiś stan nienormalny? Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że tym sposobem automatycznie wprowadza niepokój wśród ludności cywilnej? To on nie wie, że sianie paniki jest surowo karane? Więc przemyślawszy sprawę, zrezygnował z dopisania: „chwilowo”. Nakleił kartkę na tekturę, w górnych rogach przebił dziurkaczem otwory i przewlekł przez nie zieloną tasiemkę. Wstał, podszedł do drzwi wejściowych i zawiesił tabliczkę na wysokości oczu. Potem otworzył drzwi, żeby zobaczyć, czy napis jest dobrze widoczny. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że litery są zbyt drobne. Zdjął tabliczkę, wrócił do biurka i pogrubiał znaki czarnym tuszem. Przypomniawszy sobie, że w szufladzie biurka ma buteleczkę czerwonego atramentu. Wpadł na pomysł, by dla lepszego efektu pociągnąć litery czerwoną obwódką. Ponownie odsunął kartkę. No, teraz nawet ślepiec dostrzeże napis! Zadowolony z siebie, zawiesił kartkę w drzwiach, wyszedł na dwór i obejrzał ją z odległości kilku kroków. Na twarzy poczuł rozpyloną w powietrzu drobną mżawkę. Okazało się, że tym razem informacja aż kłuje w oczy – i to nie tylko osoby wchodzące do antykwariatu, ale również te przechodzące chodnikiem. *Donnerwetter*¹⁵⁵, chyba przesadził! Tę czerwoną obwódkę mógł sobie darować. Niech to diabli! Chwilę zastanawiał się, co robić. Ale myśl, żeby ściągnąć tabliczkę i zrobić nową, nagle go zirytowała. Co to on, dziecko jest, żeby się bawić w wycinanki i wyklejanki? Niech sobie wisi – co tam!

Nastał czas martwej ciszy; coś mu mówiło, że tak już pozostanie do obiadu. Tymczasem tuż przed trzynastą, kiedy spacerował po sklepie, coraz niecierpliwiej wyczekując przerwy, dostrzegł po drugiej stronie witryny profesora Łubnina. Znajomy Dorothei przypatrywał się uważnie mapie Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. W pewnej chwili omal nie zderzyli się wzrokiem. Zmieszany, szybko cofnął się o krok. Nie chciał, by jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem profesora. Wciąż piekło go wspomnienie ich pierwszego – i jak dotąd jedyne – spotkania. Jakoś tak w grudniu trzydziestego dziewiątego. Profesor

wparował do antykwariatu i od razu do niego po rosyjsku: że nazywa się Paweł Aleksandrowicz Łubnin, że słyszał o ich przyjeździe z Rygi, że zaprasza do siebie na herbatę i takie tam pla, pla, pla. Pał diabli, że mówił po rosyjsku w obecności kilku Niemców – ostatecznie znajomość rosyjskiego to nie przestępstwo. Zresztą tyle języków się tu wtedy słyszało, że nie mogło to nikogo razić. Dowcip polegał jednak na tym, że Łubnin potraktował go jak Rosjanina, a on właśnie ćwiczył na sobie samym przemianę w stuprocentowego Niemca. Było to doświadczenie bardzo bolesne, ale niezwykle intrygujące. I szczerze mówiąc, sprawiało mu perwersyjną rozkosz. Ciekawiło go niezmiernie, czy człowiek rzeczywiście może zmienić się w kogoś innego? Czy za zmianą kostiumu, paszportu i nazwiska może pójść całkowita przemiana umysłu? Bo udawanie kogoś innego – przed innymi, a nawet przed sobą samym – to nie sztuka. Ale czy jest możliwe stanie się kimś innym naprawdę, ponowne narodziny stworzenie zupełnie nowego człowieka? Bardzo pragnął poznać odpowiedzi na te pytania i aby to osiągnąć, nie wahał się eksperymentować na samym sobie. No i w takim momencie, kiedy on jeździł sobie po mózgu ciężkim czołgiem żelaznej wolnej woli, wpada ten, zagaduje jak gdyby nigdy nic po rosyjsku i z miejsca poważnie zakłóca eksperyment. Więc z kamienną twarzą odpowiedział po niemiecku, że nie zna rosyjskiego i prosi, żeby zwracać się doń wyłącznie w języku ojczystym. Do dziś pamiętał zbaraniałą minę Łubnina. Profesor z wrażenia aż usta otworzył i poruszał nimi bezgłośnie niczym wyciągnięta z wody ryba. Najwyraźniej musiał się zastanawiać, czy czegoś nie poplątał albo czy nie wprowadzono go w błąd. Wreszcie bąknął pod nosem *Entschuldigung* i opuścił sklep jak poszczuty psami. Od tamtego pamiętnego dnia unikał go, zresztą z wzajemnością. Ilekroć mijali się na mieście, obaj udawali, że się nie poznają. Do dziś nie dowiedział się, od kogo profesor usłyszał o jego pochodzeniu. Z pewnością nie od Dorothei. Wprawdzie pracowała już wówczas w antykwariacie, ale wiedziała, że nie należy zagadywać go po rosyjsku ani pytać o przeszłość. Za to wkrótce po tym zdarzeniu on sam podpytał ją o Łubnina. I po tym, czego się dowiedział, nabrał doń jeszcze większej niechęci. Z zazdrości, nie ma co ukrywać, ze zwykłej zazdrości. Z zazdrości o to, że tamten czuje się wprawdzie Rosjaninem, ale Rosjaninem tutejszym. Tu się urodził, tu wychował, więc Kalisz nie jest dla niego miejscem zesłania, a jego domem, jego miejscem na ziemi. Co ponoć zawsze i wszędzie Łubnin podkreślał. I właśnie ten fakt

powiększył irracjonalną złość na profesora. Więc po co mu się teraz przypatrywał z takim zaciekawieniem? Pewnie znowu mu zazdrości – tym razem tego, że tamten nie musi się zastanawiać nad pakowaniem walizek. Szczęściarz!

Łubnin odszedł i zniknął wśród przechodniów na Hindenburgstrasse. Zegar na ratuszowej wieży wybił pierwszą. Zamknął na klucz drzwi wejściowe i pognął do mieszkania, zacierając ręce na myśl o gorącym obiedzie. Kiedy punkt piętnasta ponownie otwierał sklep, czekał już przed nim sąsiad z drugiego piętra, Truppführer¹⁵⁶ König ze sztabu kaliskiego SA. Wparowawszy do środka z zaczerwienioną z gniewu gębą, wymachiwał zaciśniętą pięścią i krzyczał tak, że niemal drżały sople kryształowych żyrandoli. Bandyci! Tchórze! Zdrajcy! Okazało się, że właśnie wracał z posiedzenia sądu polowego, na którym sądzono szajkę Niemców z Rzeszy, folksdojczów i Polaków. W sumie dwadzieścia cztery osoby. Oskarżono ich o preparowanie i rozprowadzanie wśród żołnierzy specyfików wywołujących różne choroby, na ogół wymagające długotrwałego szpitalnego leczenia. Co za podłość! Co za draństwo! Co za skurwysyństwo! König wyciągnął z kieszonki munduru kartkę, na której zanotował wysokość wyroków. Więc tak, czytał, a z pyska aż biła mu piana, dla ośmiu żołnierzy i jednego Polaka – kara śmierci. Dla trzech żołnierzy i żony jednego z nich – dwanaście lat ciężkiego więzienia. Dla żony innego – sześć lat ciężkiego więzienia. Dla dwóch Polek – dziesięć lat obozu karnego, a dla trzeciej – rok. Czterech Niemców i trzech Polaków sąd uniewinnił. Szkoda. Przynajmniej Polakom trzeba było coś wlepić! Bo każdy Polak jest winny z zasady. König schował notatki i znów zaczął sypać przekleństwami. A to bydlaki! A to śwynie! A to psi pomiot! Za mało dostali! Za mało! Gdyby sądził ich on, wszyscy, jak leci, wylądowaliby na szubienicy!

Po wyjściu Königa znowu nastąpił długi czas nic-się-nie-dziania. Dopiero po piątej, akurat kiedy rozgrzewał się przyniesioną przez Władisławę kawą zbożową, do sklepu wszedł starszy pan. Sądząc z rysów, Gruzin. Pod pachą niósł coś zapakowanego w gazetę. Kształt pozwalał się domyślić, że to ikona. Gruzin ostrożnie rozwinął papier, jakby zależało mu na tym, by go nie podrzeć, po czym wyjął z niego i położył na biurku pociemniałą ze starości deszczułkę. Widniał na niej święty Jerzy, siedzący na białym rumaku i przebijający długą włócznią leżącego pod kopytami smoka.

– *Die Ikone* – oświadczył z przejęciem. – *Geschäft machen. Die schöne Ikone. Sehr alt. Ich verkaufen nicht teuer. Gut?*¹⁵⁷

W odpowiedzi wskazał gościowi wzrokiem przeciwległą ścianę, zapchaną przeszło dwudziestoma domowymi i cerkiewnymi ikonami. Samych Matek Boskich wisiało tam chyba z dziesięć, w tym trzy Kazańskie, dwie Włodzimierskie i jedna Chersońska.

Gruzin długo i uważnie przyglądał się ikonom na ścianie, po czym odwrócił się i postukał palcem w swoją.

– *Das ist heilige Georg. Sie haben keine solche. Schöne ikone. Sehr alte.*¹⁵⁸

Podniósł niechętnie ikonę i zaczął ją oglądać. Była mocno zabrudzona, ale dobrze zachowana. Tak na oko – koniec osiemnastego lub początek dziewiętnastego wieku. Tylko po jakie лихо mu jeszcze święty Jerzy? Dla obrony przed bolszewickim smokiem? Dobrze sobie! Zaczął tłumaczyć Gruzinowi, że może wziąć ikonę tylko w komis. Tamten albo nie rozumiał, albo udawał, że nie rozumie. Chciał koniecznie gotówkę. Podawał coraz niższą cenę. Na koniec spuścił do dwudziestu marek. Nie, nie, nie, pokręcił stanowczo głową, nie ma mowy o gotówce! *Kein Geld, kein Geld!*¹⁵⁹ Zdawało się, że bardziej pragnie upewnić w tej decyzji samego siebie niż Gruzina. W końcu dwadzieścia marek za taką ikonę to tyle co nic. Ale jak się to tyle co nic pomnoży przez te wszystkie ostatnie okazje, robią się z tego wielkie pieniądze. Więc żadna gotówka – komis, tylko w komis! W końcu Gruzin zapakował z powrotem ikonę i z obrażoną miną opuścił sklep.

Kiedy Władysława zeszła zabrać filiżankę po kawie, przypomniał jej, że dziś kolacja wcześniej, bo na ósmą idzie do teatru. Za nic w świecie nie opuściłby wystąpienia Margraffa. Wcale nie dlatego, że interesowała go organizacja tej pożałowania godnej ruchawki, o której będzie rozprawiać dzisiejszego wieczoru pan starosta. Miał to gdzieś. Ani nie z powodu upodobania do wrzasków na temat wojny totalnej, bohaterskiej walki do ostatniego naboju i historycznego posłannictwa niemieckiego narodu. Interesowało go co innego – obserwowanie zebranych na sali upiórów, wysłuchujących w głuchym skupieniu pohukującego na trybunie puszczyka. Od dawna uczestniczył w podobnych spędach wyłącznie po to, by do woli sycić się widokiem poźółkłych, ściągniętych pysków, mocno zaciśniętych szczęk i na próżno zwilżanych językiem spieczonych warg. Ale nade

wszystko fascynowały go ich oczy – podkrążone, zapadnięte, rozjarzone obłędem. Płonąła w nich iście piorunująca mieszanka rozpaczliwej nadziei i coraz silniejszej niewiary. Głupie demony niższego rzędu! Uwierzyły, że Hitler jest Mesjaszem. I że urządzi im tu, na tej ziemi, wytęsknione Trzecie Królestwo. A to przecież tylko kolejny w długim szeregu Archontów Ciemności. Jedyne, co potrafi, to pociągnąć swoich wyznawców w jeszcze głębsze kręgi piekieł. Tylko patrzeć, jak tam wylądują! Ale dobrze im tak, za niewiedzę trzeba płacić. Więc niechaj płaczą i płacą. On zaś – stary, doświadczony bywalec *theatrum mundi*¹⁶⁰ – usiądzie sobie cichutko w kącie i popatrzy.

[151](#) (niem.) Piątek, dwudziestego października.

[152](#) (łac.) Hannibal u bram!

[153](#) (niem.) Cudowna broń.

[154](#) (niem.) Proszę bardzo, łaskawa pani.

[155](#) (niem.) Cholera jasna.

[156](#) Ranga w SA odpowiadająca starszemu sierżantowi.

[157](#) (łamany niem.) Ikona. Robić interes. Piękna ikona. Bardzo stara. Ja sprzedać niedrogo. Dobrze?

[158](#) (łamany niem.) To święty Jerzy. Pan nie mieć taki. Piękna ikona. Bardzo stara.

[159](#) (niem.) Żadnej gotówki.

[160](#) (łac.) Teatr świata.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wtorek, dwudziestego czwartego października

Nemmersdorf, Nemmersdorf, Nemmersdorf. Choć nikt nie wypowiadał tego słowa głośno, wydawało się jej, że przyłgnęło do ust wszystkich mijających ją przechodniów – zarówno Niemców, jak i Polaków. Pierwszych przyprawiało o zgrozę, u drugich budziło z trudem tajoną radość. Nemmersdorf. Jeszcze wczoraj nikt nie wiedział, co to takiego. Mała wioszczyna na granicy Prus Wschodnich i Litwy. Pierwsza niemiecka miejscowość zajęta przed trzema dniami przez Sowietów i odbita dzień później. Gazety doniosły właśnie o bestialskim wymordowaniu przez Rosjan jej kilkudziesięciu mieszkańców. O zabitych dzieciach i starcach. O kobietach i dziewczynkach wielokrotnie zgwałconych przed śmiercią. Jedną z nich, rozebraną do naga, ukrzyżowano ponoć na drzwiach od stodoły. Tego akurat nie było na gazetowych zdjęciach, ale rząd ułożonych na skraju pola trupów i tak robił piorunujące wrażenie. Nemmersdorf. Początek czasu odpłaty.

Ale ona myślała cały czas o czym innym – o swojej wczorajszej wizycie u Gołdynia. Poszła tam w towarzystwie Staszka, znajomego drukarza, tego samego, który wynosił jej egzemplarz każdego *Bekanntmachung*. Uznała, że tak będzie bezpieczniej. Staszek przed wojną trenował boks; swoim wysokim wzrostem, szerokimi barami i buźką przyozdobioną przez dwukrotnie złamany nos budził respekt nawet w największych kozakach. Z pięć minut stali na korytarzu i chyba ze trzy razy naciskali dzwonek, zanim wreszcie uchyliły się zamknięte na łańcuch drzwi i zamajaczyła w nich ledwie widoczna w półmroku szara twarz starego mężczyzny. Rozpoznała go od razu, chociaż mocno się zmienił. Zaniedbany, ze zmierzwionym włosom i długo nieprzystrzyganą brodą, był jedynie cieniem dawnego Gołdynia. Przywitała się grzecznie, przedstawiła – rzecz jasna fałszywym nazwiskiem –

i powiedziała, że chce zamówić portret. W matowych oczach Gołdynia błysnęło zdziwienie. U niego, mruknął, portret? Potaknęła z wymuszonym uśmiechem. Pewnie, że u niego. A u kogóż by innego, jeśli nie u niego? Wszak rozmawia z panem Gołdyniem, prawda? Zapadła cisza. Miała wrażenie, że z nerwów zaraz wyskoczy jej serce. Gołdyń tkwił nieruchomo za drzwiami i się nie odzywał. Poczowała, że plecy zrobiły się jej całkiem mokre. A Gołdyń wciąż milczał. Wreszcie, przenosząc nieufny wzrok z niej na Staszka, i z powrotem, zapytał, o czyj portret chodzi. O jej portret? Nie, odparła, nie jej – przyjaciółki. Ma ze sobą fotografię. To duża, bardzo dobra fotografia, doskonale widać na niej rysy twarzy. W oczach Gołdynia pojawiło się wahanie i coś, co wyglądało na nutkę oburzenia. Zaczęła zapewniać, że ona doskonale zdaje sobie sprawę, że porządny artysta maluje z modelu, nie z fotografii, ale w tym przypadku nie da się inaczej. Przyjaciółka nie żyje, a jej bardzo zależy na tym, żeby mieć po niej pamiątkę. Bo ta fotografia to pożyczona, musi ją oddać. I chciałaby, żeby to nie było żadne tam monidło, maźnięte przez podwórkowego pacykarza, ale porządny portret namalowany przez prawdziwego artystę. Znow zapadła nieprzyjemnie przedłużająca się cisza. Bojąc się, że Gołdyń odmówi, zapewniła, że, oczywiście, da zadatek, a nawet może wyłożyć z góry, już teraz, całą sumę. Zdaje się, że użyła dobrego argumentu, bo po chwili mruknął, że piętro wyżej jest atelier i żeby poczekali pod jego drzwiami. Odetchnęła z ulgą. Na razie wszystko szło dobrze.

Kiedy wchodzili ze Staszkiem na górę, drewniane stopnie stękały przeciągle. Tu znowu zaczęła się denerwować. Wypali jej podstęp, czy nie wypali? Bo wpadła na pomysł, żeby Gołdynia zażyć sposobem, podejść go psychologicznie. I przyniosła ze sobą zdjęcie Romki, wyjęte z własnego albumu. Miała zamiar wręczyć je Gołdyniowi i obserwować jego reakcję. Jeśli krzyknie, jeśli zblednie, jeśli fotografia wypadnie mu z rąk, to znaczy, że znał Romkę i że to najprawdopodobniej właśnie on ją przechowywał. Wtedy ona zasypie go pytaniami, Staszek postroi groźne miny i pan Gołdyń wszystko im powie. Tymczasem zdawało się jej, że minęła już cała godzina, a malarz nie otwierał. Serce biło coraz mocniej. A jeśli Gołdyń nie zechce mówić? Co wtedy? Spokojnie, nie ma sensu uprzedzać wypadków. Omal nie podskoczyła, gdy nagle zgrzytnął klucz i drzwi pracowni otworzyły się na oścież. Po mimowolnym wahaniu weszła do środka, zerkając niespokojnie za siebie, by mieć pewność, że Staszek idzie za nią. Z nerwów, lekko drżącą

ręką, od razu wyciągnęła z kieszeni zakietu zdjęcie i już miała je wręczyć Gołdyniowi, kiedy rozejrzała się po pracowni. O rany! Na widok tego, co zobaczyła, fotografia wysliznęła się jej z palców i upadła na podłogę. Rozszerzonymi z niedowierzania oczyma wędrowała po atelier, nie mając pewności, czy wzrok jej nie myli, czy nie są to czasem halucynacje. Ale nie, nic się jej nie zdawało, na pewno nie. Pracownia była pełna portretów i aktów jednej i tej samej kobiety – Romki. Romka leżąca na otomanie, Romka w fotelu, Romka przy oknie. Klęcząca na łóżku, przeglądająca się w lustrze, czesząca się, wychodząca z wanny. I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Romka, jeszcze raz Romka i tylko Romka. Tak ją to zaskoczyło, że z przejęcia nie mogła wykrztusić słowa. W dziwnym otępieniu patrzyła, jak Gołdyń się schyla, podnosi fotografię i wpija się w nią spojrzeniem. Jak twarz mu się ściąga, a oczy stają się czujne. Jak powoli podchodzi do stojącej parę kroków dalej komody, kładzie na niej fotografię, po czym bez pośpiechu otwiera górną szufladę i – o kurczę felek! – wyciąga z niej staroświeckiego mausera, wielkiego jak szewskie kopyto. I jak długa lufa mausera zaczyna się obracać w ich kierunku, robi się coraz krótsza, aż w końcu zostaje zredukowana do ciemnego kółeczka wielkości przedwojennej dziesięciogroszówki. Wciąż nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, jak to się stało, że wypadli ze Staszkiem na klatkę, że zbiegli, a właściwie sfrunęli po schodach, i jakimś cudem cali i zdrowi znaleźli się przed kamienicą.

W oddali majaczyła szara bryła restauracji Jegorowa; właśnie ku niej zmierzała. W plecaku miała łup nad łupy – jeleni udziec, za który restaurator ją ozłoci. Ale nie pieniądze były teraz najważniejsze, tylko Gołdyń. Nie ulegało wątpliwości, że nie tylko znał Romkę, ale i ją przechowywał. No bo skąd te wszystkie akty i portrety? Przecież takiego portretu nie maluje się w kilka godzin. Zacisnęła pięść i machnęła nią w powietrzu, jakby przybijała stempel. W mijanej bramie mrugnęły parterowe domki i warsztaty nad Kanałem Rypinkowskim. Raczej mało prawdopodobne, żeby Romka ukrywała się gdzie indziej, a do Gołdynia wpadała na pozowanie. Może i była lekko stuknięta, ale nie do tego stopnia. Zatem nie ulega wątpliwości, że u niego mieszkała. I to pewne jak amen w pacierzu, że między nim a Romką musiała się zdarzyć jakaś *une histoire d'amour*¹⁶¹; trudno przypuszczać, żeby Gołdyń malował w kółko Romkę wyłącznie z nudów. Poza tym, choć widziała te obrazy przez góra paręnaście sekund, zdążyła

dostrzec w nich prawdziwie miłosną pasję. I miłość w oczach portretowanej dziewczyny. Kogo mogła kochać, jeżeli nie swego portrecistę? Więc coś tam mieli ze sobą, i to raczej jakieś wielkie Coś. Bo z jakiego innego powodu Romka zostałaaby w Kaliszu, skazując się na życie w zamknięciu? Przecież nie mogła przewidzieć, że wysiedleni do Generalnej Guberni Żydzi zostaną najpierw zamknięci w gettach, zagłodzeni, a następnie wymordowani w fabrykach śmierci. W grudniu trzydziestego dziewiątego nikt nie był w stanie tego przewidzieć. Zatem została, bo nie chciała się rozstawać z Gołdyniem. Poza tym, w pierwszych miesiącach okupacji, pomijając wyrzucenie z willi, malarz znakomicie sobie radził. Dawało to Romce gwarancje bezpiecznego przetrwania do wiosny, kiedy to wielka ofensywa aliantów, w którą wszyscy bezgranicznie wierzyli, miała dać Niemcom łupnia i doprowadzić do zakończenia wojny. A potem, kiedy się okazało, że to wszystko mrzonki, Romka nie miała już wyboru. Pytanie: czy Gołdyń miał cokolwiek wspólnego z jej śmiercią? Sposób, w jaki zareagował, ujrzawszy fotografię Romki, mógł nasuwać przypuszczenia, że tak. Zdecydowanie tak.

Po prawej stronie, na wyższym brzegu rzeki, wyłoniła się najpierw ruda, wysoka niczym góra sylwetka kościoła franciszkanów, a w chwilę później przylegająca doń szara bryła renesansowego klasztoru. Klasztor stał pusty od wiosny czterdziestego pierwszego, kiedy to Niemcy odkryli, że mieści się w nim jeden z głównych punktów ruchu oporu, i wywieźli wszystkich zakonników do obozu. Cóż, nie po drodze jej było z tym endeckim towarzystwem, któremu ton nadawali oficerowie odsuwani za sanacji na boczny tor. Towarzystwem zatwardziały antysemickim, cieszącym się – niekoniecznie skrycie – z zamknięcia Żydów w gettach i wyzuciem ich z majątku. Można by tych panów wsadzić w formalinę i pokazywać jako przykład ludzi, którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. To dlatego nie dała się wciągnąć do rządzonych przez nich struktur wojskowych i wybrała pracę dla Mechanika. Nie pozostało w nim wprawdzie wiele z dawnego wolnomyśliciela, ale jako piłsudczyk endeków nie lubił równie mocno, jak ona. Poza tym, pracując w wywiadzie, musiałaby pchać nos między drzwi zbyt głęboko, a to prędzej czy później skończyłoby się jego przytrzaśnięciem. Wolała to zostawić tym, którzy mieli więcej zapachu niż wyobraźni, a których, na szczęście dla podziemia, nigdy nie brakowało. Cóż, było w tym niewątpliwie wyrachowanie, ale czy można człowieka zmuszać

rozkazem do popełnienia samobójstwa? Oczywiście, ci z pionu wojskowego uważali, że można. Na Jasnej upchnęli ostatecznie jakąś inną fałszywą folksdojczkę – wprowadzie tylko w charakterze sprzątaczkii, ale zawsze. Biedaczka wpadła za ledwie po dwóch miesiącach! Nic dziwnego, skoro po majowej wyspie Niemcy doskonale wiedzieli, że polskim folksdojczom nie można ufać tak bezkrytycznie, jak tym przesiedlonym ze Wschodu.

Nieoczekiwane zakończenie spotkania z Gołdyniem wciąż nie dawało jej spokoju. I z tym mauserem to też nie taka prosta sprawa. Mogło być przecież tak: Gołdyń przechowywał Romkę, ale dowiedzieli się o tym jacyś cwaniacy i kazali sobie płacić. Kiedy skończyły się pieniądze, zagrozili ujawnieniem tajemnicy. Romka postanowiła zmienić lokal, ale te bydlaki ją dopadły. Natomiast gdy ona ze Staszkiem poszła do Gołdynia z fotografią Romki, ten pomyślał, że należą do tej samej szajki i nadal chcą pieniędzy, tym razem od niego – inaczej doniosą, że przez cztery lata ukrywał u siebie Żydówkę. Nic więc dziwnego, że facetowi puściły nerwy i wyciągnął z szuflady to żelastwo.

Przed fasadą sądu stały dwie chłopskie furmanki, z których pilnowani przez żandarma czterej francuscy jeńcy zdejmowali worki z ziemniakami dla sądowej kantyny. Kiedy przechodziła obok, jeden z Francuzów, przystojny brunet z kilkudniowym zarostem, chłopięco potarganą czupryną i wesołymi oczyma łobuziaka z paryskiego przedmieścia, obrzucił ją łakomym spojrzeniem.

– Dziewczyna ładna, *donnez-moi*¹⁶² calus! Jedna calus!

Jej ciało panienki z dobrego domu aż zadrżało pod wpływem oburzenia na podobną bezczelność, ale dłoń mimowolnie podskoczyła do góry, by się przekonać, że z fryzurą wszystko w porządku.

– *Mademoiselle! Je vous prie!*¹⁶³

O holender, przystojny ten Francuz! Na dodatek akurat w jej typie. Te ciemne włosy, szelmowski uśmiech, głęboki, ciepły głos! Ni stąd, ni zowąd przepełniło ją gwałtowne pożądanie. Spuściła oczy i przyśpieszyła kroku. To już rok, jak nie spała z mężczyzną. Od tamtej nocy z Tadeuszem. Nawet nie było tak źle. Tyle że potem, rano... Chyba do końca życia nie zapomni mimowolnego obrzydzenia na jego twarzy, kiedy przypadkiem zobaczył jej gołą nogę. Do dziś nie wiedziała, jak to się stało, że odpięła się i zsunęła jedna pończocha. A zawsze tak uważnie pilnowała, żeby do czegoś takiego

nie doszło! To przez wino, które wcześniej wypili. Bagatela – całe dwie butelki! Upiła się i nie dopilnowała. I stało się – Tadeusz wszystko zobaczył. Na samo wspomnienie tamtej koszmarnej chwili zbladła jak trup. I pewnie by się rozpląkała, gdyby, na szczęście, Francuz nie smagnął jej po plecach kolejnym wesołym okrzykiem:

– *Ne fuyez pas, mademoiselle!*¹⁶⁴

Zupełnie straciła głowę. Gdyby nie wszystkie okoliczności, które rzecz czyniły niemożliwą – fakt, że Francuz był więźniem, że znajdowali się w środku miasta, że istniało coś takiego jak zasady przyzwoitości, a ona, mimo całego wrodzonego i tak często celowo demonstrowanego nonkonformizmu, była zbyt wielkim tchórzem, by je zlekceważyć – natychmiast zawróciłaby i rzuciłaby mu się na szyję. Omal się w niej nie zagotowało od podobnych myśli. Próbowwała je z całych sił odegnać, skupić uwagę na czymś innym, lecz na próżno – nie tylko nie chciały zniknąć, ale z każdą sekundą nabierały zuchwałości. Nie wiedziała już, co ze sobą zrobić, a tamten wciąż nie dawał za wygraną – widocznie zorientował się, drań, że jego propozycja wcale nie jest jej niemą.

Na szczęście restauracja Jegorowa była już tuż przed nią, w pałacyku na zbiegu Hindenburgstrasse i Herman Göring Strasse. „Restaurant Belvédère. Alex Jegoroff” – witało z daleka gości. Na chodniku przed lokalem sterczał słup z drogowskazami: Breslau – 130 km. Litzmannstadt – 100 km. Warschau – 250 km¹⁶⁵. Kiedyś puszyły się tu jeszcze tablice wskazujące odległość do Moskau, Stalingradu i na Kaukasus¹⁶⁶, ale zniknęły już dawno temu. Zniknęły jakoś tak w nocy, po cichutku, że nikt nie widział. Szerokie schody wiodły do wejścia między dwiema częściami tarasu, gdzie pod biało-czerwonymi parasolkami, korzystając z wyjątkowo ciepłych dni, pewnie ostatnich tej jesieni, siedziało przy śniadaniu mieszane towarzystwo. Dominowali mężczyźni w uniformach – zgniłozielonych, czarnych, brunatnych, szarych i stalowobłękitnych. Pomiędzy nimi migąły żywszymi barwami kapelusiki i wystające spod żakietów lub narzuconych na ramionach płaszczy sukienki kobiet. Wolą się tam nie pchać ze swoim pełnym plecaczkiem. Po co wywoływać wilka z lasu? Przeszła na drugą stronę i ominąwszy taras, zanurkowała w wysadzaną zrudziałymi kasztanami uliczkę, wiodącą do tylnego wejścia.

– Święta Panienko, a to się dopiero szef ucieszy! – Kierownik, pan

Zygmunt, przecierał ze zdumienia oczy, kiedy położyła na stole wielki pakunek i odwinęła z gazet jeleni udziec. – Mamy tu właśnie jednego generała, ta franca wchodzi mu w tyłek, że aż strach! Zwietrzył, sukinkot, czerwony wietrzyk od wschodu i robi w gacie. Najchętniej sprzedałby to wszystko i czmychnął do Rzeszy... Albo jeszcze lepiej – do Szwajcarii. Ale kto to teraz od niego kupi?

Wolała nie wdawać się w rozmowę na temat problemów pana Aleksego Jegorowa. Cóż, w końcu to, że miał pecha otworzyć lokal w październiku trzydziestego dziewiątego i że Niemcy szybko upodobali sobie jego restaurację i zaliczyli ją do kategorii *nur für Deutsche*¹⁶⁷, to przecież nie jego wina. O to, że wpisał się na listę białych Rosjan, też trudno mieć pretensję – każdy by tak zrobił na jego miejscu. Profesor Łubnin też się wpisał. Dlaczego niby miał gardzić dodatkowymi racjami żywności i okazją do uwolnienia się od tych wszystkich szykan, jakim podlegali Polacy? Ale czy w reklamach zapowiadających otwarcie lokalu restaurator musiał dopisywać – i to tłustym drukiem – że „Żydom wstęp wzbroniony”? Tylko on i Głowacki z Bławatu Polskiego postąpili w ten sposób. No, chyba że doliczyć piekarnię Mystkowskich lub aptekarza Sumińskiego, i może jeszcze kilku innych, którzy dawali ogłoszenia o prowadzeniu „firmy chrześcijańskiej”. Wprawdzie oznaczało to dokładnie to samo, ale przynajmniej nie kłuło tak mocno w oczy.

– ...ale ja go rozumiem, panno Dorotko, doskonale rozumiem. Ja też całe życie uciekam przed tą czerwoną zarazą. Bo wie pani, ja po matce jestem herbowy szlachcic i miałem pod Mińskiem resztówkę. Domek z kawałkiem sadu, dziesięć morgów ziemi, stawik. Niby nic wielkiego, ale zawsze swoje. Więc świetnie wiem, co to bolszewicy. Pierwszy raz chcieli mi się dobrać do skóry już w siedemnastym, ale czmychnąłem w porę do Wilna. Tyle że resztówkę diabli wzięli. Drugi raz chcieli mnie capnąć w dwudziestym, ale znów się wywinąłem. Po raz trzeci zwiąłem im we wrześnie. Ale teraz to już chyba mnie dopadną. Polski już braknie, żeby dalej uciekać. No, chyba żeby się zabrać z Niemcami. Nieźle im tam Ruscy zrobili w tym Nemmersdorfie, czytała pani? W całym Kaliszu gazety nie można dostać, wszystkie wykupione. Tylko jakże to tak: zabrać się z Niemcami? Z tymi mordercami? Głupio jakoś, nieprawda? Zostać znowu też nieskoro. Żeby wpaść w łapy bolszewikom? Oni i nam taki Nemmersdorf zrobią, jeśli będą chcieli.

W Katyniu już zrobili. Była tam pani przecież, na własne oczy widziała. Bandyci! A słyszała pani – ściszył głos – co oni za Wisłą wyprawiają? Podobno rozbijają naszych całymi oddziałami i wywożą na Syberię. A nasi komuniści tylko pokazują, kogo wywozić. Tfu, czerwone ścierwa! Tutaj też są, a jakże! Myśli pani, że kto pisze nocami na murach: „PPR”? Parę dni temu nawet nam tak napisali – i to od samego frontu. Literami wielkimi na metr! Stary zbladł jak kreda, kiedy to zobaczył. Osobiście dopilnował zamalowania. Tak, tak, już się komuszki nie mogą swoich doczekać. Na pewno mają gotowe czarne listy, a co! A na tej liście jest i mój szef, i ja tam jestem... Jak nie za pracę u niego, to za tę resztówkę pod Mińskiem. I pani też tam jest, jak nie za folkslistę, to za tę wycieczkę pod Smoleńsk. Że też musieli akurat panią sfotografować, jak pani beczy nad tymi nieszczęśnikami. Otwieram „Ostdeutscher Beobachter”, patrzę, a tu panna Dorotka. Chociaż zdjęcie niewyraźne, więc może nie wszyscy poznali?

Zagryzła wargi. Jej także nieprzyjemne przeczucie coraz częściej mówiło, że tamten wyjazd do Katynia nie był dobrym pomysłem. No ale człowiek nie jest jasnowidzem. A wtedy chciała wiedzieć. Bardzo chciała. Zresztą – jak wszyscy. Chciała zobaczyć na własne oczy. Musiała ocenić prawdopodobieństwo, że ojciec leży w podobnym, tyle że wciąż nieodkrytym grobie. I sama zgłosiła się do Niemców. Oczywiście, wcześniej uzyskała zgodę Mechanika. Bez trudu go przekonała, że jej świadectwo będzie bardziej obiektywne, a raport znacznie skrupulatniejszy od relacji zawieszonych tam przez Niemców żon i matek zamordowanych oficerów.

Głośne westchnienie pana Zygmunta przywołało ją z powrotem.

– No i co tu robić, panno Dorotko? Niech mi pani powie, co tu robić? Chyba tylko rzucić się do Prozny!

Tak, to, co mówił pan Zygmunt o zachowaniu się Rosjan za Wisłą, potwierdzało chodzące słuchy. Nie było się co łudzić, Anglicy i Amerykanie nie wyzwolą nawet zachodniej Polski. Przyszłość szła ze wschodu i miała kolor czerwony. A co gorsza – cuchnęła niewyobrażalnym smrodem trupów z katyńskiego lasu. Chwilowo przystanąła, ale pozostawało kwestią czasu, kiedy dotrze tutaj. Co wtedy z takimi jak ona? Od trzech tygodni, od kiedy przyszła wiadomość, że powstanie w Warszawie skończyło się klęską, głowa jej pękała od prób rozwiązania tego pasjansa. Lecz, jakkolwiek by układała karty, nigdy nie kończył się pomyślnie.

Kierownik położył przed nią pięć stumarkowych banknotów.

– A może chce panna Dorotka od razu wymienić? Radzę brać, bo będą drożeć z dnia na dzień! To co, wymienić?

– Dobrze, niech pan da.

– Miękkie czy twarde?

Przeliczyła w myśli i doszła do wniosku, że na złoto jej nie starczy.

– Niech pan da miękkie!

Podczas gdy pan Zygmunt zniknął w kantorku, ona znowu zaczęła wałkować w głowie temat Gołdynia. Tak czy owak, myślała, kluczem do wyjaśnienia sprawy wciąż pozostaje szczerą rozmowa. Jeżeli Gołdyń przechowywał Romkę, ale nie ma nic wspólnego z jej śmiercią, powinien o wszystkim opowiedzieć. Tyle że w zaistniałych okolicznościach to już, niestety, sprawa dla Topora. Teoretycznie mogłaby wprawdzie wrócić sama do Gołdynia i powiedzieć, w którym imieniu przybywa, lecz myśl o dekonspiracji nie przypadła jej do gustu. A co jeśli hipoteza o szmalcownikach jest mylna? Nie, nie – lepiej niech sprawą zajmą się ludzie Topora. I tak odwaliła za nich kawał solidnej roboty. Nie będą musieli błędzić po omacku. Dobrze chociaż i to.

Wrócił pan Zygmunt i wzdychając głośno, wcisnął jej w dłoń zwinięte w wąski rulonik dolary. Schowała je w wewnętrznej kieszeni żakietu i mruknęła z ironicznym błyskiem w oku:

– *Die russische Masse und die amerikanische Kasse bekämpft die deutsche Rasse...*¹⁶⁸

– Co proszę?

– Nic, nic... To takie powiedzonko, bardzo na czasie. Do widzenia, panie Zygmuncie!

– Rączki całuję! I niech panna Dorotka o nas pamięta!

Po wyjściu z restauracji zerknęła mimo woli w stronę odległego, lecz widocznego stąd sądu, ale ani chłopskich wozów, ani francuskich jeńców już tam nie było. Szkoda. Miał w oczach coś takiego jak tamten. Jezu drogi, nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie w łóżku na to, co wyczyniała z tamtym! I nigdy wcześniej nie czuła się tak wspaniale! Z Markiem, z którym straciła cnotę, stało się to tylko trzy, góra cztery razy, więc nawet nie mieli czasu, by rozwinąć skrzydła. Nawet nie pamiętała, jak to właściwie z nim było, ale chyba nic nadzwyczajnego. Juliusza zawstydzały te sprawy. Oddawał się im z niesmakiem, traktował jako coś brudnego, nieczystego. Nie robił tego

inaczej niż po ciemku, pod kołdrą, bez jednego słowa. I nigdy z nią o tym nie rozmawiał. Jakby w ogóle tego nie było. I tak przez całe dwa lata niedorzecznego niby-narzeczeństwa. Bardzo ją to męczyło. W sumie to dobrze, że przeprowadził się do Wilna, przez co ich związek siłą rzeczy się rozpadł. Co innego z tamtym. O, tamten stanowił pod tym względem całkowite przeciwieństwo Juliusza! Zresztą pod innymi względami również. Cud, że nie spłonęła na popiół w trakcie któregoś z miłosnych seansów! Jeszcze teraz skóra na całym ciele parzyła ją od jego pocałunków. Tak, to był kochanek jej życia. Zresztą nie tylko kochanek. Również mężczyzna. Przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Niestety, dość krótko. Niestety? Na szczęście! Bo kiedy się dowiedziała, kim jest naprawdę, omal nie dostała zawału. Na samą myśl o tym, jak bardzo dała się wywieść w pole, jeszcze czuła gniew.

No dobra, szkoda czasu na bzdurzenie o czasie zaprzesłym! Kupiła zapalki w kiosku przed Hindenburg-Brucke¹⁶⁹ i czekając, aż sprzedawca, piekłący się, że zapłaciła dziesięciomarkowym banknotem, wyda resztę, oglądała wywieszane za szybą ogłoszenia i reklamy. „*Juno. Dickrund. Packung 20*”¹⁷⁰. Kiedyś wzięła paczkę dla ciotki Bettiny, ale ta po wypaleniu jednego orzekła, że takie papierosy nadają się dla kolejarzy. Musiała jej kombinować egipskie simony, drogie jak diabli. „*Deine Gauzeitung – Ostdeutscher Beobachter – erscheint taglich und unterrichtet Dich zuverlässig uber Politik, Wirtschaft und Heimat. Geben Sie noch heute Ihre Bestellung auf!*”¹⁷¹.

Kioskarz, wciąż wydając gniewne pomruki, wypłacił jej wreszcie resztę i mogła pójść dalej. Lecz ledwie weszła na most Kamienny, kiedy wpadła na panią Atamanowicz. Nie było szans się wywinąć, musiała przystanąć i chwilę z nią porozmawiać. A właściwie nie tyle porozmawiać, ile posłuchać jej trajkotania. Ach, co za nieszczęście, lamentowała stara panna, u sąsiadów potruli się spirytusem! Jeden kolejarz kupił litra od Niemca z bazy samochodowej, rozrobił, jedną flaszkę komuś sprzedał, a drugą przyniósł do znajomych. Napili się i parę godzin później wszyscy już leżeli w kostnicy! Okazało się, pani Atamanowicz zniżyła głos, jakby wyjawiała jakąś wielką tajemnicę, że to nie był spirytus spożywczy, ale jakiś holcspirytus, używany do odpalania silników zimą, na dużym mrozie. I czterech chłopów powędrowało na tamten świat! Czterech na raz! Co za nieszczęście, prawda?

Potaknęła z udawanym zainteresowaniem, podczas gdy pani Atamanowicz nadawała dalej w tempie strzałów z karabinu automatycznego. Oczywiście, lekarz, który przyjechał do tych biedaków i wystawiał akty zgonu, nie mógł – chociaż to Polak – zataić wypadku przed policją. Przyjechało Kripo, zaczęło węszyć, ale przecież kolejarz, który tę truciznę przyniósł, też wyciągnął nogi, więc trop im się urwał. Tyle że podobno jak do niego do domu pojechali, znaleźli oryginalną butelkę po tym holcspirytusie. A na butelce stała jak byk naklejka z trupią główką. Ale podobno kolejarz – jak się dowiedzieli ci z Kripo od jego żony – twierdził, że ta trupa główka to tylko tak dla picu, takie oszukaństwo, żeby żołnierze nie pili tego spirytusu, bo potem nie byłoby czym silników odpalać. Najgorsze, że żona kolejarza nie miała pojęcia, komu on tego drugiego litra sprzedał. Więc wszystko wskazuje na to, że jeszcze jedno nieszczęście się szykuje. Chyba że ten, który to świństwo kupił, usłyszy o całej sprawie, zanim się struje. Żonę kolejarza, oczywiście, zabrali, bo przecież wiedziała, że spirytus wyszabrowany, więc uznali, że jest tak samo winna, jak mąż.

Obawiała się, że na tej jednej opowieści się nie skończy, ale na szczęście pani Atamanowicz przypomniała sobie, że musi odebrać firanki od szpanowania, a potem jest już umówiona na słuchanie radia. Pożegnawszy staruszkę, wstąpiła do mieszczącego się tuż za mostem fryzjera i zarezerwowała u Herr Jeschonka termin na trwałą. Zauważyła, że trzy obecne tam klientki – wszystkie Niemki – czytają z ponurymi minami dzisiejszą gazetę. Skinęła głową jednej z nich, Frau Lubbe, właścicielce kafeterii w rynku, i wyszła z powrotem na ulicę. I tutaj osowiałe spojrzenia Niemców wciąż powtarzały jak mantrę: Nemmersdorf, Nemmersdorf, Nemmersdorf. W witrynie sklepu z zabawkami – „*Spielzeuge*¹⁷² Hans Kopke” – właściciel wywiesił propagandowy plakat: „*Wir werden siegen, weil Adolf Hitler uns führt!*”¹⁷³. Im szybciej przybliżał się front, tym więcej pojawiało się podobnych dzieł sztuki plastycznej. Wisały na słupach ogłoszeniowych, murach, płotach. Nie wiedzieć czemu przypomniała sobie polski plakat z lata trzydziestego dziewiątego. Też wisiał wszędzie, pięciu kroków nie można było zrobić, żeby się nań nie natknąć. „Silni, zvarci, gotowi!”.

Na jej ustach zadrzał złośliwy uśmieszek.

[161](#) (fr.) Historia miłosna.

[162](#) (fr.) Proszę mi dać.

[163](#) (fr.) Panienko! Proszę!

[164](#) (fr.) Niech panienka nie ucieka!

[165](#) (niem.) Wrocław, Łódź, Warszawa.

[166](#) (niem.) Kaukaz.

[167](#) (niem.) Tylko dla Niemców.

[168](#) (niem.) Rosyjskie masy i amerykańska forsa pokonają niemiecką rasę...

[169](#) (niem.) Most Hindenburga.

[170](#) (niem.) Papierosy Juno, 20 sztuk.

[171](#) (niem.) Twoja lokalna gazeta – „Ostdeutscher Beobachter” – ukazuje się codziennie i przynosi wiadomości ze świata polityki, gospodarki i z twoich stron. Zaprenumeruj ją jeszcze dzisiaj!

[172](#) (niem.) Zabawki.

[173](#) (niem.) Zwycięzimy, bo prowadzi nas Adolf Hitler.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

*Woskriesienie, dwadcat' diewiatoje oktiabria*¹⁷⁴

Za mostem w Warszówce wszedł wreszcie w otwarte pole ciągnące się ku Kościelnej Wsi między Prosną a Bernardynką. Na chwilę przystanął i chciwie mierzył wzrokiem rozciągający się przed nim widok, jakby nie mógł uwierzyć, że wciąż istnieją na świecie takie cuda, jak ta płaska równina, przykryta jasnym błękitem rozświetlonego nieba, tu zazieleniona językiem oziminy, tam ciemnobrunatna od zaoranej ziemi, a gdy spojrzeć na nią pod słońce – połyskująca rozrzuconymi wszędzie potłuczonymi lustreczkami mokrych liści. I z radością wkroczył w tę wyłocną przestrzeń, przefastrygowaną drżącą nitką szarej polnej drogi, zanurzył się w świeżość jesiennego poranka z rozsypanymi po przydrożnych trawach kryształkami rosy, z wesołym powrzaskiwaniem zaplątanych w nadrzeczne wierzby gawronów, z przyjemnym dreszczem budzonym na twarzy przez uderzenia zimnego podmuchu. Iść, iść naprzód, coraz szybciej, dalej, głębiej, stopić się całym sobą z tą niebieską świetlistością, zdającą się unosić człowieka gdzieś het w górę, wnikać w słoneczną moc poranka, w zapach ziemi, w srebrzystość pajęczyn na bodiakach, w bładą żółć wierzb i intensywną pozłotę topoli, wdychać z całych sił – mocno, głęboko, do samego dna płuc, do zawrotów głowy – chłodne, rześkie powietrze, pachnące wilgocią i dymem z odległej góralki. I ciągle, bez wytchnienia, maszerować, wciąż do przodu, wciąż przed siebie, coraz szybciej – i zatracić się, roztopić, rozplynać, i nie myśleć, o tak tak – nade wszystko nie myśleć, po prostu sobie sunąć, sunąć, sunąć – jeszcze i jeszcze, i jeszcze...

Na niebie pojawił się błotniak, zaraz potem drugi i trzeci – cała rodzina błotniaków. Zatrzymał się i przyłożywszy do czoła daszek z dłoni, próbował je policzyć. ...cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć. Coś takiego! Dziewięć błotniaków! Jeszcze nigdy nie widział aż tylu naraz. Przeliczył

je ponownie, by się upewnić, że oko go nie zawodzi. Nie, nie pomylił się – dziewięć sztuk. No proszę, a kiedy przed prawie dwudziestu laty wybrał się tu na pierwszy spacer, była tylko jedna para. W życiu nie przypuszczałby, że się tak pięknie rozmnożą. Po chwili ruszył dalej, ale od czasu do czasu wciąż rzucał okiem na ptaki, kołujące teraz na prawo, nad dawnym starorzeczem i Bernardynką. Takim to dobrze! Krążą sobie wysoko, silne, dumne, wolne. Chętnie zamieniłby się z nimi miejscami. Szybowałyby sobie, szybował, szybował – bez końca. I wreszcie mógłby zapomnieć. Chociaż na chwilę zapomnieć. Zapomnieć o tym wszystkim, co za nim, o tym, na co się nie ma wpływu, o tym, co człowieka przerasta i czyni go zabawką w ręku potężnych, kapryśnych mocy. Przede wszystkim – o tych pływających w szambie nieszczęsnych zwłokach. I o tym, że to on je tam wrzucił. Ze wszystkich sił starał się o tym nie myśleć, ale gdzie tam – wystarczyło, że się zbliżył do okna w kuchni i wyjrzał przypadkiem na podwórze, a już uświadamiał sobie, że kawałek dalej, na prawo, jest to przekłete szambo, a w nim – ona. I już bladł, już się kurczył w sobie, już się czuł tak podle, że wprost odchodził od zmysłów. *Boże moj*, a co się z nim działo, kiedy wychodził z domu i siłą rzeczy musiał przejść przez podwórko! Z mieszaniny rozpacz i wstydu najchętniej zapadłby się wtedy pod ziemię. Wolałby przejść najokrutniejsze fizyczne tortury niż tę niewyobrażalną psychiczną mękę, która bez litości ćwiartowała mu serce i kawałek po kawałku rozszarpywała umysł. Po kilku dniach dotarło do niego, że dłużej tak być nie może, że jeśli nic się nie zmieni, zwariuje. Musi jakoś z tego wybrnąć, tylko jak? Zaczął rozważać pomysł przeprowadzki, ale szybko musiał go porzucić. Gdzie on teraz znajdzie mieszkanie, kiedy całe miasto zapchane przez uciekinierów z Rosji i Ukrainy? I jak tu urządzić przenosiny? Jak przewieźć meble i te pięć tysięcy książek? Trzeba by ze dwa, a może i trzy razy obrócić. A za co wynająć platformę? Gotówki miał jak na lekarstwo, a przecież trzeba po trochu dokupywać węgla, bo zima tuż, tuż. Na razie kupił dwa metry brzozowych bierwion; leżały w jego komórce w piwnicy. Przecież i je też trzeba by jakoś zabrać. Poza tym miał tu biuro, stałych klientów, wszyscy wokół wiedzieli, że nikt nie napisze tak dobrze podania po niemiecku jak on. Po przeprowadzce na pewno straciłby wielu z nich, a zanim zyskałby nowych, upłynęłoby sporo czasu. Z czego by przez ten czas żył? Nie, nie – przeprowadzka nie wchodziła w grę. Musiał spróbować innego sposobu. Więc zaczął sobie wmawiać, że tam – to znaczy

w szambie – nic nie ma. Powtarzał to sobie w myśli i na głos setki razy dziennie: tam-nic-nie-ma, tam-nic-nie-ma, tam-nic-nie-ma! Była to metoda z gruntu perwersyjna, okrutna, ale innej nie znajdował. Tam-nic-nie-ma, tam-nic-nie-ma, tam-nic-nie-ma!, recytował jak Hindusi mantrę. Tam-nic-nie-ma, tam-nic-nie-ma, tam-nic-nie-ma! I po dwóch dniach, ku swojej uldze, ale i przerażeniu, dostrzegł, że powoli zaczyna pomagać, że on naprawdę zaczyna wierzyć, że rzeczywiście tam nic nie ma. A jednocześnie w głębi duszy cały czas doskonale zdawał sobie sprawę – bo trudno, żeby sobie nie zdawał – że to jedynie żalosne mamienie samego siebie, a przy tym niezłe skurwysyństwo, to całe wmawianie sobie, że tam nic nie ma. I natychmiast ogarniał go strach, że jeszcze trochę, a naprawdę popadnie w szaleństwo.

Jedyną ulgę przynosiła ta mikra pomoc, jakiej udzielał Dorotce w jej próbach odnalezienia zabójcy. To, co opowiadała mu wczoraj u Krysi o swojej wizycie u Gołdynia, wskazywało chyba dość jednoznacznie, że to właśnie malarz przechowywał zamordowaną dziewczynę. A fakt, że następnego dnia po odwiedzinach Dorotki Gołdyń dokądś wyjechał, sugerował, że malarz mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Jodłowskiej. O tym wyjeździe dowiedział się przypadkiem od Matczakowej podczas krótkiej pogawędki w bramie. Pod jakimś naprędce skleconym pozorem próbował ją podpytać, dokąd to Gołdyń się wybrał i czy na długo, ale nie miała pojęcia. Podobno zabrał tylko jedną małą walizkę, a na pytanie, kiedy wróci, mruknął, że sam nie wie. Dorotka nie ucieszyła się, kiedy jej o tym powiedział. Żeby teraz oficjalnie przesłuchać Gołdynia, tłumaczyła, trzeba by go najpierw odnaleźć, co wymaga czasu i ludzi. A że ani czasu, ani ludzi nie było, więc wszystko wskazywało na to, że przynajmniej na razie sprawa utknęła w martwym punkcie. Z początku mocno go to zmartwiło, ale teraz myślał sobie, że może to i lepiej. Kto wie, do czego mogło doprowadzić takie śledztwo. Historia była ponura, wsadzenie w nią nosa groziło czort wie jakim ryzykiem. Niedługo wojna się skończy, dochodzenie przejmie polska policja i wszystko wyjaśni. No i przede wszystkim – wyciągnie się tę biedaczkę. Już niedługo, na pewno już niedługo.

Obok tamy, jak zwykle, zrobił sobie postój. Miał tu takie miejsce, już po drugiej stronie Proсны, przy zwałonej starej wierzbie. Wyciągnął z kieszeni marynarki złożony w małą kostkę kawałek zszytej z kocem ceraty, rozwinął go i starannie rozścielił na trawie ceratą do dołu. Jesienią nawet w ciepły dzień ziemia była wilgotna, a on nie miał zamiaru zamoczyć lub

pobrudzić pumpów. Ani złapać wilka. Kiedy już się rozsiadł z plecami opartymi wygodnie o pień, sięgnął do chlebaka po butelkę z jeszcze letnią herbatą i ostatni numer czasopisma wydawanego przez kaliskich Rosjan. Pociągnąwszy kilka sporych łyków, zaczął je przeglądać. Przebiegł wzrokiem kilka wierszy miejscowych niedzielnych niby-poetów, tych samych, co zwykle, potem przekartkował debiutanckie opowiadanie jakiegoś grafomana, którego nazwisko – Kokoszyn – nic mu nie mówiło. Próbował się skupić na czytaniu, ale nijak mu nie szło. Litery wciąż układały się w jedno i to samo zdanie: *tam niczewo niet, tam niczewo niet, tam niczewo niet*¹⁷⁵.

Zgnębiony, po paru minutach zamknął czasopismo i odłożył je na bok. Potem wpatrywał się długo w powierzchnię szarozielonawej wody, na którą raz za razem zwał się z nieba wesoły, rześisty deszcz słonecznych błysków. Powoli, powoli udało mu się popaść w miłą bezmyślność. Dobrze pół godziny przebywał gdzieś poza konkretnym miejscem i czasem – pół godziny najprawdziwszego, czystego szczęścia. Z tego błogosławionego stanu wyrwał go dopiero głód. Odwinął z przetłuszczonego papieru dwie pajdy ciemnego chleba, zlepione cienką warstwą smalca. Oho ho, *ganz prima!*¹⁷⁶ Jedząc, otworzył notes, w którym zapisał tłumaczenie nowego wiersza Anny, przyjaciółki Doroty, przełożonego przez tę ostatnią na polski i przyniesionego mu z prośbą o opinię. Wiersz nosił tytuł *Jonasz*. Szczerze mówiąc, nigdy nie cenił tej poezji. Jego zdaniem była to właściwie stuprocentowa proza, zapisana jedynie – nie bardzo wiadomo, w jakim celu – w formie wiersza. Żadnych porównań, żadnych przenośni, styl nieznośnie suchy, lakoniczny, przywodzący na myśl raport urzędnika. Nie bardzo mógł zrozumieć, co Dorotka widzi w tych strofach.

Tak bardzo pragnął żyć normalnie, jak inni –
za dnia pracować, cieszyć się pełną miską,
wieczorem pić wino, śpiewać, kochać –
że kiedy Głos przemówił
i kazał mu to wszystko rzucić,
i iść zaraz w samo gniazdo os, do Niniwy,
nawracać (cha! cha! cha!) tę dzicz, Asyryjczyków,
szybko spakował tobołek
i w nocy, bez pożegnania,

wymknąwszy się cichcem z domu –
uciekł.

Poczuł gdzieś w dołku nieprzyjemne kolnięcie. Trzeba przyznać, że Anna precyzyjnie zadaje ciosy. Pod jej piórem wysnute ze Starego Testamentu historie traciły charakter nudnych religijnych przypowieści, przeżutych do obrzydzenia przez setki poetów wszystkich epok. Co ważniejsze, ni stąd, ni zowąd, nabierały jadowitej aktualności. Dziewczyna wiedziała, co chce powiedzieć i niewątpliwie mówiła to, tyle że bez stosownego polotu. Szkoda. Gdyby ubrała treść tych wierszy w porządną poetycką szatę, byłyby całkiem do rzeczy.

Sądząc z wysokości słońca, musiało być południe. No, czas wracać! Schował notes, podniósł się i starannie otrzepał. Spakowawszy manatki, wszedł za krzak, wysikał się, po czym wyruszył w drogę powrotną do miasta.

Tym razem szedł drugą stroną Proсны, gdzie rozciągały się lasy. Minął brzezinę obsypaną przez wirujące, żółte confetti, potem pachnący nieprzyjemnie igliwem zagajnik sosnowy i zanurzył się w mieszany las, w którym dominowały stare klony. Przypomnił mu się *Listopad* ukochanego Bunina:

*Lies, toczno tieriem raspisnoj,
Lilowyj, zołotoj, bagrianyj,
Wiesjołoj, piestroju stienoj
Stoit nad swietłuju polianoj.*

O, to jest poezja co się zowie! To jest prawdziwy wiersz! Ciekawe, jak by to było po polsku? Gdzieś chyba czytał tłumaczenie tej zwrotki... W jakimś piśmie literackim. Zaraz, jak to szło? „Las, zupełnie jak pałac kolorowy...”. Nie, nie! To „zupełnie jak” do niczego. „Las niczym pałac kolorowy...”. O, właśnie tak: „Las niczym pałac kolorowy”. A zatem: „Las niczym pałac kolorowy, liliowy, złoty, purpurowy, wesolą pstrą ścianą...”. Hm... „Wesolą pstrą ścianą”? Ej, coś nie w porządku, coś się tu potyka. „We-so-łą pstrą ścia-ną”? No pewnie, za mało sylab! Czym by to zastąpić? Hm... Oczywiście – „kolorową”! Czyli: „Las niczym pałac kolorowy, liliowy, złoty, purpurowy, wesolą kolorową ścianą stoi nad świetlistą

polaną”. Skrzywił się z niesmakiem. Niedobrze. A ten ostatni wers całkiem do luftu! Zupełnie nie ten rytm. Więc może: „Nad świetlistą stoi polaną”? Nie, wtedy też rytm się sypie. A gdyby „świetlistą” zastąpić „jasną”? Tyle że wówczas brakuje sylaby. Co tu wykombinować, stropił się, co tu wykombinować... A gdyby wyrzucić „stoi”, a w zamian dać: „piętrzy się”? No pewnie: „piętrzy się”! „Nad jasną piętrzy się polaną”! Trzeba tylko zrobić coś jeszcze z „kolorową ścianą”, bo „kolorowy” stało już w pierwszej linijce. Synonim „kolorowego” to „barwny”. Czyli: „barwną”, nie – „wielobarwną”! Huraaa! Udało się! Udało! Zaczerpnął powietrza i wyrecytował na głos:

Las niczym pałac kolorowy,
Liliowy, złoty, purpurowy,
Wesołą wielobarwną ścianą
Nad jasną piętrzy się polaną¹⁷⁷.

Aby się upewnić, że w przekładzie wszystko gra, powtórzył zwrotkę kilkakrotnie. Raptem wpadł w doskonały humor. Zaczął głośno pogwizdywać na nutę ulubionego walca – *Na sopkach Mandżurii*. Poczul się wolny, silny, szczęśliwy – niczym tamte błotniaki szybujące wolno ponad lasem z majestatycznie rozłożonymi skrzydłami. Do diabła, życie jest jednak piękne, a na dodatek wciąż na niego czeka, wystarczy tylko wyciągnąć rękę! I on ją wyciągnie, dlaczego miałyby nie wyciągnąć? Jeszcze pokaże, na co go stać. A co!

– *Halt!*

Zamarł w miejscu jak porażony prądem. Frunący w jego piersi drapieźny ptak jak za dotknięciem różdżki złego czarodzieja zmienił się w spłoszone kurczątko. Złowrogie: „*Halt!*” aż mu dzwoniło w głębi czaszki, odbijało się potężnym echem od jej ścian, tłukło się w niej z taką siłą, że odnosił wrażenie, iż jeszcze trochę i jego głowa pęknie niczym eksplodujący granat. Trwało chyba całą wieczność, zanim wreszcie wybrzmiało do końca. Wtedy zdobył się na odwagę i powoli, bardzo powoli – aby czasem nie sprowokować losu – odwrócił się, wciąż niepewny, czy słuch go nie zawodzi i czy naprawdę usłyszał: „*Halt!*”, czy to jedynie koszmarne sen na jawie.

W krzakach stał żandarm z karabinem w dłoniach.

– *Komm hier!*¹⁷⁸

Po krótkim wahaniu podszedł na miękkich jak z waty nogach. Zbliżając się z mocno nietęgą miną, próbował wyczytać z ruchów i wyrazu twarzy Niemca, co nastąpi. Coś mu podpowiadało, że nic dobrego.

– *Komm, komm! Und geradeaus!*¹⁷⁹

Ujrzał wąską ścieżynkę wijącą się między chaszczami głógów i dzikiej róży. Ruszył nią posłusznie, blady ze strachu. Bez nerwów, tylko bez nerwów, próbował się uspokajać. Papiery masz mocne, nic złego nie zrobiłeś, nie musisz niczego się obawiać. Na próżno – serce skakało mu w piersi jak piłka po boisku. Kilkakrotnie zaczepił spodniami o wyjątkowo wysokie jeżyny, ale nawet nie zwrócił na to uwagi.

– *Schneller! Schneller!*¹⁸⁰

Po kilkudziesięciu krokach krzaki się rozstały i ukazała się niewielka polanka. Zaledwie na nią wkroczył, a prawie wpadł na drugiego żandarma, stojącego nieruchomo w pozie zwycięskiego wojownika z rzeźby Thoraka albo Brekera – rozkraczone nogi, pięści oparte na biodrach, mina zwycięskiego Zygfyryda. Czy oni ćwiczą te pozy, przemknęło mu mimowolnie przez myśl, czy przyjmują je całkiem bezwiednie? Ukłuty w oczy promieniami słońca odbitymi od blachy na piersi dowódcy patrolu, odwrócił wzrok i wtedy dojrzał trzeciego żandarma: w nonszalancko zsuniętym na tył głowy hełmie i częściowo rozpiętym mundurze, spod którego wystawała biała podkoszulka. Siedział paręnaście kroków dalej, na zwalonym pniaku i z obojętną miną palił papierosa. Przed nim klęczał, z uniesionymi rękami, mężczyzna w cywilnym ubraniu. Trochę bliżej, między pióropuszcami wyblakłej trawy i prawie oskubanymi z liści, cienkimi badyłami pokrzyw, leżało jeszcze coś, co wyglądało na worek. A może na stertę szmat? Czyżby przyłapany na kradzieży złodziej?

– *Papiere!*¹⁸¹

Zadrzał. Lekko trzęsącymi się rękoma wydobył pośpiesznie auzwajs i podał go usłużnie żandarmowi stojącemu na rozkraczonych nogach.

– *Bitte sehr, Herr Feldfebel!*¹⁸²

Tamten wziął papiery, lecz na razie nie zaglądał do środka. Za to bez pośpiechu, najwyraźniej rozkoszując się chwilą, nadziewał ich właściciela na ostrą włócznię nieprzyjaznego i podejrzliwego spojrzenia. *Skatina!*¹⁸³

– *Ich heisse Paweł Łubnin. Paul Alexandrowitsch Lubnin. Ich bin*

*Dolmetscher. Ich arbeite oft für deutsche Behörden. Ich machte die Übersetzungen für Arbeitsamt und für Gestapo. Ich bin Professor der deutschen und russischen Sprache. Ich lehre die Kinder der Volksdeutschen.*¹⁸⁴

Spojrzenie tamtego zabarwiło miłe zdziwienie. Otworzył wreszcie dokumenty i dłuższą chwilę studiował je uważnie, strona po stronie. Wreszcie skinął na niego palcem w skórzanej rękawiczce i ruszył na drugi koniec polanki, tam, gdzie leżało to coś, co z daleka wyglądało ni to na tłumok, ni to na stertę szmat.

– *Kommen Sie mit!*¹⁸⁵

Posłusznie poszedł za żandarmem. Już z daleka dostrzegł, że z rzekomego tłumoka wystają dwie stopy bez butów – jedna bosa, druga w nielitościwie brudnej skarpetce, przedziurawionej na pięcie i na dużym palcu. Nie wiadomo dlaczego jego wzrok przyłgął do tego ubłoconego palca. A zaraz potem wynurzyła się zakrwawiona, opuchnięta twarz, po której spacerowała wielka mucha z połyskliwym, zielonogranatowym odwłokiem.

– *Kennen Sie ihn?*¹⁸⁶

Potrzebował trochę czasu, żeby ochłonać. Czyżby zstępował do coraz niższych kręgów piekieł? Najpierw trup Jodłowskiej, teraz ten biedny chłopak. Oj, za dużo tego jak na nerwy spokojnego starszego pana, stanowczo za dużo!

– *Kennen Sie ihn?*

Przełknął z trudem ślinę i zmusił się do dokładnego obejrzenia twarzy zastrzelonego. Nie było to miłe, ale żandarm nie powinien zwątpić w jego dobre intencje – w przeciwnym razie dopiero co przełamane lody mogły ponownie zamarznąć. Ofiarą był młody chłopak, dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć lat. Chyba parobek, sądząc po plebejskich rysach, przewiązanych sznurkiem przykusych portkach i kurtce z łatą na łacie.

– *Nein, ich kenne ihn nicht.*¹⁸⁷

Żandarm skinął ponownie i zaprowadził go do tego, który klęczał.

– *Und den hier, vielleicht kennen Sie den?*¹⁸⁸

Niechętnie podniósł wzrok. Ten drugi, mimo chłopskiego stroju i kilkudniowego zarostu, nie wyglądał na chłopaka ze wsi. Rysy regularne, modna fryzura, delikatne dłonie. To był ktoś z miasta, ktoś, kto miał za sobą maturę, a pewnie i studia. Kiedy mu się przyglądał, ich spojrzenia znienacka

się skrzyżowały. Wzrok tamtego przepełniały pogarda i nienawiść. Zdał sobie sprawę, że klęczący musi go brać za Niemca lub folksdojczę.

– *Es tut mir leid, ich kenne ihn auch nicht.*¹⁸⁹

Żandarm zwrócił mu dokumenty.

– *Sie dürfen weiter gehen.*

– *Danke schön, Herr Feldfebel! Auf Wiedersehen!*¹⁹⁰

Schował auzwajs i szybko opuścił polankę. Na ścieżynce znowu zaczepił parę razy o próbujące go zatrzymać jeżyny – mocne i ostre niczym drut kolczasty. Szybciej, Boże, szybciej! Wtem poczuł na twarzy sieć utkaną z płataniny pajęczyn i babiego lata. Zatrzepotał gwałtownie rękoma i chcąc zdrapać z czoła, oczu i policzków obrzydliwie lepkie nitki, jeszcze raz zawadził o jeżyny. Tym razem chwyciły go mocno i nie chciały puścić. Jednocześnie siedząca na gałęzi, tuż nad nim, bardzo blisko, sroka puściła serię – khach-khach-khach-khach-khach! – do złudzenia przypominającą serię z automatu. Wpadł w panikę i żeby się oswobodzić, szarpnął nogą ze wszystkich sił. Jeżyny puściły, ale wyrwały kilka dziur w spodniach. Więc jeszcze i to, o Boże! Ulubione pumpy! Zaciskając z rozpaczony usta, wypadł wreszcie na leśną drogę i puścił się nią prawie biegiem. Im bardziej oddalał się od polanki, tym większą odczuwał ulgę. Ale nie zwalniał. Poganiała go obawa, żeby żandarmom się nie odwidziało, żeby nie kazali mu wrócić. W stosunkach z Niemcami nie obowiązywała żadna trwała logika, wszystko się mogło zdarzyć, wszystko się mogło diametralnie zmienić – ni stąd, ni zowąd, bez wyraźnej, racjonalnej przyczyny. Po prostu coś nagle przeskakiwało szwabom we łbie i w ułamku sekundy z niechętnych, lecz opanowanych doktorów Jekylli stawali się rozszalałymi i nieobliczalnymi panami Hyde’ami, zaś możliwości dogodzenia swoim fantazjom mieli nawet cokolwiek większe. Właściwie – nieograniczone. Mogli cię zastrzelić, zaszczuć na śmierć psami albo powiesić na pierwszej lepszej gałęzi. Więc najrozsądniej było trzymać się od nich z daleka i w miarę możliwości nie wchodzić im w drogę. Zatem prędzej, prędzej, byle jak najdalej stąd! Nogi niosły go same; chyba jeszcze nigdy w życiu nie pędził w takim tempie. A w pięty dodatkowo parzyło wspomnienie nienawistnego i pogardliwego spojrzenia, jakim spoliczkował go schwytyany przez żandarmów chłopak. Parzyło coraz mocniej. Chciał uciec od tego niemego wyrzutu – tym bardziej torturującego, że niesłusznego. W końcu nie był ani Niemcem, ani

folksdojczem, a znajomość niemieckiego to nie zbrodnia. A tak w ogóle to nic złego nikomu nie zrobił! Że wpisał się na listę białych Rosjan? I co z tego? Skoro Polacy o niemieckich nazwiskach wpisywali się na *Volkliste*, dlaczego on nie miałby się podawać za białego emigranta? Tym bardziej że Niemcy naciskali. Gdyby się sprzeciwił i nie wpisał, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Miał święte prawo dbać o swoje bezpieczeństwo, a wpisanie się zwiększało szanse na przetrwanie. Zostawiono go we względnym spokoju, a i przydziały były odrobinę większe niż dla Polaków. Co do pracy dla władz, to i owszem, zdarzyło mu się parokrotnie tłumaczyć na rosyjski zarządzenia i regulaminy dla sowieckich jeńców pracujących w kaliskich zakładach, ale nic ponadto. Szczerze mówiąc, nawet się cieszył z tych fuch, bo nie dość, że dobrze za nie płacili, to jeszcze dopatrywał się w nich dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa. Gwarancji przydatnych podczas takiej właśnie okazji, jaka dopiero co się przytrafiła. No i raz – trudno zaprzeczyć – przyszli do niego z Gestapo, żeby im przełożył ulotkę znalezioną w barakach z jeńcami. Nie mógł przecież odmówić, musiał przetłumaczyć. Pojmował jednak doskonale, że to śmierdząca sprawa i zdecydowanie odmówił przyjęcia honorarium. Poprosił, by jego usługę potraktowano jako wkład w walkę Wielkoniemieckiej Rzeszy *mit Weltbolschewismus*¹⁹¹. I co? Po miesiącu sami przysłali należność – pocztą! Nie chciał sobie nawet wyobrażać, co pomyślał listonosz, pan Franek, kiedy przyniósł pieniądze i kazał mu złożyć podpis na pokwitowaniu, gdzie jako nadawca jak byk figurowała Geheimstaatspolizei Aussendienststelle Kalisch¹⁹². Zaś co się tyczy prywatnych lekcji niemieckiego, jakich udzielał głównie folksdojczom, to od wybuchu wojny stały się one jednym z dwóch podstawowych źródeł jego utrzymania. Ostatecznie to nie jego wina, że chętni do nauki niemieckiego rekrutowali się wyłącznie z rodzin, które dopiero co podpisały folkslistę. Polacy tak brzydzili się wszystkim, co szwabskie, że nie mieli ochoty płacić za naukę niemieckiego, chociaż zwykły zdrowy rozsądek doradzał przecież, że warto by znać język. Jeśli nie dla lektury *Fausta* w oryginale, to z powodów czysto praktycznych. W efekcie miał tylko jednego ucznia Polaka, Fredka Jelonka, którego ojciec, cwany handlarz i kombinator, posiadał pożyteczny talent instynktownego ustawiania się z wiatrem. Charakterystyczne, że Jelonek przyprowadził Fredka w końcu

czerwca czterdziestego, tuż po upadku Francji, kiedy stało się jasne, że wojna potrwa znacznie dłużej, niż się wszystkim wydawało, i diabli wiedzą, kto ją wygra. Drugim źródłem jego dochodów było pisanie po niemiecku podań do władz, bo w korespondencji urzędowej wszystkich mieszkańców Reichsgau Wartheland obowiązywał wyłącznie niemiecki. Gdyby nie pomoc tłumacza, przeciętny Polak nie skleciłby najprostszego pisemka – ani odwołania w sprawie zawyżonego rachunku z elektrowni, ani prośby o skreślenie z listy wysyłanych na roboty do Rzeszy, ani pocztówki do krewnego zesłanego do *Straflager*. Zatem nikt nie ma prawa zarzucać mu, że przekracza niepisane granice. Gdyby nie te lekcje, nie te tłumaczenia, z czego by żył? Z manny z nieba? Wolne żarty! Zdechłby z głodu jak bezpański pies. Zwłaszcza że co to tam były za zarobki – wszystko marne grosze. A ceny na czarnym rynku stały już takie, że z rozpaczycy chciało się płakać.

Tak tłumaczył się w myśli przed klęczącym na polanie więźniem, jednocześnie zdając sobie sprawę z idiotycznej bezskuteczności rzucanych w pustkę wywodów. Świadomość, że w opinii tamtego nieszczęśnika na zawsze pozostanie kolaborantem, przyprawiała go o czarną rozpacz. Pod wpływem impulsu kilka razy zapragnął zawrócić, pobiec z powrotem na polanę i wytłumaczyć wszystko chłopakowi. Oczywiście, pokonał ten idiotyczny odruch. Jonasz, szepnęło mu coś do ucha, Jonasz! To też irytowało – to zawężenie możliwości, konieczność podążania koleiną wyżłobioną przez innych. W tej tu konkretnej chwili, o ile pragnął żyć, mógł zdążyć tylko w jednym kierunku – przed siebie.

Wydostawszy się z lasu, pomaszerował ścieżką wijącą się między pozółkłą, zarosniętą przez dzikie głogi skarpą a równym jak stolnica polem. Uszedłszy jeszcze kawałek, poczuł, że dłużej nie da rady, że serce mu wysiada, że musi trochę odpocząć. To nie z braku sił, nie z kiepskiej kondycji, usprawiedliwiał się sam przed sobą, to przez nerwy, wyłącznie przez nerwy. W końcu, co tu ukrywać, najadł się strachu. Jeszcze jak! Usiadł na trawie i ciężko dysząc, wyciągnął z chlebaka flaszkę z resztką herbaty. Mimo że pragnienie przepalało mu wyschnięte na wiór gardło, musiał odczekać kilka minut, zanim uspokoił oddech na tyle, aby móc się wreszcie napić. Opróżnił butelkę jednym, długim haustem i odrzuciwszy ją na bok, opadł bezwładnie na plecy.

Nie, mój drogi, myślał, nic z tego. Nie uciekniesz. Nie uciekniesz przed

tym, co się wyprawia wokół ciebie. Przed dziewczyną w szambie i przed trupem na polanie. Prędzej czy później dopadnie cię rzeczywistość. Tak jak dopadła Jonasza. I to raczej prędzej niż później. Nie czmychniesz przed nią na stoki mandzurskich wzgórz ani nie schowasz się pod pierzyną wygrzaną przez Jadzię, Basię, Zdziszę czy jakąkolwiek inną Misię. Żałosne złudzenia! A rzeczywistość ta, zgodnie z duchem czasu, nie będzie wdawać się w subtelne analizy, studiować niuansów, dzielić włosy na czworo. Ot, przystawi ci rewolwer do skroni i zapyta: Polak czy Rosjanin? *Poljak ili Russkij? Pole oder Russe?*¹⁹³. Nie wystarczy jej ani czasu, ani cierpliwości na słuchanie wyjaśnień, że owszem, urodziłeś się w rodzinie rosyjskiego urzędnika, ale w polskim mieście, że wprawdzie w domu mówiło się wyłącznie *po ruszki*¹⁹⁴, ale na podwórku już tylko po polsku, że tu, i tylko tu – nie w Rosji, gdzie spędziłeś ledwie cztery lata – jest twój prawdziwy dom, że czujesz się jednocześnie i Rosjaninem, i Polakiem, Polakiem i Rosjaninem, albo – jeśli kto woli – polskim Rosjaninem? A jeżeli nawet jakimś cudem zdążysz to z siebie wyrzucić, udowodnisz jedynie, że jesteś wielce podejrzanym mieszańcem, ludzkim kundlem, dla którego nie ma miejsca w świecie zredukowanym do wymiarów upiornej szachownicy, po której mogą skakać jedynie figury całkiem białe lub całkiem czarne.

Boże drogi, nie chciał teraz o tym wszystkim myśleć. Gdybyż tak ludzki mózg można było wyłączyć, tak jak wyłącza się światło w pokoju! Naciskasz jakiś guziczek, powiedzmy pod uchem, i pyk! – w głowie zapada noc i człowiek chociaż na jakiś czas przestaje się męczyć. Ależ by było cudownie... Zamknął oczy i spróbował się zanurzyć w tę wymarzoną, wyzwalającą ciemność. Bezskutecznie. Więc otworzył je i zaczął się wpatrywać w płynące nad nim paździenikowe niebo, po którym znowu, zataczając koła, krążył wolno jeden ze znajomych błotniaków.

Po pół godzinie ochłonął. Wstał i już chciał przełożyć przez ramię pasek chlebaka, kiedy poczuł, że coś jest nie tak. Jakoś dziwnie mu było, dziwnie niepokojąco. W spodniach. Wilgotno i jakoś tak podejrzanie. Nagle dotarło do niego, w czym problem. O nie, jęknął w duchu, skonsternowany, to niemożliwe, nie! Wstyd przypiekł mu policzki. Choć znajdował się daleko od przedmieścia i prawdopodobieństwo spotkania tu kogokolwiek było bliskie zeru, rozejrzał się wokół, aby się upewnić, że nie ma żadnego świadka jego mimowolnej hańby. W odruchu bezsilności, ze łzami w oczach, cisnął

chlebakiem o trawę, szybko zdjął i rzucił obok marynarke, po czym wszedł w pobliskie krzaki. Tam zzuł buty, ściągnął getry, spodnie i na koniec kalesony. Nie zaglądając do tych ostatnich, rzucił je z wstrętem na ziemię i zaczął się rozglądać za jakimiś szerokimi liśćmi. Miał szczęście – tuż obok rosło kilka łośuchów. Podtarłszy dokładnie tyłek, podniósł pumpy i zajrzał do ich wnętrza, żeby sprawdzić, czy wszystko tam w porządku. Na szczęście spodnie nie były ufajdane. Wciągnął je i wpuścił za pasek podkoszulkę i koszulę. Potem spojrział na kalesony. Zabrać je czy zostawić? Zostawić szkoda... Przecież kupił je dopiero przed rokiem, a kosztowały że ho, ho! Dobrze, bawełniane kalesony, najlepsze z trzech par, jakie posiadał. No ale co on zrobi z takimi obsranymi? Do chlebaka ich przecież nie schowa, a w rękę też nieść nie będzie, bo jak to wygląda? Trzeba by je najpierw przepłukać. Schylił się i zwinąwszy kalesony w kłębek, który dawał się nieść za końce nogawek, powłókł się w kierunku Proсны.

[174](#) (ros.) Niedziela, dwudziestego drugiego października.

[175](#) (ros.) Tam nic nie ma.

[176](#) (niem.) Pierwszorządnie!

[177](#) Za pierwowzór tłumaczenia prof. Łubnina posłużył mi przekład Danuty Wawiłow: Las niby pałac kolorowy / Liliowy, złoty, purpurowy / Wesołą różnobarwną ścianą / Nad jasną wznosi się polaną.

[178](#) (niem.) Podejdz!

[179](#) (niem.) No chodź, chodź! I przed siebie.

[180](#) (niem.) Szybciej, szybciej!

[181](#) (niem.) Dokumenty!

[182](#) (niem.) Proszę bardzo, panie feldfeblu.

[183](#) (ros.) Bydlę!

[184](#) (niem.) Nazywam się Paweł Łubnin. Paweł Aleksandrowicz Łubnin. Jestem tłumaczem. Często pracuję dla niemieckich władz. Robiłem tłumaczenia dla Urzędu Pracy i Gestapo. Jestem nauczycielem niemieckiego i rosyjskiego. Uczę dzieci folksdojczów.

[185](#) (niem.) Proszę za mną.

[186](#) (niem.) Zna go pan?

[187](#) (niem.) Nie, nie znam.

[188](#) (niem.) A tego tu, może tego pan zna?

[189](#) (niem.) Przykro mi, tego też nie znam.

[190](#) (niem.) Może iść pan dalej! – Dziękuję, panie feldfeblu. Do widzenia!

[191](#) (niem.) ...ze światowym bolszewizmem.

[192](#) (niem.) Tajna Policja Państwowa, Oddział Kalisz.

[193](#) (ros., niem.) Polak czy Rosjanin?

[194](#) (ros.) po rosyjsku.

Część druga

GRUDZIEŃ

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czwartek, czternastego grudnia

Na jej widok doktor Walczak uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Kogóż to ja widzę? Panna Dorotka! Proszę, bardzo proszę! Nawet pani nie wie, jak się cieszę! Co tu ukrywać, z dalekiej drogi pani wraca! Słyszałem, oczywiście, słyszałem. Tyfusik. Katarzyna zachodziła, wszystko opowiedziała. Tak, tak, z takim choróbskiem nie ma żartów. Co to ludzi powymierało w tę wojnę na tyfusik! Chyba więcej niż od szkopskich kulek. Szkoda gadać! Co takiego? Katarzyna również? Ajajaj, co za zmartwienie! Katarzyna również... Ileż to lat służyła u państwa? Dwadzieścia sześć? Toż to prawie pół życia! To już prawie jak rodzina. Proszę przyjąć kondolencje. Przez panią? Co też panna Dorotka wygaduje! Nie można tak mówić. Choroba to choroba, nie można się o nią obwiniać. Gdyby Katarzyna zachorowała pierwsza, nie opiekowałaby się nią pani? No właśnie! I nie odstraszyłby pani lęk, że to pani od niej może się zarazić. Więc po co takie głupstwa gadać? Katarzynie już nic to nie da, a pani wpędzi się tylko we frustrację. I tak wygląda pani mizerniutko. Ach tak, po tyfusiku przypętało się jeszcze zapalonko płuc? Fiu, fiu, nieźle! Zapalonko płuc to już nie żarty. Zwłaszcza po tyfusiku. To już murowany bilet na tamten świat. Prawdziwy cud, że się panna Dorotka z tego wywinęła! Oczywiście, może pani zdjąć kożuszek. Śmiało. Na pewno pani nie zmarznie. Przecież widzi pani, że w piecu się pali. Ja pomogę. O, już. Muszę palić, bo inaczej pacjenci by mi się poprzeziębiali. Zawsze godzinę przed początkiem przyjęć rozpalam. Kazałem z sadu za domem wyciąć paręnaście starych drzew, to jest teraz czym palić. Gotowa już pani? Jeszcze nie? A jeszcze pełno tu budek, drwalników, klatek. Tatuś z mamusią wszystko mieli. I kury, i kozę, i króliki. Jak to teraz porozbierać, to i na miesiąc palenia starczy. Węgiel drogi, aż strach. Za co ja bym go kupił? Wszystkie oszczędności,

zaskórniaki, biżuteria po żonie poszły w diabły. Połowę moich przedwojennych pacjentów Niemiaszki deportowały. Jednych do Ganster Gau¹⁹⁵, innych od razu do nieba. Proszę za parawanik! Skąd wziąłem ten Ganster Gau? Podobno szkopy nazywają tak Generalną Gubernię. Że niby tak tam dla nich niebezpiecznie. Mogę już wejść? Zobaczmy te kolanka. Zapalimy jeszcze tę lampkę i już oglądamy. Hm... jakby trochę lepiej. Co, proszę? Nie? Nic nie lepiej? Mówi panna Dorotka, że ostatnio było tak samo? A wydawało mi się, że trochę lepiej. Wredne choróbsko. Za co to Pan Bóg na ludzi takie plagi spuszcza? Jeszcze na takich przyzwoitych, jak panna Dorotka. Zabijcie mnie, a nie odgadnę. Smaruje pani? Regularnie? To dobrze. Na łuszczycę nic innego nie wymyślono. Smarować, smarować i jeszcze raz smarować. Regularnie, systematycznie. Przepiszę jeszcze mocniejszą maść. A na łokciach jak? W porządku? Niech pani pokaże! Hm... Skóra lekko zgrubiała. Ale tarczek, na szczęście, nie ma. Niech pani na wszelki wypadek od czasu do czasu też przesmaruje. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Może się już pani ubrać. Co, proszę? Zaczyna panna Dorotka tracić wiarę, że to kiedyś zniknie? Niedobrze, bardzo niedobrze. Wiara chorego w wyleczenie to połowa sukcesu. Zresztą już raz prawie zniknęło, pamięta pani? Więc dlaczego znowu nie miałyby się zmniejszyć? A może i całkiem zniknąć? Choroby skórne bywają uporczywe, ale i kapryśne. Latami je leczysz, leczysz i nic. I nagle bach – ni stąd, ni zowąd przechodzi jak ręką odjął. Powiadają też, że choroby skórne to choroby duszy. Że tam tkwi ich przyczyna. Ale jak tu leczyć duszę? Jak się do niej dostać? Czy to w ogóle kiedykolwiek będzie możliwe? Chyba nigdy. Abstrahując od pytania, czy człowiek w ogóle ma duszę. Przyzna pani, że po tym, cośmy się dowiedzieli o ludziach w ciągu kilku ostatnich lat, to bardzo zasadne pytanie. Więc zostaje nam tylko zwalczanie objawów. Tak czy owak, pacjent musi wierzyć w wyleczenie. Słyszysz pani? To jest warunek sine qua non. Oczywiście, że ozdrowienia ta wiara nie musi przynosić. Ale daje coś innego, coś dużo ważniejszego. I nieodzownego, zwłaszcza przy chorobach długotrwałych. Pomaga znosić chorobę, pomaga z nią żyć. Tak, panno Dorotko, pomaga z nią żyć! Niechże no pani policzy na paluszkach, ile to już lat się spotykamy? Będzie ze sześć, a może i siedem. Nie mylę się? No właśnie. Siedem lat. Szmat czasu. No, a jakoś pani z tym żyje. Prawda? Pewnie, wiem, że niełatwo. Ale musi pani być dzielna. Myśli pani, że się nie

domyślam, jakie to utrapienie? Zwłaszcza dla młodej, eleganckiej kobiety? Szczęście w nieszczęściu, że ma to panna Dorotka jedynie na kolankach. Wbrew pozorom można to dość łatwo ukrywać. Nawet w pewnych, hm, szczególnych sytuacjach. Rozumie pani, o czym mówię, prawda? No, no – nie ma się co czerwienić! W końcu jestem lekarzem. I rozmawiam z dojrzałą kobietą. Więc i w tych szczególnych sytuacjach można sobie jakoś poradzić. Na przykład zawsze nosić pończoszki. Narzeczonemu wyjaśnić, że to z powodu wiecznie zziębniętych nówek. A latem, kiedy pojedzie pani z narzeczonym nad wodę, powiedzieć mu, że opalać się pani nie może, bo lekarz zabronił. Po prostu taka karnacja, że opalać się nie można. Co proszę? Jak się wykręcić od kąpielii? Powiedzieć, że panna Dorotka nie lubi wody. Aha, tak naprawdę uwielbia pani wodę? To problem... Chwileczkę, nie poddawajmy się tak łatwo. Pomyślmy, jak z tego wybrnąć. Wiem! Zanim panna Dorotka założy strój kąpielowy, niech sobie obwiąże kolanka bandażem. A narzeczonemu czy koleżankom powie, że ma jakieś reumatyczne bóle, że musi smarować kolana specjalną maścią, a potem owijać je bandażem, żeby maść się nie zmyła w wodzie. I może pani pływać do woli. Co proszę? Tak właśnie panna Dorotka robi? A to mnie pani podpuściła! Ale sama pani widzi, na wszystko jest rada. Jeśli się tego dziadostwa nie ma na całym ciele lub w takim miejscu, które z natury rzeczy pozostaje na ogół odkryte, zawsze można coś wykombinować. Niech mi pani wierzy. W końcu nie jest panna Dorotka jedyną pacjentką, którą próbuję z tego wyleczyć. Proszę sobie usiąść! Już skrobiemy receptę. A może herbatki? Mam tu w dzbanku trochę jakiegoś zielska. Parzyłem tuż przed pani przyjściem, więc powinna jeszcze być gorąca. Mimo ognia na kominku wcale nie jest tu za ciepło. A przed wyjściem na mróz dobrze się rozgrzać. O, tu jest czysta filiżaneczka. Lejemy i już, voilà! Cukru, niestety, nie mam. Może być bez cukru? Świetnie. O czym to ja mówiłem? Aha! No więc przed wojną przychodziła tu żona jednego adwokata. Zbudowana jak grecka bogini, mówię pani. Albo jak te dorodne dziewoje z obrazów Malczewskiego. I też dręczyła ją łuszczyca. Miała to na klatce piersiowej, dokładnie między piersiami. Jeszcze jako panna. I niech pani sobie wyobrazi, że mąż nigdy o niczym się nie dowiedział. Po prostu w żadnej sytuacji nie zdejmowała koszuli nocnej. Mąż myślał, że to rezultat wrodzonego wstydu, zażenowania nagością, ciut przesadnej obyczajności. Tłumaczył to sobie wychowaniem u siostrzyczek. I co? Szczęśliwa rodzinka! Trójkę dzieci mieli. A właściwie

mają, bo chyba wciąż żyją. Mam nadzieję, że żyją. Na samym początku wysiedlili ich gdzieś pod Warszawę. Ale dlaczego pani tak spieczęta raczka? Że ja tak swobodnie o podobnych sprawach? Boże drogi, żyjemy w dwudziestym wieku! Bądźmy nowocześni! Niech mi panna Dorotka nie wmawia, że nie czytała Freuda. Życie intymne jest dziś dla lekarza takim samym przedmiotem troski, jak poprawne trawienie czy sprawność stawów. A poza tym z takim starym dziadem, jak ja, można już o tym wszystkim gadać bez krępacji. Zupełnie jak z księdzem w konfesjonale. No, niechże się panna Dorotka przestanie czerwienić! Dobrze? No właśnie. A była jeszcze jedna Żydówka. Boże, jaka piękna! Istny cymes! Mniej więcej w pani wieku. Na brzuszku miała to paskudztwo. Tak od pępka do... No, wie pani – do samego dołu. Po prostu całe podbrzusze. A zakrywała to bardzo prosto, szerokim pasem do pończoszek. Takim od talii do... No, wie pani. Szytym specjalnie na miarę. Z Warszawy sobie te pasy sprowadzała, w różnych kolorach, żeby do różnych pończoszek pasowały. Wszystko najlepszej jakości, same jedwabiki, atłasiki i tym podobne. Bogata, że fiu, fiu! Jedynaczka. Córeczka tatusia. Nazwiska nie powiem, bo ja tu ploteczek żadnych nie roznoszę. Tajemnica lekarska – rzecz święta. Przykłady pannie Dorotce tylko daję, że i z tą chorobą można prowadzić w miarę normalne życie. Także małżeńskie. Więc ona zawsze ten szeroki pas do pończoszek nosiła i nigdy przy nikim go nie zdejmowała. Ciekawskim mówiła, że ma brzydką, długą bliznę po wycięciu wyrostka. Sprytnie, prawda? Tych ciekawskich, nawiasem mówiąc, podobno nie brakowało. Jeden to nawet palnął sobie przez nią w główkę. Słowo honoru, to głośna sprawa była. Oficer jakiś. A czemuż to panna Dorotka patrzy na mnie, jakbym jej ojca i matkę zabił? Znowu czymś panią skrepowałem? Jeśli tak, przepraszam. Sam tu cały boży dzień siedzę, to i potem plotę, co mi ślina na język przyniesie. I czasami słowo za dużo powiem. Jeszcze raz przepraszam. Że co, proszę? Kiedy była tu po raz ostatni? Niby kto? Romka? Jaka Romka? Romka Jodłowska? Nie mam pojęcia, o kim pani mówi. Nie znam żadnej Romki Jo... Czy jak jej tam. Skoro mówię, że nie znam, to nie znam. Ja się wcale nie unoszę. A nawet gdybym znał, i tak bym nie powiedział. Słyszała pani: ja nazwisk pacjentów nie zdradzam. Chciałaby panna Dorotka, żebym rozpowiadał po całym Kaliszu, że pani do mnie przychodzi? I może jeszcze na co pani choruje? Tak? Proszę bardzo! Już biegnę na miasto, już paplam! Chce tego pani? No właśnie. Wcale nie jestem zdenerwowany! Jestem

całkiem spokojny. Nie mogę tylko zrozumieć, co się panie Dorotce ubzdurało z tą – jak tam jej? – aha, z Romką. To panna Dorotka nie zauważyła, że naszych Żydów już pięć lat temu wywieźli? Więc niby jak tu mogła teraz do mnie jakaś Żydówka przychodzić? Na miotle z getta w Łodzi przylatywała? Zresztą getto w Łodzi też już zlikwidowane. A z tamtego świata na wizyty u lekarza nie wypuszczają. Co proszę? Na Stawiszyńskiej? W nocy z piętnastego na szesnastego października? Tego roku? A co mnie do tego? Przecież ja tego nie zrobiłem. Mówię: nie znam, nic nie wiem, po co ta cała rozmowa? A czy przed wojną przychodziła, czy nie, to sprawa między mną a nią. Śmierć pacjenta nie zwalnia lekarza z zachowania tajemnicy. Proszę mi dać spokój. Nie dręczyć mnie. Ja chcę spokojnie dożyć końca tej przekłętej wojny. Proszę mnie do niczego nie mieszać. Jestem starym, zmęczonym człowiekiem. Jakaś tam Żydówka zamordowana! Wielkie mi coś! Nie pierwsza, nie ostatnia. Właśnie, że serio mówię, całkiem serio. Tak, właśnie tak myślę. Zresztą jakie to ma znaczenie? Życia jej pani nie wróci. No właśnie. Więc po co się w tym grzebać? Ludzi pani tylko niepotrzebnie straszy. Albo wsadzi pani nos gdzie nie trzeba i go pani przytrzasną. Po co ryzykować po próżnicy? Wyniosą się stąd Niemcy, to się wszystko wyjaśni. „Prawda”, „prawda”! Cóż to takiego jest ta prawda? I niech mi tu panna Dorotka z tatusiem nie wyjeżdża. Nie wiem, co by pani tatuś powiedział, gdyby się dowiedział o folksliście. Przepraszam. Tak mi się wyrwało. Sama pani tego chciała. Już niech pani da spokój z tą Romką! I co z tego, że koleżanka z klasy. Proszę mi tu żadnymi pełnomocnictwami przed nosem nie machać! Każdy tak może powiedzieć. A ja nie taki durny, żeby od razu we wszystko wierzyć. I każdemu. Ależ pani uparta! No dobrze, dobrze, powiedzmy, że wierzę. Ale wciąż nie rozumiem, do czego ma to prowadzić. Akurat! Już widzę, jak tego bandziora złapiecie! Zwłaszcza po dwóch miesiącach. Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie. Proszę, słucham. Jezu Chryste! Że też mnie podkusiło, żeby o tej nieszczęsnej Jodłowskiej mówić. Będę miał nauczkę na przyszłość. Przecież słucham, widzi pani, że słucham. Koleżanka z klasy, powiada pani? Oj, niewiele tych koleżanek spotka pani po wojnie. Niewiele. Tej w każdym razie już nie. Biedna Jodłowska. Tyle lat się uchowała. Całe pięć lat. I teraz, tuż przed końcem... Ech, popaprane to życie. Jeszcze jak popaprane! No, dobrze. W porządku. Niech już będzie. To już powiem wszystko. Napije się pani nalewki? Napijmy się na te smutki! Dereniówka, sam robiłem. Takiej dereniówki, jak

moja, to nigdzie panna Dorotka nie piła. Przepis mojej świętej pamięci mamusi. Więc powiada pani, że na Stawiszyńskiej? Piętnastego października? Zaraz zerknę w kalendarz. Proszę bardzo. No to prosit! Oby się ten nasz czyściec wreszcie skończył! Co proszę? I żeby się nie zmienił w nowe piekło? Hm... Znaczy: jak przyjdą tamci? Optymistka, z panny Dorotki, nie ma co! Chociaż prawda, nie tej armii, co tu idzie, żeśmy wyglądali. Ale przecież mamy sojuszników. Chyba nie tacy oni głupi – i nie tacy wredni – żeby nas Stalinowi podać jak na półmisku? Anglicy być może by i podarowali. Skoro zostawili nas samych w trzydziestym dziewiątym, więc dlaczego teraz nie mieliby zostawić? Ale Amerykanie – nigdy w życiu! Roosevelt przed wyborami przyjął Polaków i sfotografował się z nimi na tle mapy przedwojennej Polski. Wiem, bo w „Głosie Ameryki” mówili. Czyli pamięta o nas. A z Rooseveltem Stalin musi się liczyć. W Teheranie? Niech panna Dorotka nie wierzy w to, co rozgłaszają Niemcy. Dziecko widzi, że ich zamiarem jest skłócić ze sobą aliantów. A nam tylko ci alianci zostali. I Matka Boska Częstochowska... No, na zdrowie! Dobra naleweczka, prawda? Już patrzę w kalendarz. Momencik, momencik. O, jest piętnasty. Faktycznie, zgadza się! Przy piętnastym października jest kropeczka. O, widzi pani? Nie wiem dlaczego, ale zawsze po jej wizycie, stawiałem w kalendarzu kropeczkę. Czyli to się stało, kiedy ode mnie wracała. Czuję, że kiedyś to się tak skończy. Że wpadnie na jakiegoś bydlaka. Tak... Pozwoli pani, że wleję sobie jeszcze jeden. Na frasuneczek najlepszy truneczek. Biedna Jodłowska! Zaczęła się u mnie leczyć kilka lat przed wojną. Mniej więcej w tym samym czasie, co panna Dorotka. Jak wiele pań z towarzystwa, zwłaszcza tych zamożniejszych, nie przychodziła do mojego prywatnego gabinetu, tego na Sukienniczej. Krępowała się. Nie chciała, żeby ktoś znajomy zobaczył ją w poczekalni, a potem rozgadał, że ona na nie wiadomo co się leczy. Wie pani, jacy są ludzie. To ja chodziłem do niej. Kogo jak kogo, ale ją było stać na wizyty domowe. Jakoś tak na początku lata trzydziestego dziewiątego wysiew zaczął znikać. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, tuż przed wywózką Żydów, wszystkie zmiany chorobowe zniknęły. Nie muszę chyba pani mówić, jaka była szczęśliwa? Rychło w czas jej się to szczęście przytrafiło. No a zaraz potem Żydów wywieźli. Oczywiście, byłem święcie przekonany, że ją także. Tak. Tymczasem mniej więcej rok temu niespodziewanie zjawiała się ponownie. Przyszła późnym wieczorem, dawno po godzinie policyjnej. Z jej aparycją wyjście na ulicę za dnia

równałoby się samobójstwu. Zastukała w okno. W pierwszej chwili własnym oczom nie uwierzyłem. Ale to była ona. Co proszę? Skąd znała mój nowy adres? Przecież mnie też na samym początku, jakoś tak w listopadzie, ze starego mieszkania wyrzucili. Mówiłem jej o tym, kiedy ją po raz ostatni odwiedziłem. Chyba nawet nową wizytówkę dałem... Więc zjawiała się przed północą. Trochę zeszczupiała, ale tak w ogóle wyglądała całkiem dobrze. Ubranie też miała przyzwoite. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie tuła się byle gdzie, że ma dobrą kryjówkę. Nie chciała zdradzić u kogo, zresztą i ja wolałem nie pytać. Niby po co? Takie czasy, że lepiej nie wiedzieć. Przyszła, bo wróciła jej łuszczycy. W tym samym miejscu, na brzuchu. Trochę się zezłościłem. Nawet bardziej niż trochę. Narzązać siebie samą i mnie z powodu zmian chorobowych na skórze?! Zwariowała, czy co?! Zapytałem, dlaczego nie przysłała po prostu osoby, u której się ukrywa? Wypisałbym receptę, ten ktoś kupiłby maść w aptece i po sprawie. Popłakała się i powiedziała, że to niemożliwe. Że ukrywa się u swojego przyjaciela, który o niczym nie wie. I nie może się dowiedzieć. Bo jego takie rzeczy napawają wstrętem. Podobny napatrzył się na to gdzieś w Afryce. I gdyby odkrył, że ona ma coś takiego, nabrałby do niej obrzydzenia. Jeszcze wyrzuciliby ją z mieszkania i co wtedy? Dlatego musiała przyjść sama. Ale żebym się niczego nie bał, bo mieszka bliźutko, a szła najpierw przez ogrody, potem wałem nad rzeką, więc na pewno nikt jej nie widział. Co było robić – skoro już przyszła, obejrzałem ją. Typowy nawrót objawów, jak to przy łuszczycy, sama pani wie. Zabrałem się do wypisywania recepty, a ona pyta, po co to robię?. Na co jej ta recepta? Przecież do apteki nie pójdzie. I swojego przyjaciela też tam nie wyśle, bo niby co mu powie? Że skąd wzięła receptę? Onnie ma nawet pojęcia, że ona wyszła z domu. Dała mu coś na sen i teraz śpi jak zabity. Więc nie recepty jej trzeba, ale samej maści. Bogu dzięki, że akurat miałem trochę. Umówiliśmy się, że będzie do mnie przychodzić raz na miesiąc, zawsze w niedzielę. Przed północą. A ja będę mieć dla niej maść. Nie zawsze przychodziła. Niekiedy nie udawało się jej wyjść z domu. Albo nie było powodu, bo zmiany nie cofały się wprawdzie, ale i nie pogłębiały. A maści jej wystarczało, bo zawsze szykowałem duży słoik, jak do kompotu, litrowy. Właśnie na wypadek, gdyby nie mogła przyjść. Żeby miała przyzwoity zapas. Niestety, późną wiosną choroba znowu zaatakowała. Zmiany zaczęły wchodzić na pośladki i posuwać się w górę, od pępka. Już nie dawało się

ukrywać ich pod szerokim pasem do pończoch. Była załamana. Bała się panicznie, że jej przyjaciel to zauważy. Zdaje się, że... hm... Jakby to powiedzieć, żeby panny Dorotki nie zawstydzić... I żebym nie wyszedł na starego świntucha, który tylko o takich rzeczach... No więc, zdaje się, że zaczęła mu odmawiać... wie pani czego. A on źle to znosił. Podobno to mężczyzna obdarzony sporym temperamentem. Do tego egocentryk, neurastenik, w gniewie porywczy. Jakiś artysta. Ściślej mówiąc, malarz. Wiem, bo sporo mi o nim opowiadała. Nie, nazwiska nie wymieniła. Widzi pani, ona miała wielką potrzebę porozmawiania, pozwierzania się. Nic dziwnego. Przez cztery lata nie rozmawiała z nikim oprócz tamtego człowieka. Przez cztery lata nie wychodziła z jego mieszkania. Przecież to można zwariować! Wyobraża sobie pani? Przez trzy lata nie wychodzić z domu i być skazanym na towarzystwo tylko jednej osoby? Nawet dla kochających się ludzi to iście piekielna próba. No i na koniec miała tego dosyć. Zwłaszcza kiedy z tym mężczyzną zaczęło się źle układać. Więc wypłakiwała mi się ze wszystkiego. Jej wizyty – dla naszego obopólnego bezpieczeństwa – powinny trwać pięć minut, a trwały dwie, trzy godziny. Prawdę mówiąc, polubiłem te nasze nocne pogaduszki. Właściwie od czasu, kiedy wyrzucili mnie z mieszkania, i musiałem się tu przeprowadzić, żyłem jak pustelnik. Żona zmarła jeszcze przed wojną, córka z wnukami we wrześniu czmychnęła do Warszawy. Po powstaniu trafiła do Pruszkowa, ale na szczęście wydostała się stamtąd i jest teraz w Skierniewicach, u rodziny męża. Więc żyję tu całkiem sam. Oprócz pacjentów właściwie z nikim nie rozmawiam. A z nią mogłem sobie pogadać ile dusza zapagnie. O wszystkim. O życiu, o tym, co było przed wojną, o książkach. Bo ja mól książkowy jestem. Jak pani sądzi, ile książek przeczytałem? No, niech pani strzela! Mam sześćdziesiąt cztery lata, a czytam od dziesiątego roku życia. No, śmiało! Ile? Eeee... Nie docenia mnie pani, panno Dorotko. Prawie cztery i pół tysiąca. Wiem, bo wszystkie zapisuję w zeszycie. Już trzecim. Ale z kim w tym naszym Kaliszewie można porozmawiać o książkach? Z nikim. Oczywiście, wyjąwszy jakąś modną powieść. Taką, o której papla się w towarzystwie, bo tak wypada. Takie to nawet moje żona nieboszczka czytała. A żeby tak o Platonie albo o Kartezjuszu to już nic z tego. O, z tatusiem pani to się gadało! Bibliotekę w głowie miał. Są o nim jakieś nowe wieści? Żadnych? Tak myślałem. Nie chcę pani martwić, ale ja bym sobie nadziei nie robił. Wiem, wiem, na liście katyńskiej go nie było. Ale sama

pani mówiła, że kartki od niego przestały przychodzić w tym samym czasie, co od tamtych biedaków. A przecież ruscy nie tylko pod Smoleńskiem lasy mają... Tak, z tatusiem pani można było o książkach gadać i gadać. Ale on ciągle te mosty po całej Polsce budował, do Kalisza tylko od wielkiego dzwonu wpadał, więc jak raz na rok się z nim spotkałem, to dobrze. Poznaje z minki panny Dorotki, że dziwi panią, iż rozmawiałem z nią o książkach. Nawet wiem dlaczego. Przez te osiem spotkań – bo tyle ich było – dowiedziałem się o niej więcej niż ktokolwiek inny. O całym swoim życiu mi opowiedziała. Na przykład o pani. Tak, tak – o pani, panno Dorotko. Uszka pani nie mylą. Chociażby o waszej skrytej rywalizacji w szkole. Formalnie zawsze wygrywała ona, prawda? To znaczy – świadectwo miała ciut lepsze. Ale to tylko dlatego, że zachowywała się nienagannie, lekcje wykuwała na blachę, na czas czytała zadane lektury. A pani pokazywała różki, wdawała się w dyskusje, stawiała okoniem. Czy pani wie, że ona bardzo pani zazdrościła? Czego konkretnie? Chociażby tego, że dla pani książki były jak tlen. Że znajdowała w nich pani coś, bez czego życie byłoby puste. Natomiast ona traktowała książki jak falbaneczkę przy sukni. Jak błyskotkę, potrzebną eleganckiej kobiecie wyłącznie po to, by lśnić, że tak powiem, maksymalnym blaskiem. Służyły do brylowania w towarzystwie, robienia dobrego wrażenia, czarowania mężczyzn. Więc niby czytała bardzo dużo, ale te lektury nic w niej nie zmieniały. Pozostawała rozpieszczoną przez ojca panienczką, której w głowie tylko szmatki, dansingi, flirciki i romansiki. Prawdę mówiąc, taką też ją zapamiętałem z moich przedwojennych wizyt w willi jej ojca. A potem wybuchła wojna. Nawet nie przypuszcza pani, jak te lata w ukryciu ją odmieniły. Przychodziła teraz do mnie dojrzała, umęczona kobieta, która wiedziała już, że to, co kiedyś brała za szczęście, było tylko ułudą, znikającą tak szybko, jak bąbelki od szampana. A książki stały się jej głównym pokarmem. Teraz czytała je tak naprawdę. I potrafiła godzinami o nich mówić. Wydaje mi się, że ze wszystkich ludzi, z którymi rozmawiałem o książkach, w niej znalazłem najciekawszego dyskutanta. I chyba już nigdy w życiu ciekawszego od niej nie znajdę... Tak, zbliżyły nas te nocne dyskusje. A, jeszcze coś innego pchało nas ku sobie. Wyobcowanie, jakiego oboje doświadczyliśmy już przed wojną. Właściwie przez większość naszego życia. Bo mnie rodzina mojej żony nigdy do końca nie zaakceptowała. Śmierdziało im to moje plebejskie pochodzenie. Mój teść na moim łaskawym chlebie żył,

ale każdym spojrzeniem dawał mi do zrozumienia, że Jadzia, wychodząc za mnie, popełniła mezalians. Nie wspomnę o jej, pożał się Boże, siostrzyczkach czy kuzynach. Szlachta, psia ich mać! Tyłki gołe, ale w tyłkach pawie pióra! O, przepraszam. Znowu się zapomniałem. Bardzo przepraszam. Ale jak pomyślę o tej Jadzinej rodzinie, to jeszcze teraz nerwy mi puszczają. Co takiego? Spodobało się to pani? Chwała Bogu! Cieszę się, że pannę Dorotkę rozbawiłem. Ale i tak mi wstyd. Może jednak ci Pawiopiórscy mieli trochę racji, wietrząc we mnie prostaka? Co proszę? Na czym polegało wyobcowanie Jodłowskiej? Jak to: na czym? Pani, jej koleżanka, o to pyta? Na tym, że była jednocześnie Żydówką i chrześcijanką. Gdyby pozostała starozakonna, jak jej dziadkowie, przynajmniej pośród Żydów czułaby się jak wśród swoich. Ale jako chrześcijanka nie liczyła się dla nich. Ortodoksyjni Żydzi traktują przechrztów jak umarłych. Zresztą czego miałyby taka Jodłowska szukać wśród starozakonnych? Ona? Wykształcona po europejsku, właściwie stuprocentowa Polka? Jak większość naszych zasymilowanych Żydów gardziła chałaciami i wstydziła się za nich. Że brudni, że ciemni i przesądni. Jej świat stanowili Polacy, chrześcijanie. Tyle że dla większości z nich pozostała Żydówką. Kimś, kto wpycha się tam, gdzie go nie chcą. Dla antysemitów wyznanie nie ma przecież znaczenia. Żyd pozostaje Żydem, nawet gdyby zasiadł na papieskim tronie. Więcej, Żyd zasymilowany, Żyd-chrześcijanin jest gorszy i groźniejszy od starozakonnego. Bo udaje kogoś, kim w ich mniemaniu z definicji być nie może. Więc sama pani widzi, że miała powody czuć się wyobcowana. Jeszcze jeden kieliszeczek? Na pewno nie? A ja sobie jeszcze wleję. Raz się żyje! Voilà! Co proszę? Co tamten człowiek na jej wizyty u mnie? Ależ on o niczym nie wiedział! Wykradała się tu w tajemnicy. Spijała go, a kiedy spał jak zabity, wymykała się z mieszkania. On dużo pił, a sen miał podobno mocny, kamienny. Oczywiście, że dotarcie tu w taki sposób, żeby nikt nie zauważył, nie było proste. To znaczy, kiedy się już znalazła w sadzie, to potem żaden problem. Ale najpierw musiała się do niego przedostać. Zejść schodami z drugiego piętra, przejść przez dziedziniec i wejść do sadu. Jak radziła sobie z furtką? Miała klucz. Ten klucz jej przyjaciel dostał od stróża jeszcze na samym początku wojny. Zapłacił i stróż mu dorobił. Co on tam stróżowi powiedział, że niby do czego mu ten klucz, to ja nie wiem. Ale klucz miał, a ona wiedziała, gdzie go trzyma. Bez klucza nie wydostałaby się przecież do sadu.

Podobno mur taki wysoki, że w życiu by nie przeskoczyła. A brama z sadu na dróżkę to już normalna, niziutka. Przez nią to już mogła przejść. Zwłaszcza że zawsze nosiła spodnie, no bo wiadomo – i przez płot łatwiej w nich przeleźć, i uciekać jakby co. Z powrotem podobnie. Do furtki szło gładko. Ale potem trzeba było przebiec przez podwórze i wejść po schodach na drugie piętro. I tak trafić, żeby się na nikogo nie natknąć. Łatwo powiedzieć! Żeby nie narobić hałasu, zdejmowała buty. I jakimś cudem siedem razy się udało. Za ósmym już, niestety, nie... Tak czułem, że coś złego się stało. I to akurat teraz, kiedy tylko patrzeć, jak to wszystko się wreszcie skończy. Co za pech! Co za pech... Nie, nikogo takiego tu po piętnastym października nie było. Nikt nie dawał do zrozumienia, że wie o jej wizytach, nie żądał pieniędzy za milczenie. No przecież wiem, co mówię. I nikt obcy, podejrzany, się nie kręcił. Ani po piętnastym, ani wcześniej, przez cały ten czas, kiedy przychodziła. Nieee... Gdyby to był jakiś szantażysta, przeniuchałby dokładnie sprawę, przebadał. Nie odpuściłby i mnie. Więc raczej zabił ją jakiś zwykły bandzior. Mało tu takich w okolicy? Pijackie meliny, złodzieje, panienki spod latarni. Gardło człowiekowi poderznąć to dla nich tyle co splunąć. Przecież całe to tałatajstwo nie siedzi grzecznie w domu po godzinie policyjnej. A już oni nie tacy głupi, żeby w środku nocy po Stawiszyńskiej paradować. Tu, przez ogrody chodzą, nad rzeką. Przez kładkę do miasta przemykają. Cichutko, nikt nie widzi. Pewnie napatoczyła się na jednego z nich, a może i na kilku, pieniędzy nie dała, bo i skąd, i skończyło się na nożu w sercu. Tak... O malarzu? Coś więcej? To, co najważniejsze, już powiedziałem. Boże, chyba nie sądzi panna Dorotka, że to on? Nie, niemożliwe! Chociaż... W końcu takie rzeczy dzieją się teraz na świecie, że już nic człowieka nie dziwi. Wszystko popaprane, pokręcone, podwracane. Mózg drętwieje! Barbarzyństwo nazywa się teraz kulturą, nihilizm – idealizmem, kanibalizm – humanizmem. Dobrze sobie! No ale nie pora na filozofowanie. A propos, a co się z nią stało? Mam na myśli ciało. Co proszę? Lepiej, żebym nie wiedział? Hm... Może i ma pani rację. Po co sobie umysł obciążać? Zwłaszcza faktami dokonanymi. Czasu przecież cofnąć nie można. Co już się wydarzyło, to się nie odstanie. Przekłęta wojna. Tamta w porównaniu z tą to było ciasteczko z kremem. Dobrze, że Jadzia tego nie dożyła... Naprawdę? Już pani idzie? Szkoda, miło się z panią gawędziło. Będę trzymał kciuki za poprawę. Nie wolno tracić wiary! Gdyby każdy z nas w coś tam nie wierzył, drzewa uginałyby się od samobójców.

A jakoś się nie uginają. I niechże panna Dorotka przestanie się obwiniać o śmierć Katarzyny. Słyszysz pani? Zaraz, pomogę nałożyć kożuszek. Proszę się dobrze zapiąć, bo mróz srogi. Musi pani na siebie uważać. O przeziębienie łatwo, a pani dopiero co uciekła kostusze spod kosy. Ach, prawda, zapomniałem! Tyle co zwykle. Dziękuję uprzejmie. Ja także życzę panie Dorotce Wesołych Świąt. Obyśmy następne – mam na myśli Wielkanocne – spędzili już bez tych uciążliwych gości. Do widzenia!

[195](#) (niem.) bandycki okręg.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Niedziela, piętnastego grudnia

Zegar wybił piątą. Zrozumiał, że już nie zaśnie. Nerwy nie dadzą. Był święcie przekonany, że zawsze i wszędzie potrafi trzymać je na wodzy, a tu, proszę – brykają sobie, jak chcą. No ale faktycznie, miał powód do niepokoju. Żyrewicz nie był dobrym kandydatem do wykonania tego rozkazu. Ale jedynym. Trzeci Poziom, oprócz Żyrewicza i jego samego, tworzyło jeszcze dwóch ludzi – Maciek Kowalski i Franek Szopa. Najlepiej do odwalenia tej roboty nadawałby się Franek, ale od tygodnia leżał powalony przez gripę. Kowalski też byłby lepszy, bo spokojny, opanowany, mający oczy wokół głowy. Typ zimnego drania. Niestety, do tej sprawy okazał się za miękki. Kiedy usłyszał, o co chodzi, odmówił. Cóż, nie każdy malarz ma w sobie ducha Eligiusza Niewiadomskiego. Chociaż jako naczelny, jeśli można się tak wyrazić, plastyk Legionu Kowalski był niezastąpiony. Zaprojektował ich przyszłe mundury, symbole i godła, dbał o znakomitą oprawę artystyczną „Sztuki i Czynu”. Do takich rzeczy miał łeb, trzeba przyznać. Szkoda, że tylko do takich. Więc pozostał Żyrewicz. Bo tę sprawę mógł załatwić tylko ktoś z Trzeciego Poziomu – tajnej organizacji w organizacji, o której istnieniu nie mieli pojęcia ani pozostali członkowie Legionu, ani Topór i jego przełożeni.

Po omacku wyciągnął rękę i zapalił nocną lampkę. Chwilę pomrukał, by przyzwyczaić oczy do światła, po czym odrzucił pierzynę, uniósł się i spuścił nogi z tapczanu. Plan, choć stworzony szybko, był prosty i precyzyjny, więc przynajmniej teoretycznie Żyrewicz nie powinien mieć kłopotu z jego wykonaniem. Odnalazłszy stopami domowe pantofle, wstał i drżąc od chłodu, doczłapał do konsoli, na której stała karafka z wodą. Zawsze jednak mogły zajść jakieś nieprzewidziane okoliczności. Wypił pół szklanki i podszedł do gramofonu. Na szczęście z faktu, że mogły, wcale nie

wynikało, że musiały. Po krótkim szperaniu pomiędzy płytami wyciągnął *V Symfonię* Beethovena. Więc nie ma sensu martwić się na wyrost, na pewno wszystko poszło dobrze.

Nastawiwszy płytę, wrócił do łóżka, zagrzebał się w ciepłej pierzynie i zgasił lampkę. Uwielbiał słuchać muzyki właśnie w ten sposób – w kompletnych ciemnościach. Wyobrażał sobie, że podobne musiały panować przed stworzeniem świata, i spośród nich – tak jak tu, u niego frazy Beethovena, Bacha czy Mozarta – wytryskały morza, lądy, rośliny, zwierzęta, a na koniec najwspanialszy i najbardziej tajemniczy twór Natury – człowiek. Człowiek i jego myśl. Ta ostania także rodzi się w absolutnej ciemności, w samym nieprzeniknionym jądrze bytu. Jakże wspaniale byłoby tam zanurkować i poznać tajemnicę jej poczęcia! Już, już szykował się do skoku w tę czarną studnię istnienia, kiedy pokój wypełniły pierwsze piorunujące dźwięki *Allegro con brio*. Poczł przyjemny dreszcz, trochę podobny do tego, jaki zawsze przenikał go na widok błyskawic na nocnym niebie. Uwielbiał je oglądać. Może zresztą dlatego, że jako dziecko panicznie się ich bał? Ciemności zresztą też. We wczesnym dzieciństwie musiał spać przy zapalanej lampie, a później, kiedy trochę podrośł, światło wprawdzie gasił, ale za to odsłaniał okna. Teraz tłumaczył sobie ów dziecięcy lęk instynktownym wyczuciem, że życie to wędrówka przez nieznaną, pogrążony w mroku las. Wtedy był oczywiście za mały, by się zmierzyć z podobnym wyobrażeniem, więc chronił się przed nim w bezpieczną jasność. Dziś nie zasnąłby, gdyby nie zgasił światła i nie pozaciągał porządnie zasłon. A jeśli wciąż trochę się ciemności obawiał, to z całkiem innego powodu. Po prostu zauważył, że kiedy smolista maż nocy odgradza go od wszelkich przedmiotów, coś niedobrego zachodzi w jego wyobraźni. Nieskrępowana natarczywą obecnością materii, zaczyna pracować znacznie śmieiej i podsuwa pomysły, które za dnia nigdy by się w niej nie załęgły. Przekonuje, że w życiu nie można być minimalistą, że trzeba porywać się wyłącznie na rzeczy wielkie, nawet jeśli z pozoru wydają się nieosiągalne. Tumani, że przeznaczeniem człowieka jest rzucać wyzwanie rzeczywistości. Kto tego nie pojmie, szepce, nie jest człowiekiem, a jedynie człowieczkiem, żalósną karykaturą człowieka, mizernym duchowym karłem. I na dowód podsuwa przykłady Aleksandrów, Cezarów, Karolów Wielkich. Co gorsza, jest w tym judzeniu piekielnie skuteczna. Nic więc dziwnego, że w przedsennej malignie wiele razy dawał się porwać olśniewającym

wizjom, snuł arcyodważne plany, marzył, marzył i jeszcze raz marzył. A rano, po przebudzeniu... No właśnie – rano za nic nie mógł uwierzyć, że to wszystko roiiło mu się naprawdę. Szczypał się w rękę, przecierał ze zdumienia oczy i długo się zastanawiał, jak to możliwe, że zaledwie siedem godzin wcześniej traktował te poronione brednie całkiem serio. I niby śmiał się z samego siebie, podrwiwał z własnej głupoty, ale w głębi ducha wstydził się i przeżywał coś w rodzaju intelektualnego kaca.

Huknął ostatni potężny akord *Allegro con brio* i zapadła cisza – ogłuszająca i martwa, niczym po salwie plutonu egzekucyjnego. Z tej grobowej ciszy wynurzył się nagle baron i przejętym głosem zaczął mu mówić o człowieku z Mariańskiej. Dzień wcześniej, syczał, został ich znajomy aresztowany przez Kripo. Wieczorem. Zabrali faceta w bamboszach i szlafroku, nawet płaszcz nie pozwolili mu założyć. A już rano, mocno pobitego, zakrwawionego, ślaniającego się na nogach, odwieźli z powrotem do domu. Dziwne, prawda? Lecz co ważniejsze – odwiozło go już nie Kripo, lecz Gestapo. Wnioski nasuwały się same: dla ratowania własnej skóry ich wspólny znajomy zgodził się pójść na współpracę. Nie wymagało tłumaczenia, jakie może to mieć konsekwencje. Pozostawało żywić nadzieję, że w czasie tego pierwszego przesłuchania gość powiedział tylko niewielką część tego, co wie. Skoro tak go skatowali, musiał się trzymać długo i po prostu nie miał czasu ani siły na wyśpiewanie wszystkiego. Zresztą na razie chodziło im zapewne o współników od sprawy z konserwami. Jeśli ich wydał, Niemcy będą mieć robotę na kilka dni, ale potem zażądają kolejnych informacji. Pod żadnym pozorem nie można dopuścić do tego, żeby facet je przekazał. Trzeba działać natychmiast.

Otworzył oczy, a twarz barona rozplynęła się w ciemnościach. Zapalił lampkę i wstał, żeby przełożyć płytę na drugą stronę. Ciekawe, czy tego starego pedała również zzerają nerwy? Czy również nie może spać i przewraca się w łóżku z boku na bok? Albo czy chodzi w kółku po pokoju? Pewnie tak, w końcu stawką jest jego głowa. Ale na osłodę ma obok jakiegoś ślicznego chłopaczka. I w jego ramionach zapomina o tym, na co, przynajmniej w tym momencie, nie ma już żadnego wpływu. W sumie ma rację.

Położywszy się i znów zgasiwszy światło, postanowił nie myśleć już dłużej o tym, co wczoraj wieczorem powinno się było wydarzyć pod Mostem Warszawskim. Jeszcze trochę maglowania tego tematu, a chyba zacnie mu

odbijać. Na szczęście z głośnika gramofonu jak na zawołanie zaczęło się sączyć spokojne *Andante con moto*. Natychmiast odegnął nękające go niepokoje i poddał się wolno falującej melodii. Kołysany jej usypiającym rytmem, po chwili zapadł w drzemkę, ale nie na długo. Ocknął się, gdy pokój ponownie wypełniła cisza. Od strony gramofonu dobiegały powtarzające się w kółko ciche trzaski. Wstał, schował płytę do koperty i wyciągnął kolejną, zawierającą III i IV część symfonii. Zakopawszy się kolejny raz pod pierzyną, nie zgasił już światła. Monumentalne, miarowe takty *Scherzo-Allegro* zadudniły niczym wzywające do czynu werble. Tak, wreszcie kończy się gadanina i pisanina, a zaczyna prawdziwa robota. Trochę szkoda, że tym pierwszym będzie, niestety, jakiś cwaniaczek, a nie ktoś naprawdę ważny; do tego Polak, nie Niemiec, ale mówi się trudno. Ten człowiek nie może pozostać przy życiu ani godziny dłużej. Gdyby wydał Niemcom Uszyckiego, ten z kolei doprowadziłby do niego i organizacji. Bo raczej wątpliwe, że taki perfumowany pedałek wytrzyma bicie. Nie musieliby go nawet bić, wystarczy, że powiedzieliby, co robią z takimi jak on w obozie... Śpiewałby jak ministrant na spowiedzi. No i głupio wyszło, że Żyrewicz musiał się posłużyć nożem. Nie można było inaczej. Przecież to nie był oficjalny wyrok, wydany przez państwo podziemne, ale prywatna sprawa Legionu. Należało rzecz wykonać w taki sposób, by nikt nie podejrzewał, że ich organizacja ma z tym cokolwiek wspólnego. Inaczej przełożeni by się wściekli. Za taką samowolę – jak nic sąd wojenny! Więc wpadł na pomysł, by rzecz sprytnie ustylizować na mord o charakterze czysto kryminalnym. Wtedy nikt ich z nim nie skojarzy. Ale w takim razie pistolet odpadał, musiał być koniecznie nóż. Najlepiej sprężynowy majcher, taki, jakiego lubią używać bandziory.

Westchnąwszy, przewrócił się na drugi bok pośród skrzypień, jęków i rżężeń starego, tu i ówdzie pozapadanego tapczanu. Najwyższy czas, żeby kupić nowy. Nie miał ochoty torturować swoich kości. Jak choćby Żyrewicz. Ten nie tylko z powodu biedy sypiał na wypchanym słomą sienniku. Powiadał, że ciało trzeba poddawać nieustannym ćwiczeniom, by nie zawiodło w chwili próby. Wczoraj został takiej próbie poddany i oby wyszedł z niej zwycięsko! Żyrewicz... Cóż, jako redaktor naczelny „Sztuki i Czynu” sprawiał się całkiem dobrze. W długich dyskusjach, jakie odbywali z chłopakami z Drugiego Poziomu, mało kto potrafił go przegadać. Ale na wieczorkach u Krysi Pałaszówny szło mu już znacznie gorzej. Zdaje się,

że on się durzy w Dorocie. Prawdopodobnie to właśnie dlatego w jej obecności jest zawsze dziwnie podniecony, nie potrafi myśleć logicznie i sensownie argumentować. W efekcie nigdy nie udaje mu się jej przegadać. Zawsze prędzej czy później Dorota przypiera go do muru i zawsze ma ostatnie słowo. Biedny Janek...

Wskazówki zegara zeszły się na wpół do szóstej. Cholera, ależ dłuży się ten czas! Przekręcił się z powrotem na prawy bok i sięgnął po leżącą na stoliczku biografie Napoleona, którą Maciek Kowalski wcisnął mu kilka dni wcześniej. Otworzył książkę, przerzucił kilka kartek i zatrzymał wzrok na przypadkowo wybranym akapicie. *„Napoleon Bonaparte wurde am 15 August 1769 als Sohn des Carlo Maria Bonaparte”* – Napoleon Bonaparte piętnastego sierpnia tysiąc siedemset sześćdziesiątego dziewiątego roku, jako syn Carla Marii Bonaparte – *„und seiner Gattin Letizia in Ajaccio auf Korsika geboren”* – i jego małżonki Letycji, w Ajaccio na Korsyce się urodził. Uff, przeklęty sztywny szyk z orzeczeniem na końcu! W zdaniach złożonych, zanim człowiek doszedł do czasownika, który czynił jasnym całe zdanie, często zdążył już zapomnieć, co było wcześniej. Jak te szwaby mogą gadać ze sobą w taki sposób? Niepojęte! Westchnął ostentacyjnie, jakby w pokoju był jeszcze ktoś oprócz niego, i czytał dalej. *„Man darf es als wahrscheinlich ansehen”* – można uznać za niewątpliwe – *„dass die Bonapartes germanischen Ursprungs waren”* – że Bonapartowie niemieckiego pochodzenia byli – *„dass sie jenem stolzen nordischen...”. –*

Hm, co znaczy *jenem stolzen*? Do diabła, kiedyś wiedział. Zaraz, zaraz, *stolzen, stolzen, stolzen...* Zresztą nieważne! A więc – *„...dass sie jenem stolzen nordischen Herrenvolke angehörten”* – że należeli do nordyckiego narodu panów. No, no, niezłe! Ale po panu Philippie Bouhlerze można się tego było spodziewać. *„Ein Graf Wilhelm Bonaparte, der als erster diesen geschichtlichen Namen trug”* – hrabia Wilhelm Bonaparte, który jako pierwszy to historyczne nazwisko nosił – *„wanderte 1264 nach Sarzana im Gebiet der Republik Genua”* – przywędrował w tysiąc dwieście sześćdziesiątym czwartym do Sarzany na terytorium Republiki Genueńskiej – *„nachdem er wegen seines Kampfes gegen die Welfen als Rebell geächtet und aus Florenz verbannt worden war”* – po tym, jak on w czasie jego walk przeciwko Gwelfom jako rebeliant skazany i z Florencji wygnany został. *„Knapp zweihundert Jahre später siedelte sich die Familie in Ajaccio”* – dwieście lat później osiedliła się rodzina w Ajaccio – *„wo sie bis zum Ende*

des achtzehnten Jahrhunderts verblieb” – gdzie do końca osiemnastego wieku pozostała.

Nie, nie miał ochoty na czytanie podobnych bzdur. Zamknął książkę i odłożył ją na stolik. Ale po chwili jego wzrok zjechał na jej pomarańczowy grzbiet, przystrojony złotym, cesarskim orłem. „...*die Bonapartes germanischen Ursprungs waren...*”. Trzeba jednak przyznać szwabom, że nie wahają się myśleć totalnie. Nawet z Napoleona zrobili swojego krajana. I nie ulega wątpliwości, że gdyby wygrali wojnę, za pięćdziesiąt lat wszyscy święcie by wierzyli, że Bonaparte naprawdę pochodził od jakiegoś tam grafa.

Zegar wybił szóstą. Nie ma sensu gnić dalej. Wstał, wciągnął na bluzę od piżamy stary sweter, którego używał przy różnych pracach fizycznych, a na spodnie – ciepłe dresy. Popielnik kaflowego pieca, jak zwykle, był pełen. Ostrożnie wybrał zeń popiół, krzywiąc się z niesmakiem na widok szarej mgiełki unoszącej się w powietrzu, szybko ogarniającej twarz i wciskającej się do nosa. Nie znosił się brudzić i sytuacje, w których nie można było tego uniknąć, irytowały go do żywego. Skończywszy, wyniósł węglarkę na lodowatą klatkę schodową, skąd codziennie zabierał ją syn stróża. Chłopak za dodatkową opłatą chętnie wybrałby także z pieca, a nawet napalił, ale on przezornie wolał, żeby nikt obcy nie kręcił mu się po mieszkaniu. W tej pożydowskiej kamienicy – pożydowskiej w podwójnym znaczeniu, to znaczy nie tylko skonfiskowanej Żydowi, ale i zamieszkannej przed wojną wyłącznie przez Żydów – gnieździła się obecnie ludzka zbieranina na ogół nie najlepszej kondyty: biedota z przedmieść, niegdyś wegetująca w suterrenach, chłopci wykwaterowani z gospodarstw zasiedlonych przez folksdojczów, różne pijaczki i niebieskie ptaki. Lepiej, żeby nie wiedzieli, że w niepozornej garsonierze na drugim piętrze znajdują się takie cudenka. Jeszcze by któregoś z nich zaswędziała rączka. Na pewno by zaswędziała. Więc rozsądniej było się poświęcić i samemu wybierać ten cholerny popiół.

Postawiwszy węglarkę w kącie pod schodami, dokładnie otrzepał dłonią całe ubranie, przeczesał włosy i dopiero wtedy wrócił do mieszkania. Teraz kolejna czynność, której szczerze nie cierpiał – rozpalanie ognia. Na szczęście tym razem poszło dość sprawnie. Oczekawszy, aż płomień porządnie ogarną drewno, położył na nim kilka bryłek węgla, zdjął z siebie wszystko z wyjątkiem spodni od piżamy i poszedł do łazienki.

Żółtofioletowy ogień, ukryty za okrągłym okieneczkiem junkersa, zasyczał głośno po odkręceniu kurka z ciepłą wodą. Dygocząc z zimna, szybko się umył, starannie wytarł puszystym ręcznikiem (imieninowy prezent od barona!) i wciągnął ciepłą podkoszulkę z długim rękawem. Potem zabrał się za golenie. Nigdy by sobie nie pozwolił wyjść z domu z zarostem, w niestarannym ubiorze lub w niewypolerowanych butach. Zwłaszcza że od rozpoczęcia okupacji dbanie o nienaganny wygląd zyskało nowe uzasadnienie. Przed wojną elegancja była jedynie oznaką dżentelmenerii, dowodem przynależności do pewnej sfery. Teraz stała się również swoistym orężem, dowodziła, że zachowałeś człowieczeństwo, nie dałeś się szkopom stłamsić, zgnoić, sponiewierać. Dlatego przywiązywał do niej jeszcze większą wagę niż niegdyś. Co nie znaczy, że chodził po mieście wystrojony jak na bal do księcia Radziwiłła. Niemcy nie cierpieli, kiedy jakiś Polak wyglądał lepiej od nich, potrafili z takiego na ulicy, przy ludziach, zderzyć płaszcz lub zmusić go do wyskoczenia z butów. Więc żadnych białych szalików, jedwabnych krawatów ani goździków w butonierce, a jeśli doskonałej jakości garnitur – to tylko w szaroburym, niepozornym kolorze i najlepiej ukryty pod podniszczonym płaszczem albo starą jesionką.

Ogoliwszy się i natarłszy skórę wodą kolońską, nasmarował całą twarz tłustym, zalecanym na mróz kremem. Wrócił do pokoju i pogwizdując, ubrał się bez pośpiechu. Potem poszedł do kuchni, otworzył drzwiczki kredensu i zastanowił się, co by tu zjeść na śniadanie. Biały ser? Nie, jadł go wczoraj. Chleb z marmoladą? Też wczoraj, na kolację. Niech będzie jajecznica na kielbasie.

Kiedy godzinę później, po długim dobijaniu się do drzwi, wpadł do malutkiego pokoiku wynajmowanego przez swojego zastępcę, ledwie go poznał. Żyrewicz wyglądał na kogoś pogrążonego w głębokiej malignie. Miał na sobie wczorajsze ubranie, twarz bladą, włosy potargane. Drżał jak galareta. Mimo prób przywołania go do porządku, nie był w stanie złożyć porządnego raportu. Jąkał się, bełkotał bez sensu, oczka wciąż uciekały mu na boki niczym stuprocentowemu wariatowi. Oczywiście, spodziewał się, że wykonanie takiego rozkazu nie spłynie po Janku jak woda po kacze; podobno żołnierze na froncie też przeżywają boleśnie swój pierwszy raz. Zwłaszcza jeśli widzieli swoją ofiarę z bliska. A Janek nie tylko ją widział – on doskonale wiedział, kim ona jest. Ale żeby dostać aż takiego dygotu? Nie sądził, że to bierze człowieka aż tak.

Ze stojącego w kącie izdebki emaliowanego dzbanka wlał do miski trochę wody i zmusił Żyrewicza, by ten przemył sobie twarz. Kiedy Janek, prychając, automatycznie wypełniał polecenie, odpalił maszynkę spirytusową i postawił na niej blaszany kubek z niedopitą kawą zbożową. Jeśli to go nie otrzeźwi, pomyślał z niepokojem, trzeba chyba będzie dać mu po pysku albo zmoczyć w wodzie cały łeb. Na szczęście, trochę pomogło. Wziąwszy kilka łyków kawy, Żyrewicz zaczął opowiadać. Wprawdzie nieskładnie, nie po kolei, ale jakoś udało się złożyć relację w całość i powoli, powoli odtworzyć przebieg zdarzeń. Okazało się, że wszystko poszło nie tak. Tamten zjawił się wprawdzie sam i niczego nie podejrzewał, ale gdy Janek przystawił mu do brzucha nóż i zwolnił sprężynę, ostrze przebiło kozuch, lecz odbiło się od klamry paska do spodni – z takim impetem, że nóż wyskoczył mu z dłoni i upadł na śnieg. Bogu dzięki, że tamten nie bardzo zrozumiał, co się dzieje. W końcu było ciemno, widzieli jedynie swoje sylwetki na tle śniegu, a poznali się po umówionym hasle. Przerażony Żyrewicz błyskawicznie podniósł nóż i na oślep skosił nim ciemność. Nie trafił. Tamten już skapował, co jest grane, ale na swoje nieszczęście poślizgnął się, próbując odskoczyć. Żyrewicz spróbował jeszcze raz. Tym razem udało mu się zahaczyć o coś końcem noża. Tamten zacharczał, zaświstał i złapał się za gardło. Wtedy Żyrewicz zamachnął się z całej siły i wbił mu nóż w zęby – czuł wyraźnie jak ostrze gruchocze sztuczną szczękę i przebija podniebienie. Oczywiście i to pchnięcie nie okazało się śmiertelne. Wtedy, wściekły, wyszarpnął nóż, złapał tamtego lewą ręką za czuprynę, po czym, po raz ostatni, zebrawszy wszystkie siły, wpakował mu ostrze w oko – aż po samuteńką rękojęść! Dopiero wtedy facet osunął się jak kłoda. Zziajany Żyrewicz natychmiast wziął nogi za pas. O dokumentach tamtego na śmierć zapomniał. Sam nie wiedział, jakim sposobem dotarł do domu. Tu się okazało, że cały jest upaprany krwią. Podobno przez pół nocy próbował sprać ją z płaszcza.

Wysłuchawszy relacji Janka, zapalił papierosa i przez dłuższą chwilę zaciągał się w milczeniu, przypatrując się widocznej za oknem brudnej ścianie sąsiedniej kamienicy. Potem przeniósł wzrok na Żyrewicza i ze zdumieniem dojrzał w jego oczach lęk psa, który zawiódł swego pana i pokornie czeka na wymierzenie kary. A więc ten biedak obwinia siebie o to, że wszystko odbyło się inaczej, niż zaplanowali! Najbardziej gnębią go, zdaje się, te dokumenty. Skrupulant! Naiwny idealista! Chciałby, żeby wszystko w życiu przebiegało dokładnie tak, jak wcześniej ułożył sobie w głowie. Ten

chłopak źle skończy i zaiste nastąpi prawdziwy cud, jeśli nie pociągnie za sobą innych. Wziął głęboki oddech i uśmiechnąwszy się przyjaźnie, oświadczył, że Żyrewicz spisał się wprost znakomicie. Po prostu świetnie. Zdrajca przecież nie żył, czyli główny cel został osiągnięty. Strat własnych nie było. A dokumenty? Chrzanić dokumenty! Przecież panowie z Kripo i tak pokazaliby trupa koleżkom z Gestapo, a ci szybko by go zidentyfikowali. Więc to bez znaczenia. Niemcy będą przekonani, że chodziło o porachunki rzezimieszków, a nóż w oku upewni ich o tym znakomicie. W podobny sposób mógł zaprawić nieboszczyka tylko ktoś ze światka przestępczego, ktoś, kto miał z nim mocno na pieńku. Zatem poszło doskonale. Nawet lepiej, niż planowali. Wstał, przybrał oficjalną minę, i – już nie jako przyjaciel przyjacielowi, lecz jako dowódca podwładnemu – złożył Żyrewiczowi gratulacje.

Ku jego zaskoczeniu, wyciągnięta w kierunku tamtego ręka zawisła w powietrzu. Żyrewicz spoglądał nań tępym wzrokiem krowy chorej na kołowaciznę. Co gorsza, znowu zaczął dygotać. A do niego dotarło, że wcale nie z powodu rzekomego spartolenia zadania. Po prostu chłopak wciąż nie potrafił strawić faktu, że zabił człowieka. Cholera, niedobrze. Trzeba coś z nim zrobić. Ale co? Przysunął krzesło bliżej, usiadł, chwycił w dłonie dłoń kolegi i spoglądając w puste, nieprzytomne oczy, przypomniał mu, że jedynie wykonywał rozkaz. Likwidował niebezpiecznego zdrajcę, którego zeznania mogły doprowadzić Gestapo do ich organizacji. W końcu jest wojna, tłumaczył, zabijanie wroga to normalna rzecz. Jak Polska długa i szeroka wszyscy chłopcy marzą o tym po dniach i nocach. Większość kończy jedynie na marzeniach. A on dostąpił zaszczytu. Wielkiego zaszczytu. I to jako pierwszy z ich organizacji. Zatem nie powinien się gryźć, a odczuwać dumę. Swoim czynem ocalił wielu Polaków.

Żadnego efektu. Jak grochem o ścianę. Do diabła, co tu wymyślić? Przecież nie mógł Żyrewicza zostawić w takim stanie. Jeszcze chłopak robi jakieś głupstwo i co wtedy? Wstał i zaczął spacerować po pokoiku, medytując nad wyjściem z sytuacji. A może spowiedź? Żyrewicz w dzieciństwie służył do mszy, później działał gorliwie w Sodalicii Mariańskiej. Jego wiara była niewątpliwie szczerą i bezgraniczną. Więc jeśli nie pomoże mu Pan Bóg, a raczej ksiądz, to już chyba nikt i nic.

Podszedł zdecydowanym krokiem do drzwi, chwycił zawieszoną na wbitym w nie gwoździu kurtkę, podszedł do Żyrewicza i rzucił mu

ją na kolana.

– Ubieraj się!

Przez całą drogę do kościoła, którego wieża raz po raz wyskakiwała spoza ścian jednopiętrowych kamieniczek, wznosząc się ponad ośnieżonymi dachami domków i warsztatików, nie zamienili słowa. Kiedy dotarli na plebanię, kazał poczekać Żyrewiczowi przed domem, a sam wszedł do środka, modląc się o zastanie księdza Olszewicza, kapelana Legionu. Nie chciał, żeby Żyrewicz spowiadał się przed innym, niewtajemniczonym w ich sprawy klechą, który nagada mu jeszcze nie wiadomo czego i zamiast uciszyć nękające chłopaka wyrzuty sumienia, jeszcze bardziej je rozpali. Na szczęście ksiądz Olszewicz był na miejscu. Poinformowany, o co chodzi, bez słowa zarzucił na plecy długi, czarny płaszcz i zdjął z gwoździa olbrzymi klucz od zakrystii.

Echo odbijało głośno ich stawiane na kamiennej posadzce kroki, gdy maszerowali przez pogrążoną w półmroku świątynię w stronę skrytego w ciemności konfesjonahu. Usiadł w oddalonej o kilkanaście kroków ławie i czekał cierpliwie, aż Żyrewicz wyzna, co go gnębi. Trwało to dosyć długo – na tyle długo, że w pewnej chwili zaczął się niecierpliwić. Co on tam historię życia opowiada? Wyznaje wszystkie grzechy od kołyski? Bogu dzięki, wreszcie głos zabrał Olszewicz. W pustej świątyni jego głośny szept niósł się tak wyraźnie, że słyszał go nawet tutaj. Najpierw pochwalił Żyrewicza za to, że ma wyrzuty sumienia. To dobrze, bardzo dobrze, to znak, że jest bogobożnym człowiekiem, który traktuje serio naukę Kościoła. Nie wolno mu jednak myśleć wyłącznie o własnym zbawieniu i zapominać o bliźnich. A ci bliźni przeżywają właśnie istną rzeź niewiniątek. Prawdziwemu chrześcijaninowi nie wolno pozostawić ich na łasce i niełasce Herodowych siepaczy. Byłoby to skrajnym egoizmem, czyli grzechem wbrew pozorom znacznie większym od jednorazowego złamania piątego przykazania. Świadome wzięcie na siebie winy po to, by ratować innych, jest niewątpliwie postępkem dramatycznym i mocno problematycznym, ale przez to właśnie pięknym i wielce szlachetnym. Nie należy zatem powątpiewać, że Pan Zastępów sprawiedliwie osądzi taki czyn na Sądzie Ostatecznym. Najcięższym grzechem, jakiego może się dopuścić chrześcijanin, jest właśnie brak zaufania do Stwórcy. Tylko tego grzechu Pan Bóg nie wybacza. Inne to w gruncie rzeczy błahostka.

Odetchnął. No, to powinno pomóc Żyrewiczowi zebrać się do kupy.

Chyba byłoby też dobrze ująć mu teraz trochę obowiązków, wysłać na coś w rodzaju urlopu. Odpocząłby sobie i zebrał siły. A może wręcz przeciwnie, zawahał się, może właśnie zawalić go robotą? Zająć czymś mało niebezpiecznym, ale czasochłonnym, żeby nie miał ani chwili na myślenie? Tak, to chyba lepszy pomysł. Trzeba mu szybko coś stosownego wynaleźć.

– *Ego te absolvo!*¹⁹⁶

Drgnął, jakby słowa księdza skierowane były do niego. Zaraz potem rozległy się – i natychmiast odbiły echem od niknącego w mroku sklepienia – trzy głośne stuknięcia. Kiedy wybrzmiały do końca i świątynię na powrót wypełniła cisza, nie mógł się oprzeć niepokojącemu wrażeniu, że przypominały oddane w podziemiach strzały z broni ręcznej.

¹⁹⁶ (łac.) Odpuszczam ci.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Poniedziałek, osiemnastego grudnia

Choć zmierzchające niebo jeszcze pozostawało jasne, tu i ówdzie lśniły już na nim pojedyncze gwiazdy, mikroskopijne niczym dziurki po nakłuciu szpilką. Uważając, żeby się nie poślizgnąć na porowatym lodzie, szła dróżką wspinającą się w górę zaoranego stoku. Do niedawna istniał tu rozległy siedmusetletni kirkut. Jako młoda dziewczyna często nań przychodziła. Spacerując między szczybiącymi horyzont macewami, lubiła się wpatrywać w tajemnicze rysunki widniejące na pociemniałych ze starości piaskowcach. Jedne przedstawiały galopującego jelenia, inne lwa, jeszcze inne stojące obok siebie księgi albo dwie rozłożone dłonie. Intrygowało ją bardzo, co symbolizują. Kiedyś zapytała o to Romkę, ale ta, wyraźnie zirytowana, wzruszyła tylko ramionami: a niby skąd ma wiedzieć, co symbolizują? Postanowiła więc zwrócić się z tym do kogoś innego, ale co sobie o tym przypominała, to akurat w pobliżu nikogo takiego nie było, a kiedy już się pojawiał, całkiem wylatywało jej to z głowy. Zresztą nie widziała powodu do pośpiechu, wydawało się, że jeszcze zdąży zapytać i o te nagrobki, i o wiele innych interesujących spraw. Na przykład o Talmud i komentarze do niego. Któż mógł wtedy przewidzieć, że już za kilka lat łatwiej będzie w Kaliszu o Czerkiesa lub Kałmuka niż o Żyda. I że po kirkucie nie zostanie ani śladu. Bramę wjazdową oraz dom pogrzebowy Niemcy rozebrali, a macewy wyrwali z ziemi i wykorzystali do umocnienia brzegów Kanału Rypinkowskiego oraz wzniesienia murku przy kościele franciszkanów. Pojedyncze egzemplarze grobowych płyt wykradli mieszkańcy okolicznych domków; ułożone dla niepoznaki niemy rewersem ku górze służyły teraz za progi, stopnie oraz płyty chodnikowe. A tutaj – dosłownie nic. Patrząc na ten smutny ugór, ciągnący się prawie do samej Siemens-strasse, nikt by się nie domyślił, że pod przykrywającym go skromnym całunem śniegu

leży trzydzieści kilka pokoleń kaliskich kupców, rzemieślników, właścicieli księżących mennic, młynów i stawów, rabinów, talmudystów, lekarzy, nauczycieli, fabrykantów. Zresztą o to właśnie Niemcom chodziło. Żeby nikt się nie domyślił. Czy aby tylko Niemcom?

Poczuwszy uderzenie ostrego podmuchu, odwróciła twarz, choć tak naprawdę obawiała się nie tyle mroźnego wietrzyku, ile niemego krzyku bijącego z tej posępnej, zaśnieżonej pustki. Nie miała dość sił, żeby go słuchać. Od początku czuła się winna temu wszystkiemu, co Niemcy robią z Żydami, a świadomość, że nie może w żaden sposób w tym przeszkodzić, nie łagodziła wyrzutów sumienia. Wśród wielu rodzajów win jest bowiem i taka, która bierze się z bycia świadkiem zbrodni, z oglądania jej na własne oczy. A nawet tylko ze słyszenia o tejże zbrodni, dokonującej się gdzieś dalej. I kto wie, czy ta wina nie jest znacznie dokuczliwsza od tamtych, zrodzonych z czynnego udziału w mordzie. Bo jej się nie da odpokutować. Po prostu nie ma takiego sposobu. No, chyba że się jest poetką, jak Anna. Jeśli Anna od prawie trzech lat nie napisała wiersza o tematyce niezakotwiczonej w Starym Testamencie, to nie dlatego – a przynajmniej nie tylko dlatego – że interesowały ją wyłącznie opowieści o charakterze archetypu. Gdyby chodziło wyłącznie o to, mogła przecież sięgać do mitologii greckiej lub rzymskiej, ewentualnie – o ile nie uznawała za konieczne, by opowieść znał każdy wykształcony Europejczyk – do mitologii łotewskiej. Do tej ostatniej odwoływała się zresztą przez długi czas, dopóki, ku swej rozpaczy, kilku wierszy z tego cyklu nie ujrzała w wydawanym w Rydze faszystowskim periodyku literackim. Okazało się, że bez jej wiedzy i zgody wysłał je tam Nikolajs. Towarzyszący im redakcyjny komentarz, w którym najczęściej powtarzało się odmieniane przez wszystkie przypadki słowo: „Naród”, czynił z niej wyznawczynię ideologii łotewskich nacjonalistów. Jak było do przewidzenia, list ze stanowczym protestem przeciwko takiej interpretacji jej poezji, który wściekła Anna natychmiast wysłała do redakcji, nigdy nie doczekał się publikacji. Ale od tego czasu jej utwory działały się wyłącznie w starożytnej Palestynie. Był to niewątpliwie rodzaj pokuty za masowy mord na Żydach, w którym wzięło udział wielu Łotyszy, także Nikolajs.

Ostry wietrzyk znów wymierzył jej policzek. Przyśpieszyła kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się u Biedronki i ogrzać szklanką herbaty. To właśnie Biedronka ją zastępowała podczas jej choroby. Chociaż „zastępowała”

to zbyt dużo powiedziane; przecież nie znała jej kontaktów, nie miała pojęcia ani od kogo otrzymuje informacje, ani gdzie je odbiera. Więc co tam mogła przygotować? Najwyżej garść plotek. Tych to pewnie pani Atamanowicz zebrała znacznie więcej. Ale trudno, na początek dobre i to. W końcu od czegoś trzeba zacząć. Gdy dowie się od Biedronki, gdzie mniej więcej dzwoniło, dalej sama wywacha, w jakim to było kościele. I nad czyją, co tu ukrywać, trumną.

Turystyczne buty na grubej podeszwie z głośnym chrzęstem kruszyły grudki śniegu, który za dnia, pod wpływem parogodzinnej lekkiej odwilży, zmiękł i przesiąkł wodą, a teraz powtórnie zamarzał. Zakrzepłe w nim odciski butów, ślady dziecięcych sanek i rowerowych opon przypominały negatywy roślin uwiecznione w prehistorycznych skamielinach. Dla zabawy zaczęła w nich czytać, tak jak niegdyś, na wsi, w tropach podchodzonych zwierząt. Te płaskie ślady to drewniaki. Te dwie pary bruzd po wąskich kółeczkach to dziecięcy wózek. A co widzimy tutaj? Też wózek, ale drewniany, taki z miniaturowym dyszlem. Z rozsypanej obok smużki miału można wnioskować, że ktoś przewoził nim węgiel. Na pewno wyszabrowany. Tam jechały saneczki. Tu z kolei mamy letnie damskie pantofelki. Niemiło chodzić w takich o tej porze roku. Tu znowu drewniaki. A po tych tu od razu widać, że to buciory policjantów. Oby nie bawili się w Szerlocka Holmesa i doktora Watsona i nie podążali tropem zostawionym przez tego nieboraka od węgla. Jeśli tak, za nic nie chciałaby być w skórze tego ostatniego. Nie wiadomo, czy biedakowi wystarczy pieniędzy na wykup. A jeżeli nie wystarczy lub Niemcy okażą się formalistami, sprawa skończy się stryczkiem.

Prawy rękaw wciąż ocierał się o wystający z kieszeni dzisiejszy numer „Ostdeutscher Beobachter”. Zachowała go, bo w środku znajdowała się praktycznie gotowa pierwsza część składanego jutro raportu. *„Nach eingehender Hauptverhandlung erkannte der Volksgerichtshof gegen Heinrich Fulde, Konrad Wunsche, Bruno Lompa, Georg Drescher, Alfred und Elvira Fiebiger sowie Alfred Nowacki auf Todesstrafe. Emil Fulde wurde zu fünf Jahren und Irene Stark zu zehn Jahren Zuchthaus verurteilt, Bozena Deutschmann jedoch mangels Beweises freigesprochen. In einer weiteren Sitzung, verhandelte der Volksgerichtshof gegen die Polen Boleslaw Krawiec, Barbara Pawlak und Tadeusz Pyzik. Diese wurden, da sie sich ebenfalls aktiv für die polnische Widerstandsbewegung eingesetzt hatten,*

zum Tode verurteilt. Bei einer weiteren Mitangeklagten Janina Stasiak erfolgte Freisprechung mangels Beweises"¹⁹⁷. Ciekawe, dlaczego proces aresztowanych w maju członków ruchu odbył się dopiero przed dziesięcioma dniami? I dlaczego Niemcy tak długo czekali z poinformowaniem w prasie o wyrokach? Pewnie zastanawiali się, czy wiadomość o przynależności do podziemia folksdojczów, do tego aż tylu, nie wyrze przygnębiającego wrażenia. Widocznie doszli jednak do wniosku, że podobnej sprawy i tak nie uda się utrzymać w tajemnicy, więc lepszy już oficjalny komunikat niż plotki. Pewnie mają też nadzieję, że surowe wyroki podziałają odstrasząco na innych fałszywych Niemców. Takich jak choćby ona.

W oddali wyłonił się parterowy domek Kusiów. Jego różowe ściany gryzły się wściekle z brudną szarzystą sąsiedniej jednopiętrowej kamieniczki. Poprawiła ramiączko wpijającego się w krótki kożuszek plecaka. Bogu dzięki, że miała go czym wyładować. Kiedy w zeszły piątek pojechała do swojego stałego dostawcy, do Zbierska, okazało się, że cała rodzina zmarła na tyfus. Najpierw młodsze dziecko, potem żona, potem starsze dziecko i na koniec mąż. To młodsze podobno zaczęło gorączkować w końcu października, a więc w czasie jej ostatniej wizyty. No to przynajmniej wiedziała, od kogo się zaraziła. Przez sięgający pasa śnieg poszła przez pola do sąsiedniego przysiółka. Mieszkał tam jeden taki, z którym też handlowała. Miała nosa, że z powodu śniegu odwiedza go mniej handlarzy i będzie coś miał. Ale jakim cudem, jeszcze osłabiona po chorobie, dotarła do niego, a potem doczołgała się z powrotem do kolejki wąskotorowej, tego już nie potrafiła zrozumieć.

Na schodkach przed frontowymi drzwiami Kusiów siedział wielki, czarny kocur, trzymając w pyszczku wróbla. Skrzywiła się z obrzydzenia.

– A pójdziesz ty!

Kot, nie wypuszczając zdobyczy, szurnął tuż przed nią na drugą stronę drogi, wskoczył na płot i zniknął. Minęła główne wejście, bo o tej godzinie nie było sensu się tam dobijać – Biedronka roznosiła pranie, jej ojciec był w drukarni, a pani Kusiowa na pewno siedziała w maglu, mieszczącym się w dawnej kuchni letniej. To pewnie tam czekała na nią koperta lub książka z zapiskami Biedronki. Uchylona furtka za węglem upewniła ją, że ma rację. Obeszła dom i znalazła się na niewielkim podwórku, pociętym przez wydeptane w śniegu i posypane popiołem wąskie ścieżki. Jedna z nich,

biegnąca pod dziurawym parasolem utworzonym przez konary starego orzecha, zaprowadziła ją pod obite dyktą drzwi magła. Nacisnąwszy klamkę, stwierdziła, że są zamknięte. Jak to? Nie ma nikogo? Widocznie pani Kusiowa jest w domu. Przeszła na powrót przez podwórko i zastukała w okno. Żadnej reakcji. Odczekawszy chwilę, zastukała jeszcze raz. Wciąż nic. Zniecierpliwiona, wytupała ośnieżone buty i wkroczyła do pokracznej niby-werandki, przerobionej przez pana Kusia z dawnego drewnianego ganeczku. Jej spojrzenie szybko prześliznęło się po oblodzonych szybkach i zatrzymało na koślawym stoliczku i stojących na nim emaliowanych garnkach. W powietrzu, bielejącym od wydychanej przez nią pary, unosił się apetyczny zapach bigosu. Domyśliła się, że to z niebieskiego garnka, tego największego. Mrozi się. Najlepszy sposób na dobry bigos to podsmażać go na małym ogniu, a potem zamrażać na kamień. I tak w kółko – wiele razy.

Wytarła buty o słomiankę i odwróciła się w stronę drzwi prowadzących z werandy do sieni. Zdziwiło ją, że są otwarte prawie na oścież. Mało tego – na podłodze, tuż za progiem, leżała owinięta w szary magłownik bela wymaglowanych poszew i prześcieradeł. Na przypiętej do niej szpilką karteczce widniało wypisane ołówkiem nazwisko właściciela prania oraz jego adres. Ponieważ nakreślono je dużymi, mocno postawionymi literami, nie musiała nawet pochylać głowy, aby je odczytać. Schönrogge Göring Str. Zrozumiała, że coś się musiało stać. Chyba coś niedobrego. Nie rzuca się bez powodu na podłogę czyjejs pościeli. Zwłaszcza jeśli jest to pościel komendanta miejscowego Gestapo. Serce zabiło jej mocniej. Niemcy? Kocioł? Przez chwilę kalkulowała gorączkowo. Nieee... Gdyby Niemcy urządzili u Biedronki kocioł, nie zostawiliby otwartych drzwi i tego prania na podłodze. Nie pozwoliliby, żeby własność ich szefa doznawała takiej poniewierki. I przede wszystkim postaraliby się, żeby wszystko wyglądało normalnie. Hm...

Wyciągnęła przed siebie rękę, aby zastukać w futrynę, lecz coś powstrzymało jej dłoń. Niedobre przecucie. Po krótkim wahaniu przekroczyła pakunek i wśliznęła się ostrożnie do pograżonego w półmroku wąskiego przedpokoju. Omiotła wzrokiem ścianę: licznik prądu, duże lustro, pod nim pasiasta fabryczna makata, wreszcie długi wieszak z drucianymi haczykami. Na nim kaszkiet, czarny męski płaszcz i brązowa damska jesionka. Ta ostatnia należała do Biedronki. A płaszcz i kaszkiet? Do pana Kusia czy kogoś innego? Ojciec Biedronki powinien być teraz w pracy.

Przynajmniej teoretycznie. W końcu jako majster musiał nadzorować robotę. Gdyby jego podwładni coś spaprali, on dostałby burę. Drukarnia była zakładem pod specjalnym nadzorem, zatrudnieni w niej Niemcy bacznie obserwowali Polaków. Co zresztą nie przeszkadzało polskim pracownikom w wykonywaniu przeróżnych druków na rzecz podziemia. Ale właśnie dlatego pan Kuś, członek wydziału legalizacji, zaopatrującego cały powiat w lewe papiery, musiał na wszystko mieć oko. Chociaż mógł przecież zachorować. Podobno mnóstwo ludzi choruje teraz na grypę.

Stąpając cicho po nietościwie startym chodniku, sunęła powoli w głąb mieszkania. Minęła dwa zamknięte pokoje, jeden po prawej, drugi po lewej ręce. Ze swoich wizyt u Biedronki wiedziała, że w pierwszym mieści się jadalnia, a w drugim sypialnia jej rodziców. Wtem przystanęła. A może to palto należało do jakiegoś nowego absztyfikanta Biedronki? I tak im było śpieszno skorzystać z okazji, że nie zamknęli nawet drzwi? Zastanawiała się intensywnie. Nie, zupełna niedorzeczność. Biedronka i mężczyzna? Niemożliwe! Od śmierci Jurka Biedronka w ogóle przestała się interesować chłopakami. Różni próbowali się wokół niej zakręcić, ale natychmiast ich zbywała. A może jednak któremuś się udało? W sprawach męsko-damskich nie ma reguł. Zresztą byłoby fajnie. Po co taka miła dziewczyna ma sobie marnować życie w klasztorze? Dać się замуrować żywcem na progu młodości? Straszne! Czy w takim razie nie byłoby rozsądniej wycofać się z powrotem na dwór? Głupio by było nakryć Biedronkę na amorach. I jeszcze, nie daj Bóg, dać się przyłapać na podglądaniu. Targana wątpliwościami, zrobiła jeszcze kilka kroków i dostrzegła otwarte drzwi na końcu korytarza. Prowadziły do kuchni. Już miała tam dyskretnie zajrzeć, kiedy gdzieś za nią rozległ się przytłumiony męski głos, starty i charczący:

– Słyszysz?! Klękaj!

Odwróciła się jak podcięta batem. Od razu rozpoznała głos pana Kusia. Dobiegał z jednego z pokoiów, który minęła, nie spostrzegłszy, że prowadzące doń drzwi wcale nie są zamknięte. Wystraszona, przykleiła się plecami do ściany i zamarła w bezruchu. A to byłby wstyd, gdyby ci z pokoju zdybali ją na myszkowaniu po domu! Jeszcze gotowi sobie nie wiadomo co pomyśleć. Na szczęście wyglądało na to, że niczego nie usłyszeli. Ochłonawszy, zaczęła się ostrożnie cofać w kierunku wyjścia. Jednak po drodze mimowolnie zapuściła na krótko wzrok w głąb pomieszczenia, z którego dobiegały podejrzane dźwięki. Choć panował w nim półmrok,

w smudze światła padającego zza zaciągniętych zasłon rysowała się wyraźnie sylwetka starszego mężczyzny w rozpiętej zupełnie koszuli i spuszczonej do kolan majtkach. Jego wielki, sterczący członek celował w ten kąt, którego nie mogła dojrzeć przez wąską szparę w uchylonych drzwiach. Z wrażenia aż ją zamurowało. Jej uszy wychwyciły coś brzmiącego jak cichy chichot. Prawdopodobnie dochodził z niewidocznego kąta.

– No już! – Pan Kuś chyba się gniewał. – Ogłuchłaś?!

Jak oparzona odwróciła się i w okamgnieniu zarumieniła po same uszy. A to ci dopiero! Wyglądało na to, że przypadkiem przyłapała starych Biedronki in flagranti. Gdyby nie bała się zdemaskowania, chyba nie udałoby się jej powstrzymać od śmiechu. No, no, miłosne figle w tym wieku? Ładnie, nie ma co. I to jakie figle! Zawstydzona podwójnie – tym, co zobaczyła, oraz faktem, że mimowolnie wyszła na podglądaczkę – już chciała się wymknąć na werandę, kiedy z pokoju doleciały poszarpane przez szloch słowa.

– Nie, nie każ mi tego robić! Proszę, nie!

Uświadomiła sobie, że to, co w pierwszej chwili wzięła za chichot, w rzeczywistości było łkaniem. I pojęła coś jeszcze – coś dużo gorszego. Coś, co spowodowało, że momentalnie poblądła. Chociaż prośba została wypowiedziana tak cicho, że ledwie dało się rozpoznać sens słów, dotarło do niej, że prawie pięćdziesięcioletnia pani Kusiowa nie może mówić tak młodym, dźwięcznym głosem. Głosem, który doskonale znała.

– No już, szybko! – Kolejnemu poleceniu pana Kusia towarzyszyła doskonale słyszalna irytacja. – Bo jak nas matka nakryje, ciebie pierwszą z domu wyrzuci! Zobaczysz, głupia!

Zadrzała, kiedy rozległ się głuchy dźwięk uderzających o podłogę kolan. Zaraz potem szloch przeszedł w skowyt.

– Tatusiu, błagam cię, nie!

Pociemniało jej w oczach. Czy naprawdę to usłyszała, czy tylko jej się wydawało?

– No jazda, przestań beczeć! – Drżące zniecierpliwieniem słowa pana Kusia przeszły ją niczym kopnięcie prądu. – Słyszysz?! Minutka i będzie po wszystkim!

– Tatu...

Stała jak skamieniała i nie mogła się ruszyć z miejsca. Czuła się tak, jakby ktoś najpierw z całej siły zdzielił ją w głowę pałką, a teraz wbijał w jej ciało tysiące długich igieł. Nie wierzyła własnym uszom. To po prostu nie mieściło

się w głowie. Żadnym, ale to żadnym sposobem. Jak to? Ona naprawdę tu jest? Naprawdę stoi w tym przedpokoju? I to tam, za drzwiami, też się dzieje naprawdę? Pan Kuś z Biedronką?! Ten dowcipny, wesoły, może i prosty, ale dobrze wychowany człowiek, który nigdy w życiu nie podniósł na nikogo głosu?! Ten uczynny sąsiad, który nigdy nikomu nie odmówił pomocy?! Ten przyjaciel zwierząt, który nie przeszedł obok bezpańskiego psa, jeśli go nie pogłaskał i nie dał mu kawałka bułki ze swojego drugiego śniadania?! Nie, to jakieś koszarne złudzenie! Piramidalny absurd! Absolutny absurd! A jeżeli... Jeżeli nie? Co, jeżeli nie? Nadstawiała uszu. Z pokoju wyraźnie dobiegały wydawane przez starego pomruki zadowolenia. Jezu Chryste! Więc jednak. To nie złudzenie. O cholera! Po chwili pomruki przeszły w głośne sapanie. Uświadomiła sobie, że jest tylko jeden sposób ostatecznego rozwiania wątpliwości. Jeden jedyny. Jeszcze jakiś czas się wahała, po czym w przypływie odwagi wzięła głęboki oddech i przemógłszy obrzydzenie, znowu zerknęła przez szparę. Na wysokości członka, zakrytego teraz kaskadą długich, szarych włosów, falowała rytmicznie głowa dziewczyny. Nie ulegało wątpliwości, że to Biedronka.

Wcale nieprzekonana, czy robi dobrze, z niemałym trudem oderwała się od ściany i ruszyła cichutko w stronę wyjścia. Serce omal nie rozsadziło jej piersi. Torturowały ją wątpliwości, czy na pewno postępuje słusznie. Bo jednak wydawała koleżankę na pastwę tego zwyrodnialca. Ale przecież wstyd Biedronki, gdyby ona tam wparowała, byłby znacznie boleśniejszy od przeżywanego upokorzenia. Żadna dziewczyna w podobnej sytuacji nie chciałaby, żeby ktokolwiek ją zobaczył. Za nic w świecie! Jeszcze by sobie potem coś zrobiła. Więc tak nie można jej pomóc. Zatem jak? Nagle doznała olśnienia. Przekradła się szybko do drzwi wyjściowych i natychmiast zaczęła w nie mocno pukać, jednocześnie wołając na cały głos:

– Pani Kusiowa! Dzień dobry! To ja, Dorota! Elka miała dla mnie coś zostawić! Pani Kusiowa! Gdzie pani jest?

Jeżeli hałas, jakiego narobiła, nie wystraszy starego i nie pozwoli umknąć Biedronce, to niech ją na miejscu strzeli piorun!

– Pani Kusiowa! Pani Kusiooowaaa!

– Tutaj jestem, tutaj! – Rozległo się niespodziewanie za jej plecami. – Poleciałam na chwilkę do sąsiadki. Tak, wiem, Ela zostawiła dla ciebie jakiś zeszyt. Chodźmy do magła!

– Zaraz, zaraz! – Nie chciała jeszcze opuścić domu, by nie zmałała presja,

jaką musiała wywierać na ojcu Biedronki ich obecność na werandzie. – Mam kilo wołowiny. Chce pani?

– Ha! Z pocałowaniem w rękę!

Stojąc w drzwiach prowadzących do sieni, zdjęła bez pośpiechu plecak i już miała podejść do stoliczka z garnkami, by go tam postawić i rozsznurować, kiedy uzmysłowiła sobie z przerażeniem, że jeśli się ruszy choćby o krok, odsłoni porzuconą na podłodze belę wymaglowanego prania. Nietrudno było przewidzieć zdziwienie pani Kusiowej na ten widok. A jeśli na dodatek zorientuje się, do kogo należy pościel, chyba dostanie zawału. Na pewno wpadnie w gniew i zapragnie natychmiast wyjaśnić, co robi na podłodze owoc jej godzinnej harówki. Za żadne skarby świata nie można do tego dopuścić – Biedronka musi mieć czas na opuszczenie pokoju w taki sposób, by nie narazić się na krępujące pytania. I by mieć choć chwilę na pozbieranie się do kupy. Drżącymi palcami zaczęła otwierać plecak, pozostając w tym samym miejscu i starając się zasłaniać leżący za nią pakunek.

– Momencik... Nie mogę rozsznurować. Jeszcze chwilkę... No, wreszcie... Już, już wyciągam. Jeszcze tylko odwinie my z gazetki... Gotowe. Niech no pani tylko spojrzy, jaka czerwoniutka! Aż się oczy śmieją, prawda?

Pani Kusiowa potaknęła skwapliwie. To się Rysiek ucieszy! Już będzie z tydzień, jak ani mięsa, ani kiełbasy nie jadł. A przecież chłop na schwał, bez mięsa zaraz marnieje. Do tego grypę paskudną złapał i za nic nie może się jej pozbyć.

Usłyszała za plecami skrzypnięcie drzwi i szybko oddalające się drobne kroki. Po chwili znów skrzypnęły drzwi – ale już nie te same, inne – i zaraz potem zatrzasnęły się głośno. Wyglądało na to, że Biedronka wymknęła się z sypialni rodziców i ukryła w swoim pokoju. Odetchnęła z ulgą.

– A co to się należy, Dorotko? Bo ja nie wiem, czy mi dzisiaj starczy...

– Dogadamy się.

– No to chodźmy do magła, coś tam jest w szufladzie. Zobaczymy ile.

Kiedy dreptały przez podwórko, poskrzypywał zrudziały od popiołu śnieg. Pani Kusiowa narzekała na korzonki, podobno znowu nie spała przez nie pół nocy. Pod magłem wyjęła z kieszeni pęk kluczy i podzwaniając nimi, wyszukała ten właściwy. Wsadziła go do zamka. Już naciskała kłamkę, kiedy trzasnęły drzwi do domu. Odwróciły się obie i zobaczyły zapłakaną

Biedronkę, biegnącą w niezapiętej jesionce i dźwigającą pod pachą magłownik z pościelą.

– Matko Boska, jeszcze tego nie zaniósłaś? – Pani Kusiowa aż zbladła, rozpoznawszy rzeczy Schönroggego. – To coś ty robiła, córuś? I czego znowu beczysz? Co się stało?

Bez słowa, nawet nie spoglądając w ich stronę, Biedronka zniknęła za rogiem. Pani Kusiowa chwilę trwała w bezruchu, po czym westchnęła ciężko. Pewnie znowu, zrobiła cierpką minę, mąż jej coś przygadał: że stara panna, że świętą chce zostać czy coś w tym rodzaju. Prosiła go tyle razy: daj już dziewczynie spokój, nie docinaj jej, nie wyśmiewaj się! Uparła się na ten klasztor, to trudno, niech idzie. Ale do niego nic nie dociera. Jakby grochem o ścianę. Wciąż Martę jej stawia za wzór, ich drugą córkę: że choć młodsza od Biedronki już dawno męża ma i dwójkę dzieci, a trzecie w drodze. No pewnie, ona też by wolała i po Biedronce wnuków doczekać, ale skoro dziewczyna wybrała inaczej, to się nie czepia.

Weszły do magła, gdzie pani Kusiowa, pociągając nosem, podała jej zeszyt w obwolucie z szarego papieru. Potem otworzyła blaszane pudełko po czekoladkach i wyjęła zeń kilka banknotów. Policzyły się za mięso i wyszły przed magiel. Kilka posesji dalej ktoś uruchomił tokarkę i w uszy wdzierał się natrętnie metaliczny warkot. Zza płotu niósł się śmiech kilkorga dzieci – zdaje się, że toczyła się bitwa na śnieżki.

– Wie pani co, pani Kusiowa? A może by ją gdzieś wysłać? Może do jakiegoś sanatorium? Albo do rodziny na wieś?

Matka Biedronki wzruszyła ramionami. Do sanatorium? Wolne żarty! Do jakiego sanatorium? I niby za co? Po sanatoriach to się hrabiowie mogą włóczyć. A rodziny nigdzie na wsi już nie mają. Mieli, nawet w kilku wsiach, ale wszystkich wysiedlili jeszcze na samym początku. Nikt nie został. Cała rodzina poszła na poniewierkę. Jedni są teraz w Siedlcach, a drudzy gdzieś pod Radomiem. Pisali, że taką biedę klepią, że szkoda gadać! Za parobków u obcych robią. Więc jak tam do nich wysłać Elkę? Chyba na zupełnie zmarnowanie. A poza tym, ona tu jest potrzebna. Kto w maglu pomoże? Kto pranie poroznosi? Sama bez Elki nie da sobie rady. Już i tak ręce ma do samej ziemi. Haruje i haruje. A wciąż ledwie starcza na życie. Wszystko drogie, że aż słów nie ma. Nie kulami wykończą ich szwaby, ale cenami!

Zrozumiawszy, że na razie nic dla Biedronki nie może zrobić, pożegnała

się i z ulgą opuściła posesję Kusiów. Wychodząc na ulicę, czuła się tak, jakby zostawiała za sobą kolonię trędowatych. Już dobrze, mówiła sobie, już dobrze. To plugastwo już minęło, zostało tam – za plecami. I z każdym krokiem jest coraz dalej i dalej. Lepiej o tym nie myśleć, lepiej zapomnieć. Wymazać wszystko z pamięci jak zły sen. Wmówić sobie, że to się w ogóle nie zdarzyło. Że niczego nie widziała. Że o niczym nie wie. Tak będzie najrozsądniej. Ale na próżno przekonywała samą siebie. Jej pamięć bez litości odtwarzała scenę ujrzaną przez szparę w drzwiach. Odtwarzała ją w kółko, bez przerwy – trzydziesty, czterdziesty, pięćdziesiąty raz. Nie mogła tego znieść. Żeby przerwać ten dręczący seans, przymykała oczy, odwracała głowę, lecz nie dawało to wiele. Ekran znajdował się przecież wewnątrz jej jaźni.

Sama nie wiedziała, jakim sposobem rozniosła po mieście towar, nie pomyliła adresów, każdemu sprzedała to, co zamówił. Cały czas była jakby półprzytomna, oddzielona od świata mleczną szybą. Chodziła po ulicach, przepuszczała samochody, wspinała się po schodach, naciskała dzwonki, witała się, wchodziła do środka, wyjmowała mięso, brała pieniądze, wydawała resztę, żegnała się, zbiegała po schodach i znowu szła ulicą, znowu przepuszczała auta, znowu nurkowała w bramie, znowu pukała do drzwi... Wszystko to czyniła odruchowo, jak otumaniona. Nigdy wcześniej nie czuła się tak dziwnie, tak obco. Była obca sobie samej. Działała mechanicznie, bezwiednie, zupełnie jak nakręcony kluczykiem automat. Kto ją nakręcił? I po co? W tej chwili było to jej całkiem obojętne.

[197](#) (niem.) Po wnikliwej rozprawie Trybunał Ludowy skazał Henryka Fulde, Konrada Wunsche, Brunona Lompę, Jerzego Dreschera, Alfreda i Elwirę Fiebigerów oraz Alfreda Nowackiego na karę śmierci. Emil Fulde otrzymał pięć, a Irena Stark dziesięć lat więzienia. Bożena Deutschmann z braku dowodów została uniewinniona. Na następnym posiedzeniu rozpatrywano sprawę Polaków: Bolesława Krawca, Barbary Pawlak i Tadeusza Pyzika. Ponieważ wszystkim udowodniono aktywny udział w polskim ruchu konspiracyjnym, otrzymali wyroki śmierci. Współoskarżoną Janinę Stasiak uniewinniono z braku dowodów.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wtorek, dziewiętnastego grudnia

W pracowni panował chłód. Wstał, podszedł do stojącego w rogu pieca kaflowego i położył na nim dłoń. Piec był nie więcej jak letni. Pan Ludwik tłumaczył, że przepala w nim każdego ranka, ale tylko przez godzinkę – dosłownie tyle, ile trzeba, żeby klienci, którzy rozbierają się do miary, nie musieli drzeć z zimna. No i żeby ręce mu nie grabiały. No bo jak tu ciąć, fastrygować, szyć czy prasować zgrabiałymi dłońmi? Chociaż prędzej czy później i tak grabiały, dlatego co jakiś czas krawiec wychodził do kuchni i grzał je nad kuchennym piecem albo wsadzał na parę minut do stojącej na krawędzi żeliwnej płyty miseczki z ciepłą wodą. A w duże mrozy w ogóle przenosił się z częścią roboty do kuchni. Teraz też opuścił pracownię, zostawiając go sam na sam z myślami.

Przyniesiona przed godziną przez Gwiazdeczkę wiadomość o wczorajszym samobójstwie Biedronki spadła nań jak grom z jasnego nieba. Oczywiście, w pierwszej chwili pomyślał, że ma ono jakiś związek z konspiracyjną działalnością dziewczyny, na przykład, że przyszli ją aresztować i wołała się zabić niż wpaść w ich łapy. Już chciał zarządzić natychmiastową likwidację punktu, kiedy Gwiazdeczka zaczęła zapewniać, że nie ma potrzeby, że Biedronka na pewno zrobiła to wyłącznie z przyczyn osobistych. Niemcy, owszem, byli, ale Kripo, nie Gestapo, i dopiero po tym, jak zawiadomił ich lekarz, który wystawiał akt zgonu. Musieli przecież spisać protokół. Nie robili nawet rewizji. Pomyszkowali trochę po pokojach, pozaglądali do garnków, to wszystko. Zabrali tylko list, który Biedronka przed zażyciem trucizny nabazgrolała na wyrwanej z zeszytu kartce. „Mam już dosyć, chcę do Jurka”. Dopiero wtedy odetchnął. Treść listu faktycznie dowodziła, że dziewczyna zabiła się z przyczyn osobistych. Lecz uzyskawszy tę pewność, tym bardziej nie potrafił się pogodzić z samobójstwem

Biedronki. Pozbawić się życia w czasach, kiedy w każdej chwili i tak można zostać zamordowanym? To jakiś nonsens, jakaś urągająca wszelkiej logice niedorzeczność. A poza tym, niezależnie od specyfiki momentu, przydającej takiemu czynowi cech najwyższego absurdu, to przecież jeden z najcięższych grzechów. Taki grzech katolik może wziąć na swoje sumienie tylko w jednej jedynej sytuacji – aby uniknąć jeszcze większego grzechu. Ostatecznie i on nosił przy sobie fiolkę z cyjankiem na wypadek schwytania przez Niemców i tortur. Gdyby doszedł do wniosku, że nie wytrzyma, otrułyby się i tym sposobem nikogo by nie wsypał. A tu, proszę, zachciało się dziewczynie do chłopaka. Romantyczka! Nie był wykuty z granitu, doskonale wiedział, co to miłość i rozpacz, ale nie potrafił zaakceptować takiego powodu targnięcia się na życie. Jakby tak wszystkie mieszkające w tym kraju dziewczyny, które straciły ukochanych, i wszyscy mężczyźni, którym zamordowano żony i narzeczone, wyprawiali się na tamten świat, stolarze nie nadążyliby z robieniem trumien. Więc to chyba nie jego wina, że nie przewidział, iż Biedronce chodzi coś takiego po głowie? Chociaż jako dowódca powinien był dostrzec niebezpieczeństwo... Może jednak należało zwolnić ją ze służby, kiedy o to prosiła? W pewnym sensie dla własnej wygody przekonał ją, a właściwie zmusił, do pozostania. Nie chciał tracić czasu na szukanie kogoś na jej miejsce. Przecież miał na głowie dużo ważniejsze sprawy. Poza tym sądził, że nic nie rozładowuje cierpienia lepiej niż zemsta na wrogu, a podziemna robota była przecież jakąś formą zemsty. Widocznie Biedronce to jednak nie wystarczało. No i stało się... W całym tym nieszczęściu dobre chociaż to, że nie otruła się cyjankiem z otrzymanej od niego kapsułki. Niemcy przecież byli doskonale zorientowani, kto i po co nosi taką fiolkę ze sobą. Jeden diabeł wie, czego by się doszukali, gdyby Biedronka zażyła właśnie ten cyjanek. Na szczęście wzięła końską dawkę zwykłych środków nasennych. Pewnie specjalnie po to, żeby nie ściągnąć na nikogo kłopotów. Biedna dziewczyna. Oczywiście, ksiądz za nic w świecie nie zgodzi się na katolicki pogrzeb. Chyba żeby mu szepnąć do ucha, jak zasugerowała już zresztą Gwiazdeczka, że nieboszczka pracowała dla podziemia i jej śmierć, choć samobójcza, wiąże się z pełnią służbą. Ale to byłoby oczywiste kłamstwo, a on go nie weźmie na swoje barki. Zresztą kogo by tym sposobem wywiedli w pole? Tylko księdza. Ludzie pewnie i tak już wiedzą, a Pana Boga nie da się oszukać. Więc po co kłamać? Poza tym, rodzice Biedronki pójdą pewnie przed pogrzebem

do spowiedzi i ksiądz dowie się o liście. Zatem nie ma co szachrać. Dziewczyna była dorosła, chodziła do kościoła, wiedziała, jakie są zasady.

Wrócił do swojego stoliczka pod oknem. Kiedy sadowił się na krześle, kiszki znienacka skręcił mu głód. Do diabła, jeszcze i to! No ale co tu się dziwić, skoro jego śniadanie składało się z zaledwie kawałka zeschniętego chleba, trzech cebul i szklanki mleka. Aby zapomnieć o głodzie, sięgnął po leżącą na stoliczku wczorajszą gazetę. Pan Ludwik specjalnie zostawił ją dla niego, i nawet otworzył na ostatniej stronie. Całkiem niepotrzebnie; też ją kupił, a tekst z czwartej strony znał prawie na pamięć. *„Der Volksgerichtshof im Wartheland. Sieben Todesurteile wegen Feindbegünstigung. In der Zeit vom 6. bis 9. Dezember 1944 verhandelte der Volksgerichtshof Berlin in Kalisch gegen zehn Deutsche, die sich wegen Vorbereitung zum Hochverrat und Feindbegünstigung zu verantworten hatten. Die Bedeutung des Verfahrens wurde durch die Anwesenheit des Reichsstatthalters im Reichsgau Wartheland, Gauleiter Greiser, besonders unterstrichen. In seiner Begleitung befanden sich neben den örtlichen Partei- und Verwaltungsspitzen der Oberlandesgerichtspräsident Froböss, der Generalstaatsanwalt Steinberg und der Gauamtsleiter für Volkstumsfragen, Universitätskurator Dr. Streit”*¹⁹⁸. To prawdziwy cud, że stary pan Fulde wykręcił się pięcioma latami ciężkiego więzienia. Ale młodemu tym razem się nie udało. Mieli na niego oko od czterdziestego pierwszego, od rzekomego wypadku, kiedy to po otrzymaniu karty powołania do Wehrmachtu odrąbał sobie siekierą cztery palce. Szwabom już wtedy coś śmierdziało; wypadki samookaleczenia poborowych nie należały przecież do rzadkości. Ale mimo że mocno węszyli, nic na szczęście nie wywąchali. A może i wywąchali, lecz hojność pana Emila przekonała ich, by umorzyć dochodzenie. Na jeszcze większy cud zakrawało jednak, że przez tyle miesięcy śledztwa żadne z aresztowanych w maju nikogo nie wsypało. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby choć jedno czy dwoje z nich zaczęło mówić. Gestapo rozwaliliby w drobny mak całe kaliskie podziemie. Przypłaciłoby to życiem ze sto, a może i więcej osób. Wśród nich pewnie i on sam.

Odłożył gazetę i poprawił narzucony na ramiona płaszcz. Chłód stał się nieznośny. Wstał, podszedł do pieca i znowu położył dłoń na piaskowożółtych kaflach. Nie, zachnął się po minucie, przy tym ledwie letnim piecu i tak się nie ogrzeje. Kiedy długim przedpokojem szedł

do kuchni, o deski podłogi stukały głośno podkute buciory. Zaledwie otworzył drzwi, poczuł na twarzy przyjemne uderzenie fali ciepła zmieszanej z cudownym zapachem gotowanego przez panią Ludwikową obiadu. Głodowy ból natychmiast zatańczył mu w brzuchu młynka.

– Można?

– Proszę bardzo, panie Henryku! – Krawiec, grzejący dłonie nad piecem, wskazał miejsce przy nakrytym ceratą stole.

Zamknął za sobą drzwi, by ciepło nie uciekało do przedpokoju, po czym rozsiadł się na białym krześle.

– Zupka będzie za pół godziny. – Pani Ludwikowa postawiła przed nim kubek z herbatą. – Dziś kartoflanka.

Za pół godziny? Jezu!

– Serdecznie dziękuję, pani Jadwigo!

Jego wzrok padł na leżące na środku stołu urzędowe pismo, ostemplowane hitlerowską glapą. Pan Ludwik natychmiast podchwycił to spojrzenie.

– I co my mamy zrobić z tym fantem, panie dyr..., przepraszam, panie Henryku?

Westchnął ciężko i sięgnął po pismo, które krawiec i jego żona pokazali mu zaraz, gdy tylko przyszedł. Szczerze mówiąc, robił to tylko przez grzeczność. Przecież ani jego spojrzenie, ani dotyk nie miały cudownych właściwości i nie mogły zmienić treści, informującej, że *Volksgenosse*¹⁹⁹ Mateusz Wawrzykowski, *geborener*²⁰⁰ trzydziestego maja tysiąc dziewięćset dwunastego *in Kalisch*, ma się stawić dwudziestego trzeciego grudnia w bazie Kriegsmarine w Wilhelmshaven celem odbycia służby wojskowej na okręcie podwodnym. Ale gdyby nie przeczytał dokumentu ponownie – i to powoli, uważnie, ze zmarszczonym w skupieniu czołem, pan Ludwik i jego żona mogliby jeszcze pomyśleć, że lekceważy ich nieszczęście, że im nie współczuje, że nie tyle nie potrafi, ile nie chce pomóc. Więc studiował papier w milczeniu, rozważając sens każdego słowa, każdej kropki i każdego przecinka. A im dłużej to robił, tym bardziej odczuwał całkowitą bezradność i bezsilność.

– Cóż... – Odczekawszy dłuższą chwilę, odłożył wreszcie pismo. – Gdyby to było powołanie do miejscowego folksszturmu, można by spróbować zapłacić za wykreślenie go z ewidencji. Ale z tym to co innego...

Pani Ludwikowa wyjęła z kieszeni fartucha chustkę do nosa i otarła nią łzę

na policzku. Już byli przekonani, zamrugła zaczerwienionymi oczyma, że mu się upiecze. Metr sześćdziesiąt cztery wzrostu, te pałakowate ręce i nogi! Nawet nasi w trzydziestym dziewiątym go nie wzięli. A tu masz! Ładny im prezent na święta zrobili, nie ma co!

Odwrócił wzrok w stronę okna i zapatrzył się na gawrona, który przysiadł na rosnącym na podwórku drzewie i próbował rozłupać dziobem poczerniały orzech. Z tej odległości nie można było dostrzec, czy ptak przytrzymuje twardą skorupę pazurkami, czy też zaklinował zdobycz w rozwidleniu gałęzi. Gawron wykonywał krótką serię uderzeń, potem podnosił łebek i rozglądał się bacznie na wszystkie strony – widocznie chcąc się upewnić, że nikt nie szykuje się do wydarcia mu łupu. Przekonawszy się, że może bezpiecznie kontynuować ucztę, znowu zaczął stukać. I tak w kółko.

– Głupio by było, gdyby go teraz zabili... – mówił zafrasowany pan Ludwik. – Przecież tylko patrzeć, jak wojna się skończy. Przekłête łodzie podwodne!

– To z powodu niskiego wzrostu – wyjaśnił, zadowolony, że wreszcie może powiedzieć coś sensownego. – Na takim okręcie ciasno, specjalnie biorą tam niskich, takich właśnie, którzy gdzie indziej się nie nadają.

– No i co my mamy robić?

Gawron stuknął nagle zbyt mocno i orzech spadł na ziemię. Ogłupiały ptak spoglądał chwilę pod łapy, najwyraźniej nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Wreszcie pogodził się ze stratą, zerwał się i w mgnieniu oka zniknął za załomem muru.

– Panie Henryku...

Ba! Czy on jest alfą i omegą, żeby wszystko wiedzieć? A jeszcze wszyscy, którzy proszą go o radę, chcą, żeby podsunąć im rozwiązanie najlepsze, optymalne, mające same dobre strony. Tylko czy w sytuacji, w której znalazła się obecnie Polska, są w ogóle takie rozwiązania? Powoli zaczynał się godzić z myślą, że nie. I miał serdecznie dosyć zawracania głowy pytaniami, na które coraz trudniej było odpowiadać jasno, wyraźnie, z przekonaniem. Zresztą od pewnego czasu padały wciąż te same pytania. Zadawali mu je współpracownicy, podwładni oraz znajomi, którzy domyślali się, że on wykonuje jakąś podziemną robotę. Co będzie, jak przyjdą ruscy? Ujawnić się przed nimi, czy nie? Oddać broń, czy nie? Dać się zmobilizować do armii zorganizowanej przez komunistów, czy nie? A jeśli nie, to co? Już miał dosyć odpowiadania, że Londyn wyda w tej sprawie instrukcje.

Przypominania, że jedynym prawowitym polskim rządem jest właśnie rząd londyński. I pouczania, że tylko rozkazów tego ostatniego mają obowiązek słuchać. Ku swemu przerażeniu spostrzegł jednak, że ten Londyn robi się jakiś daleki. Znika we mgle zwątpienia, w przyśpieszonym tempie dematerializuje się, przestaje być realnym bytem. Jądro rzeczywistości przesunęło się na wschód. To tam wykryształizowała się ciemna, gęsta siła, która z każdym dniem coraz mocniej magnetyzowała umysły i podsuwała te przekłete pytania, na które nie potrafił udzielić precyzyjnej odpowiedzi.

Chrząknięcie krawca przypomniało mu, że pan Ludwik i jego żona właśnie na nią czekają. Potarł czoło i zaczął myśleć na głos. Jeśli chłopak da drapaka, rozważał, niewątpliwie będą się mścić na rodzinie. Najprawdopodobniej na panu Ludwiku. W końcu wiedzą, że to stuprocentowy Polak, który czwartą grupę dostał wyłącznie z powodu żony. A przecież Mateusz, o ile się nie myli, ma jeszcze żonę, też Polkę. I dwójkę dzieci. Żonę wyślą do obozu, a dzieciaki wezmą na zniemczenie. Z drugiej strony, jeśli pójdzie do Kriegsmarine, może już nie wrócić. Dać się zabić teraz, tuż przed końcem wojny, faktycznie byłoby głupio. Ale znowu jeśli zdezerteruje i go złapią, na pewno dostanie czapę. Żonie i dzieciom też nie odpuszczą. Wiadomo, odpowiedzialność rodowa. A w tej marynarce jest jakaś szansa. W końcu nie każdy okręt podwodny idzie na dno.

– No ale co ludzie powiedzą? – niepokoił się pan Ludwik. – Od zdrajców będą go wyzywać. I nas też. I tak patrzą na nas wilkiem. Wydaje im się, że jak ktoś podpisał, to już tylko miody spija i w piernatach śpi. A ja po nocach siedzę, żeby nam na jedzenie starczyło. Niedługo nawet w brylach jak denka od butelek igły nie będę widział.

– Panie Ludwiku, o folkslistę nie musi się pan martwić! – Aż wyprostował się na krześle, zadowolony, że w końcu może wypełznąć z bagna mętnych przypuszczeń i stanąć na pewnym gruncie. Przemawianie zdecydowanym tonem wysokiego, przynajmniej jak na powiat, urzędnika, przyzwyczajonego do zapoznawania ze swoją opinią niższych rangą współpracowników, sprawiło mu niekłamaną przyjemność. O nie, nie dlatego bynajmniej, iż kochał władzę, ale dlatego, że informowanie, rozkazywanie, pouczanie należało do jego obowiązków, a on lubił wywiązywać się z nich porządnie. I przy okazji poruszonego przez krawca tematu mógł wreszcie to uczynić. –

Panią Jadwigę wciągnęli przecież bez pytania. Pan podpisał, bo żonie nie dawali spokoju, pana straszili zabranieniem na roboty. Zresztą zrobił to pan

za naszą wiedzą i zgodą. W końcu jest u pana punkt kontaktowy, a gdzie może być bezpieczniej, jak nie u folksdojczy? Więc tym niech się pan nie przejmuję. Że ludzie gadają? Ano ludzie już tacy są, że muszą na kogoś gadać. Jak znam życie, najwięcej gadają właśnie tacy, co w niczym nie są, nic nie robią, siedzą cicho i tylko pilnują swego. Przecież nie będzie pan biegał od jednego do drugiego i tłumaczył, że zrobiliśmy u pana punkt kontaktowy. Natomiast co do syna... Hm... Chyba jest sposób, żeby wyszedł z tego bez uszczerbku i jeszcze zapracował na medal. On nie należy nigdzie, prawda? Więc teraz będzie. W Wilhelmshaven zgłosi się do niego ktoś od nas. Pański syn będzie mu przekazywać informacje. Rozumie pan? Pojedzie tam jako nasz człowiek. A w takim razie po wojnie nikt nic mu nie zrobi. Na bohatera jeszcze wyjdzie.

Z min jego rozmówców nietrudno było odgadnąć, że nie są zachwyceni proponowanym rozwiązaniem.

– A jeśli go złapią?

– Nas też mogą złapać. W każdej chwili może tu wpaść Gestapo. A w Wilhelmshaven syn ma większe szanse niż jako dezertor. Przecież zanim trafi do łodzi podwodnej, muszą go najpierw przeszkolić. Nie znam się na tym za bardzo, ale domyślam się, że takie szkolenie trwa co najmniej kilka tygodni. Więc zanim wypłynie w morze, wojna prawdopodobnie się skończy. Poza tym, skoro państwa syn ma takie marne zdrowie, nikogo nie zdziwi, jeśli podczas szkolenia trafi do lazaretu. Nawet na dłuższy czas. Przed wyjazdem umówię go z naszym lekarzem. Pouczy go, w jaki sposób symulować lub wywoływać różne choroby. No, głowa do góry! Wszystko będzie dobrze!

Żeby uciąć temat, chwycił kubek i mruknąwszy, że zaraz powinna przyjść Dorota, wyniósł się do pracowni. Postawił kubek na stolyczku za parawanem i przemierzał wolno pokój w tę i z powrotem. Dorota. Bogu dzięki, że chociaż ona wywinęła się śmierci. Najpierw tyfus, potem zapalenie płuc; to nie przelewki. Każdego wieczora modlił się do Matki Boskiej o jej wyzdrowienie. Była już chwila, kiedy zwątpił w powodzenie tych modlitw. Jak widać, zwątpił niesłusznie. Jeszcze jeden dowód na to, że nie wolno wątpić. Tylko wiara całkowita zapewnia skuteczną obronę. A nawet jeśli nie zapewnia, pozwala lepiej znosić razy od losu. A to już dużo. Bardzo dużo. Przynajmniej w tych strasznych czasach. O Hanię też się modlił. Codziennie. A rano wysłał jej paczkę na Boże Narodzenie. Pasztet, biały ser, makowiec

i konfitury. Na wigilijną kolację. I kopertę z opłatkiem. Nie z całym opłatkiem, z połową. Hania na pewno się domyśli, że drugą połowę zostawił dla siebie. Skoro nie mogą się nim przełamać, niech chociaż zjedzą po kawałku tego samego.

Zatrzymał się przy stoliczku i upił trochę herbaty. Dziś smakowała nawet jako tako; zdaje się, że oprócz zielska było w niej trochę leśnych owoców. Wziął jeszcze dwa łyki, odstawił kubek i znów zaczął się przechadzać. Śmierć Biedronki wciąż nie dawała mu spokoju. Zaraz po spotkaniu z Dorotą pójdzie na plebanię i opłaci mszę za duszę zmarłej. Tylko czy można zamówić mszę za duszę samobójczyni? Hm... Chyba tak. W końcu taka msza jest właśnie po to, by się za zmarłym wstawić, by prosić o odpuszczenie mu grzechów. Tylko skąd wziąć pieniądze? Nawet nie musiał wsadzać ręki do kieszeni, aby się przekonać, że jest tam tylko parę drobniaków. Wszystko wydał na tę świąteczną paczkę. Gdyby miał przy sobie jakieś służbowe pieniądze, mógłby ewentualnie wziąć z nich. Oczywiście chwilowo. Ale akurat, jak na złość, nie miał ani marki. Chyba żeby pożyczyć od krawca? A za tydzień oddać. No właśnie. Zresztą pewnie pan Ludwik i jego żona zechcą się dołożyć; w końcu znali i lubili Biedronkę. Dorota i Gwiazdeczka też pewnie coś dorzucą, więc w sumie nie wyjdzie to nawet drogo.

Zrobił następne kółko po pokoju i zatrzymał się przed podretuszowanym kolorową farbą portretem ślubnym krawca i jego żony. Też miał w sypialni taki portret, tyle że bez żadnych retuszy, za to znacznie większy i w grubej złotej ramie. Hania wyglądała na nim tak pięknie! Hania... Od paru dni coraz bardziej się o nią niepokoił. Coś spóźniała się kartka pocztowa od niej, powinna była przyjść już w zeszłym tygodniu. To nieważne, że znowu z tą samą standardową treścią: *Lieber Henryk! Es geht mir gut...*²⁰¹ Kartka dowodziła, że Hania żyje. A przynajmniej, że żyła w dniu, w którym ją wysłała; nic dziwnego, że zaczynał się martwić. Zawsze była taka delikatna, krucha, wciąż na coś chorowała. Przy lada wiatunku łapała kaszel, a przy najmniejszym mrozie przeziębienie. Dlatego od początku jesieni podsyłał jej w paczkach swetry, grubą bieliznę, rękawiczki, szaliki, słowem wszystko, co potrzebne do przetrwania mrozów. Wyobrażał sobie, jak musi być zimno w obozowych barakach. Pracownia pana Ludwika to w porównaniu z nimi środek Afryki. Hania będzie potrzebowała sporo szczęścia, żeby wyjść z tego cało. Ale wyjdzie, na pewno wyjdzie. Nie

wywinie mu żadnego głupiego numeru. Nie należy wpadać w panikę. Takie opóźnienia kartek już bywały. Nie ma co przejmować się na wyrost.

Wrócił do stoliczka, dopił herbatę, włożył rękę do kieszeni spodni i na nowo podjął spacer po pokoju. Próbował sobie przypomnieć, ile lat miała Biedronka. Zdaje się koło dwudziestu jeden. Może dwadzieścia dwa. Czyli mogłaby być jego córką. Tyle lat zamartwiali się z Hanią, że nie mogą mieć dzieci, tyle pieniędzy wydali na lekarzy, tyle razy pielgrzymowali do Częstochowy, do Ostrej Bramy! Raz nawet do Lourdes. I nic. A teraz się okazuje, że być może bardzo dobrze się stało, że tych dzieci nie mieli. Bo oglądaliby, jak idą na rzeź. I być może do końca życia robiliby sobie wyrzuty, że oni, rodzice, przeżyli, a one, ich wymarzone i wymodlone dzieci – nie. Więc może już lepiej, że jest, jak jest. Zaś co do tych wyrzutów, już i tak je miał, i to od dawna. W stosunku do tych wszystkich dziewcząt, nierzadko córek jego przyjaciół oraz bliższych i dalszych znajomych, które uczył w gimnazjum Anny Jagiellonki i którym kazał wkuwać na pamięć, że *dulce et decorum est pro patria mori*²⁰². W końcu, przez piętnaście lat pracy, nazbierało się ich chyba z tysiąc. I teraz od czasu do czasu przesuwano mu się przed oczyma tableau podobne do tych, jakie zazwyczaj wiszą na szkolnych korytarzach – takie z dziesiątkami owalnych fotografii rozanielonych abiturientek i surowych członków grona pedagogicznego. Tyle że to wyświetlające się w jego wyobraźni było całkiem inne, upiorne. Terenia Polińska, matura trzydzieści trzy, rozstrzelana w Lesie Winiarskim. Madzia Hornowska, matura trzydzieści pięć, zgwałcona i zaszlachtowana przez Ukraińców w czasie rzezi na Wołyniu. Adela Rozenkranc, matura trzydzieści dziewięć, powieszona za niezastosowanie się do nakazu wysiedlenia. Zuza Szarras, też matura trzydzieści dziewięć, zasypana pod gruzami w ostatnich dniach powstania warszawskiego. Lucia Freytag, maturę miała robić w czterdziestym, zesłana z całą rodziną do Oświęcimia za odmowę podpisania folkslisty. Mela Korczak, matura trzydzieści jeden, zastrzelona przez żandarmów na podwórku swojego domu w Piotrkowie wraz dwójką własnych i dwójką żydowskich dzieci, które wzięła na przechowanie. Ania Krzewska, wnuczka dawnego pracodawcy ojca, dwa lata do matury, wzięta w łapance w Krakowie i wywieziona w nieznanym kierunku; nikt więcej o niej nie słyszał. Krysia Serafinowicz, matura trzydzieści sześć, zabita przez bombę na drodze jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego, podczas

ucieczki. No i Romka, no i jeszcze Romka... A przecież to nie wszystkie. To zaledwie te, o których miał wiadomości. Takich, które już nie wrócą, będzie na pewno więcej. Więc po to je uczył, by tuż po wkroczeniu w dorosłe życie skończyły w ziemi, obrócone w proch? I jakim prawem je przeżył? Czy miał takie prawo? Czy w jakimś sensie ich nie zawiódł? Nie oszukał?

Usiadł przy stole służącym panu Ludwikowi do pracy i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak w bezruchu minutę, może dwie. Boże drogi, czasami miał już tego wszystkiego dosyć. Dlaczego przyszło mu żyć w takich czasach? Dwie wojny to chyba za dużo jak na życie jednego człowieka. A właściwie trzy, bo przecież oprócz dwóch światowych po drodze była jeszcze wojna polsko-bolszewicka. Też niezła jatka. I we wszystkich trzech brał udział. Ilu ludzi zabił? Ile widział trupów? Ilu stracił towarzyszy? Nigdy nie zdoła tego policzyć. Nawet gdyby zamiast łaciny i greki studiował wyższą matematykę.

– Aaaaaaaa! – Zerwał się z miejsca i znowu, niczym lew po klatce, zaczął krążyć po pokoju. Nie, nie, nie, za nic nie wolno mu się poddawać podobnym nastrojom! Musi być twardy, opanowany, pewny siebie. Nie może się rozklejać jak stary bucior. Omal się nie zarumienił na myśl, co by sobie pomyśleli państwo Ludwikostwo, gdyby go przed chwilą zobaczyli. Zatrzymał się, otarł dłonią mokre policzki i pomrukał chwilę okiem, żeby wypłoszyć nagromadzone pod powieką łzy. Czekał aż obeschną, spojrzał na zegarek i syknął. Niedobrze. Zaraz zjawi się Dorota. Nie powinna niczego poznać. Wyjął chusteczkę do nosa i jeszcze raz wytarł nią oko i twarz. W porządku, chyba powinno pomóc. Najważniejsze to zachować spokój.

Aby przekonać samego siebie, że niespodziewany atak słabości minął, wrócił do przerwanej spaceru po pracowni. Pewnie Paleniówna zapyta go o Romkę. Nic nowego jej nie powie. Wprawdzie z dwóch ostatnich raportów, jakie złożyła przed chorobą, wynikało niezbitie, że Gołdyń może mieć coś wspólnego ze śmiercią Romki, ale po jego wyjeździe śledztwo siłą rzeczy utknęło w martwym punkcie. Parę razy pytał o nie Topora, ale ten wzruszał tylko ramionami; twierdził, że bez przesłuchania malarza i tak nie ruszy z miejsca.

Najgorsze, że tkwiła w tym jego wina. Może gdyby nie zezwolił Dorocie działać samodzielnie, wszystko potoczyłoby się inaczej? Jej nieudolne poczynania spłoszyły ptaszka i szukaj teraz wiatru w polu! Z tym Gołdyniem to w ogóle kłopotliwa sprawa. Jeśli wierzyć Toporowi, w czasie kilkuletniej

podróży po Bliskim Wschodzie, jaką malarz odbył przed wojną, oddał on spore usługi Dwójce. A przez pierwsze trzy lata okupacji współpracował z wydziałem legalizacji. Sam nie mógł wprowadzić fałszować dokumentów, bo benedyktyńską robotę uniemożliwiały mu jakieś kłopoty z ręką, ale oko miał sprawne, więc oceniał pracę innych, wyłapywał nawet najmniejsze błędy w lewych papierach i nadzorował ich usunięcie. Kto wie, ilu ludziom uratował życie. Jednak z czasem alkoholizm i narkomania coraz częściej doprowadzały go do utraty samokontroli. Dalsza współpraca z Gołdyniem stała się niebezpieczna. Na początku czterdziestego trzeciego podziękowano mu i odtąd nie miał żadnych związków z podziemiem. Tak czy owak, facet miał dla sprawy niekwestionowane zasługi. Mimo wszystko Topór powinien był jednak przeszukać mieszkanie malarza. Chociażby po to, by oczyścić go z podejrzeń. Czy to zrobił? Wątpliwe; nic na ten temat nie wspominał. Najwyraźniej była po temu jeszcze jedna przyczyna. Topór najzwyczajniej w świecie nie rozumiał, po co miałby tracić czas na szukanie mordercy jakiejś tam Żydówki. Ta cała endecka hałastra przecież ledwie kryła satysfakcję z tego, co Niemcy zrobili z Żydami. Pewnie i z tego powodu Dorota tak bardzo nalegała, że zajmie się sprawą sama.

W przedpokoju rozległ się dzwonek: najpierw dwa długie dźwięki, potem, po krótkiej pauzie, trzy krótkie. To ona. Wziął głęboki oddech i podszedł do wiszącego na ścianie lustra. Jeden rzut oka przekonał go, że już wszystko dobrze. Szybkim krokiem powrócił do stoliczka i usiadłszy na krześle, założył swobodnie nogę na nogę.

[198](#) (niem.) „Posiedzenie Trybunału Narodowego w Kraju Warty. Siedem wyroków śmierci za sprzyjanie wrogowi. Od 6 do 9 grudnia 1944 Trybunał Narodowy z Berlina na wyjazdowej sesji w Kaliszu rozpatrywał sprawę dziesięciu Niemców oskarżonych o zdradę stanu oraz sprzyjanie wrogowi. Znaczenie procesu podkreślała obecność na sali rozpraw namiestnika Rzeszy na Kraj Warty, gaulajtera Greisera. Obok przedstawicieli Partii z regionu towarzyszyli mu również prezes Najwyższego Sądu Krajowego Froboss, prokurator generalny Steinberg oraz krajowy naczelnik do spraw narodowości, kurator uniwersytecki doktor Streit”.

[199](#) (niem.) Członek narodu niemieckiego.

[200](#) (niem.) Urodzony.

[201](#) (niem.) Drogi Henryku! U mnie wszystko dobrze.

[202](#) (łac.) Słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Środa, dwudziestego grudnia

Od razu go rozpoznała – po włosach i spojrzeniu. Włosy były ciemne, gęste jak szczotka, zaczesane do tyłu, jakby stworzone po to, by przeczesywać je palcami. I jak się wkrótce przekonała, rzeczywiście cały czas to robił – wsuwał w czuprynę krótkie, trochę nieforemne palce, i grabił ją od czoła aż po tył głowy. Bogiem a prawdą, nie brakowało mu po temu powodów. Kiedy chcesz uwolnić więzioną przez złego czarownika księżniczkę i w tym celu najmujesz się na służbę u innego czarownika, wroga tamtego, licząc, że sprytnie wywiedziesz obu w pole, powinieneś wiedzieć, że może się to udać tylko przy długim ciągu niezwykle szczęśliwych zbiegów okoliczności. W bajkach mogą się one przydarzyć, w życiu – nigdy. A jeśli nawet, to wyjątkowo, wyjątkowo rzadko. Niestety, pojmujesz to zbyt późno. I nie masz pojęcia, co dalej. Tkwić nadal w tym bagnie? Bez sensu. Ale w tym samym bagnie grzęzną po uszy także ci, których to ty przekonałeś, by przyłączyli się do wypraw. Byłoby świństwem, gdybyś ich porzucił. Więc się szarpiesz, rzucasz, przeczesujesz włosy, a bagno z każdym dniem wciąga cię coraz bardziej. I nic dziwnego, że na dnie twoich brązowych oczu, nawet wtedy, gdy się śmiejesz, widać rozpacz człowieka, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– *Wy Dorota. Diadia skazał, szto wy prijdiotie. Prochoditie!*²⁰³

Mijając go w drzwiach, zauważyła, że wbrew temu, co sugerowały pokazywane przez Łubnina fotografie, wcale nie jest niski i krępy, choć i nie wysoki. Ucieszona tym rozminięciem się jej wyobrażeń z rzeczywistym wizerunkiem profesorskiego bratanka, zatrzymała się na końcu przedpokoju i zaczęła rozpinać płaszcz. Dziwne – miała wrażenie, że oto niespodziewanie dopełnia się coś, co od dawna przeczuwała. A przecież nic nie wskazywało

na to, że kiedykolwiek pozna go osobiście.

– *Proszu was*²⁰⁴. – Poczwała, jak chwyta za jej płaszcz i płynnym ruchem pomaga go zdjąć. – *Et voilà!*

– *Spasiba*²⁰⁵.

Bił odeń zapach szarego mydła i wody po goleniu. Domyślała się, że pewnie, jak większość przybyłych z frontu, urlop rozpoczął od wizyty w łaźni i odwszenia. Chociaż wiszący na wieszaku szynel i zielonkawoziemista kurtka mundurowa o nieznanym kroju nie cuchnęły tym świństwem, którym truto insekty. Może na zapleczu, gdzie pracował jako redaktor wojskowego pisma, wszy nie dawały się tak bardzo we znaki? Jej wzrok przyłgnał na chwilę do naszytych na kołnierz kurtki białych patek z czerwonym krzyżem św. Andrzeja, potem powędrował w górę, gdzie na drewnianej półeczce leżała obszyta karakułami kubanka. Na koniec opadł i zarejestrował stojące na podłodze brudne kawaleryjskie buty i opartą o ścianę, leciutko zagiętą kozacką szablę w czarno-złotej pochwie.

– Trochę dziwaczny ten mundur, jakby nie z tej epoki, prawda? – Spostrzegłszy jej zainteresowanie uniformem, uśmiechnął się ni to smutno, ni szyderczo. Głos miał pełny, ciepły i miękki, zupełnie inny niż wysoki głosik profesora. – I skompletowany z czego popadnie. Kurtka holenderska, pas polski, buty niemieckie, szabla kozacka. Aha, a szarawary – klepnął się po udach – sowieckie. Słowem, wypisz, wymaluj – operetka!

Spodobał się jej błysk ironii w jego oczach i pobrzmiwający w głosie cierpki humor. Taki humor charakteryzuje ludzi mających zdrowy dystans do samych siebie i do tego, co robią. A człowiek nigdy nie powinien wierzyć ślepo, bezkrytycznie, całym sobą. Inaczej może sobie skrócić kark – jak przy skoku do wody w nieznanym miejscu.

– Chodźmy do kuchni – zaproponował – bo w pokoju dopiero co napalone, jeszcze zimno.

Weszła do kuchni, odwróciła się i wyciągnęła rękę.

– Dorota Paleń.

– Wadim. Wadim Łubnin.

Dłoń miał ciepłą, uścisk stanowczy, a jednocześnie ostrożny, wyważony, w sam raz. Nie cierpiała, kiedy mężczyzna nie widział różnicy między łapskiem dorożkarza a kruchą ręką dziewczyny i zgniatał ją własną dłonią niczym obcęgami. Tych, którzy tak czynili, posądzała o idiotyczną chęć

popisania się siłą i zupełny brak wyobraźni. Ale równie bardzo nie znosiła uścisków przesadnie delikatnych, miękkich jak wata, niewieścich.

– Proszę usiąść. Herbaty?

– Tak, chętnie.

Podczas gdy bratanek Łubnina kręcił się przy rozpalonym do czerwoności piecu, przyglądała mu się uważnie. Trochę śmiesznie wyglądał w granatowych jeździeckich spodniach z czerwonymi lampasami, przyciasnym swetrze stryja i jego starych łapciach. Ale najbardziej rzucało się w oczy, że wygląda na znacznie starszego, niż by to wynikało z metryki. Przecież miał zaledwie o kilka lat więcej od niej, a sprawiał wrażenie czterdziestolatka. Oto cena, pomyślała, jaką się płaci za złudzenia. A może to tylko zmęczenie? Odpocznie kilka dni i cienie pod oczyma znikną? Nie, tego, co musiał widzieć przez ostatnie trzy lata, nie da się zetrzeć z twarzy, nawet pumeksem. To się wdziera w skórę jak proch strzelniczy. I zostaje na całe życie. Piekielne piętno. Piętno wtajemniczenia. Ona pewnie też ma je na twarzy, ale – przyzwyczajona do własnego odbicia w lustrze – już go nie dostrzega. Za to mieszkaniac jakiegoś spokojnego, nietkniętego przez wojnę kraju, jakiś Szwed czy Szwajcar, tylko rzuciłby na nią okiem i od razu by je wypatrzył. Chociaż zdarzały się chwile, w których i jej samej udawało się to piętno dostrzec. Na przykład dziś rano, kiedy siedząc przed ustawionym na toaletce tremo, czesała włosy i w pewnej chwili odniosła nieodparto wrażenie, że zamiast siebie widzi Biedronkę.

– Coś nie tak? Zbladła pani.

Czy coś jest nie tak? Też pytanie! W tej chwili, przynajmniej pod tą szerokością geograficzną, wszystko z zasady było nie tak. Siedzą tu sobie w ciepłej kuchni, rozmawiają jakby nigdy nic, zaraz napiją się herbaty, a dwadzieścia kroków dalej, na dnie szamba, leży sobie dziewczyna. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby mu o tym powiedziała? To co, powiedzieć? Przez dłuższą chwilę na serio walczyła z pokusą. Nie, zdecydowała, po co dorzucać mu na plecy jeszcze jeden ciężar? Mało to dźwiga swoich? Romka to jej brzemię i sama musi się z nim zmierzyć. Tak jak kilka minut temu, gdy po raz pierwszy od dwóch miesięcy przechodziła obok tego straszego szamba. Na myśl, że gnije w nim jej szkolna koleżanka, dostała zawrotów głowy. A przecież to nie jedyny powód udręki. Bo w innym końcu miasta kolejna koleżanka oczekuje na pogrzeb. Ta druga w porównaniu z pierwszą może uchodzić za szczęściarę; pochowają

ją w trumnie, w obecności rodziny i przyjaciół, którzy nie pożałują nieboszczce łez i kwiatów. Choć zostali zmuszeni do zakopania jej pod płotem, jak wyrzutka. I, oczywiście, bez udziału księdza. Były dziś rano z Gwiazdeczką u św. Gotarda, prosiły proboszcza o chrześcijański pogrzeb, przekonywały, dowodziły, płakały, apelowały. Jak grochem o ścianę. Stanie na straży doktryny okazało się dla klechy równie ważne, jak dla strażników obozowych pilnowanie, by żaden więzień nie wy dostał się za bramę. Nie przypadkiem sutanna od dawna kojarzyła się jej z mundurem. Za to w pogrzebie ani chybi weźmie udział nieukojonny w żalu ojciec zmarłej. Wyobrażała sobie, jak po zasypaniu grobu znajomi Biedronki podchodzą do pana Kusia i składają mu kondolencje, a on, ocierając łzę, podaje każdemu rękę i kiwa smutno głową. Na samą myśl o tym z obrzydzenia i raniącej do żywego mięsa bezsilności skręcały się jej flaki.

– Dorota! Źle się pani czuje?

– Nie, nic... To znaczy... – Co ja, głupia, plotę? – Moja koleżanka się zabiła. Dwa dni temu. Jutro jest pogrzeb...

– Przykro mi.

W kuchni zapanowała nieprzyjemna cisza. Jak w pokoju umarłego. Więc nie udało się jej uratować Biedronki. Nie zdążyła. A już miała plan, jak jej umożliwić wyjazd z Kalisza, przynajmniej na jakiś czas. Postanowiła na śródownym spotkaniu zameldować Mechanikowi, że zauważyła chodzącego za Biedronką jakiegoś podejrzanego typu, prawdopodobnie szpicla. Wszystko tak sobie ułożyła, aby osiągnąć cel, czyli wysłać Biedronkę na prowincję, a jednocześnie nie narobić nieprzewidzianego zamieszania. To by dopiero było, gdyby na skutek przyniesionych przez nią nowin Mechanik zarządził alarm! Więc pół nocy z poniedziałku na wtorek łamała sobie głowę nad szczegółami swojej bajeczki. A następnego dnia okazało się, Biedronka nie żyła już wtedy od paru godzin. Ale to, że spóźniła się ze swoją pomocą, to jeszcze nic. Cały czas torturowało ją podejrzenie, czy sama bezwiednie nie przyczyniła się do jej śmierci. Wszystko przez tę rękawiczkę, którą zgubiła tamtego dnia. Dopiero wieczorem, w domu zauważyła, że jej nie ma i uświadomiła sobie, że od kilku godzin biegała po mieście bez rękawiczek. Ale kiedy szła do Kusiów, na pewno miała je na rękach. Trudno przecież, żeby w środku zimy, w mróz, nie włożyła rękawiczek. Dopiero to, co się tam stało, tak ją wytrąciło z równowagi, że na śmierć o nich zapomniała. I przez resztę dnia chodziła z gołymi dłońmi.

A że była zdenerwowana, nawet tego nie spostrzegła. Jak i tego, że jedną rękawiczkę zgubiła. Pytanie brzmiało: gdzie? Jeśli po wyjściu od Kusiów, albo u nich, ale na podwórku, w maglu lub nawet na werandce, to w porządku. Lecz co innego, jeśli upuściła ją w głębi przedpokoju, na przykład obok drzwi, za którymi działo się to wszystko. Jeżeli faktycznie tak było i rękawiczkę znalazła Biedronka, a może i pani Kusiowa, ale powiedziała o tym Biedronce, ta musiała się domyślić, że ona była w przedpokoju i najprawdopodobniej wszystko widziała. I Biedronka, przerażona, że jej koszmarna tajemnica wyszła na jaw, ze wstydu się otruła. Jeśli te przypuszczenia są słuszne, nigdy sobie tego nie wybaczy!

– Pija pani mocną czy słabą?

– Proszę słabą... Ale najlepiej z dodatkiem czegoś mocnego.

Młody Łubnin objął ją zaciekawionym spojrzeniem, po czym bez słowa komentarza wyszedł do pokoju. Po chwili wrócił z butelką koniaku.

– Chciałem ją sprezentować stryjowi, ale chyba się nie obrazi, jeśli nalejemy sobie po jednym.

W milczeniu patrzyła, jak wyjmuje z kredensu dwie szklanki i stawia je na stole. Przekłęta rękawiczka, że też ją zgubiła i to akurat w tym dniu! Musi koniecznie podpytać o nią panią Kusiową. Bratanek profesora napełnił szklanki w jednej trzeciej. Jeśli się okaże, że rzeczywiście zgubiła ją u nich, ale nie w przedpokoju, będzie to oznaczać, że samobójstwo Biedronki nie miało z rękawiczką nic wspólnego. Po prostu dziewczyna miała dosyć, nie wytrzymała. Ślepy traf sprawił, że akurat w tym właśnie dniu. Po kuchni rozszedł się przyjemny, poszczypujący w nosie aromat. A co, jeżeli pani Kusiowa powie, że rzeczywiście jest u nich jakaś cudza rękawiczka, ale nie wiadomo, kto ją znalazł i w jakim miejscu? Wtedy kawałek po kawałku zeżre ją niepewność. Boże, nie, nie, nie!

Chwyciła szklankę i wypila koniak jednym haustem. W oczach jej rozmówcy błysnęło zdumienie, ale nie skomentował, tylko w milczeniu jeszcze raz napełnił szklankę.

– *Merci!*

– *Avez vous envie de parler français?*²⁰⁶

– Dlaczego? Mówię źle po rosyjsku?

– Mówi pani bardzo dobrze. Stryj musi być dobrym nauczycielem.

– Bardzo dobrym. A propos, gdzie on jest?

– Poszedł kupić coś na kolację. Przyjechałem dość nagle, bez zapowiedzi, trochę go zaskoczyłem. Ma też dla mnie pożyczyć od znajomego krawca jakiś garnitur. Nie chce się pokazywać na mieście w towarzystwie, jak wy to mówicie? Własowca? Wcale mu się zresztą nie dziwię. Po co ma się narażać na przykrości? Szczerze mówiąc i ja chętnie pochodzę parę dni w cywilnych łachach. Ten mundur już od dawna parzy mnie jak szata Dejaniry.

– Cóż... Nie przyszyto go panu do skóry... Więc może by się tak z nim rozstać? Przecież według wszelkich znaków na niebie i ziemi już i tak nie wywalczy w nim pan tego, co się panu marzyło.

Bratanek Łubnina zmierzył ją obolałym spojrzeniem potrąconego przez samochód psa. Zmieszała się.

– Przepraszam. Nie powinnam...

Postawił na stole dwie szklanki w koszyczkach i usiadł naprzeciwko niej. Po kolorze poznała najprawdziwszą herbatę. Domyślała się, że to on ją przywiózł.

– Nie ma za co przepraszać. To dobrze, że powiedziała pani, co myśli. – Otworzył cukiernicę, w której ku jej zdziwieniu bielił się porządny, miarki cukier. – Ile pani słodzi? Jedną? Płaską czy czubatą? – Wsypał do jej szklanki łyżeczkę cukru, potem dwie do swojej. – Przydałyby się konfitury. Widziałem kilka słoiczków na szafie w pokoju, ale nie chcę się szarogęścić.

Zapadło milczenie. Zrozumiała, że na razie nie miał ochoty rozmawiać o swojej przyszłości. Na stole leżała książka. Wzięła ją do ręki i otworzyła na stronie tytułowej. Nikołaj Bierdiajew, *Miłoszercanije Dostojewskowo*, Praga 1923.

– To prezent dla stryja. W pokoju mam jeszcze kilka własnych. Chce pani zobaczyć?

– Chętnie.

Wyszedł do pokoju i po chwili wrócił, niosąc w ręce trzy woluminy.

– Proszę.

Zaczęła przeglądać książki. Jean-Paul Sartre *L'être et le néant. Essai d'ontologie phénoménologique*, Paris 1940. Nic jej to nie mówiło. Przed wojną niejaka pani Greta, mieszkająca w Paryżu znajoma ojca, zdaje się jego młodzieńcza sympatia, raz na pół roku przysyłała im kilka książek. Ale po wybuchu wojny przestała. Była Żydówką, jej mąż był dość zamożny, więc może udało im się wyjechać z Francji. A jeżeli nie, prawdopodobnie już nie

żyła.

– O czym to?

– *Sartre? Il prétend que l'existence n'a pas de sens. L'homme est tombé, sans sa volonté, dans le non-sens de l'histoire.*²⁰⁷

Człowiek wepchnięty we wrogi, obcy świat? To chyba lektura na czasie. Odłożyła tom i sięgnęła po następny. Antoine de Saint-Exupery, *Terre des hommes*, Paris 1938. Czytała jego *Vol de nuit. Terre des hommes...* Jak by to ładnie przetłumaczyć? Ziemia ludzi? A może Ludzka ziemia? Nie, to zmienia zupełnie sens. Ziemia ludzi brzmi lepiej. Ale o jaką ziemię właściwie chodzi? O grunt, rolę, posiadłość? Nie, wtedy robi się z tego jakaś bzdura. Raczej o glob, o kulę ziemską. Czyli to jest Ziemia, nie ziemia. Planeta ludzi. No właśnie, tak należałoby to przetłumaczyć: Planeta ludzi. Planeta ludzi zaatakowana przez nadludzi. Odłożyła i wzięła do ręki trzecią. Albert Camus, *L'Étranger*. Paris 1942. *L'Étranger...* Cudzoziemiec? Obcy? Wróg? Po podniszczonej okładce i przybrudzonych kartkach widać było, że właściciel często do niej zagląda.

– To pana ulubiona, prawda?

– Owszem.

– Proszę mi o niej opowiedzieć.

Wyjął jej z ręki powieść i przerzuciwszy kilka stron, przez chwilę zbierał myśli.

– *Donc, un narrateur, Mersault, vit en Algerie française. Un jour il reçoit un telegramme lui annonçant que sa mère vient de mourir. Quand Mersault assiste aux funérailles, il ne prend aucune attitude de circonstance que l'on attend d'un fils endeuillé – il n'est pas triste, il ne pleure pas.*²⁰⁸

– Dlaczego? Nie kochał matki?

– *Si, mais il n'a pas pleuré pendant son enterrement. Tout simplement. Plus tard, il rencontre un voisin qui l'invite à la plage. Ce dernier est souteneur et s'est montré brutal avec sa maitresse mauresque. Sur la plage, ils croisent deux hommes dont l'un est le frère de cette maitresse. Une bagarre eclate. Peu de temps après, Mersault, accablé par la chaleur et la lumière, marche seul sur la plage et rencontre a nouveau l'un des hommes. L'Arabe sort son couteau. Mersault a un revolver. Abruti par la luminosité agressive de cet après-midi, ebloui par le reflet du soleil sur le couteau, Mersault tire et tue l'Arabe. A son procès il refuse de mentir et est condamné*

à mort.²⁰⁹

Ze zdumienia omal nie wypłynęły jej oczy. Wiedziała, że we Francji ukazują się normalnie francuskie książki, ale w życiu by nie przypuszczała, że niemiecka cenzura przepuści powieść, której bohater, społeczny męt, morduje dla kaprysu Araba (symbolizującego przecież, jak się nietrudno domyślić, Żyda), po czym zostaje przez sąd skazany na śmierć. Przecież to niemal niezawołowane ostrzeżenie dla wszystkich kolaborantów: nie pomagajcie Niemcom, bo skończycie jak Mersault! I coś takiego pojawia się w paryskich księgarniach w czterdziestym drugim roku. Niepojęte! Powiedziała o tym młodemu Łubninowi, ale ten westchnął tylko i oświadczył, że oto skutek streszczenia w trzech zdaniach czegoś, czemu autor nie przypadkiem poświęcił osiemdziesiąt stron. Zdziwiona, zaczęła wypytywać:

– Mersault nienawidzi Arabów?

– *No, pas du tout.*²¹⁰

– To dlaczego zabił?

– *Je vous ai dit: a cause du soleil et du chaleur. C'est tout.*²¹¹

– I nie jest rasistą?

– *Non.*

– *Je ne comprend rien. C'est l'Arabe qui est „étranger”?*²¹²

Bratanek profesora pokręcił ze śmiechem głową.

– *L'étranger c'est Meursault lui-même. Il est étranger à la société ou il vit. Cette société dit: tu dois pleurer après la mort de ta mère. Tu dois mentir pendant ton procès. Mais Meursault ne veut pas mentir. Il ne joue pas le jeu. Il ne se conforme pas aux canons de la moral social, et semble étranger au monde et a lui-même. Et il accepte, sans aucune attitude heroïque, mourir pour la verité.*²¹³

Zdaje się, że wreszcie zaczęła chwytać. Więc chodzi o to, że Mersault jest czarną owcą i za swoją odmienność musi zapłacić głową. To też lektura w sam raz dla niej! Czyż sama od lat nie była takim wyrzutkiem? I czyż nie czuła przez skórę, że oto zbliża się moment, kiedy za dystansowanie się od stada zostanie jej wystawiony ostateczny rachunek? Rachunek, którego tym razem nie da się już zwerksłować. Ciekawe, na jaką sumę będzie opiewał? I w jakiej będzie walucie. Podniosła szklanę, stuknęła nią o szklanę młodego Łubnina i znowu wychyliła koniak do dna. Bratanek

profesora uczynił to samo. On też, pomyślała, jest taką czarną owcą. To dlatego zaczytał tę powieść prawie na śmierć. Już chciała poprosić go o pożyczenie książki, kiedy ją uprzedził.

– *Tenez! C'est mon cadeau pour vous.*²¹⁴

Rozmowę przerwał powrót Łubnina. Profesor w jednej ręce trzymał pełną siatkę z zakupami, w drugiej – złożony w kostkę i przewiązany sznurkiem pakunek.

– O, widzę, że się już poznaliście! – Postawił na podłodze siatkę, potem wręczył bratankowi paczkę. – Idź do pokoju przymierzyć. Mam nadzieję, że będzie pasować. Buty pożyczę ci swoje, bo przecież nie będziesz nosić do garnituru tych długich buciorów!

Kiedy jej nowy znajomy zniknął, Łubnin opowiedział, dlaczego telefonował, żeby przysłała. Poprzedniego wieczoru, tuż przed siódmą, wracał od pani Olszewskiej z dwoma jajkami na jajecznicę, kiedy pod bramę podjechał samochód. Z auta wyskoczyło trzech gestapowców: jeden w mundurze i dwóch po cywilnemu. Tego w mundurze miał wątpliwą przyjemność znać – to właśnie on był kiedyś u niego z ulotką znaną wśród sowieckich jeńców. Nazywa się Kubesch. Na nieszczęście, a może, jak się później okazało, na szczęście, Kubesch także go rozpoznał i poprosił, by wskazał im drogę do mieszkania *des Künstlers Goldyn*²¹⁵. Oczywiście, zrobił to, a wtedy Kubesch poprosił, żeby poszedł tam razem z nimi. Miał zostać świadkiem. Świadkiem czego, zastanawiał się gorączkowo, wchodząc po schodach, świadkiem aresztowania? Bał się zapytać wprost. Nie, uspokajał się, na pewno nie świadkiem aresztowania, skoro Gołdynia w mieszkaniu nie ma. No, chyba że wrócił, a ktoś to zauważył i dał cynk na Gestapo. Ale dlaczego Niemcy mieliby go szukać? Wszystko działo się tak nagle i szybko, że nie potrafił zebrać myśli. Gdy znaleźli się przed drzwiami malarza, Kubesch wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i zaczął szukać tego pasującego do zamka pod klamką. Na ten widok Łubnin aż się spocił. Skąd mieli klucze? Czyżby Gołdyn znajdował się w ich rękach? A jeśli tak, to z jakiego powodu? Przecież nie przez Jodłowską. W całej kamienicy wiedziały o niej tylko dwie osoby – Matczak i on sam. Chyba że stróż coś wyśpiewał. Nie, niemożliwe. Matczaka potrzymali parę dni w kozie, po czym wysłali do kopania rowów przeciwczołgowych za Łodzią. Na początku listopada przysłał stamtąd kartkę. Gdyby przedtem opowiedział im

o zamordowanej Żydówce, zjawiliby się tu od razu. Więc Matczak na pewno nie puścił pary z ust. Więc kto? Czyżby ktoś jeszcze wiedział, że Gołdyń trzyma u siebie Żydówkę? Albo ktoś był świadkiem sceny znalezienia Jodłowskiej? Może siedział w oknie i wszystko widział? Nie zdążył wysnuć żadnej sensownej hipotezy, bo już byli w mieszkaniu. Kiedy gestapowcy pozapalali wszystkie światła, ze zdumienia aż rozdziawili gęby. Zresztą on też. Było do czego. Piękne meble, dywany, kilimy, obrazy – chyba sam Greiser nie miał tak luksusowo urządzonych apartamentów. Chyba z kwadrans łazili po pokojach, nie mogąc się napatrzeć. Gestapowcy co chwila powarkiwali, że to oburzające, by jakaś *polnisches Schwein*²¹⁶ mieszkała w takich warunkach. Dopiero kiedy ochłonęli, zabrali się do przeszukania. Na pierwszy ogień poszła biblioteka. Zdjęli z półek każdy tom i dokładnie go przekartkowali. A że tych tomów były ze dwa tysiące, musiało to trochę potrwać. W milczeniu obserwował, jak na podłodze rośnie stos rzucanych książek. Niektóre, te rozwarte, przypominały martwe ptaki z rozłożonymi skrzydłami. Potem przeszli do kuchni. Wysunęli każdą szufladę, otworzyli każde drzwiczki kredensu, zajrzeli na każdą półkę. Wysypali na podłogę zawartość wszystkich pudełek i słoików z cukrem, kawą, herbatą, mąką. Nie znalazłszy niczego, przenieśli się do salonu. Tam Kubeschowi od razu wpadła w oko leżąca na bufecie pochwa od orientального kindżału – srebrna, ze złotymi okuciami, wysadzana turkusami i innymi ozdobnymi kamieniami. Gestapowiec polecił swoim ludziom, by zwrócili uwagę, czy gdzieś nie leży sam kindżał. I od tej chwili bardziej rozglądał się za tym kindżałem niż za tym czymś, czego szukali wcześniej – o ile w ogóle szukali czegoś konkretnego. Po salonie przyszła kolej na jadalnię, ale i tu nie znaleźli niczego, co by ich zainteresowało. Wtedy zabrali się do sypialni. Tu Kubescha zaintrygowały wiszące w szafie damskie ubrania. Zapytał Łubnina, czy mieszkała z Gołdyniem jakaś kobieta i gdzie ona teraz jest. Odparł, że nie wie, ale podobno Herr Gołdyń miał słabość do dam, więc od czasu do czasu pojawiała się tu jakaś, ale na krótko. Potem poszli na górę, do pracowni. Pierwsze, co rzuciło się im w oczy, to obrazy, do których pozowała Jodłowska. Długo stali przed nimi, choć to nie uroda modelki zrobiła na nich wrażenie. Zastanawiali się, czy kobieta z obrazów nie jest aby Żydówką. I doszli do przekonania, że jest. Wtedy stali się bardzo czujni. Przewrócili atelier do góry nogami i w jednym kącie znaleźli

za przepierzeniem malutką niszę bez okna, w której stało łóżko i komódka. Prawdopodobnie Jodłowska kryła się tam, kiedy do Gołdynia ktoś przychodził. Na łóżku leżała nocna koszula, na podłodze stały damskie domowe pantofle. W komodzie gestapowcy znaleźli album ze zdjęciami i pustą kasetkę po biżuterii. W kasetce był przedwojenny paszport. Kubesch pokazał go profesorowi i zapytał, czy zna tę kobietę. Oczywiście zaprzeczył. Nie musi chyba dodawać, że był to paszport Jodłowskiej?

A zatem, pomyślała, wszystko jasne. Teraz nie ulega już wątpliwości, że to Gołdyń przechowywał Romkę. Ale czy również on ją zabił? Z opowieści doktora Walczaka wynika, że od kiedy Romka przestała sypiać z Gołdyniem, ich związek zaczął trzeszczeć w szwach. Malarz nie wiedział przecież, z jakich powodów dziewczyna odmawia mu swego ciała. A że miał niespożyty temperament, wybuchowy charakter, a mózg przeżarty przez narkotyki i alkohol, kto wie, jak sobie tłumaczył zachowanie Romki. Jeśli ją szczerze kochał, dochodził do tego niepokój zazdrosnego kochanka. Mogło być tak, że tamtej nocy nie spał wcale tak mocno, jak się to Romce zdawało. Obudził się, stwierdził, że jej nie ma i wpadł w szal. Myślał, że uciekła, a może, że ma kogoś innego, do kogo się wymyka, kiedy on leży pijany. Może już wcześniej zwidywało mu się, że ona gdzieś znika, ale do tej pory brał to jedynie za senne majaki. Tym razem jednak zdał sobie sprawę, że to rzeczywistość. Połączenie pożądania, rozpacz i zazdrości może całkowicie otumanić normalnego, trzeźwego, zdrowego na umyśle człowieka, a co dopiero odurzonego narkomana i alkoholika. Chwycił za kindżał i wybiegł z mieszkania, żeby poszukać niewiernej kochanki. Zdybał ją na podwórku, przy furtce, co upewniło go tylko w podejrzeniach – od pół roku nie sypia z nim, bo robi to z innym! I w napadzie wściekłości pchnął ją kindżałem. Potem wrócił do siebie, pewnie znowu się napił i zapadł w pijacki letarg. W pierwszych godzinach po przebudzeniu być może nawet nie miał pewności, czy to, co się stało, nie jest jedynie złym snem. Później powoli dotarło do niego, co zrobił. I pewnie się zdziwił, dlaczego w kamienicy taki spokój. Przecież powinno być jakieś zamieszanie, policja, przesłuchiwanie lokatorów. A tu – nic. Jakby zwłoki Romki wyparowały. I może nawet po pewnym czasie na swój sposób oswoił się z tym niezwykłym faktem. A wtedy zjawiała się u niego ona ze Staszkiem. Musiał zupełnie zgłupieć, kiedy pokazała mu zdjęcie Romki. Mimo oszołomienia zwierzył jednak niebezpieczeństwo i odruchowo sięgnął po broń.

– To wszystko, panie Pawle?

– A co, to mało?

Przygryzła dolną wargę.

[203](#) (ros.) Pani jest Dorota. Stryj mówił, że pani przyjdzie. Zapraszam!

[204](#) (ros.) Pani pozwoli.

[205](#) (ros.) Dziękuję.

[206](#) (fr.) Woli pani mówić po francusku?

[207](#) (fr.) On utrzymuje, że nasza egzystencja nie ma sensu. Człowiek jest wrzucony, bez swojej zgody, w nonsens historii.

[208](#) (fr.) Więc tak, narrator, niejaki Mersault, mieszka we francuskiej Algierii. Pewnego dnia otrzymuje telegram zawiadamiający go o śmierci matki. Podczas pogrzebu nie zachowuje się tak, jak oczekuje tego otoczenie – nie jest smutny, nie płacze.

[209](#) (fr.) Kochał, ale nie płakał w czasie pogrzebu, po prostu. Nieco później spotyka na plaży sąsiada. Ten ostatni jest sutenerem i obchodzi się brutalnie ze swoją mauretańską kochanką. Wkrótce potem spotykają dwóch mężczyzn, z których jeden jest bratem Mauretanki. Wybucho kłótnia. Jakiś czas później Mersault, porażony przez gorąco i słoneczne światło, idzie sam przez plażę i znowu natyka się na jednego z tamtych. Arab wyciąga nóż. Mersault ma rewolwer. Zamroczony przez wyjątkowo agresywne tego popołudnia światło, oślepiiony przez refleksy słońca na nożu, strzela i zabija Araba. Podczas procesu nie chce kłamać i zostaje skazany na śmierć.

[210](#) (fr.) Nie, wcale.

[211](#) (fr.) Powiedziałem pani: z powodu słońca i gorąca. Dlatego.

[212](#) (fr.) Nic nie rozumiem. To Arab jest „obcym”?

[213](#) (fr.) Obcy to Mersault. Jest obcy w społeczeństwie, w którym żyje. To społeczeństwo mówi: winieneś płakać po śmierci matki. Winieneś kłamać w czasie procesu. Ale Mersault nie chce kłamać. Odmawia gry w tę grę. Nie mieści się w kanonach własnego społeczeństwa, więc wydaje się obcy całemu światu i samemu sobie. I bez żadnych heroicznym motywacji postanawia umrzeć za prawdę.

[214](#) (fr.) Proszę! To prezent ode mnie.

[215](#) (niem.) Artysta Gołdyń.

[216](#) (niem.) Polska świnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Czietwierg, dwadcat' pierwoje diekabria*²¹⁷

Obudziło go nieśmiałe pukanie do drzwi. Pewnie klient, pomyślał, przeciągając się z całych sił, i z trudem dźwignął powieki. Chwilę pomrukał, żeby przyzwyczać wzrok do półmroku, po czym powoli odwrócił głowę w stronę nocnej szafki, na której stał budzik. *K czortu!* – dziesiąta dwadzieścia! No ładnie, ładnie, dawno już tak nie zasnął! Pukanie do drzwi się powtórzyło. A pukaj sobie, pukaj, dzięciole! Pan Łubnin ma dziś wolne. Wczoraj podejmował bratanka z Paryża i teraz należy mu się odpoczynek. Wstanie, jak będzie chciał. A jak nie będzie chciał, to w ogóle nie wstanie. No, może dopiero na obiad. A właśnie, może by mu tak coś zjeść? Malutkie śniadanko dobrze by zrobiło. Zdaje się, że zostało jeszcze sporo tego normandzkiego sera, który jadł wczoraj po raz pierwszy w życiu. Wprawdzie śmierdzi toto jak diabelski zadek, ale smakuje, że palce lizać! Podobno taka jest właśnie zasada – im więcej śmierdzi, tym smaczniejszy. A przedtem kubek kawy. Nie jakiejś zbożowej lury, nie erzaca z żołądzi, ale prawdziwej, najprawdziwszej kawy. Na samą myśl o normalnej kawie – również przywiezionej przez Wadima – poczuł na języku ślinę. To co, wstajemy? Ale zanim napali w piecu, zanim kuchnia się nagrzeje, miną ze trzy kwadranse. Na samą myśl o tym struchlał. Więc może by jeszcze nie wstawać? Tak, jeszcze sobie poleży, jeszcze troszkę.

Przewrócił się na drugi bok i starannie opatulił pierzyną. Wadim też pewnie jeszcze śpi jak zabity. Głupio, że nie mógł mu zaproponować noclegu, ale niby jak mieliby spać? Razem na tym tapczaniku? Paradne! W hotelu jest znacznie lepiej. Świeża pościel, łazienka, śniadanie wliczone do rachunku. Słowem – wszelkie wygody i żadnego skrzępowania. Należy się to chłopakowi po wojennej tułaczce. Zwłaszcza takiemu wspaniałemu chłopakowi. To dobrze, że tę wieloletnią przyjaźń, zawartą i do tej pory

podtrzymywaną wyłącznie za pomocą długich listów, przypieczętowali wreszcie uściskiem dłoni i spojrzeniem sobie w oczy. Jednak to miło mieć rodzinę – nie gdzieś tam, daleko, daleko, ale tu, przy sobie. A nie tak ciągle samemu, jak drzewo na środku pola. Ech... Szkoda tylko, że w Wadimie nie ma nic z Koli. Żadnego, najmniejszego nawet podobieństwa do ojca. No ale pal diabli! I bez tego udał mu się bratanek, bardzo udał. Ale niepotrzebnie wdał się w tę awanturę. On sam od razu czuł, czym się to skończy. Kiedy tylko Wadim po raz pierwszy napomknął w liście, że Niemcy formują rosyjskie oddziały do walki z bolszewikami i wielu paryskich Rosjan już się do nich zaciągnęło, stryj zaklinał go na wszystkie świętości, by nie szedł w ich ślady. Błagał, by Wadim nie dał się nabrać na antykomunistyczną retorykę Hitlera. On, który widział z bliska, co Niemcy wyrabiają w okupowanej Polsce, nie miał najmniejszych wątpliwości, że ich wojna z Rosją Sowiecką nie jest krucjatą antybolszewicką, lecz podbojem rasowym, antysłowiańskim. Celem tej wojny nie jest obalenie ustroju stalinowskiego i stworzenie wolnej od komunizmu Rosji, lecz trwałe skolonizowanie tamtych ziem przez Germanów i obrócenie ich mieszkańców w niewolników. Wadim odpisał, że nie jest naiwny, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę, ale nie można Polski porównywać z Rosją. Polskę Niemcy mogli połknąć w całości, z Rosją im się to nie uda. Za duży, za ludny kraj. Jeśli Hitler pobije Stalina, będzie musiał utworzyć nowe rosyjskie państwo. Oczywiście, nie ma się co łudzić, będzie to państwo o okrojonych granicach, satelickie, zależne od Niemców, związane z nimi wieczystym sojuszem. I niestety – co najbardziej boli – przynajmniej w pierwszej chwili faszystowskie, bo przecież na inną formę rządów Hitler się nie zgodzi. Ale właśnie dlatego że w jego władzach nie zabraknie rosyjskich faszystów, trzeba, aby znaleźli się w nich również demokraci, którzy będą po cichu hamować ekscesy tamtych. Potem czas zrobi swoje. Niemcy, mające na karku Wielką Brytanię i Amerykę, będą z roku na rok słabnąć, a ta nowa Rosja – krzepnąć i rosnąć w siłę. I powoli, krok po kroku, wyzwoli się spod niemieckiej protekcji. Mrzonki, odpisał natychmiast Wadimowi, mrzonki! Przede wszystkim nie można zakładać, że Hitler pokona Rosję. Ta sztuka nie udała się nawet Napoleonowi. Poza tym cel nie uświęca środków, nie można jednego bandyty obalać przy pomocy drugiego. Zresztą byłoby naiwnością temu drugiemu ufać. Bandyta zawsze pozostanie bandytą. Oni tam, w Paryżu, nie mają pojęcia, jak wyglądają niemieckie rządy. Snują nedorzeczne plany,

całkowicie oderwane od sytuacji. Marzenia biorą za rzeczywistość. Niech się opamiętają, włożą głowę do wiadra z zimną wodą, bo sami nie wiedzą, jakie bzdury wygadują! Niestety, nie pomogło i ku jego rozpaczy Wadim zaciągnął się do pułku kozaków. Tłumaczył, że gdyby sprawdziły się słowa stryja, zawsze może z wojska wystąpić. A na razie nie zamierza stać beczynnie i patrzeć, jak mija pierwsza od dwudziestu lat okazja na wyrwanie Rosji z łap bolszewików. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby w takim czasie pozostał w domu. Biedny, naiwny chłopiec!

Przeciągnął się i jeszcze raz szeroko ziewnął. A to się Dorotka zmartwi, kiedy zanieśie jej kolejną złą nowinę. Ledwie wczoraj wyszła, nawiasem mówiąc, uroczco wstawiona, przyjechali Niemcy i zabrali się do rabowania dobytku Gołdynia. Sam Schönrogge pilnował załadunku. Cztery ciężarówki wyładowali meblami, dywanami, kilimami. Ale najgorsze, że zabrali też obrazy. Po co im obrazy polskiego malarza? Zwłaszcza przedstawiające Żydówkę? Najprawdopodobniej mają zamiar je zniszczyć. Barbarzyńcy! Nie przepuszczą nawet wizerunkom tych, których pomordowali. Dobrze, że cały ten koszmar powoli zbliża się ku końcowi!

Od zbyt długiego leżenia zaczynały już boleć go kości. No, koniec z tym wylegiwaniem się, pora wstawać! Zdecydowanym ruchem odrzucił pierzynę i natychmiast zadrzał, poczuwszy na skórze wyziębione przez noc powietrze. Szybko włożył naszykowane obok bamboszy świeże skarpetki i zdjął spodnie od piżamy. Wstał, podszedł do krzesła, wciągnął niebieskie kalessony i sprawnie wskoczył w spodnie. Chwycił gruby, wełniany sweter z golfem, prezent od Reni Bugajewiczowej, i pobiegł do kuchni. Wyćwiczonym ruchem odsunął prawą zasłonkę i natychmiast przekręcił głowę, chlaśnięty w twarz jasnym blaskiem słonecznego dnia. Mrużąc oczy i krzywiąc się, odsunął drugą zasłonkę i szybko odwrócił się od okna. Na elektrycznej kuchence już czekał czajnik, a na taborecie obok zlewu – napełniona jeszcze wieczorem miska z wodą. Przekręcił gałkę kuchenki i z miną osoby święcie przekonanej o tym, iż dokonuje czynu ze wszech miar heroicznego, ściągnął bluzę od piżamy. Dygocząc z zimna opłukał twarz i za pomocą niewielkiego kawałka szarego mydła błyskawicznie umył się pod pachami. Wytarłszy się w starty ręcznik frotte, naciągnął na grzbiet sweter i założył serdak z białoczarnych króliczych futerek.

Na kredensie stał flakonik francuskiej wody kolońskiej – jeszcze jeden upominek od Wadima. Chwycił go i zaczął studiować etykietę z taką samą

miną, z jaką smakosze wczytują się w nalepkę na butelce markowego wina. Odkręcił zakrętkę i podsunął pod nos szyjkę buteleczki. Nooo, proszę państwa, to się nazywa zapach! W czymś takim można by się kąpać jak w szampanie! Wciągnął kilkakrotnie aromat perfum i rozkoszując się myślą o tym, jak miło będzie natrzeć nimi twarz po goleniu, zakręcił dokładnie flakonik. Lecz w tej chwili nasunął mu się pomysł, który spowodował, że zamiast odstawić perfumy na miejsce, znów zatopił w niech uważne spojrzenie. A gdyby tak...? Hm... A gdyby tak nie zostawiać ich sobie? Na czarnym rynku taka woda musi wcale nieźle kosztować. W końcu to nie żadne szczynty, ale oryginalny paryski wyrób. Towar deficytowy, mocno chodliwy. Chętnych na pewno nie zbraknie. Chwilę oswajał tę myśl, lecz raptem się zachnął. Sprzedać prezent? Przecież to najzwyczajniej w świecie nie wypada. Zwłaszcza że to prezent od bratanka. No właśnie. Jak on może w ogóle się nad czymś takim zastanawiać? Co też ta wojna z nim zrobiła...?

Odstawił wodę na kredens i zabrał się do wybierania z pieca. Jedna szufelka, druga, trzecia; ale się tego nazbierało! To dlatego, że siedzieli z Wadimem aż do północy. Napelniwszy popiołem blaszany pojemnik, odstawił go na bok i zmiął leżący pod piecem wczorajszy numer „Ostdeutscher Beobachter”. Teraz trochę chrustu. Uwaga, podpalamy! Aż się uśmiechnął na widok płomienia błyskawicznie pożerającego papier i powoli zajmującego drewno. Czekał, aż rozpali się porządnie, mimowolnie wrócił myślą do wody kolońskiej. Sprzedawanie prezentów uchodzi za coś brzydkiego, ale wszak zasada tak dotyczy normalnych czasów, gdy wszystko jest pięknie poukładane, niczym pościel w szafie. A teraz jest wojna, sytuacja nienormalna. Położył na rozpalonych szczapkach kilka brzoźowych polan i zamknąwszy drzwiczki pieca, podniósł się z kłęczek. Ostatecznie co jest bardziej potrzebne człowiekowi do życia: perfumy czy opał? Śmieszne, że on w ogóle ma jakieś skrupuły. Chyba jeszcze nie do końca wytrzeźwiał.

Kiedy do szklanki, na której dnie brązowiła się czubata łyżeczka kawy, wlewał wrzącą wodę, omal nie zakręciło mu się w głowie od cudownego aromatu. Jezu przenajświętszy, jakie życie potrafi być piękne! I jak niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia – ot, łyk prawdziwej kawy, rozgrzany piec, ładna pogoda. Poczł nagle, jak wypełnia go ożywcza radość istnienia. Wszystko będzie dobrze, na pewno, wszystko będzie dobrze. Żeby jeszcze tylko w sprawach sercowych coś się wreszcie ułożyło. Wiadomość o zaręczynach Sabiny spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Sądził,

że ma tam jeszcze otwartą drogę, że nie musi się śpieszyć, a tu taka przykra niespodzianka! Szczerze mówiąc, nie spodziewał się podobnego ciosu. Z drugiej jednak strony nie ma się co dziewczynie dziwić. I tak długo czekała, aż on raczy się zdecydować. Sam jest sobie winien. Stracił ją na własne życzenie. No ale cóż, nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Co się stało, to się nie odstanie. A wracając do tej wody... Nie należy z drobnej sprawy robić wielkiego problemu. Ostatecznie to tylko mały flakonik perfum. Przede wszystkim, przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, należałoby ustalić, ile można za niego wziąć. Trzeba się tego koniecznie dowiedzieć. Tylko u kogo? Zawsze z takimi sprawami zwracał się do pana Jelonka, ale trudno prosić o pomoc nieboszczyka. Mało zawału nie dostał, kiedy we wtorek ujrzał na mieście jego nekrologi. A kiedy dowiedział się od spotkanej przypadkiem pani Atamanowicz szczegółów śmierci handlarza, nie chciał uwierzyć własnym uszom. Pan Jelonek zaszlachtowany przez jakichś rzezimieszków? Pod Mostem Warszawskim? Co za nieszczęście! Oczywiście, od razu naszała go obawa, że z lekcjami, jakich udzielał Fredkowi, koniec. A taki dobry był to interes! Pan Jelonek nie żałował grosza na edukację syna. Na żadnym innym uczniu nie zarobił tyle, ile na tym ośle Fredku. Ale teraz, kiedy ojca nie ma, chłopak na pewno zrezygnuje z nauki. Tępy, leniwy, brał lekcje tylko dlatego, że czuł respekt przed ojcowskim pasem. Jeśli się nie zjawi dzisiaj o siedemnastej, to znaczy, że już nie przyjdzie. I w tygodniowym budżecie powstanie bolesna dziura. W tej sytuacji sprzedaż wody kolońskiej mogłaby choć trochę zrekompensować stratę. Może zapytać o nią w sklepie kolonialnym Elsnera? Nie, oszwabią go w trymiga. Najlepiej dowiedzieć się u Dorotki, ona powie prawdę, nie oszuka. Tylko głupio tak zdradzić się przed Dorotką, że zamierza sprzedać coś, co dostał w prezencie. I to od ukochanego bratanka. Jeszcze gotowa pomyśleć, że on i część tej wałówki, jaką szykują mu co niedziela na Warszawskiej, odsprzedaje komuś innemu. Nie, lepiej nie tworzyć sytuacji dających pożywkę dla niemiłych człowiekowi domysłów. Nie będzie pytał Dorotki. To kogo? Komu tu jeszcze można uwierzyć? Jak to komu? Baronowi! Baronowi Uszyckiemu! No pewnie, baron ma za dużo klasy, żeby targować się o parę marek. Poza tym nie weźmie wody na handel, lecz dla siebie, więc zapłaci cenę detaliczną. Tak, zanieś wodę właśnie jemu. Oczywiście dopiero po wyjeździe Wadima, bo przecież nie będzie sobie robić wstydu.

Zadowolony z widoków na dodatkową gotówkę, za którą dokupi trochę węgla lub drzewa, podszedł do okna, żeby nacieszyć oczy słońcem, czystym błękitem nieba, olśniewającą bielą śniegu. Z uśmiechem na twarzy odsunął firankę i raptem zmartwił – na dziedzińcu stał znajomy beczkowóz firmy Leszczyński und Sohn. Zapach kawy w jednej sekundzie stracił swoją czarodziejską moc, blask słońca zlodowaciał, chęć życia uszła nie wiadomo jak i gdzie. Ręce zaczęły mu lekko drżeć, serce nieprzyjemnie przyśpieszyło. Tak było zawsze, ilekroć zaprzężony w dwa kare konie i wyposażony w ręczną pompę beczkowóz zjawiał się na podwórzu. A nasiliło się od czasu, gdy podpatrzył, że Leszczyńscy odsuwają również pokrywę trzeciego szamba. Tamtej feralnej nocy był święcie przekonany, że zawartość trzeciego zbiornika przelewa się do drugiego za pomocą łączącej je rury, więc pokrywy nigdy się nie odsuwa. Tymczasem okazało się, że nie miał racji – trzeci zbiornik czyszczono tak samo jak dwa pierwsze. Ze zdenerwowania krążył wtedy po mieszkaniu, trzepotał się jak kanarek, do którego klatki zbliża się kot. Dopiero po odjeździe beczkowozu przychodził powoli do siebie i dziękował Bogu, że jakimś cudem znowu jej nie znaleźli, nie wypatrzyli. Sam się zastanawiał, jak to w ogóle możliwe. Chyba dlatego, że od końca października przyjeżdżali zawsze koło południa, a przecież to, co robili, nie trwało pięciu minut. Samo wypompowanie każdego zbiornika za pomocą ręcznej pompy trwało blisko godzinę. Potem trzeba było toto wywieźć i wrócić, co zajmowało drugie tyle czasu. Zatem na pierwsze dwa szamba schodziły w sumie cztery godziny. A jeszcze jechali na obiad, więc dochodziła kolejna godzina. W rezultacie, kiedy zabierali się do opróżnienia ostatniego zbiornika, zaczynał zapadać zmrok. Oczywiście, przyświecali sobie małą ręczną latarką, żeby sprawdzić, czy wszystko wybrane, ale przecież światło z takiej latarki marne, a szambo głębokie, więc rzeczywiście mogli nie zauważyć, że na jego dnie leży coś podejrzanego. Poza tym, pewnie z zasady starali się nie wybierać wszystkiego, przynajmniej w kamienicach należących do Niemców. Patriotyczny obowiązek nakazywał przecież kantować szwabów, na czym się da. Im mniej starannie oczyścili szambo, tym szybciej musieli przyjeżdżać ponownie, co oznaczało, że właściciel kamienicy płacił częściej, niż powinien. Ot, mała zemsta na wrogu.

Mimo że prawie przycisnął policzek do lodowatej szyby, z miejsca, w którym stał, nie widział szamb, a jedynie konie i część beczkowozu.

Wyteżył słuch, by sprawdzić, czy z podwórka nie docierają jakieś podejrzanе, dziwnie zaaferowane głosy. Nic takiego nie usłyszał. Zaczął sobie wmawiać, że nie ma powodu do niepokoju. Spokojnie, nic nie będzie. Nic nie znajdą. Nie ma sensu wpadać w panikę. Najlepiej w ogóle nie myśleć o tym, co się dzieje za oknem. Jakby to było na innej planecie. Opuścił firankę i ze spuszczoną głową wrócił do stołu. Para unosząca się nad szklanki z kawą wyglądała jak dym sączący się z armatniej lufy po odpaleniu pocisku. Przez chwilę zawahał się, czy w takich okolicznościach w ogóle wypada pić kawę, cieszyć się beztrosko jej zapachem i smakiem. Wewnętrzny głos mówił mu, że to wysoce nieestosowne. No bo jak to tak – kawka nad trupem? Wpatrywał się zatem w zabarwioną na kolor czekolady szklankę i czuł narastający w gardle ścisk. Taka wspaniała kawa, taka kawa... I nagle ogarnął go bunt. Nie, nie pozwoli, żeby kretyńskie wyrzuty sumienia zadrczyły go na śmierć! Nie będzie pokutował za nie swoje winy. Ma prawo do tej kawy! Ma prawo żyć! To nie on wywołał tę okrutną wojnę. I nie on spowodował, że jest tak makabryczna. W przypiływie zimnej desperacji wsypał na brązowy kozuch porcję cukru i podzwaniając łyżeczką o szklankę, długo mieszał kawę. Potem rzucił łyżeczkę na ceratę i zastanawiał się, czym by tu się zająć, dopóki kawa nie ostygnie. Stożące na stole brudne szklanki i talerze same podsuwały odpowiedź. Podszedł do zlewu i zatkawszy go korkiem, wlał do środka wodę z czajnika. Dopuszcł zimnej z kranu i zaczął znosić naczynia i sztucce. Mył je powoli, dokładnie, po czym wycierał tak starannie, jakby chodziło o rodowe srebra i zabytkową porcelanę.

Kilka minut później, schowawszy wszystko w kredensie, rozsiadł się wygodnie na krześle – plecami do okna – i wyciągnął rękę po szklankę. Właśnie otwierał usta, by upić pierwszy łyk, gdy z przedpokoju dobiegło głośne pukanie do drzwi.

– Panie profesorze, chodź pan szybko! – Skrzekliwy głos sąsiadki aż wibrował z przejęcia. – Trupa w szambie znaleźli! Truuupaaa!

Uniesiona ręka ze szklanką zamarła przy wargach.

– Słyszysz pan?! Trup w szambie! Mówię panu! Prawdziwy trup!

Skurczył się jak ślimak ukłuty ostrym źdźbłem trawy. Jego przerażone spojrzenie zatoczyło koło, szukając nadaremnie schronienia, w którym mógłby się ukryć. Ale nigdzie nie było takiego miejsca. Uświadomił sobie, że jest całkiem nagi, bezbronny, zdany na wyrok przeznaczenia. Boże,

co robić?! Mechanicznym ruchem odsunął od ust szklanę i nawet nie zauważył, że stawia ją na krawędzi blatu. Huk pękającego szkła, niczym wystrzał, i bolesne oparzenie na prawej stopie poderwały go na nogi. Jezu Chryste, znaleźli ją! Znaleźli! Co teraz będzie?! Co się stanie?! Jezu, poradź! Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zaczął przemierzać kuchnię wzdłuż i wszerz szybkimi, nerwowymi krokami. Pod łapciami chrupało szkło, ale nie zwracał na nie uwagi. Znaleźli ją! Znaleźli! Znaleźli! W pewnej chwili jego wzrok zatrzymał się na stojącej na kredensie butelce kalwadosa, w której pozostało jeszcze trochę trunku. Bez zastanowienia dopadł do niej, drżącymi palcami wykręcił korek i przyłożywszy szyjkę do ust, wypił wszystko do dna. Przez chwilę odczuł ulgę. Ale tylko przez chwilę. Chętnie napiłby się jeszcze. Ale nic więcej do picia nie było. Co robić?!

– Panie profesorze, szybko, wyciągają go! Wyciągają!

Dłuższy czas stał nieruchomo, trawiąc nową wiadomość. Potem podkradł się wolno do okna. Odsunął ręką firankę i utkwiał wzrok w widocznej części beczkowozu. Nie dostrzegł żadnych ludzi, ale wyraźnie usłyszał ich głosy. Liczne, zaniepokojone, podniecone. Wszystko wskazywało na to, że na dziedzińcu zrobiło się już spore zbiegowisko. Wytężył z całej mocy słuch, ale udało mu się wychwycić tylko pojedyncze, poszarpane słowa. Stopniowo ogarnęła go niezwykle silna pokusa, by dołączyć do tłumu gapiów. Sam nie wiedział, w czym tkwi jej źródło. W zwykłej ciekawości czyjeś śmierci? Na pewno nie. Za dużo było jej wokół, aby mogła jeszcze kogokolwiek ciekawić. W każdym razie nie jego. A może w chęci zaspokojenia odpowiedzi na tak długo męczącego pytanie, jak wyglądają ludzkie zwłoki po dwóch miesiącach kąpieli w szambie? Kto wie. Wszak im więcej czasu upływało od dnia śmierci Jodłowskiej, tym częściej snuł domysły na ten temat. Zwłaszcza wieczorami, przed zaśnięciem. Albo kiedy się budził w nocy. Czy zwłoki zanurzone przez dwa miesiące w szambie, zastanawiał się, rozkładają się znacznie szybciej niż normalnie, czy przeciwnie – ulegają konserwacji? A może po prostu puchną, jak zwłoki topielca? Nie potrafił jednoznacznie rozstrzygnąć problemu. Pozostawały jedynie domysły. Koszmarne domysły. Cóż, właśnie trafiała się ponura okazja, by je zweryfikować. Niekiedy zbrodniarza ogarnia nieodparte pragnienie odwiedzenia miejsca zbrodni. Podobno to żaden wymysł kuchennej psychologii, a fakt naukowy, doskonale znany współczesnej kryminalistyce. Czyżby i z nim działo się coś takiego? Ale on nie jest

przecież żadnym zbrodniarzem! Więc stał tak i stał, i stał, i wlepił oczy w obrazek za szybą, strzygł uszami, nasłuchując docierających zza okna okrzyków, i za nic nie potrafił się zdecydować. Wahadło jego woli wciąż balansowało: iść-nie iść-iść -nie iść-iść-nie iść. Znienacka zatrzymało się na „iść”. Natychmiast, z udawaną pewnością siebie, typową dla kogoś, kto wcale nie jest przekonany do podjętej decyzji, wyszedł do przedpokoju, wзуł buty i zarzucił płaszcz. Złapał za klamkę i w tym momencie nogi jakby wrosły mu w podłogę. Na pewno iść? Na pewno? Nie, chyba jednak nie pójdzie. Nie będzie wzbogacać pamięci o ten koszmarny obraz. Po co mu to? Mało napatrzył się w życiu na przeróżne okropności? Wystarczą mu wyobrażenia. Zwłaszcza, że bywają gorsze od rzeczywistości. Poza tym, na myśl o zgromadzonych przed kamienicą gapiach, czuł odrazę, taką samą, jaką każdy porządnie wychowany człowiek automatycznie obdarza uliczne zbiegowisko. Zatem nie, nie pójdzie. Nie będzie się mieszał z głodną sensacją hołoty.

Opuścił rękę, ale nie ruszał się z miejsca. Jakoś nie mógł. Bo przyszło mu z kolei na myśl, że jeżeli nie wyjdzie, to tak jakby się uchylił od jakiegoś obowiązku. Narastało w nim przekonanie, że skoro wrzucił do szamba trupa tej nieszczęsnej dziewczyny, powinien być przy jego wyciągnięciu. Że tak trzeba. Że inaczej koło się nie zamknie. Że zostanie z nieuregulowanym rachunkiem. Że oszczędzając sobie widoku tych sponiewieranych szczątków, wywinie się od odpowiedzialności za przyłożenie ręki do ich pohańbienia. Bo to, że je pohańbił, nie ulegało wątpliwości. A fakt, że zrobił to niejako przypadkiem, bez złych intencji, tłumaczył go wprawdzie, lecz nie usprawiedliwiał.

Już na schodach uderzył go ciężki odór odchodów. W pierwszej chwili zakręciło mu się w głowie, ale powstrzymał odrazę i nie zawrócił. Ciekawe – stąpając po białym śniegu, odbijającym wiszące na czystym niebie słońce, zauważył, że nogi niosą go same, że w ogóle nie ma w nich czucia. Niespodziewanie dla niego samego ogarnęła go fala całkowitej rezygnacji. Trudno, myślał, a właściwie coś w nim myślało, niech się stanie, co ma być. Poczuł nagle niezwykle, wyzwalające odprężenie. Przecież kiedyś musieli ją znaleźć, prawda? Kiedyś musieli. Właściwie to dziwne, że trwało to tak długo. A co z tego wyniknie? Niech się o to martwi Pan Bóg. O ile w ogóle – cha, cha, cha – ktoś taki jest.

Przecisnął się przez tłumek gapiów, którzy niczym stado wron obsiedli

szambo oraz obu Leszczyńskich, i ujrzał na ziemi coś, co przypominało kształtem człowieka, przykryte kilkoma brudnymi workami po ziemniakach.

– *Was ist los?*²¹⁸ – Szorstki głos Helgerta sprawił, że tłumek natychmiast rozstał się trwożliwie. Właściciel kamienicy podszedł do zwłok i chwilę wpatrywał się w nie w osłupieniu. Chyba nie docierało doń, co to takiego. Nagle zbladł. Przełknął głośno ślinę, podniósł speszony wzrok i przebiegł nim po stojących wokół ludziach. Dopiero na widok Ukrainca w czarnym mundurze odzyskał kontenans.

– *Herr Iwaniuk, bleiben Sie bitte hier und passen Sie gut auf! Ich gehe die Polizei anrufen.*²¹⁹

Gdzieś w górze zakrakał gawron. Z sąsiedniego podwórka, odgradzonego wysokim murem, dobiegał energiczny odgłos trzepania dywanu. Właściwie nie było sensu stać dalej i marznąć. Przeżegnał się i poczłapał z powrotem do mieszkania. Ściągnąwszy płaszcz, poszedł do kuchni i usiadł przy stole. Beznamiętnym spojrzeniem wpatrywał się w brązową plamę na podłodze i porozrzucane wszędzie okruchy szkła. Więc dokonało się, już po wszystkim. Ogarnęła go niewysłowiona ulga. Aż sam się temu zdziwił. Od dwóch miesięcy żył w ustawicznym lęku, że odkrycie zwłok Jodłowskiej będzie początkiem trudnego do przewidzenia, ale na pewno groźnego ciągu wydarzeń. Na samo wyobrażenie tej chwili trząsał się jak galareta. I oto teraz, kiedy ciało dziewczyny faktycznie znaleziono, odczuł przede wszystkim wielki spokój. Spojrzał podejrzliwie na butelkę po kalwadosie, jakby się zastanawiał, czy był w niej alkohol, czy magiczny napój. Ale nie, trunek nie miał z tym nic wspólnego. No, może trochę. A ulgę odczuł, bo skończyła się wreszcie tortura przechodzenia obok tego okropnego, zamienionego w grobowiec szamba. Nie wspominając o męce załatwiania się w toalecie na półpiętrze. Nie będzie się musiał dłużej gwałcić, załatwiając się na ludzkie zwłoki. I nie będzie już musiał sobie wmawiać, że tam nic nie ma. Koniec z nieustającym bólem głowy, biorącym się z przymusu akceptowania sytuacji, która dla każdego normalnego człowieka jest sytuacją nie do zaakceptowania. Koniec!

Wstał, dołożył do pieca, potem wyciągnął zza kredensu szczotkę i odsunąwszy krzesło, zaczął zgarniać na kupkę szkło z potłuczonej szklanki.

²¹⁷ (ros.) Czwartek, dwudziestego pierwszego grudnia.

[218](#) (niem.) Co się dzieje?

[219](#) (niem.) Panie Iwaniuk, proszę tu zostać i uważać na wszystko. Idę zatelefonować po policję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Sobota, dwudziestego trzeciego grudnia

Wadim, Wadim, Wadim. Wadim, Wadim, Wadim...

– Zajechalimy! Zasnęła pani?

Ocknęła się i spojrzała w stronę cmentarza. Gruba i gładka pierzyna świeżego śniegu zalegała podjazd i szerokie schody wspinające się ku bramie. Zagryzła wargi. Więc jednak trafnie przewidywała, że trwająca całe wczorajsze popołudnie i sporą część nocy zadymka zasypie wszystkie ślady. No tak, teraz to szukanie igły w stogu siana. Mimo to, po krótkim wahaniu, postanowiła spróbować. Nie chciała, by później dręczyły ją wyrzuty, że była jakaś szansa, a ona ją zmarnowała, bo nie chciało się jej zrobić paru kroków.

Ciężka furtka za nic nie chciała drgnąć z miejsca, dopiero pchnięta z całych sił ramieniem trochę się uchylila. Wciągnąwszy brzuch, precyzyjnie się przez wąską szparę. Tutaj również to samo: gładziutki, lekko pofalowane białe morze, spośród którego wystają płetwy macew. Unosząc wysoko nogi, ruszyła z niepewną miną w ich stronę. Pod podeszwami butów skrzypiała lepka śniegowa masa. Gdzie to może być? Tam, pod murem? A może tam, między drzewami? Przeczesała wzrokiem rozległy cmentarz, zdając sobie doskonale sprawę z bezcelowości swych poczynań. A jeszcze na dodatek w głowie miała tylko jedno: Wadim, Wadim, Wadim. Zrobiła jeszcze kilka kroków i przystanąła. Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Szkoda zachodu. Poza tym skąd pewność, że zakopali ją właśnie tutaj? Jednak trzeba było najpierw pójść do ratusza i dyskretnie się wywiedzieć, dokąd wywieziono ciało. Tylko u kogo? Pan Kopczyński, szkolny kolega ojca, jedyny Polak w magistracie, z którym mogła rozmawiać całkiem szczerze, od tygodnia leżał w domu ze złamaną nogą. A innych z pewnością zainteresowałoby tak dziwaczne życzenie. Zaraz zaczęliby węszyć,

przewiercać ją wzrokiem, szeptać między sobą. A niby na co to jej wiedzieć, dopytywaliby, co zrobiono z trupem znalezionej w szambie Żydówki? Jeszcze gotowi pomyśleć, że to ona ją przechowywała. Albo że ma coś wspólnego z jej śmiercią. Gdyby ktoś z nich donosił, mogłaby się wpakować w niezłą kabałę. Nie, lepiej nie ryzykować. Nie ulega wątpliwości, że przywieźli ją tutaj. Przecież nie pochowaliby Żydówki na chrześcijańskim cmentarzu. I nie miało żadnego znaczenia, że Romka była ewangeliczką, co musieli wyczytać w jej kenkarcie. Przywieźli ją tutaj, na pewno. Tylko gdzie zakopali? Podniosła na chwilę spojrzenie, lecz ponure, sine niebo milczało tak samo jak śnieg. A może i coś tam szeptało, ale cóż z tego, skoro ona słyszała w kółko to samo: Wadim, Wadim, Wadim...

Rozlegające się raz po raz krakanie kilku siedzących na gałęziach gawronów przypominało chrapliwy, szyderczy chichot. Przedwczoraj na cmentarzu na Rypinku też się tak podśmiewały. Miały z czego. Proboszcz nie tylko nie zgodził się na wyprawienie Biedronce katolickiego pogrzebu, ale również na pogrzebanie jej w skromnej mogile babki. Paragrafy Rzeszy Niebieskiej zabraniają składania w poświęconej ziemi kogoś, kto podniósł na siebie rękę. Tako rzeczce Wódz Zastępów. Właściwie kogo, zastanawiała się, czczą te klechy? Miłosiernego Chrystusa, który dał się zakatować w imię solidarności z innymi ludźmi, czy okrutnego plemiennego bożka z Księgi Rodzaju, złąknionego ludzkich ofiar i mszczącego się do czterdziestego pokolenia? Chyba tego drugiego. I składają mu ofiary. Tym razem było to ciało samobójczyni. Pochowano je w kącie cmentarza, między krzakami dzikiego bzu a śmietnikiem. Pochowano? Grubo niewłaściwe słowo. Raczej zagrzebano. Jak Romkę. Tyle że nie w samotności. Przyszło z pięćdziesiąt osób. Głównie koleżanek szkolnych, krewnych, paru sąsiadów, a także – jakże by inaczej! – grupka chciwych sensacji jędz, pragnących zobaczyć, jak wygląda pogrzeb samobójczyni. Wyobrażała sobie, jak później, z wypiekami na twarzach, paplają o tym po całym mieście. Dziwne, że nie dostrzegła wśród nich pani Atamanowicz. Pominęła taką atrakcję? Niewiarygodne. Widocznie nic o niej nie wiedziała. Ale to dobrze. Byłoby jej przykro ujrzeć ją wśród tych nienażartych kwok o czujnych, aż rozżarzonych z ciekawości ślepiach, spacerujących wolno po podwórku ludzkiego nieszczęścia i skrętnie wydziobujących jego najdrobniejsze ziarenka. Boże drogi, gdyby wiedziały to, co ona, dopiero by miały używanie! Ledwie to pomyślała, a doznała olśnienia. W sumie nie byłoby może źle, gdyby wiedziały. I gdyby

rozgadyły to jak świat długi i szeroki. Tak, żeby pan Kuś zorientował się, że wszyscy wiedzą. Żeby przeżywał piekło wstydu, gdy spotkani na ulicy znajomi na jego widok będą szybko przechodzić na drugą stronę. A jeśli obdarzą go spojrzeniem, to tylko po to, by wyczytał z niego potępienie i pogardę. Słowem, żeby poniósł karę. Bo przecież nie mógł tak pozostać bez kary. Za to, co zrobił, musiała jakaś być. Przez długą chwilę całkiem poważnie rozważała możliwość puszczenia w obieg informacji o tym, do czego zmuszał Biedronkę. Nie miała tylko pojęcia, jak to zrobić, żeby jej źródło, czyli ona sama, pozostało w ukryciu. Nic nie przychodziło jej do głowy. Może przez panią Atamanowicz? Nie, na jej dyskrecji nie można polegać. Zwłaszcza w tak bulwersującej sprawie. Więc może by tak listy? Anonimowe listy do znajomych pana Kusia? I, oczywiście, do niego samego? To wydawało się najsprytniejszym rozwiązaniem. Ale pisać anonimy? To coś obrzydliwego, coś, co nie mieściło się w jej kodeksie moralnym. Gdyby się na taki czyn zdecydowała, czułaby wstręt sama do siebie. A poza tym plotka prędzej czy później dotarłaby do pani Kusiowej. Na pewno trafiłby się ktoś życzliwy, kto niby zadbałby o to ze szczerą troski. Z pewnością matka Biedronki nie uwierzyłaby, ale zabołec by ją zabołało. Jeszcze jak. I kto wie, czy to ona nie ucierpiałaby najbardziej. Bardziej od tego drania męża. Na dodatek rykoszetem dostałoby się również Biedronce. Bo na pewno znaleźliby się tacy, którzy orzekliby, że i ona była winna. A nawet, że przede wszystkim ona. Bo gdyby nie chciała, to by do tego nie dopuściła. I hańba należna ojcu, okryłaby także córkę. Nie można było na to pozwolić. Więc nie, to zły pomysł. Zdecydowanie zły. Ale nic innego nie potrafiła wykombinować. Czyli co, pozwolić, by ten zwyrodnialec wykręcił się sianem? Na myśl o tym aż kipiał w niej gniew.

Kłótnia między gawronami przypomniawszy jej, gdzie się znajduje i po co tu przyszła. No tak, dwa dni temu nad grobem jednej koleżanki, dziś nad grobem drugiej. Hipotetycznym grobem. Nie znajdzie go teraz, nie ma szans. Trudno, trzeba to na razie odłożyć. Pan Kopczyński za parę tygodni wróci przecież do pracy. Zresztą do tego czasu Niemcy zwieją i poszukiwanie mogiły Romki przestanie być niebezpieczne. Ekshumacji i tak nie przeprowadzi się prędzej niż wiosną. A na razie mogłaby zamówić blaszaną tabliczkę i położyć ją na nagrobku ojca Romki, na cmentarzu ewangelickim. Tym sposobem dziewczyna będzie miała chociaż symboliczny grób. Zresztą nie ona jedna. Po tej wojnie parę milionów nieboszczyków

będzie się musiało nim zadowolić.

Odwróciła się z zamiarem powrotu do dorożki i wtedy wpadł jej w oko niewielki budynek domu pogrzebowego, straszący pociemniałą cegłą i powybijanymi oknami. Coś ją tknęło. Wykopanie dołu na może i nie bardzo dużym, ale trzymającym od trzech tygodni mrozie, to niezwykle ciężka robota. Łopatą nic się nie poradzi, trzeba ziemię rąbać kilofem. A przedtem jeszcze rozgrzać tę ziemię żarem koksownika. Chciałoby się im tak poświęcać dla śmierdzącego żydowskiego ścierwa? Wątpliwe. Raczej porzuciliby je w domu pogrzebowym.

Zaczęła się przedzierać przez śnieg w stronę budynku. Weszła na ukryty pod podcieniami ganek i zatrzymała się przed drzwiami. Zastępujący ukradzioną klamkę skobel wisiał luźno, po kłódce nie było śladu. Czyli ktoś tam wchodził. Kiedy? Po co? Rozejrzała się po posadzce, ale i tu nawiany przez wiatr śnieg wszystko zasypał. Położyła na drzwiach rozwartą dłoń, ale jakoś nie potrafiła się zdobyć na pchnięcie. A co, jeżeli ona naprawdę tam jest? Co wtedy? Przecież tak naprawdę to już nie jest żadna „ona”. To tylko to, co z niej pozostało. Coś koszmarnego, czego nawet nie chciała sobie wyobrazić. Nawet nie wiadomo, czy to coś zostało włożone do trumny. Wątpliwe. Raczej zawinięte w brezent lub papierowy worek. A jeżeli ci, którzy mieli te nieszczęsne szczątki zakopać, przewyciężyli wstręt i postanowili poszperać w ubraniu w nadziei, że znajdą coś cennego? Potem zaś, wściekli, że niczego nie znaleźli, zostawili je niezawinięte? Czy ona jest gotowa na podobny widok? Serce biło jej tak szybko i mocno, że nie słyszała nic poza jego dudnieniem. Sama nie wiedziała, jak to się stało, że popchnęła drzwi. Nie ustąpiły nawet na centymetr. Popchnęła je jeszcze raz, tym razem silniej, obiema dłońmi, ale z tak samo mizernym rezultatem. Domyśliła się, że są podparte z drugiej strony. Czyli ktoś tam musi być. Instynktownie wyczuwała niebezpieczeństwo. Miejsce nadawało się idealnie na melinę typków spod ciemnej gwiazdy. Chyba lepiej się stąd zbierać. Przecież nie chce skończyć jak Romka.

Dorożka poskrzypywała cicho, kiedy ulicą Widok zjeżdżali wolno do miasta. Z zasłoniętego plecami dorożkarza końskiego pyska buchała para. Przepływające powoli obok nich malutkie domki przedmieścia przycupnęły cicho pod czapami śniegu. Wadim, Wadim, Wadim... Całowanie się z mężczyzną poznanym zaledwie dwa dni wcześniej to zupełnie nie w jej stylu. Sama nie wiedziała, jak do tego doszło. Pod koniec wczorajszej kolacji,

na którą jeszcze w środę zaprosiła obu Łubninów, zaprowadziła Wadima na górę, żeby pokazać mu bibliotekę ciotki, a raczej to, co z niej pozostało. No i wtedy jakoś tak samo wyszło. Wcale tego nie planowała. Naprawdę. Ale też nic takiego by się nie wydarzyło, gdyby nagle tego nie zapragnęła. A ona zapragnęła. Nawet bardzo. I chyba nie tak nagle. Zdaje się, że podświadomie chciała tego już od środy. I, oczywiście, ani przez pół sekundy nie żałowała. A teraz ciągle marzyła o chwili, kiedy stanie się to znowu. Zapewne dziś na obiedzie. O trzeciej. Boże, jeszcze tyle godzin! Chyba zwariuje, zanim się doczeka.

Z attyki pseudobarokowej willi, przyklejonej niczym gigantyczny ślimak do ściany trzypiętrowej kamieniczki, spojrzały na nią dwa ozdobne oczka z matowego, perłowego szkła. Może to wcale nie takie ważne, że się nie udało, pocieszała się, może nie ma co rozpaczać? Po wojnie cały ten cmentarz będzie jednym wielkim pomnikiem. Symbolicznym grobem trzydziestu tysięcy kaliskich Żydów. I jedyną materialną pamiątką po ich siedmiowiekowej historii. Obie synagogi zburzono, Stary Cmentarz zaorano, i tylko ten – zwany Nowym – ocalał. Prawdopodobnie dlatego, że leżał daleko za miastem i nie kłuł tak mocno w oczy. I doskonale się nadawał na miejsce cichych pochówków skazańców powieszonych w więzieniu lub zakatowanych na Gestapo aresztantów. Więc nawet gdyby nie udało się ustalić, w którym dokładnie miejscu zakopano Romkę, nie będzie to tragedia. Pod warunkiem że przywieziono ją właśnie tutaj. A skoro spoczęła w cmentarnej ziemi, może nie ma sensu dzielić włosa na czworo? W tym domu pogrzebowym raczej jej nie zostawili, skoro ktoś tam pomieszkiwał. Tak, w tej chwili znacznie bardziej powinno ją martwić to, że Niemcy wynieśli z pracowni Gołdynia wszystkie przedstawiające Romkę obrazy. Oczywiście, zniszczą je co do jednego, o ile już nie zniszczyli. No bo po co im akty Żydówki? Tylko do napalenia w piecu. Szkoda. Byłaby jakaś pamiątka. Pamiątka wspaniała, bo pokazująca jej wyjątkową urodę. To przykre, że Romka nie może liczyć nawet na tego rodzaju pośmiertną satysfakcję.

Przed narożnym sklepikiem stało trzech mężczyzn i w milczeniu piło piwo. Przypomniała sobie, że w kieszeni kożuszka ma dzisiejszy numer „Ostdeutscher Beobachter”. Wyjęła go i otworzyła gazetę na czwartej stronie, gdzie podawano wiadomości lokalne. Było mało prawdopodobne, by napisano coś o znalezieniu zwłok Romki, ale co szkodziło sprawdzić.

Przebiegła szybko wzrokiem nagłówki. „Rektorenkonferenz in Posen”²²⁰, „Vorweihnacht in Gostingen”²²¹, „Eine Kundgebung zum Prager Manifest”²²². Oho, a to, zdaje się, coś dla Wadima. „Aus Anlass der Verkündung des Prager Manifestes des Komitees zur Befreiung der Völker Russlands fand auch in Posen eine einsdruckvolle, sehr stark besuchte Kundgebung in der Grossen Aula der Reichsuniversität statt. Nach der Eröffnung durch den Vorsitzenden des Initiativkomitees Prokoptschuk wurde von einem Vertreter der russischen Befreiungsarmee das Manifest verlesen, der auch die Grüsse derselben an die Versammlung überbrachte. Dann sprachen Vertreter der griechisch-orientalischen Kirche, der in Posen lebender Russen, Ukrainer und der russischen Jugend, die Treue und Gehorsam für das Befreiungskomitee zum Ausdruck brachten und alles zu tun versprachen, um der Aktion des Generals Wlassow zum Siege zu verhelfen. Mit einer stürmisch begrüßten Dankeserklärung an Adolf Hitler und dem Absingen der russischen Nationalhymne wurde der erste Teil der Kundgebung beendet, nachdem beschlossen worden war, zwei Telegramme abzuschicken eines an Reichsstatthalter und Gauleiter Arthur Greiser, in dem ihm der Dank dafür ausgesprochen wurde, dass er ihnen die Möglichkeit gab, diese Kundgebung abzuhalten, und eines an General Wlassow. Im zweiten Teil wurde ein künstlerisches Programm von bemerkenswerter musikalischer Höhe geboten”²²³. Podniosła wzrok. W oddali zamajaczyła, zamglona dymami z kominów, szpica ratuszowej wieży. Nie trzeba było wielkiego rozumu, żeby odgadnąć prawdziwe intencje Niemców. Stracili wszystkich dotychczasowych sojuszników, więc w celu zdobycia tak potrzebnego im mięsa armatniego gotowi są traktować Komitet jako załączek przyszłego rosyjskiego rządu. Ale niechby tylko odmieniła się karta, natychmiast znowu ujrzeliby we Własowie i jego żołnierzach niedawnych podludzi. Szczęknęła łopata, którą odśnieżający chodnik stróż przejechał po betonowej płytce. Dlaczego Wadim, skoro doskonale zadawał sobie z tego sprawę, nie chciał porzucić służby? Pół wczorajszego wieczoru przekonywała go, razem ze stryjem, że to jedyne sensowne rozwiązanie, a ten – nie i nie! Powtarzał w kółko, że nie wolno mu porzucać ludzi, których swoimi artykułami sam zachęcał do walki ze Stalinem. Czuła, że jego opór ma jeszcze jakąś tajemną przyczynę, ale nie mogli z niego jej wydusić.

Za szybą okna na parterze siedział ratlerek z czerwoną kokardką na szyi

i przekrzywiając łebek to w jedną, to w drugą stronę, przyglądał się ulicy. Ale spokojnie, urlop Wadima kończy się za jedenaście dni, jest czas, żeby nakłść mu porządnie do głowy. Będą to robić na zmianę z profesorem, dzień po dniu, godzina po godzinie – tak długo, aż nakłonią go do napisania prośby o zwolnienie z przysięgi. W końcu to armia ochotnicza i siłą nikogo trzymać w niej nie można.

Dorożka skręciła ostro w Poznańską. Po lewej stronie wyłonił się klasztor nazaretanek, obecnie zamieniony w Kinderheim, w którym przeznaczonym na zniemczenie polskim dzieciom niszczone stare metryki i zakładano nowe, dowodzące, że ich rodzice byli Niemcami lub folksdojczami. Wreszcie dowlekli się do Rogatki. Zwolniła dorożkę i wmieszała się w tłum. Miasto kipiało przedświąteczną gorączką, wszyscy się śpieszyli, dźwigali jakieś pakunki i siatki z zakupami. Co i rusz między głowami przechodniów podrygiwał mniejszy lub większy świerk, często rachityczny, krzywy, z przeredzonymi gałązkami, bo zarządzenie Margraffa zabraniało Polakom kupować choinki wcześniej niż w przedwigilijną sobotę i te największe, najładniejsze zdążyli wykupić nadludzie. Mimo to radość mijanych Niemców robiła wrażenie bladej, wymuszonej, odstawianej na pokaz. Nic dziwnego, skoro ostatnią dobrą nowiną, jaka krążyła między nimi, była wieść o łagodnie uśmiercającym gazie przygotowanym na rozkaz Wodza na wypadek przegranej. Gaz ten miał zostać podany wszystkim Niemcom, przede wszystkim kobietom i dzieciom, żeby nie spotkało ich to samo, co tych biedaków z Nemmersdorfu. Za to radość Polaków przeciwnie, aż biła w oczy autentycznością. Ale co mądrzejsi starali się z nią nie obnosić. Głupio byłoby przecież drażnić szwabów i narażać się w samej końcówce ich panowania.

Rozniosła już połowę towaru, kiedy na św. Stanisława wpadła na panią Atamanowicz. Stara gaduła od razu przystąpiła do ataku. Czy ona czytała dzisiejsze zarządzenie o przydziałach? Węgiel obcięli o połowę! Nie dość że to, co mieli dać, starcza na niecały miesiąc, to jeszcze teraz obcięli. Bandyci jedni! Albo po co oni każą ludziom oddawać maselnice i centryfugi? To już człowiek nie może sobie sam masła zrobić? Co im to przeszkadza, hitlersynom? Najpierw żarna kazali oddać, a teraz maselnice i centryfugi. Niedługo łyżki i widelce każą pooddawać. Albo Kuchenki spirytusowe. Kazaliby je oddać i nie musieliby więcej przydzielać spirytusu i denaturatu! Od pierwszego stycznia będą dawać po litrze denaturatu na miesiąc. Nawet do gotowania wody na herbatę nie wystarczy. A nafty po dwa litry. Chleba

dwa kilo dwieście, mięsa dwadzieścia deko, twarogu i kawy sześćdziesiąt dwa i pół grama. Dwa i pół grama, takie skrupulanty, cha, cha, cha! Margaryny dwanaście i pół deko i tyle samo tego koszmarnego smarowidła robionego nie wiadomo z czego. Taki to prezent naszykowali nam, dranie, na Boże Narodzenie. A na osłodę zarządzenie o obniżeniu najniższego wymiaru kary dla Polaków z trzech miesięcy obozu do jednego. Co takiego, czytała już? No tak, bo to sprzed dwóch dni. No pewnie, że to lepiej, ale przecież z miłości tego nie zrobili. Widać miejsca już w starych obozach brakuje, a do zakładania nowych nie mają teraz głowy. No i każdej pary rąk do pracy potrzebują. A jak wsadzą kogo do obozu, no to nikt za niego nie robi. Więc wolą, żeby takiego nie było przez miesiąc niż przez trzy miesiące.

Teraz! Szybko zaczerpnęła powietrza, żeby na jednym wydechu wyrzucić z siebie, że ona przeprasza, ale musi lecieć dalej, bo ma towar, ludzie czekają, i w ogóle się śpieszy, przecież jutro wigilia, trzeba kolację szykować, więc życzy wesołych, spokojnych, sytych, ale gdzie tam! Pani Atamanowicz już trajkotała jak nakręcona. Czy ona pamięta, jak opowiadała jej o holcspirytusie? No, o tym świństwie, co jeden kolejarz kupił i rozrobił? I się czterech chłopów jedną butelką otruło? Potaknęła szybko, żeby nie wysłuchiwać drugi raz tej samej historii. No więc, ciągnęła zaaferowana staruszka, wtedy jedną butelką się potruła, a drugą kolejarz komuś sprzedał. I Niemcy nie doszli komu. A teraz już wiadomo. Gralowa ją kupiła, żona tego stolarza, co trumny robi na Cmentarnej. Ona kochanka miała młodego, pracownika męża, i Grali sama wódkę dawała, żeby spał, a ona wtedy z tym młodym sobie używała. No i jak ten holcspirytus kupiła, to też mu szklanek dała. Chłop faktycznie zasnął, ale już tak na amen. Przyjechała policja, szybko ktoś im nakablował o tym kochanku i uznali, że to nie wypadek, tylko Gralowa specjalnie dała staremu truciznę. Znaczy się, żeby go zabić. A młodego oskarżyli, że jej pomagał. I od razu oboje zabrali. Gralę sąsiedzi musieli pochować, bo on przecież spod Konina, rodziny tu żadnej nie ma. I za pogrzeb też musieli zapłacić. Tyle że trumnę z warsztatu wzięli. Tak to sobie chłop sam trumnę wyszykował. A Gralowa z kochankiem czekają na proces. Pewnie im tam ładny wyrok przysolą. I pomyśleć, że to wszystko przez ten trefny holcspirytus.

Zegar na ratuszu uderzył dwa razy. Pani Atamanowicz złapała się za głowę. O Boże, już w pół do pierwszej, za pół godziny zamykają sklepy, a ona ma jeszcze tyle sprawunków! Więc tylko jeszcze jedna historia, już

ostatnia. Na Ostrowskiej dziewczyna się otruła. Podobno młoda, ładna, aż żal mówić. Te niemieckie zbóje dwa lata temu zabiły jej narzeczonego i od tego czasu dziewczyna była jak nie ta sama. Ciągłe tylko płakała, ciągle o tym narzeczonym. Nijak nie potrafiła zapomnieć. Do klasztoru nawet chciała iść. Może szkoda, że nie poszła. Tylko jak miała pójść, skoro antychrysty wszystkie klasztory pozamykali? No i wzięła się otruła. Wczoraj pogrzeb był. Niestety, pani Atamanowicz się zasmuciła, ona osobiście nie mogła na nim być, ale koleżanka wszystko jej opowiedziała. Pogrzeb smutny, bo bez księdza. Podobno kiedy zasypywali trumnę, ojciec biedaczki tak płakał, że musieli go wyprowadzić z cmentarza.

Poczuła, że dzieje się z nią coś niedobrego. Że ogarnia ją fala gorąca połączona z dziwnym drżeniem rąk. I dygotem całego ciała. Niewiele brakowało, a krzyknęłaby, że ma dosyć, dosyć, dosyć, że nie życzy sobie o tym wszystkim słuchać, kiedy nagle pani Atamanowicz złożyła jej życzenia, pożegnała się i nie czekając na odpowiedź, popędziła w kierunku Sukienniczej. Po drodze jeszcze dwa razy się odwróciła i coś tam wołała, ale nie można już było zrozumieć co.

Chwilę trwało, zanim się uspokoiła i ruszyła dalej. Wadim, Wadim, Wadim. Boże, gdyby nie Wadim, sama by się chyba otruła. Przedwczoraj po pogrzebie Biedronki naprawdę była tego bliska. Omal nie postradała zmysłów od zastanawiania się, gdzie zgubiła rękawiczkę. I od zamęczającego ją podejrzenia, że to przez jej wścibstwo Biedronka się zabiła. Na cmentarzu nie było okazji zapytać o tę nieszczęsną rękawiczkę. Niby kiedy to miała uczynić? Przed czy po złożeniu pani Kusiowej kondolencji? Paradne! W takim momencie pytać o rękawiczkę! Gruba niedelikatność. Najporęczniej byłoby to zrobić podczas stypy, ale gdyby poszła do państwa Kusiów na stypę, musiałaby wciąż ocierać się o ojca Biedronki. Wypadałoby przecież i jemu złożyć wyrazy ubolewania. A na co jak na co, ale na to nie miała najmniejszej ochoty. Sam jego widok przyprawiał ją o wymioty. Na pogrzebie udało się jej jakoś tak ustawić, żeby w ogóle na niego nie patrzeć. A kondolencje złożyła tylko pani Kusiowej. Specjalnie poczekała na moment, kiedy pan Kuś odwrócił się na dłuższą chwilę, żeby wytrzeć załzawione oczy i wysmarkać nos. Lecz na stypie nie mogłaby go dłużej unikać. Musiałaby zamienić z nim choć parę słów, a przynajmniej się przywitać. Nie, nie, nie, nie była w stanie sobie tego wyobrazić! Więc nie poszła i w efekcie wciąż nie wiedziała, co z tą rękawiczką. Nic dziwnego,

że męczyła się jak potępieniec. Dopiero kolacja z Łubninami pozwoliła jej zebrać się do kupy i choć na krótko zapomnieć o tych dwóch śmierciach i dwóch zbezczeszczonych trupach. Bo trup Biedronki także został zbezczeszczony. Przez strzegącego regulaminu żandarma w sutannie.

Przed księgarnią natknęła się na Reimanna, który napawał się świątecznym wystrojem swojej witryny: małą choineczką oblepioną imitującymi śnieg kłębkami waty i poukładanymi między książkami gałązkami świerku. Wymieniając z nim świąteczne życzenia, nieznacznie przyśpieszyła kroku. Bała się, że chytrus wciągnie ją jeszcze do księgarni i zmusi do zakupu najnowszej cegły autorstwa jakiegoś partyjnego bonzo. A ona nie miała zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto. Zwłaszcza teraz, przed Bożym Narodzeniem. Może i potrafiła robić dobre interesy, ale pieniądze same jej jeszcze w kieszeni nie rosły.

Polukrowane klinkierem cegły mijanej kamienicy przypomniały jej barwą dojrzałe wiśnie. Prawie nie jadła latem wiśni – dwa, góra trzy razy. No nic, mówi się trudno. Jeszcze będzie okazja. Za to czereśni najadła się tyle, że aż skończyło się rozstrojem żołądka. Wadim, Wadim, Wadim. Na płocie okalającym plac po cerkwi, obok opatrzonego plakatu *Spart Kohle, Gas, elektrische Energie – und Ihr tragt zum Siege bei!*²²⁴ pojawił się nowy. *Pssst! Feind hört mit!*²²⁵ To już było oficjalne przyznanie, że wojna wkroczyła w nową fazę. Zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć na obwieszczenia. Treść pierwszego, wydanego przez Krajowy Urząd Aprowizacji, znała już z relacji pani Atamanowicz. Drugie wzywało wszystkich mieszkańców – zarówno Polaków, jak i Niemców – do powtórnej rejestracji koni, wozów, bryczek i wszelkich innych pojazdów konnych. No, no, no, to z kolei wyraźnie pachniało przygotowaniami do ucieczki. I bardzo dobrze!

²²⁰ (niem.) Konferencja rektorów w Poznaniu.

²²¹ (niem.) Wigilia w Gostyninie.

²²² (niem.) Poparcie Manifestu Praskiego.

²²³ (niem.) Wielkie wrażenie wywarła manifestacja w auli Uniwersytetu Rzeszy w Poznaniu, zorganizowana z okazji proklamowania przez Komitet Uwolnienia Narodów Rosji Manifestu Praskiego. Po otwarciu uroczystości przez przewodniczącego grupy inicjacyjnej, Prokopczuka,

zebranych pozdrowił przedstawiciel Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, który następnie odczytał tekst manifestu. Potem przemawiali przedstawiciele Cerkwi prawosławnej, mieszkających w Poznaniu Rosjan i Ukraińców, a także rosyjskiej młodzieży, którzy obiecali posłuszeństwo Komitetowi oraz zrobienie wszystkiego, by akcja generała Własowa zakończyła się sukcesem. Pierwsza część manifestacji zakończyła się uchwaleniem deklaracji wdzięczności dla Adolfa Hitlera oraz odśpiewaniem rosyjskiego hymnu narodowego, a następnie wysłaniem dwóch telegramów: do gaulajtera Greisera, któremu podziękowano za możliwość odbycia manifestacji, oraz do generała Własowa. Drugą część uroczystości wypełnił program muzyczny na bardzo wysokim poziomie.

[224](#) (niem.) Oszczędzajcie węgiel, gaz i energię elektryczną, a przyczynicie się do zwycięstwa!

[225](#) (niem.) Wróg podsłuchuje!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sobota, dwudziestego trzeciego grudnia

Platynowy krążek słońca przeświecał nieśmiało przez śpieszące dokądś rzadkie chmury, rzucając białe światło na wystające spod śniegu różowe kocie łby. Rozmowa ze spotkanym przypadkiem Żyrewiczem zajęła mu kilka minut i teraz szedł szybko, żeby się nie spóźnić na odprawę. Topór nie tolerował czegoś podobnego. Spóźniałskim potrafił tak nagadać, że nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Zdaje się zresztą, że lubił tak nagadać, szczególnie młodym oficerom z przyśpieszonego wojennego awansu, w których jako zawodowy wojskowy widział bandę rozpuszczonych gówniarzy. Ciągłe im przypominał, by nie przywiązywali się za bardzo do swoich gwiazdek, bo po wojnie i tak je oddadzą.

Na wysokości nowej poczty wyszła z bramy okutana w chusty babinka i dreptała przed nim chwilę, wymachując trzymanymi w dłoniach pustymi węglarkami; jedna z nich, z obluzowaną rączką, pogwizdywała miarowo. To dobrze, że z Żyrewiczem znów wszystko w porządku. Bo początkowo wcale tak nie było. Kiedy odwiedził go nazajutrz po spowiedzi, okazało się, że Jankowi minęła wprawdzie trzęsączka, ale nie wrócił jeszcze do dawnej formy. Teraz dla odmiany popadł w nienaturalny, posepny spokój, w jakąś dziwną, uporczywą apatię. Cały czas milczał, na pytania odpowiadał monosylabami lub wcale nie odpowiadał, żaden temat nie potrafił go pobudzić. Jak na pasjonata wielogodzinnych rozmów, zazwyczaj szybko się podniecającego w dyskusji, zapalczego, było to zachowanie wysoce niezwykle. Co gorsza, minęło kilka dni i nic się nie zmieniało. Sam już nie wiedział, co robić. Ale znając ambicje literackie Żyrewicza, zaproponował, aby to wszystko opisał. By stworzył opowiadanie o chłopaku, który na rozkaz organizacji wykonuje swój pierwszy wyrok. Pomyślał, że przelanie przeżyć na papier pozwoli Żyrewiczowi uwolnić się od przygnębiających myśli.

Że będzie jak upuszczenie złej krwi. W życiu nie przewidziałby reakcji tamtego. Jeszcze teraz dźwięczał mu w uszach wybuch drwiącego, strasznego śmiechu, który nagle wstrząsnął jego zastępcą. Wiele wysiłku kosztowało go ukrycie niepokoju, jaki poczuł, słysząc jego niespodziewanie groźne brzmienie.

Z komina małej kamieniczki po lewej stronie porywisty wiatr wywlekał welon czarnego dymu. W twarz ciął drobniutki jak manna śnieg. Nagle o sto kroków przed nim zazieleniły się dwie postacie w charakterystycznych kaskach z krótką kitką, idąc wolno w jego kierunku. Lepiej nie leżć policjantom prosto w łapy. Papiery miał wprawdzie w nienagannym porządku, ale one nie zabezpieczały przed wywózką do kopania umocnień. Przeskoczył zgrabnie przez leżące wzdłuż krawężnika złodowaciałe zwały brudnego śniegu, przepuścił pocharkującą ciężarówkę i przeszedł na drugą stronę Górnośląskiej – wszystko bez pośpiechu, spokojnie, żeby, nie daj Boże!, nie wzbudzić zainteresowania tamtych. Na szczęście, nie zwrócili na niego uwagi. Kilka włoskich topól, kołysząc się miarowo, drapało podbrzusze nieba. Dobrze, że Żyrewicz, wracając po wykonaniu tamtego zadania do domu, nie napatoczył się na patrol, bo jeszcze z nerwów zaczęłyby uciekać. Albo rzuciłby się na Niemców z gołymi pięściami. W takim stanie był gotów na największe szaleństwo. Wielka szkoda, że prawie nic nie pisze o tym w swoim opowiadaniu. Bo jednak powstało. Nosiło tytuł *Pierwszy raz*. W zeszłą sobotę Żyrewicz przyniósł je do Krysi i wręczył mu je z miną Napoleona, który właśnie zakończył bitwę pod Austerlitz. A kiedy dziś spotkali się przypadkiem obok sklepu Baty, chciał, żeby już tu, zaraz, na ulicy, podzielił się z nim opinią. Niestety, opowiadanie mogło uchodzić za wzorcowy przykład nadętej patriotycznej grafomanii. Styl podniosły, pompatyczny, co chwila wybuchy słownej ekstazy, pseudofilozoficzne i pseudoreligijne refleksje. Bohater bez mrugnięcia okiem wykonuje wyrok na konfidencie, ani przed, ani po wykonaniu rozkazu nie mając najmniejszych wątpliwości moralnych. Nie przechodzi załamania, nie targają nim jakiegokolwiek rozterki. Oczywiście, nie może być mowy o żadnym nożu, konfident zostaje zastrzelony z parabelki po uroczystym odczytaniu wyroku. A wykonawca to nie człowiek, tylko maszyna naoliwiona bogoojczyźnianym sosem. Jak Żyrewicz mógł zmarnować taki temat? Zachęcając go do jego podjęcia, liczył, że powstanie surowy, realistyczny tekst, pokazujący, jak było naprawdę. Tekst niekryjący, że nawet zabicie wroga pozostawia

w psychice niezatarte ślady. Bo przecież nie chodziło o pocieszenie czytelnika w tani sposób i podsycanie w nim złudzeń. Przeciwnie, szło o pokazanie grozy wojny w całej jej obrzydliwości. Czytelnik powinien ujrzeć rzeczywistość bez osłonek i zrozumieć, że trzeba być twardym, zahartowanym, bezwzględny. Albo my wykończymy ich, albo oni nas. A tu taka kicha! No ale trudno wymagać od kogucika, żeby szybował jak orzeł. Biedny Jasio... Więc gdy spostrzegł go na ulicy, chciał dać nogę. Ale Żyrewicz już z daleka zaczął machać rękoma. Tak jak przypuszczał, Janek chciał się dowiedzieć o swoje dzieło. Rzucił, że opowiadanie owszem, bardzo dobre, ciekawe, ale pogadają później, bo teraz się śpieszy. Nic z tego, tamten nie chciał go puścić, dopóki nie usłyszy czegoś konkretniejszego. Widząc w błyszczących oczach wilczy głód pochwały, coś mu tam w końcu nakadził na odczepne – o prawdzie psychologicznej i języku dobrze dobranym do tematu. Właśnie przez to stracił dziesięć minut i teraz musiał tak zasuwać. Ale i tak cieszył się, że Janek znów jest taki sam, jak dawniej.

W oddali, po drugiej stronie ulicy ukazał się cel jego wędrówki – podmiejska speluna w pomalowanej na zielono drewnianej chałupie. Spojrzał na zegarek. No, powinien zdążyć. Policzki piekły go, jakby ktoś pokłuł je setkami cienkich igiełek. Kark pod szalikiem całkiem zwilgotniał. Cholera, żeby się tylko nie skończyło przeziębieniem! Wystarczy, że już od trzech tygodni dręczy go ten cholerny kaszel. W dzień na szczęście nie tak bardzo, ale wieczorem, gdy tylko kładł się do łóżka, zaraz się zaczynało.

Ponownie przekroczył w poprzek ulicę i zanurkował pod obitym papą gankiem, zręcznie omijając dwóch wytaczających się z knajpy pijaków. W zabłoconej sieni zdjął wzorzysty wełniany szalik, złożył go kilkukrotnie i wepchnął do kieszeni płaszcz. Potem dokładnie przetarł kark chusteczką. Nic to nie dało; ledwie wszedł do gwarnej, zadymionej i cuchnącej piwskim sali, a znów poczuł na skórze delikatną rosę potu. Wymienił znaczące spojrzenia z czuwającym za barem panem Mundkiem i przez skrzypiące drzwi wymknął się na zaplecze. W ciemnym korytarzu, przeciętym ukośnym pasem mętnego światła z niedomkniętej toalety, ponownie przetarł kark i z niesmakiem stwierdził, że chusteczka zrobiła się wilgotna. W piersiach coś łaskotało. Niedobrze. Chyba jednak trzeba się będzie położyć do łóżka. To nie jest dobry moment na chorowanie, ale mówi się trudno. Lepiej się położyć teraz na dwa, góra trzy dni, niż później na tydzień, a może i jeszcze dłużej.

Kiedy w zagraconym kantorku zameldował się Toporowi, ten wskazał mu wzrokiem krzesło po przeciwnej stronie stołu i nie czekając aż usiądzie, położył na pokrytym ceratą blacie „Ostdeutscher Beobachter”.

– Czytał pan już? Nie? – Na ustach Topora błysnął jadowity uśmiezek. – I pan jest moim zastępcą, panie podchorąży...

Zarumieniony, przejrzał szybko dziennik i zatrzymał się na wiadomości zakreślonej czerwonym ołówkiem. Wynikało z niej, że w dniu dwudziestym pierwszym grudnia w szambie na podwórku jednej z kaliskich kamienic znaleziono zwłoki kobiety narodowości żydowskiej. Kobieta ta „na swoje nieszczęście nie zastosowała się do nakazu przesiedlenia na wschód, gdzie w wydzielonym dla Żydów miejscu żyłaby do dziś cało i bezpiecznie”. Gazeta twierdziła, że kobieta ukrywała się w mieszkaniu polskiego artysty Gołdynia, który kazał sobie za to płacić pieniędzmi oraz usługami seksualnymi. Kiedy kobiecie skończyły się kosztowności, Polak miał ją zamordować, a zwłoki wrzucił do szamba. Gołdyn został kilka dni temu ujęty w Błaszczach, wkrótce po tym, jak postrzelił żandarma. Morderca przyznał się podobno do swego „ohydneho czynu”.

Topór wstał i z rękoma w kieszeniach spodni zaczął przemierzać kantorek w tę i z powrotem. Zawsze tak robił, kiedy zbierał myśli. Rzucone na Gołdynia oskarżenie, odezwał się wreszcie, uderza nie tylko w malarza, ale i w cały polski naród. Ci hitlerowscy rzeźnicy wysłali do nieba parę milionów Żydów, a teraz próbują i nas utylić w ich krwi. Kanalie! Ale my nie damy z siebie zrobić pomocników kata. Trzeba za wszelką cenę znaleźć prawdziwego zabójcę tej Żydówki. Idzie o wymiar propagandowy. To chyba jasne, że Polska musi wyjść z tej wojny jako niewinna ofiara. Tymczasem potwarz rzucona przez tę hitlerowską szmatę plami wizerunek kraju. Zwłaszcza w oczach naszej jedynej nadziei – Anglików i Amerykanów. Oni są, jak wiadomo, niezwykle wyczuleni na kwestię żydowską. Należy zatem odszukać dowcipnisia, który obszedł się tak nieładnie z panną Jodłowską. Nawiasem mówiąc, jest to właśnie ta ladacznica, przez którą świętej pamięci podporucznik Makowicz odebrał sobie życie i która o mały włos nie rozbiła małżeństwa majora Draby. Ach, podporucznik Makowicz, oczy Topora rozblęły, jakież to był obiecujący oficer! Bystry, sumienny, zdyscyplinowany – idealny dowódca. Tyle przyzwoitych panien, katoliczek, a przy tym ładniutkich, że palce lizać, robiło do niego słodkie oczy. A on stracił głowę dla tej żydowskiej lafiryndy.

Chyba jakiś urok na niego rzuciła. Majorowi też zdrowo namąciła w głowie. Żonę i dwoje dzieci chciał dla niej zostawić. Cała działalność tej skandalistki to wzorcowy przykład rozkładowej żydowskiej roboty. Skoro taka jedna Jodłowska w kilka miesięcy zdemoralizowała garnizon sporego miasta, skłóciła ze sobą oficerów i zasiała ferment pośród ich żon i narzeczonych, to aż strach sobie wyobrazić, jak musiała wpływać na polskie społeczeństwo obecność przeszło trzech milionów jej pobratymców! No ale to już, na szczęście, historia. Przynajmniej jeśli chodzi o mniejszość żydowską jako całość. Bo pojedynczy Żydzi jeszcze brykają. I jak widać na omawianym właśnie przypadku, nawet po śmierci działają na szkodę Polski. Zatem ich zadaniem jest zneutralizowanie tego oddziaływania. Słowem, muszą znaleźć niezaprzeczone dowody, że Gołdyń nie mógł tego zrobić.

Zza sterty ustawionych wzdłuż ściany skrzynek wyjrzał szczur, na chwilę się zatrzymał, jakby zdziwiony ich obecnością, po czym – widocznie uznawszy, że nie ma powodu do niepokoju – nieśpiesznie przebiegł w poprzek kantorka i zniknął pod stojącą w kącie szafą. Topór podszedł do stołu i wyjął z szuflady raport Wróbelka, ten sam, który w listopadzie kazał odesłać do archiwum. Wręczając mu go w celu ponownego przestudiowania, polecił spotkać się z Wróbelkiem i wyciągnąć zeń wszelkie dodatkowe informacje. W raporcie, zauważył, nie ma przecież nazwiska osoby, od której Wróbelek dowiedział się o całej sprawie. Trzeba tę osobę przesłuchać. Według anonimowego informatora Wróbelka, zwłoki znalazł stróż. A może to właśnie on ją zabił? Wróbelek przekonuje, że stróż raczej tego nie zrobił. Ale jego zdaniem właśnie stróż jest głównym podejrzanym. Dowodzi tego zresztą najnowszy raport Wróbelka. Wróbelek ustalił, że ta Żydówka chorowała na jakąś chorobę i w związku z tym raz w miesiącu w nocy wymykała się przez ogrody do lekarza. Nietrudno zatem się domyślić, jak to wyglądało. Stróż robił obchód, natknął się na nią, pomyślał, że to złodziej, pewnie zaczęli się szamotać i tak jakoś wyszło, że wpakował jej nóż w zebro. Rzecz jasna, nie orientował się, że to Żydówka. Zabił ją jako złodzieja. Czyli, jakby tu rzec, bez żadnych złych intencji. O właśnie, Topór podniósł do góry rękę z wycelowanym w niebo wskazującym palcem, na to trzeba kłaść nacisk. W tamtej okolicy mieszka wszelakie tatałajstwo. Stróż miał święte prawo przypuszczać, że to jakiś żul dobiera się do cudzej komórki. I dzielnie stanął w obronie własności lokatorów. To, co się stało potem, było zatem rezultatem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i nie

miało nic a nic wspólnego z jakimikolwiek animozjami polsko-żydowskimi. Można zatem rzec, że za śmierć tej kobiety nie odpowiada żaden Polak. A jeśli nie odpowiada żaden Polak, to nie odpowiada również społeczeństwo polskie jako ogół. Śmierci tej jest winna sytuacja, w jakiej znaleźli się Żydzi na skutek zarządzeń Niemców. Zatem w zasadzie, konkludował Topór, wszystko jest jasne. Zanim jednak taka wersja wydarzeń zostanie opublikowana przez podziemną prasę, trzeba na wszelki wypadek sprawdzić szczegóły. Żeby nie było przykrych niespodzianek.

Skończywszy przemowę, porucznik usiadł i sięgnął po papierosa z leżącej na stole pomiętej paczki.

– I co pan na to?

Musiał przyznać, że wersja zdarzeń zaproponowana przez Topora jest przemyślana i spójna. Miała jednak wadę: sprawcą zabójstwa czyniła – mimo wszystko – Polaka. A przecież w tej kamienicy mieszkali jeszcze Niemcy, folksdojczce, Rosjanie, Ukraińcy. No właśnie, Ukraińcy. Zwłaszcza jeden, ten z Hilfpolizei, idealnie pasowałby do ich historii. Pewnie miał zresztą na sumieniu wielu Polaków i wielu Żydów. Wszyscy doskonale wiedzieli, co Ukraińcy wyrabiali z Żydami po wkroczeniu Niemców i jaki los zgotowali przed rokiem Polakom z Wołynia. Przecież to jeszcze więksi mordercy od hitlerowców! Więc każdy bez trudu uwierzyłby w winę tego ukraińskiego łapsa.

Kiedy powiedział o tym Toporowi, ten pokiwał smutno głową. Tak, myślał o tym, oczywiście, że myślał. Ukrainiec był wprost wymarzonym kandydatem na poszukiwanego przez nich mordercę. Niestety, sukinsyn miał niepodważalne alibi. Tamtego dnia całe popołudnie, wieczór i noc pełnił służbę w fabryce Nowackiego. Widziały go tam na własne oczy dziesiątki Polaków. Zatem nic z tego. Nie wolno im grać aż tak wyraźnie znaczoną kartą.

– Ale po opublikowaniu w naszej prasie takiej wersji zdarzeń, Gestapo odnajdzie stróża i zmusi go, by wszystkiemu zaprzeczył.

– To niemożliwe. Właśnie otrzymałem wiadomość, że stróż zmarł kilka dni temu na dezynterię.

Podczas gdy on studiował raporty Wróbelka – najpierw stary, dla przypomnienia sobie detali, później nowy – Topór wyciągnął spod stołu butelkę winiaku i napełnił do połowy dwie niezbyt czyste musztardówki.

– Pod ten Nowy Rok, panie podchorąży. Czort jeden wie, co on nam

przyniesie...

Stuknęli się i wypili po łyku. Potem wrócił do lektury. W jej trakcie zaczął sobie uświadamiać, jak świetny zrobił interes, kupując kilka dni wcześniej od Uszyckiego dwadzieścia siedem obrazów Gołdynia – tych samych, o których Wróbelek wspomina w swoim raporcie, tych właśnie, do których pozowała Jodłowska. Baron odkupił je bardzo korzystnie od Niemców i odstąpił mu po cenie, w ramach rewanżu za przysługę spod Mostu Warszawskiego. Szczerze mówiąc, kiedy Uszycki w zeszłą sobotę u Krysi zaproponował mu tę transakcję, w pierwszej chwili poczuł zawód. Spodziewał się przywrócenia dotacji na Legion, ewentualnie jednorazowej wpłaty, ale wyłącznie w gotówce. Ale kiedy baron oświadczył stanowczo, że tylko tym sposobem może okazać swoją wdzięczność, chcąc nie chcąc, przystał na propozycję. A teraz miał już pewność, że przypadkiem trafił w dziesiątkę. Bo jeśli szwaby rozwałą Gołdynia, a rozwałą na sto procent, jego obrazy jak nic pójną w górę.

Topór czekał cierpliwie, paląc wolno papierosa i od czasu do czasu pociągając ze szklanki. Minęło jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim skończył czytać i zwrócił dowódcy obie zszywki.

– Ten Wróbelek to bystry chłopak...

Topór się skrzywił. Owszem, bystry. Czasami aż za bystry. I nie chłopak, ale dziewczyna. Ulubienica i protegowana Mechanika. Chcieli ją wziąć do wywiadu, ale Mechanik się nie zgodził. Może zresztą i dobrze, bo mocno niepewna politycznie. Sam fakt, że wcale o to nieproszona poświęciła tyle czasu i energii na wyjaśnienie morderstwa jakiejś Żydówki, dowodzi tego najlepiej. Zresztą to nie pierwszy raz, kiedy dała upust swojemu nieposkromionemu filosemityzmowi. W czterdziestym pierwszym mało nie wpadła w trakcie ustalania dokładnej imiennej listy Żydów rozstrzelanych w Biernatkach. Sami Niemcy nie mieli pewnie takiej listy. Po jakiego diabła to robiła? Jej obowiązkiem jest przecież dokumentowanie niemieckich zbrodni popełnionych na narodzie polskim, a nie żydowskim. Albo po jaką cholere zbierała przykłady antysemitycznych zachowań ludności rdzennie polskiej w trakcie wywózki Żydów? Po co spisywała opinie ludzi akceptujących pozbycie się ich z Kalisza? To już miało charakter świadomej antynarodowej prowokacji.

– Czyli to niezły ptaszek... Kiedy ją poznam?

Topór się uśmiechnął. Trudno poznawać kogoś, mruknął, kogo się

świetnie zna. I widząc jego zdumienie, dodał, że kilka razy widział ich razem na ulicy. Co prawda było to jakieś dwa, trzy lata temu, ale pamięć na pewno go nie myli. Wyglądali na bardzo sobie bliskich. Nawiasem mówiąc, Topór podrapał się po brodzie, bardzo go dziwi, co ktoś taki jak on mógł widzieć w dziewczynie o podobnych poglądach. Co, jeszcze się nie domyśla, o kim mowa? To przecież ta drobna blondyneczka z antykwariatu.

Ukrycie wrażenia, jakie wywarła na nim ostatnia wiadomość, kosztowało go sporo wysiłku. A niech to diabli! Bóg jednak istnieje. To nie może być przypadek. To święta Kosmiczna Siła tak pokierowała wypadkami, że oto znowu na jego drodze stanęła Dorota. Ciut spóźniony gwiazdkowy prezent. Za to jaki! Poczuł, jak ogarnia go rozkoszne ciepło. Pociągnął spory łyk winiaku i przez dłuższą chwilę trzymał go na języku, by nasycić się wypełniającym usta aromatem i mile szczypiącą słodyczą. Sam nie wiedział, co mocniej go teraz grzeje – winiak czy wizja spotkania z Dorotą. Wyobrażał sobie jej minę, kiedy przyjdzie do niej i poda hasło. Nie byli ze sobą sam na sam od tamtego nieszczęsnego wieczoru przed prawie trzema laty, kiedy znalazła u niego wstępniak do szykowanego numeru „Rzeczypospolitej Imperialnej”. Teraz, chce czy nie chce, będzie się musiała zgodzić na dłuższe tête-à-tête. I już jego w tym głowa, żeby skorzystał z okazji i wytłumaczył, że to wcale nie jest tak, jak ona myśli. Że jego faszyzm nie jest ślepą i fanatyczną wiarą, jak w przypadku Żyrewicza, lecz zimną polityczną kalkulacją. Że doszedł doń na drodze czysto rozumowej, prowadzącej do oczywistego wniosku, że w świecie walczących o byt narodów największe szanse na zwycięstwo mają te, które wybrały totalizm. Przedwojenna Polska przegrała tak sromotnie, bo była demokratyczna, bo cackała się z rozsadzającymi ją mniejszościami, bo nie potrafiła zdobyć się na rządy silnej ręki.

– Coś się pan rozmarzył, panie podchorąży...

Odchrząknął, po czym zwrócił uwagę porucznika na niepokojący fakt, że cały zebrany przez Wróbelka materiał prowadzi na razie wyłącznie w stronę Gołdynia. To znaczy niepodważalnego dowodu jego winy nie ma, ale poszlaki sugerują, że przynajmniej teoretycznie mógł to być on. W każdym razie całkiem się to mieściło w logice sytuacji.

Topór sapnął gniewnie. W logice sytuacji, burknął, mieści się, że bity człowiek powie wszystko, byle przestali go bić. A Gołdyń musiał być bity, i to ciężko. W końcu postrzelił żandarma! Przecież nietrudno się domyślić,

że skoro Niemcy schwytali go z bronią w ręku, podejrzewali, że należy do organizacji. A skoro się nie przyznał, musieli go tłuc i to zdrowo. Skąd wiadomo, że się nie przyznał? Bo Gestapo nie zjawilo się pod żadnym z adresów, jakie Gołdyń znał. Oczywiście, od czasów jego współpracy z legalizacją wszystkie adresy kilkukrotnie uległy zmianie, ale Gołdyń przecież o tym nie wiedział. Jeśli zaś się tego domyślał, tym bardziej mógł podać któryś z nich, żeby dali mu spokój. Jednak tego nie zrobił. Zachował się jak prawdziwy bohater. Mimo że tamci mają na niego jeszcze lepszy bat od bicia. Przecież to alkoholik i narkoman. Każdy taki po paru dniach bez gorzały i morfiny ojca i matkę by wsypał. A ten nic. Zaś co do Jodłowskiej, jeśli nawet faktycznie się przyznał, to tylko po to, by nie męczyli go dłużej. Być może też kalkulował: jeżeli zezna, że przechowywał za pieniądze Żydówkę, a potem ją zabił, to Niemcy, zadowoleni, że zyskali choć tyle, nie będą go już pytać o organizację. I nie będzie ryzyka, że wymęczony torturami zacznie sypać. Czyli aby ocalić dawnych towarzyszy broni, zgodził się zrobić z siebie pospolitego kryminalistę. Chyba w zamian za to coś mu się od nich należy, prawda?

– Jednak Gołdyń to człowiek szalony, pijak i narkoman, ktoś, kto nie kontroluje własnego zachowania. Już to, że przez trzy lata łączył współpracę z wydziałem legalizacji z ukrywaniem w swoim mieszkaniu Żydówki, dowodzi jego skrajnej nieodpowiedzialności. Więc co, jeśli się okaże, że to jednak on?

Topór zatopił w nim wzrok zdolny ukatrupić wołu i wycodził wolno, że chyba wyraził się jasno: jego zadaniem jest znalezienie dowodów na to, że Gołdyń jest niewinny, a kobietę niechcący zabił stróż. Czyli że Niemcy bezczelnie kłamią. To rozkaz!

Mróz orzeźwiająco poszczypywał go w twarz, kiedy kwadrans później schodził w dół, do miasta. Jego umysł cały czas nurzał się w podniecającej wizji spotkania z Dorotą. Zamarznięta kałuża, obsypana świeżym śnieżnym pyłem, wyglądała jak przyprószona mąką stolnica. Trzeba tylko dobrze to rozegrać. Nie wolno mu pokpić sprawy. Druga taka szansa już się nie zdarzy. Z balkonu na drugim piętrze oderwał się wielki sopel i niczym lotnicza bomba spadł na chodnik, gdzie roztrzaskał się u stóp idącej przed nim starszej pani. Kluczem do sukcesu, myślał, miażdżąc głośno podeszwą buta odłamki bomby-sopla, jest śledztwo w sprawie zabójstwa Jodłowskiej. Pozorowana gorliwość, z jaką się do niego zabierze, powinna mu przynieść

uznanie Doroty. I jej głęboką wdzięczność. Ta sama gorliwość spowoduje, że Dorota zobaczy go w innym świetle. Dotychczas był dla niej prymitywnym, zoologicznym antysemitą, takim samym jak Żyrewicz albo Topór. Nie dała mu szansy na wytłumaczenie, że wcale tak nie jest. Czy ten śnieg musi tak prószyc prosto w twarz? Poprawił szalik pod szyją i postawił kołnierz. A przecież była zasadnicza różnica między jego ograniczonym politycznym antysemityzmem a głoszonym przez tamtych czystym rasizmem. Rasizm każe widzieć w Żydzie istotę zawsze gorszą i niebezpieczną, narzędzie metafizycznego zła, wysłannika piekieł. Istotę nieodwracalnie skażoną wszystkim co najgorsze. Z drzwi urzędu pocztowego po drugiej stronie ulicy wyskoczyła szatynka w letnich pantoflach oraz narzuconym na plecy futerku z nutrii i otworzywszy skrzynkę na listy, zaczęła szybko wymiatać jej zawartość do dużego worka. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to brednie. Jeśli Żydzi szkodzą narodowi, pośród których mieszkają, to dlatego, że żyją w diasporze, bez własnego państwa. Ten nienaturalny sposób egzystencji sprawił, że wykształcili w sobie cechy, które normalnym narodowi są obce: nielojalność, chytrość, pazerność, nieuczciwość. Szatynka zamknęła skrzynkę i przytrzymując na piersi połę futerka, zniknęła za drzwiami poczty. Wystarczy zatem utworzyć w Palestynie państwo żydowskie i przesiedlić tam wszystkich Żydów, a w ciągu dwóch, trzech pokoleń staną się oni normalnym narodem, takim samym jak inne. Taki był jego program. I jak tu mówić o zwierzęcym antysemityzmie?

Przy słupie z ogłoszeniami na rogu Górnośląskiej i Cmentarnej zatrzymał się, by przeczytać świeżo nalepione obwieszczenie o godzinie policyjnej w noc sylwestrową. No tak, dla Polaków, jak w każdy dzień, dwudziesta pierwsza. Przypomniał mu się sylwester z czterdziestego pierwszego na czterdziesty drugi. Najwspanialszy, przynajmniej dotąd, sylwester w życiu. Jego pierwsza noc z Dorotą. I to jaka noc! Ale nie, nie, nie – nie chciał przywoływać tamtych obrazów. Nie teraz. Zamąciłyby mu umysł. A on musi myśleć jasno. Partię szachów trzeba rozgrywać na zimno.

Już chciał ruszyć dalej, kiedy na wysokości schodów wiodących na cmentarz znowu pojawił się ten sam policyjny patrol. Natychmiast skręcił w lewo, w Cmentarną. Dorota. Wreszcie ją ma i tym razem już nie wypuści. Na podwórku zapadniętym poniżej poziomu ulicy kilkoro dzieci w różnym wieku rzucało śnieżkami w dużego, nieforemnego bałwana. Oczywiście, nie

ma się co łudzić, nie przekona jej do swoich racji, nie nawróci na swoje przekonania. Ale nie o to idzie. Celem jest uświadomienie jej, że za jego wyborami stoją jak najlepsze i najszlachetniejsze intencje. Intencje czyste jak ten śnieg oblepiający cmentarny mur i wyglądające spoza niego dachy grobowców i kaplic. Ona musi dostrzec w nim przyzwoitego człowieka, którego życie zmusiło do dokonania dramatycznego wyboru, a nie spragnionego cudzej krwi potwora. Musi uwierzyć, że nienawiść i przemoc brzydą go tak samo, jak ją, tyle że on pogodził się z prawdą, że świat bez przemocy i nienawiści nie istnieje. Cmentarz zniknął, zakryty przez rząd rachitycznych kamieniczek, szarych i zniszczonych jak twarze starych prostytutek. A skoro inni używają przeciwko nam i nienawiści, i przemocy, musimy i my wykorzystywać je do obrony. Nawet jeśli nas to mierzi. To po prostu konieczność. Konieczność smutna, obrzydliwa, ale nieuchronna.

Zbliżając się do rogu Cmentarnej i Widoku, poczuł, że jego pęcherz stanowczo domaga się opróżnienia. Rozejrzał się za jakimś ciemnym kątem, ale żadnego nie dostrzegł. Skręciwszy w prawo, zaczął nerwowo wypatrywać jakiejś bramy. Mimo coraz mocniej odczuwalnego dyskomfortu, nie przestawał myśleć o Dorocie. Może jednak przy pierwszym spotkaniu nie wdawać się z nią w ideologiczne dyskusje? To teren grząski, niebezpieczny. Lepiej na razie na niego nie wkraczać. Pęcherz zaczynał tracić cierpliwość. Z Dorotką trzeba ostrożnie. Najpierw przygotowanie gruntu. A szturm dopiero po solidnym ostrzale artyleryjskim. Przystanął w zaułku wiodącym do tylnej bramy cmentarza ewangelickiego i przestępując z nogi na nogę, szybko rozpinał rozporek. Jezu, szybciej! Jeszcze kilka drobnych manipulacji i wreszcie poczuł cudowną ulgę. Rozkoszując się nią, przyglądał się rysowanemu na śniegu żółtym zygzakom. Tylko jak tę Dorotkę zmiękczyć? Od której strony ją podejść? Jaką podsunąć jej przynętę? Podniósł wzrok w górę i zatrzymał go na zawieszonym między konarami drzewa postrzępionym koszyku gawroniego gniazda, jakby się spodziewał, że wyfrunie stamtąd genialna odpowiedź. Nic z tego. Im intensywniej myślał, tym większa pustka wypełniała jego głowę. Zapiął rozporek, odwrócił się, schylił i nabrał w dłoń śniegu. Natarłszy nim ręce, wcisnął je do kieszeni i szybkim krokiem opuścił zaułek. Przynęta na Dorotę, przynęta na Dorotę... Przeciął Poznańską i skręcił w stronę łaźni. Nakryte białymi bermycami słupki wysokiego ogrodzenia, za którym znajdował się ogród klasztoru

nazaretanek, wyglądały jak szereg żołnierzy na paradzie. Nagle doznał olśnienia. Obrazy Gołdynia! Obrazy! Jak mógł o tym nie pomyśleć? Oczywiście, obrazy! Podaruje je Dorocie! Ona jest na pewno święcie przekonana, że Niemcy wszystkie zniszczyli. Oszaleje ze szczęścia, kiedy się dowie, że zostały uratowane. Uratowane przez niego. Jeśli otrzyma je w prezencie, będzie musiała okazać mu wdzięczność. I w murze niechęci, jakim na jego widok opasywała się szczelnie przez ostatnie lata, pojawi się wreszcie pierwszy wielki wyłom.

Ponad dachem wyskoczyło nagle stadko gołębi. Podniósł głowę i patrzył, jak powoli zataczają szeroki łuk. Wyglądały jak eskadra szykujących się do ataku myśliwców.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sobota, trzydziestego grudnia

Na orzechowym bufecie, odbijającym się w zawieszonym powyżej długim lustrze, prężyły się na baczność oddziały kieliszków o różnych kształtach, kilka karafek i apetycznie wyglądających butelczyn – w tym dwa oryginalne francuskie szampany. Nalała sobie ajerkoniaku, odwróciła się i podeszła do jednej z dwóch grupek, jakie utworzyły się po obu stronach owalnego stołu. Składała się ona z Krysi, jak zwykle olśniewającej świetną fryzurą i elegancką kiecką, Kiciusiów Dembowskich, przy pani domu wyglądających niczym ekonom i jego żona przy dziedzicze na ordynacji, inżyniera Janickiego, wciąż pogrążonego w żałobie po poległym pod Arnhem synu, pani Wróblewskiej, czterdziestoletniej, wyjątkowo pięknej starej panny, intrygującego połączenia sufrażystki i sawantki, barona Uszyckiego, chyba mocno zblazowanego po jakichś wczorajszych alkoholowo-miłosnych ekscesach, oraz Władka Wenera, młodego pianisty, co chwila odrzucającego ruchem głowy przydługą i wciąż wchodzącą na oczy grzywkę.

– Nie mam wątpliwości, że to wszystko ohydne szwabskie kłamstwa! – Harmonii, w jaką Krysia zestrajała ton swojego głosu, spojrzenie, mimikę i gest, mogłaby jej pozazdrościć każda filmowa amantka. – Gołdyń pospolitym mordercą? Bzdura! Może i trudno traktować go jako wzór moralności, ale wiadomo, artyści patrzą na te sprawy trochę inaczej. Co innego jednak zmieniać kochanki jak rękawiczki, a co innego mordować je, kiedy się znudzą!

Zorientowawszy się, czego dotyczy rozmowa, w pierwszej chwili miała ochotę dać nogę; w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zbyt dobrze przerobiła ten temat, by wałkować go jeszcze tutaj. Zwłaszcza że z wiadomych powodów nie mogła się podzielić tym wszystkim, co wiedziała. Nie mogła i nie chciała. Plotkowanie o strasznym losie Romki siłą rzeczy budziło w niej

odruchowy niesmak. Po krótkiej walce wewnętrznej przemogła się jednak i pozostała. Nie potrafiła oprzeć się ciekawości, w jaki sposób znajomi skomentują doniesienie środowej gazety. Przypudrowała twarz wymuszoną obojętnością i nadstawiła uszu.

– Jest faktem, że w szambie na Stawiszyńskiej znaleziono zwłoki kobiety.
– Spokojny głos Kiciusia Dembowskiego, rozpalającego właśnie fajkę z saksofoniastym cybuchem, zadźwięczał nieco drażniącą wyższością osoby świadomej przewagi, jaką daje jej doktorat z filozofii i teologii. –

Na podwórku kamienicy, w której mieszka Gołdyń. Wiem to od Andrzeja Matuszewskiego, który też tam mieszka. Co więcej, Andrzej twierdzi, że ta kobieta ukrywała się u Gołdynia. Na jakiej podstawie tak twierdzi? Dobrze pytanie! Po prostu kiedy Niemcy przeszukali kilka dni temu mieszkanie Gołdynia, natrafili na jej paszport. Potem chodzili z nim po całym domu i wypytywali, czy ktoś ją zna. A kiedy wyciągnęli zwłoki z szamba, pokazywali znaną przy nich kenkartę. Andrzej nie ma wątpliwości, że to jedna i ta sama osoba.

Wyobrazila sobie miny ich wszystkich, gdyby powiedziała choćby tylko to, czego się dowiedziała w ostatnich dniach od Anny. Najpierw w środę, po ukazaniu się informacji w „Ostdeutscher Beobachter”, że zwłoki Romki poddano sekcji i następnie spalono w szpitalnym piecu centralnego ogrzewania, a następnie w piątek, po tym, jak Anna na jej prośbę dotarła do protokołu sekcji, że Romce zadano co najmniej jedenaście pchnięć nożem o bardzo długim, szerokim i zakrzywionym ostrzu. O takim samym kształcie, jak zaginiony kindżał z mieszkania Gołdynia. Wprawdzie „takim samym” nie musiało zaraz znaczyć „tym samym”, ale biorąc pod uwagę materiał dowodowy, stawiała dolary przeciw orzechom, że był to właśnie kindżał malarza. Gdyby tak udało się go odnaleźć! Wtedy pokazałaby go profesorowi, a ten po jego rozmiarach i zdobnictwie powinien rozpoznać, czy to ten, którego pochwę widział w sypialni malarza. Ale gdzie go szukać? Skoro Niemcy przewrócili mieszkanie Gołdynia do góry nogami i kindżału nie znaleźli, to znaczy, że go tam nie ma. Co Gołdyń – zakładając, że to on zabił Romkę – mógł zrobić z narzędziem zbrodni?

– Przepraszam, ktoś przyszedł, pójdę otworzyć. – Usłyszawszy dzwonek, Krysia obróciła się na pięcie i odeszła, odprowadzana błyszczącymi z zachwyty oczami Władka.

– Nawiasem mówiąc, musieliście o niej słyszeć, bo przed wojną sporo się

o niej plotkowało w towarzystwie. Niejaka Jodłowska.

– Jodłowska? Córka tego bogatego Żyda? – Kicia spojrzała na męża z wyraźną pretensją, że tak arcyważną nowinę aż do tej pory trzymał w tajemnicy. – Krystyna, słyszysz? – Obróciła się w stronę drzwi, lecz spostrzegłszy, że Krysia zniknęła już w przedpokoju, przeniosła wzrok. –

Dorota, słyszałaś, co on mówi? Ta Żydówka z szamba to podobno Jodłowska. Wyście z Krysią chodziły z nią do klasy, prawda?

– Zdaje się... – bąknęła i natychmiast pojęła, że to „zdaje się” musiało zabrzmieć głupio. – Tak, faktycznie, chodziłyśmy. Przepraszam! –

Z piekącymi policzkami odwróciła się, pochyliła nad stołem i zaczęła przesuwając sztucce, chociaż leżały w idealnie równych szeregach.

– Mowy nie ma! Nie zgadzam się! – Zosia Królewicka, stojąca po drugiej stronie stołu w towarzystwie Bronia Czopy i Żanety Białasówny, tak mocno kręciła zatkniętą na łabędziej szyi maleńką główką cmentarnego aniołka, że aż wylała na spodek herbatę z trzymanej w ręku filizanki. – Zapraszać tutaj własowca? Kryśka chyba zwariowała! Czy wiecie, co oni wyczyniali w Warszawie? I ja mam z kimś takim usiąść przy jednym stole?! Wykluczone!

No ładnie, skrzywiła się, z deszczu pod rynną. Spojrzała z niepokojem na profesora, który siedział na fotelu pod wielką palmą i przeglądał gazetę. Z jego pochmurnej miny od razu wyczytała, że słyszał każde słowo. Oczywiście, to nie on wpadł na ryzykowny pomysł, by przyprowadzić tu Wadima. To była wyłącznie jej inicjatywa. Łubnin, kiedy tylko mu o tym napomknęła, stanowczo się sprzeciwił. Przepowiadał, zdaje się, słusznie, że pachnie to grubszą awanturą. A w każdym razie dotkliwymi przykrościami. Po co, przekonywał, się na nie narażać? Czy aby na pewno warto? Ustąpił – i to bardzo niechętnie – dopiero gdy do pomysłu zapaliła się Krysia.

– ...nawet jeśli Gołdyń faktycznie ją przechowywał, to wcale nie znaczy, że łączy go cokolwiek z jej zabójstwem! Nie, nie, nie! Nigdy w to nie uwierzę! – Dochodzący zza pleców pisk Kici aż wibrował w uszach. – W tej kamienicy mieszka jeszcze z pięćdziesiąt innych osób, a przecież mógł to zrobić również ktoś z innego domu. Sami wiecie, jaka to ulica, ta Stawiszyńska. Łatwiej potknąć się tam o typa spod ciemnej gwiazdy niż o wyszczerbiony chodnik.

– Ponoć nawet Niemcy – zwykle białe niczym marmur policzki Zosi

zaróżowiły się z podniecenia, a z malutkich oczu aż tryskał gniew – byli przerażeni postępowaniem tych bandytów!

– Pani, Zofio! – Łubnin, cisnąwszy gazetę na podłogę, zerwał się z fotela. – Stanowczo sobie wypraszam nazywanie mojego bratanka bandytą! To wspaniały i szlachetny młody człowiek, którego do dokonanego wyboru – w moim pojęciu zresztą błędnego, o czym, notabene, wiele razy mu mówiłem – pchnęło to samo, co większość tu obecnych do pracy konspiracyjnej: chęć uwolnienia ojczyzny. Mogę też panią zapewnić, że jego formacja nigdy nie walczyła przeciwko Polakom i nie ma nic – podkreślam wyraźnie – nic a nic wspólnego z odziałem, który wsławił się tak ponuro w czasie tłumienia powstania w Warszawie!

Ajajaj, a to się narobiło! Co teraz? Podejść do niego i coś powiedzieć? Tak by wypadało. Ale lepiej nie; wygląda na rozsierzonego. Nie tylko się nie uspokoi, ale jeszcze i ją zruga. Cholera, niedobrze. Nieźle narozrabiła. Chyba się zakochała i całkowicie straciła rozum.

– ...tego nie wyjaśnimy, bo niby jak? – Władek Werner podszedł do stołu tuż obok niej, wyciągnął z kieszeni węzełek z chustki do nosa, po czym delikatnymi palcami, stworzonymi do biegania po klawiszach, rozsupłał go i wyjął ze środka kostkę cukru. – W każdym razie na pewno nie zabił jej Gołdyń, człowiek, który przez cztery lata ją przechowywał. A dlaczego Niemcy przypisują morderstwo właśnie jemu, tego akurat nie trzeba nikomu tłumaczyć. – Wrzucona do pustej filiżanki kostka zadzwoniła krótko. Dłoń Władka powędrowała w stronę porcelanowego dzbanka z herbatą, zawahała się, przesunęła w stronę srebrnego dzbanka z kawą, znów się zawahała, przez chwilę miała chyba ochotę zawrócić, ale w końcu zacisnęła się na kremowej ręczce z kości słoniowej. – Gołdyń to polski artysta, polski inteligent, a to wystarczający powód, by go nienawidzili. Także patriota. Pamiętacie zbiórkę na Fundusz Obrony Narodowej wiosną trzydziestego dziewiątego? Gołdyń w pojedynkę ufundował wtedy ciężki karabin maszynowy wraz z taczanką i końmi. Sam generał Alter dziękował mu za to. Pamiętam wielkie zdjęcie w gazecie. – Zamieszawszy kawę, Władek odłożył łyżeczkę na tacę i pokuśtykał wolno z powrotem do reszty towarzystwa. – Takiego człowieka nie wystarczy złapać i zabić. Trzeba go jeszcze do cna zohydzić w oczach rodaków. Tak, żeby, nie daj Boże, nie wszedł do panteonu narodowych bohaterów. A że swoim immoralizmem w sprawach męsko-damskich, alkoholem i narkotykami Gołdyń niewątpliwie ułatwił Niemcom dorobienie

sobie gęby zwykłego przestępcy, to już całkiem inna historia.

Szambo, olśniło ją nagle, szambo! Gołdyń mógł wrzucić kindżał do szamba! Być może nawet do tego samego, do którego kilka godzin później profesor wepchnął ciało Romki.

– ...ański zamysł Niemców jest całkiem jasny – perorował Kiciuś. – Oni zdają już sobie sprawę, że nie ukryją przed światem tego, co zrobili z Żydami, więc chcą część swojej winy przerzucić na innych – w tym wypadku na nas. Wrobienie Polaka, i to nie pierwszego lepszego Polaka ani jakiegoś tam męta, ale artysty, inteligenta, członka narodowej elity, w prymitywny mord na tle rabunkowym, to dla nich prawdziwa gratka.

Tylko że nawet jeśli to szambo, i tak nic jej po takim przypuszczeniu. Przecież nie pójdzie tam, nie wskoczy do środka i nie zanurkuje w poszukiwaniu kindżału.

– ...w głowie podważanie patriotyzmu Gołdynia. I jego hojności. – Po raz pierwszy odezwał się baron. – Ale wiem na pewno, że te konie i taczanka do karabinu wzięte były na kredyt. Ludzie, od których Gołdyń je kupił, nigdy nie zobaczyli ani złotówki. A przecież jeszcze w początkach wojny powodziło mu się doskonale...

– Ależ, panie baronie! – Inżynier Janicki poczuł się zobligowany zaoponować. – Sam ciężki karabin maszynowy kosztuje niebotyczne pieniądze. A co do koni, we wrześniu wojsko i tak by je zarekwirowało.

Uznawszy, że jej manipulacje ze sztukami zaczynają wyglądać podejrzanie, chwyciła kieliszek, odwróciła się i oparła pośladkami o stół. W tym momencie w drzwiach salonu ujrzała Krysię z Zasuniem. Jak zwykle wyglądał jak wycięty z żurnala; tym razem zawdzięczał to świetnie dopasowanemu garniturowi z rudej angielskiej wełny i brązowemu golfowi. Gdyby na nogach miał długie buty, przypominałby panicza z zamożnego dworu. Mimo że przecież się go tu spodziewała, poczuła, jak jej dopiero co rozpalone policzki martwieją w mgnieniu oka. Kiedy w czwartek zjawił się niespodziewanie w antykwariacie i potwierdzając jej domysły, że Wieża to właśnie jego pseudonim, wypowiedział hasło, z jakim miał się do niej zgłosić człowiek od Topora, bez zastanowienia udała głupią. Ciocia Edyta przesyła jej pozdrowienia? To jakieś nieporozumienie, ona nie ma żadnej cioci Edyty. Oczywiście Zasun doskonale wiedział, że nie popełnił omyłki, że to ona jest Wróbelkiem i że zna odzew („To dobrze, już się martwiłam co u niej!”), więc jej bezczelne zaprzaństwo wprawilo go w osłupienie. Żeby

zyskać na czasie i zastanowić się, co dalej, wdał się z Gregoriusem w rozmowę o starej biżuterii. Przed wyjściem jeszcze raz podszedł do niej i zażądał, by umówiła się z nim na spotkanie. Znowu odmówiła. Postraszył konsekwencjami za niewykonanie rozkazu. Nie ugięła się. Zrozumiawszy, że nic nie wskóra, jak niepyszny wyniósł się ze sklepu.

– Zaraz, zaraz! – Kiciuś przywołał uradowanymi oczyma Łubnina, który ze spłoszonymi z oburzenia policzkami przywędrował w okolice bufetu w poszukiwaniu kieliszka z czymś mocnym. – Pan, profesorze, gdzieś tam przecież mieszka. No, na Stawiszyńskiej... Tam gdzie znaleziono tę kobietę w szambie.

– Ja... właśnie... – Łubnin odkaszlnął. – Ja tak, mieszkam nawet, owszem, ale dalej. Ja nic nie wiem. Tyle co z gazety. – Wziąwszy kieliszek wódki, profesor pośpiesznie odpłynął po tureckim dywanie w kierunku stojącej w kącie pod oknem wysokiej choinki i zaczął oglądać przystrajające ją świecidełka.

Kryśka i Zasuń zbliżyli się do pierwszego kółka. Udawała, że go w ogóle nie dostrzega, jednak przez skórę czuła, jak wsysa ją jego wzrok. Może jednak zrobiła źle, że poszła w zaparte? Mogła dla świętego spokoju odpowiedzieć na przynajmniej niektóre pytania. I opowiedzieć mu o sekcji zwłok. Przecież i tak dowie się o tym z jej raportu, który w przyszłym tygodniu otrzyma Mechanik i natychmiast prześle Toporowi. Zasuń nie mógłby się wtedy poskarżyć, że odmówiła wykonania rozkazu. Chociaż nietrudno się było domyślić, że najbardziej ciekawiły go nazwiska jej informatorów. Ale tych i tak by mu nie ujawniła. Wydać doktora Walczaka, a zwłaszcza Łubnina, w łapy tego drania? Ależ miałby używanie! To przecież z jego poduszczenia, a przynajmniej za jego wiedzą, Żyrewicz pytał kiedyś Kryśkę, czy to wypada, żeby Rosjanin, syn carskiego czynownika, przychodził na polskie wieczorki literackie i ośmielał się wypowiadać na tematy, które go z zasady nie dotyczą. Więc nie ma o tym mowy. Nigdy, bez względu na konsekwencje!

– ...chciałam nikogo urazić. Po prostu uważam, że zapraszanie tu osoby tej proveniencji jest czymś, delikatnie mówiąc, wysoce dwuznacznym i niestosownym. A w ogóle wydaje mi się, że pomysły Krysi są coraz częściej mocno nieprzemysłane. Cierpliwie znosiliśmy jej ekstrawagancje, te wykłady o hitlerowskiej i włoskiej sztuce i literaturze, te wszelkie „próby zrozumienia”, „poznania innych stanowisk”, „poszerzenia horyzontów”, jak

to nazywa, nie wiadomo po co podejmowane, bo i co tam próbować i poznawać, skoro, przynajmniej dla prawdziwego Polaka, wszystko od początku jest oczywiste. Wiemy, kto podsuwa Krysi te pomysły. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego ona je kupuje. Nie sądzę, żeby czyniła to z naiwności, jest na to zbyt inteligentna. Zdaje się, że stoi za tym jakiś rodzaj próżności, wyraźne upodobanie do intelektualnego skandalu. Jej po prostu sprawia frajdę, kiedy nas czymś zaskoczy. Ale niezależnie od tego, kto tak naprawdę reżyseruje te wieczory, odbywają się one w domu Krysi i to ona ostatecznie odpowiada za to, co się tu dzieje. A czasami dzieje się coś, co moim zdaniem zakrawa na dywersję. Niech będzie – może nieświadomą, może mimowolną, ale jednak. Jestem przekonana, że gdyby nasi przełożeni dowiedzieli się, o czym my tu czasami dyskutujemy i z kim się spotykamy, włos by się im zjeżył na głowie!

Tu dywersja, tam niesubordynacja – no proszę! W tych czasach nie były to niewinne słowa. Każde mogło ważyć tyle, ile pistoletowa kula. W oczach takiej Zosi całe jej życie uchodziło zapewne za jedną wielką dywersję i niesubordynację. Zresztą czy pod pewnym względem faktycznie nimi nie było? Świadomym sporem z ludźmi o kwadratowych mózgach i wyszydzaniem idei subtelnych jak konstrukcja cepa? I bardzo dobrze. Nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. Nie nadawała się do spędzenia życia w pozycji na baczność.

– ...osiu, bez przesady! – Rozpoznała Bronia. – Krysia od początku lojalnie nas uprzedzała, że nie ma zamiaru urządzić tu patriotycznych wieczornic ani szkolnych akademii. Zaakceptowaliśmy to i chyba nasze szare komórki źle na tym nie wyszły.

– Jeśli chodzi o moje, nie potrzeba im do rozwoju rozmowy z najmitą na niemieckim żołdzie!

Spokojnie, tylko spokojnie, mówiła sobie, podnosząc do ust kieliszek. Nie ma sensu reagować na zaczepki tej wierszokletki. Niech się wiedźma wygada, będzie potem spokojniejsza. Większym problemem jest Zasuń. Zapewne jeszcze raz, korzystając z okazji, ponowi próbę zmuszenia jej do rozmowy. Potem zamelduje o wszystkim Toporowi. Topór zawiadomi Mechanika. To wszystko trochę potrwa. Wątpliwe, żeby Mechanik podjął jakieś kroki przed ich środowym spotkaniem. Czyli dopiero wtedy czeka ją bura. Będzie się musiała jakoś wytłumaczyć. Chyba pójdą w ruch wielkie słowa. Nie cierpiała ich używać, ale trudno – skoro się nie da inaczej, niech

pójdą. Zatem oświadczy Mechanikowi, że nie zgadza się na współpracę z faszystą. I nie ma najmniejszego znaczenia, że to nasz, polski faszysta. Nie będzie z nim współpracować. W imię zasad. Bo wcale nie walczą o to samo. Jej chodzi o wolny kraj. Całkowicie wolny. Wolny zarówno od tych, którzy napadli nań z zewnątrz, jak i od tych, którzy mają chrapkę zniewolić go od środka. Takich właśnie, jak Zasuń. On walczy z faszyzmem niemieckim po to jedynie, by zaprowadzić tu własny, polski. A ona nie ma zamiaru przykładać do tego ręki. Wolałaby ją sobie raczej odrąbać. Mechanik się zapieni. Powie, że to niedopuszczalny partykularyzm. Że musimy najpierw wszyscy razem uwolnić Polskę od Niemców, a potem będziemy się spierać o jej ustrój. Ona na to, że jeśli wygonimy Niemców pod przywództwem takich panów jak Zasuń czy Topór, już oni zadbają o to, żeby później żadnej dyskusji nad ustrojem nie było. Wtedy Mechanik odwoła się do arytmetyki. Ilu ludzi, zauważy z przekąsem, ma Zasuń? Garsteczkę. Topór i jemu podobni, owszem, bez porównania więcej. To już poważna siła. Nie można jej nie doceniać. Ale przeceniać też nie należy. Podziemny rząd i parlament tworzą nie tylko endecy, ale i przedstawiciele trzech innych stronnictw. A oni nigdy nie dopuszczą do oddania całej władzy narodowcom. Trzeba nie mieć za grosz rozeznania w sytuacji politycznej, żeby ulegać podobnym obawom. Więc niech ona nie histeryzuje, tylko wypełni rozkaz. Sprawa Gołdynia musi zostać wyjaśniona. Przecież sama tego chciała, czyż nie? Powinna być zadowolona, że Topór wreszcie zabrał się ostro do śledztwa. Wówczas ona zauważy, że Toporowi wcale nie chodzi o znalezienie zabójcy Romki, ale o udowodnienie, że nie jest nim Gołdyń. Oboje doskonale zdają sobie z tego sprawę. Więc tym bardziej nie zgadza się pomóc Zasuniowi. Nie będzie uczestniczyć w preparowaniu kłamstwa. Więcej nawet, otwarcie zapowiada, że uczyni wszystko, co w jej mocy, by to kłamstwo zdemaskować. Jak na podobne dictum zareaguje Mechanik? Trudno przewidzieć. Ale nie ma co się martwić na wyrost. Do środy jeszcze cztery dni. Ostatnie cztery dni urlopu Wadima. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek i cokolwiek zepsuło im ten czas. A potem niech się dzieje, co chce.

– Przepraszam, że ja o tym w takim momencie... – Na matowej, pociętej bliznami głębokich zmarszczek twarzy inżyniera Janickiego, dotychczas słuchającego w milczeniu, pojawiło się zakłopotanie. – Ale... Ale posiadam obraz pana Gołdynia i gdyby ktoś z państwa był zainteresowany... Albo słyszał o kimś, kto by chętnie... Może pan, panie Michale? – Inżynier utkwiał

w Zasuniu nieśmiałe spojrzenie, na którego dnie majaczyła tonąca w rozpacz iskierka nadziei. – Pan ponoć zajmuje się takimi sprawami... Ja bardzo chętnie... i niedrogo...

– Ależ proszę bardzo. Jeśli pan pozwoli, wejdę po niego zaraz po Nowym Roku.

– ... nietaktem było przyprowadzenie tu tej folksdojczki z Łotwy, która czytała coś, co podobno było wierszami, choć z poezją, jaką ja znam, nie miało nic wspólnego. Sama nie wiem, jak mogliśmy się na to zgodzić. No ale z tym Rosjaninem to już przesada!

Folksdojczki z Łotwy? A to suka! Anna nigdy nie podpisała folkslisty!

– Okresu? Z jakiego okresu? – Inżynier wpatrywał się we Władka. – W każdym razie przedstawia Cyganekę. To, oczywiście, akt.

– Tej fascynacji Orientem, jak na mój gust, było w sztuce Gołdynia za dużo. – Władek co chwila przestępował z nogi na nogę; od czasu gdy amputowano mu prawą stopę i w jej miejsce zainstalowano protezę, dłuższe stanie w miejscu sprawiało mu trudność. Stopę sam sobie zmiażdżył zrzuconym ze stołu imadłem natychmiast po tym, jak w lecie czterdziestego drugiego, jako syn folksdojczka, otrzymał kartę powołania. – Na szczęście tuż przed wojną w jego twórczości nastąpił wyraźny zwrot. Zerwał z egzotyką i sięgnął do narodowych korzeni. Zrozumiał, że świadomy swej roli artysta powinien inspirować się tym, co go zrodziło. Do obrazów szykowanych na planowaną na grudzień trzydziestego dziewiątego wystawę pozowały same Polki. Tak samo do witraży przedstawiających cztery pory roku, które zaprojektował do pałacu w Staszyninie. Modelkami były zwykłe dziewczyny z tamtejszego folwarku.

– I pana zdaniem to taka wielka zmiana? – Pani Wróblewska wcisnęła do długiej fifki tanią cygaretkę, po czym zignorowawszy pragnącego podać jej ogień Kiciusia, zapaliła ją sama wyjętą z torebki zapalniczką. –

Że skończył z roznegliżowanymi Aiszami i Rebekami, a na ich miejsce zaczął taśmowo fabrykować gołe Kaśki i Maryśki?

Uśmiechnęła się pod nosem na konfuzję, w jaką wpędziły Władka uszczypliwe słowa pani Wróblewskiej.

– Oj, chyba nie ceni pani sobie sztuki pana Gołdynia. – Zasuń, widząc, że Władek nie ma ochoty na starcie, postanowił dla zabawy podgrzać atmosferę. – A przecież cała jego twórczość to jeden wielki hołd złożony kobietom...

– Nie wiem, czy można nazwać hołdem – pani Wróblewska zaciągnęła się głęboko i wolno wypuściła dym – pokazywanie ich jako połciów apetycznego mięska.

– Chyba – usłyszała przy uchu szept Krysi – że są to połcie trafiające na jej własny stół...

Lesbijskie skłonności pani Wróblewskiej były tajemnicą poliszynela przynajmniej od ostatniej przedwojennej zimy, kiedy to przyłapano ją – i to w murach szkoły – w sytuacji jednoznacznej z uczennicą. Oczywiście, dyrekcja pragnęła za wszelką cenę zatuszować skandal, więc oficjalnie nie wyrzucono jej, lecz zmuszono do odejścia na własną prośbę. Ale szeptanka i tak szybko rozniosła rzecz po całym mieście, skutecznie uniemożliwiając pani Wróblewskiej dalszą pracę w zawodzie pedagoga. Od tamtej pory żyła, a właściwie wegetowała, z różnych doraźnych zleceń.

– A czy państwo wiedzą, co zrobił Gołdyń z tymi słowiańskimi dziewczynami po wkroczeniu Niemców? – Pani Wróblewska zaczęła się rozglądać za popielniczką. – Nie? Więc posłuchajcie. W chwili wybuchu wojny miał już coś koło siedemdziesięciu płócien, a każde, tak jak mówi pan Władysław, sygnowane na odwrocie imieniem pozującej dziewczyny: Józia, Marta, Anna, Danusia i tak dalej. O, dziękuję! – Wzięła podaną jej przez Zasunia popielniczkę i strzepnęła popiół. – No i nie miał co z nimi zrobić. Komu miał je sprzedać? Jego klientelę – przemysłowców, adwokatów, inżynierów, lekarzy, zamożnych ziemian – wywieźli Niemcy. A nowa arystokracja, czyli handlarze, geszefciarze i kombinatorzy, dopiero raczkowała i ani nie handlowała sztuką, bo uważała, że to towar zbyt niepewny, ani nie dojrzała jeszcze do tego, by ją kupować dla siebie. Słowem, Gołdyń miał problem. Ale wtedy zjawił się u niego jakiś Niemiec, który gdzieś widział jego akty i się nimi zachwycił. Obejrzał obrazy i zaproponował, że kupi wszystkie, i to po normalnej, uczciwej cenie, pod warunkiem wszakże że autor da nowe tytuły. W miejsce Beaty, Zofii, Agnieszki miały się pojawić Beate, Sophie i Agnes. I Gołdyń po krótkim namyśle na to poszedł. Tym sposobem słowiańskie piękności za pomocą kilku ruchów pędzelka przemieniły się w piękności germańskie. Wspaniała historia, prawda?

Uśmiechnęła się w duchu na widok pokwaśniałej miny Władka i zaciśniętych ust Zasunia. Tymczasem pani Wróblewska przeprosiła i odprowadzana spojrzeniami pełnymi tyleż szczerą sympatią, co niechęcią

oddaliła się w stronę bufetu. Podziwiała spokojną godność, z jaką ta wyjątkowa kobieta przystrajała swoją posagową urodę w coraz bardziej dokuczliwą biedę; dziś ucieleśniała ją wyblakła brązowa sukieneczyna w fasonie z końca lat dwudziestych, ozdobiona okręconym wokół szyi sznurem sztucznych pereł oraz przypiętą pod lewym obojczykiem olbrzymią, papierową chryzantemą.

– ...że nosi mundur rosyjski, nie niemiecki. – Bronio swoim zwyczajem mełł słowa starannie, bez pośpiechu. – Ale tutaj na pewno przyjdzie po cywilnemu. To chyba taktowny facet i doskonale pojmuję, że przyjmowanie go nawet w rosyjskim mundurze byłoby dla nas krępujące.

– Och, to akurat nie ma znaczenia! – Zosia najwyraźniej ani myślała kapitulować. – W mundurze czy bez munduru, to przecież i tak sojusznik naszego śmiertelnego wroga!

– A ten porucznik węgierskiej piechoty, który rok temu tak ciekawie opowiadał nam o ich współczesnej literaturze? – Chichot Żanety zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka. – O ile dobrze pamiętam, nie protestowałaś przeciwko zaproszeniu go tutaj. Ani przeciwko temu, że przyszedł w mundurze. Mam nawet wrażenie, że kilka dni potem widziałam, jak wchodziliście razem do kawiarni...

– To... To co innego. – Zosia miała, zdaje się, problem ze złapaniem oddechu. – To przecież Węgier... Węgrzy to...

– ...sojusznicy naszych śmiertelnych wrogów. – Chichot Żanety nałożył się na uderzenia stojącego w kącie zegara, wolno bijącego szóstą.

Kryścia uniosła dłonie na wysokość twarzy i klasnęła nimi kilka razy.

– Szanowni państwo, chciałabym coś ogłosić! Autor, który miał dziś przed nami wystąpić, musiał niespodziewanie wyjechać. Pojawił się zatem problem, czym wypełnić ten wyjątkowy, przedsylwestrowy wieczór. Na szczęście w jego rozwiązaniu pomógł mi pan profesor. Właśnie odwiedził go bratanek...

W salonie zapadła nienaturalna cisza. Zdawało się jej, że niemal słyszy oddechy zgromadzonych. Zatopiła wzrok w ajerkoniaku. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że oczy wszystkich, niczym karabiny plutonu egzekucyjnego, powoli obracają się w jej stronę. Ciekawe, kto wyda komendę „ognia!”, pomyślała, i dla kurazu opróżniła kieliszek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Sonntag, den einunddreissigsten Dezember²²⁶

Znowu był tam – w osiemnastowiecznym Rzymie. Uwielbiał te nocne peregrynacje z lupą w dłoni, podczas których prawie zawsze odkrywał nowe, rozpalające wyobraźnię detale. Tym razem zaczął od spaceru wzdłuż Via Appia, a raczej tego, co z niej pozostało. Przyglądał się uważnie stojącym po obu stronach drogi grobowcom, podziwiał ich straszliwą walkę z czasem, kontemplował różnorodność przyjmowanych przez nie kształtów. Styl gonił tu za stylem: prostokątne bryły przechodziły w okrągłe wieżyce, te ustępowały miejsca stępionym nosom piramid, one natomiast oddawały pole wybrzuszonym kopułom. Roilo się też od sterczących samotnie ułomków dawnych ścian, przypominających do złudzenia murowane kominy puszczonej z dymem wioski. Kręciło się tu mnóstwo obwiesiów. Z nieodłącznymi kijami, długimi niczym lance, szpadlami i kilofami wyruszali jak co dzień na swe wstrętne łowy. W pewnym miejscu dwóch już tarosilo wyciągniętego z kamiennego sarkofagu trupa, wytrząsając spomiędzy żeber zaplątane tam kosztowności. Jednym z niegodziwców był przyzwoicie nawet ubrany mężczyzna, we fraku i przypudrowanej peruce – znak, że namiętności kolekcjonerstwa potrafią nawet ludzi z wyższych sfer doprowadzić do zachowań dalece niestosownych. Chociaż czy współcześni uczeni, zamyślił się, w majestacie nauki grzebiący w pradawnych mogiłach, a następnie nadziewający wykopane szkielety na metalowy palik i – nagie, pohańbione – wystawiający je na widok publiczny w muzealnych gablotach, różnią się czymś istotnym od tegoż dżentelmena z harcapem? Hm... raczej wątpliwe. A już trudno byłoby rozgrzeszyć owego antropologa, który odwiedził jego antykwariat w czterdziestym drugim i w trakcie szperania wśród starodruków opowiadał z dumą, jak to uczestniczył w akcji

oczyszczania z Żydów miasteczek w General Gouvernement²²⁷. Czynił to podobno po to, by uchronić przed zniszczeniem szkielety niektórych osobników, szczególnie interesujących z punktu widzenia nauki. Ale oto inny ciekawy widok – kilku rabusiów szturmujących za pomocą długiej drabiny wielki rodzinny grobowiec, którego taras, niczym kapelusz grzyba, został umieszczony na sterczącej z ziemi nóżce. Obejrzawszy ich atak, przysiadł sobie na głazie obok następnego grobowca w pobliżu bramy Maggiore. Obrzucany obojętnym spojrzeniem przez błakające się wśród rumowiska kozy, zapatrzył się w krzewy i drzewa rosnące na zdruzgotanej kopule pięknej budowli.

Za oknem gruchnął strzał. W okamgnieniu, jak po wypowiedzeniu zaklęcia, znalazł się z powrotem w swoim gabinecie. Nadstawił czujnie uszu, ale za oknem panowała cisza. A może to tylko korek od szampana? Przecież dziś sylwester. Która to godzina? No proszę, za minutę dwunasta. Więc może faktycznie korek. Chociaż jak na korek huknęło trochę za głośno. No, chyba że z dwóch, trzech butelek naraz. Zgasił stojącą na biurku lampkę, wstał, podszedł do okna i ostrożnie rozchylił zasłonę. Od razu dostrzegł świetnie widoczne na śniegu sylwetki trzech policjantów, pędzące na ukos przez plac. Przebiegli przed frontem ratusza i zniknęli w wąskiej uliczce prowadzącej w stronę parku. Czyli słuch go nie zawiódł, to rzeczywiście był strzał. Ciekawe, kto strzelał. Pewnie jakiś podpity wojak wypalił na wiwat. Na powitanie Nowego Roku. Powinien się dobrze zastanowić, czy w ogóle jest się z czego cieszyć. Tego kolejnego roku Trzecia Rzesza już nie przeżyje. A może to jest powód do radości? Niewątpliwie pije dziś za to cały polski Kalisz. Hm... Więc może jednak strzelał patrol? Jakiś podpity Polak wylazł na miasto bez przepustki i przyłapany nie zatrzymał się do kontroli. Ostatnio zresztą coraz więcej Polaków wyzbywało się dotychczasowej pokory. Nie żeby buntowali się wprost – byli na to zbyt sprytni, wiedzieli, że jeszcze nie pora. Ale ich karki nie zginały się już tak elastycznie jak jeszcze niedawno temu, a oczka aż się świeciły na wyobrażenie śniegu zaczerwienionego od niemieckiej krwi. I coraz bardziej niecierpliwie przebierali nóżkami na myśl o stojących za Wisłą sowieckich czołgach. Nie wiedzą, głupi, że te czołgi wyjdą im jeszcze bokiem.

Zasłonił dobrze okno i wróciwszy do biurka, powtórnie zapalił lampę z dużym, słonecznożółtym abażurem. Smuga światła przecięła butelkę

szampana, stojącą obok na posrebrzanej tacy w towarzystwie samotnego, smukłego kieliszka. Westchnął głęboko i nie będąc pewny, czy to dobry pomysł, wyciągnął po nią rękę. Bez pośpiechu, przy akompaniamencie uderzeń ratuszowego zegara, zdjął drucik, zdarł oblepiające zieloną szyjkę sreberko i paznokciem kciuka zaczął popychać korek. Z początku szło mu trochę opornie, korek wysuwał się w iście żółwim tempie. Wcale go to nie dziwiło, nie miał przecież w palcach tej samej siły, co niegdyś. Już zaczynał się niecierpliwić, gdy nagle kopniak gazu wyrzucił korek niczym armatnią kulę. Rozległ się głośny huk, zaraz potem równie donośny brzęk i na podłogę posypały się szczątki jednej z czterech czasz żyrandola. Na złą wróżbę, pomyślał z perwersyjną satysfakcją, ani na jotę niezirytowany ani swoją niezdarnością, ani zniszczeniem żyrandola. A co tam! Być może wkrótce nie tylko tych parę szkiełek, ale pół miasta zamieni się w proszek. Napełnił kieliszek, odczekał chwilę, aż opadnie piana, po czym opróżnił go duszkiem. Za zbliżający się Wielki Finał! Jedyny w swoim rodzaju! Wyjątkowy! O to, że będzie to widowisko wyznaczające nowe standardy, pełne wielobarwnych ognistych fajerwerków i niezliczonych trupów na scenie, nie musiał się martwić.

Usiadł ponownie za biurkiem, napełnił kieliszek i upiwszy kilka łyków, postawił go obok rozłożonego przed sobą opasłego katalogu rycin Piranesiego. Po przeczuciu kilkunastu stronic przekonał się jednak, że tej nocy nie uda mu się już zagłębić w świat włoskiego rytownika – a przynajmniej nie tak całkowicie, jak by sobie życzył. Zamknął katalog i odłożył go na wierzch sterty, utworzonej przez książki *Manichejski system religijny* i *Chrześcijańska gnoza* Baura, *Gnoza karpokracjan* Liborona, *Mani, jego życie i pisma* Flugela oraz *Mandejczycy, ich religia i historia* Brandta. Potem zdjął okulary, których używał do oglądania grafik, i starannie wsunął je do skórzanego etui. W zmęczonych oczach czuł silne pieczenie. Przymknął powieki, potarł je kilkakrotnie palcami, po czym ziewnął, nie zasłaniając ust.

I tak oto kolejny rok przepadł w otchłani niebytu. Zakończył się nawet nieźle – przyjemną niespodzianką, jaką poprzedniego dnia, tuż przed zamknięciem antykwariatu sprawił mu pewien młody Polak. Wykupił – nie do uwierzenia! – całą biżuterię. Całą! Calutką! Wprawdzie antykwariat to nie jubiler, więc nie było jej znowu tak dużo, ale mało też nie – siedemnaście pierścionków, sześć par kolczyków, dwa naszyjniki i jedna kolia. Wszystko wyśmienitej jakości, bo byle czego nie skupował. Oczywiście, przy takiej

hurtowej sprzedaży musiał dać spory upust, zwłaszcza że Polak targował się niezwykle twardo. Właściwie sprzedał tę biżuterię ledwie trochę powyżej ceny, jaką swego czasu za nią zapłacił. Ale nawet po cenie kupna, a nawet nieco poniżej, i tak by się opłacało. Już samo odzyskanie zamrożonej od tak dawna gotówki należało uważać za wielki sukces. Lekko drżącymi dłońmi przeliczał gruby plik dwudziestomarkowych banknotów. Już dawno nie trzymał w ręku takich pieniędzy.

Na to właśnie konto w sklepie kolonialnym Elsnera na Poststrasse kupił butelkę szampana. Już od kilku lat nie świętował sylwestra, bo po pierwsze, nie bardzo wiedział, co tu w ogóle świętować, a po drugie, gdyby nawet wiedział i chciał, nie miałby z kim. Anna zawsze spędzała tę noc na zabawie w restauracji lub na prywatnym przyjęciu, a Renate o dziewiątej zapadała w sen tak mocny, że nie obudziłyby jej nawet armatnie salwy. Zostawała Władysława, ale trudno żeby opijał Nowy Rok ze służącą. W efekcie i on kładł się tego dnia o zwykłej porze, czyli po jedenastej. Ale tym razem, postanowił, będzie inaczej. Ostatecznie to ostatni wojenny sylwester. I najprawdopodobniej ostatni jego sylwester w Kaliszu. A biorąc pod uwagę zamieszanie, jakie niewątpliwie będzie towarzyszyć Wielkiemu Finałowi, być może również w ogóle ostatni sylwester w jego życiu.

Po krótkim wahaniu sięgnął po leżący obok książek „Signal” z jesieni czterdziestego pierwszego, który wygrzebał wśród ilustrowanych pism naszykowanych przez Renate do spalenia w piecu. Otworzył czasopismo, przerzucił kilkanaście kartek i zatrzymał się na fotoreportażu z cmentarza w Saint-Geneviève des Bois, podparyskiej nekropolii białej emigracji. No tak – od wschodu nacierała nowa Rosja, a gdzieś tu, od środka, wciąż atakowała go Rosja stara. Wyłaziła z zakamarków pamięci, pojawiała się w postaci kolejnej ikony lub samowara albo w osobie kogoś przybywającego „stamtąd”. Jak choćby ten przystojny emigrant z Paryża, który zaszedł kilka dni temu do Dorothei. Sam nie wiedział, jak to się stało, że wdał się z nim długą pogawędkę i nagle, widząc, że tamtemu sprawia wyraźną trudność swobodne mówienie po niemiecku, przeszedł na rosyjski. Dorothea z wrażenia aż otworzyła usta.

Więc jednak nie udało mu się przemiana w czystego Niemca. W gruncie rzeczy chyba nigdy nie wierzył, że jest możliwa. Ot, bawił się w nią tylko, sam ze sobą drażnił. Chociaż może było to potrzebne – właśnie po to, by się naocznie przekonać, że człowiek to nie ciemna tablica, na której można

bezkarnie zapisać bzdury, jakie się rodzą w głowach różnych maniaków. Teraz przynajmniej nie miał wątpliwości, że nie umrze żadnym tam *Reichsdeutscher*, ale tym, kim się urodził – stuprocentowym, dwujęzycznym kurlandzkim Niemcem. I na swój sposób czuł się z tego powodu szczęśliwy.

Ponownie założył okulary i od czasu do czasu pociągając szampana, wpatrywał się długo w stojące w równych szeregach groby, skromne i podobne do siebie jak żołnierskie uniformy. Na prężących się na baczność prawosławnych krzyżach widniały rysunki rozlicznych odznaczeń, tytuły generał-majorów i pułkowników, admirałów i fligel-adiutantów. Z wyblakłych fotografii spoglądały twarze poprzecinane siwymi wąsiskami, osadzone na sztywnych wysokich kołnierzykach, do których przylegały szerokie epelety. Mohikanie przedrewolucyjnej Rosji, w Paryżu kierowcy taksówek lub kelnerzy w emigracyjnych knajpach, tu znów objawili się w dawnej krasie, jakby myśleli, że oszukają wieczność, że wmówią jej, iż nadal są dowódcami pułków, dziedzicami na włościach, posiadaczami rang i orderów. Smutna to była maskarada. Domyślał się, że te ich paryskie cerkwie, gdzie nadal śpiewali basem, musiały być nie przybytkami wiary, lecz zwątpienia i rozpacz, a słynne knajpy z blinami i kozakami tańczącymi w prysiadach – skansenami, w których za kilka franków, kawałek po kawałku, wyprzedawali dawną świetność. Przekleństwo wygnania musiało im ciążyć bardziej niż dziś te grobowe kamienie. Zamiast salonów – sutereny, zamiast wykwintnych obiadów – lura w garkuchni, w miejsce niegdysiejszego uznania i rozgłosu – samotność i zapomnienie. Na dodatek większość z nich nie mogła pewnie zrozumieć dlaczego. Za co ta straszna kara? A jeszcze mniej rozumiały to pewnie ich żony, siostry, córki, te, które w rodzinnym kraju nie zrobiły przecież nic złego – czyściły im tylko mundury, dbały o to, żeby na czas podano podwieczorek, w gimnazjum wkuwały na pamięć łacińskie i greckie słówka, w państwowe święta biegały do soboru pomodlić się za imperatora. Takie, jak choćby Katia. Jego Katia. No więc cóż mogły te wszystkie biedaczki poradzić na to, że na tronie zasiadał niedołęga, że jego otoczenie nie chciało reform, że kraj nie miał obywateli, a jedynie poddanych, i do tego większość tych poddanych stanowili dopiero co wyzwoleni niewolnicy? Ale przecież wiedzieli, wszyscy wiedzieli – i oni, i one – że jest źle, bardzo źle. Mimo to godzili się na istniejący stan rzeczy – oficerowie z obawy przed przeniesieniem na prowincję, urzędnicy ze strachu o pominięcie przy awansie, ich żony

z lęku, że żona innego zjawi się na balu w piękniejszej sukni, córki z niepokoju o posag i związane z nim szanse na dobre zamążpójście.

Ledwie to pomyślał, a uświadomił sobie ze wstydem, że i jego można by oskarżyć o to samo. Od kiedy przestał być dzieckiem, robił jedynie uniki, starając się w nic nie angażować, przeczekać życie gdzieś na uboczu. A jeśli zdarzyło się, że chwilowo zagarnął go nurt zdarzeń, dawał mu się nieść bez oporu. Ale w takim razie nie ma najmniejszego prawa czepiać się tych biednych pannic, z których połowa, tak jak Katia, rozsypała się już w proch, a reszta dożywa swych dni w nieopalanym norach na przedmieściach Pragi czy Belgradu.

Przymknął oczy i chwilę drzemał z kieliszkiem w dłoni. Lecz nagle się zachnął. Co on tu za dyskusje urządza sam ze sobą, podnieca się jak idiota zaprzeszczałymi problemami? To wszystko przez tego szampana. Spojrzał z nienawiścią na kieliszek, w którym złościła się jeszcze resztką trunku. No tak, wytrąbił całą butelkę i najzwyczajniej w świecie się upił. A głowa już przecież nie ta, co dawniej... Nic dziwnego, że teraz roją mu się jakieś brednie. Za to jutro pewnie będzie musiał przykładać sobie zimny kompres. No, ładnie!

Odstawił kieliszek i z pewnym trudem uniósł się zza biurka. Dość tego nocnego pokutowania. Siusiu, paciorek i do łóżka! Stare, wyhaftowane przez Renate bambosze szurały sucho po wypastowanej na glanc podłodze, kiedy włókł się korytarzem do toalety. Szedł po ciemku, bo przecież znał drogę na pamięć. Ten przystojny Polak od biżuterii... Dałby sobie głowę uciąć, że kiedyś, przed dwoma, może trzema laty próbował się kręcić koło Dorothei. Ale chyba bez rezultatu, bo szybko zniknął. Trzeba by ją o niego podpytać. Ciekawe, co to za jeden. I czym się zajmuje. Niewielu stać na taki zakup. Pewnie handlarz. A nuż kupiłby coś jeszcze?

Od strony drzwi wejściowych dobiegł metaliczny chrobot – najwyraźniej Anna miała kłopoty z trafieniem kluczem do dziurki. Domyślił się, że nie tylko z powodu panujących na schodach ciemności. Chrobotanie na chwilę ustało, po czym rozpoczęło się znowu, tym razem znacznie bardziej energiczne i niecierpliwe. Przystanął na wysokości salonu, wyciągnął w bok rękę i namacał włącznik światła. Ale nie przekręcił go, czekał. Wreszcie rozległy się dwa tryumfalne zgrzytnięcia, szczeknęła klamka i zaraz potem cicho skrzypnęły zawiasy. Anna, niczego nieświadoma, weszła do środka, podśpiewując pod nosem starą piosenkę Ilse Bois:

*Ohne Scham und ohne Schande
Penn' ich mit der ganzen Bande,
Nicht nur mit dem Einzelherrn.
Hemmungslos ist jetzt modern.*²²⁸

Znienacka przekręcił włącznik. Zaskoczona Anna umilkła, a jej ociężałe od alkoholu powieki zatrzepotały jak spłoszone motyle.

– *Labvakar!*²²⁹ – Wcale niez mieszana, uśmiechnęła się głupawym, pijanym uśmiechem. – Jeszcze pokutujesz, wujku? Prawdziwy z ciebie duch nocny.

– Ty też trochę zamarudziłaś...

– Mówiłam ci już kiedyś, że jestem Księżniczką Księżycy...

W milczeniu przyglądał się, jak Anna podchodzi do wieszaka i lekko się chwiejąc, rozpina szpakowaty płaszcz. Uporawszy się z guzikami, próbowała go zdjąć, ale nie mogła wysunąć rąk z rękawów. Zatrzepotawszy nimi kilka razy, niczym postrzelony ptak, zatoczyła się i kto wie, czy by się nie wywróciła, gdyby w porę nie oparła się o ścianę.

– *Paliga!*²³⁰

Zbliżył się i pewnym ruchem oswobodził chichoczącą dziewczynę z płaszcza. Poczłł gorzki odór wódki, zmieszany z intensywnym zapachem rozbudzonego kobiecego ciała, zetłłym aromatem duszących wschodnich perfum, a także – chyba nos go nie mylił? – z ostrą wonią męskiego nasienia. Aż go skręciło z odrazy, ale nie dał niczego po sobie poznać.

– Dziękuję, wujku! – Anna oparła się pośladkami o komódkę z obuwiem i zabrała się za rozsznurowanie nowych, szykownych półbutów, kupionych niedawno od Dorothei. – W czym się tak zaczytałeś do tej godziny?

Powiesił płaszcz na wieszaku i cofnął o dwa kroki, żeby nie oberwać jednym z pantofli, którymi ciskała o podłogę gdzie popadło.

– Nie czytałem, oglądałem. Ale myślałem o *Apokalipsie*.

– Lektura na czasie... „Kto ma ucho, niechaj słuha!”. Cha, cha, cha!

Fascynował go całkowity braku wstydu, z jakim raz po raz spoglądała mu prosto w oczy wzrokiem wciąż płonąącym od uścisków jakiegoś Rudiego, Wolfganga albo Alberta. Choć równie dobrze mógł to być Stanisław albo Kazimierz. Ponieważ przyjechała tutaj na łotewskim paszporcie, a po zajęciu

Łotwy przez Stalina nie podpisała Niemieckiej Listy Narodowej i wybrała status bezpaństwowca, mogła sypiać z Polakami bez narażania się na zarzut *Rassenschande*²³¹. Więc sypiała. Kiedy się dało i z iloma się dało. Zaraz, zaraz – z tym Polakiem od biżuterii też przecież widział ją kiedyś na ulicy! Na pewno! I to kilka razy, teraz przypominał sobie doskonale! Więc i jego miała pewnie na swoim koncie. Zresztą kto wie, czy nie kręcił się on przy Dorothei tylko po to, by przedstawiła go Annie. Bardzo możliwe. W sumie był niczego sobie – przystojny, dobrze ubrany. Całkiem dobrze mówił po niemiecku. W ogóle tym facetom, których brała na widelec Anna, na ogół niczego nie brakowało. Wybredna bestia, nie zadowala się byle czym! A przecież sama nie jest żadną pięknoscią. Piersi jak mandarynki, nogi wprawdzie długie, ale zbyt solidne i do tego wyraźnie krzywe, cera cała w jasnych piegach, oczy wąskie. Ale to właśnie w tych szaroniebieskich oczach kryło się coś demonicznego, czym natychmiast magnetyzowała mężczyzn. I w uśmiechu. Tak, usta miała wyjątkowo piękne. Księżniczka Księżycy, też sobie wymyśliła! Chociaż zawsze to lepsze niż Wielka Nierządnicą.

– *Ar labu nakti*²³², wujku! Wszystkiego dobrego w Nowym Roku!

– Nawzajem, Anno. Dobranoc!

Siedząc w toalecie, na pokrytej czarną ebonitową deską muszli i łudzając się nadzieją, że wreszcie uwolni trzewia od tego, co ze złośliwym uporem tkwiło w nich od dwóch dni, po raz któryś z kolei przekonywał sam siebie, że nocne eskapady Anny nie są ani rezultatem nimfomanii, ani zwykłym puszczeniem się samiczki niepotrafiącej odmówić adorującemu ją samcom. Dopatrywał się w nich raczej rodzaju przedśmiertnych drgawek, takich samych, jakie w czasach terroru Robespierre’a wstrząsały uwięzioną w Conciergerie²³³ francuską arystokracją. Spółkowanie do utraty tchu jako sposób umilenia sobie ostatnich chwil przed gilotyną... Coś jak ostatni papieros przed plutonem egzekucyjnym. Wybałuszony ze zdumienia chabrowe oczy tamtego młodego bolszewika, którego musiał dobić strzałem w głowę. Jak reszta postawionych pod płotem, przed śmiercią poprosił o papierosa. Ponieważ wyglądał na gimnazjalistę, chłopaka z dobrego domu, Grisza Majski wyciągnął srebrną papierośnicę i poczęstował go porządnym angielskim papierosem. Chłopaczek pociągnął dwa razy, zakrztusił się, zapłuk; oczy omal nie wypłynęły mu na wierzch. Okazało się, że jeszcze nigdy nie palił. I nawet

salwa nie zamknęła mu tych wytrzeszczonych oczu. Kobiety też pewnie jeszcze nie miał. Nie tak, jak ci z Conciergerie. Markiz z hrabiną, hrabia z baronówną, hrabina z kawalerem, baronówna z hrabią, kawaler z markizą... Czy pan pozwoli, książę, że wychędożę jego małżonkę? Ależ proszę bardzo, drogi przyjacielu, proszę, nie krępuj się! A czy mógłbym, hrabio, w zamian skorzystać z uroków pańskiej przemiłej córki? Będzie to dla mnie zaszczyt, książę! Pod warunkiem wszakże że zaraz potem nie poskąpi pan swoich talentów również mojej zacnej żonie!

Z pokoju Anny dobiegł głośny rumor. No nieźle! Żeby sobie tylko nosa nie rozkwaśła, Księżniczka Księżycyca! Tak zalanej to jej jeszcze nie widział. Ale to nie przypadek. Jej czułe ucho wychwyciło tętent koni czterech jeźdźców. Przedśmiertna ekstaza. Tak, to musi być to. Zupełnie tak, jak z jesiennymi liśćmi. I z przekwitającymi kwiatami. Czytał o tym w jakimś naukowym piśmie. Podobno zanim taki liść lub kwiat skona, tuż przed śmiercią, na kilka krótkich sekund pręży się i pięknieje, zupełnie jakby rozkwitał. Dzieje się to podobno tak szybko, że dotąd żaden przyrodnik nie zarejestrował tego zjawiska gołym okiem. Dopiero kiedy się je nakręci kamerą, a następnie puści film na zwolnionych obrotach, można je zaobserwować. Wielobarwny krzyk ekstazy. Dziki, głośny, rozpaczliwy krzyk. A potem błysk uniesionej kosy – i ciach!

Wyciągnął rękę w stronę leżącej na podłodze sterty niepościętych jeszcze na kawałki starych gazet i podniósł pierwszą z nich. Mimo że litery się rozmazywały, zidentyfikował dobrze mu znany nagłówek sprzed parunastu dni. „Przejdźcie do natarcia. Duże niemieckie siły w wyprowadzonym spoza Wału Zachodniego uderzeniu opanowały przy pierwszym szturmie wysunięte pozycje Amerykanów między Hohen Venn a północnym Luksemburgiem”. Dalej nie mógł już czytać; czcionka była zbyt drobna, by dał radę bez okularów. Odłożył gazetę. Ach, to przecież ta, uświadomił sobie, w której doniesiono o procesie kaliskiego podziemia. Prawie same wyroki śmierci. Dziwne, że König nie wpadł złożyć mu relacji. Z pewnością był na procesie. Nie odmówiłby sobie zaszczytu ujżenia na własne oczy Greisera, Frobossa i Steinberga. Pewnie dostał na sali sądowej zawału, kiedy się okazało, że wśród oskarżonych jest aż dziesięciu miejscowych folksdojczów.

„Przejdźcie do natarcia”... Z tryumfalnych pień, których przez pierwsze dni ofensywy w Ardenach pełne były gazety i radio, wynikało, że uderzenie rozwija się po prostu świetnie. Amerykańskie linie zostały w wielu miejscach

poprzerywane, jeńców wzięto ponoć tylu, że nie było co z nimi robić. Między oddziałami Eisenhowera na południu i Montgomery'ego na północy pojawiła się przeszło stukilometrowa dziura, w którą wlały się setki niemieckich czołgów. Już się wydawało, że może z tego wyniknąć coś ważnego – jakaś nowa Dunkierka. Wtedy Anglicy i Amerykanie musieliby zawrzeć pokój – i wszystkie oddziały można by przerzucić na front wschodni. Ale w ostatnich dniach natarcie znacznie osłabło. Alianci ochłonęli i zaczęli z furją atakować flanki niemieckiego klina. Więc znowu wygląda na to, że zamiast na wymarzonym wielkim zwycięstwie skończy się na mało istotnej korekcie linii frontu.

Po kwadransie cierpliwie ponawianych prób przekonał się, że na opróżnienie kiszek nie ma szans. Westchnął ciężko i podciągnął spodnie. Trudno. Spróbuje znowu rano, po śniadaniu. W końcu kiedyś to świństwo musi z niego wyjść. W przedpokoju przystanął przed drzwiami pokoju Anny, nasłuchując przez chwilę. Usłyszawszy ciche pochrapywanie, powlókł się dalej. Bardzo mu się podobała kąśliwa ironia, ostatnio coraz bardziej obecna w jej wierszach. Na przykład w *Szczęśliwym zakończeniu*. Albo w tym o Hiobie.

Wszedłszy do sypialni, zaczął się po ciemku rozbierać. Właściwie jako zaprzysięgły manichejczyk wolałby, żeby w erotycznych wyskokach Anny chodziło o jeszcze coś innego: o świadome sponiewieranie ciała, o okazanie mu pogardy poprzez jego całkowite splugawienie. Tak jak to czynili członkowie niektórych gnostyckich sekt. Na przykład karpokracjanie. Wielokrotnie miał ochotę podpytać ją o to, ale przecież temat był zbyt delikatny, by uczynić to wprost. Więc pozostawało mu jedynie przypatrywać się, wychwytywać rzucane przez nią słówka i snuć domysły. Chociaż i to dawało pewną przyjemność. Ciekawość jako jedyny motyw istnienia? Dlaczego nie?

Zegar na wieży ratuszowej bił już pierwszą, kiedy zgasił światło i zagrzebał się w pierzynie pana Wilmowskiego. Po chwili poczuł rozkoszne ciepło. Udręczony kolejnym dniem umysł zaczął szybko tonąć w gęstej, czarnej mgle. Diabeł, stwórca tego koszmarnego świata, miał jednak resztki litości i obdarował ludzi czymś, bez czego nie dałoby się żyć: snem. Dzięki mu choć za to. Serdeczne dzięki...

Gdzieś w oddali cicho zachrobotąły podkute buty policjantów.

– *Halt! Papiere bitte!*

Sen...
Śmierć...
Śmieć...
Ludzkiemu śmieciowi śmierć...

[226](#) (niem.) Niedziela, trzydziestego pierwszego grudnia.

[227](#) Generalna Gubernia.

[228](#) (niem.) Bez wstydu i bez wyrzutów sumienia sypiam nie z jednym, ale z całą bandą. Brak hamulców – oto nowoczesny styl.

[229](#) (łot.) Dobry wieczór.

[230](#) (łot.) Na pomoc!

[231](#) (niem.) Pohańbienie rasy.

[232](#) (łot.) Dobrej nocy.

[233](#) Jedno ze starych paryskich więzień.

Część trzecia

STYCZEŃ

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sobota, dwudziestego stycznia

Wąski korytarzyk, wykopany w przybrudzonych sięgających pasa zwałach śniegu, prowadził ją w stronę Mostu Warszawskiego. Całe miasto, od początków stycznia wielokrotnie bombardowane przez nadciągające ze wschodu kilkugodzinne śnieżyce, pocięte było takimi korytarzykami. Przez parędziesiąt kroków ciągnęły się prosto, potem załamywały, znowu biegły prosto, tu i tam łączyły się ze sobą i krzyżowały. Wyglądały jak naszykowane do odparcia Rosjan okopy. *Festung Kalisch*²³⁴? Nie, tego miasta nikt bronić nie będzie. Nie tylko dlatego, że z powodu swojego położenia na dnie prośnieńskiej doliny zupełnie nie nadawało się do obrony. Po prostu, sądząc po komunikatach z frontu, chyba nie byłoby komu go bronić.

Po jej lewej ręce, poskrzypując, pokrzykując i raz po raz strzelając z bata, ciągnął wytrwale niemający początku i końca rząd wszelkiego rodzaju pojazdów konnych: furmanek, bryczek, platform, dorożek. Raz po raz trafiało się też coś bardziej wymyślnego, jak staroświecka kareta czy rozłożyste lando. Ale nie brakowało również wyładowanych czubato dwukołowych i czterokołowych wózków, ciągniętych przez samych właścicieli lub ich polskich parobków. Ryczały krowy, dzwoniły uwiązane rondle, czekały skołowane kundle. Ludzie, opatuleni przed mrozem szalikami i chustami, siedzieli skurczeni lub szli w milczeniu, pochyliwszy głowy. Twarze mieli stężale, szare, zasepione. Ich zazdrosny wzrok podążał ku drugiemu pasowi jezdni, którym znacznie szybciej sunęły ciężarówki i furgonetki, osobowe auta i motocykle.

Więc doczekała wreszcie owej długo wypatrywanej chwili, kiedy Sowieci ruszyli z kopyta i po kilku dniach ciężkich walk porozrywali front niczym

starą szmatę. Greiser już trzy dni temu zezwolił na ewakuację wszystkich obszarów na wschód od Łodzi, a tylko patrzeć jak nakaze ewakuację reszty Kraju Warty. Cały niemiecki Kalisz aż przebierał nogami w oczekiwaniu na ten rozkaz. Tak oto po przeszło pięciu latach tryumfalny *Drang nach Osten*²³⁵ zakończył się paniczną *Flucht nach Westen*²³⁶. Syciła się do woli tym obrazem i nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Na Adolf Hitler Platz, pośród wynoszonych ze starostwa i pakowanych na ciężarówki skrzyń, mignęła jej sylwetka Zasunia. Natychmiast odwróciła głowę, żeby jej nie dostrzegł. Jakoś nie mogła uwierzyć, że to nie ludzie Legionu i nie na rozkaz swojego watażki strzelali do Wadima w przeddzień jego wyjazdu. Bogu dzięki, skończyło się na niegroźnym postrzale w ramię, opatrzonym szybko przez wezwaną telefonicznie Annę. No i szczęście, że wszystko działo się wieczorem, przed jej domem, na pustej ulicy, więc zaalarmowany wystrzałem patrol policji, który przybiegł jakiś czas potem, nie doszedł, kto strzelał i do kogo. W przeciwnym wypadku musieliby przecież przesłuchać Wadima, a być może także i ją. Wadim zeznałby wprawdzie, że nie ma pojęcia, kto i z jakiego powodu próbował go zabić, ale i tak zrobiłoby się niepotrzebne i groźne zamieszanie. I nie wiadomo, czy nie skończyłoby się jakimiś represjami w stosunku do mieszkających w okolicy Polaków. W końcu strzelano do oficera w służbie niemieckiej. Więc na pewno do jakichś szykan by doszło, pytanie tylko jak daleko idących. W każdym razie w oczach rodaków odpowiedzialność za nie ponosiłaby przede wszystkim ona. Dlatego wcale by jej nie zaskoczyło, gdyby właśnie taki rozwój wydarzeń wkalkulowany był w plan Zasunia. Zabić Wadima, a ją skompromitować jako kochankę własowca, mszczącą się na polskich sąsiadach za śmierć swojego gacha. Nic dziwnego, że następnego przedpołudnia, zaraz po odjeździe Wadima, prosto z dworca poszła do Zasunia i powiedziała mu, co o nim myśli. Naturalnie wyparł się stanowczo jakiegokolwiek związku z zamachem. Tłumaczył, że za podobną samowolę jak nic stanąłby przed sądem wojennym. I przekonywał, że musiała to być robota jakichś gówniarzy. Nie zapominajmy, przekonywał, że własowcy, zwłaszcza od czasu powstania w Warszawie, mają jeszcze gorszą opinię od Niemców. Ustrzelenie jednego z nich to dla napalonych szczeniaków wyjątkowa gratka. Chociaż, zastanawiał się na głos, mogli to też zrobić czerwoni. Ci ostatni całą wojnę siedzieli tutaj cicho, więc może teraz

chcą się za wszelką cenę wykazać przed towarzyszami z Lublina? Nie uwierzyła. Przecież żeby nie narobić kłopotów najpierw stryjowi, a później również i jej, przez cały czas pobytu w Kaliszu Wadim chodził w cywilnym ubraniu. Jakimże więc sposobem „jacyś gówniarze” mogli się dowiedzieć, kim jest? A komunistów było w Kaliszu jak na lekarstwo i nie podejmowali takich spektakularnych akcji. Czuła, że pomysł zamachu zrodził się w głowie kogoś obecnego na tamtym pamiętnym wieczorku u Krysi. Logika wskazywała na Zasunia. Ale co mogła zrobić? Przecież dowodów na to, że to on, nie miała żadnych. Tylko i wyłącznie przeczucia i domysły. W końcu doskonale pamiętała, w jaki sposób Zasun i Żyrewicz spoglądali wtedy na Wadima. Pierwszy, jak zwykle, próbował zamaskować swoje uczucia pokrywą lodowatego chłodu, za to drugi ani przez chwilę nie krył kipiącej w nim nienawiści.

Udeptany śnieg, pocętkowany gęsto ciemnymi plamami wdeptanego weń popiołu, przypominał futro białego lamparta. Tak, pomysł z zabraniem Wadima do Krysi nie był udany. Nie dość że kilka osób zdecydowało się opuścić zebranie, to rozmowa po wysłuchaniu opowiadania Wadima marnie się kleiła. Żeby ratować sytuację, zaczęła go wypytywać o życie na emigracji, o powody wstąpienia do zorganizowanych przez Niemców jednostek, o prawdziwe zamiary generała Własowa. Wadim zaczął od zapewnienia, że zawsze był antyfaszystą, a w szeregach oddziałów pomocniczych znalazł się z powodu naiwnej wiary, że da się Niemców ograć, kiedy obalą Stalina. Zaświadczył też, że tylko kilka tygodni brał udział w walkach z sowieckimi partyzantami, po czym na własną prośbę został redaktorem frontowego pisma i od tego czasu ani razu nie użył broni. Powoli, powoli atmosfera trochę się ociepliła. Ale kiedy Wadim opowiedział o straszliwym bestialstwie Niemców wobec rosyjskiej ludności cywilnej, w salonie Pałaszów znowu zapanowała martwa cisza. Z początku nie mogła zrozumieć dlaczego. Czyżby nie uwierzyli? Nonsens, znali przecież niemieckie metody, wiedzieli, że Wadim mówi prawdę. Musiało chodzić o coś innego. Dopiero po kilku minutach dotarło do niej w czym rzecz. Po prostu oburzyło ich, że ktoś ośmiela się publicznie utrzymywać, że istnieje naród, który znosił z rąk Niemców znacznie większe poniżenie niż Polacy. Od kilku lat żyli w przekonaniu, że Polska znalazła się w samym jądrze ciemności, że wszyscy są tu męczennikami, jakich świat nie widział. To niewzruszone przekonanie dawało im prawo do chodzenia w aureoli, takiej samej, jaką przywdziewali

szanowni pradiadowie po rozbiorach i przegranych powstaniach. A tu ktoś głośno mówi, że Rosjanie ucierpieli jeszcze bardziej. Nic dziwnego, że dostrzeżono w nich niespodziewanych konkurentów do świętości i zareagowano pełnym urazy milczeniem. Znow musiała sama ciągnąć rozmowę. Zapytała Wadima, dlaczego nie porzuci służby. Odpowiedział, że zrobiłby to już dawno, gdyby nie pewien ważny dlań obowiązek. Kto, jeśli nie on, pytał, zostawi literackie świadectwo po tych ludziach, którzy odważyli się zbuntować przeciwko kremlowskiemu satrapię? Kto ich pokaże takimi, jakimi byli naprawdę? Niemcy tę wojnę przegrają i zbuntowanych sowieckich poddanych czeka marny los. Stalin ma długie ręce i na pewno się o nich upomni, a jest raczej mało prawdopodobne, że Amerykanie i Anglicy staną w ich obronie. Więc historię tego tragicznego buntu będą pisać moskiewscy propagandyści i już postarają się o to, by Własowa i jego żołnierzy przedstawić jako jedną wielką zgraję zdrajców, morderców i zwyrodnialców, pozbawionych jakichkolwiek ludzkich uczuć. Owszem, ani mu w głowie zaprzeczać – w rosyjskich oddziałach są i tacy. Wojna na wschodzie poczyniła niewyobrażalne spustoszenie moralne wśród tamtejszych narodów. Ale to nie znaczy, że wszyscy, którzy włożyli niemiecki mundur, to zbiry jak ci od Kamińskiego, nawiasem mówiąc syna Polaka i Niemki. Więc może tylko te jego opowiadania utrwala ich prawdziwy obraz? Oto przyczyna, dla której musi pozostać w tym mundurze tak długo, jak to tylko będzie możliwe, choć zdaje sobie sprawę, jakie odium to na niego ściąga.

W zakładzie Schillera zegary tykały spokojnie, miarowo, zupełnie nie zwracając uwagi na gorączkę, jaka ogarnęła ulice. Zegarmistrz, który siedział za kontuarem i grzebał miniaturowym śrubokrętem w rozkręconym owalnym budziku, na jej widok wskazał oczyma za okno.

– Zwiewają, co?

– Krzyżyk na drogę!

Święte słowa, potaknął, święte słowa. Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim. Ale wciąż trzeba uważać. Ot, niecałą godzinę temu dostrzegł młodego Polaka zasuwającego chodnikiem z bukiecikiem w rękę. Chłopak miał góra piętnaście lat, wyglądał jak wyjęty z pudełeczka, pewnie szedł na pierwszą w życiu randkę... No bo i skąd ten bukiecik? Jesionka w jodełkę, futrzany kołnierz, świetnie skrojone bryczesy. Te bryczesy na pewno od starego Cieńskiego, bo tylko on potrafi tak po mistrzowsku je skroić. Ale

najbardziej rzucały się w oczy buty – czarne polskie oficerki, wyglansowane tak, Schiller cmoknął, że można by się w nich przejrzeć. Słowem, gówniarz wystroił się, jakby szkopy już całkiem dały dyla, a on walił na defiladę zwycięstwa. Baran! Dobrze, że sobie jeszcze nie przypiął do klapy biało-czerwonej wstążeczki. Polska fantazja, psia krew! No i napatoczył się na jakiegoś folksdojczka z Ukrainy, który chciał go, zdaje się, zapytać o drogę. Tylu tu latem ewakuowali tych *Schwarzemeerdeutsche*²³⁷, że trudno przejść ulicą, żeby się o jakiegoś nie potknąć. A wszyscy obszarpani, zabiedzeni, jak to tam zwykle u ruskich. No więc ten ruski folksdojcz pyta o coś chłopaczka, a ten robi się czerwony jak burak i ani be, ani me. I do tamtego zaraz dotarło, że to Polak. I raptem coś mu zaświtało. Spojrzał na swoje rozlatujące się buciory, potem na oficerki harcerzyka, zachmurzył się, wskazał je paluchem i coś tam warknął. Chłopaka z wrażenia zatkało, zaczął coś dukać, nerwowo zezował w bok, najwidoczniej sprawdzał, czy nie da się prysnąć. Tymczasem obszarpaniec zawołał policjanta, który jak na złość pojawił się o tam, pod lipami. Policjant podszedł, wysłuchał ruska, sprawdził dokumenty chłopaka, nawrzeszczał na niego i polecił mu bez gadania oddać oficerki. Żeby ona widziała, Schiller pokiwał na boki głową, minę tego harcerzyka, kiedy się zorientował, że nic już nie wskóra, że nie ma siły, klamka zapadła – musi oddać swoje piękne buciki i cześć! I jak potem, poganiany rechetem tamtych, zmykał, szcękając zębami, bo ten ruski łachmaniarz zabrał mu także skarpetki. I jeszcze za nim rzucili tym jego bukiecikiem. O, leży tam wciąż na śniegu. A rusek od razu usiadł na krawężniku, zzuł swoje stare buciory, odwinął onuce z nóg, założył zdobywcze skarpetki i wciągnął na nogi oficerki. Gęba jarzyła mu się od ucha do ucha, taki był szczęśliwy, że ni stąd, ni zowąd zafasował podobne buty. Przecież on tam, na sowieckiej Ukrainie, w jakimś zabitym dechami kołchozie, przez całe życie takich oficerek na oczy nie widział!

Kącki jej ust wygiął ironiczny grymas. Znała dobrze te pokazy konspiracyjnej mody. Najgorzej pod tym względem bywało tuż po wrześnieowych batach, kiedy połowa studentów i licealistów paradowała po ulicach w ojcowskich lub wujowskich oficerkach. Dopiero kiedy do organizowania podziemia wzięli się zawodowi oficerowie, utemperowali trochę tę idiotyczną ułańszczyznę. Najwidoczniej ucieczka Niemców spowodowała nawrót choroby.

– To co tam dziś mamy? – Schiller zatarł ręce. – Kaszaneczka? Wybornie! A co to ma kosztować i czy nie da się taniej?

Porachowawszy się z Schillerem, pognąła do Gregoriusów, pomóc im przy pakowaniu. Wiadomość, że Anna dwie godziny wcześniej musiała niespodziewanie wyjechać wraz ze swoim szefem do Frankfurtu nad Odrą, by przygotować tam miejsce pod ewakuację kaliskiego szpitala, zaskoczyła ją i zraniła. Więc tak nagle, nawet bez pożegnania, miałyby się skończyć przyjaźń, jaką zawarły ze sobą od pierwszej rozmowy? Niecierpliwie otwierała wręczoną jej przez antykwariusza kopertę, na której dostrzegła swoje imię nakreślone pismem Anny. Ku jej rozczarowaniu w środku nie było żadnego listu, a jedynie nowy wiersz. W tej chwili potrafiła odczytać jedynie jego tytuł: *Dalsze losy Tamar*. Miała ochotę się rozbeczeć, ale Gregorius, na szczęście, nie dał jej na to szans. No, do roboty, rzucił, trzeba się brać za pakowanie! Poszła posłusznie na górę i przy akompaniamencie pochlipywania Frau Gregorius zaczęła napełniać walizy.

Kiedy wyszła od Gregoriusów, słońce zniknęło już za dachami. Poczula głód. Na wyobrażenie smaku i zapachu czekającego w domu żurku przebiegała nogami tak prędko, że na Poststrasse pośliznęła się na lizaju zlodowaciałego śniegu i ani chybi wywinęłaby orła, gdyby nie złapał jej za łokieć brodaty oficer marynarki. Ledwie zdołała mu podziękować, kiedy z drugiej strony ulicy dobiegło wołanie:

– Panno Dorotko, proszę poczekać! Panno Dorotko!

Odwróciła się i przed wejściem do budynku poczty ujrzała sprzątaczkę ze swojego gimnazjum, owiniętą w czarną, chyba żałobną, chustę. Zanim zdążyła do niej podejść, kobiecina sama, korzystając z tego, że kolumna uciekinierów przerwała się na parędziesiąt kroków, przebiegła szybko przez jezdnię. Stanąwszy przed nią, sprzątaczką złożyła ręce jak do modlitwy i zaczęła biadolić: brat jej umarł, musi wysłać do siostry telegram, a przecie jej nie pozwolą. Już pół godziny stoi tu przed pocztą i wypatruje kogoś, no, kogoś... Zamilkła w połowie zdania, nie potrafiąc znaleźć właściwego słowa; najwyraźniej głupio było jej powiedzieć wprost, że chodzi o znajomego folksdojczka.

– Nie ma sprawy, pani Krawczykowa. Co tam ma być?

Sprzątaczką podała jej wyrwaną z zeszytu kartkę, na której wielkimi kulfonami widniał adres odbiorcy i treść telegramu: „Juzik umarł, pogrzeb w środę o 11. Hala”.

– Niech pani tu zaczeka.

Przebiegła przez ulicę i przez obrotowe drzwi, nad którymi rozpościerał szerokie skrzydła czarny orzeł ze swastyką, weszła do głównej sali poczty. Na wypucowanej na glanc lastrykowej posadzce ciemniały mokre ślady podeszew. Chociaż w kolejce do każdego okienka stało po kilka osób, panowała tu sterylna cisza, przerywana od czasu do czasu głuchymi uderzeniami spadającego na koperty stempla. Przystanęła przy okienku odbijającym mdłe światło dwóch płaskich żyrandoli i sięgnęła po blankiet telegramu. A może, skoro już tu jest, wyśle od razu telegram do Wadima? W końcu powinien wiedzieć, że prawdopodobnie zostanie ojcem. Skoro okres spóźnia się już trzy dni, nie może to być nic innego. Chociaż pierwszy okres po tyfusie i zapaleniu płuc miała opóźniony blisko o tydzień... Może jej organizm jest jeszcze rozregulowany i oszukuje? Więc nie, nie będzie jeszcze o tym pisać. Trzeba się najpierw upewnić. Poczekaj do jutra, najwyżej po południu pójdzie do lekarza i wszystko się wyjaśni. Wyjęła z kieszeni wieczne pióro i napisała na blankiecie: *Wadim ist gestorben, Begräbnis Mittwoch um 11*²³⁸. Nie mogła podpisać „Hala”, ani „Halina”, bo to przecież polskie imię i urzędniczka – najprawdopodobniej też Polka – mogłaby się zorientować, że coś jest nie tak. Podpisała więc: „*Familie*”²³⁹. Podała formularz dziewczynie siedzącej po drugiej stronie okienka i pokazała jej swoje dokumenty. Od czasu gdy Polakom zabroniono wysyłania telegramów i telefonowania, personel poczty skrupulatnie sprawdzał, czy osoba korzystająca z jej usług aby na pewno jest Niemcem.

– *In Ordnung!*²⁴⁰

Wyszedłszy przed pocztę, gdzie czekała na nią uszczęśliwiona sprzątaczką, odmówiła przyjęcia należności za sam telegram.

– Niech pani da spokój, pani Krawczykowa! To tylko parę fenigów. Pogrzeb wystarczająco panią zrujnuje.

Sprzątaczką chciała coś powiedzieć, pewnie podziękować za ten niespodziewany podarunek, a może przeprosić za to, że kiedyś – pewnie dowiedziawszy się o tym, iż podpisała folkslistę – ostentacyjnie splunęła na jej widok na ulicy. Ale ona rzuciła szybko „do widzenia” i nie czekając na odpowiedź, pomknęła dalej.

Na skrzyżowaniu z Innsbrucker Strasse musiała przystanąć, by przepuścić kilkadziesiąt sanitarek różnych typów, prawdopodobnie wiozących rannych

z ewakuowanych szpitali na wschodzie Kraju Warty. Muskając je obojętnym spojrzeniem, myślała o swoich podejrzeniach. A co, jeśli faktycznie jest w ciąży? Nawet nie chciała myśleć o wszystkich komplikacjach, jakie wtedy wynikną. Status panny z dzieckiem nie jest przyjemny w jakimkolwiek kraju, bez względu na panujący w nim ustrój. A kiedy jeszcze po Kaliszu rozejdzie się podejrzenie, czyje to dziecko, nie ułatwi jej to życia, oj nie. To zaś, że się rozejdzie, nie ulega wątpliwości. Zadbają o to i Zasuń, i Żyrewicz, i Zosia Królewicka. A przecież będzie chciała urodzić, to pewne. Miałyby się pozbyć dziecka człowieka, którego kocha i który ją kocha? Tylko po to, żeby ułatwić sobie życie? Tylko po to, by jacyś tam ludzie, których opinię miała gdzieś, nie nazywali jej dziwką? Za nic w świecie!

Sanitarki wlokły się i wlokły. Czekając, aż wreszcie przejadą, zatrzymała wzrok na wznoszącej się za klasztornym murem wysokiej kolumnie, ustawionej nad miejscem, w którym w tysiąc osiemset trzynastym pochowano trzystu napoleońskich żołnierzy. Ośnieżone konary młodego dębu, stojącego tuż za nią, zdawały się wyrastać z rozwartych ramion znajdującego się na jej szczycie Chrystusa. Złocisty metal, z którego wykonano figurę Zbawiciela, świecił w słońcu różnymi odcieniami żółci. Nie mogła sobie przypomnieć, czy ci żołnierze, polegli w walce z nacierającym na Kalisz korpusem rosyjskim, byli Saksończykami, Westfalczykami czy Wirtemberczykami. W każdym razie na pewno chodziło o Niemców.

Sanitarki wreszcie przejechały i mogła pójść dalej. Po głowie wciąż chodziła jej ta ciąża. Jest w niej, czy nie? Jezu, zamęczy ją ta niepewność! Za więzieniem jej spojrzenie przyciągnęło stadko przysiadłych na niewysokim drzewie ptaków. Siedziały jakoś tak sztywno, dziwnie wyprężone, w absolutnym bezruchu. A co najniezwykłejsze – na ich główkach i grzbietach bieliły się śniegowe kozuchy. Ki diabeł? Dopiero zbliżywszy się na kilkanaście kroków, zorientowała się, że to rozrosły krzew octowca, a rzekome ptaki to jego szyszki. Nagle naszła ją irytująca myśl, że ta hipotetyczna ciąża, choć w pełni akceptowana, przyszła – trudno zaprzeczać – bardzo nie w porę. Jak zemsta losu za tamtą sprzed trzech lat, której się natychmiast pozbyła. Zachnęła się na własne absurdalne myśli. O nie, cokolwiek przyniesie przyszłość, nigdy nie będzie żałować, że wtedy nie urodziła. Przecież nie mogła mieć dziecka z kimś, z kim dopiero co zerwała, odkrywszy, że jest ufryzowanym na kulturalnego Europejczyka faszystą. Prędzej wolałyby się powiesić!

Gdy przecinała Garncarską, podmuch wiatru cisnął jej w twarz obłok czarnego, gryzącego dymu wyrzucanego przez komin niedużej kamieniczki. Zakrztusiła się. Co oni, oponami palą? Odkaszlęła i otarła załzawione oczy. Och, Wadim, Wadim... *Wadim ist gestorben*. Nagle poczuła, że twarz piecze ją jak przypalona żelazkiem. Zatrzymała się i zamarła w pół ruchu, niczym postać z filmu zatrzymanego nagle w wyniku awarii kinowego projektora. Boże drogi, co też ona nabazgroliła w tym telegramie? *Wadim ist gestorben*? Nie, to niemożliwe... Napisała: *Joseph ist gestorben*. Na pewno. A jeżeli nie? Wytężając ze wszystkich sił umysł, próbowała odtworzyć moment wypełniania formularza. Wadim czy Joseph? Za nic nie mogła sobie przypomnieć. I nagle pamięć rozjaśniła się, odsłaniając treść na blankiecie. Zacisnęła pięść i uderzyła nią w udo. Niech to diabli! Zawróciła i wściekła na siebie za roztargnienie, pomaszerowała szybkim krokiem z powrotem.

Tym razem na poczcie zastała sporą kolejkę. Przypomniała sobie o kopercie z wierszem Anny. Wyjęła go i zaczęła czytać:

Młody Amnon, Dawidowy pierworodny,
ochłoniwszy po gwałcie na pięknej Tamar,
swej przyrodniej, a rodzonej Absaloma siostrze,
do której już dawno zapłonął miłością tak wielką,
że o mały włos nie wpędziła go w obłąd,
rozczarowany oporem dziewczyny,
a potem jej biernością,
zupełnym brakiem doświadczenia
w sztuce miłosnej,
poirytowany płaczem i skamleniem,
żeby ją oszczędził
(które z początku, w naiwności, brał za kokieterię),
słowem – rozkoszą o wiele mniejszą,
niż się spodziewał,
wpadł w tak wielki gniew, że kazał jej iść precz.

A gdy zdumionymi i przerażonymi oczyma pytała,
gdzie się podziała jego miłość, i dlaczego, zadawszy
jej jedną hańbę, nie szczędzi i drugiej,

wezwał sługę, który za włosy wywlókł ją z komnaty i bez słowa porzucił na dziedzińcu.

Tam też zostawia ją Księga.

Czytamy w niej dalej o rozpaczach Dawida (bardziej z przyczyny rozczarowania synem niżli cierpienia córki), o Amnonie ubitym skrycie przez Absaloma, o długiej wojnie Dawida z Absalomem oraz o wielu, wielu innych sławnych wojnach.

Ale o Tamar, pięknej Tamar, już ani linijki. Nawet jednego marnego słowa – nic.

Poczuła ukłucie w sercu, takie samo, jak kilka godzin wcześniej, gdy dowiedziała się o wyjeździe Anny. Więc przyjaciółka zostawiła jej jednak pożegnalny list, bardziej wymowny od normalnego. List, w którym ostrzega, by miała się na baczności. A może więcej niż ostrzega? Przepowiada? Wieszczy nieuchronne? Jedno nie wyklucza drugiego.

– *Bitte, Fräulein?*²⁴¹

Dopiero o zmierzchu dobrnęła do domu. Ucieszyła się, znalazłszy w skrzynce list od Wadima. Ku jej zdziwieniu, przed gankiem spacerował, pokaszując, profesor. Spod jego pachy sterczał jakiś wąski i długi przedmiot, owinięty niedbale w gazetę. Kiedy weszli do środka, Łubnin bez słowa zaczął go rozpakowywać. Na widok inkrustowanego jasnoniebieskimi kamieniami kindżału jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Oglądając go dokładnie ze wszystkich stron, słuchała opowieści profesora o tym, jak przed niecałą godziną wypatrył kindżał u jednego z ukraińskich dzieciaków; jak zmusił go do wyjawienia, skąd go ma i dowiedział się, że dzieciak znalazł go w krzakach rosnących przy furtce wiodącej z podwórza kamienicy do sadu i że było to jesienią, jakoś tak w parę dni po zabranii przez Niemców stróża... Jak po wielkiej awanturze z ojcem chłopca prawie siłą wydarł mu kindżał, twierdząc, że jest to ważny dowód w sprawie kryminalnej i należy natychmiast dostarczyć go na Gestapo, inaczej Scharführer Kubesch będzie wściekły, i jak natychmiast przybiegł z kindżałem tutaj. A teraz muszą

szybko sfotografować go jej aparatem na dowód, że w ogóle mieli go w rękę, a potem on naprawdę odniesie kindżał na Gestapo, no bo skoro powiedział temu ukraińskiemu zbójowi, że tak zrobi, to nie ma wyjścia. Musi tamtemu pokazać wystawione przez Niemców pokwitowanie. Inaczej Iwaniuk domyśli się, że on coś szachruje, jeszcze sam pójdzie na Kurzer Weg i jak on się później wytłumaczy z tego, że miał tam zanieść kindżał, a nie zaniósł? Ale przecież ich zeznania i fotografia to wystarczający dowód. Oczywiście, nie ma najmniejszej wątpliwości, że to właśnie ten kindżał, którego pochwę znalazł Kubesch w trakcie rewizji u Gołdynia. Ten sam odcień srebra na rękojeści, te same ozdobne kamienie, te same ornamenty. Jest tego absolutnie pewien.

[234](#) (niem.) Twierdza Kalisz.

[235](#) (niem.) Marsz na wschód.

[236](#) (niem.) Ucieczka na zachód.

[237](#) (niem.) Folksdojcze z Ukrainy i południa Rosji.

[238](#) (niem.) Wadim umarł, pogrzeb czwartek o jedenastej.

[239](#) (niem.) Rodzina.

[240](#) (niem.) W porządku.

[241](#) (niem.) Słucham panienko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

*Sonntag, den einundzwanzigsten Januar*²⁴²

– ...całkowicie z doktorem Krügerem, że leczenie polskich dzieci jest rażącym i oczywistym błędem. Polaków jest i tak zbyt wielu, a ich dzieciaki zużywają tylko lekarstwa, pożywienie i inne środki, których nie starcza dla nas. Przecież z punktu widzenia niemieckiej polityki narodowościowej to oczywisty absurd. Nie rozumiem, jak nasze władze mogły do czegoś podobnego dopuścić.

– Zaraz, zaraz, panie Reimann, nie tak szybko! Pan zdaje się zapominać, że Polacy są nam nieodzowni jako siła robocza. Bez nich cała nasza gospodarka na tych ziemiach przestałaby funkcjonować. Musimy więc dbać o nich tak samo, jak dbamy o konie, krowy, świnie. Poza tym zaprzestanie ich leczenia niewątpliwie sprowokowałoby wśród nich groźne epidemie. Przeszłyby na nas i co? Choroby nie mają, niestety, uprzedzeń rasowych.

– To samo, drogi panie, mówili niektórzy o Żydach. Że są nieodzowni, więc należy ich jedynie odizolować. No i co? Pozbyliśmy się ich zupełnie, a nasza gospodarka wcale tego nie odczuła. I z Polakami trzeba było...

Dobiegający z tyłu ostry głos Reimanna wybudził go z niedługiej półdrzemki. Przeklęty Reimann! Musi tak gardłować? Dureń jeden! Nigdy nie cierpiał tego fanatycznego nazisty, ciągle piszącego na kogoś donosy – i to nie tylko na Polaków, ale i na swoich. To przecież on doniósł na zarządcę sąsiedniej kamienicy, poczciwego Petera Baumgarta, za fałszowanie ksiąg. Biedny Peter! Dostał sześć lat więzienia i jedenaście tysięcy marek grzywny. Innym razem księgarz oskarżył syna Mayerów, tych spod dwójki, o sypianie z polską służącą. Chłopak wykręcił się wprawdzie pouczeniem, ale dziewczynę, cichą, siedemnastoletnią czarnulkę, śliczną jak ze świętego obrazka, oddano do wojskowego burdelu.

– ...pomyśleć tylko, że Himmler chciał zniemczyć tyłu Polaków, ilu się

tylko da! Ładnie byśmy na tym wyszli! Na szczęście Greiser wyperswadował mu te nedorzeczne pomysły.

Zatrząśł się w niemym chichocie. Znał dobrze te popisy fałszywego krytycyzmu, na jakie Reimann pozwalał sobie wobec osób, które nigdy by się nie ośmieliły zakwestionować jego wierności ideom Wodza. Na ogół robił to w obecności urzędników, oficerów różnych służb, czasami jakichś interesujących klientów. Niektórych zapraszał do małego stoliczka w kącie księgarni, gdzie przy filiżance kawy z żołądździ i upstrzonych przez muchy herbatnikach wdawał się w pseudonaukowe dysputy.

König wolał widocznie nie komentować ostatniej wypowiedzi księgarza i rozmowa się urwała.

Otworzył niechętnie oczy. Leżący na polach śnieg zsiniał, chmury zabarwiły się na buroniebiesko, niebo pomiędzy nimi krzyczało brudnym pomarańczem. Zupełnie jakby gdzieś tam, za horyzontem, płonęło miasto, pomyślał i ledwie to zrobił, uświadomił sobie, że nie byłoby w tym nic dziwnego. Apokaliptyczne pejzaże stały się teraz przecież elementem codzienności. Może za chwilę okaże się, że zarekwirowany przez starostwo miejski autobus, w którym za nielichą łapówkę wywalczył miejsce dla siebie i Renate, nie uwozi ich wcale w miejsce bezpieczne przed czołgami Stalina, lecz zabiera na wykupioną w diabelskim biurze podróży wycieczkę krajoznawczą po różnych kręgach piekieł. Rolę przewodnika pełni pan Emmanuel Swedenborg. Panie, panowie, wstrzymajcie oddech i trzymajcie się mocno!

Usypiający szum silnika na powrót zamknął mu oczy. Przez chwilę pod powiekami tańczyły czerwone kręgi, potem rozpląnęły się wolno w głębokiej ciemności. Z takiej samej ciemności tej nocy wynurzył się diabeł. Miał wygląd ni to mały, ni to wilka, ni to smoka ze średniowiecznych malowideł. Siedział mu na piersi i powoli przybliżał do jego twarzy przeraźliwy, ociekający śliną pysk. Strach budził jednak nie obrzydliwy wygląd potwora, lecz bijące od niego, niewyobrażalne, arktyczne zimno. Nie było to zwykłe, ziemskie zimno, lecz zimno metafizyczne, właściwie nie tyle zimno, ile zło, absolutne zło, zmaterializowane w postaci fizycznego, skondensowanego do niewyobrażalnej potęgi zimna. To właśnie szatańskie zimno, paralizujące ciało i obezwładniające wolę, napawało go nieopisanym przerażeniem. Męka, jaką przeżywał, była tak wielka, że pod jej ciśnieniem kilkukrotnie się budził. Ale gdy, odczekawszy chwilę, ponownie przymykał powieki, sen

natychmiast powracał i wszystko zaczynało się od nowa. W końcu nawet wtedy, gdy otwierał oczy, sam już nie wiedział, co jest snem, a co jawą. Wszystko mu się pomieszało i nabrał niezbitego przekonania, że w jego pokoju naprawdę panoszy się Szatan. Wreszcie zmora tak go zmaltretowała, że obudzony po raz kolejny uniósł się na poduszce i zapalił nocną lampkę. Z ciemności wyłonił się pokój, w którym nie było nikogo. Budzik wskazywał szóstą. Wstał, ubrał się i poszedł do kuchni. Władysława zniknęła jeszcze w piątek wieczorem, więc musiał sam napalić w piecu. Ależ głupia ta Władysława! Posrebrzane łyżeczki, które ukradła, były warte dużo mniej od złotego zegarka, który chciał jej sprezentować przed odjazdem. W końcu zasłużyła na jakąś nagrodę pięcioma latami wiernej służby. Także tej nocnej, do której przymuszał ją, dopóki starość nie uwolniła go wreszcie od fizycznego pożądania. Żeby chociaż, idiotka, ukradła srebrne, nie posrebrzane! Cóż, głupiego rozumu nie nauczysz.

Autobus przyhamował ostro. Głowa poleciała mu do przodu, ciągnąc za sobą tułów, który zgiął się jak scyzoryk. Zmełszy w ustach przekleństwo, otworzył na chwilę oczy i zobaczył, że zapadający zmierzch stłumił już pomarańczowe płomienie. Ułożywszy się na powrót wygodnie, próbował zasnąć, ale skończyło się na wysiłkach. W jego umyśle kotłowały się myśli, obrazy i wspomnienia. Czy Swedenborg naprawdę wierzył, że posiada dar odwiedzania piekieł za życia, jak twierdził w swoich książkach? Czy też posługiwał się jedynie popularną w swoich czasach konwencją? Tą, która autorom ówczesnych powieści kazała wmawiać czytelnikom, że to autentyczna historia, opowiedziana przez spotkanego w zajeździe nieznanego? No cóż, zdaje się, że wkrótce sam się o tym przekona. Bo ten dzisiejszy sen coś mu wyglądał na proroczą zapowiedź bliskiego spotkania z Księciem Ciemności. Więc może dobrze, że Dorothea z nimi nie pojechała. Przecież załatwił miejsce i dla niej, załatwił, nawet nie pytając jej wcześniej o zdanie... Dla niego było oczywiste, że wyjedzie z nimi. Odmowa zdziwiła go i zabolęła. Na swój sposób zżył się z tą dziewczyną, tak bardzo przypominającą – nie tylko zresztą urodą – Katię. Nie rozumiał, dlaczego ona chce zostać i ryzykować, że bolszewicy zrobią z nią to samo, co zrobili z jego żoną. No ale zmusić jej nie mógł. Trudno.

– ...się co martwić. Ostatecznie najważniejszym celem tej wojny było wytępienie europejskiego żydostwa. I tę misję wypełniliśmy. Wyjdziemy z niej okaleczeni zewnątrz, ale wolni od śmiertelnej choroby, jakie

przez stulecia toczyło nasze trzewia. A przecież człowiek może żyć, i nawet doskonale sobie radzić, bez ręki czy nogi, natomiast nie może żyć, kiedy rak wyżera mu mózg albo żołądek.

Przeniósł wzrok na siedzącego obok barona von Uschytzky'ego, który oparłszy głowę o szybę, wpatrywał się w nieoprawiony obrazek wielkości szkolnego zeszytu. Ponieważ baron, aby złapać resztki znikającego za horyzontem światła, przechylał obrazek w stronę szyby, nie mógł dojrzeć, co na nim jest. Zaintrygowało go jednak wyraźne wzruszenie, z jakim sąsiad wpijał się wzrokiem w pociemniałą deszczułkę.

– Można? – Sięgnął po obrazek i jakby nigdy nic wyjął go z dłoni zaskoczonego barona. Pochylił deseczkę w kierunku okna i kiedy padła na nią mizerna poświata odchodzącego dnia, ujrzał parę dużych, przygaszonych oczu. Należały do pięknego nastoletniego chłopca o okrągłych policzkach i pełnych ustach, namalowanego szerokimi, pełnymi ekspresji pociągnięciami pędzla. Jarmułka i poskręcane pejsy aż nadto wskazywały, kim jest. A sygnatura – Natan Szpigiel – nie pozostawiała wątpliwości co do pochodzenia autora. I twarz chłopca, i spękania deski, na której została namalowana, od razu przypomniały mu egipskie portrety trumienne z Fajum. W melancholijnym spojrzeniu chłopca dostrzegł przecucie czekającego go wkrótce losu, zamiany w popiół, co z kolei wywołało w jego wyobraźni wizerunki unicestwionych mieszkańców Pompejów. A potem, nie wiedzieć czemu, przyszedł mu na myśl Misza Krugłow. Też miał takie wielkie oczy, z których biła żarliwa miłość życia, poetyckie piętno, dyskretny urok istoty naznaczonej tchnieniem bogów. Gdyby nie odrzucił tak brutalnie jego miłości, Misza nigdy by się nie zabił. Może wciąż by żył? Ale on ją odrzucił. Stchórzył. Bał się przyznać, kim jest. Wolał udawać, że wszystko z nim w porządku, że nie różni się niczym od innych. I tym sposobem stracił na zawsze jedyne szczęście, które było mu przeznaczone. Co gorsza, aby uprawdopodobnić przed samym sobą tę ponurą mistyfikację, wkomponował w nią Katię, wspaniałą dziewczynę, niezasługującą na rolę rekwizytu w cyrku samooszustwa. Efekt? Od czterdziestu pięciu lat pokutuje samotnie jak dusza potępiona. Von Uschytzky najwidoczniej miał więcej odwagi. Teraz jasne, dlaczego widywano go zawsze w towarzystwie młodych, przystojnych mężczyzn.

– Piękna robota... – Zwrócił obrazek baronowi, a ten, z trudem ukrywając zakłopotanie, szybko schował go do trzymanej na kolanach walizeczki.

Jak na ironię z fotela za ich plecami znów zaczęły dochodzić perory Reimanna na temat niegodziwości Żydów, ubolewania, że nie udało się, niestety, dopaść ich wszystkich, gniew na ich najważniejsze i najgroźniejsze skupisko, znajdujące się obecnie w Ameryce. Zauważył, że von Uschytzky słucha tego gadania z niepokojem, jakby się obawiał, że mimowolnie odnosi się ono do niego samego – człowieka, który uciekając, jako jeden z największych skarbów zabrał ze sobą portrecik żydowskiego chłopca namalowany przez żydowskiego malarza. Baron musiał czuć potrzebę ekspiacji, bo wreszcie pochylił się w jego stronę, spuszczać przy tym wzrok, jakby się wstydził tego, co ma zamiar powiedzieć... Albo obawiał się, jak to zostanie przyjęte.

– Ci Żydzi, Herr Gregorius... Jakoś tak smutno bez nich, jakoś nudno... Nie zauważył pan? Wiele razy, idącego przez ich dawną dzielnicę, ogarniał mnie dziwny i nieprzyjemny chłód. To był chłód pustki. Pustki po Żydach. Zaskakujące, prawda? Tyle lat człowiek marzył o tym, by się stąd raz na zawsze wynieśli, doskonale zdając sobie sprawę, że to niemożliwe, nierealne. Bo niby dokąd mieliby się wynieść – na Madagaskar? A kiedy nagle stał się cud i oni rzeczywiście zniknęli, trawi człowieka jakiś idiotyczny żal. I nie chodzi wcale o żal związany z okrutną, trudno zaprzeczyć, formą tego zniknięcia... Choć to też... Ale właśnie z pustką, jaka się wytworzyła po tymże zniknięciu. Tak sobie myślę... – Von Uschytzky dźwignął spojrzenie i nieśmiało skrzyżował je z jego wzrokiem. – Tak się zastanawiam... Może to szkoda, że trochę ich nie zostało. Powiedzmy: mniej więcej tylu, ilu potrzeba na zapełnienie jednej ulicy. Tak, właśnie tak: jednej ulicy w każdym mieście. W takiej liczbie byłiby już całkiem niegroźni, a stanowiliby, jak Cyganie, swoistą ozdobę krajobrazu. Może staliby się atrakcją turystyczną, coś jak nasi górale w Zakopanem? A jednocześnie byłiby żywą skamieliną. Takim ludzkim skansenem. Amerykanie też nie pozbyli się wszystkich Indian. Trochę ich zostawili w rezerwach...

I zawsze znalazłby się pośród tych pozostawionych, dodał w myśli, przypatrując się baronowi z ironią zrodzoną z zazdrości, jakiś śliczny chłopaczek o wielkich, melancholijnych oczach i zmysłowych wargach. O oliwkowej cerze i kruczoczarnych, połyskujących włosach. I o szczupłym, delikatnym ciałku, jakby specjalnie stworzonym po to, by je godzinami pieścić i całować...

– Domyślałem się, panie baronie, że jak każdy arystokrata jest pan

sentymalny, ale nigdy bym nie pomyślał, że będzie pan tęsknić akurat do Żydów. Czyżby miał pan pośród nich kogoś bliskiego? Jakąś rodzinę?

Twarz von Uschytzky'ego spochmurniała.

– Proszę bez żartów!

– Przepraszam! – Z trudem stłumił drwinę w głosie. – Tak mi się jakoś wyrwało. Posądzanie pana barona, człowieka z takim pochodzeniem, o żydowskich krewnych to faktycznie zupełna niedorzeczność...

– W każdym razie – von Uschytzky odwrócił wzrok, aby ukryć już nie tylko gniew, ale i zmieszanie – nigdy nie byłem rasistą. I nigdy nie miałem nic przeciwko Żydom jako takim. Nawet przeciwko ich brudowi, smrodowi i tym ich wszystkim azjatyckim obyczajom. Pod warunkiem wszakże, że będą je kultuwowali u siebie, w swoim własnym kraju, to znaczy w Palestynie. Niechże tam żyją szczęśliwie, choćby do sądnego dnia! Daj im Boże!

– Jestem dokładnie tego samego zdania.

Von Uschytzky zamknął oczy, dając do zrozumienia, że uważa konwersację za skończoną. Reimann i Krüger również musieli wyczerpać temat, bo od pewnego czasu z tyłu dochodziła błogosławiona cisza. Poczul, że zaschło mu w ustach. Z plecaka ułożonego pod fotelem wyciągnął termos, odkręcił go i pociągnął kilka łyków już niemal całkiem zimnej kawy z mlekiem. Przelykając ją, uświadomił sobie, że ta kawa to ostatnia materialna nić łącząca go z antykwariatem na Rathausplatz i znajdującym się ponad nim mieszkaniem. To właśnie jej smak czuł w ustach, gdy rano zarzucił na plecy płaszcz i po raz ostatni zszedł do sklepu. Zapaliwszy wszystkie światła, zaczął po nim spacerować wzdłuż i wszerz, z dłońmi w kieszeniach spodni. Jego wzrok beznamiętnie ogarniał komody, toaletki, inkrustowane orientalne stoliczki, dziesiątki świeczników i lichtarzy, porcelanowe zastawy, zwisające z sufitu kryształowe żyrandole. Piękne odpadki po nędzy ludzkiego życia. *Medames, Messieurs*²⁴³, zapraszamy do antykwariatu – cmentarza ludzkich pragnień! Dla umilenia zakupów przyśpiewuje wam imć Gregorius!

Po cmentarzu – tup, tup, tup –

Drepce sobie mości trup.

W pewnej chwili zatrzymał spojrzenie na pseudoegipskiej terakotowej figurce przedstawiającej Anubisa i przypomniał sobie wypełniony po sufit grobowiec Tutenchamona. I zrozumiał, dlaczego tak bardzo odpowiadała mu praca antykwariusza. Bo antykwariat to takie właśnie miejsce pochówku. Aż przystanął, olśniony tym, zdawałoby się oczywistym, a dopiero teraz poczynionym spostrzeżeniem. Tyle że Tutenchamona łączyła z jego złotą rupieciarnią pozytywna więź, duma władcy z posiadania tych wszystkich wychuchanych śmieci. Jego zaś tak naprawdę nie łączyło z antykwariatem nic. Nigdy. Żaden rodzaj miłości ani nawet sympatii. Nic z tego. Chodziło wyłącznie o sprawy praktyczne. W końcu ze sprzedaży tego baracha utrzymywał siebie i swoją rodzinę. Poza tym całe to czyszczenie, polerowanie, sztukowanie brakujących części pozwalało oszukać czas. Tak, trupy mają dużo, bardzo dużo czasu... Muszą czymś go wypełnić. Inaczej nawet im doskwierałaby nuda.

Po cmentarzu – tup, tup, tup –
Włóczy się znudzony trup.

Kolumna pojazdów rozproszyła się wreszcie i jechali teraz znacznie szybciej. Poczul znużenie wielogodzinną podróżą. Kołysany monotonnym warkotem motoru i szmerem cichej rozmowy, jaką na siedzeniu po prawej toczyły Renate i żona księgarza, zapadł w mocny sen. Śnił mu się Misza. Byli nad rzeką, okolica przypominała Aleksandrowkę. Słońce grzało z całych sił, gorący wietrzyk przeczesywał korony drzew. Misza kąpał się w rzece, całkiem nago, piękny jak Antinous. Chciał do niego dołączyć, ale kiedy zaczął zdejmować ubranie, okazało się, że coś mu w tym przeszkadza. Mimo wzmoczonych wysiłków, nie mógł wyplątać ramion z rękawów koszuli i nóg z nogawek spodni. Próbował, próbował, a one wciąż krępowały jego członki. Nagle usłyszał krzyk. Kątem oka dostrzegł, że Misza się topi. Szamotał się coraz gwałtowniej z ubraniami, ale więzy nie puszczały. Zrozpaczony patrzył, jak głowa Miszy niknie pod wodą i już więcej się nie wynurza. A potem przyszła Katia. Katia z twarzą Dorothei. Powiedziała, że podwieczorek już na stole. Wstał i poszedł z nią w kierunku bielejącego w oddali dworku.

Kiedy na powrót otworzył oczy, autokar stał. Zegarek z fosforyzującą tarczą wskazywał dziesiątą wieczorem. Zdziwił się, nie spostrzegłszy obok

ani swojej żony, ani Frau Reimann. Rozejrzawszy się wokół, stwierdził, że nie ma również kilku innych pasażerów.

– Co się stało, panie baronie? Dlaczego stoimy?

– Płonące cysterny zablokowały przejazd kolejowy. Nie ma ich jak zepchnąć, bo tory poszarpane, a poza tym za duży ogień. Ale podobno żołnierze kończą już robić objazd. Niedługo powinniśmy ruszyć.

– Wyjdę rozprostować nogi.

Na skraju przydrożnego rowu stała Renate w otoczeniu kilku kobiet. Parę kroków dalej Reimann i Krüger palili papierosy i pociągali z ukrytej w skórzanym etui piersiówki. Krzyknął do żony, że musi się trochę przespacerować, i poszedł wolno wzdłuż na nowo zwartej kolumny pojazdów, oświetlonej przez kilka widocznych w oddali wysokich słupów skłębionego ognia. Zapatrzony w jasnożółte płomienie, mijał ciężarówki, osobowe auta, furgonetki i wojskowe łaziki, z których, czekając na wznowienie ruchu, powychodzili pasażerowie. Od stojących na poboczu grupek cywilów i żołnierzy niesły się pomieszane rozmowy, z których czasem jego ucho wyłapywało skargę na mróz, przekleństwo rzucone na bolszewików, cichy płacz. Ale były też śmichy-chichy, umizgi żołnierzy do dziewczyn, wesoły krzyk dzieci bawiących się w berka albo lepiących bałwana. Z rąk do rąk, ocieplając atmosferę, krążyły termosy z kawą lub herbatą oraz butelki wódki i koniaku. Wszystko coraz bardziej przypominało piknik. Znowu naszło go skojarzenie z wycieczką po włościach Szatana. Faktycznie, ciągnący się w stronę słupów ognia sznur samochodów wyglądał zupełnie jak kolejka turystycznych autokarów, czekających beztrąsko na otwarcie wrót do ostatniego kręgu piekła. Dlatego nie zdziwiło go wcale, gdy w pewnej chwili lodowate powietrze przyniosło dalekie, początkowo ledwie słyszalne, ale wyraźnie narastające buczenie. Rozmowy i śmiechy cichły jedne po drugich, twarze unosiły się w stronę rozgwieżdżonego nieba. W oczach, oprócz odbicia ognia, pojawił się niepokój. Kolejne głowy odwracały się na wschód. I do coraz liczniejszych z tych głów musiało nagle dotrzeć, że w blasku płonących cystern rozciągnięta na prostej drodze kolumna widoczna jest z powietrza nie gorzej niż w samym środku słonecznego dnia. Ktoś krzyknął, żeby zachować spokój, że to na pewno nasze myśliwce wracające z nocnego rajdu, kiedy daleko, na końcu kolumny, trysnęła z hukiem fontanna ognia. Zaraz potem niebo z szosą zszyła najpierw jedna, potem druga i trzecia fastryga jasnych smug, szarpiąc plandeki,

dziurawiąc karoserie, rozbijając szyby i szatkując rozbiegających się w panice ludzi. Rozległ się dziki krzyk, pisk, płacz dzieci. Jakiś oficer wrzeszczał, by uciekać w pole, jakaś kobieta wzywała pomocy, jakieś dziecko darło się, że nic nie widzi. Słowem wrota piekieł się rozwarły, diabeł powiedział: „Zapraszam” i wycieczka wkroczyła w końcową fazę.

W mgnieniu oka zdecydował, że to doskonała okazja na dokonanie rozstrzygnięć ostatecznych. Nie zważając na ponaglenia, by skoczył do rowu lub chociaż się schylił, ruszył wyprostowany w stronę zbliżających się eksplozji. Raptem poczuł, jak ogarnia go niewysłowiona ulga. A właściwie coś znacznie więcej niż ulga – szczęście. Tak, właśnie tak – najprawdziwsze, stuprocentowe szczęście! To samo szczęście, które przed laty odrzucił i przed którym później przez całe życie krył się w jaskiniach manicheizmu, pieczarach niewiary i zapadliskach własnego strachu. Ale ta bezsensowna egzystencja, którą sam, na własne życzenie, uczynił bezsensowną, zaraz nieodwracalnie się skończy. Na samą myśl tak szczerze się ucieszył, że automatycznie przyspieszył kroku.

[242](#) (niem.) Sobota, dwudziestego pierwszego stycznia.

[243](#) (fr.) Panie i Panowie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Poniedziałek, dwudziestego drugiego stycznia

Górnośląską, posypywaną od godziny przez gęstą śnieżycę, brnęła już trzeci dzień niekończąca się kolumna uciekinierów. Ból, jaki od poprzedniego poranka czuła w dole brzucha, chyba po raz pierwszy w życiu ją cieszył. Więc jednak to tylko opóźnienie okresu, nic więcej. Nie musi już obawiać się nieprzyjemnych konsekwencji porodu w tak niefortunnych okolicznościach. Ale z drugiej strony czuła się trochę rozczarowana.

Zza kotary śniegu wynurzył się stos waliz i kufrów. Na jednym z nich siedziały, otoczone gromadką małych dzieci, dwie młode kobiety. Dopiero kiedy je minęła, uświadomiła sobie, że jedną z nich była Marysia Zimmermann, jej koleżanka z gimnazjum. Kto by pomyślał, że wyjdzie za porucznika Wehrmachtu! Ta grzeczna, niepozorna Marysia, taka klasowa szara myszka. A przecież, gdyby nie wojna, zostałaaby żoną Polaka i uczyła dzieci: „Kto ty jesteś?”. Jej los wydawał się dość dokładnie zaprogramowany, zresztą jak los większości ich klasowych koleżanek. Nawet sama Marysia, gdyby jej jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego przepowiedzieć małżeństwo z niemieckim oficerem, postukałaby się w czoło. No i proszę – okazuje się, że człowiek nosi w sobie wiele wariantów przyszłości, często szokująco różnych od siebie, a o tym, który z nich zostanie zrealizowany, decyduje nie tylko on sam, ale i splot zewnętrznych, trudnych do przewidzenia okoliczności. Nigdy jednak nie mogła uwierzyć, by w tej nowej Marysi nie pozostało nic z dawnej. Czy naprawdę wymazała swoją na wpół polską przeszłość? Naprawdę uważała, że *die Deutschen sind die Herren und die Polen die Knechte*²⁴⁴? Bardzo chciała ją o to zapytać, ale nigdy nie było po temu okazji. Marysia wyraźnie jej unikała, a kiedy

spotykały się przypadkiem na ulicy, wymieniały tylko blade uśmiechy, zamieniały kilka nic nieznaczących zdań, po czym Marysia szybko się zegnała. Czyli coś tam w środku jej doskwierało. A teraz już za późno, żeby ją wypytać co. Za kilka godzin Marysia opuści miasto. I według wszelkich znaków na niebie i ziemi nigdy się już nie zobaczą. Nigdy.

Dłonią w wełnianej rękawiczce przetarła twarz, mokrą od topniejących na niej płatków śniegu. A ona i Wadim? Czy zobaczą się jeszcze kiedykolwiek? Otrzymany w sobotę list jest prawdopodobnie ostatnim listem Wadima dostarczonym przez Deutsche Post. Kolejne, choć z pewnością zostaną wysłane, nie dadzą już rady popłynąć pod prąd wielkiej ucieczki. Więc następny przyjdzie dopiero po wojnie. Czyli, jeśli sprawy ułożą się dobrze, najwcześniej za kilka tygodni. A jeśli źle? Pewnie dopiero za parę miesięcy. Boże, jak ona wytrzyma przez ten czas? Chyba zwariuje z tęsknoty. Już te trzy ostatnie tygodnie były nie do zniesienia, chociaż mogli do siebie pisać ile dusza zapragnie. A teraz koniec nawet z tym.

Mijająca ją furmanka, naszpikowana nogami powiązanych sznurem mebli, przypominała gigantycznego jeża. Gdyby się nią zabrała, za cztery, pięć dni spotkałaby się z Wadimem. Na samą myśl poczuła w ustach niebezpieczną słodycz. W końcu nie trzymały jej tu już żadne obowiązki. Kiedy na zakończonym przed półgodziną spotkaniu z Mechanikiem usłyszała wydany przed trzema dniami rozkaz Komendanta Głównego rozwiązujący Armię Krajową, w pierwszej chwili nie bardzo mogła pojąć, o co chodzi. Armia Krajowa rozwiązana? Jak to? A jeszcze bardziej zgłupiała, gdy Mechanik podziękował jej za pięć lat służby i zwolnił ją z przysięgi. Więc to już koniec, zamrużyła rozszerzonymi niedowierzaniem oczyma, tak po prostu? Rozchodzimy się, każdy w swoją stronę, jak nie przymierzając, po imieninach u cioci? To co ona ma teraz robić? Mechanik milczał. Widać było, że sam jest zaskoczony przebiegiem wypadków. Formalnie mogła decydować o sobie i tylko od jej woli zależało, czy jechać za Wadimem, czy nie. No ale były jeszcze obowiązki prywatne, nie mniej ważne od tamtych. W końcu urodziła się Polką, a to prowincjonalne miasto, które na swój sposób kochała i którego chwilami z całej duszy nienawidziła, było jej miejscem na ziemi. Lecz z drugiej strony, kto wie, jak z tym miejscem obejdą się Sowietci. Jeśli zmienią je w część kolejnej Republiki Rad, nie da się tu żyć. Więc może rozsądniej byłoby wyjechać teraz i nie oglądać tego wszystkiego na własne oczy? Zwłaszcza że nie miała ochoty skończyć jak

najprawdopodobniej skończył ojciec. Ale jeśli da drapaka z Niemcami, ludzie będą mówić, że zdradziła, że jednak cały czas była autentyczną folksdojczką, nie farbowaną. Zupełnie jak Marysia Zimmermann. Jeszcze się okaże, że w konspiracji działała jako niemiecka wtyczka. Już tam tacy jak Zasuń czy Żyrewicz zadbają o rozpowszechnienie tego kłamstwa. I ludzie uwierzą. Zwłaszcza ci, którzy do niczego się nie mieszały, nie działali, siedzieli przez całe pięć lat cicho jak zajęcy pod miedzą. Czyli przygniatająca większość. Prawdziwa Polka nie mogłaby przecież zostać kochanicą własowca!

Zadrzała. Już raz tego dnia wstrząsnął nią podobny, nieprzyjemny dreszcz. Było to w dzielnicy żydowskiej, przez którą przechodziła w drodze na spotkanie z Mechanikiem. A właściwie – w dawnej dzielnicy żydowskiej, bo chyba tak należało teraz mówić? Idąc Ciasną, od strony placu targowego w kierunku Wodnej, mimowolnie zwolniła i zaczęła się bacznie rozglądać dokoła. Okno – okno – balkon – okno – drzwi – okno – okno – brama – bruk – schody – podwórko – okno – okno – komórka – krużganek – okno – okno. Czego właściwie szukała? Cieni niedawnych mieszkańców? Duchy nie rzucają cieni. Chodziło raczej o materialne ślady po ich spopielonych ziemskich wcieleniach. O coś, co kazałoby o nich pamiętać. A może lepiej – nie pozwoliło zapomnieć? Ale szybko się przekonała, że przynajmniej tu, na zewnątrz, trudno coś odnaleźć. Pewnie co innego wewnątrz. W końcu trzydzieści tysięcy żyjących tu od pokoleń ludzi potrzebowało niemałej liczby krzesel, stołów, łóżek, lusterek, dywanów, koszy na brudną bieliznę i szafek na buty. Czego prawowici właściciele nie zdążyli sprzedać przed wywózką, czego nie skonfiskowali i nie rozgrabili Niemcy, czego nie rozszabrowali cwaniacy miejscowego chowu, czego wreszcie nie pozwolono kupić za grosze Polakom na publicznych licytacjach – wciąż znajdowało się w tych wszystkich mieszkaniach, ukryte za koronkami firanek, pelargoniami, naklejonymi do połowy szyb gazetami. No ale nawet gdyby ją tam ktoś zaprosił, nie zdobyłaby się na przekroczenie progu. A tu, na ulicach i podwórkach nic, dosłownie nic. Chociaż zaraz, zaraz... A co to tam wyziera spod świeżej farby? Cofnęła się na jezdnię, by ogarnąć wzrokiem prześwitujący spod ostrej żółci napis. „Henryk Rosenblut Krawiec Damski”. A tam, po drugiej stronie, cóż się tak czerwieni pod nieco przybrudzoną bielą? „E. Nussbaum Towary Kolonialne i Inne”. Czyli coś jednak ocalało... Mimo czyichś wyraźnych wysiłków, by tak nie było. Teraz dopiero zorientowała się, jak wiele tych kamienic ma odmalowane frontony – ale

wyłącznie na poziomie parterów i często niepasującą do reszty farbą. Więc właśnie w ten nieudolny sposób chciano ukryć zbrodnię? Nalepiając na ogromną krwawiącą ranę cienki plasterek kłamstwa i zapomnienia?

Na ulicy bawiła się w berka trójka lichutko ubranych dzieciaków. Po drugiej stronie dreptał staruszek w maciejówce. Dwie roześmiane dziewczyny o lafiryndowatym wyglądzie spacerowały, trzymając się pod rękę. Świadomość, że dla większości obecnych mieszkańców tej dzielnicy, biedoty niegdyś gnieźdzącej się po suterenach i ludzi wyrzuconych z mieszkań przejętych przez Niemców, los zabranych stąd Żydów nie ma żadnego znaczenia, parzyła ją jak miejsce po odrąbanej ręce. Raptem, jakby nie wiedząc, co czyni, skręciła w rozwartą paszczę wybrukowanej kocimi łbami bramy i przeszedłszy przez jej ciemną gardziel, zatrzymała się z niepewną miną na skraju podwórza. Jakby się lękała, że jeśli wkroczy na jego środek, zniknie na zawsze – jak ci, którzy tu niegdyś mieszkali – w przepastnych trzewiach nienasyconego potwora nicości. Dopiero po chwili przewyciężyła te obawy i weszła dalej. Natychmiast spoczęły na niej uważne spojrzenia umorusanego smarami mężczyzny, grzebiącego pod maską półcięzarówki, tęgiej kobieciny przewieszającej pierzynę przez balustradę balkonu, szczupłej jak zapałka dziewczuszki dźwigającej z trudem wiadro z wodą. I już wiedziała, że obawiała się nie metafizycznego zła, ale właśnie ich, zwykłych ludzi. Zresztą, jak się zaraz okazało, nie bezpodstawnie.

– A pani szanowna czego tak tu filuje? – Jako pierwszy wypalił naprawiający samochód mężczyzna. – Zgubiła tu co pani? Nie? No to co jest? Tu nie teatr!

Kobiecina z pierzyną zastygła z wycelowanym w nią wzrokiem, w oknie po prawej pojawiła się czyjaś głowa, w oknie po lewej następna. I zaczął się ostrzał. Panie Franku, a co tam? Przylazła taka jedna, stoi se, stoi i gapi się nie wiadomo po co. Pani Lodziu, co się dzieje? Co się stało? A kręci się jakaś po podwyrku. Po stróża posłać! Panie Góreeckiii! Panie Góreeckiii! Heńka, zostaw to wiadro i leć po Góreckiego!

Choć na dobrą sprawę ci ludzie nie mogli jej zrobić nic złego – papiery miała w porządku, a wejść na podwórze kamienicy każdy mógł – poczuła się jak sarna, która dała się zagnać w pułapkę. I wtedy właśnie zadrzała. Zadrzała, bo wyobraziła sobie, że to nie ona tu stoi, tylko Romka. Tymczasem ostrzał gęstniał z każdą chwilą. Wkrótce świszczące wokół niej

słowa zaczęły się krzyżować i splatać w coraz szczelniejszą sieć. A sprawdzić tam, czy to nie Żydowica! Przecież widać, że nie. Kto jom tam wi? Może się przefarbowała, cwaniara! Co się tam dzieje? Jakaś Żydowa przylazła! Chyba z za grobu! Musi wariatka! Panie Florkowski, pokaż jej pan gdzie wyjście! Nie pokazywać, trzymać, nie puszcząć! Papiery sprawdzić! Gdzie ten cholerny stróż? Kuzynów paniusia szuka? Leć tam który po policajów! Złapać ją i samemu zaprowadzić! O, ucika, ucika! A niech spieprza w cholere!

Ktoś złapał ją za rękaw. Przestraszona, odwróciła głowę i zdziwiona ujrzała panią Atamanowicz.

– Co pani, panno Dorotko? Źle się pani czuje?

Zaprzeczyła ruchem głowy tak stanowczym, jakby pragnęła z niej strząsnąć jakieś robactwo. Ależ nie, zapewniła, wszystko w porządku. Z miny pani Atamanowicz odgadła, że nie przekonała rozmówczyni, ale nie mogło to przeszkodzić starej gadule w opowiedzeniu najnowszych plotek. A to nieszczęście u Pawlaków! Pawlaków, zdziwiła się, których? Jak to których? Tych z Lipowej. Pawlak mało żony siekierą nie zabił. A meble porąbał z wściekłości na drobne drzazgi. Wszystko przez gołębie. On gołębie hodował, piękne, rasowe, ze dwadzieścia sztuk, a może i więcej. Co to pieniędzy szło, żeby te gołębie wykarmić, szkoda gadać, ale takiego fisia na ich punkcie miał, że wolał sobie od ust odjąć, a im dać. No ale od czasu, jak w końcu listopada wyszło zarządzenie, żeby sprawdzać wszystkich tych, co mają gołębie, pilnować, czy one wiadomości przez front nie przenoszą, co parę dni nachodzili Pawlaka policaje. Kazali mu wszystkie liczyć i wciąż przypominali, że gdyby jakiś gołąb nie wrócił, ma zaraz iść na wachę i zameldować. I na Pawlakową padł strach, że szykuje się nowe nieszczęście. Ona przecież wszystkie dzieci straciła. Starszy syn zginął jeszcze we wrześniu, młodszego zatłukli w obozie, a córka zmarła na tyfus. Więc z Pawlakiem zostali sami we dwójkę. Może zresztą dlatego Pawlak tak te gołębie kochał, że mu zastępowały dzieci? A ona od tego zarządzenia trzęsła się ze strachu, co to będzie, jak jaki gołąb nie wróci. Dużo to potrzeba, żeby nie wrócił? Niech go capnie jastrzęb albo kto ustrzeli ze śrutówki, albo nawet i z procy. Ludzie ciągle głodni, a rosółek z gołąbka smaczny. No i Pawlak będzie musiał pójść na posterunek i zgłosić. Czort wie, co tam z nim zrobią. Może nie uwierzą, że gołąb sam się zawieruszył, zaarrestują Pawlaka jako szpiega, a potem to już tylko albo szubienica, albo obóz. I Pawlakowa,

oprócz dzieci, straci także męża. Wtedy zostanie już całkiem sama, samiuteńka. Na samą myśl o tym kobieta odchodziła od zmysłów. Więc zaczęła prosić Pawlaka, żeby te gołębie sprzedał. Klękała przed nim, płakała, a on – nie i nie! Nawet teraz, kiedy się ruszyli i zrobiło się naprawdę gorąco, nie chciał o tym słyszeć. Więc dwa dni temu, kiedy chłop był w robocie, Pawlakowa nasypała gołębiom trutki na szczury. Gołębie pozdychały, a Pawlak tak się wściekł, że rzucił się na Pawlakową z siekierą. Gdyby nie sąsiedzi, kto wie, czy by jej nie ukatrupił. Bogu dzięki, skończyło się na meblach.

Pokiwała smutno głową. Pani Atamanowicz paplała dalej, ale ona znowu była całkiem gdzie indziej – na spotkaniu z Mechanikiem. Chyba najsmutniejszym, jakie kiedykolwiek mieli. Zaczęło się kondolencjami, jakie złożyła Mechanikowi z powodu śmierci żony. Dowiedziała się o niej dzień wcześniej, od Gwiazdeczki. Biedna pani Dębowska nie przetrzymała obozu. Na dobrą sprawę nic dziwnego, zawsze była delikatna jak mimoza. I tak wyjątkowo dzielnie się trzymała. Jeszcze trochę, a doczekałaby oswobodzenia. Zdaje się, że właśnie świadomość tego faktu powiększała ból Mechanika. A co z raportem, zapytała go, kiedy zwolnił ją ze służby, tym o przedwczorajszej egzekucji w Skarszewie? Odpowiedział, że raport, oczywiście, przyjmie. I przekaże dalej. W końcu rozwiązano tylko struktury wojskowe, podziemne państwo istnieje i działa dalej. Więc co z tą egzekucją? Pięćdziesiąt sześć osób, zameldowała, przede wszystkim ci wzięci w maju i skazani w grudniowym procesie. Henryk Fulde, Konrad Wunsche, Brunon Lompa, Jerzy Drescher, Alfreda Fiebiger, Elwira Fiebiger, Alfred Nowacki, Bolesław Krawiec, Barbara Pawlak, Tadeusz Pyzik. Plus kilkadziesiąt innych, jeszcze bez sądowych wyroków, ale podejrzanych o działalność w ruchu oporu i kilku zwykłych kryminalistów oskarżonych o napaść na przedstawicieli władz. Wśród tych ostatnich również Gołdyń. Miejsce egzekucji – polana w lesie pod Skarszewem. Miejsce to wybrało piętnastego stycznia dwóch gestapowców. Jeden z nich nazywa się Kubesch. Dwa dni później pod ich nadzorem więźniowie wykopali głęboki dół. Egzekucji dokonano dziewiętnastego. Tego samego dnia pozostałych trzystu pięćdziesięciu więźniów ewakuowano w głąb Niemiec.

– Dorotko, ty w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię!

Zarumieniła się. Ależ, słucha, słucha, tylko... tylko trochę się zamyśliła. Z ust niez mieszanej tym wyznaniem pani Atamanowicz już wypływała

następna opowieść. Tym razem o świniobiciu u jakiejś tam Walczakowej w Winiarach. Świnia piękna, prawie dwieście kilo, więc było co dzielić. Rozbierali ją pomału w stodółce, a podroby wrzucali do kilku misek i zanosili do kuchni, gdzie Walczakowa wsuwała je, tak na wszelki wypadek, pod stół nakryty długim obrusem. Pan Bóg czuwał nad nimi. Bo tu nagle stuk-puk do drzwi. Walczakowa otwiera i mało nie mdleje – policaj! Zanim zdążyła zebrać myśli, ten pakuje się do chałupy i prosto do kuchni. Walczakowa już myśli, że ktoś ją zakapował i policaj przyszedł na rewizję. A ten nagle wyjmuje puszkę i mówi, że zbiera na *Winterhilfe*²⁴⁵. Jezu, tak się ucieszyła, że z radości mało tego policajka nie ucałowała. Miała akurat całe pięć marek, ale żeby się szkopa jak najszybciej pozbyć, dała mu wszystko. Ten się tak zdziwił, że trzy razy *danke schön!* mówił. Pewnie wszyscy po parędziesiąt fenigów, góra po marce mu dawali. A tu naraz – pięć marek! I zaraz sobie poszedł. A Walczakowa jeszcze pół godziny do siebie dojść nie mogła. Jakby on pod stół zajrzał i zobaczył, co tam w miskach leży, jak nic skończyłoby się stryczkiem.

Jej wzrok przylgął do inskrypcji wyrytej na kamiennym bloku mostu Kamiennego. *Pontem hunc publica sua fabricatum pecunia inchoatum mense martio anni MDCCCXXIV*²⁴⁶. Raport o egzekucji nie był jedynym, jaki przyniosła na spotkanie z Mechanikiem. Miała jeszcze jeden – o kindziale znalezionym przez ukraińskie dzieciaki na podwórku kamienicy Helgerta. Raport na kilku stronach maszynopisu drobiazgowo podsumowywał całe śledztwo i kończył się konkluzją, że zebrany materiał dowodowy w pełni uprawnia wniosek o oskarżenie Artura Gołdynia o zamordowanie Romany Jodłowskiej. Mechanik przestudiował go dokładnie i długo się nad czymś zastanawiał. Potem wstał, podszedł do pieca, w którym pan Ludwik niedawno napalił, podarł raport i otworzywszy żeliwne drzwiczki, wrzucił kartki w ogień. Co pan, wydukała, nie wierząc własnym oczom, dlaczego? Odczekawszy, aż raport spłonie ze szczeniem, Mechanik przymknął drzwiczki i powrócił do stoliczka za kotarą. Nie wypada, wyjaśnił chłodnym tonem, oskarżać o kryminalną zbrodnię bohatera i męczennika. Zwłaszcza że w świetle ustalonych przez nią faktów chodzi najprawdopodobniej o zbrodnię w afekcie. Zresztą Gołdyń już za nią odpokutował. Torturami i śmiercią. W śledztwie zachował się wspaniale, nie przyznał się do swojej dawnej współpracy z wydziałem legalizacji, nie podał żadnego adresu ani

nazwiska. Coś mu się za to od nich należy, czyż nie? A Romka, zapytała, jej nic się nie należy? Zbladł i milczał. Widząc jego zmieszanie, zadawała kolejne pchnięcia. A uczciwość? A prawda? Między zaciśnięte mocno wargi Mechanika wpełzł jadowy uśmiezek. Uczciwość? Prawda? Prawdą jest, że przegrali tę wojnę we wrześniu, i prawdą jest, że przegrywają ją teraz. Prawdą jest, że szanowni sojusznicy sześć lat temu zostawili ich na pastwę Niemców, a teraz skazują ich na łaskę i niełaskę Rosjan. Taka jest prawda. I gdzie tu uczciwość? No gdzie? Zaś co do Gołdynia, nikt nie może zakwestionować faktu, że zginął jak bohater. I nikt nie powinien tego robić w przyszłości. A niechybnie tak by się stało po ujawnieniu opinii publicznej wyników śledztwa. Gdyby wyszło na jaw, że Niemcy mówili szczerą prawdę, twierdząc, iż Jodłowską przechowywał i zamordował Gołdyń, ludzie mogliby uwierzyć również i w to, że wyciągał od Romki pieniądze i zmuszał ją do współżycia. Może nie wszyscy by tak pomyśleli, ale niektórzy na pewno. W końcu powszechnie wiadomo, jaki tryb życia prowadził Gołdyń przed wojną. Jeszcze wyszłoby na to, że to on wrzucił ciało Jodłowskiej do szamba. Najpierw wykorzystał, ograbił, a potem zabił i wrzucił do szamba. I już zawsze za jego nazwiskiem ciągnąłby się cuchnący zapaszek. A to nazwisko, Mechanikowi nagle aż zajarzyły się oczy, musi pozostać bez skazy! To miasto potrzebuje nowych bohaterów. Bohaterów na nową okupację – tym razem sowiecką. Kiedyś obrazy Gołdynia będą największym skarbem miejscowego muzeum. Jego imieniem zostaną nazwane szkoły. Nie można dzieciakom, którym przyjdzie rosnać w prawdopodobnie mniej lub bardziej zsovietyzowanej Polsce, odbierać kogoś takiego, jak Gołdyń. Kogoś, kto pokazał, jak prawdziwy polski artysta powinien się zachować w czasach próby. Wzoru do naśladowania. On, nauczyciel, wie chyba, co mówi? A ktoś taki, jak ona też powinien to świetnie rozumieć!

Mense augusto anni MDCCCXXV. Absolutum augusto nomine Alexandrii Primi I. R. Q²⁴⁷. Już otwierała usta, żeby powiedzieć, że przeprasza, ale się bardzo śpieszy, kiedy pani Atamanowicz wystartowała z kolejną opowieścią. Tym razem było o weselu jakiejś Danusi Mroczek. Nie miała siły słuchać dłużej. Zaczęła liczyć wzrokiem baniaste tralki żeliwnej balustrady mostu, przypominające rząd greckich amfor. Po historii wesela Danusi Mroczek przyszedł czas na najnowszy dowcip. To szkopski dowcip, podkreśliła pani

Atamanowicz, to oni sami już o sobie takie rzeczy opowiadają. No więc po wojnie Göring spotyka Hitlera na szubienicy i mówi: „Widzisz, mówiłem ci, że losy wojny rozstrzygną się w powietrzu!”. Uśmiechnęła się przez grzeczność, chociaż słyszała ten wic już kilka razy. Dla Mechanika nie była taka grzeczna. Gdy po coraz gorętszej wymianie zdań zażądał, by zaręczyła mu słowem honoru, że zatrzyma dla siebie wszystko, co odkryła na temat śmierci Romki, zdecydowanie odmówiła. Kiedy mimo to nalegał, oświadczyła zimno, że nie jest już jej przełożonym i nie ma prawa żądać od niej czegokolwiek. Z wrażenia Mechanikowi aż odjęło mowę. Wyraźnie miał problem z przetrwaniem tak zdecydowanej odmowy. A może po prostu było mu przykro? To pewnie też wchodziło w grę. Pięć lat wspólnego życia, prawie przyjaźni, szczerzej troski, jaką niewątpliwie żywił wobec niej, zwłaszcza od czasu odkrycia przez Niemców grobów w Katyniu. I takie głupie zakończenie. Lecz nie potrafiła i nie chciała ustąpić. Rozstali się w gniewie. *Commendatum posteris animique sui in parentem patriae sospitatore huius cluitatis grati pique testem esse vult perennem municipium calisiense.*²⁴⁸

Uwolniony się wreszcie od towarzystwa pani Atamanowicz, szła w stronę ratusza. Nie, nie wyjedzie teraz na Zachód. Nie da z siebie zrobić niemieckiej konfidentki. Poczekaj na rozwój sytuacji. Stalin, raz zajmując Polskę, z pewnością nie zrezygnuje z wywierania na nią stałej presji. Ale całkowite jej skolonizowanie, nie mówiąc o bezpośrednim wcieleniu do Związku Sowieckiego, wydaje się raczej nieprawdopodobne. Przynajmniej na to ostatnie nie pozwolą Amerykanie i Anglicy. Zatem jakaś trwała zależność od Rosji będzie, pytanie tylko jak daleko idąca. Może nie aż tak bardzo dotkliwa, żeby nie dało się tu żyć? Więc nie ma sensu wykonywać gwałtownych ruchów. Jeśli się okaże, że sprawy idą w złym kierunku, zawsze zdąży stąd prysnąć. Koniec wojny nie przerwie automatycznie wędrówki tych wszystkich wysiedlonych ze swoich siedzib ludów, a granice jeszcze długo będą płynne i dziurawe. W razie czego, jakoś się przez nie przecisnie.

Pogrążony w ponurym cieniu, wysunięty na wysokości pierwszego piętra fronton secesyjnej kamienicy po drugiej stronie jezdni wyglądał jak potężna, zawieszona nad górską ścieżką skała. Przypomniało się jej Zakopane i całodzienne wędrówki po Tatrach, na które przed wojną jeździła z ojcem

w niemal każdej wakacji. Ależ byłoby cudownie znaleźć się tam teraz! Oczywiście, o tej porze roku nie ma mowy o wdrapaniu się na Giewont lub na Rysy czy przejściu przez Zawrat, ale zawsze można by się przespacerować do Morskiego Oka. Albo poopalać się na Kasprowym Wierchu. A wieczorem dancing i ulubiony numer jej i ojca – udawanie, że są narzeczeństwem i bawienie się zawodem w oczach tych wszystkich pań, które dowiedziawszy się, że pan inżynier jest wdowcem, chętnie widziały się u jego boku.

Wkroczyła na rynek, kiedy nagle kilkanaście kroków przed nią, na wysokości kiosku z owocami pani Jarmużyńskiej, zrobiło się spore zbiegowisko. W jego centrum miotał się rozgniewany mężczyzna w brązowym mundurze, w którym rozpoznała Wolfganga Hahna, naczelnego propagandzistę miejscowej organizacji partyjnej. Właśnie pouczał stojącego przed nim usmarkanego dziesięciolatka w przykrym płaszczku. No proszę, przemknęło jej przez głowę, nawet temu szubrawcowi puszczać nerwy! Wystraszony dzieciak przestępował nerwowo z nogi na nogę, w dłoniach miętoszył gawroszkę. Z przepastnego archiwum jej pamięci natychmiast wyskoczyło sławetne rozporządzenie z piątego listopada czterdziestego pierwszego – najbardziej upokarzające zarządzenie wydane kiedykolwiek przez Niemców. „Z natychmiastowym wejściem w życie zastosowuje się obowiązek ukłonu przez każdego Polaka i Polki, w stosunku do każdego Niemca noszącego mundur”. Mężczyzna wymierzył chłopakowi policzek, po chwili drugi i trzeci. Twarz chłopca poczerwieniała, w jego oczach zaszklily się łzy, ale był tak przerażony, że ze strachu nawet się nie rozplakał. „Uklon oddany być musi przez Polaka przez zdjęcie nakrycia głowy i przyjęcie odpowiedniej prostej postawy; u Polek przez uklon”. Na polecenie Hahna chłopak założył na głowę czapkę i po chwili zdjął ją, kłaniając się prawie w pas. Propagandakreisleiter²⁴⁹ zamachał energicznie rękoma: nie nie – nie tak! Chwycił za daszek własnego kepi i pokazał chłopcu, w jaki sposób ma się kłaniać. Kiedy ten uczynił to poprawnie, Hahn kazał mu odejść kilka kroków, a następnie iść w jego kierunku i uklonąć się, wcześniej ustąpiwszy z drogi. Detalista! „Każdy Polak obowiązany jest przy ujrzeniu każdego Niemca noszącego mundur ustąpić miejsca na chodniku”. W chwili gdy ich mijają, mężczyzna tłumaczył jeszcze coś chłopcu, wskazując na opaskę ze swastyką. „Obowiązek ukłonu przez Polaków podlega też w stosunku do wszystkich godeł Partii, Wojska i Rządu, jako też samochodu służbowego

oznaczonego chorągiewką służbową”. Przepuszczając wyjeżdżającą z Piskorzewskiej furgonetkę organizacji Kraft durch Freude²⁵⁰, odwróciła się, ciekawa, jak się skończyło to nierówne starcie usmarkanego Dawidka z rozwścieczonym Goliatem. Powiatowy szef propagandy z miną surowego, ale sprawiedliwego ojca groził właśnie chłopcu palcem. „Kto się temu rozporządzeniu przeciwstawi, liczyć się musi z surową karą lub aresztowaniem”. Uff, lekcja najwyraźniej dobiegała końca! Nie mogło się jednak obejść bez jeszcze jednego *tatkräftige Belehrung* – tak zwanego czynnego pouczenia. Tak, jak oczekiwała, Hahn na pożegnanie wymierzył dzieciakowi solidnego kopniaka i dopiero wtedy odszedł w akompaniamencie śmiechów i braw zebranych wokół Niemców, wyraźnie zadowolony z dobrze wykonanej pedagogicznej roboty.

Odchodząc, odprowadziła zaniepokojonym spojrzeniem chłopca, który umykał szybko poprzez plac, co chwila oglądając się trwożliwie. Nic ci nie będzie, mały, pomyślała, od tego się nie umiera. Po prostu musisz bardziej uważać. Oni wciąż mają dość siły, by rządzić naszym życiem i śmiercią. A że gorycz klęski doprowadza ich do wściekłości, są bardziej niebezpieczni niż kiedykolwiek.

[244](#) (niem.) Niemcy to panowie, a Polacy służdy.

[245](#) (niem.) Pomoc zimowa.

[246](#) (łac.) Most ten postawiono za pieniądze publiczne w marcu roku tysiąc osiemset dwudziestego czwartego.

[247](#) (łac.) W sierpniu roku tysiąc osiemset dwudziestego piątego otrzymał imię Jego Cesarskiej Mości Aleksandra Pierwszego.

[248](#) (łac.) Przekazano potomnym, pragnąc, by przez wieki świadczył o uczuciach wdzięczności i czci dla ojca ojczyzny, dobroczyńcy tej społeczności. Magistrat kaliski.

[249](#) (z niem.) Powiatowy szef propagandy.

[250](#) (niem.) Siła przez Radość. Organizacja zajmująca się wypoczynkiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Wtorek, dwudziestego trzeciego stycznia

Czy popełnił błąd w rozumowaniu? Nie, z pewnością nie. Skoro Sowieci raz tu wejdą, to nie po to, żeby wypuścić ten kąsek ze swoich czerwonych łapsk. Ale przekształcenie Komitetu Lubelskiego w Rząd Tymczasowy dowodzi, że Rosjanie nie poważą się na bezpośrednie przyłączenie Polski do Związku Sowieckiego. Mają zamiar utworzyć z niej teoretycznie niepodległą satrapię. Nie będą zatem rządzić bezpośrednio, tylko za pośrednictwem polskich przydupasów. To stwarza jakiś margines swobody, wąski, bo wąski, ale jednak. I daje większe szanse na dotarcie do nowych władz, znających specyfikę terenu i orientujących się chyba doskonale, że nie da się tu przeflancować na żywca sowieckiego wzoru. Może i ci ludzie mają łby nabite Marksem i Engelsem, ale kretynami nie są. W każdym razie, nie wszyscy. Dowodzi tego zresztą reforma rolna przeprowadzona na wschód od Wisły. Gdyby nasi komuniści trzymali się ślepo przykładu swych moskiewskich mocodawców, tworzyliby kołchozy. Tymczasem parcelują folwarki i rozdają ziemię chłopom na własność. To znaczy, że liczą się z odmiennością miejscowej sytuacji i dostosowują do niej swoje kroki. I wiedzą zapewne, że ich największym przeciwnikiem nie będzie ani ziemiaństwo, w większości wyrugowane już ze swoich majątków przez Niemców, ani burżuazja, pozbawiona przez tychże samych Niemców fabryk, ani porządnie przetrzebiona i pokancerowana inteligencja, ale Kościół. Tak, to jest skała, którą niełatwo będzie im ugryźć. Gdyby się zdecydowali na wysadzenie jej w powietrze dynamitem, jak w Rosji podczas rewolucji, natychmiast obróciliby przeciwko sobie naród. Żaden Polak, nawet niechętny Kościołowi wolnomyśliciel, nie pozwoli na mordowanie księży i burzenie świątyń. Już nasze komuszki dobrze o tym wiedzą. Będą zatem mieć nie lada problem. Skoro nie uda się im dobrać do Kościoła siłą, to jak

inaczej? Bo przecież jakoś dobrać się muszą. Nie mogą zostawić na oranym przez siebie poletku tego gigantycznego narzutowego głazu, psującego im robotę swoją milczącą obecnością. Coś muszą wykombinować. I zapewne nie mają pojęcia co.

I tu zjawi się on ze swoją propozycją. Zdziwią się, że właśnie ktoś taki do nich przychodzi, ale na pewno wysłuchają, co ma do powiedzenia. I po głębokim namyśle zaakceptują jego plan. Plan zuchwały, a jednocześnie genialny w swojej prostocie. I podstępny, bo jego celem strategicznym jest nie tylko ocalenie własnej głowy, ale i ogranie czerwonych – rzecz jasna, w takim zakresie, w jakim jest to, przynajmniej na obecnym etapie, możliwe. Plan polegający na założeniu ogólnopolskiej organizacji katolików popierających wprowadzane przez nowy reżim przemiany. Organizacji, której członkowie, pozostając prawowiernymi synami Kościoła, zażądają zerwania przezeń z jego dotychczasowym społecznym i politycznym konserwatyzmem. Organizacji zrzeszającej tych wszystkich, którzy nie widzą zasadniczych sprzeczności między Ewangelią a *Manifestem komunistycznym*, a w każdym razie wierzą, że za cenę obustronnych ustępstw da się je ze sobą pogodzić. Tacy ludzie będą dla komunistów na wagę złota. Z ich pomocą nowy reżim będzie mógł osłabić Kościół, zmiekczyć go i zmusić do ustępstw. Księża, zamiast mieszać się do polityki, zamkną się w swoich świątyniach, szczęśliwi, że mogą nadal odprawiać tam swoje misteria. A siła, która tego dokona, niewątpliwie zyska respekt i wdzięczność czerwonych. I tak oto uda mu się nie tylko uniknąć więzienia, a może i kulki w łeb, ale jeszcze znajdzie sobie wygodne miejsce w strukturze nowego państwa. I wcale nie jest to konformizm ani zdrada ideałów. Jego cel pozostaje taki sam – narodowe państwo, rządzone jedną myślą i jedną ręką, uwolnione raz na zawsze od gangreny parlamentarnej demokracji. A komuniści właśnie takie państwo chcą zbudować. Cóż z tego, że podpierają się inną ideologią? Ideologia to tylko słowa, podczas gdy liczą się konkrety, jakie z nich wynikają. A te konkrety są w dużej części realizacją wizji Legionu. Wprawdzie Polska straci nieodwołalnie Kresy, ale zyska za to ziemie po Odrę, czyli wróci do starego historycznego łożyska z czasów Bolesława Chrobrego. Owszem, tym samym skurczy się, spadnie do rzędu państw średniej wielkości, ale za to pozbędzie się mniejszości narodowych, które przez kilka stuleci zatruwały jej organizm. Stanie się własnością polskiego chłopca oraz – po nacjonalizacji przemysłu, która prędzej czy

później niechybnie nastąpi – polskiego robotnika. Koniec z dziedzicami, którzy obrócili lud wiejski w robocze bydło oraz francuskimi i belgijskimi kapitalistami, żyjącymi na koszt wyzyskiwanego proletariatu. Tak, ta skórka warta jest wyprawki. A że towarzyszące okoliczności są takie, jakie są? Cóż... Na to nic się w tej chwili nie poradzi. Czołgi Stalina to fakt, i to fakt przez duże F, a fakty trzeba akceptować. Trzeba więc skończyć z biadoleniem, że czerwone brzydko pachnie, i skupić się na tym, co z podobnej wolty może wyniknąć dobrego, a nie żałować niegdysiejszych śniegów. Zresztą wśród praw historii i psychologii są również i takie, które szybko zaczną pracować na korzyść Polski. Gdy tylko rodzimi komuniści rozsiądą się wygodnie na stołkach, gdy posmakują władzy, gdy się do niej przyzwyczają, sami zaczną kombinować nad uwolnieniem się od moskiewskiego protektoratu. Nie wiadomo, kiedy to nastąpi, pewno nieprędko, ale że nastąpi, to pewne jak amen w pacierzu. Wtedy pociągnie się czerwonych w narodową stronę i kto wie, może tym dziwnym, okrężnym i trwającym sporo czasu sposobem polski faszyzm jeśli nie zwycięży, to przynajmniej stanie się jedną z sił trwale decydujących o losach kraju.

Tak właśnie tłumaczył to przed dwoma dniami Żyrewiczowi, Kowalskiemu i Szopie. Nie czynił wcześniej żadnych przygotowań, nie szykował gruntu. Wolał, jak zwykle zresztą, działać przez zaskoczenie, zaszokować ich śmiałością i dalekosiężnością wizji, oszołomić jej profitami, wierząc, że jego autorytet i charyzma dokonają reszty. Dwie godziny gadał jak najęty, zbijał punkt po punkcie ich kontrargumenty, rozpraszał wątpliwości, czarował na wszystkie możliwe sposoby. Nie odrzucili zdecydowanie jego propozycji, co już było sukcesem, ale też jej nie zaakceptowali. Przynajmniej na razie. Szopa oświadczył, że sprawa wymaga przemyślenia. Ustalili, że spotkają się w tym samym gronie następnego dnia i wtedy podejmą ostateczną decyzję. Był przekonany, że kiedy prześpią się z jego planem, przystaną na realizację. A nawet gdyby nie przystali, nie wynikną z tego żadne perturbacje. Po prostu rzecz zostanie odłożona ad acta. Zaledwie na parę dni, bo wkroczenie Sowietów zmusi ich do decyzji: co dalej? Widok potęgi Armii Czerwonej na pewno ostudzi ich zapał do rzucenia jej zbrojnego wyzwania. I szybką pojmą, że jego propozycja to najlepsze wyjście z sytuacji. Więc gdy się rozchodzili, był w sumie dobrej myśli.

W życiu nie przewidziałby tego, co nastąpi. I że stanie się to za sprawą

Żyrewicza. A przecież zachowanie tego ostatniego na spotkaniu powinno mu dać do myślenia. Podczas gorącej dyskusji nad przedstawioną propozycją nie odezwał się ani razu. Już to powinno go zaniepokoić. Zwłaszcza że od czasu akcji pod Mostem Warszawskim z Żyrewiczem zaczęły się kłopoty. Kiedy otrząsnął się z szoku, nie był już tym samym człowiekiem co dawniej. Przed wszystkim mocno zhardział. Już nie słuchał tak potulnie rozkazów, nie dawał się prowadzić bez oporu za rękę. Najwidoczniej wykonanie tamtego zadania podziało nań jak swoista szczepionka. Przekonawszy się, że nie tylko potrafi zabić człowieka, ale i przejść nad tym do porządku dziennego, poczuł w sobie nieznaną wcześniej siłę. Spodobała się ona draniowi i szybko nabrał ochoty, by jej używać. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby powiódł się jego samowolny zamach na młodego Łubnina. Niemcy urządziliby tu drugi Wawer. Bogu dzięki, że ten cholerny własowiec zachował się porządnie i o niczym nie zameldował. I że nikt z sąsiadów Doroty nie widział, jak postrzelony Łubnin wchodzi na jej posesję. Policja, która zjawiała się na miejscu zdarzenia zwabiona wystrzałem i przesłuchiwała mieszkańców okolicznych domów, niczego się więc nie dowiedziała. A on od razu, kiedy tylko Dorota wpadła do niego z awanturą, przekonana, że to na jego polecenie dokonano zamachu, domyślił się, że stoi za tym Żyrewicz. Pamiętał dobrze jego minę na tamtym wieczorku u Krysi, kiedy Dorota przyprowadziła bratanka profesora. Widział, co się działo z Jankiem, kiedy ze sposobu, w jaki Dorota spoglądała na młodego Łubnina, odkrył, że coś ich łączy. Gęba zrobiła mu się szara jak świeży beton, fioletowe usta zlutował grymas przygnębienia. Jakiś czas śledził uważnie wyraz twarzy tamtych dwojga, aby się upewnić, że nie ulega złudzeniu. Ale choć Dorota nie była przecież taka głupia, żeby się afiszować ze swoim uczuciem i ze wszystkich sił starała się je ukryć, choć do gościa zwracała się demonstracyjnie per pan, ilekroć to czyniła, z całej jej osoby promieniowało coś takiego, że tylko ślepiec nie domyśliłby się, co jest grane. No, może pozostali się nie domyślili, a w każdym razie nie mieli pewności, ale Żyrewicz na pewno ją uzyskał. Zazdrość to czuły sejsmograf. A jeszcze Zosia Królewicka, u której zadziałał bezbłędnie inny sejsmograf – nienawiść do Doroty – podbiła Żyrewiczowi bębenka, wypytując go na kolacji po zakończeniu oficjalnej części wieczoru, czy nie zauważył, że między tą dwójką wyraźnie coś się dzieje. No i Jasia zalała krew. Choć prawdopodobnie nie tylko z tego powodu. Gdyby chodziło jedynie o to, co łączy Dorotę z tamtym facetem,

może Żyrewicz jakoś by to strawił. Na nieszczęście było jeszcze coś. To nieszczęsne opowiadanie, notabene świetnie przetłumaczone przez Dorotę i profesora. I choć autor uparł się odczytać je samodzielnie, co chwilami dawało śmieszny efekt, albowiem niemiłosiernie kaleczył język polski, wszyscy słuchali z rozdziawionymi gębami. Opowiadanie, zatytułowane *Noc nad stepem*, mówiło o piekielnych godzinach, jakie spędza młody paryski Rosjanin, oficer oddziałów ochotniczych, po tym jak przełożony wyznaczył go na dowódcę plutonu egzekucyjnego mającego rozstrzelać nazajutrz dwudziestu sowieckich partyzantów, w tym kobiety i podrostków. Zachodziło zatem pewne podobieństwo między treścią opowiadania Łubnina a treścią *Pierwszego razu* Żyrewicza. Ale utwór Jasia mógł uchodzić za kliniczny wzór płaskiej propagandy; artystycznie był absolutnym knotem, jego wykuty z kamienia bohater raził swoją nieprawdziwością. Tymczasem *Noc nad stepem* pokazywała prawdziwego człowieka zaplątanego w prawdziwy dramat zderzających się ze sobą wartości i z nieodpartą siłą zmuszała czytelnika do zadania sobie pytania, co on zrobiłby na miejscu bohatera. No i ten język. *Pierwszy raz* poszatowany był myślnikami, nafaszerowany trzykropkami, wprost kipiał od wykrzykników. Wyszła z niego nieznośnie ekspresjonistyczna histeria. Co innego *Noc nad stepem*. Szorstka, niemal pozbawiona ozdóbników proza, z akapitu na akapit coraz mocniej wciskała słuchaczy w fotele i kanapy. Krótkie zdania, przypominające wojskowe komendy, wchodziły w mózg niczym gwoździe w sosnowe drewno. Nikt z obecnych w salonie Krysi nie miał wątpliwości, że to wielka literatura. Niestety, pojawił to również Żyrewicz. I uświadomił sobie, jak głęboka przepaść dzieli jego twórczość od prozy Rosjanina. Zrozumiał, że choćby się skichał, nigdy w życiu czegoś tak dobrego nie napisze. Bo brak mu, niestety, tego najważniejszego, czego nie zastąpią marzenia o sławie i nawet najlepsze chęci – po prostu brak mu talentu. To właśnie w tamtej chwili we łbie Żyrewicza musiała się pojawić myśl o zabiciu młodego Łubnina. A przynajmniej pierwsze ziarenko tej myśli. I nie trzeba było dużo czasu, by wykiełkowało. Rzucone w urodzajną glebę zazdrości, obficie zroszoną przygnębieniem i nawiezioną dotkliwym upokorzeniem, szybko wydało trujący plon. Tylko skąd ten drań miał broń? Kiedy po wizycie Doroty natychmiast pobiegł do Żyrewicza, żeby natrzeć mu zdrowo uszu, tamten nie chciał tego wyznać, a co gorsza, stanowczo nie zgodził się na jej oddanie. Cholera, powinien był wtedy okazać więcej

stanowczości, przyprzeć jakoś palanta do muru, zagrozić. Ale jak przyprzeć i czym zagrozić? Postraszyć wyrzuceniem z Legionu? Wątpliwe, by się wystraszył. A gdyby faktycznie go wyrzucił, raczej mało prawdopodobne, aby Żyrewicz przeszedł nad tym do porządku dziennego, zapomniał o konspiracji i zajął się spokojnym zarabianiem na chleb powszedni. Zaczęłyby zapewne na własną rękę strzelać do Niemców, przez co spowodowałyby ich zdecydowane, choć trudne do przewidzenia represje. A gdyby przy tym wpadł w ręce Gestapo i po torturach zaczął śpiewać? To by dopiero było nieszczęście! Więc wywalenie go z Legionu nie wchodziło, niestety, w grę. Druga teoretyczna możliwość, czyli zameldowanie o incydencie Toporowi, by ten przykładnie ukarał skurczybyka, też odpadała. Przecież Żyrewicz należał do Trzeciego Poziomu, znał najskrytsze tajemnice sekretne sztabu Legionu, współuczestniczył w przygotowaniu czarnej listy, na której znajdowały się również nazwiska tych członków konspiracji i podziemnych władz cywilnych, których od dawna podejrzewali o prokomunistyczne sympatie. Gdyby Żyrewicz wyśpiewał to wszystko Toporowi, sam wykpiłby się pewnie karnym raportem, za to on, Kowalski i Szopa jak nic stanęliby przed sądem polowym. Nie, musiał tę sprawę załatwić w pojedynkę. A sam mógł jedynie zrobić Żyrewiczowi awanturę, zaapelować do jego odpowiedzialności i wymusić na nim przysięgę, że już nigdy więcej nie przeprowadzi samowolnej akcji. Tak też się stało. Żyrewicz obiecał solennie, że nie wywinie ponownie podobnego numeru. I w zasadzie słowa dotrzymał. A przynajmniej do wczoraj, kiedy to z pomocą Kowalskiego, Szopy i kilku chłopaków z Drugiego Poziomu dokonał przewrotu i przejął dowództwo Legionu. Wszyscy trzej oświadczyli mu, że plan, jaki im przedstawił, jest formą zawołowanej zdrady i chyba zwariował, myśląc, że są tacy głupi, by tego nie dostrzec. Powiedzieli też, że na dobrą sprawę powinni go rozstrzelać, ale biorąc pod uwagę jego niewątpliwe zasługi dla stworzenia organizacji i kilkuletniego nią kierowania, pozwalają mu odejść. Pod warunkiem wszakże, że nie spróbuje podjąć jakichkolwiek prób odzyskania dowództwa lub rozbicia Legionu. Jeśli dowiedzą się, że skontaktował się choćby z jednym chłopakiem z Pierwszego Poziomu i namawiał go do przejścia na swoją stronę, zabiją go bez wahania. Za nic nie pozwolą na podział organizacji.

To dopiero durnie! Idioci! Kretyni! Chciał im stworzyć szansę na takie

wyjście z tej przegranej wojny, aby jednocześnie zachowali i głowę, i twarz. A oni tę szansę odrzucili. Cóż, sami wydali na siebie wyrok. Skoro nie podobała im się rola wilków w owczej skórze, staną się owieczkami idącymi na rzeź. Nie zostawili mu wyboru. Zatem musi przystąpić do wykonania planu awaryjnego. Najpierw pójdzie do szpitala, do szefa miejscowej komórki PPR, doktora Rybickiego, pseudonim Karol. Już wyobrażał sobie minę tamtego, kiedy przedstawi się jako Wieża, zastępca szefa wywiadu Armii Krajowej na Kalisz, a jednocześnie założyciel i do wczoraj komendant Legionu Narodowego. Potem oświadczy wystraszonemu nie na żarty towarzyszowi Rybickiemu, że wraz z kilkorgiem swoich współpracowników figuruje on na czarnej liście osób przeznaczonych przez Legion do fizycznej likwidacji, mającej nastąpić w chaosie między ucieczką Niemców a nadejściem Sowietów i utworzeniem nowej cywilnej władzy. W tym momencie doktorek narobi ze strachu w spodnie, przekonany, że za chwilę dostanie kulkę w łeb. Tymczasem on z życzliwą miną doradzi mu, by sprawę potraktować bardzo serio. Upredzi, że człowiek, który przejął dowództwo Legionu, Jan Żyrewicz, pseudonim Zawisza, to gorący fanatyk, zionący nienawiścią do wszystkich, którzy nie podzielają jego politycznych wizji. Z pewnością zechce zrealizować swój plan, jeśli nie w całości, to chociaż w części. Ma dwudziestu siedmiu ludzi i broń. Tu wyjmie z kieszeni płaszcza trzy koperty i położy na stole tę oznaczoną arabską jedynką, mówiąc, że to właśnie rzeczona lista. Poprosi o natychmiastowe ostrzeżenie tych ludzi. No, chyba że, doda z cynicznym uśmieszkiem, pan doktor i jego towarzysze uznają, iż w gruncie rzeczy nie stałoby się nic złego, gdyby niektórzy z nich zniknęli raz na zawsze i nie przeszkadzali im w instalowaniu nowego porządku. Następnie rzuci na stół kopertę oznaczoną dwójką i wyjaśni, że w niej znajduje się lista wszystkich członków Legionu, z pseudonimami, stopniami, prawdziwymi nazwiskami i adresami, a także adres magazynu broni. Listę otwiera, oczywiście, Zawisza. Jeszcze raz doradzi, by nie lekceważono tego ostatniego. Dopóki nie zrobi się z nim porządku, żaden komunista nie może czuć się bezpieczny. Niech zatem zaczną od Zawiszy i magazynu broni. Kiedy już zabiorą chłopcom zabawki, tamci niewiele zrobią. Ale Zawisza ma broń przy sobie, więc tym bardziej muszą najpierw zająć się nim. Po udzieleniu tych wszystkich rad opowie coraz bardziej osłupiałemu towarzyszowi Rybickiemu, czemu zawdzięcza on tę niespodziewaną wizytę i towarzyszące jej gesty przyjaźni. I przestawi

z grubsza swój plan powołania do życia organizacji prokomunistycznych katolików. Ponieważ towarzysz Rybicki, z powodu coraz większego szoku, nie będzie w stanie otworzyć gęby, nie mówiąc o zrozumieniu wagi zagadnienia, wręczy mu trzecią kopertę, zawierającą memorandum w powyższej sprawie. Poprosi, a właściwie zażąda, by jak najszybciej przekazał je swoim przełożonym. Na wypadek gdyby jakiś kretyn wrzucił memorandum do kosza, uprzedzi, że natychmiast po wkroczeniu do Kalisza Armii Czerwonej, dostarczy je również sowieckiemu komendantowi z miasta z prośbą, by ten przesłał je na ręce kompetentnego oficera NKWD. Na koniec, nie czekając, aż tamten ochłonie, pożegna się grzecznie i wyjdzie. No i klamka zapadnie. Szkoda tych dwudziestu siedmiu chłopaków, zżył się z nimi przez te cztery z okładem lata... Nie jest przecież draniem bez sumienia, współczuje im z powodu tego, co ich czeka. Ale to jest wojna, prawdziwa wojna, a nie zabawa klockami. Kto staje po niewłaściwej stronie barykady, ponosi konsekwencje. Pretensje niech ma do samego siebie. Ewentualnie do losu, Pana Boga, Szatana czy splotu złośliwych przypadków. No ale nie czas teraz na filozofowanie. Zwłaszcza że po wyjściu ze szpitala chce jeszcze zajrzeć do Doroty. Żyrewicz prawdopodobnie dopisze ją do listy. Skoro nie udało mu się dopaść młodego Łubnina, zemści się właśnie na niej. W takim stanie, w jakim się znajduje, potrafi zrobić wszystko. Więc trzeba ją ostrzec. I dać jej broń, bo na pewno nie ma własnej. Nie zasłużyła na taki gest, ale niech wie, że stać go na rycerskość. Oczywiście, po tamtym wieczorze u Krysi zrezygnował z zamiaru ofiarowania Dorocie portretów i aktów Jodłowskiej. Nawet nie zdradził, że je posiada. W końcu i jego zdrowo kolnęło, gdy zauważył, że zakochała się w tym przeklętym Rosjaninie. Parę dni chodził jak struty. Czuł się, jakby napluto mu w twarz. Ale potem powoli ochłonał. Powiedział sobie, że wiążąc się z własowcem, udowodniła, że jest nieodwracalnie zepsuta i nie nadaje się na partnerkę prawdziwego Polaka. Mówi się trudno. Ostatecznie, jego przyszła żona i matka jego dzieci ma być przede wszystkim piękna, zdrowa, dobrze wychowana i posłuszna. To on ma być inteligentny i czytany, jej wystarczy podziw dla jego inteligencji i czytania. A Doroty nigdy w życiu nie dałoby się przerobić na kogoś takiego. Nie ma się co łudzić, nie tworzyliby udanego związku. Ich małżeństwo szybko skończyłoby się rozwodem. Dobrze, że doszedł wreszcie do tego wniosku. A ostrzeżenie, jakie jej przyniesie, niechaj będzie pożegnalnym prezentem. I jednocześnie

najlepszym dowodem na to, że wbrew temu, co ona myśli, Michał Zasuń wcale nie jest skończonym, pozbawionym ludzkich uczuć łobuzem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Środa, dwudziestego czwartego stycznia

U zbiegu Warszawskiej i Łódzkiej porwała ją wrząca gwarem ludzka rzeka, sunąca całą szerokością jezdni w kierunku centrum. Dzień był wyjątkowo pogodny – z pachnącym wilgocią świeżym śniegiem i olśniewająco błękitnym niebem. Tak właśnie, myślała, mrużąc oczy przed żółtozłotym światłem słońca i jego refleksami w oknach, powinien wyglądać pierwszy dzień wolności. I ludzie byli inni niż przez te wszystkie ponure lata – podnieceni, radośni, uśmiechnięci, szczęśliwi. Z policzkami zarumienionymi od tęgiego, szczypiącego mrozu, szli prości, z podniesionymi wysoko głowami, rozmawiając ze sobą pełnym głosem, już bez obawy, że ktoś ich obszczeka za mówienie głośno po polsku, za niezdjęcie kapelusza czy nieustąpienie z drogi. Nie tylko znajomi, ale i obcy ludzie rzucali się sobie w ramiona, obejmowali się, ściskali, całowali. Wolność! Wolność! Wolność! Nigdy by nie pomyślała, że można się nią autentycznie upić – i to znacznie szybciej i mocniej niż szampanem. W głowie aż się jej kręciło, serce biło tym przyjemnie przyśpieszonym rytmem, jaki czuła, ilekroć pomyślała o Wadimie, a oczy raz po raz zachodziły mgiełką. Życie jest piękne, wołał, a właściwie śpiewał w niej jakiś potężny głos, przy którym bas Szalapina wydawał się zaledwie pieniem cherlawego kogucika. Niech żyje życie, niech żyje wolność, niech żyje miłość! Rozglądała się wokół siebie i widząc wszędzie pojaśniałe twarze, rozciągnięte w uśmiechach usta i błyszczące radością oczy, z trudem powstrzymywała się przed wrzeszczeniem ze szczęścia na całe gardło.

Na Moście Warszawskim ogłuszył ją huk dochodzący z prawej strony. Obróciła twarz i ujrzała rząd sowieckich pojazdów przepływających przez most Bernardyński. Poczowała niepokój, ale zaraz go przegoniła. Nie chciała, by niewesołe myśli zepsuły tę wyjątkową radość, która niczym powiew

gorącego letniego wiatru przewalała się przez ulice i porywała ją wraz z innymi. Niesiona nią, minęła skrzyżowanie przy klasztorze jezuitów, kamienicę Puchalskiego, przecięła skwer powstały po zasypaniu Babinki i dotarła pod pocztę. Tam dalszą drogę zagradzał widoczny z daleka spory tłum. Okazało się, że przyglądał się zdejmowaniu przez kilku mężczyzn wielkiego hitlerowskiego orła znad wejścia do budynku. Właśnie odkręcono ostatnią śrubę i ciężkie, blaszane ptaszysko niczym ustrzelony jastrząb runęło w dół. Rozległ się głośny huk, potem dziki okrzyk zachwyty i tłum natychmiast zalał orła, by po nim z wściekłością skakać i deptać. Przecisnąwszy się z wielkim trudem skrajem jezdni, drżącej od pomalowanych na biało czołgów, brnęła wolno zatłoczonym chodnikiem w kierunku ratusza. Wszędzie jak okiem sięgnąć wisiały biało-czerwone flagi. Ulica roiła się od handlarzy, zachwalających krzykiem swój towar. Kiełbasa! Ludzieeee, kiełbasa! Bimber! Najlepszy bimber! Tylko u mnie! Futro z królików! Prawie nienoszone! Futrooo! Pod podeszwami butów chrzęściło szkło z portretów Hitlera i wały się brudne strzępy podartych flag ze swastyką. Niektóre okna w sklepach i warsztatach folksdojczów zionęły już wybitymi szybami, na innych ktoś wymalował białą farbą hakenkrojce na szubienicy i napisy: „HITLER KAPUT”, „TU MIESZKA FOLKSDOJCZ”, „SZWABY WEG!”. Przyszło jej na myśl, że powinna zajrzeć do Schillerów. Pana Rudolfa wszyscy lubili, ale już o jego żonie nie można było powiedzieć tego samego. Ale zaledwie o tym pomyślała, wpadła na Frankę Nowak, córkę szewca, u którego zawsze naprawiała buty. Franka miała podpuchnięte oczy, musiała dopiero co beczeć. I wcale nie wyglądało to na łyzy radości. Okazało się, że jej matkę skazali w zeszłą sobotę na rok sztraflagru. Najpierw skazali ojca, na trzy lata, jakoś tak ze dwa miesiące temu, za bimber, a teraz matkę. Że ojca, to jeszcze rozumie – pędził, sprzedawał, wpadł, to i skazali. Ale matkę? Za to, że nie chciała płacić za ojcowski „Ostdeutscher Beobachter”?

– Jak to: nie chciała płacić?

Ano nie chciała, Franka otarła oczy dłonią, pewnie, że nie chciała. Bo to było tak. Bloklajter już na początku okupacji przymusił ojca do zaprenumerowania tej szmaty. Ojciec się wzbraniał, co miał tyle pieniędzy w błoto wyrzucać? Przecież wiadomo, że nikt u nich nie będzie tego czytać, bo raz, że nie znają niemieckiego, a dwa, nawet gdyby znali, kto by tam miał ochotę czytać te hitlerowskie kłamstwa? Ale bloklajter naciskał, odgrzązał się

i ojciec dla świętego spokoju musiał zaprenumerować. No i wiadomo, że kiedy poszedł do obozu za ten bimber, nie mógł przecież płacić. A matka nie chciała, bo to w końcu ojciec na swoje nazwisko prenumerował. I kiedy przyszedł kolejny miesięczny rachunek i wezwanie, żeby zapłacić poprzedni, poszła z tymi rachunkami do redakcji wytłumaczyć, że ojciec jest w sztraflagrze. I palnęła – fakt, że głupio – żeby te rachunki wysyłali może tam, do obozu. Redaktor, z którym rozmawiała, wściekł się, uznał to za obrazę, wyzwał ją od *polnisches Schwein*, a co gorsza – wysmarował pismo na Gestapo. A tamci zaraz skierowali sprawę do sądu. Matka już obiecała, że zapłaci oba stare rachunki i sama będzie dalej prenumerować, ale i tak wlepili jej rok obozu. I to na parę dni przed tym, jak wszyscy zwiali. Bodajby te szwabskie ryje zaraza morowa wytraciła! To się ojciec zdziwi, kiedy matkę spotka w obozie. Bo może matka trafi do tego samego? Pewnie byłoby im różniej tak razem, prawda?

Zaczęła pocieszać Frankę, tłumaczyć, że obóz karny to nie to samo, co obóz koncentracyjny, więc nie ma sensu martwić się na zapas. Wojna już niedługo się skończy i oboje rodzice na pewno wrócą. Chyba pomogło, bo tamta jeszcze trochę pochlipała, wysmarkała nos w chusteczkę, wyciągnęła ją na pożegnanie i, już uśmiechnięta, zniknęła w rozgorączkowanym tłumie.

Rozstawszy się z Franką, ruszyła w stronę ratusza. Już z daleka dostrzegła, że zakład Schillera jest zamknięty, ale na opuszczonych storach widnieje wielka, biała wywieszka. Zaniepokojona, podeszła bliżej. „Tu mieszkają rodzice oficera Wojska Polskiego w Anglii”. Uśmiechnęła się pod nosem. Wygląda na to, że pan Rudolf sobie poradził. Potem skierowała spojrzenie w kierunku ludzkiego mrowia zebranego przed frontem ratusza. Zaintrygowały ją łopocące wysoko ponad głowami pomarańczowe płomienie. Ognisko, zdziwiła się, tutaj? Podeszła bliżej. Tłum raz po raz wydawał głośny spazm. Przepchała się jeszcze do przodu i spoza poruszających się głów ujrzała stos urzędowych akt, portretów Hitlera i połamanych mebli, pożeranych szybko przez łakomy ogień. Nie zważając na gniewne spojrzenia i syknięcia, przecisnęła się jeszcze bliżej. Nagle tłum rozstał się, przepuszczając młodego, wygiętego do tyłu młodego człowieka, dźwigającego na piersi kilkanaście poukładanych jedna na drugiej książek. Znalazłszy się metr od ogniska, chłopak przystanął, naprężył się i za jednym zamachem wrzucił wszystkie do ognia. Z ust obserwujących to ludzi wyrwał

się krzyk radości. Domyśliła się, że książki pochodziły z mieszczącej się w ratuszu niemieckiej biblioteki. Po chwili na utworzonej między tłumem ścieżynce, łączącej wejście do ratusza z płonącym stosem, pojawił się kolejny młody człowiek niosący paręnaście woluminów. Za nim jeszcze jeden, w którym rozpoznała Żyrewicza. Na jego widok pobladła. Szybko opuściła głowę, żeby jej nie rozpoznał, i schowała się za ramieniem stojącego obok mężczyzny. Wolała nie lekceważyć wczorajszego ostrzeżenia Zasunia. Nie wątpiła, że Żyrewicz jest zdolny do wszystkiego. Skoro strzelał do Wadima, mógł zapolować i na nią. Na szczęście nowy komendant Legionu był w tej chwili zbyt zaabsorbowany dźwiganiem książek, by rozglądać się wokół. Z uśmiechem cisnął książki w ogień i natychmiast zawrócił do ratusza.

W osłupieniu spoglądała na rosnące z każdą chwilą gruzowisko płonących tomów w papierowych, płóciennych i skórzanych okładkach. Coś ścisnęło ją za gardło. Przypomniała się jej kronika filmowa PAT-u z maja trzydziestego trzeciego i przerażający obraz płonących w Berlinie arcydzieł światowej literatury. Przypomniało się jej zasypywanie Babinki i widok ciężarówki, z której więźniowie zrzucali w cuchnącą wodę zbiory kaliskich bibliotek. W jednej sekundzie powróciło wszystko, co wtedy myślała i czuła. Momentalnie zapiekła ją twarz.

– Ludzie! – Nie wiedząc dobrze, co czyni, rozepchnęła ostatni krąg gapiów oddzielających ją od ognia i wyskoczywszy przed nich, uniosła do góry ramiona niczym Mojżesz przemawiający do tańczących wokół złotego cielca Izraelitów. – Tak nie można! Przecież to książki!

Stojący wokół obrócili na nią milczące spojrzenia, w których w pierwszej chwili nie było wcale wrogości, raczej bezgraniczne zdziwienie. Trochę ją to zdeprymowało. Spodziewała się dezaprobaty, gniewu, potępienia, a tymczasem oni spoglądali na nią jak na jakąś dziwaczkę, jak na kogoś, kto ma nie po kolei w głowie. Dotarło do niej ze zgrozą, że oni w ogóle nie rozumieją, o co jej chodzi.

– Ludzie! – Gorączkowo szukała w myśli słów, które odniosłyby skutek. – Chcecie być jak oni?!

Przez tłum przeszedł gniewny pomruk.

– A ta tu czego?

– Wariatka!

– Prowokatorka!

Uświadomiła sobie, że jest sama jedna przeciwko całemu tłumowi

i przestraszyła się nie na żarty.

– Spokojnie, pani Dorotko! Spokojnie! – Usłyszawszy znajomy głos, z ulgą odwróciła głowę i ujrzała profesora Daleckiego, polonistę ze swojego gimnazjum. – To przecież tylko propagandowe śmieci: Goebbels, Rosenberg, *Mein Kampf*. Nie ma czego żałować!

W odpowiedzi, zapomniawszy o dopiero co odczuwanym lęku, doskoczyła do stosu i zasłaniając twarz rękawem płaszcza, bo inaczej bijąca stamtąd fala gorąca chyba wypaliłaby jej twarz, czubkiem buta wygarnęła dwa leżące na jego skraju nadpalone tomy. Schyliła się, chwyciła je rękoma drżącymi jednocześnie ze strachu i oburzenia i przeczytawszy zwęglony częściowo nagłówek, z tryumfalną miną podniosła wolumin do góry.

– Wiktor Hugo! – Przez chwilę wymachiwała nim w powietrzu, po czym opuściła rękę i spojrzała na grzbiet drugiej książki. – Daniel Defoe! – Uniosła z kolei drugą i zaprezentowała książkę na wszystkie strony. – I pan to nazywa śmieciami?! Pan?! Nauczyciel?! – Z wściekłością cisnęła pierwszym tomem w Daleckiego, a drugim w chłopca, który właśnie przydźwigał z ratusza następną partię książek.

– Folksdojczka!

– Trzymaj ją!

Poczuła, jak czyjeś ręce chwytają ją za kołnierz przy akompaniamencie burzy wyzwisk, jak ktoś wykręca jej prawe ramię, ktoś inny wymierza bolesnego kuksańca w bok. Próbowwała się wyrwać, ale na próżno. Myślała, że już po niej, kiedy raptem od strony nieba dobiegł gwałtowny huk i sponad dachów kamienic wyskoczył, brocząc smugą czarnego dymu, niemiecki myśliwiec. Leciał tak nisko, że o mały włos, a zaczepiłby skrzydłem o ratuszową wieżę. Zaraz potem rozległ się ogłuszający seryjny stukot i w ślad za samolotem poleciało po niebie kilka szeregów długich, ognistych smug.

– Kryyyć sięęę!

Wystraszeni ludzie zaczęli w panice pierzchać na wszystkie strony, przykucać, padać na ziemię, spuszczać głowy i osłaniać je rękoma. Ledwie Niemiec zniknął za attykami kamienic, a nad plac wypadł, nieustannie prując ku zgrozie tłumu ze wszystkich działek, ścigający go myśliwiec z czerwoną gwiazdą. Jakaś kobieta zaczęła piszczeć, jakby ją obdzierali ze skóry, jakieś dziecko rozbeczało się na cały głos. Poczuła, że nikt już jej nie trzyma, ale za bardzo się bała, żeby skorzystać z okazji i uciec. Wtem czyjaś ręka złapała

ją mocno za przegub i pociągnęła za sobą.

– W nogi!

Zadrzała, rozpoznawszy głos pana Kusia, ale pobiegła posłusznie. Potrącając skulone ciała, depcząc po stopach i dłoniach, dopadli wylotu Piekarskiej. Zanim się w nią zanurzyli, obejrzała się na krótko i zauważyła, że ludzie nieśmiało podnoszą już głowy, rozglądają się po niebie, powoli powstają z kolan. Na szczęście, nikt ich nie gonił. Pan Kuś puścił jej rękę.

– Szybko, do parku! Ja ich zatrzymam, jakby co!

Najpierw biegła, ale po chwili zwolniła, żeby się nie rzucać w oczy. Przecinając Sukienniczą, odwróciła się na wszelki wypadek jeszcze raz i z niewysłowioną ulgą stwierdziła, że wciąż nikt jej nie ściga. Wariatka, mruzczała sama do siebie ze łzami w oczach, prowokatorka, folksdojczka! Kotłowało się w niej oburzenie z powodu barbarzyństwa, którego była świadkiem, gorycz wywołana przyprawiającą o mdłości reakcją tłumu, a także wściekłość na samą siebie, że straciła opanowanie i zachowała się tak nieostrożnie. Kiedy jednak zobaczyła ten stos płonących książek, po prostu nie wytrzymała. Co za dzicz! Co za motłoch! A ten łajdak Dalecki, zamiast zaprotestować, stoi sobie i spokojnie patrzy! Pan profesor! Filolog! Nauczyciel!

Dopiero między drzewami zwolniła kroku. Panująca wokół cisza zaszokowała ją swoim spokojem. Opatulony śniegiem park wydawał się prawdziwą krainą z baśni. Powoli ochłonęła, ale myślami wciąż była przy stosie pod ratuszem. Ciekawe, co by się stało, gdyby Żyrewicz w trakcie zajścia nie znajdował się akurat w budynku? To, że ani on sam, ani żaden z jego koleżków, nie zjawił się u niej do tej pory z zamiarem wysłania jej na tamten świat, wcale nie znaczy, że porzucili plan likwidacji swoich politycznych przeciwników. Chociaż, skoro pan komendant bawi się tu w palenie niemieckich książek, można z tego wnioskować, że nie zdobył się na wprowadzenie planu w życie. Ale pewności nie ma. Może to tylko chwilowa zwłoka. Lepiej zatem mieć się na baczności.

Minęła niewielki staw i skierowała się w stronę domku parkowego, kiedy między gałęziami drzew po lewej stronie zazłociła się kopuła cerkwi. Nagle opanowała ją chęć, by tam zajrzeć. Bez zastanowienia skręciła w prowadzącą do cerkwi alejkę. Wszedłszy do środka, przekonała się, że trafiła w sam środek dziękczynnego nabożeństwa. Cerkiewka pękała w szwach od wypełniających ją ludzi i drżała od ich chóralnego śpiewu. Stała w tym

samym miejscu po prawej stronie, gdzie stała ostatnio razem z Wadimem. Wadim nie był wprawdzie religijny, ale w niedziele chodził do cerkwi, ze względu na stryja. A skoro chodził tam Wadim, robiła to również i ona. Dzięki temu przez kolejną godzinę mogli być razem. Teraz też czuła się bliżej niego. A gdzie profesor? Rozejrzała się, ale nigdzie go nie dostrzegła. Pewnie chodzi po mieście. Ciekawe, czy widział ognisko przed ratuszem?

Po kwadransie wyszła z cerkwi, choć nabożeństwo jeszcze trwało. Do domu wracała skrótem, przez drewnianą kładkę rozpiętą nad sennym, czarnym jak atrament kanałem. Kiedy na nią wkroczyła, z niewyjaśnionego powodu zaniepokoił ją odgłos własnych kroków. Słuchając ich głuchego dudnienia na oblodzonych deskach, uświadomiła sobie, że podobny wydaje ziemia rzucana łopatą na stojącą na dnie grobu trumnę. Wzdrygnęła się. I z miejsca pomyślała o Romce i Biedronce. A potem o panu Kusiu. To, że jej pomógł, w żadnym stopniu nie wymazuje jego strasznego grzechu. Ani trochę. Te dwie sprawy w ogóle się ze sobą nie łączą.

Obok więzienia, przed którym miotali się bliscy więźniów straconych przed kilkoma dniami lub wywiezionych na zachód, dopadła ją pani Atamanowicz. Czy już słyszała o Szymanku? No, o tym folksdojczu, który pracował w zakładzie krawieckim braci Feistów? Nie? Powiesił się. Chyba ze szczęścia to zrobił, hi, hi, ze szczęścia. Bo jakoś tuż po tym, jak się ruszyli, sam pan Greiser sprawił jemu i jego babie prezent. Obywatelstwo niemieckie dostali wreszcie. Obywatelstwo! Tyle lat łobuz jeden na to czekał, tyle lat się wściekał, że to niesprawiedliwe, żeby folksdojcz trzeciej grupy płacił tak samo wysokie podatki jak Polak, i przede wszystkim – co go jako czeladnika najbardziej bolało – że egzaminu na majstra nie wolno mu zdawać. No to tydzień temu został obywatelem Rajchu, Niemcem pełną gębą, i mógłby wreszcie złożyć egzamin mistrzowski i otworzyć własny warsztat. Tylko że szybko wyszła z tego musztarda po obiedzie. Więc trzy dni pił do upadłego, sam pił, nawet żony do pokoju nie wpuszczał, a potem się wziął i powiesił.

Po powrocie do domu zjadła coś na szybko i zasiadłszy przy okrągłym stoliczku pod oknem, zabrała się do tłumaczenia na polski opowiadań Wadima. Od jego wyjazdu przełożyła już połowę. To było teraz jej głównym zajęciem, jej życiową misją i jednocześnie największą radością. Jak się obawiała, list, który otrzymała w sobotę, okazał się ostatnim doręczonym jej listem Wadima. Teraz miała go już tylko na kartach surowych

autobiograficznych opowiadań, wstrząsających reportaży z piekła, których wzięty z Dantego tytuł – *Lasciate omni speranza*²⁵¹ – doskonale oddawał ich treść. Siedziała nad nimi po kilka godzin dziennie, szczęśliwa, kiedy przetłumaczone zdanie zachowywało siłę i rytm oryginału, zła, gdy coś brzmiało nie tak. Później przepisywała wszystko na maszynie i raz na kilka dni podrzucała przełożony fragment profesorowi, żeby go przejrzał i poprawił.

Po dwóch godzinach pracy poczuła, jak oczy kleją się jej ze zmęczenia. Stoczywszy zaciętą walkę z ciężącą coraz bardziej głową, położyła ją wreszcie na biurku. Tylko na trochę, uspokajała się, na momencik. Odpocznie chwilę i zaraz będzie tłumaczyć dalej. Jej umysł wypełniła nagle ciemna słodycz, taka sama jak wtedy, gdy Wadim wsadzał jej palce między włosy i delikatnie masował kark. O tak, Wadim, rób tak, rób. Masz takie delikatne dłonie. Jeszcze, jeszcze, jeszcze...

Obudził ją dzwonek przy frontowych drzwiach i niejasne złe przecucie. Dzwonek zabrzmiał ponownie.

– Panno Dorotko, to ja, Hela! Jajka przyniosłam!

Odetchnęła, słysząc znajomy głos. Należał do piętnastolatki z Pólka, której matka od lat dostarczała jej nabiół i jajka, a czasem kawałek kurczaka. Już miała podnieść się i otworzyć, kiedy uświadomiła sobie, że w głosie Heli było coś obcego, brzmiącego dziwnie nienaturalnie. Próbowwała odgadnąć, co to takiego, a wtedy dzwonek rozdarł się po raz trzeci, tym razem z wyraźną niecierpliwością. Przypomniała sobie, że przecież Hela przyniosła jej jajka dwa dni wcześniej – cały mendel. Dziwne. Po co miałyby je znowu przynosić dzisiaj? Zaniepokojona, czekała na kolejny dzwonek, kiedy drzwi wydały z siebie głośny łomot.

– *Otkrywajcie!*²⁵²

Zerwała się na równe nogi, niepewna, czy słuch jej nie myli. Po chwili łomotanie się powtórzyło, a ją ogarnęło przecucie czegoś straszliwego i nieuniknionego, czegoś, czego w gruncie rzeczy od dawna się spodziewała, chociaż starała się do tego nie przyznawać. Łomot rozległ się po raz trzeci. Serce podskoczyło jej do gardła i uwięzło tam, ściskając z całych sił tchawicę. Zastanawiała się gorączkowo, co robić. Może uciekać, tak, uciekać, koniecznie uciekać! W drzwi zaczęły rąbać wściekle kopniaki. A gdzie pistolet zostawiony jej wczoraj przez Zasunia? Jezu, na górze, na nocnym

stoliku obok łóżka! Tylko jak po niego pobiec, skoro nogi wrosły jej w podłogę, jak Don Giovanniemu na widok posągu Komandora? Rozległ się głośny trzask, huk i z przedpokoju dobiegł stukot licznych podkutych buciorów zmieszany z ordynarnymi rosyjskimi przekleństwami i głośnym śmiechem. Z impetem rozwarły się kopnięte drzwi. Do salonu wpadło kilku sowieckich żołnierzy. Ujrzawszy ją, zatrzymali się, dysząc ciężko, jakby się zastanawiali, co dalej. Ich wykrzywione przez alkohol twarze gorzały, w przekrwionych oczach płonęła złość. Chciała coś powiedzieć, zapytać, o co chodzi, kogo lub czego szukają, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Wtedy zza pleców żołnierzy wyszła, lekko się zataczając, pijana Hela, i wskazawszy ją palcem, wrzasnęła:

– To ona, ona! Ta folksdojczka! Kochanka własowca! Codziennie tu do niej przychodził i zostawał do rana! Własowiec! *Ponimajetie?*²⁵³

²⁵¹ (wł.) Porzućcie wszelką nadzieję. Fragment napisu nad wejściem do piekieł w poemacie *Boska komedia*.

²⁵² (ros.) Otwórzcie!

²⁵³ (ros.) Rozumiecie?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Środa, dwudziestego czwartego stycznia

Obudził go brzęk tłuczonego szkła. Otworzył oko i całkowicie zdurniał, widząc, że wciąż leży na ulubionej skórzanej kanapie w swoim przedwojennym salonie. W pierwszej chwili pomyślał, że to dalszy ciąg snu. Całą noc majaczyło mu się przecież, że Niemcy uciekają i że późnym wieczorem nie wytrzyma je i, mimo że na mieście wciąż rozlegają się pojedyncze strzały lub serie z automatu – przy czym nie wiadomo, czy są to odgłosy utarczek z zabłąkanymi niemieckimi żołnierzami, czy strzały na wiwat, czy może coś jeszcze innego – wraca do swojej willi na Granicznej. Skołowany, zamrugał kilkakrotnie, po czym omiótł nieufnym spojrzeniem dobrze sobie znane fotele, perski dywan, regał z książkami i kominek, nad którym zamiast wielkiego olejnego portretu Marszałka wisiał obecnie taki sam wizerunek Hitlera. Gabinet nie tylko się nie rozplynął, ale przeciwnie – stał się jeszcze bardziej rzeczywisty. Dotarło do niego, że to jednak nie sen, naprawdę jest u siebie. Po kolorze światła wpadającego przez szparę w niedbale dosuniętych storach poznał, że już dzień. Sięgnął po leżący na nocnym stoliku zegarek i nachyliwszy tarczę w kierunku okna, wpatrywał się w nią długo nieprzytomnym wzrokiem. Dochodziła ósma.

– O, cholera!

Odrzucił kołdrę i usiadł ze spuszczoną nisko głową; zawsze musiał posiedzieć jakiś czas w takiej pozycji, czekając, aż z wnętrza czaszki ulotni się nieznośny ciężar, jaki już od wielu lat wypełniał ją tuż po przebudzeniu. Po chwili podniósł prawą dłoń i zaczął nią pocierać czoło i powiekę zdrowego oka. Nagle z sąsiedniej jadalni dobiegł chrobot butów stąpających po tłuczonym szkłe. Natychmiast otrzeźwiał. Przesłyszenie? Nadstawił uszu i nasłuchiwał bacznie. Po chwili znów dobiegły go czyjeś niepewne kroki. Powoli, by nie narobić hałasu, wstał z kanapy i podszedł na palcach

do owalnego stolika, na którym leżała kabura. Wyjął z niej pistolet, odbezpieczył i zakradł się do rozsuwanych drzwi, oddzielających salon od jadalni. Chwycił mocno za złoconą gałkę i policzywszy w myśli do trzech, szybko je rozsunął.

Dwóch mężczyzn, każdy z workiem w dłoni, zamarło w bezruchu. Choć stali tyłem do wejścia i w półmroku nie mógł widzieć ich twarzy, po przygarbionej sylwetce od razu rozpoznał w jednym z nich starego Waszaka, bezrobotnego z Dobrca, który przed wojną przychodził pomagać Hani w ogrodzie.

– Dzień dobry, panie Zdzisiu!

Nieoczekiwane spotkanie musiało tamtego mocno zaskoczyć, bo z wrażenia nie potrafił wykrztusić słowa. Dając mu czas na ochłonięcie, podszedł do okna i odsunął po kolei zasłony. Srebrzysty dzień wlał się gwałtownie do pokoju, odsłaniając przymurowany do twarzy nieproszonych gości grymas nieprzyjemnego zdziwienia. Jak to, wydukał wreszcie Waszak, mrużąc oczy od światła i śledząc wzrokiem trzymany przezeń pistolet, to on już tutaj? A to dopiero niespodzianka, uśmiechnął się nieszczerze, pan dyrektor... No proszę, co za radość, co za szczęście! A już podejrzewał, że to złodziej! No bo idzie, patrzy, szyba w drzwiach od ogrodu stłuczona, od razu pomyślał, że jaki szabrownik. A ten worek, bąknął, czerwieniąc się jak burak, to tylko tak, na te, no – na ziemniaki. Skończyły mu się, więc właśnie szli ze szwagrem do miasta, żeby kupić...

Korciło go, żeby zapytać, jakim to cudem droga do miasta wypadła im przez jego ogród i – przede wszystkim – od kiedy to po ziemniaki chodzi się ze wsi do miasta, a nie odwrotnie, ale w ostatniej chwili, uznał, że nie ma sensu zaogniać sytuacji i ugryzł się w język.

– Ta ja stłukłem szybę. Musiałem przecież jakoś wejść. Ten szwab, co tu mieszkał, kluczy pod wycieraczką nie zostawił.

Waszak znów się uśmiechnął głupkowato. Skoro tak, westchnął, to oni nie mają tu czego szukać. Gdyby była jakaś robota, może w kotłowni, to on po dawnemu bardzo chętnie. Szturchając szwagra, wypchnął go na taras i zaraz potem sam zniknął za przeszklonymi drzwiami, wyłóconymi przez słoneczny blask.

Po wyjściu Waszaka i jego kompana szybko się umył i ogolił. Równie prędko pochłonał śniadanie – dwa jajka na twardo i pajdę chleba, popite ciepłą wodą. Stara szczoteczka z powyszarpywanym włosiem boleśnie

drapała dziąsła, kiedy szorował zęby resztką pasty, jaką Paleniówna sprezentowała mu na gwiazdkę. No, jeszcze parę ruchów grzebieniem i można zakładać mundur. Tę czynność już celebrował, niczym ksiądz odprawiający nabożeństwo. Najpierw biała koszula ze stójką, sztywna niczym gazeta. Potem spodnie i wyglansowane na wysoki połysk oficerki. Teraz bluza i pas z koalicijką. W drewnianej szkatułce z wyrzeźbioną na wieczku szarotką, pamiętce po urlopie w Krynicy, czekały wszystkie medale i ordery. Spoglądając raz po raz w wielkie owalne lustro w środkowej części szafy, przypiął odznaczenia w równym szeregu na lewej piersi. Skończywszy, cofnął się dwa kroki, żeby zlustrować całą sylwetkę. Wszystko było w nienagannym porządku.

Mój ty Boże, ilekroć myślał o tej chwili – a od klęski wrześniowej czynił to nieskończenie wiele razy – natychmiast ogarniało go śmieszne podniecenie. Czuł się wówczas jak rozegzaltowana panna młoda, niemogącą się doczekać włożenia sukni ślubnej. Niekiedy aż się sam przed sobą wstydził podobnych cięjących uczuć, a jednocześnie przyznawał sobie do nich święte prawo. Solennie na nie zapracował latami poniżenia, chodzeniem w żebraczych łachach, ciągłym bidowaniem i niedojadaniem. Lecz teraz, kiedy ta wymarzona, wypieszczona w wyobraźni chwila wreszcie nadeszła, nie potrafił się oprzeć przygnębiającemu wrażeniu, że z drugiej strony lustro patrzy na niego ubrany do trumny trup.

Sięgający do połowy łydek świeży śnieg poskrzypiał cicho, kiedy maszerował w kierunku miasta cichą, całkiem wyludnioną uliczką. Dawnych mieszkańców stojących wzdłuż niej domków i willi – lekarzy, prawników, inżynierów – Niemcy wysiedlili lub wymordowali. Nic dziwnego, że teraz, kiedy i oni sami uciekli, było tu pusto i spokojnie jak na cmentarzu. Tylko uradowane pięknym dniem wróble ćwierkały głośno. Aż irytowało go to ćwierkanie. Był gotów przysiąc, że pobrzmiwa w nim wyraźna drwina. Jakby ptaki naigrawały się z niego i z tej parady, na którą wybierał się w zalatującym naftaliną mundurze. Przekłeta naftalina! Liczył na to, że na świeżym powietrzu jej woń szybko się ulotni, tymczasem wciąż czuł ją wyraźnie w nosie. Mimo że dżentelmenowi nie wypada palić na ulicy, po krótkim wahaniu wyciągnął papierośnicę i zapalił. Przez parę minut zaciągał się z całych sił i wydmuchiwał dym na rękawy i kłapy szynela. Niestety, nic to nie dało. Uświadomił sobie, że inni ludzie wyczuwają tę cholerną naftalinę równie dobrze, jak on. Na samą myśl o twarzach

wykrzywionych jej smrodkiem, jego własną twarz ogarniał natychmiast bolesny skurcz. Zawiedziony, wyrzucił papierosa.

– Niech to szlag!

Z bocznej uliczki dwadzieścia kroków przed nim wynurzyła się nagle dorożka. Natychmiast wpadł na pomysł, że można by się nią zabrać do miasta – zawsze będzie szybciej. Krzyknął na dorożkarza, lecz ku jego najwyższemu zdumieniu ten w odpowiedzi zaciął konia batem. Co jest, zdziwił się, zwariował, czy co? Dopiero teraz spostrzegł, że dorożka jest wyładowana krzesłami, zrolowanymi dywanami i obrazami w złoconych ramach. Chciał zawołać, że przecież może pojechać na koźle, kiedy raptem jego wzrok przykleił się do wystającego ponad inne kłamoty abażuru wysokiej stojącej lampy. Coś go tknęło. To przecież lampa z domu świętej pamięci dyrektora Gałki! Stała przy kominku, w salonie niewidocznej stąd willi, dwie uliczki dalej. Całymi latami dyrektor Gałka i on grali przy niej w szachy. Co lampa robi na dorożce? Szukając logicznej odpowiedzi, wpatrywał się w oddalający się pojazd jak wół w malowane wrota. I raptem zrozumiał.

– Stój, złodzieju! – Rzucił się za naprzód, chwytając za kaburę i próbując ją odpiąć palcami w skórzanej rękawiczce. – Stój, bo strzelam!

Dorożkarz skurczył się i zaczął z całych sił okładać konia.

– Słyszysz, kanalio?!

Jakiś czas biegł za dorożką, wymachując pistoletem, ale oddaliła się już na tyle, że pościg nie miał sensu. Zakląwszy, zwolnił po chwili i schował pistolet do kabury. Czuł, jak napełniają go złe przeczucia. Odruchowo przyłożył dłoń do lewej piersi i zbladł, nie wyczuwając pod szynelem *Pana Tadeusza*. A niech to wszyscy święci! Zostawił swój talizman! Najważniejszą pamiątkę po Hani. Zostawił w starym płaszczu. Jak to możliwe? Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat. Niedobrze, zły znak. Zwolnił kroku, zastanawiając się nad zawróceniem po książkę. Nie opuszczało go przeczucie, że będzie mu dziś wyjątkowo potrzebna. Ale jeśli wróci, zmarnuje co najmniej dziesięć minut. Która to godzina? Dochodzi dziewięta. Całe miasto już pewnie na nogach. Diabli wiedzą, co się tam jeszcze wyczynia. Zaczął sobie wyrzucać, że spał tak długo, a potem szykował się jeszcze jak wiejska dziewczucha przed zabawą w remizie. To właśnie przez to szykowanie zapomniał o *Panu Tadeuszu*. Trudno. Nie zawróci. Kto wie, czy te dziesięć minut nie okażą się decydujące. Przecież

Hania, tam, w niebie, nie obrazi się na niego z tego powodu. Raczej tym pilniej będzie nad nim czuwać. Ta myśl natychmiast dodała mu otuchy. Przyspieszył zdecydowanie kroku, żeby nadrobić stracony czas. Obłoczek pary, wydobywający się z jego ust przy każdym wydechu, wydłużył się i zgęstniał. Do kogo najpierw? Do państwa Ludwikostwa? Czy do Władka Wenera? Nie, powinien zacząć od Paleniówny. Krawiec z żoną poradzą sobie jakoś. Co do Władka, było tajemnicą poliszynela, że okaleczył się, żeby nie pójść do Wehrmachtu. Inna sprawa z Dorotą. Nie dość, że drażniła ludzi swoimi poglądami i lekkomyślnym zachowaniem, to jeszcze po śmierci służącej została całkiem sama. W razie czego nie będzie nawet komu stanąć w jej obronie.

Zszedł z chodnika na jezdnię, jakby mogło to zwiększyć tempo jego marszu. Zaintrygowała go jasnoczerwona plamka w oddali. Co to takiego? Omal nie zadrżał, kiedy zrozumiał, że to polska flaga; zwiisała z okna fabryczki przy końcu Granicznej. Serce zabiło mu mocniej. Polska flaga! Wpatrujące się w nią oko natychmiast zaszło łzami. Przed fabryczką stało kilkanaście osób. Dostrzegłszy go z daleka, wszyscy jak jeden odwrócili głowy w jego stronę i aż zaniemówili z wrażenia. Dopiero gdy, dyskretnie ocierając rękawiczką łzę, wszedł pośród nich, ktoś wrzasnął:

– Niech żyje Wojsko Polskie!

Jak na komendę rozległy się wiwaty. Jakaś kobieta, zapłakana, rzuciła mu się na szyję. Nagle poczuł, jak czyjeś ręce chwytają go ze wszystkich stron i unoszą w górę. Podrzucany wśród radosnych okrzyków, zaczął błagać, żeby go puścili, że on się śpieszy, że nie ma czasu na świętowanie. Nic z tego. Dopiero kiedy ktoś podsunął mu pod nos szklankę z bimbrem, postawili go z powrotem, żeby mógł spokojnie wypić. Chociaż bimber zalatywał karbidem, jednym płynnym ruchem wlał zawartość szklanki do gardła. Podziękował i stanowczo odmówiwszy wypicia drugiej kolejki, ruszył szybko dalej. Ściagały go głośne wiwaty i toasty.

Na ulicy było coraz więcej ludzi. Z okien zwiisały coraz liczniejsze biało-czerwone flagi, zszyte naprędce z prześcieradeł i poszew. Na jego widok przechodnie przystawali, uśmiechali się, ustępowali mu z drogi, pozdrawiali go, ocierali łzy. Na Dobrzeckiej młoda i ładna kobieta pokazała go palcem prowadzonemu za rękę pięcioletniemu chłopczykowi, tłumacząc mu coś z przejęciem. Kiedy ich mijał, chłopczyk zasalutował po wojskowemu. Usiłując ukryć wzruszenie, natychmiast odsalutował z poważną miną. Zaraz

potem jakaś podpita paniusia, zdaje się, nie najlepszej konduity – w tej okolicy nic nadzwyczajnego – rzuciła mu się na szyję i uwiesiła na niej tak mocno, że musieli ją odciągać siłą jej dwaj równie podchmieleni kompani. Chwilę później zniecka pochyliła się ku niemu starszka w przedpotopowym kapelusiku i pocałowała go w rękę. Zaczerwieniony, szybko wyrwał dłoń i zawołał, że po co, że nie trzeba, że on nie pozwala, ale ze wzruszenia aż zeszywniało mu gardło. Raptem dotarło doń, jak wielką i niemożliwą do przecenienia rzeczą jest dla tych wszystkich ludzi fakt, że oto idzie tu teraz on, prawdziwy polski oficer w prawdziwym polskim mundurze. I nie ma znaczenia, że ten mundur zalatuje naftaliną. Pięć i pół roku czekali na taki widok. Pięć i pół roku najokrutniejszych gwałtów, jakich kiedykolwiek zaznał ten kraj. Pięć i pół roku upodlenia. Więc w tej defiladzie, nawet jeśli jest ona tylko łabędzim śpiewem odchodzących – tym razem już na zawsze – przedwojennych czasów, tkwi jednak głęboki sens. To chwila należnej każdemu z tych ludzi rekompensaty. Chwila najczystszej szczęścia. Jeszcze wnukom będą o niej opowiadać. Zwłaszcza że według wszelkich znaków na ziemi i niebie to tylko krótka chwila. Przecież i ich musi niepokoić trudna do odgadnięcia przyszłość i z tym większym wzruszeniem na niego patrzą. Dobrze pojmują, że być może to ostatni raz, kiedy ulicą ich rodzinnego miasta paradyje taki oficer.

Od strony Rogatki Wrocławskiej niósł się potężny warkot. Jego twarz, zarumieniona od wypitego bimbura i rozplamiona gestami sympatii ze strony napotykanym przechodniów, natychmiast stężała. A więc tam byli oni – wysłannicy przyszłości. Przyjąwszy postać widocznego już z daleka, niekończącego się węża ciężarówek, czołgów, armat, łaźników i dział pancernych, sunęli nieśpiesznie w górę Górnośląskiej. Sojusznicy Hitlera z września trzydziestego dziewiątego. Teraz – sojusznicy naszych sojuszników. Wyzwoliciele. I być może nowi najeźdźcy. Największa niewiadoma w zawikłanym polityczno-militarnym równaniu, ułożonym chyba przez samego diabła. A w takim razie nie ma sensu pchać się przez główne ulice miasta. Bezpieczniej, a i chyba także szybciej, będzie obejść centrum bokiem.

Zawrócił i wzdłuż ogrodu nazaretanek ruszył w kierunku swojego gimnazjum. Kiedy mur się skończył, przeszedł na drugą stronę i skręcił w kierunku miejskiej łaźni. Właśnie się zbliżał, gdy naraz z jej środka wysypała się grupka śmiejących się głośno sowieckich żołnierzy. Było już

za późno, żeby się cofnąć – spostrzegli go. Po krótkim zawahaniu, poszedł dalej, jak gdyby nigdy nic. Kątem oka zarejestrował zdziwienie, z jakim lustrują uważnie jego mundur i dystynkcje. Serce zabiło mu mocniej. Musisz zachować zimną krew, mówił sobie, musisz zachować spokój. Choć to oni, jako niżsi stopniem, powinni pierwsi zaszalutować, podniósł rękę i niedbale stuknął dwoma palcami o daszek. Żołnierze, niczym cudownie przebudzeni z zaklętego snu, wszyscy jak jeden wyprężyli się na baczność. Minąwszy ich ze sztucznie obojętną miną, poszedł dalej, starając się zachować rytm kroków. Długo jednak czuł na sobie ich zaciekawione spojrzenia. A może tylko mu się zdawało? Wolał się nie odwracać.

W rezultacie nieoczekiwanego spotkania nabrał pewności siebie. No, może nie będzie tak źle. Nie należy popadać w pesymizm. W każdym razie powinien się zachowywać jak przedstawiciel legalnych polskich władz.

Przed mostem, twarzą do ziemi, leżał nieruchomo człowiek. Filcowa czapka z daszkiem oraz jesionka z łatami na łokciach i wielkie buciory wskazywały, że to mężczyzna. Pijak czy trup? Zbliżywszy się, przyklęknął i potrząsnął nim. Tamten nie zareagował, ale zeszywniałe na kamień ciało wystarczało za odpowiedź. Chwycił trupa za ramię i obrócił go na plecy. Przez szpary w ledwie rozchylnych powiekach spojrzały nań złodowaciele źrenice. Na tle zsiniałej twarzy brązowiły się uszmińkowane zakrzepłą krwią usta. Coś za ładna ta buzia jak na chłopaka. Tknięty przecuciem, zdjął z głowy nieboszczyka przechylony na bok kaszkiet, a wtedy wylała się spod niego fala jasnych, długich włosów.

Usłyszawszy kroki na chodniku podniósł głowę – o kilka kroków od niego zatrzymała się grupa młodych mężczyzn.

– Znacie ją? – Wymierzył groźne spojrzenie w tego, który stał na przedzie.

– Nie ma czego żałować! – odpowiedział tamten, zonglując trzymaną w kącikach ust zapałką. – Spała, kurwa jedna, z Niemcami, ludzi porządnych pewnie kapowała, to teraz ma!

– Ale przecież tak nie można! Musi być sąd, rozprawa, wyrok. To wyście ją tak?

Ten na przedzie zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Może my... – Uśmiechnął się drwiąco. – A może ruscy...

Z trudem opanował irytację.

– To w końcu kto? Gadać mi tu zaraz!

Tamten wzruszył ramionami.

– A chuj ci do tego, oficerku! – Splunął, odwrócił się i odszedł wolno z rękoma w kieszeniach, pociągając za sobą pozostałych.

Poczuł, jak zalewa go krew. W pierwszym odruchu miał ochotę skoczyć za gówniarzem, opieprzyć zasrańca, a może i dać mu kilka razy w pysk, ale nie wiedzieć czemu nie zrobił tego. Właściwie co by przez to osiągnął? Wyżyłby się trochę, to wszystko. Poza tym, ich było pięciu, a on sam. I kto wie, czy nie mieli broni. A nawet gdyby nie mieli, to co dalej? Zatrzymałby ich? I co? Zaprowadziłby łobuzów do aresztu? A kto by ich tam pilnował? Najprawdopodobniej w mieście nie ma jeszcze żadnej władzy cywilnej. Chyba że oddałby ich Rosjanom... Ale jak to tak – on, Polak, miałby swoich oddawać bolszewikom? A tak w ogóle, to za co? Za to, że się mu odszczekiwali? Przecież nie miał żadnych dowodów, że to oni zabili tę dziewczynę.

Opanowawszy gniew, zakrył twarz trupa czapką i zachmurzony poszedł dalej. Wkrótce po lewej stronie wynurzyły się czerwone mury fabryki Fiebigerów. Natychmiast przypomniał mu się fortepian, na którym codziennie grała Hania. Na myśl o zmarłej żonie, poczuł w sercu bolesne szarpnięcie. Domyślał się, że pochowano ją w zbiorowej mogile. Na szczęście zmrożona ziemia zakonserwuje zwłoki i wiosną bez trudu dadzą się zidentyfikować podczas ekshumacji. No, chyba że ciało Hani spalono, tak jak ciało Romki, a prochy rozrzucono nie wiadomo gdzie. Wtedy nie będzie nawet mógł położyć kwiatów na jej grobie. I żadna to pociecha, że nie on jeden.

Z ponurych myśli wyrwał go brzęk tłuczonego szkła. Kilkanaście kroków przed nim grupka wyrostków wybijała śnieżkami szyby w sklepikach na parterze. Byli tym tak zaaferowani, że nawet nie dostrzegli jego nadejścia.

– A wy tu czego? – Sam się zdziwił rykiem, jaki wydobył się z jego piersi. Chłopcy zamarli.

– To sklepy folksdojciów, psze pana. My Polakom nie wybijamy. To wszystko folksdojciów. Naprawdę.

Ręka sama oderwała mu się od tułowia, a wskazujący palec, wyprostowany niczym ostrze szpady, ugodził w niebo.

– Paszli won! Już! Bo jak zdejmę pasa, jeden z drugim przez miesiąc na dupie nie usiądziesz!

Chłopcy jak stadko spłoszonych wróbli natychmiast rozpierzchli się po okolicznych sieniach i bramach. Zadowolony, że chociaż im pokazał, kto

tu rządzi, pomaszerował w stronę Nowego Rynku. Jednocześnie uwierało go to zadowolenie, bo na dobrą sprawę niby z czego się cieszył? Z poskromienia kilku chłopczków? Paradne! Zresztą już za chwilę okazało się, że satysfakcja była cokolwiek przedwczesna. Ledwie bowiem uszedł kilkadziesiąt kroków, a ponownie usłyszał za plecami dźwięk tłuczonych szyb. Odwróciwszy się, ujrzał, bardziej zdumiony niż wściekły, jak ci sami chłopcy wybiegli na ulicę i znowu rzucają w witryny. Powrót i ponowna pacyfikacja nie miały sensu. Nietrudno było się domyślić, że na jego widok szczeniaki jeszcze raz skryją się w bramach, a potem od nowa zaczną swoje. Szkoda czasu na zabawę w kotka i myszkę. Tylko by się ośmieszył.

Przybity bezsilnością, szedł teraz z pochyloną głową, czując jak w ustach narasta przykry niesmak po bimbrze. Z entuzjazmu, jaki go ogarnął, nie zostało już ani śladu. Więc właśnie tak, myślał, smakuje gorycz utraty resztek władzy. Nawet banda dzieciaków zignorowała jego słowa. Zatem nic już nie znaczy, nic nie może. Oto prawdziwy koniec snuty przez pięć i pół roku rojeń, koniec wiary w Londyn i Matkę Boską Częstochowską. Nic już nie będzie, jak było. Może to dobrze, że Hania nie doczekała? Gdyby ujrzała, w jaki sposób potraktowali go najpierw tamci mężczyźni, a potem te gnojki, chyba by się spaliła ze wstydu.

Ogarnęła go apatia. Nie zwracał już uwagi na pozdrowienia przechodniów, uśmiechy kobiet, uchylane przez mężczyzn maciejówki i kapelusze. Uważał, że stracił prawo do oznak szacunku. Ci ludzie kłaniali mu się przecież jako przedstawicielowi starej i prawowitej władzy, a on – jak się boleśnie dopiero co przekonał – żadnej realnej władzy już nie posiadał. Był tylko politowania godnym przebierańcem. Zamiast munduru równie dobrze mógł się ubrać w kostium błazna. Czy wtedy też by mu się tak kłaniali? Wątpliwe.

Był na wysokości szkoły na 3 Maja, kiedy podbiegła do niego jakaś dziewczyna.

– Panie majorze, niech pan pozwoli ze mną! Niech pan zobaczy, co te czerwone diabły wyprawiają!

Zawahał się. Nie, nie ze strachu – po prostu mu się nie chciało. Nie miał ochoty. Nie interesowało go to.

– Panie majorze... Błagam!

Ruszył niechętnie za dziewczyną. Zaułkami i podwórkami za Domem Katolickim zaprowadziła go na podwórze dużej kamienicy przy Babinej.

Na jego środku, wokół ogniska z połamanymi meblami, biwakowało przy dźwiękach harmoszek kilkunastu pijanych w sztok sowieckich żołnierzy. Z nie lada zdziwieniem dostrzegł, że jeden z nich trzyma w dłoniach napięty łuk sportowy i chwiejąc się we wszystkie strony, mierzy do czegoś umieszczonego wysoko. Ściana oficyny nie pozwalała jeszcze dostrzec, do czego też oni strzelają. Soldat wypuścił strzałę. Z gardeł jego kompanów wyrwał się okrzyk tryumfu. Dopiero po kilku krokach ujrzał ze zgrozą, że żołnierz mierzył do wisielca dyndającego na długim powrozie poniżej okna na pierwszym piętrze. Suknia i zwisający z przekrzywionego koka strumyk siwych włosów nie pozostawiały wątpliwości, że to trup starszej kobiety. W jej ciele tkwiły już cztery strzały.

– To Niemka. – Usłyszał drżący z oburzenia głos dziewczyny. – Powiesiła się, kiedy zaczęli walić do drzwi. Jakiś dzieciak ich do niej przyprowadził.

Oślupiał. Różnych rzeczy by się spodziewał, ale czegoś takiego – nigdy w życiu. Stał, wyteżał wzrok i nie potrafił uwierzyć w to, co widzi. Tymczasem do strzelającego żołnierza podszedł kolega, odebrał mu łuk i założywszy nową strzałę, zaczął celować.

– No, niechże pan coś zrobi! – Szarpnięcie za rękaw kazało mu się ocknąć. – Przecież tak nie można!

Idąc w stronę ogniska, nie mógł zrozumieć, dlaczego śnieg pod jego butami skrzypi tak niemiłosiernie głośno. Studnię podwórza wypełniały przecież znacznie głośniejsze dźwięki – wygrywana na harmoszce skoczna melodia, wrzask pijanych żołdatów, wściekłe ujadanie biegającego wokół nich kudłatego psa. A jemu bębni omal nie pękły od skrzypienia śniegu! Omamy? Jeszcze nigdy w życiu nic takiego mu się nie zdarzyło. Dziwne. Przyłożył dłoń do lewej piersi i zbladł, przypomniawszy sobie o pozostawionym w domu talizmanie. A więc to koniec, pomyślał, i nie wiedzieć czemu odczuł dziwny spokój.

Tamci dostrzegli go z daleka. Na roześmianych twarzach, czerwonych od mrozu i bimbrowy, pojawiły się zaciekawienie i czujność.

– *Wy szto, s uma soszli?!* – Doszedłszy do tego, który strzelał, wyrwał mu bez ceregieli łuk i odrzucił go daleko w śnieg. – *Wy Krasnaja Armia, ili swołoczi?*²⁵⁴

Zaskoczony żołnierz, młody, może siedemnastoletni chłopak, milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ale od ogniska podniósł się i zbliżył inny, starszy,

z podoficerskimi oznakami na przydługim szynelu.

– *A ty kto?* – warknął hardo, zdejmując z ramienia automat i odbezpieczając go.

– *Major polskiej armii!*

– *Faszystowskiej armii!* – syknął tamten i wycelował weń lufę automatu. – *Ruki wwierch!*²⁵⁵

Zaczął już unosić ręce w górę, kiedy tamten się zachwiał; był tak pijany, że z trudnością utrzymywał się na nogach. Natychmiast odepchnął go z całej siły. Gdy podoficer lądował na śniegu, błyskawicznie sięgnął do kabury. Towarzysze przewróconego zerwali się, rozglądając się w panice za bronią. Na szczęście zdążył już wyjąć rewolwer i wymierzyć w ich stronę. I właśnie miał zawołać, żeby się nie ruszali, kiedy poczuł straszliwe uderzenie w potylicę. W jego czaszce eksplodowała ciemność, jednocześnie zmiękły mu nogi, jak zrobione z waty. Otumaniony niespodziewanym ciosem, od którego omal nie pękła mu głowa, zrobił kilka chwiejnych kroków i poczuł, że jego ciało zaczyna się bezwolnie okręcać wokół własnej osi i osuwać ku ziemi. Nagle ciemność ustąpiła i powrócił częściowo zamglony obraz. Ujrzał porwane na strzępy podwórko, jakąś zarośniętą, rozeźloną twarz i kawałek błękitnego nieba, na którego tle nie wiadomo skąd pojawiła się uniesiona wysoko kolba karabinu.

²⁵⁴ (ros.) Czyście powariowali? Jesteście Armią Czerwoną czy hołotą?

²⁵⁵ (ros.) Faszystowskiej armii! Ręce do góry!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Czwartek, dwudziestego piątego stycznia

...ale eźnia – patrz emu łeb urwało – a ten Kałmuk ba jaki morda taka – bko chłopcy zbierać broń i amunic – cha cha cha – czego rżysz icic – odźcie znalazłem łowę chodźcie – panie chmistrzu ten tu oty porcygar ma – dawaj – a ten czy zegarki – stkie kosztowności zegarki dnego worka – mnie by sie zegarek przydał – Wyrwa eź jaki chlebak i pozbieraj – na akcji mi się rozbił – jak złapię którego że o wziął łapy poucinał wojsko polskie steście nie bandziory jakies – jakże tak bez zegarka – porucznikowi powiesz przydzielili zegarek – kanister bimbru prawie pełen – daj spróbować – brać wszystko co się może przydać – ten buty dobre ma, niemieckie – Brać! – A ten okulary – Wezmę dla Zięby, bo jego się stłukły. – Cichy, sprawdź w szoferce! – Bagnety też? – Granaty, bagnety, wszystko! – Tuszonki w puszkach nie ma. Musieli zeżreć, sukinsyny. – Wiedzieli kiedy, cha, cha, cha! – No szybko, dzień już, lepiej żeby nas tu nie dorwali ich kamraci! – A u tygo srybrny krzyżyk. Dziwny jokiś. – Komuch i krzyżyk? Pokaż! – Pywnie kradziuny, ponie wachmistrzu. Wyzme se. – Krzyżyk zostaw! – Przyndom chłopcy ze wsi i tak wyzmom... – Nie twoja rzecz! – Kiedy na pywno kradziuny. O, łońcuszek zyrwany, i w kieszyni miół, nie na szyi. – W kieszeni, mówisz? To faktycznie kradziony. Daj Wyrwie!

Dziwne... W głowie hermetyczna ciemność, a wszystko słycać coraz wyraźniej. Jak wtedy, na szkolnej akademii z okazji urodzin Marszałka, kiedy zastępowała w poczcie sztandarowym chorą Lale Wolnicką i musiała stać nieruchomo jeden, drugi, trzeci kwadrans. Strasznie ją to męczyło. Po godzinie stopy bolały, twarz raz po raz zalewały fale duszności. I nagle, ni stąd, ni zowąd, w głowie zgasło światło. Wciąż stała, miała czucie w całym ciele, doskonale słyszała przemowę dyrektora i pokasływanie widowni, ale chociaż wytrzeszczała oczy, nic, absolutnie nic nie widziała. Nigdy wcześniej

niczego podobnego nie doświadczyła i zupełnie nie wiedziała, co robić. Pewnie w końcu zemdlałaby na całego, gdyby nagle ktoś, kto widocznie się zorientował, że z nią niedobrze, nie chwycił jej za rękę i nie wyprowadził z sali.

– Tempo, chłopcy, tempo! Czas się zmywać!

Spróbowała podnieść powieki, ale nic z tego. Lewa, nieznośnie piekąca, zdawała się szczelnie zalepiona jakąś gęstą mazią i w ogóle nie reagowała na polecenia. Prawa zaledwie zadrżała. Trochę poczekała i ponowiła próbę, tym razem wszystkie siły skupiając na tej drugiej. Udało się – powieka zatrzepotała niczym skrzydełko konającego motyla i powoli się uniosła, lecz natychmiast opadła, chroniąc źrenicę przed mocnym jak cios tasaka uderzeniem jasnobiałego światła.

– Gotowi? Formuj szereeeeg!

Musisz krzyknąć, musisz zawołać. Zaraz odejdą i zamarzniesz. No, krzycz! Wypluj tę krew i krzycz. Otwórz usta i krzycz. Chryste, dziewczyno, nie leż jak kłoda, otwórz usta. Musisz ich zawołać. Słyszysz? Już się zbierają do odejścia. Za chwilę będzie za późno. Przecież nie chcesz umrzeć. Obiecałaś sobie, że przeżyjesz tę wojnę, pamiętasz? I co, chcesz się poddać? Teraz? Spróbuj krzyknąć, bo inaczej zdechniesz tu jak bezpański pies. No już! Boże, to chociaż jęknij! Daj im jakiś znak. Jęknij, do cholery, jęknij! Nie poddawaj się, nie poddawaj. Jęknij!

– Aaa...

Skrzypienie śniegu i szczęk broni umilkły.

– Cicho! Słyszeliście?

– To chyba stamtąd, spod plandeki, panie wachmistrzu.

– Sprawdzał tam który? Nie? Oj, chłopcy, chyba żeście sobie wszyscy głowy z dupami pozamieniali! Wyrwa, zajrzyj no pod budę!

– Tak jest, panie wachmistrzu!

O platformę ciężarówki stuknął podkuty but, a zaraz potem rozległo się krótkie stęknięcie. Spróbowała jeszcze raz unieść prawą powiekę. Udało się – tak na milimetr, może dwa. W przekrzywionym prostokącie boleśnie kłującego białego światła dostrzegła zbliżającą się niewyraźną postać.

– Aaa...

– Jest kobitka jakaś, panie wachmistrzu! Chyba ledwie zipie.

– Ruska?

– A skąd mam wiedzieć?

- W mundurze jest?
- Normalnie, po cywilnemu.
- To pewnie nasza. Dawaj ją tu!
- Sam nie dam rady.
- Pomóż tam mu który! No szybciej!

Po deskach platformy zastukała kolejna para butów. Pod pachy i za nogi ujęły ją czyjeś mocne ręce. Nagle uleciała do góry. Ciemność wewnątrz głowy i kłująca w oko jasność zmieszały się ze sobą i zawirowały jak na diabelskiej karuzeli. Uchylona powieka ponownie opadła. Jeszcze chwila – gdyby nie otrzeźwiający szarpnięcie bólu w dole brzucha – a straciłaby przytomność.

- Aaa...
- Dobra, połóżcie ją na śniegu!
- O franca, ale ma lipo podbite! W życiu tak nie miałem!
- A co to za strupy na kolanach? Jeszcze nas zarazi jakimś paskudztwem...
- Odsuńcie się! Eee tam! To zwykła łuszczycyca. Moja baba też to ma.
- A ta krew skąd?
- Matko Boska! Panie wachmistrzu, niech pan spojrzy!
- O kurwa! Zasłoń to! Cichy, do mnie! Masz jakieś bandaże? Trzeba ją opatrzyć!
- Zróbcie miejsce. Chryste, chyba jej wszystkie zęby wybili!
- Nie tam, sieroto, pod spódnicę zajrzyj!
- O ja pierdołę! Chyba jej tu czołgiem wjechali, dranie jebani!
- Skurwysyny jedne! Sojusznicy naszych sojuszników, psiakrew! Przyjechaliby tu ci panowie z Londynu i popatrzyli sobie, co to bolszewickie było z nami wyczynia!
- Panie wachmistrzu, co ja tu poradzę? Ją by trzeba do lekarza. Do szpitala...
- Ba!
- To co robimy?
- Przecież jej nie zostawimy. Wyrwa, Kmicic, Czarny, Sosna! Zdjąć szynel z tego Kałmuka, położyć ją, i do wsi. Sołtysowi przykazać, żeby sprowadził lekarza.
- Panie wachmistrzu, do wsi? Drogą? W biały dzień? A jak spotkamy ruskich? Jeszcze pomyślą, że to myśmy, nie szkopy, tych tutaj załatwili.

– Racja. Zanieście ją lepiej na plebanię. Tędy, przez pola. Już tam ksiądz Andrzej się nią zajmie. Jak nie zdąży wezwać doktora, to chociaż da biedaczce ostatnie namaszczenie.

– Ciekawe, co to za jedna? Płaszcz z futerkiem, galanty, buty też prima sort... Nie wygląda na dziewczuchę ze wsi.

– A zobaczcie, może ma jakieś papiery! Rodzinę trzeba by zawiadomić.

Czyjaś dłoń wsunęła się pod jej płaszcz i niczym wielki pająk zaczęła biegać po piersiach, szukając wewnętrznej kieszeni.

– O, chyba jest kenkarta. – Dłoń się wycofała. – Rany julek, panie wachmistrzu, niech pan tylko kuknie! To folksdojczówa!

– Pokaż! Niebieska książeczka? Druga kategoria. Do-ro-thea-Pa-hlen. Niemra. No, ładnie! Jeszcze trochę, a byśmy na jeleni wyszli!

Nie, nie, nie, krzyczała niemym krzykiem ze środka otaczających ją ciemności, ona nie jest Niemką!

– To co z nią?

– A bo ja wiem... To już zmartwienie Pana Boga. Zbierać się, idziemy! Jak nas tu kacapy dorwą z tymi pepeszami, nie będą się z nami certolić. W drogę!

– W szereguuu zbiórka! Wyrwa na czoło! Kmicic zamyka!

Nie, tylko nie to, nie! Ona nie jest Niemką, jest Polką! Na miłość boską, niech jej tu nie zostawiają! Nie, nie, nieeee!

– Aaa...

– Cichy!

– Tak jest, panie wachmistrzu!

– Przykryj ją szynelem!

– Robi się!

– I zostaw jej manierkę z wódką!

– Kiedy panie wach...

– Powiedziałem!

– Rozkaz!

– No, chłopaki, w lewooo zwrot! Naprzóóód maaarsz!

Spadło na nią coś ciężkiego, a zaraz potem poczuła przy prawej dłoni zimny, metalowy przedmiot. Śnieg zaskrzypiał pod butami. Jakiś czas dobiegały jeszcze z oddali śmiechy i pokrzykiwania, ale cichły, coraz bardziej cichły, aż wreszcie rozpląnęły się w przeciągłych gwizdach ostrego wiatru. Zapadła mroźna, martwa cisza.

Zostawili ją... Poszli sobie, a ją zostawili. Jak mogli? Nawet jeśli sądzili, że jest Niemką. Patrioci. Polskie wojsko. Rycerze Niepokalanej! Zostawić tak w polu człowieka! Żeby zdychał na mrozie... Dranie, świnie, bandyci! Zebrała się w sobie i zmusiła do otworzenia prawego oka. Słońce znów natychmiast przypaliło jej źrenicę, ale tym razem postanowiła za wszelką cenę wytrzymać jego bezlitosny blask. Zamrugowała kilka razy, uroniła trochę łez i po parunastu sekundach oko przyzwyczało się do światła. Skierowała spojrzenie wprost do góry i oniemiała na widok szumiącego ponad nią jasnoniebieskiego nieba. Boże, nigdy w życiu nie widziała czegoś tak wspaniałego! Wbijająca weń oczarowane spojrzenie i za nic nie mogła się nasycić pozbawionym najmniejszej skazy pięknem, jego absolutną, niewyrażalną w ludzkim języku doskonałością. Jak to się stało, że przez dwadzieścia osiem lat nie dostrzegła, jak cudowne może być styczniowe niebo? Chyba była ślepa. Na szczęście może popatrzeć na nie teraz. Do woli. Czasu ma przecież dość. Więc będzie tu sobie leżeć i patrzeć. Jak księżę Andrzej pod Austerlitz. On przecież też tak leżał. I też w zimie. W grudniu. Dokładnie: piątego grudnia. Ciekawe, czy świeciło wtedy słońce? Szkoda, że nie będzie mogła już tego sprawdzić. No i nie ma się co łudzić, żaden Tołstoj o niej nie napisze. I żaden czytelnik nie dowie się nigdy, co czuła, spoglądając przed śmiercią w niebo. Nawet na tyle nie może liczyć... Jak Tamar z wiersza Anny. I jak Romka. I Biedronka. Kogo miałyby obchodzić, co się im roіło, zanim wyciągnęły kopyta?

Poczuła, jak jej plecy ogarnia lodowaty chłód. To śmierć, pomyślała, śmierć. Więc już się tu zakradła, już jest. Nagle zachnęła się – zaraz, zaraz, do cholery, zaraz! Kto powiedział, że nie ma już szans się z tego wykaraskać? Przecież jeszcze nie wykorkowała. Może się jeszcze wywinie kostusze. W każdym razie musi próbować. Na początek trzeba by się zorientować w sytuacji. Obróciła lekko głowę w prawo i ujrzała stojącą w poprzek drogi ciężarówkę. Kilka rozrzuconych po szosie ciał w jasnozielonych mundurach przypominało dziwaczными pozycjami pozostawione przez dzieci lalki. A dobrze wam, gnoje, ucieszyła się na ich widok, macie za moją krzywdę! Potem pomału odwróciła głowę w drugą stronę i omal nie dostała zawału – o dwa kroki od niej leżał tułów bez głowy. Przewyciężywszy z trudem zgrozę i obrzydzenie, zaczęła się sycić tym widokiem. Bo coś jej mówiło, że to właśnie ten bydlak, który ją pobił i rzucił się na nią pierwszy. Szkoda, że jego łeb nie leży w zasięgu jej wzroku.

Chętnie by zobaczyła jego minę!

Dokonawszy symbolicznej zemsty, uniosła spojrzenie – dwa szpalery włoskich topól wytyczały ginącą w oddali, prostą jak linijka drogę. Wszędzie wokół szczere pole, żadnej wsi, żadnych, choćby pojedynczych, zabudowań. Sama nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Ale nie miała teraz czasu na rozważanie problemu. Najważniejsze to wstać! Na początek zdecydowanym ruchem uniosła głowę i w tym samym momencie poczuła w piersiach tak niewiarygodny ból, jakby ktoś na nią wskoczył. Zdążyła wrzasnąć i zaraz potem straciła przytomność.

Kiedy się na powrót ocknęła, ku jej zdumieniu słońce stało prawie w tym samym miejscu. Czyli zemdląca zaledwie na kilka minut. W porządku, pocieszała się, przynajmniej wiadomo już, że odzyskała głos. I że oprócz tego tam, wybitych zębów i podbitego oka ma jeszcze połamane żebra. Ale ręce i nogi są sprawne. Więc musi jakoś wstać. Ostrożnie nabrała w płuca powietrza, naprężyła mięśnie i przyszykowana na potężny kopniak bólu, energicznym szarpnięciem przewróciła się na prawy bok. Zabolało jak diabli. Zaciskając z całych sił resztki zębów, chwilę leżała nieruchomo. Potem powoli, bardzo powoli, żeby cierpieć jak najmniej, położyła się na brzuchu. Udało się. Oparła o ziemię dłonie i przewyciężając ból, ostrożnie uniosła się na rękach i kolanach. Świetnie! Odczekała trochę i przysiadła na piętach. Natychmiast zakręciło się jej w głowie i pociemniało przed oczami, ale jakimś cudem zachowała świadomość i równowagę. Znów odczekała jakiś czas. Kiedy nabrała przekonania, że nie powinna się już przewrócić, sięgnęła ręką po leżącą na śniegu manierkę. Odkręciła zakrętkę i podsunęła sobie jej szyjkę pod nos. Aż ją skręciło od ognistej woni marnego bimbru. Mimo to przyłożyła manierkę do spuchniętych warg i pociągnęła spory łyk. W gardle zapiekło, jakby zapłonął w nim pożar, twarz wygiął grymas odraży. Ależ ohyda! Jezu, co ci ruscy piją?! Przecież po czymś takim z mózgu robi się galareta! Zgarnęła szybko drugą dłonią trochę śniegu i włożyła go sobie do ust. Teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jest spragniona. Nabrała jeszcze jedną dłoń śniegu i jeszcze jedną, i jeszcze... O tak, tego jej było trzeba. Poczuła, jak wreszcie wraca do przytomności. A siły? W tej chwili mógł ich jej dostarczyć tylko ten koszmarny zajzajer. Przechyliła ponownie manierkę i starając się nie poddawać odrazie, jaką budził w niej odór i smak bimbru, wlała sobie do gardła chyba z pół szklanki na raz. Skrzywiła się i pokręciła głową, jakby mogło to coś pomóc. Bimber podszedł jej do gardła. Żeby nie

zwymiotować, prędko zagryzła śniegiem. Bogu dzięki, cofnął się do żołądka! No dosyć tej ambrozji, wystarczy. Odrzuciła ze wstrętem manierkę i zjadła jeszcze kilka garści śniegu. Dobra nasza, paliwo zatankowane, koniec uczty. Teraz trzeba wstać.

Przechyliła się nieco na bok, oparła o ziemię najpierw lewą rękę, później prawą stopę. W czasie całej operacji czuła we wnętrzu ogniste rwanie. Kiedy spróbowała się podźwignąć, eksplozja bólu omal nie rozdarła jej ciała. Zrozumiała, że w ten sposób nie da rady. Rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby się wesprzeć. Przydrożne drzewo? Nie za bardzo. Musiałaby przebrnąć przez rów. Marzenie! Co więc pozostaje? Ciężarówka. Tak, tylko ciężarówka. Ruszyła w jej stronę na czworakach, omijając trupy dwóch czerwonoarmistów. Co chwila musiała przystawać, bo każdy krok sprawiał niewyobrażalną mękę. Dotarwszy do auta, chwyciła za zwisający do wysokości tylnego koła sznur od plandeki, kilkakrotnie owijając go sobie wokół prawej dłoni. Zacisnęła lewą dłoń wokół prawej, podciągnęła do góry jedno kolano i oparła stopę na ziemi. Teraz musi się udać. Musi. Policzyła do trzech i naprężając mięśnie tak mocno, jak tylko była w stanie, podciągnęła się trochę do góry. Mimo torturującego ją bólu błyskawicznie postawiła na szosie drugą stopę i wyprostowała nogi w kolanach. Matko Przenajświętsza, udało się! Udało się. Stoi.

Zimny, rozszumiany wiatr przeczesywał beztrosko jej włosy. Co teraz? Nie miała najmniejszego pojęcia. Nie puszczać linki, zrobiła pierwszy krok. Ból nie ustępował. Więcej – przy chodzeniu odzywał się znacznie silniej niż podczas pełzania na czworakach. Zacisnęła zęby i zrobiła następny krok, potem jeszcze jeden. Przy trzecim puściła na chwilę linkę, ale zaraz się zachwiała. Gdyby w porę nie złapała za nią ponownie, jak nic by się wywaliła. Poczekała trochę i postąpiła jeszcze kroczek. Tu kończyła się platforma ciężarówki. Co dalej? Do najbliższej wsi może być ze dwa kilometry, a może i więcej. W życiu tam nie dojdzie. Chyba że na czworakach. O ile się wcześniej nie wykrwawi na śmierć. No właśnie. Co z bandażem, który wepchnął jej między nogi ten partyzant? Spojrzała na ziemię. Bandaż, a właściwie kilkakrotnie złożony kawałek uciętego prześcieradła, leżał dwa kroki dalej. Syknęła. Szkoda, że nie poczuła, kiedy się zsuwał. Teraz będzie musiała po niego wrócić. Przecież nie może iść – nie wiadomo jak daleko – bez opatrunku. A więc jeszcze i to... Jeśli Bóg istnieje, naprawdę nie ma dla ludzi litości. Albo jest złośliwym demiurgiem,

prymitywnym archontem, jak sądzi – jeśli wierzyć Annie – Gregorius. Cofnęła się i ostrożnie schyliła. W piersiach zakłuło jak diabli. Na szczęście, zanim pod wpływem bólu odruchowo się wyprostowała, udało się jej chwycić za szarpie końcami palców. Okazało się, że nawet nie są mocno zakrwawione. Może nie jest z nią aż tak źle? O nie – jest, na pewno jest! Ten potworny ból w całym ciele nie wziął się przecież znikąd.

Policzki piekły od bimbru i zmęczenia. No fajnie, opatrunek już ma, ale przecież śliną go sobie nie przylepi. Co oni zrobili z jej majtkami i spodniami? Majtki, zdaje się podarli, ale spodnie zdjęli. Może leżą tam gdzieś jeszcze pod plandeką? Bardzo możliwe. Ale co z tego, i tak się po nie nie wdrapie. Rozejrzała się wokół, szukając czegoś, czym mogłaby przytrzymać opatrunek. Nic takiego nie dostrzegła. No, chyba że... Właściwie... Teoretycznie mogłaby ściągnąć spodnie z któregoś trupa, im przecież nie są już potrzebne. Ale nie, nie, mowy nie ma! Na samą myśl zrobiło się jej niedobrze. Brzydziłaby się. Nie dlatego że z nieboszczyka, raczej dlatego, że nie chciała dotykać czegokolwiek, co należało do któregoś z tych bydlaków!

Schyliła głowę i przyjrzała się uważnie własnej garderobie. Okazało się, że zdarli z niej tylko majtki i spodnie. Całą resztę: płaszcz, sweter, koszulę, halkę, buty, a nawet pończochy, zostawili. Tyle że z pończoch pozostały strzępy. Na szczęście pas do pończoch jest cały. Podwinęła halkę i przyłożyła szarpie do obolałego krocza. Potem złapała je klamerkami od pasa pończoch. Gotowe.

Gwałtowny podmuch wiatru wpadł jej do ust i zupełnie stłumił oddech. Szybko odwróciła głowę i mrugając załzawionymi, wychodzącymi na wierzch oczyma, zaczerpnęła powietrza. Odetchnąwszy kilkukrotnie, zaczęła się zastanawiać, co dalej. Próbować dreptać do najbliższej wsi? Nic bardziej rozsądnego nie przyszło jej do głowy. Spojrzała wzdłuż szosy i zeszywniała: daleko, daleko, na samym jej końcu pojawił się wóz konny z półokrągłą plandeką. Za nim – tak, wzrok jej chyba nie myli! – drugi. I chyba trzeci. Wojskowe tabory. Sowieckie czy polskie? Pewnie sowieckie. O nie, tylko nie to! Chryste, gdzie jej kenkarta? Jeżeli znajdą kenkartę, znów, kretyni, gotowi wziąć ją za Niemkę! Omiotła wzrokiem szosę. Nic. Przecież wachmistrz nie zabrał jej ze sobą. Na pewno gdzieś ją rzucił. Zaczęła się gorączkowo rozglądać po pobojuwisku. Jest! Z pół metra za tym z urwanym łbem! Musi tam dotrzeć i ją schować. Łatwo powiedzieć. Starając się

zachować równowagę, ruszyła w stronę niebieszczącej się na śniegu książeczki. Zrobiła krok, potem drugi, ale potknęła się i wyrznęła nosem w oblodzony asfalt. W głowie jej huknęło, łupnęło, zawirowało. Z bólu i rozpaczycy zaczęła łkać. Miała już tego wszystkiego dosyć. Niech ją tu dobiją i niech się to wreszcie skończy!

Jakiś czas leżała nieruchomo, w półzamroczeniu. Ocuciło ją dopiero pokrakiwanie gawronów. Jak sępy nad padliną, pomyślała, i nagle wstąpił w nią duch sprzeciwu. Podbechtana, napięła mięśnie, wysiliła się i jakimś niewytłumaczalnym sposobem znów udało się jej unieść. Dobreptała do miejsca, w którym leżały dokumenty, podniosła je i zamachnąwszy się, rzuciła jak najdalej w pole. Kenkarta poszybowała nad rowem i upadła na śnieg – niedaleko, doskonale widoczna w ostrym słońcu. Z rozpaczycy i wściekłości na samą siebie zacisnęła pięści. Wypatrzą ją. Ani chybi wypatrzą. Przecież na pewno zatrzymają się tu na jakiś czas. Muszą przecież znieść z szosy zabitych i usunąć na bok ciężarówkę. Jak zwykle w takich razach część żołnierzy rozlezie się po polu i któryś znajdzie kenkartę. Wtedy będzie po niej. Tym razem na amen. Co robić, Boże drogi, co robić?

Błękitne niebo milczało pogardliwie, wiatr raz ciszej, raz głośniej szydził z jej rozpaczycy. Zrozumiała, że niczego nie wymyśli. I wtedy nadeszło wybawienie – w postaci odległego, samotnego pojazdu, prującego na przełaj przez zaśnieżone pole w kierunku mniej więcej równoległym do szosy. Otworzyła szeroko oko i ze wszystkich sił wyteżyła wzrok. Choć od maszyny dzieliło ją jakieś pół kilometra, od razu rozpoznała charakterystyczną sylwetkę. Znała ją doskonale z „Wochenschau” i zdjęć w gazetach. Nadzieja w ułamku sekundy wyzwoliła w niej nowe siły. Uniosła ręce i machając nimi, ruszyła chwiejnym krokiem w tamtą stronę.

– *Hiiilfee!*

Transporter pędził dalej. Zbiegła z szosy, sforsowała przydrożny rów i wypełznąwszy z niego na czworakach, rzuciła się przez pole.

– *Hiiilfee! Hiiilfee!*

Pot zalewał jej twarz, przed zdrowym okiem tańczyły mroczki, ale brnęła wytrwale przez sięgający do pasa śnieg, nie zważając na ból przeszywający ją od podbrzusza po piersi. Nie zatrzymuj się, nie wolno ci, dopingowała samą siebie. Musisz do przodu, za wszelką cenę do przodu, słyszysz?

– *Hiiilfee! Hiiilfee! Hiiilfee!*

Po mniej więcej dwudziestu krokach, których pokonanie kosztowało

ją niewyobrażalnie dużo wysiłku, zatrzymała się, zrozpaczona całkowitym brakiem reakcji tych z transportera. Powoli dotarło do niej, że oni jej nie widzą. I wydzierać się też nie ma co. Przecież przy tym hałasie, jaki robi silnik, i tak jej nie usłyszą. Zwłaszcza z tej odległości. Opuściła ręce i patrzyła tępym, zrezygnowanym wzrokiem, jak maszyna ją mija i powoli zaczyna się oddalać. Ból nagle powrócił i wspomagany przez niewyobrażalną rozpacz zaczął bez litości przypiekać.

Nie miała już siły dalej biec, zresztą nie było po co. Osunęła się na kolana. Głowa opadła jej na pierś. Więc to się zdarzy tutaj. Na pustym, zaśnieżonym polu gdzieś między Ostrzeszowem a Kępem. Jednak nie kiedyś tam, w dalekiej przyszłości, we własnym łóżku i w otoczeniu wnuków. Nici ze skrytego marzenia, by ujrzeć – choćby tylko przez chwilę – początek trzeciego tysiąclecia. Wszystko skończy się tutaj. Śnieżna zaspą, a nad głową niebieskobiałe niebo. Cóż, mówi się trudno. To i tak lepsze niż ciemne i cuchnące szambo. Zwłaszcza że takie cudowne dziś słońce! I w ogóle wszystko jest dziwnie baśniowe. Te wybielone przez szadź topole przypominają olbrzymie miotły, które ktoś najpierw zanurzył w lukrze, a potem powtykał wzdłuż drogi. A zwisające ociężałe druty telefoniczne wyglądają jak oblepione opiłkami marcepana. I kto by pomyślał, że krakanie gawronów może brzmieć jak najpiękniejszy śpiew? Kiedy bawiła się w tropiciela śladów, też były gawrony. Dużo, dużo gawronów. Żeby tylko przestało boleć! Gdzie ta manierka z wódką? Aha, została tam, na szosie. Szkoda, można by się jeszcze napić. Na pewno mniej by wtedy bolało. I w ogóle byłoby znacznie łatwiej. Zatem trzeba będzie tam wrócić. Może się jakoś doczołga. Ale wtedy dopadną ją ci z taborów. Więc jednak lepiej zostać tutaj. Położyć się w śniegu i czekać na koniec. Najgorszy ten ból.

Podniosła wzrok, by pożegnać swoją ostatnią nadzieję na ratunek, i zamarła – transporter wciąż rozsiewał za sobą opar czarnych spalin, ale stał w miejscu. Tak, na pewno, oko jej nie myliło – wyraźnie stał. Czyżby jednak ją dostrzegli? Serce zabiło mocniej. Zerwała się na nogi, uniosła ręce i zaczęła nimi wymachiwać.

– *Hiiilfee! Hiiilfee!*

Z transportera wynurzyły się dwie mikroskopijne postacie. Wyskoczyły na przypominającą psi pysk maskę i stanąwszy na jej krawędzi, długo spoglądały przed siebie. Czego oni wypatrują? To chyba nie z jej powodu się zatrzymali? Mimo że gardło już ochryzło, wzięła głęboki oddech i zdając

sobie sprawę, że to ostatnia próba, wrzasnęła najgłośniej, jak potrafiła:

– *Hiiilfeee!*

Nie usłyszeli. Stali na masce i mocno gestykulowali – zdaje się, że o coś się spierając. Co oni kombinują? I nagle wszystko wytłumaczył jej rząd rzadkich krzaków wijący się przed pyskiem pojazdu i przecinający całe pole: transporter natknął się na strumień lub rów. Załoga najwidoczniej obawiała się, że lód jest zbyt kruchy lub że brzegi strumienia zbyt strome, by zaryzykować przeprawę. A jeśli nie przejadą w tamtym miejscu, to którędy? Spojrzała w prawo, wzdłuż drogi, i za zakrętem, w odległości góra stu kroków, dostrzegła murowany mostek. Matko Boska – tędy! Wyłącznie tędy! Wróciła spojrzeniem do transportera i z zapartym tchem obserwowała, jak jedna z postaci cofa się i wyciąga dłoń w kierunku wnętrza wozu, zupełnie jakby prosiła tych w środku, żeby coś podali. Nietrudno się było domyślić – lornetkę! Postać wyprostowała się i z łokciami uniesionymi i zgiętymi w charakterystyczny sposób, zaczęła spoglądać wzdłuż strumienia. Szybko wypatrzyła mostek i zatrzymała na nim dłużej wzrok. Potem zaczęła lustrować drogę, która przezeń przebiegała – widocznie chciała się upewnić, czy nie ma na niej wojska. Szybciej, błagała, szybciej! Nagle postać znieruchomiała – najwidoczniej wypatrzyła rozbitą ciężarówkę. A w takim razie – musiała dostrzec i ją! Znów poderwała rękę.

– *Hiiilfeee! Hiiilfeee! Hiiilfeee!*

Ten z lornetką przywołał drugiego i coś mówiąc, wskazywał w jej stronę. Zobaczyli ją, zobaczyli! Jezu, udało się, zobaczyli! Nie miała już siły krzyczeć, ale machała rękoma, jakby wstąpił w nią sam diabeł. Tutaj, tutaj, ratunku, *Hilfe!* Ku jej rozczarowaniu, transporter wciąż tkwił w miejscu. No tak, wypatrzyli tabory i sprawdzają, czy nie ma tam czołgów albo armat. Oby nie było! Obie postacie zniknęły wreszcie we wnętrzu transportera. Wóz wyrzucił za siebie fontannę zmieszanych ze śniegiem spalin i ruszył, skręcając ostro w prawo. Z radości omal nie zwariowała. Do mostku, prędko, do mostku! Nie, zaraz – na przełaj przez pole nie ma sensu! Trzeba wrócić do szosy. Trochę nadłoży, ale będzie wygodniej. Zawróciła i przetartym w śniegu szlakiem pobrnęła w kierunku rozbitej ciężarówki. Przekopała się przez rów, wpełzła na drogę i drobnymi kroczkami, nie spuszczać oka z transportera, kuśtykała w kierunku mostka. Jeszcze osiemdziesiąt kroków, liczyła, ocierając pot z twarzy, jeszcze siedemdziesiąt, jeszcze sześćdziesiąt. Transporter był coraz bliżej. Jeszcze pięćdziesiąt kroków, jeszcze

czterdzieści. Transporter rósł w oczach. Wychyliła się z niego głowa w hełmie i za pomocą lornetki przyglądała się długo nadciągającym za jej plecami taborom. Jeszcze tylko trzydzieści kroków, jeszcze dwadzieścia. Z pojazdu wynurzyła się druga głowa. Zamontowany na przednim pancerzu karabin maszynowy obrócił się w stronę sowieckiej kolumny i raptem wypluł długą, ognistą serię. Siedzące na przydrożnych drzewach gawrony zerwały się z panicznym wrzaskiem. Jeszcze piętnaście kroków, jeszcze dziesięć, jeszcze pięć...

W tym momencie poślizgnęła się na przyprószonej śniegiem łacie lodu. Zamachała rozpaczliwie rękoma, lecz na próżno – obie nogi rozjechały się jak przy szpagacie. W jej podbrzusze natychmiast uderzyła błyskawica bólu, z impetem przeszła tułów i dotarłszy do mózgu, rozerwała go na tysiące czerwonych iskier.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

*Czwartek, dwadcat' piatego stycznia*²⁵⁶

Mijał dzwonnice kościoła jezuitów, kiedy ze ścieżki nad Bernardynką wynurzyła się niespodziewanie wataha umorusanych dzieciaków, prowadząca dokądś trzech sowieckich żołnierzy. Dojczcie, dojczcie, wrzeszczeli, wskazując żołdatom palcami w kamieniczkę po drugiej stronie ulicy, dojczcie, tam dojczcie! Zatrzymawszy się, aby ich przepuścić, spoglądał z niepokojem na marsowe miny wyraźnie podpitych żołdatów i trzymane przez nich automatyczne karabiny. Domyślał się, czym to pachnie. Po chwili wahania ruszył za całą grupką, żeby smarkaczy obsobaczyć, a czerwonoarmistów poprosić, żeby nie słuchali dzieciaków, nie dali się podpuszczać. Bo tu już żadnych Niemców nie ma, wszyscy zwiali, zostało co najwyżej kilkoro staruszków, którzy nie mieli siły na ewakuację. Lecz uszedłszy kilka kroków, nagle uświadomił sobie ryzyko. A co, jeśli żołnierze zażądają od niego dokumentów? Przecież w jego kenkarcie stoi wyraźnie, że jest białym Rosjaninem. Natychmiast zwolnił. Zamiast Niemca czy folksdojczca gotowi wziąć jeszcze jego samego! Albo od razu postawić go pod ścianę. Przystanął i odprowadzając ponurym spojrzeniem oddalającą się grupkę, zastanawiał się gorączkowo, co robić. Rozejrzał się wokół i zorientował, że nikt z licznych obserwujących zdarzenie ludzi nie ma najmniejszej ochoty ingerować. Jak to zwykle gapie; czekali raczej na rozwój wypadków. Więc dlaczego akurat on miałby być jedynym sprawiedliwym w Gomorze? O nie, nie ma głupich. Nie będzie się wyrywał. I choć wiedział, że postępuje podle, po krótkim mocowaniu się z samym sobą, odwrócił się i ze spuszczoną głową powlókł do domu.

Zbliżając się kilka minut później do swojej kamienicy, odczuł prawdziwą ulgę. Tak, dumał, moment zmiany władzy nigdy nie jest bezpieczny. Pamiętał doskonale, co się działo w Woroneżu tuż po zajmowaniu go kolejno

przez bolszewików i białych, jakie to były jednocześnie radosne i niebezpieczne chwile! Wybuchy nienawiści do zwolenników tych, którzy uciekli, były tak gwałtowne, że raniły rykoszetem również ludzi Bogu ducha winnych. Niejeden porządny człowiek stracił wówczas nie tylko zegarek, ale i życie. Więc lepiej zachować ostrożność. Najlepiej zaszyć się w domu i nie wychodzić, dopóki nie ukonstytuuje się i nie okrzepnie porządnie nowa polska władza.

Pocieszony tą myślą, przemknął przez bramę. Wszedłszy na podwórze, prawie wpadł na sowieckiego żołnierza, przechadzającego się z papierosem w ustach wokół zaparkowanego pośrodku studebakera. Zaskoczony niespodziewanym spotkaniem, omal nie pozdrowił tamtego po rosyjsku. Ugryzł się w ostatniej chwili w język, bąknął coś pod nosem i ominąwszy żołnierza, pomaszerował w stronę swojej klatki. Uświadomił sobie, że to przecież enkawudzista – niebieskie wypustki na szynelu nie kłamią. NKWD, wystraszył się, tutaj? Po co? Ten łobuz z ukraińskiej policji ewakuował się przecież z Niemcami, profesor Richter także. Przecież nie mogło im chodzić o nikogo innego...

Zaniepokojony wbiegł po schodach i wyciągnąwszy z tylnej kieszeni spodni klucz, włożył go do dziurki pod klamką. Zdziwił się, kiedy próby przekręcenia się nie powiodły. Choć starał się ze wszystkich sił, klucz obracał się zaledwie odrobinę i nie chciał iść dalej. Tknięty przeczuciem, nacisnął klamkę – ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły; czyżby zapomniał je zamknąć, gdy wychodził? Niemożliwe. On, taki skrupulant, który zawsze trzy razy sprawdza, czy aby na pewno to zrobił? Chociaż... Tak bardzo przecież śpieszył się dziś do miasta, tak bardzo chciał zobaczyć, co się dzieje na ulicach. Może rzeczywiście nie zamknął? Stary sklerotyk! Wyjął klucz i wszedł do przedpokoju. I natychmiast ogarnęło go niepokojące uczucie, że coś jest nie w porządku. Jakby w mieszkaniu znajdował się ktoś obcy. Ktoś nieproszony. Nie mógł zrozumieć, skąd się wzięło. Zamarł w bezruchu i nasłuchiwał, próbując złowić uszami jakiś podejrzaną dźwięk, ale na próżno. Zadarł lekko nos i zaczął węszyć jak pies. Znowu nic. Eee, pewnie mu się zdawało. Najadł się dziś zdrowo strachu i teraz ma omamy. I jeszcze ta historia z kluczem. I ten enkawudzista tam, na podwórku. Za dużo naraz jak na jego zszargane nerwy. Uspokojony, zdjął płaszcz i czapkę, potem otworzył drzwi do kuchni – i mała nie dostał ataku serca na widok siedzącego przy stole sowieckiego oficera.

– *Wpieriod, Paweł Aleksandrowicz, wpieriod! Czuwstwuście siebie kak doma!*²⁵⁷

Nie ruszył się z miejsca.

– Wybaczcie, że tak się tu u was rządę – w z pozoru szczerze skruszonym głósie enkawudzisty pobrmiewała wyraźna drwina – ale przecież nie chcielibyście, żebym czekał na was tam, na mrozie. Prawda?

Przełknął głośno ślinę.

– No, czego tak sterczycie? Siadajcie! Napijcie się herbatki? Właśnie zaparzyłem.

Powoli, jak wstępujący na szafot skazaniec, podszedł do krzesła i usiadł.

– Wolicie z cukrem czy z konfiturami? Bo ja na ten przykład lubię i z jednym, i z drugim. Co, nie możecie się zdecydować? Zrobię wam po mojemu, zobaczycie, jakie to dobre. W taki ziąb dobra herbatka nie gorsza od wódki. To co, nalać? Nie? Naprawdę? Nie macie ochoty? Jak chcecie. Jak to powiadają, cha, cha, przymusu nie ma. No, ale do rzeczy. Pewnie zastanawiacie się, co ja tu robię. Ano przyszedłem pogadać z wami o waszej sprawie. Tak, Pawle Aleksandrowiczu, nie przesłyszeliście się. O waszej sprawie. Bo jest taka sprawa. I nie ma co ukrywać, nie wygląda dobrze. A nawet bardzo niedobrze. Liczba przestępstw, jakich się dopuściliście, jest doprawdy imponująca. Najpierw dezercja w Woroneżu w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Bo to była dezercja. Fakt, że nie służyliście w Armii Czerwonej, nie ma żadnego znaczenia. Jeszcze nie służyliście. Nie służyliście, bo nie zdążono was powołać. Ale rozkaz wydany w chwili zbliżania się Denikina mówił wyraźnie, że wszyscy studenci mają się wycofać z miasta. Właśnie po to, by w odpowiednim momencie wcielić was do szeregów. Tymczasem wyście zostali. Woleliście Denikina.

Usta same zaczęły mu się otwierać do szeptu zaprzeczenia, lecz oficer do tego nie dopuścił.

– Nie przerywajcie, Pawle Aleksandrowiczu, nie przerywajcie. Ja wiem lepiej. Fakty mówią same za siebie. Swoim postępkim osłabiliście potencjał Armii Czerwonej – i to w najbardziej krytycznym momencie wojny domowej. Mało tego, wkrótce wstąpiliście do szkoły kadetów. Dobrowolnie czy pod przymusem, co za różnica? Wstąpiliście. Czyli służyliście u białych. A to już zdrada. Więc sami widzicie, już choćby za to do końca życia powinniście zwiedzać Syberię. A potem jeszcze wasz nielegalny wyjazd

z Rosji. Przecież jedyna prawowita władza, władza rewolucyjna, nie dała wam paszportu. Można to podciągnąć pod nielegalne przekroczenie granicy. Za to też jedzie się u nas na białe niedźwiedzie. I nie łudźcie się, Pawle Aleksandrowiczu, że sąd potraktuje was łagodniej dlatego, że wszystko to zdarzyło się przed ćwierćwieczem. U nas nie ma przedawnienia. Socjalistyczna ojczyzna ma dobrą pamięć. Niczego nie zapomina. I jak sami się właśnie przekonujecie, ma również długie ręce. Bardzo długie. Wydawało się wam, że skoro na tyle lat zostawiła was w spokoju, uciekliście przed nią na zawsze? Wolne żarty! Przed nami nie można uciec. Trockiemu też się tak wydawało, a chyba słyszeliście, w jaki sposób skończył? Więc widzicie, że żyliście złudzeniami. Za to kara, która was czeka, będzie jak najbardziej rzeczywista. Wierzycie mi, Pawle Aleksandrowiczu? Wierzycie?

Potaknął.

– A potem wasza walka po stronie interwentów. Bo wojna polsko-radziecka nie była niczym innym niż częścią wielkiej międzynarodowej interwencji. Wtedy, Pawle Aleksandrowiczu, po raz drugi zdradziliście ojczyznę. Kiedyście w dwudziestym roku zaciągnęli się do polskiej armii, nie mieliście jeszcze nawet polskiego obywatelstwa. Zresztą, nawet gdybyście je mieli, i tak nie miałyoby to żadnego znaczenia. Dla nas nie liczą się formalności, ale relacje obiektywne. Nawiasem mówiąc, czyście aby nie wstąpili do polskiego wojska tylko po to, by przymusić tutejsze władze cywilne do pozytywnego rozpatrzenia waszej prośby o polski paszport? No właśnie, Pawle Aleksandrowiczu, no właśnie. Czyli walczyliście przeciwko swoim, by wyżebrać polskie obywatelstwo... Widzicie, jak my wszystko wiemy? Przed nami nic się nie ukryje. Myślicie, żeśmy nie czytali waszych antybolszewickich artykułów drukowanych w prasie emigracyjnej oraz w polskich gazetach? Czytaliśmy, jasne, że czytaliśmy. Znamy je na pamięć. Co do jednego. Podobnie jak przemówienia, które wygłaszaliście przy różnego rodzaju okazjach. We wszystkich konsekwentnie i systematycznie szkalowaliście Związek Radziecki i jego najwyższych przywódców. Wasze zatrute słowa wyrządziły niepowetowane szkody wizerunkowi naszego kraju. Strat politycznych, ekonomicznych i militarnych, jakie z tego powodu wyniknęły, nigdy nie da się już naprawić. Ale można, Pawle Aleksandrowiczu, można – i należy – wymierzyć wam sprawiedliwość. Pojmujecie chyba, co to dla was oznacza? Na pewno pojmujecie. Jesteście zbyt inteligentni, żeby tego nie pojmować. No ale zupełnie pogrążyliście się,

Pawle Aleksandrowiczu, podczas obecnej wojny. Zaczęliście od kolejnej zdrady, bo tak trzeba patrzeć na wpisanie się na niemiecką listę białych Rosjan. Żebyście choć na tym poprzestali, ale wam było mało. Współpracowaliście z Niemcami przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Kto tłumaczył na rosyjski zarządzenia porządkowe i instrukcje obsługi dla naszych jeńców pracujących w tutejszych zakładach? Kto współpracował – i to za pieniądze, jak Judasz – z Gestapo? Mam wam pokazać fotokopię podpisanego przez was pokwitowania? A to jeszcze nie wszystko. Są jeszcze wasze kontakty z własowcami. Jeden z nich przebywał tu wielokrotnie. Bratanek, nie bratanek, to do sprawy nie należy. Własowiec, ot co. I wasza przyjaźń z tym denikinowskim katem Jegorowem. To już gwoździe do waszej trumny. Tak, Pawle Aleksandrowiczu, do trumny. Żaden sąd nie będzie tak litościwy, żeby ofiarować wam parę lat życia na Syberii. Za to wszystko, coście uczynili przeciwko Rosji Radzieckiej, może być tylko jedna jedyna kara: kulka w łeb! A tak w ogóle, nie trzeba czekać, aż zasądzi ją sąd. Ot, zawołam moich chłopaków, wyprowadzimy was na podwórko i za minutkę będziecie u Bozi. Nawet narobić ze strachu w portki nie zdążycie. To co, zawołać? Zawołać?

Poprosił ruchem głowy, by oficer tego nie robił.

– Nie? Nie wołać? Cóż, mogę nie wołać I wiecie co, Pawle Aleksandrowiczu? W ogóle mogę zostawić was w spokoju. Tak, tak, dobrze słyszycie. Ot, wstanę, wyjdę i jakby mnie tu nie było. A wy zostanieie. Nie będziecie stawać przed żadnym sądem, nie dostaniecie kulki w łeb, nawet nie pojedziecie na Kołymę i nie zdechniecie tam po pół roku – no, może po roku, bo już dłużej niż rok takie chucherko na pewno nie wytrzyma. Zostaniecie sobie tutaj, będziecie spokojnie i bezpiecznie żyć, a jak dobrze pójdzie, pociągniecie jeszcze ze trzydzieści latek. Wyobraźcie sobie: trzydzieści latek w tym cichym, miłym powiatowym mieście, prawie jak z nowelek Bunina. Znów będziecie uczyć w gimnazjum, w niedzielę chodzić do cerkwi i na spacery za miasto. Ożenicie się z jakąś ładną, dużo młodszą dziewczyną, bo tylu mężczyzn wyginęło, że teraz nawet takie podstarzałe pryki, jak wy, będą mogły wybierać i przebierać. Wolicie brunetki czy blondynki? Takie bardziej w sobie czy szczuplejsze? Jak na ten przykład wolę takie bardziej w sobie, takie, co to mają na czym usiąść i czym oddychać. Ale to sprawa gustu. Znajdziecie taką, jaka się wam marzy, bez trudu znajdziecie. Same będą wam włączyć do łóżka, same się będą prosić. Zobaczycie! No ale nie

możemy przecież darować wam waszych win tak na piękne oczy. Jakoś musicie je odpracować. Prawda? Zastanawiam się właśnie nad pokutą... Wy też się zastanówcie. Może sami wpadniecie na jakiś pomysł? Nic wam nie przychodzi do głowy? Niemożliwe. Nie wierzę. Droczyście się tylko ze mną, prawda? Jak kot z myszką, co? *Ech, szutnik!*²⁵⁸ No, dobrze. Nie musicie odpowiadać w tej chwili. Doskonale rozumiem, że sprawa wymaga namysłu. Daję wam na to parę dni. W przyszłym tygodniu przyjdzie tu polski towarzysz. Ja zaraz jadę dalej. Nie myślicie chyba, że będę tkwił tyle czasu w tej dziurze z tak błahego powodu? Zostawiam was pod opieką naszych miejscowych przyjaciół. Będziecie się ze mną kontaktować za ich pośrednictwem. Każde ich polecenie traktujcie jak moje. No, czas na mnie. Aha, zastanawiacie się pewnie, po co te czyste kartki, które – mam nadzieję, że mi wybaczycie – pozwoliłem sobie wyjąć z waszego biurka? Ano przez te kilka dni spiszeć na nich wasz życiorys. Dokładny, szczerzy, prawdziwy. W dwóch egzemplarzach, po rosyjsku i po polsku. Szczególnie drobiazgowo opiszecie waszą działalność antyradziecką i kontakty z polskim podziemiem. Jeśli stwierdzimy, żeście coś pominęli, stracie bezpowrotnie szansę, jaką postanowiliśmy wam dać. No to do roboty, Pawle Aleksandrowiczu, do roboty! Wierzę, że okażecie rozsądek i nas nie zawiedziecie. Miłego dnia!

Po wyjściu niespodziewanego gościa tkwił nieruchomo, zapatrzony przerażonym wzrokiem w krzesło, na którym siedział tamten. To, co powiedział sowiecki oficer, tak go zaszokowało, że z wrażenia zamienił się w słup soli. W pewnej chwili zaczął się nawet zastanawiać, czy to wszystko aby na pewno dzieje się naprawdę, czy nie padł ofiarą jakichś koszmarnych halucynacji. Ale pamięć zbyt wyraźnie odtwarzała obraz siedzącego po drugiej stronie stołu enkawudzisty, by uznać go za majak. Co gorsza i ta niespodziewana wizyta, i wypowiedziane przez nieproszonego gościa słowa mieściły się w logice wydarzeń. I na dobrą sprawę powinien być na nie przygotowany. Czyż w miarę trwania wojny nie nabierał niewzruszonego przekonania, że obojętnie jaki będzie jej finał, dla Polski skończy się źle? Czyż nie patrzył z politowaniem na tych wszystkich naiwniaków, przepełnionych wiarą, że alianci i Pan Bóg nie pozwolą skrzywdzić ich i tak już umęczonej ojczyzny? Jednocześnie jednak żył w absurdalnym przekonaniu, że jemu samemu jakoś się uda, że nieszczęścia spadające na polskie społeczeństwo jako całość nie dotkną niektórych

jednostek. A jeśli nawet dotkną, to niegroźnie – ot przydarzy się mu jakieś szturchnięcie, kopniak w tyłek, ale nie zmiżdżenie na krwawy placek. Przyznał takie prawo sobie, przyznał je Dorotce i jeszcze kilku nielicznym osobom z salonu panny Krysi. Wydawało mu się, że skoro w miarę bezpiecznie przetrwali tyle lat okupacji hitlerowskiej, przetrwają i to, co nastąpi teraz. Dlatego dopiero co wypowiedziane przez sowieckiego oficera słowa spadły nań jak zadawane z całych sił ciosy łopata.

Zrobiło mu się duszno. Wstał, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Do pokoju wraz z orzeźwiającym mrozem wlał się gwar setek podekscytowanych głosów – ludzie wciąż podążali do centrum miasta i z powrotem. Ich wesołe śmiechy jaskrawo kontrastowały z panującą w jego duszy mieszkanką przerażenia i przygnębienia. Stojąc z pochyloną głową i dłońmi opartymi o łuszczący się, dawno błagający o odmalowanie parapet, oddychał głęboko całymimi płucami. Dopiero kiedy poczuł ostre drapanie w gardle i przestraszył się przeziębienia, zamknął okno i zaczął chodzić w kółko po pokoju. Zimne powietrze otrzeźwiło nieco jego umysł. Powoli, powoli zaczął łapać sens odbytej dopiero co rozmowy i uświadamiać sobie jej wszystkie konsekwencje. Boże, chcą, żeby został szpiclem! Żeby donosił na najbliższych! A jeżeli nie – kulka w łeb albo na białe niedźwiedzie! Nawet jeśli przyjąć, że z tą kulką w łeb to tylko straszenie, o zesłaniu nie można już tego powiedzieć. Łagier na Syberii?! Ten enkawudzista miał rację, nie wytrzyma w nim nawet pół roku. Chryste, co robić? Jak z tego wybrnąć? Może znajdzie się jakieś sprytne wyjście? Trzeba tylko spokojnie pomyśleć. Ale jak tu myśleć spokojnie z lufą przystawioną do skroni? Wolne żarty! Co robić, co robić, co robić... A gdyby tak spróbować jakoś ich wykiwać? Napisać im ten życiorys, ale nie wymieniając w nim żadnych osób, tak by nikomu nie zaszkodzić? A w razie zastrzeżeń udawać idiotę? Nie, przecież oni nie tacy głupi, żeby dać się wodzić za nos. Przeciągnie sprawę o tydzień, może dwa... Niech będzie, że nawet trzy. A co potem? Potem docisną go tak, że aż mu flaki uszami wypłyną. Nie, taka taktyka nic nie da. Nie ma się co oszukiwać. Musi znaleźć inne wyjście. Jego wzrok padł nagle na leżącą na szafie walizę. Zatrzymał się. Eureka! Wyjazd, tak, wyjazd – oto najlepsze rozwiązanie! Ucieknie tym draniom i niech go sobie potem szukają. Ucieknie na Zachód, na te ziemie między Odrą a przedwojenną polską granicą. Wszyscy mówią, że Polska otrzyma je na pewno jako należny jej wojenny łup. Kto go tam odnajdzie? Tutaj znaleźli go bez problemu, bo od urodzenia

siedział w jednym miejscu, wszyscy go znali, każdy mógł wskazać drogę. A tam? Tam to co innego. W powojennym chaosie nikt go nie wytropi. Zanim to wszystko się ułoży, uporządkuje, minie dobrych kilka lat. Tak, nic lepszego niż wyjazd nie wymyśli.

Ściągnął walizę, rzucił ją na zaścielone łóżko i otworzywszy wieko, zastanawiał się intensywnie, co powinien spakować. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Znieruchomiał. Przyszli! Przewidzieli, że będzie próbował czmychnąć i przyszli!

Pukanie się powtórzyło.

– To ja, panie Pawle, Renia. Renia Bugajewiczowa. Jest pan?

Poczuł się jak ktoś, komu zdjęto z piersi miazdzący je młyński kamień. Boże, to tylko pani Renia! A on myślał... Ech, stary pierdoła! Teraz jasno zdał sobie sprawę z niedorzeczności swoich obaw. Może i ludzie z NKWD potrafią logicznie myśleć, ale jasnowidzami jeszcze nie są. Jakżeż mogli przewidzieć, że postanowi uciec? To tylko pani Renia. Bogu dzięki!

– Panie Pawle! Jest pan tam?

Otarł pot z czoła, wyszedł do przedpokoju i przekręciwszy klucz w zamku, otworzył drzwi. Snop światła padł na stojącą tuż za progiem panią Renię. Wyglądała na mocno zmieszaną.

– Czy można?

W milczeniu wpuścił ją do przedpokoju. Był tak zaskoczony tą niespodziewaną wizytą, że nie wiedział, jak się zachować. Zanim wreszcie ochłonął i zaproponował, by weszła dalej, pani Renia zaczęła mówić – szybko, nieskładnie, jakby chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie to, co miała do powiedzenia. Więc ona przyszła po to, żeby go przeprosić, bardzo przeprosić za swoje zachowanie, za to, że była taka dziwna, taka niedobra, dla niego niedobra, chociaż wcale tak nie chciała, bo to wszystko przez tego żołnierza ze stalagu, tego, z którym korespondowała, przecież wszystkie panie korespondowały, żeby ulżyć tym biedakom, a on kapral, kawaler, sam jak palec, bo rodzice i siostra z mężem zginęli na samym początku wojny od bomby, tylko dzieci po tej siostrze zostały, więc kiedy poprosił, żeby została jego wojenną narzeczoną, zgodziła się, było jej niezręcznie odmówić, to był czterdziesty pierwszy, on już dwa lata za drutami, źle to znosił, chorował, bała się, że jeśli odmówi, on sobie jeszcze coś zrobi, w takim obozie, w zamknięciu, różne myśli człowiekowi po głowie chodzą, a tu jeszcze wieści ze świata złe, Niemcy ciągle górą, wszystkich

naokoło leją, więc nadziei na szybkie oswobodzenie żadnej, no i zgodziła się zostać tą wojenną narzeczoną, on w warsztacie, gdzie pracował, dwie obrączki ze śrub żelaznych wyszlifował, jedną jej przysłał, i ona obiecała, że będzie ją nosić, a skoro obiecała, to nosiła, tyle że nie na palcu, a na łańcuszku, na szyi, pod bluzką, bo nie chciała, żeby ludzie widzieli i pytali co to, głupio by jej było tłumaczyć, bo ona już wtedy, już wtedy... Więc ona wie, że na tych obiadach, na tych tańcach dziwnie się zachowywała, wcale nie tak, jak chciała, bo chciała zupełnie inaczej, naprawdę, ale wierzyła, miała przeczucie, że jeśli tamtego zdradzi, to jemu coś się stanie, ona taka przesądna, więc postanowiła, że do końca wojny będzie się tak zachowywać, jakby to wojenne narzeczeństwo brała całkiem na serio, a dopiero jak wojna się skończy, napisze tamtemu prawdę, przecież on po wyjściu z obozu takich skrzydeł od samej wolności dostanie, że szybko ją przeboleje, inną sobie znajdzie, a teraz już po sprawie, bo biedak zmarł na tyfus, zaraz po Nowym Roku zmarł, więc już jej te wojenne śluby nie obowiązują i może wreszcie nie udawać, może postępować tak, jak jej naprawdę serce dyktuje, dlatego... Dlatego przyszła tutaj i zaprasza jutro na obiad, jak dawniej, tak dawno już się nie widzieli, tak się stęskniła, niechże się na nią nie gniewa, bo to wszystko przez tego nieboraka ze stalagu, powinien zrozumieć, ale teraz już wszystko będzie dobrze, tylko żeby przyszedł jutro na ten obiad, ona bardzo prosi, bardzo.

Wyrzuciwszy z siebie to wszystko, podeszła do niego i pocałowała go mocno w policzek. I zaraz potem, zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, odwróciła się i wybiegła. Jej drobne kroki zastukały jeszcze szybko na schodach i po chwili jedynym dowodem jej krótkiej wizyty był unoszący się w przedpokoju zapach jaśminowych perfum.

Zamknął powoli drzwi i stał przy nich nieruchomo jak manekin. Po tym wszystkim, co widział i przeżył tego dnia, był święcie przekonany, że już nic nie może go zaskoczyć. A tu, proszę, jednak zdarzyło się coś takiego! Sam nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Teoretycznie powinien się śmiać, śmiać ze szczęścia. Więc ten przygnębiający go dystans, jaki stwarzała pani Renia, to tylko rezultat przejęcia się wojennymi ślubami złożonymi tamtemu człowiekowi. Nie jest żadną dziwaczką ani dewotką, nie jest chorobliwie wstydliva. Ta jej rzekoma nieśmiałość nigdy nie pasowała mu jakoś do sposobu, w jaki pani Renia się poruszała i w jaki nań spoglądała. W jej oczach i uśmiechu wciąż tliła się erotyczna iskra, która tylko patrzeć jak

wywoła eksplozję tego wspaniałego ciała, duszącego się w przyciasnej sukience. Nie mógł pojąć tej sprzeczności. A teraz wszystko się wreszcie wyjaśniło. I wszystko się zgadza. Tyle czasu myślał, że to jego wina, że może on jej po prostu nie interesuje jako mężczyzna. Jako przyjaciel, rozmówca – tak, ale jako mężczyzna ani trochę. Tak długo dręczył się tym podejrzeniem, tak długo przez nie cierpiał. No i okazuje się, że niepotrzebnie. Wszystko stało się jasne. To przez te nieszczęsne wojenne śluby. Co więcej – jak widać po tej zaskakującej wizycie – sprawa jest wciąż jak najbardziej aktualna. A właściwie aktualniejsza niż kiedykolwiek. Tylko co mu z tego teraz, kiedy jedynym ratunkiem jest wyjazd? Przekląty los! Drwi sobie z człowieka, jak tylko może. Jedną ręką daje, a drugą odbiera. Faktycznie, tylko się powiesić.

Spojrzał na leżącą o dwa kroki walizkę, potem przeniknął myślą ścianę i zatrzymał się nad białą kartką na stole. Co robić? Odniósł wrażenie, że znalazł się w środku piekielnego magnetycznego trójkąta, z wierzchołkami wyznaczonymi przez białą kartkę, walizkę i drzwi, za którymi zniknęła pani Renia. Kartka oznaczała łajdactwo, na jakie nie miał najmniejszej ochoty, walizka – jedyny, jak się zdawało, ratunek przed tym łajdactwem, a drzwi – szczęśliwe życie z kochaną i kochającą go kobietą, życie, o jakim w gruncie rzeczy zawsze marzył i do jakiego wreszcie był gotów. Stał i zastanawiał się, co począć. Tylko że na dobrą sprawę nie było się tu nad czym zastanawiać. Przecież nie ma się co łudzić, ceną, jaką przyjdzie mu zapłacić za małżeństwo z panią Renią, będzie zapisanie białej kartki. I to prawdopodobnie nie tylko tej jednej kartki, ale jeszcze wielu, wielu podobnych. Nie, nigdy w życiu na to nie pójdzie! Zatem nie ma co medytować, nie ma co rozpaczać i wzdychać. Trzeba brać walizkę i w drogę.

Tak zdecydował, ale z niewytłumaczalnych dla siebie powodów wciąż tkwił w tym samym miejscu. Jego ciało i wolę ogarnął nagle całkowity paraliż. Minęła minuta, potem druga, trzecia, a on nie potrafił zmusić się do wyjścia. Nagle w górze coś głośno puknęło i w przedpokoju zgasło światło – przepaliła się żarówka. Nawet nie zareagował. Stał wciąż w ciemności, stał, stał i stał, zaszuchany w coraz głośniejsze bicie swojego tchórzliwego i pożądliwego serca.

[257](#) (ros.) Naprzód, Pawle Aleksandrowiczu, śmiało! Czujcie się jak u siebie w domu!

[258](#) (ros.) Dowcipniś!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Czwartek, dwudziestego piątego stycznia

Z gęstej niczym smoła ciemności nagle wynurzył się oślepiający przebłysk wypolerowanego przez słońce śniegu. Ujrzała drogę, na której kiedyś – ale kiedy, Boże, kiedy? – zdaje się, już raz była, szpaler drzew, w oddali mostek. Tylko skąd ta nieznośna głucha cisza w uszach? Czyżby wypchano je watą? Dziadek Andrzej na starość wpychał sobie do uszu watę. Czy ona to dziadek Andrzej? Tak, oczywiście. Jest dziadkiem Andrzejem, a jednocześnie sobą. Ale jej niepotrzebna przecież wata w uszach. Spróbowała unieść rękę, żeby ją wyjąć, ale ręka ani drgnęła. Spróbowała unieść jeszcze raz – znowu nic. Z wysiłku aż się spociła. Dlaczego jej ręka jest zrobiona z ołowiu? Aha, ma ją w gipsie po upadku na nartach. Wtedy, w Zakopanem. Chciała się popisać przed ojcem, no i skończyło się złamaną ręką. A wszędzie tak biało, bo to szpital. Gdzie ojciec? Powinien być przy łóżku. Jestem, córeczko, jestem. Wyjąłem ci watę z uszu. Kto ci jej tam nakładł? Bawiłaś się z dziadkiem Andrzejem? Co też ty opowiadasz, dziadek Andrzej i takie żarty! A poza tym dziadek Andrzej nie żyje. Już dawno. Dostałaś zastrzyk i masz zwidy. A teraz śpij, Wróbelku, musisz dużo spać. Ja tu sobie poczytam gazetę. Przymknęła powieki i natychmiast zaczęła odpływać w słodki, kojący niebyt. I znowu cicho. Jak dobrze. Jak dobrze. Tak, właśnie tak... Już miała pogрузić się zupełnie w wyzwalającej otchłani, gdy ni stąd, ni zowąd cisza pękła, rozsadzona przez przeraźliwy ryk silnika i zgrzyt gąsienic na oblodzonej szosie. Obróciła się i z przerażenia wytrzeszczyła oczy – o kilka kroków od niej wyskoczył na szosę stalowy potwór podobny do gigantycznego karalucha, zatoczył ostry łuk, po czym zamarł w bezruchu, wyrzucając z rury wydechowej kłęby czarnych spalin. Po pewnym czasie, który wydał się jej dłuższy niż wieczność, tylny właz pojazdu powoli się uchylił i – z radości nie mogła uwierzyć własnym oczom! – wyjrzała zza

niego twarz Wadima. Wadim, kochany, to ty! Poczuela, jak Wadim bierze ją na ręce i wnosi do transportera. Już po wszystkim, moja miła, już jesteś bezpieczna. Delikatnie położył ją na łóżku. Rozpoznała swój pokój. Wadim, kochany, wiedziałam, że mnie nie opuścisz. Wiedziałam. Zaczęła całować raz za razem jego policzki, czoło, nos i oczy. Nie mogła się nawdychać zapachu znajomej skóry i włosów. Jej ciało zakipiało od gwałtownego pożądania. Przylgnęła ustami do ust Wadima w długim, zachłannym pocałunku. Ubranie samo z niej opadło. Nagie ciało aż paliło. Drgnęła jak porażona prądem, gdy ciepłe dłonie Wadima spoczęły na jej nabrzmiących z podniecenia piersiach. Chcesz tak, zapytała, czy mam się położyć na brzuchu? Najpierw tak, szepnął, żeby widział twoją twarz. Jesteś taka piękna! Rozchyliła nogi, a kiedy się w nią wsunął, z rozkoszy pociemniało jej w głowie. Tak, kochany, właśnie tak, powoli, bez pośpiechu. Objęła go mocno i sterowała tempem jego ruchów. Kocham cię, Wadim, wiesz? Ja też cię, kocham, Wróbelku. Jak bardzo? Bardzo. Ale jak? Tak, że bardziej już nie można. Uniosła głowę. Pocałuj mnie, kochany! Proszę, pocałuj! Natychmiast pochylał się i spełnił jej życzenie. Słodczy pocałunku, niczym piorun po pniu drzewa, spłynęła jej kręgosłupem w dół i złączyła się ze słodczą idącą w górę od strony brzucha. Przestraszyła się, że jeszcze chwila, a spłonie i odwróciła gwałtownie głowę. Boże, jęknęła, jak cudownie! Nie przestawaj, kochany, nie przestawaj! Ruchy Wadima nabrały energii, oddech przyspieszył i coraz silniej krzyżował się z jej oddechem. Poczuela, że cała płonie z gorąca. Co chwila przymykała powieki, to znów je otwierała i syciła wzrok srebrnym błyskiem w zapatrzonych w nią brązowych oczach i silnymi, zroszonymi potem ramionami. Szybciej, kochany, mocniej! Naprawdę mnie kochasz? Naprawdę. I dobrze ci ze mną? Przecież wiesz, że dobrze. Ale powiedz sam, dobrze ci? Bardzo dobrze. I lubisz kochać się ze mną? Uwielbiam. Tylko ze mną? Tylko z tobą. Jak z żadną inną? Jak z żadną inną. Kochany mój! Chcesz dalej tak, czy mam się odwrócić? A ty jak chcesz? Chcę tak, jak ty. Więc odwróć się. Wypchnęła go z siebie i szybko obróciła się na brzuch. Czekała, aż Wadim wejdzie w nią ponownie, kręciła niecierpliwie biodrami. No, kochany, co z tobą? Ja czekam. Za plecami panowała cisza. Odwróciła się i zamiast Wadima, ujrzała stojącego obok sztalugi Gołdynia. Chciała zerwać się z łóżka i czymś okryć, ale hipnotyczny wzrok malarza sprawił, że nie mogła się ruszyć. Tylko bez fałszywego wstydu, panno Dorotko! Przecież jestem malarzem. To przecież jak lekarz.

Wstydziłaby się pani rozebrać przed lekarzem? No właśnie. Więc proszę pozostać w takiej pozycji. Właśnie tak panią namaluję. To pani ojciec zamówił ten obraz. Na pamiątkę. A teraz dam pani ziółek, żeby się pani nie nudziła. Podszedł i podał jej filizankę, z której bił aromat czegoś wschodniego. To z Arabii, wyjaśnił, tajemna receptura. Proszę się napić. Od razu poczuje się pani lepiej. Wzięła łyk i w okamgnieniu zapadła w mocny sen. Zbudził ją nagły ryk silnika i zgrzyt gąsienic na oblodzonej drodze. Zaszokowana, rozejrzała się wokół, nie mogąc pojąć, gdzie jest i co się dzieje. Co to za droga? Co za pole? A gdzie Wadim? Aha, Wadim pojechał. Ale dlaczego nie zabrał jej ze sobą? Jej wzrok zatrzymał się na stojącym kilkanaście kroków od niej transporterze. Dlaczego oni stoją? Czyżby na kogoś czekali? Może na nią? Jakby odpowiadając na jej pytanie, tylny właz transportera uchylił się, odsłaniając wnętrze długie i ciemne jak grobowa krypta. Jak to, zdziwiła się i jednocześnie wystraszyła, nikogo w środku? Więc kto uchylił właz? Wytężyła wzrok i wydało się jej, że na końcu tunelu widzi miniaturowe światełko. Ruszyła w jego kierunku. Szła, szła i szła, a światełko wciąż znajdowało się tak samo daleko. Pod stopami zrobiło się grząsko, co chwila potykała się o coś okrągłego i twardego. Jakby maszerowała po roztopionej przez deszcz drodze, z której ktoś – ciekawe, kto i po co? – wykopał i porzucił wokół kocie łby. Raptem poślizgnęła się i upadła. Poczowała na twarzy coś mazistego, co cuchnęło straszliwie nieprzyjemnie, zupełnie jak nie błoto. Skądś znała ten wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju smród. Wyjęła z kieszeni latarkę, zapaliła ją i wydarła się w niebogłosy – błoto okazało się rozkładającymi się trupami w polskich oficerskich mundurach, a rzekome kocie łby ich czaszkami obciążniętymi resztką przegniłej skóry i upstrzonymi przez kępki włosów. Zerwała się na nogi i zaczęła biec w kierunku światełka, lecz ku jej rozpaczy już nie tylko się nie przybliżało, ale przeciwnie – uciekało od niej coraz szybciej i coraz dalej. Nagle drogę zastąpił jej trup, na którego ramionach srebrzyły się kapitańskie epolety. Chwycił ją mocno za nadgarstek i wlepił w nią puste oczodoły. Córeczko, jesteś? Tak długo czekałem! Nie bój się, już cię nigdy nie zostawię. Pojedziemy do Juraty, chcesz? Podobno lato ma być wyjątkowo piękne. Neeee, wrzasnęła, nieee! Nie chcę, nieee! Wyrwała rękę ze wstrętem i co sił w nogach popędziła do wylotu tunelu. Pokonawszy kawał drogi, obejrzała się i spostrzegła, że trup ją goni. Wróbelku, krzyczał, poczekaj! Nie zostawiaj mnie! Tak się za tobą

stęskniłem! Biegła szybko, omal nie wypluwając płuc. Po pewnym czasie znowu się odwróciła i spostrzegła, że ojciec, na szczęście!, został daleko za nią i nie ma już szans, aby ją dogonił. Zdyszana, zwolniła kroku. Sama nie wiedziała, jak się to stało, ale nie była już w żadnym tunelu, lecz na żydowskim Nowym Cmentarzu. Cisza, spokój, zza granatowych chmur raz po raz przeświecał księżyc. Drzwi domu pogrzebowego były uchylone, w środku paliło się światło. Weszła po schodkach i po krótkim wahaniu nacisnęła klamkę. Popatrzy, usłyszała dobrze znany głos, przyszała wreszcie! Romka nalewała właśnie herbaty do fajansowego kubka. No, czego tak stoisz w drzwiach? Zamknij, bo ciągnie! Podeszła do stolika, za który służyło kilka zestawionych razem i nakrytych brudnym huculskim kilimem skrzynek. Biedronka siedziała przed toaletką, na której stała popękana lustrzana tafla, i rozczesywała długie włosy. Będziesz spać tam, wskazała grzebieniem zaciemniony ką, już ci pościeliłam. Przecież tam nie ma łóżka, zdziwiła się i zrobiła kilka kroków. Nagle u swych stóp spostrzegła głęboki, świeżo wykopany grób. Na jego dnie leżała kołdra, poduszka i jej ulubiony jasiek, obleczony w dobrze znaną poszewkę w kwiatki. Niemożliwe, wyjąkała, tutaj? Poczowała, jak ktoś łapie ją za włosy i ciągnie w drugi róg pomieszczenia. Z bólu zamknęła oczy. A co, usłyszała głos Romki, wolisz tutaj?! Podniosła powieki i ujrzała wylot pozbawionego pokrywy, niebotycznie głębokiego szamba. Wolisz tutaj, ze mną?! Zapraszam! Wyrwała się i zobaczyła, jak Biedronka chwyta za koniec kilimu i zrywa go jednym ruchem ręki. Okazało się, że pod spodem nie było wcale żadnych skrzynek, ale nowiutka sosnowa trumna, taka sama, w jakiej pochowano ją miesiąc temu. Biedronka zdjęła buty, weszła do trumny i ułożyła się wygodnie. Bo widzisz, ziewnęła, tu u nas wszystko jest odbiciem tego, co było tam. Jak na górze, tak i na dole. Czytałaś przecież mistyków. Dlatego dla ciebie jest anonimowy grób. Nie kłóć się, nie filozofuj, choćbyś zagardłowała się do utraty głosu, nie potrafisz tego zmienić. Za jej plecami coś chlupnęło. Odwróciła się – Romka zniknęła. Jej wyszywane złotą nitką domowe pantofle stały obok cembrowiny. Głośne dmuchnięcie Biedronki zgasiło świeczkę. Znow oblepiała ją gęsta niczym smoła ciemność. Stała bez ruchu, nie mając pojęcia co robić. Nie słuchaj ich, usłyszała tuż przy uchu szept Anny, one są głupie. Ucieszyła się. Gdzie jesteś, Anno, pokaż się! Nie mogę. Kto mnie zobaczy, ten umrze. A ty masz żyć. Ty masz żyć. Ty masz żyć. Przecież któraś z nas musi przeżyć. Zostałaś już tylko ty. Jak to: tylko ja? A ty, Anno? Ja też nie żyję. Bomba lotnicza,

rozumiesz. Bum i po wszystkim. Więc zostałaś tylko ty. Tylko... Poczula popchnięcie. Idź! Ratuj się! Uciekaj! Ruszyła bezwiednie przed siebie. Ciemność. Ciemność. Ciemność. Gdzie jest wyjście? Czy w ogóle jest? Anno, pomóż mi! Słyszysz? Słyszysz?! Nic. Żadnej odpowiedzi. Cisza. Gdzie się wszyscy podziali? Nikogo nie ma? Ludzieeee! Odezwijcie się! Ogłuchli, czy co? Ludzieeee!

– *Sie hat Alpträume.*

– *Wunderst du dich darüber?*²⁵⁹

Kto to powiedział? Otworzyła oczy. Była w swoim pokoju. Przez szparę w zaciągniętych zasłonach prześwitywał słoneczny poranek. Na karku czuła łaskoczący, miarowy oddech przytulonego do niej Wadima. Odetchnęła. Więc to wszystko to tylko sen! Bogu dzięki! Spojrzała na zegarek – dochodziła dziewiąta. Chwyciła Wadima za rękę, którą ją obejmował, i zaczęła nią potrząsać. Kochanie, czas, wstawać! Chcesz przespać cały dzień? Przekręciła się na drugi bok i ze zgrozą zobaczyła, że to nie Wadim, lecz Zasuń. Krzyknęła i wyskoczyła z łóżka jak oparzona. Co ty tu robisz? Wynoś się stąd! Zasuń się roześmiał. Teraz zorientowała się, że wcale nie jest u siebie, lecz w jego garsonierze. Próbowwała sobie przypomnieć, czy się z nim kochała, ale nie potrafiła. Może się kochała, choć wydawało się jej, że robi to z Wadimem? Na samą myśl zapragnęła wymiotować. Tymczasem Zasuń odrzucił pierzynę, wstał z łóżka i szedł nagi w jej stronę – wysoki, zbudowany niczym heros ze starożytnych posągów. Tej nocy zrobiliśmy ci zabieg, rzekł, przypierając ją do ściany i kładąc dłonie na jej ramionach. Nie urodzisz bachora tego ruskiego przybłądy. Twoim przeznaczeniem jest rodzić Polaków. Dlatego teraz cię zapłodnię. Za dziewięć miesięcy powijesz czterech synów, którzy we wszystkie cztery strony świata poniosą sztandar naszego Legionu. Zostaniesz matką wszechświatowego faszyzmu. Nowego faszyzmu, polskiego. Będziesz miała swoją świątynię. Zobacz, wskazał na ścianę, zamówiłem już nawet twój obraz. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła swój akt namalowany przez Gołdynia. A teraz uklęknij i oddaj mi hołd. Wiesz jak. Nie, zawołała, wciskając głowę w ścianę, nie! W odpowiedzi Zasuń po chwili mocowania rzucił ją na kolana. Jego sterczący członek celował prosto w jej usta. Odwróciła ze wstrętem twarz. Nie, nie, nigdy! Zasuń chwycił jej głowę i starał się ustawić ją w takiej pozycji, by spełnić swój zamiar. Nie chcesz, zirytował się, nie chcesz?

Przecież zawsze to uwielbiałaś! Temu ruskiemu przybędzie też pewnie to robiłaś. Przyznaj się! Robiłaś, prawda? A widzisz! Potężne uderzenie w policzek rzuciło ją na podłogę. Kończ z nią, Janek, jest twoja! Podniosła wzrok. Nad nią na szeroko rozstawionych nogach stał Żyrewicz z rewolwerem w ręku. No, Dorotko, czas się pożegnać. Przystawił jej lufę do skroni. A może chcesz przedtem podyskutować? Proszę bardzo, słucham. Na przykład o Dostojewskim. Co, nic nie mówisz? Gdzie twoja elokwencja? Widzisz? Jesteś zerem. A ludzkość nie potrzebuje zer. Dam ci jednak szansę. Powiesz mi, gdzie się ukrył twój rosyjski gach. Za pierwszym razem, wtedy, na ulicy, chybiłem. Ale teraz trafię na pewno. Słyszysz? Powiedz, a cię wypuszczę. Co, nie chcesz? Takaś harda? No to pa! Rewolwer wypalił. Z przerażenia się obudziła. Z niedowierzaniem, ale i z ulgą stwierdziła, że wciąż żyje. Więc to znowu tylko sen? Jak dobrze... Ale gdzie ona jest? Nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w małe, mdłe światełko. Księżyc? I kim są ci śpiący ludzie w niemieckich mundurach, siedzący w dwóch rzędach z głowami spuszczoneymi i kiwającymi się łagodnie w rytm jazdy? Czy to pociąg? Dziwne te przedziały. Nigdy takim nie jechała. Ani do Zakopanego, ani do Juraty, ani do Krynicy. Poczuła, jak czyjaś dłoń łagodnie popycha ją na posłanie.

– *Schlaf, Mädchen. Schlaf.*²⁶⁰

Dlaczego ojciec mówi po niemiecku? Widocznie rozmawia z ciotką Bettiną. Ciotka nigdy nie nauczyła się mówić poprawnie po polsku. Za to kaleczyła język tak zabawnie, że nieraz przy stole wszyscy zanosili się od śmiechu. Ale jej nie chce się teraz śmiać. Jest taka zmęczona. Poprosiła ojca, by obudzono ją, kiedy pokaże się morze, i zamknęła oczy. W głowie znowu zawirowała ciemność. Jak wtedy, gdy pierwszy raz upiła się w trupa. Dobrze, że to było u Krysi i ojciec nigdy się nie dowiedział. Tak, trzeba spać, spać, spać. Powoli odfrunęła w czarną przepaść. Cicho i bezpiecznie. Już miała rozpląnąć się w tej przyjemnej magmie, niczym w nirwanie, kiedy huknęło nie z tej ziemi i wagon podskoczył, jakby miał wylecieć z szyn.

– *Panzer! Panzer!*

– *Rechts! In den Wald! In den Wald!*²⁶¹

Huknęło powtórnie i tym razem wagon naprawdę się wykoleił. Otworzyła oczy i zaszlochała z rozpaczy – znowu znajdowała się na tej przeklętej oblodzonej drodze, pośród oślepiającej bieli śniegu, zimnego błękitu nieba

i cmentarnego wrzasku gawronów. Potem zauważyła, że nie jest sama – otaczał ją krąg czerwonoarmistów. Jeden z nich trzymał w rękach jej kenkartę.

– *Kińtie etu suku w gruzawik!*²⁶²

Czyjeś dłonie złapały ją za ręce i nogi, po czym rzuciły na platformę. Próbowwała krzyczeć, ale ktoś wetknął jej do ust jej własną wełnianą rękawiczkę. Ze zgrozą zdała sobie sprawę, że to przecież ta rękawiczka, którą zgubiła podczas pamiętnej wizyty u Kusiów. Zaczęła się szarpać i wyrwać. Złapali ją za ręce i nogi. Ktoś zdarł jej spodnie i ściągnął, a właściwie podarł na strzępy majtki. Potem ujrzała nad sobą zarośniętą, spoconą mordę w nasuniętej na bakier furazerce.

– *Idi siuda, maleńkaja!*²⁶³

Omam nie zwymiotowała, gdy do jej płuc wtargnął cuchnący oddech, przesycony machorką i bimbrem. Nagły ostry ból przekroił jej brzuch od kroku aż po pępek. Z przymkniętych oczu trysnęły łzy. Zaciśnęła zęby na rękawiczkę. Ból raz za razem rozdzierał jej ciało. Dlaczego, powtarzała w myśli, dlaczego?! Co ja wam zrobiłam?! Wy bydlaki! Po tym z zarośniętą gębą był szczeniak z kartoflanym nosem. Po nim jakiś Kałmuk czy Tatar bez połowy zębów. Po czwartym straciła rachubę. Leżała bezwładnie jak worek ziemniaków. W głowie szumiało. Nawet ból nie doskwierał już tak mocno. Harmonijka ustna wygrywała wesołe, skoczne melodie. Było jej wszystko jedno. Sama nie wiedziała, kiedy skończyli. Słyszała, jak zastanawiają się, co z nią zrobić. Zostawić czy wyrzucić na drogę? Niech zostanie, zawyrokował wreszcie ten z zarostem, jutro też jest dzień. Odpowiedział mu rechot z kilkunastu gardeł. Któryś z nich wyjął jej z ust knebel.

– *Daditie jej wodki – zawołał inny. – Czto by nie zamiorzła!*²⁶⁴

Zakrztusiła się, kiedy poczuła w ustach bimber. Potem zasnęła. Śpiąc, marzyła o tym, by sen trwał wiecznie, by nigdy się nie obudziła. Nigdy, nigdy, nigdy. Wtedy w głębi tunelu rozbłysnęło miniaturowe światełko. Idź, usłyszała szept Anny, śmiało! Słyszysz? Jeszcze nie jest ci pisane. Nie poddawaj się, idź! Dźwignęła się na nogi i znowu szła, szła i szła, a światełko zamiast się przybliżać, coraz bardziej się oddalało. Nie miała już sił. Upadła na kolana. Jakiś czas wlokła się na czworakach. Wreszcie i tego miała dosyć. Położyła się na podłodze i zaczęła szlochać. Chciała umrzeć. Wtedy wąż transportera uchylił się i z ciemnego wnętrza wyskoczył niemiecki żołnierz.

– *Sind Sie Deutsche? Fräulein, sind Sie Deutsche?*

– *Ja – jęknęła. – Ich bin Deutsche.*

– *Rudi, komm! Du musst mir helfen. Rudi, schnell, zum Teufel!*²⁶⁵

Przez półprzymknięte powieki obserwowała dwie bruzdy żłobione w śniegu przez jej obcasy, kiedy tamci dwaj chwycili ją pod pachy i ciągnęli w kierunku pojazdu. Potem jeden złapał ją za nogi i wylądowała w środku. Właz zatrzasnął się i transporter ruszył ostro. W środku było ciepło i przytulnie. Katarzyna podała jej gorące mleko z miodem. To ty nie umarłaś, Katarzyno? Przecież zaraziłam cię tyfusem. Katarzyna wzruszyła ramionami. Jaki tam tyfus, panienko? To tylko kolka żołądkowa. A teraz niech panienka odpoczywa. Ma panienka gorączkę i wygaduje głupoty. Wrzuciłam do mleka tabletkę na sen, będzie panienka spać jak zabita. Jutro na obiad będą kotlety siekane. No, gaszę już światło. Dobranoc, panienko! Dobranoc, Katarzyno! Powieki same opadły. Milutko spać we własnym łóżku. Tylko skąd ten głośny szum? To chyba z łazienki. Pewnie znów nawalił rezerwuar. A niech tam – niech sobie szumi. Zupełnie jak wodospad. Nawet miło się przy nim zasypia. Jej umysł ponownie wypełniła płynna masa, gęsta i ciemna jak budyń czekoladowy. Tak, właśnie tak – budyń czekoladowy. Jej ulubiony. Lubiała też waniliowy i malinowy, ale nie umywały się do czekoladowego. Jutro na śniadanie każe sobie taki zrobić. Zjedzą go razem z Wadimem. Jak to dobrze, że tamto wszystko to tylko koszmary wywołane tyfusową gorączką! Na szczęście nie dała się choróbsku. Jeszcze kilka dni i stanie na nogi. Ale dlaczego przestało szumieć? Skąd ta dziwnie nieprzyjemna cisza? Wyteżyła słuch. Za ścianą jacyś ludzie rozmawiali po niemiecku. Mówili coś o tym, że skończyła się benzyna. A potem zaczęli się kłócić. Pierwszy głos twierdził, że dziewczyna w takim stanie nie ujdzie nawet stu kroków. A nieść jej przecież nie będą. Nie dadzą rady. Muszą przede wszystkim wziąć plecaki i broń. Są gdzieś pośrodku lasu, diabli wiedzą, jak daleko do najbliższej wioski. I cholera wie, czy nie ma tam już Iwana. Drugi głos oponował. Nie można zostawić tak dziewczyny na pustkowiu. Ich obowiązkiem jest jej pomóc. Już i tak dosyć przeszła. Trzeci głos zauważył, że w ogóle nie ma pewności, że to Niemka. Przez sen cały czas bredzi po polsku. Dokumentów przecież żadnych nie ma. Drugi głos przypomniał, że przecież po niemiecku też mówiła – i to jak rodowita wiedeńska. Pewnie to miejscowa folksdojczka, więc polski zna nie gorzej od niemieckiego. Poza

tym, gdyby to była Polka, przekonywał, nie prosiłaby ich o pomoc. Czwarty głos zauważył z przekąsem, że po tym co jej zrobili ruscy, u samego diabła szukałaby pomocy. To co z nią, dopytywał pierwszy, biorą czy nie? Ale przecież dziewczyna ledwie zipie. Będzie tylko opóźniać marsz. A najprawdopodobniej i tak nie wyżyje. Jest wyjście, oświadczył trzeci głos. Zabrać jej nie mogą, ale zostawić też nie zostawią. Na początek niech pomyślą spokojnie. Aryjska dziewczyna została zhańbiona przez podludzi. Nawet jeśli przeżyje, już nigdy nie uwolni się od tego piętna. Będzie chodzącym symbolem niemieckiej klęski. Symbolem szokującym otoczenie, wpływającym na nie destruktywnie i demobilizująco. A wojna jeszcze trwa. Zatem patriotyczny obowiązek nakazuje im nie dopuścić do takiej sytuacji. Głos drugi zaśmiał się sarkastycznie. Czy on zwariował? Chce z nią skończyć? A gdyby to była jego siostra lub żona, też by tak chciał? Tym bardziej, zapewnił twardo trzeci głos, tym bardziej. Nie wyobraża sobie, by jego siostra lub żona żyła z podobnym piętnem, wytykana palcami przez innych. Nie zniósłby czegoś takiego – nie tylko z powodu własnego zranionego honoru, ale i współczucia dla niej. Racja, wtrącił się piąty głos. Teraz dziewczyna jest jeszcze w szoku, a i proszki przeciwbólowe, które jej dali, mącą jej umysł. Ale kiedy dotrze do niej, co się zdarzyło, dozna wstydu, jakiego nie można sobie wyobrazić. Ten wstyd będzie dla niej znacznie większą torturą niż fizyczny ból. Żeby się od niego wyzwolić, być może sama robi to, co na jej miejscu zrobiłaby każda szanująca się Niemka. No właśnie, podchwycił trzeci głos. Więc na dobrą sprawę oni przyśpieszą jedynie nieuchronne. Zaoszczędzą biedacze niepotrzebnych cierpień. Najlepiej, zakończył dyskusję pierwszy, żeby załatwić to od razu, dopóki dziewczyna śpi. Nic nie poczuje, najlepsza śmierć, jaką można sobie wyobrazić. Zapadło milczenie. Po chwili czwarty głos oświadczył, że on na pewno tego nie robi. Drugi powiedział, że on tym bardziej. W takim razie wypadło na mnie, podsumował trzeci. Znowu zapadła cisza. Lecz tym razem, zamiast przynieść upragnione ukojenie, zaczęła ją mocno niepokoić. Nie mogła pojąć, dlaczego tak się dzieje. A kiedy już wmówiła sobie, że przecież tutaj, we śnie, nic jej nie grozi, że jest bezpieczna po stokroć bardziej niż w tam, w prawdziwym życiu, znenacka usłyszała tuż nad sobą lekko przyśpieszony, świszczący oddech i zimny szcęk odbezpieczanej broni.

KONIEC

[259](#) (niem.) Ma koszmary. – Dziwisz się?

[260](#) (niem.) Śpij, dziewczyno. Śpij.

[261](#) (niem.) Czołgi! Na prawo, do lasu!

[262](#) (ros.) Rzućcie tę sukę na ciężarówkę!

[263](#) (ros.) Chodź, małeńka.

[264](#) (ros.) Dajcie jej wódki, żeby nie zamarzła.

[265](#) (niem.) Czy jest pani Niemką? Panienko, czy jesteś Niemką? – Tak, jestem Niemką. – Rudi, chodź tutaj! Musisz mi pomóc. Rudi, szybko, do diabła!

Spis treści

Część pierwsza. PAŹDZIERNIK

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Część druga. GRUDZIEŃ

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Część trzecia. STYCZEŃ

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI